

HERMAN WOUK

WICHRY WOJNY

Tytuł oryginału: „The Winds of War”

Wydawnictwo Bellona oraz Agencja Praw Autorskich i Wydawnictwo „Interart”

Warszawa 1991

CZĘŚĆ III

CZĘŚĆ TRZECIA

WIATRY SIĘ RODZĄ

44

Barbarossa

(z książki: „*Utrata światowego imperium*”) Uwaga tłumacza

Upłynęło ćwierć wieku, a świat nadal się zdumiewa, dlaczego w czerwcu 1941 roku Adolf Hitler zwrócił się na wschód, gdy sytuacja Anglii po druzgocących porażkach w Afryce i na Bałkanach była katastrofalna. Równie decydujące były straty zadane przez u-booty w chwili, gdy Stany Zjednoczone nie miały siły, by ją uchronić od nokautu. Wydawało się, że Hitler niemal już wygrał drugą wojnę światową. Rozgromiwszy Anglię, mógł zwrócić się przeciw Związkowi Sowieckiemu i przetrawiwszy owoce poprzednich, zdumiewających zwycięstw, podjąć działania wojenne na jednym froncie. Zamiast tego jednak, oszczędziwszy Anglię, zwrócił się na wschód, zapoczątkował największą i najdłuższą krwawą łaźnię w dziejach, zostawił swe tyły otwarte dla lądowania w Normandii i w ten sposób zniszczył Niemcy i samego siebie.

Dlaczego?

Wydaje mi się, że generał von Roon, przemawiając z przeciwnego obozu, rzuca na tę kwestię wiele światła. Ponieważ amerykańskiego czytelnika bardziej interesują operacje na zachodzie, w znacznym stopniu ten materiał skróciłem. Ale starałem się nie naruszyć głównego toku analizy Roona.

(V. H.)

Zwrot na wschód

Napad Hitlera na Związek Sowiecki jest powszechnie uważany za jego wielką pomyłkę, może największą w historii. Istnieją dwie przyczyny takiego punktu widzenia. Pierwsza wynika z tego, że ludzie jeszcze nie są zdolni do jasnej oceny Adolfa Hitlera, tajemniczej i przerażającej postaci. Drugą i ważniejszą przyczyną jest to, że oceniając sytuację wojskową laicy (i niestety także nazbyt wielu wojskowych) rzadko zadają sobie trud zaznajomienia się z faktami. Rzeczowe oceny zawsze rozpoczynają się od rzutu oka na mapę. Mapy nudzą i dezorientują. A jednak klucz do zwrotu Hitlera na wschód w czerwcu 1941 roku znajduje się w kartografii.

Należy spojrzeć na mapę Europy, najlepiej na mapę fizyczną, ukazującą rzeki i

obszary górskie.

I trzeba pamiętać o pewnych zwyczajach, niezmiennych faktach dotyczących wojny. Wojna jest gwałtownym zderzeniem sił. Siły te występują w trzech rodzajach: sił żywych, mechanicznych i chemicznych, jak w niszczącym procesie spalania. Aż do siedemnastego wieku decydujące znaczenie miały siły żywe: konie i ludzie, choć już pewien użytek czyniono z maszyn, jak katapulty i kusze. Wraz z siłą chemiczną eksplodującego prochu strzelniczego, pojawił się nowy, dodatkowy czynnik. Amerykańska wojna secesyjna jako pierwsza stała się odbiciem rewolucji przemysłowej, głównie przez ogromny przyrost mobilności wojsk dzięki kolejom żelaznym, wyzyskującym energię chemiczną kopalnego paliwa - węgla; a także dzięki zwiększonej donośności i dokładności ognia artyleryjskiego, co należało zawdzięczać postępom w metalurgii i projektowaniu.

Wojna uprzemysłowiona po raz pierwszy ujawniła się w pełni w latach 1914-18. Naród niemiecki, operując po liniach wewnętrznych dzięki sieci kolei żelaznych, błyskotliwie zaprojektowanych przez Moltkego w celu szybkiego przerzucania armii, z przemysłem zaplanowanym i zbudowanym w celach wojennych prawie pokonał Koalicję, do której należał niemal cały świat. W roku 1918 rewolucyjne możliwości nowego zastosowania innego kopalnego paliwa - ropy naftowej, zostały ujawnione przez brytyjskie czołgi pod Amiens, a także w walkach powietrznych między kruchymi samolotami zwiadowczymi. Niewielu wojskowych pojęło te możliwości; ale tylko jeden powojenny polityk naprawdę je zrozumiał, a tym człowiekiem był skromny eks-żołnierz piechoty, Adolf Hitler.

Hitler dostrzegł, że rzekomi zwycięzcy - Brytyjczycy i Francuzi - zostali tak wyczerpani, że światowe imperium stało otworem przed ich następcami i że nawet niewielki naród, przy odważnym, masowym użyciu silnika spalinowego, szczególnie przy kombinowanych operacjach lądowo-powietrznych, może zdobyć tę nagrodę.

Sytuacja na mapie

Niedogodnością użycia koni na wojnie jest to, że muszą otrzymywać siano; Napoleon poniósł porażkę pod Borodino częściowo z powodu braku paszy. Podobnie i silnik spalinowy musi mieć ropę naftową, by działać. Adolf Hitler nigdy nie zapomniał o tym prostym fakcie, bez względu na to, że nie pamiętali o nim stratedzy zza biurka i powierzchownie sprytni dziennikarze.

Na kontynencie europejskim do dyspozycji niemieckiego wysiłku zbrojnego stała tylko jedna stacja benzynowa, mianowicie pod ziemią Rumunii. Drogą morską ropy dostać nie mogliśmy. Dlatego osiã wszystkich manewrów kampanii Hitlera na Bałkanach w latach 1940-41 były pola naftowe w Ploeshti. Na Bałkanach wojny wygrać nie było można, ale

Niemcy mogły ją tam przegrać.

Rzut oka na mapę ujawnia, że Ploeshti, leżące na wielkiej nizinie w dorzeczu Dunaju, znajduje się niebezpiecznie blisko sowieckiej granicy. To miasto leży za Prutem o mniej niż sto mil łatwego marszu przez nizinę. Ale jest o sześćset mil od Niemiec, a drogę zagrażają Karpaty.

Z tego powodu, gdy w czerwcu 1940 roku zagrażała wojna między Węgrami i Rumunią, Hitler podjął szybkie działania dla wymuszenia porozumienia. Związkowi Sowieckiemu to się nie spodobało. Rosja, czy to carska, czy komunistyczna, zawsze wyciągała swe niedźwiedzie pazury w stronę Półwyspu Bałkańskiego, a w owym czasie wysyłała do Rumunii noty pełne niejasnych gróźb. Ale tam, gdzie chodziło o dostawy ropy naftowej, Hitler nie mógł brać pod uwagę delikatności rosyjskich uczuć. Bez ropy cała niemiecka maszyna wojenna była tylko stosem martwego żelastwa.

Lecz zachowanie Rosji wzbudziło jego wątpliwości, a pakt ze Stalinem był tylko zawieszeniem broni. Tak o nim myślał i miał powody, by przyjmować, że tak samo myśli Stalin. Problemem było: kiedy Rosja się ruszy? Hitler mógł to tylko zgadywać na podstawie jej działań. W lecie 1940 roku gdy nasza świetna kampania we Francji była na ukończeniu, Związek Sowiecki wkroczył do Bessarabii, co postawiło Armię Czerwoną nad brzegami Prutu. Było to posunięcie się naprzód na szerokim froncie o przeciętnie sto mil w kierunku naszej ropy naftowej. Bułgaria, której granica znajdowała się ledwie o pięćdziesiąt mil od Ploeshti, w tym samym czasie zaczęła wysuwać żądania terytorialne i grozić użyciem siły. Mieliśmy sprawdzone informacje wywiadowcze, że za tymi wrogimi wobec Rumunii bułgarskimi gestami stała rosyjska intryga.

Te złowieszcze wydarzenia nastąpiły podczas tak zwanej „Bitwy o Wielką Brytanię”. Zachodnie dzienniki i komentatorzy radiowi praktycznie je zignorowali, zachodni zaś historycy ignorują do dziś. Dla mieszkańców Zachodu, a szczególnie dla Amerykanów, polityka bałkańska zawsze była czymś nudnym i pogmatwanym. A przecież to te skryte i pełne napięcia manewry wokół ropy rumuńskiej były decydujące dla losów wojny, a nie walki powietrzne na angielskim niebie, które opisywano w prasie pod romantycznymi nagłówkami. Autorzy, którzy do dziś w kółko zastanawiają się nad „Bitwą o Wielką Brytanię”, niezmiennie dziwią się, czemu Adolf Hitler w tak oczywisty sposób nie interesował się nią. Dowodzi to, że żaden z nich nie zna na tyle chronologii i kartografii wojskowej, by docenić, że przez cały okres owych nieistotnych potyczek powietrznych Führer nie spuszczał wzroku z kluczowych dla naszego bytu nizin naddunajskich.

W końcu lipca, gdy „Bitwa o Anglię” ledwo się zaczynała, Hitler nakazał generałowi

Jodłowi rozpoczęcie prac sztabowych nad inwazją na Związek Sowiecki, z terminem jej rozpoczęcia w końcu roku 1940 lub wiosną 1941. Tę decyzję zachodni autorzy często cytują jako ostateczny dowód „perfidii” przywódcy Niemiec. Ale taki właśnie jest skutek nieoglądania map i niestudiowania chronologii. Gdyby Hitler nie podjął takich środków ostrożności w obliczu zacieśniającej się wokół Ploeshti rosyjskiej gry, byłby winien zbrodniczego zlekceważenia interesów własnego narodu.

Przegląd wielkiej strategii

Światopogląd Hitlera był heglowski. Narody, imperia, kultury - jak nas nauczył wielki Hegel - każde z nich ma swoją epokę historyczną. Przychodzą i odchodzą, żadne nie jest wieczne ale w każdej epoce jedno z nich dominuje i nadaje jej swe piętno. W tym następstwie władania światem rozpoznajemy ewoluującą wolę Boga historii, Ducha historii. W ten sposób Bóg wyraża się i objawia przez wolę takich decydujących dla historii świata indywidualności, jak: Cezar, Aleksander czy Napoleon, którzy podnieśli swe państwa do rangi imperiów światowych. Czyny takich ludzi nie podlegają osądom konwencjonalnej moralności, bo to oni w każdej epoce tworzą nowe zasady moralności.

Oczywiście światopogląd heglowski stanowi przeciwieństwo moralności drobnomieszczańskiej, która oczekuje, że wielkie narody będą się zachowywać jak panienki z dobrych domów w niedzielnej szkółce, a do potężnie uzbrojonych ludów chciałyby stosować zasady zachowania, obowiązujące jakiegoś wybladłego sprzedawcę w sklepie z obuwem. Takie mocarstwa burżuazyjne jak Francja, Anglia i Ameryka, zbudowały swe potęgi i rozszerzały swe terytoria przez działania nie różniące się niczym poza skalą zbrojnego rabunku. Gdy osiągnęły swe „oczywiste przeznaczenie”, oczywiście łatwo im przychodziło zrządzić na młode, pełne wigoru Niemcy, pragnące z kolei odegrać swoją światową rolę. Ale Adolf Hitler nie był człowiekiem, na którym tego rodzaju moralizatorstwo robiłoby większe wrażenie.

W jego planach atak na Rosję był drzwiami, przez które Niemcy musiały przejść, by osiągnąć panowanie nad światem. Rosja była naszymi Indiami, przeznaczonymi do podboju i eksploatacji na wzór Brytyjczyków. Rzesza Niemiecka miała wolę, siłę i poczucie swego przeznaczenia. Brakowało jej tylko żywności, przestrzeni życiowej i ropy naftowej i to musiała sobie wziąć. Hitler uważał, że gdy władza nad kontynentem europejskim zostanie twarzo uchwycona przez Niemcy anglosaskie mocarstwa zostaną zmuszone do zmiany swych rządów, wybierając na ich miejsce polityków, którzy będą w stanie współpracować z nowym niemieckim imperium światowym.

Środek ciężkości

Już Clausewitz mówił: „Powinniśmy... przyjąć jako zasadę, że jeśli możemy podbić wszystkich naszych wrogów przez podbój jednego z celem wojny musi być klęska tego właśnie przeciwnika, ponieważ niego właśnie uderzamy we wspólny środek ciężkości całej wojny”.

Atak na Rosję, którego celem było zdobycie władzy nad centralnym kontynentem Ziemi z jego nieograniczonymi zasobami siły roboczej i bogactw naturalnych, był właśnie uderzeniem w środek ciężkości.

Przedstawiano wiele zwodniczych argumentów, że „naprawdę środkiem ciężkości była Anglia, ponieważ była w stanie utworzyć nową koalicję do walki z Niemcami”. To pisanina ludzi, mających obsesję analogii napoleońskich. Wiosną 1941 roku Anglia była zneutralizowana i praktycznie nie brała udziału w wojnie, poza drobną niedogodnością, jaką były naloty RAF-u. Nie panowała już nad morzami. Zarówno Japonia, jak Ameryka miały większe floty, które dla Niemiec nie stanowiły bezpośredniego zagrożenia, choć oczywiście porachowanie się ze Stanami Zjednoczonymi musiało nastąpić.

Jeśli pod względem wojskowym Anglia była skończona, czemu się nie poddała? Oczywiście dlatego, że miała nadzieję, iż zostanie wspomozona przez Związek Sowiecki lub Stany Zjednoczone, albo przez oba te kraje razem. Ameryka była daleka i prawie bezbronna. Rosja natomiast zbroiła się gorączkowo na naszych granicach i otwarcie zagrażała w Ploeshti życiu Niemiec. Prawda, że starała się nas ułagodzić na zwykły, prymitywny sposób rosyjskiej dyplomacji, przysyłając nam pszenicę i ropę. Ale w zamian otrzymywała urządzenia mechaniczne, służące jej dozbajaniu. Nie można było tolerować na dłuższą metę tego rodzaju uzależnienia od Stalina.

Nasza stawka w wyścigu o imperium światowe była zawsze wyścigiem z czasem. Rzesza była znacznie mniejsza niż jej dwaj wielcy rywale: Związek Sowiecki i Stany Zjednoczone Ameryki. Jej przewaga leżała jedynie w jedności celów, jej dyscyplinie i skutecznym przywództwie Hitlera. W roku 1941 stało się jasne, że Franklin Roosevelt zamierza wziąć udział w wojnie, gdy tylko uda mu się przestawić amerykański przemysł na produkcję wojenną i oszukać swych niechętnych współrodaków do tego stopnia, że za nim podążą. Było też równie jasne, że Stalin poszukuje tylko bezpiecznego sposobu, by w Ploeshti tchórzliwie poderznąć Niemcom gardło. Hitler jasno to wyłożył w szczerym i wymownym liście do Mussoliniego w przeddzień 22 czerwca: „Rosja i Anglia są w równym stopniu zainteresowane Europą... skrajnie wyczerpaną przez długą wojnę... Za tymi dwoma krajami stoi Zjednoczenie Północnej Ameryki, poganiające je do działania... Dlatego też, po długotrwałym namyśle, doszedłem wreszcie do wniosku, że trzeba przeciąć stryczek nim

zostanie zaciśnięty”.

Czy Plan Barbarossa był rozsądny?

Argument, że Hitler powinien był najpierw skończyć z Anglią, nie opiera się na rzeczowych przesłankach.

Hitler podobny był Cezarowi w swej determinacji zbierania, gdzie się tylko dało, ziem i zapasów potrzebnych jego narodowi. Podobny był Aleksandrowi w swoich potężnych wizjach nowego, pokojowego porządku światowego. Ale jego strategia była napoleońska, bo miał ten sam co Napoleon centralny problem: był otoczony przez wrogów. Rozwiązaniem napoleońskim były: szybkość energia, zaskoczenie i skrajna koncentracja sił własnych w punkcie ataku dla powalenia nieprzyjaciół po kolei. To samo czynił Hitler. Zawsze miał błyskotliwy, choć może nieco awanturniczy instynkt wielkiej strategii niszczące było tylko jego dyletanckie wtrącanie się w przebieg działań taktycznych i niezdolność do żołnierskiego zachowania się w krytycznych sytuacjach.

W maju 1940 roku przeznaczył zaledwie dwa tuziny dywizji jako osłonę na wschodzie przeciw ponad dwustu dywizjom Armii Czerwonej, w okresie, gdy wykańczał Francję i wypędzał z kontynentu resztki rozbrojonych Brytyjczyków. Podjął w ten sposób fantastyczne ryzyko, ale w sposób dogłębnie przewidujący. Stalin, który mógł wówczas zająć Berlin, był absolutnie uszczęśliwiony tym, że Niemcy niszczą Francję, podczas gdy on zajmuje terytoria nad Bałtykiem i na Bałkanach.

W 1941 roku Związek Sowiecki znacznie się wzmocnił. Zbliżył się na sto mil do Ploeshti. Zdobył panowanie nad Morzem Bałtyckim. Zmasował siły na granicach - ponad trzy miliony żołnierzy - stawiając je twarzą w twarz z Niemcami i podbitymi przez nich polskimi terytoriami. I domagał się wolnej ręki w Dardanelach, Bułgarii i Finlandii. Te żądania, przedstawione przez Mołotowa w listopadzie 1940 roku były ostatnią kroplą.

Hitler uważał, że do wyboru naprawdę ma tylko trzy możliwości. Mógł zastrzelić się, pozostawiając narodowi niemieckiemu pertraktacje o kapitulacji; mógł pokusić się o podbój Anglii z wydaniem na rzeź sił przekraczających kanał La Manche, równocześnie odsłaniając się przed zdradzieckim atakiem ze wschodu; albo też mógł zignorować zneutralizowaną, powaloną na kolana Anglię i podjąć realizację w jednym miażdżącym uderzeniu w chwili gdy stał u szczytu siły, swego historycznego celu. Rozwiązaniem był Plan Barbarossa: napoleońskie uderzenie na jednym froncie, co nie było otwarciem dwóch prawdziwych frontów wojennych. Bezstronni historycy wojskowości w przyszłości nigdy nie obciążą go winą za zwrócenie się na wschód. Od samego początku ryzykował i miał do czynienia z silniejszymi przeciwnikami a w Rosji stracił okazję, jaką dawało starannie skalkulowane

ryzyko. Stracił ją dzięki kombinacji błędów operacyjnych; pecha i wypadku historycznego, że jego przeciwnikiem był bezwzględny i cierpliwy geniusz tego samego kalibru - F. Roosevelt.

Rola Roosevelta

Głównym problemem Roosevelta w 1941 roku było wygranie na czasie. Grał z pozycji chwilowej słabości z przeciwnikiem, grającym z pozycji największej siły. Słabość amerykańskiego prezydenta była zarówno wewnętrzna, jak zewnętrzna. Gdy naród niemiecki był zjednoczony przy swym przywódcy, amerykański, zdezorientowany i zapędzony w kozi róg przez wyniosłą i zdradziecką osobowość Roosevelta, był podzielony. Gdy Hitler dysponował największymi siłami zbrojnymi na ziemi, stojącymi u szczytu potęgi i zdolności bojowej, Roosevelt nie miał armii lądowej, nie miał lotnictwa, a marynarkę wojenną rozproszoną i źle wyszkoloną. Jak więc amerykański prezydent mógł wywrzeć jakikolwiek wpływ na sytuację?

A przecież dokonał tego. Dobrze znał podstępny bezsilnego, sam zdobywszy urząd prezydenta w wózku inwalidzkim.

Pierwszą rzeczą, jakiej musiał dokonać, było umocnienie Churchilla. Tylko Churchill, awanturniczy wojskowy dyletant z obsesyjną nienawiścią wobec Hitlera, mógł utrzymać Anglię w stanie wojny. Churchill wspaniale się bawił udając generała i admirała, co sam przyznał w swoich pamiętnikach. Ale pod jego kierownictwem Imperium Brytyjskie rozpadało się na szczątki. Jediną szansą jego uratowania było pozbycie się pompatycznego i gadatliwego premiera i wybranie na jego miejsce odpowiedzialnego polityka, który by zawarł pokój z Niemcami. Gdyby to nastąpiło, nie można przewidzieć, jakby obecnie wyglądała mapa świata, ale różowe obszary Imperium Brytyjskiego nadal rozciągałyby się na całą kulę ziemską. Churchilla zachowało u władzy mistrzowskie posunięcie Roosevelta: Lend-Lease. W roku 1941 Amerykanie wysyłali Brytyjczykom beznadziejnie mało. Ale Lend-Lease dało temu dzielnemu choć pobitemu narodowi nadzieję, a wojny wygrywa się dzięki nadziei.

Nadzieja była także głównym towarem, jaki w 1941 roku Roosevelt wysyłał do Związku Sowieckiego, chociaż strumyczek zaopatrzenia zaczął się sączyć już w listopadzie i grudniu. Stalin wiedział jak gigantyczny jest potencjał przemysłowy Ameryki. Ta wiedza i obietnica pomocy ze strony Roosevelta umocniły jego wolę walki. Czuł, że chociaż prezydent nigdy nie poświęci amerykańskiej krwi dla ratowania Rosji, przyśle zapewne wszelkiego rodzaju uzbrojenie, aby słowiańska odwaga i zdolność do poświęceń walczyły w amerykańskiej bitwie o hegemonię światową.

Decyzja konwojowania

Subtelna i zapierająca dech w piersi zdolność Roosevelta prowadzenia na skalę

światową podstępnych gier nigdy nie ujawniła się bardziej, niż w jego postępowaniu w kwestii konwojów atlantyckich.

W maju 1941 roku większość Amerykanów odnosiła się do wojny europejskiej obojętnie. Najrozsądniejsi (udzie byli przeciwni mieszaniu się do niej. Rooseveltowi udało się wymyślić dla nich niemiłe przezwisko: „izolacjoniści”. Ale w bliskich mu kołach pochlebcy bez przerwy go ponaglali, by rozpoczął konwojowanie amerykańskich statków do Anglii. Istotnie, niewiele sensu miało ładowanie angielskich statków żywnością i bronią, jeśli miały one pójść na dno oceanu.

Roosevelt uparcie odmawiał konwojowania. Utrzymał już informacje wywiadowcze, że zbliża się atak na Rosję. Rzeczywiście wygląda na to, że wiedział o tym cały świat z wyjątkiem Stalina. Ostatnią sprawą jakiej by sobie życzył, było mieszanie się w wojnę w tej właśnie chwili. Konflikt niemiecko-sowiecki był sposobem nieuchronnym wyróżnienia ogromnych mas Niemców, a ta perspektywa była miła jego sercu.

Ale wybuch wojny na Atlantyku mógł wstrzymać wykonanie Planu Barbarossa. Aż do świtu 22 czerwca Hitler mógł odwołać swe rozkazy. Rozkaz zaś odstąpienia od wykonania Planu zostałby z wielką ulgą wykonany przez niemiecki Sztab Generalny.

Franklin Roosevelt rozumiał to, czego nie mogło pojąć aż nazbyt wielu współczesnych mu polityków: że ostatecznie nawet Hitler zależy od opinii publicznej. Naród niemiecki był przy nim zjednoczony i gotów na wszelkie poświęcenia, ale nie był przygotowany na zwykłe samobójstwo. Wiadomość o wojnie ze Stanami Zjednoczonymi mogła atak na Rosję zupełnie pozbawić ducha. Niemieckie społeczeństwo nie było świadome amerykańskiej słabości wojskowej. Pomimo goebbelsowskiej propagandy pamiętało tylko to, że wejście Ameryki do poprzedniej wojny było równoznaczne z klęską.

Roosevelt był gotów do wojny z Niemcami, namyślnie jej pragnął, ale nie wcześniej, niż uwikłamy się w ciężką walkę z gigantycznymi hordami Stalina. Pozostał więc przy własnym zdaniu, odsunął doradców i nadal wykrętnie odpowiadał na sondowanie przez prasę o sprawy konwojowania. Jediną jego możliwością, zagwarantowania wybuchu wojny między Niemcami i Rosją, było wstrzymanie się od decyzji w sprawie konwojowania. I to właśnie uczynił. Zadziwił i rozczarował wszystkich wokół siebie, z własną żoną włącznie. Ale osiągnął swój ponury cel 22 czerwca, gdy Hitler zwrócił się na wschód.

Komentarz tłumacza: Roon broni Planu Barbarossa w niespotykany gdzie indziej sposób. Większość niemieckich historyków wojny potępia Plan jako fatalne otwarcie drugiego frontu. Wydaje się, że albo Roon brał udział w zaplanowaniu tej operacji, albo też plan przedłożony przez Sztab Armii zgadzał się z jego własnym studium, dokonany w

OKW. Każdy człowiek przywiązany jest do własnych pomysłów, a w szczególności każdy wojskowy.

Wielu historyków wojskowości nie mówi z taką mocą o kluczowym znaczeniu pól naftowych w Ploeszti. Hitler rozpoczął planowanie ataku na Rosję już w lipcu 1940 roku. Pakt o nieagresji nie miał wówczas jeszcze roku, a Stalin drobiazgowo przestrzegał wysyłania do Niemiec ogromnych ilości materiałów wojennych z ropą włącznie. Poczynania Hitlera wyglądają nieco na działanie w złej wierze, oczywiście jeśli można mówić o dobrej wierze między dwoma największymi zbrodniarzami w dziejach świata. Zwykłym tłumaczeniem tych działań przez pisarzy niemieckich jest to, że zmasowanie wojsk wskazywało na podjęty przez Stalina zamiar zaatakowania, a Hitler jedynie go uprzedził. Ale większość niemieckich historyków przyznaje obecnie, że ugrupowanie rosyjskie było defensywne. Hitler zawsze uważał za główną wytyczną swej polityki atak na Rosję dla zdobycia „Lebensraumu”. Naturalnym więc było z jego punktu widzenia, że rozpoczął planowanie napadu w lipcu 1940 roku, gdy jego potężna armia lądowa osiągnęła maksimum siły i nie miała się gdzie zwrócić. Takie były główne aspekty sytuacji, a problem zaopatrzenia w ropę mógł być na tym tle jedynie szczegółem. Nie mniej analiza Roona rzuca światło na problemy Hitlera.

(V. H.)

45

22 czerwca 1941.

Aktorzy naszego dramatu są w tej chwili rozrzućeni po całej Ziemi. Ich sceną stała się planeta, obracająca się pod reflektorem słońca, oświetlającym tylko pół sceny naraz i nieustannie przesuwanym się ze wschodu na zachód.

Ledwie niebo zbladło przed świtem, a dziesiątki tysięcy niemieckich zegarków pokazały godzinę trzecią piętnaście rano, gdy sześćset mil na zachód od Moskwy niemieckie armaty zaczęły błyskać i grzmieć wzdłuż tysiącmilowej linii, od lodowatego Bałtyku po ciepłe Morze Czarne. W tym samym momencie armady niemieckich samolotów, które wystartowały nieco wcześniej, przekroczyły granice i zaczęły bombardować rosyjskie lotniska, setkami niszcząc samoloty na ziemi. Poranne gwiazdy jeszcze mrugały nad drogami, liniami kolejowymi i wonnymi polami, gdy kolumny pancerne i dywizje piechoty - niezliczone tłumy młodych, zdrowych Teutonów w hełmach i mundurach barwy feldgrau - zaczęły toczyć się i maszerować w stronę pomarańczowych smug na wschodnim niebie, przez płaskie polskie równiny, rozciągające się po Moskwę, Leningrad i Kijów.

Wkrótce po wschodzie słońca smutny i wstrząśnięty ambasador niemiecki w Moskwie oświadczył ministrowi spraw zagranicznych Mołotowowi, że ponieważ Rosja w oczywisty sposób szykuje się do ataku na Niemcy, wódz w swej mądrości wydał rozkaz Wehrmachtowi, by w akcie samoobrony uderzył pierwszy. Szara płaska twarz Mołotowa, jak nam powiedziano, wyrażała rzadko spotykane na niej uczucie: zaskoczenie. Historia zanotowała także, że Mołotow powiedział: - „Czy zasłużyliśmy na to?” Ambasador niemiecki po przekazaniu oświadczenia chyłkiem opuścił pokój. Przez całe życie pracował nad przywróceniem ducha Rapallo, niepodważalnego sojuszu między Rosją i Niemcami. Później Hitler kazał go rozstrzelać.

To, że Mołotowa zaskoczyła inwazja, nie było czymś wyjątkowym. Zaskoczony był Stalin, ponieważ w Rosji liczyło się tylko jego słowo i opinia, zaskoczona została Armia Czerwona i cały naród. Atak odniósł bezprecedensowy sukces taktyczny, na skalę, do jakiej się nawet nie zbliżyły żadne działania wojenne przedtem ani potem. Trzy i pół miliona zbrojnych ludzi zaskoczyło cztery i pół miliona zbrojnych ludzi. Natomiast niespodziewany atak na Pearl Harbor w sześć miesięcy później, związał tylko po parę tysięcy ludzi po każdej ze stron.

Historycy komunistyczni używają faktów dla dowodzenia słuszności swych dogmatów. Skutkiem tego jest dobra propaganda, ale marne szanse dla zachowania świadectw historycznych. Fakty trudne do wpasowania w partyjne teorie mają tendencję do znikania bez śladu. Wiele świadectw tej najbardziej gigantycznej ze wszystkich wojen lądowych, którą Rosjanie nazywają „wieliką otczesztiennąją wojną - „wielką wojną ojczyźnianą” - (nie lubią bowiem terminu druga wojna światowa”) zapewne nigdy nie będzie poznanych. Historycy komunistyczni twierdzą, że wina za zlekceważenie informacji wywiadowczych obciąża Stalina i że z tego właśnie powodu zaskakujący atak niemiecki odniósł sukcesy. To niesłychanie uproszczony sposób widzenia zadziwiających wydarzeń. Ale, prawdę powiedziawszy, jest zgodny z faktami.

Światło słoneczne dotknęło czerwonych wież Kremla, widocznych z okien mieszkania Lesliego Slotę'a, i padło na otwarty list z Rzymu od Natalii Henry, leżący na biurku pod oknem.

Slotę bardzo późno poszedł do łóżka i spał nadal. Natalia przysłała mu radosną tyradę, bo Aaron Jastrow nagle otrzymał paszport! Ma go już w rękę i oboje szykują się do odpłynięcia fińskim parowcem na początku lipca; a podróż morską pozwoli jej wujkowi nawet na ocalenie znacznej części biblioteki. Nie wiedząc nic o tym, co Byron zrobił w Białym Domu, Natalia na wielu stronicach wylewnie dziękowała Slotę'owi. Wiadomość

zaskoczyła dyplomatę, bo we Włoszech miał uczucie, że natknął się na wyłożoną watą kamienną ścianę, która była specjalnością Departamentu Stanu. W swej odpowiedzi, która jeszcze nie ukończona leżała obok listu, w skromnej mierze przypisał sobie zasługę tego sukcesu, następnie długo wyjaśniał, dlaczego jest zdania, iż krążące pogłoski o zbliżającym się ataku na Rosję są fałszywym alarmem, i dlaczego jest pewien, że jeśli przypadkiem atak taki nastąpi, Armia Czerwona zmiażdży Niemców. Poszukując uprzejmych słów na temat ciąży Natalii, dał spokój pisaniu i poszedł do łóżka. W chwili gdy zadzwonił budzik, jego list był już nieaktualny, ale Slotę o tym nie wiedział.

Wyglądając przez okno ujrzał zwykły poranny widok Moskwy: zamglone niebieskie niebo, mężczyźni w cyklistówkach i młode kobiety w chustkach idące do pracy, przepełniony, zardzewiały autobus z trudem wspinający się na pagórek, stare kobiety stojące w kolejce przed mleczarnią, jeszcze więcej starych kobiet w ogonku po chleb. Potężny, masywny i cichy Kreml majaczył za rzeką, z ciemnoczerwonymi ścianami w porannym słońcu i błyszczącymi na wieżach soborów licznymi złotymi kopułami. Nie było alarmów lotniczych. Jak dotąd nie odezwały się megafony ani wiadomości radiowe. Była to scena pełna ciszy i spokoju. Stalin i Mołotow wstrzymali się jeszcze z poinformowaniem narodu, który przywiedli do katastrofy, o niespodziance. Ale na froncie kilka milionów czerwonoarmistów już w niej uczestniczyło i starało się odzyskać przytomność, zanim Niemcy wszystkich ich powybijają.

Nieświadomy tego Slotę z lekkim sercem udał się do ambasady, mając nadzieję, że tej spokojnej niedzieli pozbędzie się części zaległej roboty. Okazało się, że gmach pogrążony jest w całkiem nieświętecznym zamęciu i tam właśnie Leslie dowiedział się ze ściśniętym sercem, że Niemcy raz jeszcze nadchodzą.

Wschód słońca przesunął się w kierunku Mińska. Pierwsze jego promienie, świecąc wzdłuż szerokiej, cichej ulicy, padły na gładko wygolonego robotnika w cyklistówce i luźnym, wytartym ubraniu, całym upudrowanym mąką. Gdyby ulicą tą szła Natalia Henry, zapewne nie poznałaby swego krewnego Berela Jastrowa. Gdy zgoilił brodę, jego szeroka, płaska słowiańska twarz z perkatym chłopskim nosem nadała mu wraz z tandetnym odzieniem nieokreślenie wschodnioeuropejski wygląd. Mógł być Polakiem, Węgrem czy Rosjaninem, a znał te trzy języki dość dobrze, by uchodzić za któregokolwiek z nich. Choć Berel liczył już ponad pięćdziesiąt lat, zawsze chodził szybko, a tego ranka jeszcze bardziej się spieszył. Przez niemiecki odbiornik krótkofalowy, który trzymał w piekarni ukryty za workami z mąką, usłyszał z Berlina przemówienie doktora Goebbelsa oznajmiające o ataku, zaś w oddali, zaraz po ukończeniu pracy, usłyszał znajomy dźwięk: stękanie wybuchających

bomb. Był zaniepokojony, ale nie przestraszony.

Gdy Natalia Henry spotkała po raz pierwszy Berela, był pobożnym i zamożnym kupcem, szczęśliwym ojcem pana młodego. Ale Berel miał i inne oblicza. W poprzedniej wojnie służył w armii austriackiej na froncie wschodnim. Został wzięty do niewoli przez Rosjan, uciekł z obozu jeńców i przez lasy przedostał się z powrotem do armii austriackiej. W zamęcie tysiąc dziewięćset szesnastego wylądował w mieszanej jednostce niemiecko-austriackiej. W czasie służby wojskowej wcześniej nauczył się gotować i piec, aby uniknąć nieczystego jedzenia. Przez całe miesiące żył chlebem, pieczonymi kartoflami lub gotowaną kapustą, równocześnie gotując smakowite zupy i gulasze, których nawet nie tknął. Znał życie wojskowe, umiał przeżyć w lesie i wiedział, jak sobie dawać radę z Niemcami, Rosjanami i przedstawicielami tuzina mniejszych naddunajskich narodów. Dla Berela Jastrowa antysemityzm był normalnym stanem rzeczy. Nie przerażał go bardziej niż wojna i wiedział z praktyki, jak sobie radzić z jednym i drugim.

Zawrócił z głównej, brukowanej ulicy i krętą drogą, przez ziemne uliczki i zaułki wśród parterowych, drewnianych domków przedostał się na podwórze, gdzie w błocie gdakały kury i rozchodziły się zapachy przygotowywanych śniadań, palącego się drzewa i wiejskiego obejścia.

- Wcześniej dziś skończyłeś robotę - zauważyła jego synowa. Stała przy kuchni, gdzie płonął ogień z drewnianych szczap, jedną ręką mieszając w garnku, a drugą trzymając płaczące dziecko. Była znów w zaawansowanej ciąży. Z chustką na przystrzyżonych włosach, z wychudzoną i rozzłoszczoną twarzą, wyglądała o piętnaście lat starzej od panny młodej, którą była półtora roku temu. Jej mąż, ubrany w serdak z kozuszką, z jarmułką na głowie, mamrotał w kącie nad podniszczonym tomem Talmudu. On też nie nosił już brody, a włosy nosił krótko obcięte. Trzy łóżka, jeden stół, trzy krzesła i kołyska wystarczyły, by wypełnić niewielki przegrzany pokój. Mieszkali w nim we czworo. Zimą tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku żona i córka Berela zmarły na tyfus płamisty, którego plaga dotknęła zbombardowaną Warszawę. W tym okresie Niemcy jeszcze nie posunęli się do tego, by zamknąć Żydów za murami. Berel więc, używszy znacznej części odłożonych pieniędzy na łapówki, wykupił z miasta siebie, syna i synową, po czym we troje dołączyli do strumyczka uciekinierów, dążących bocznymi drogami na wschód, do Związku Sowieckiego. Rosjanie przyjmowali i traktowali ich lepiej niż Niemcy, chociaż większość z przybyłych musiała udać się do odległych obozów za Uralem. Z resztką rodziny Berel Jastrow przedostał się do Mińska, gdzie mieszkali jacyś jego krewni. Niemal wszyscy piekarze w tym mieście zostali zmobilizowani do wojska, Berelowi biuro do spraw cudzoziemców pozwoliło więc

pozostać na miejscu.

- Wróciłem tak wcześnie do domu, ponieważ Niemcy znowu nadchodzą. - Biorąc kubek herbaty z rąk synowej, Berel padł na krzesło i uśmiechnął się smutno na widok jej przerażonej miny. - Czy nie słyszałaś bombardowania?

- Bombardowania? Jakiego bombardowania? - Syn Berela zamknął książkę i spojrzał na ojca z lękiem na bladej, wychudzonej twarzy. - Nic nie słyszeliśmy. Mówisz, że teraz walczą z Rosjanami?

- Właśnie zaczęli. Słyszałem w radiu. Musieli zrzucić bomby z samolotów. Sądzę, że Niemcy bombardują linię kolejową. Front jest bardzo daleko.

- Nie pobiją tak szybko Armii Czerwonej - powiedziała znużonym głosem kobieta, próbując uciszyć bijące ją piąstką dziecko.

Syn Berela wstał.

- Uciekajmy tak, jak stoimy.

- I dokąd mamy pójść? - spytał ojciec.

- Na wschód.

- Gdy raz zaczniemy uciekać, pewno nie będziemy mogli się zatrzymać wcześniej, jak na Syberii.

- Niech będzie i Syberia.

- Syberia! Boże Wszechmogący, Mendel, nie chcę jechać na Syberię - zawołała żona, poklepując rozkapryszone dziecko.

- Nie pamiętasz, jak Niemcy zachowywali się w Warszawie? - spytał Mendel. - To dzikie zwierzęta.

- To było tylko przez pierwsze tygodnie. Potem się uspokoili. Schodziliśmy im z drogi i było nam dobrze, prawda? - spokojnie odrzekł ojciec. - Proszę jeszcze herbaty. Wszyscy się spodziewali, że zostaną zamordowani. I co? Tyfus i zimno okazały się gorsze od Niemców.

- Zabili mnóstwo ludzi.

- Tych, którzy nie stosowali się do przepisów. Gdy masz do czynienia z Niemcami, musisz przestrzegać przepisów. I nie pchać się im przed oczy.

- Uciekajmy jeszcze dziś.

- Poczekajmy tydzień - odrzekł ojciec. - A może Armia Czerwona da im po pysku? Znam kierownika kas biletowych na dworcu. Jeśli będziemy chcieli wyruszyć, możemy to zrobić w ciągu paru godzin. Sybir jest daleko i to nie jest miejsce dla Żyda.

- Naprawdę nie uważasz, że powinniśmy wyruszyć dzisiaj? - spytał syn.

- Nie.

- Niech tak będzie - Mendel usiadł i otworzył książkę.
- Podano do stołu - powiedziała żona.
- Daj mi kubek herbaty - odrzekł mąż. - Nie jestem głodny. I proszę, zrób coś, żeby dziecko nie płakało.

Choć taki sprytny, Berel Jastrow zrobił poważny błąd. Skok niemieckiej armii zaprowadził ją bliżej Mińska, niż jakiegokolwiek innego radzieckiego miasta. Niemcy mieli w zanadru jeszcze jedną niespodziankę, przy której w opinii świata zbladła nawet inwazja na Rosję.

Kolumny żołnierzy pełzły jak długie, zielonoszare robaki po zielonych przestrzeniach okupowanej Polski w jasnym blasku porannym. Za posuwającymi się żołnierzami, daleko poza strefą, gdzie błyskała ogniem i dymiła kanonada, szły naprzód małe oddziały w innych mundurach i z innymi rozkazami. Zwane były „Einsatzgruppen” - Oddziały Specjalne, i były czymś bez precedensu w doświadczeniach rasy ludzkiej. Aby zrozumieć działania i miejsce przez nie zajmowane, trzeba najpierw pokrótce zdać sobie sprawę z przebiegu inwazji.

Na tym obszarze duża część kontynentu europejskiego wygląda jak zagłębiona, przesiąknięta wodą niecka podobna do bagien południowej Florydy, ale rozciągniętych na tysiące mil kwadratowych. Te ogromne moczary, zwane Bagnami Prypeci, zawsze były przeszkodą dla zachodnich najeźdźców Rosji. Musieli się posuwać na północ lub południe od nich. Generałowie Adolfa Hitlera, chcąc złamać państwo sowieckie jednym błyskawicznym ciosem w ciągu kilku letnich tygodni, uderzyli równocześnie na północy i południu od wielkich moczarów.

Ale Einsatzgruppen nie miały zadań wojskowych. Ich zadania dotyczyły Żydów. Od czasów Katarzyny Wielkiej Rosja zmuszała miliony swych obywateli pochodzenia żydowskiego do osiedlania się w „Pasie”, strefie przygranicznej na zachodzie, utworzonej z prowincji odebranych zbrojnie Polsce i Turcji. Rewolucja zlikwidowała „Pas”, ale większość Żydów, zbiedniałych i już przyzwyczajonych do owych miasteczek i wsi, pozostała na miejscu.

Przygraniczne linie obronne Armii Czerwonej od Bałtyku po Morze Czarne, pokrywały się dokładnie z terenami, na których mieszkała większość rosyjskich Żydów. Einsatzgruppen zaś były ruchomymi grupami katów, a rozkaz, jaki otrzymały, brzmiał: zabijać Żydów, bez ostrzeżenia i bez względu na wiek i płeć. Tych rozkazów nie wydano na piśmie. Nadeszły ustnie od Adolfa Hitlera, drogą przez Göringa i Heydricha do „Sicherheitsdienst” - „Służby Bezpieczeństwa”, stanowiącej niemiecką policję państwową, która zorganizowała te Oddziały. Otrzymały one także rozkaz dodatkowy: natychmiastowego

zabijania wszystkich komisarzy, czyli oficerów politycznych Armii Czerwonej. Ale te późniejsze rozkazy wydano na piśmie.

Ogółem istniały tylko cztery takie oddziały tak rozmieszczone, by podążały bezpośrednio za trzema gigantycznymi klinami niemieckiego ataku.

Grupa Armii „Południe”, złożona z Niemców i Rumunów, uderzyła na Ukrainę, na południe od bagien, by posuwać się wzdłuż Morza Czarnego na Krym. Za nią szły dwa Oddziały, ponieważ na tym terenie osiedla żydowskie były gęsto rozmieszczone.

Grupa Armii „Środek” posuwała się wzdłuż prostej linii, po drodze jaką obrał Napoleon: przez Mińsk, Smoleńsk, Wiaźmę, Borodino do Moskwy. Ten szlak, leżący na północ od wielkich błot, wycelowany jest jak strzała prosto w stolicę. Biegnie działem wodnym dwóch wielkich rzek, z których jedna płynie na północ, a druga na południe. Są to Dźwina i Dniepr. Wojskowi nazywają ją „suchą drogą” i przedkładają nad wszystkie inne. Za tym głównym, centralnym uderzeniem, posuwała się trzecia jednostka.

Grupa Armii „Północ” uderzyła wzdłuż Bałtyku na Leningrad i tuż za nią podążał czwarty Oddział.

W czterech jednostkach było około trzech tysięcy podróżujących katów, licząc oficerów i szeregowych. Zamierzali zabić od trzech do czterech milionów ludzi, co wynosiło ponad dziesięć tysięcy morderstw na każdego z nich. W oczywisty sposób zadanie było ponad siły, planowano więc, by rozpocząć tylko akcję, a następnie zwerbować do niej miejscowych antysemitów oraz niemieckich żołnierzy dla dopełnienia niesłychanych, makabrycznych, ale w pełni realnych zadań, jakie zostały postawione.

Do tych grup rekrutowano głównie niemieckich pracowników państwowych: policjantów, detektywów, drobnych urzędników i tym podobnych. Nie było wśród nich szaleńców ani kryminalistów. Oficerami byli przede wszystkim prawnicy, lekarze i biznesmeni, którzy z powodu wieku lub niezdolności fizycznej nie mogli służyć w wojsku. Wielu z nich miało wyższe wykształcenie, jeden był teologiem. Zarówno oficerowie, jak i szeregowi byli dobrymi Niemcami, z tych którzy nigdy nie przejeżdżali przez skrzyżowanie na czerwonym świetle, lubili opery i koncerty, czytali książki, nosili marynarki i krawaty, mieli żony i dzieci, w większości uczęszczali do kościołów i śpiewali hymny, a podczas weekendów pracowali w swych ogródkach. Zostali powołani do służby i otrzymali rozkaz, by zabijać ludzi. Powiedziano im, że Żydzi są wrogami Niemiec i że jedynym sposobem postępowania z nimi jest wybicie ich co do nogi, włącznie z niemowlętami i ich matkami. Dla Niemca najwyższą cnotą jest słuchanie rozkazów pochodzących z góry i jak najdokładniejsze wykonywanie ich.

Przez dziwny przypadek Żydzi, którzy już znajdowali się w rękach niemieckich na terenach leżących na zachód od frontu aż po Ocean Atlantycki, nie byli jeszcze zabijani masowo. Nie było nawet gotowego programu ich zabijania. Istnieje błędne mniemanie, że Niemcy zaczęli mordować Żydów natychmiast potem, jak Hitler doszedł do władzy w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku. To nieprawda. Niemcy rabowali Żydów, podobnie jak później rabowali wszystkie narody, które podbili, ale te wymuszenia były dokonywane pod pokrywką legalnych ustaw o wywłaszczeniu. Żydzi często bywali znieważani, niekiedy bici, niekiedy torturowani, niekiedy wreszcie zamęczani na śmierć lub zmuszani do zabijania się pracą. Ale do dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku istniało niewiele obozów koncentracyjnych, a większość więźniów należała do niemieckich przeciwników Hitlera. Istnienie obozów napędliało Żydów przerażeniem, ale przerażeni byli także Niemcy.

W czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku Żydzi europejscy żyli w niegodziwych warunkach i musieli oddawać resztki swej własności pod butem niemieckiego prawa. Ale żyli. „Pod każdym prawem można żyć” -jak napisano w niemieckojęzycznej żydowskiej gazecie.

Działo się więc tak, że właśnie w tym momencie Żyd był bezpieczniejszy za niemieckim frontem, niż przed nim. Na przykład Żydzi warszawscy zreorganizowali się zgodnie z drakońskimi niemieckimi przepisami. Chociaż praca nad siły, głód i choroby zbierały swoje żniwo, większości udawało się przeżyć. W tym właśnie zakresie Jastrowom lepiej by się powodziło, gdyby nie opuścili Warszawy.

Ale Berel Jastrow, choć przebiegły i doświadczony w życiu w warunkach antysemityzmu, nie przewidział istnienia Einsatzgruppen. Były czymś zupełnie nowym.

Rozkazy dla Einsatzgruppen wydał Adolf Hitler jeszcze w marcu, niezbyt więc je sobie przypominał dwudziestego drugiego czerwca. W pomieszczeniu dowodzenia śledził posuwanie się armii. Na długo jeszcze po wschodzie słońca oświetlenie było tam zimne i szare. Nie lubiąc blasku słońca Führer rozkazał, by jego główna kwatera na czas kampanii wschodniej, którą ochrzcił mianem „Wolfsschanze”, została zbudowana z oknami na północ. Do tego „Wilczego Gniazda”, zespołu betonowych bunkrów i drewnianych domków otoczonych drutem kolczastym, wieżami strażniczymi i polami minowymi, prowadziła jedna linia torów kolejowych przez puszcę Prus Wschodnich, niedaleko od punktu wyjściowego Grupy Armii „Północ”. Prawdę powiedziawszy „Wolfsschanze” dziwnie przypominało obóz koncentracyjny.

Ramię w ramię z generałem Jodlem stał jeden z najmłodszych wiekiem i nominacją

generałów niemieckich, Armin von Roon. Hitler nie lubił Roona i okazywał mu to szorstkim zachowaniem. Roon pochodził z arystokratycznej rodziny i mówił wytworną berlińską niemczyzną, ostro kontrastującą z potocznym i prymitywnym, bawarskim językiem Hitlera. Nosił też doskonale skrojony mundur, również stanowiący kontrast ze zbyt obszernym, workowatym mundurem żołnierskim Hitlera. I do tego wszystkiego Roon miał orli nos, odrobinę podobny do żydowskiego. Ale jako pułkownik w Oddziale Operacyjnym brał udział w trzech skomplikowanych grach wojennych, opartych na Planie Barbarossa. Miał niezwykłą pamięć, z dokładnością zegarka znał wyznaczone do osiągnięcia na każdą godzinę rubieże i na pamięć wiedział, jak wygląda każdy odcinek rozciągającego się na tysiące mil pola bitwy. Dla Roona Związek Sowiecki był czymś podobnym do mapy plastycznej, tyle tylko, że spektakularnie większej od używanych w grach wojennych. Jednostki wojskowe stanowili ludzie, a nie przesuwane chorągiewki z numerkami, ale zasady i scenariusz przynajmniej na początku były identyczne. (Podczas procesów norymberskich Roon zaprzeczał, jakoby wiedział o istnieniu Einsatzgruppen do chwili, gdy przedstawiono mu, kontrasygnowany przez niego w imieniu Oddziału Operacyjnego, rozkaz zabijania komisarzy. Wówczas przypomniał sobie o tym, ale utrzymywał, że nic nie wiedział o innych zadaniach Einsatzgruppen. Trybunał uznał to za wykręt, podobnie jak kilka innych punktów obrony Roona).

Aż do godziny trzeciej po wschodzie słońca Roon uchylał się od odpowiedzi na ostre, ponaglące pytania Führera o rozwój operacji. Wreszcie zaopiniował, że na północy sprawy mają się lepiej niż planowano, w centrum znacznie lepiej, gorzej natomiast na południu. Okazało się, że ocena ta ściśle odpowiadała rzeczywistości i od tej pory Hitler polubił orlonosego generała.

W taki więc sposób padły pierwsze karty w gigantycznej rozgrywce pokerowej. Hitler wraz ze swym sztabem przypuszczał, że Rosjanie skoncentrują największą masę wojsk w centrum, na północ od bagien Prypeci, by osłaniać stolicę. Ci natomiast, którzy zadysponowali rozmieszczenie sił rosyjskich, niezależnie od tego, czy pomysł należał do Stalina, czy do generałów, których posłuchał, zakładali, że główne uderzenie Niemców nastąpi na południu w celu uchwycenia terenów uprawnych Ukrainy i kaukaskich pól naftowych. Być może taka ocena wynikła z lektury Mein Kampf, w której to książce Hitler otwarcie przyznał, że zdobycie tych obszarów jest celem jego życia. W każdym razie główne siły obrońców znalazły się na południu od bagien. Dzięki temu linia frontu stała się niezrównowazona. Niemcy zostali opóźnieni na południu, natomiast w stronę Moskwy przebijali się z niespodziewaną łatwością. Na linii ich natarcia pierwszym wielkim miastem

był Mińsk.

Gdy słońce weszło nad Rzymem, Aaron Jastrow siedział już przy biurku, pracując w swym apartamencie w hotelu Excelsior. Książce o Konstantynie brakowało tylko czterech, może pięciu końcowych rozdziałów i doktor Jastrow był z tego powodu bardzo szczęśliwy. Jak co dzień, dokładnie o ósmej rano, ten sam co zawsze kelner przyniósł takie samo jak zawsze śniadanie. Jastrow je skończył i właśnie zamierzał znów zasiąść przy biurku, gdy z hałasem otworzyły się drzwi do sypialni i ciężkim krokiem weszła Natalia w różowym szlafroku kąpielowym. Cięża zniekształciła jej figurę, jej policzki i oczy zapadły się, co nadmiernie uwydatniło jej pełne usta.

- Boże mój, słyszałeś ostatnie wiadomości?

- Czy zdarzyło się coś dobrego?

- Zależy od punktu widzenia. Niemcy napadli na Rosję.

- Co? Jesteś pewna?

- Właśnie podano tę wiadomość w dzienniku radiowym o ósmej.

- Nie do wiary. - Jastrow zdjął szkła i przetarł je chustką do nosa. - Ale kiedy to się zaczęło?

- Dziś o świcie.

- Och, niesłychane. Łobuz z wąsikiem naprawdę przejął się swą rolą, co? Znowu wojna na dwa fronty?

Natalia podeszła do stoliczka na kółkach z resztkami śniadania.

- Czy kawa jest jeszcze gorąca?

- Tak, nalej sobie.

- Doktor powiedział, bym nic nie jadła ani nie piła przed badaniem, ale nie mogę się powstrzymać. Umieram z głodu. - Natalia zaczęła pożerać maślaną bułeczkę, popijając kawą.

- Lepiej zadzwoń do ambasadora.

- Też tak myślę. Ale Rosja jest daleko i co za różnicę może nam to zrobić? Myśl, że Hitler straci siły w Rosji jest naprawdę przyjemna. Cienie Napoleona, dajcie nam tę nadzieję.

- Jeśli Finlandia zostanie w to wciągnięta, „Vassa” nie odpłynie.

- Boże drogi, rzeczywiście. Masz całkowitą słuszność. Czy było coś o Finlandii?

- Nic nie słyszałam. - Opadłszy ciężko na krzesło, Natalia rozejrzała się po wielkim pokoju, umeblowanym brązowymi pluszowymi kanapami i fotelami, lustrami w złożonych ramach i rzeźbami z marmuru. - Boże, ten apartament jest deprymujący. Jakież to będzie wspaniałe, gdy go opuścimy.

- Moja droga, jest obszerny, a dostaliśmy go za cenę dwóch małych pokojów.

- Wiem, wiem, ale czemużby nie? Z wyjątkiem Niemców hotel świeci pustkami. Na ich widok dostaję dreszczy.

- Przypuszczam, że oni mieszkają we wszystkich hotelach.

- Niewątpliwie - odrzekła Natalia z ponurą miną. - Wczoraj w windzie rozpoznałam gestapowca. Byron i ja widzieliśmy go w Lizbonie. Wiem, że to ten sam. Ma na czole - pokazała palcem w powietrzu - dziwną szramę w kształcie litery „L”.

- To na pewno zbieg okoliczności. A czy on ciebie rozpoznał?

- Długo mi się przyglądał.

- Tym bym się nie przejmował. Ci ludzie żyją z przyglądania się. A propos, co ci wczoraj powiedział lekarz? Wszystko w porządku?

- O, tak - odrzekła niepewnie. - Po prostu chciał mnie jeszcze raz obejrzeć. Idę na chwilę do łóżka.

- Znowu do łóżka?

- Powiedział, abym jak najwięcej odpoczywała. Wizytę mam dopiero o dwunastej.

- No to w porządku. Mam właśnie rozdział prawie gotów do przepisania na czysto.

- Aaron... - Natalia zrobiła pauzę, zagryzając dolną wargę. - On życzy sobie, abym przez pewien czas nie pisała na maszynie. To zbyt męczy kręgosłup. Aż do chwili, gdy minie to zmęczenie.

- Rozumiem. - Jastrow westchnął i rozejrzał się po pokoju. - Zgadzam się, że nie jest tu bardzo wesoło. Gdy pomyślę, że mój śliczny dom stoi pustkami... Natalio, czy sądzisz, że ta sprawa z Rosją cokolwiek zmienia? To znaczy...

- Jezu Chryste, Aaron - warknęła Natalia wyjątkowo nieprzyjaznym tonem. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że mamy pozostać na tym samym kontynencie, co Niemcy?

- Moja droga... - Aaron Jastrow zrobił bardzo żydowski gest, polegający na opuszczeniu ramion z jednoczesnym wzniesieniem w górę obu rąk - ... nie okazuj mi niecierpliwości. Podczas poprzedniej wojny byłaś małym dzieckiem, ale dla mnie tak niewiele czasu upłynęło między obiema! To tylko dalsza jej część po zawieszeniu broni. No, a ile wtedy było gadania na temat Hunów nabijających belgijskie dzieci na bagnety i odcinających piersi zakonnicom! A ja wówczas spędziłem cały rok w Monachium w towarzystwie naprawdę wspaniałych ludzi. Są Niemcy i Niemcy... Dobry Boże, czy ja ci powiedziałem, że przyszedł list od Byrona?

- Gdzie? Gdzie?

- Przypuszczam, że kelner zostawił go w przedpokoju.

Natalia ciężkim krokiem wybiegła z pokoju, chwyciła białą kopertę, zabrała do

sympialni i z zapartym tchem, zaczęła czytać. Był to dość nudny list, z jedyną nowiną, że Byron został przeniesiony z S-45 na nowy okręt podwodny floty Pacyfiku, „Tuna”; a porucznik Aster otrzymał rozkaz przejścia na starszy, „Devilfish”. Ale list pełen był wyrazów miłości i tęsknoty, choć nader banalnych. Natalia rozebrała się, położyła do łóżka i chciwie czytała i znów od początku czytała stronicę listu, aż przestała rozumieć znaczenie poszczególnych zdań.

Włoski lekarz powiedział, że dwie czy trzy małe plamki krwi mogą być bez znaczenia, ale dla pewności, aby utrzymać dziecko, powinna odpoczywać. Natalia miała zamiar przeleżeć w łóżku następne dwa tygodnie.

Linia dzieląca noc od dnia prześliznęła się po Oceanie Atlantyckim, napotykając tam głównie puszyste chmurki i puste obszary pomarszczonej niebieskiej wody. Bardzo rzadko zaś plamki ułożone w porządne szeregi i jeszcze inne plamki, bezładnie rozrzucone. Uporządkowane plamki były konwojami; bezładnie rozrzucone niemieckimi okrętami podwodnymi próbującymi na nie zapolować oraz okrętami amerykańskimi, które starały się wykryć okręty niemieckie i ostrzec konwoje. Oświetlając i grzejąc bez wyboru myśliwych i zwierzęcą tego rozległego polowania, które uczestnicy nazwali „Bitwą o Atlantyk”, wschodzące słońce przesunęło się nad następny kontynent, zwany Nowym Światem.

Wkrótce okna w gmachu CBS w Nowym Jorku zapłonęły poranną czerwienią, ale w izolowanych jak grobowce studiach płonęło jak zawsze jedynie elektryczne światło. Pomimo wczesnej godziny na korytarzach i w pokojach redakcji informacji CBS wrzało jak w ulu. Hugh Cleveland, z okropnie zarośniętym podbródkiem, siedział przy swym starym biurku, bazgrząc w żółtym bloku i puszczając dym z długiego cygara. Choć godzina przeznaczona na występy amatorów stała się bardzo popularna, nie porzucił swego programu „Kto dziś w mieście?”. Chętnie powtarzał, że program informacyjny zapewni mu nadal chleb z masłem, gdy przeminie moda na amatorów. Z przenośnego radiodbiornika na biurku rozbrzmiewał donośny głos Winstona Churchilla:

„Nikt i nigdy nie był bardziej zdecydowanym przeciwnikiem komunizmu niż ja... Nie odwołuję ani słowa, które wypowiedziałem na ten temat. Ale wszystko to błędnie w obliczu spektaklu, który właśnie się rozgrywa... Widzę dziesięć tysięcy rosyjskich wiosek, gdzie śmieją się dziewczęta i bawią dzieci. I widzę zbliżający się ku nim cały ten ohydny napad... tępych, bezdusznych, posłusznych, zwierzęcych mas żołdactwa Hunów, sunących naprzód jak chmury pełną szarańczy...”

Zadzwoił telefon. Hugh próbował nie zwracać na to uwagi, ale w końcu chwycił słuchawkę i warknął:

- Do jasnej cholery, słucham Churchilla... Ach! Przepraszam, Chet. Posłuchaj, jeśli masz pod ręką radio, to je włącz. Fantastycznie facet gada. - Oparłszy się wygodnie plecami, Cleveland jednym uchem nasłuchiwał przemówienia, trzymając telefon przy drugim.

„Za tą furia, za tą nawałnicą widzę stojącą grupkę złoczyńców, którzy planują, organizują i wylewają na ludzkość ten potop okropności...”

- Chet, ależ oczywiście o tym pomyślałem. W tym samym momencie, gdy wiadomość nadeszła, wysłałem telegram do tutejszego konsulatu rosyjskiego. Bo oczywiście nie mogłem się tam dodzwonić. Jakaś godzinę temu nareszcie oddzwonili. Poszła do nich Madeline Henry i obiecali, że kogoś z nią do nas przyślą. Nie, nie wiem kogo, jeszcze nie. Do diabła, dziś rano nawet sprzątaczką z ich konsulatu to już by było coś!

„Czy możecie mieć wątpliwości, jaka będzie nasza polityka? Mamy przecież jeden cel i jedno nieodwołalne zadanie. Postanowiliśmy zniszczyć Hitlera i hitlerowski reżim bez śladu. Od tego zamiaru nic nas nie odwiedzie, nic... Każdy człowiek i każde państwo walczące przeciw nazizmowi otrzyma naszą pomoc. Każdy człowiek lub państwo idące z Hitlerem jest naszym wrogiem...”

Zagrożenie Rosji jest zagrożeniem naszego kraju i zagrożeniem Stanów Zjednoczonych...”

Madeline, rozplomieniona, z błyszczącymi oczami wpadła do redakcji, dziko machając rękami i robiąc miny do szefa.

- Zaczekaj, Chet, już wróciła. - Zakrywszy dłonią mikrofon, Cleveland spytał: - Jakie wyniki?

- Złapałam ambasadora. Jest w Nowym Jorku i złapałam go.

- Chryste Panie? Żartujesz? Ambasadora? Jak on się nazywa, Uskiński?

- Umański. - Gorączkowo kiwnęła głową. - Przyjedzie za dziesięć dziewięć. Konsul go przywiezie.

- Hej, Chet, poczekaj! Tej dziewczynie udało się złapać ambasadora Umańskiego. Przysięgam Bogu! Umańskiego! Słuchaj, muszę się przygotować na jego przyście. Oczywiście, oczywiście. Dziękuję. - Trzasnął słuchawką. - Jak ty robisz takie rzeczy, Madeline? Dlaczego on nie siedzi w Waszyngtonie? - Perorujący Churchill mówił coraz głośniej. Cleveland niecierpliwym ruchem wyłączył radio.

- Hugh, poprosiłam o przyjęcie przez konsula i powiedziałam takiej potężnej dziewczynie w recepcji, że jestem z programu „Kto dziś w mieście?” I to wystarczyło. W następnej chwili znalazłam się w wielkim pokoju biurowym, a z ogromnego portretu na ścianie przyglądał mi się Lenin i był tam ambasador Umański i powiedział, że weźmie udział

w programie. To miły człowiek, doskonale wychowany.

- Fantastyczne! Kapitalne! Proszę cię o rękę! - Cleveland spojrział na zegarek i przejechał dłonią po szpeciniastym policzku. - Chryste! Ambasador czerwonych we własnej osobie! Co za szczęście! - Zerwał się, chwycił dziewczynę w ramiona i gorąco ucałował.

Madeline oblana rumieńcem po szyję wyrwała mu się, spojrziała przez ramię na otwarte drzwi i wygładziła sukienkę.

- Madeline, jesteś cudo. A teraz posłuchaj. Ja się doprowadzę do porządku, a może ty przez ten czas naszkicujesz wstęp i parę pytań i przyniesiesz mi do garderoby?

Ambasador zjawił się punktualnie. Hugh Cleveland nigdy w życiu nie spotkał się z rosyjskim komunistą i zdumiało go, że Umański jest znakomicie ubrany, zachowuje się naturalnie i mówi gładką angielszczyzną. Konsul był jeszcze miłszy. Obaj Rosjanie bez cienia skrepowania usiedli koło mikrofonu.

- Panie ambasadorze, możliwość powitania pana tutaj w takiej historycznej chwili uważam za wyjątkowe wyróżnienie dla programu „Kto dziś w mieście?” i dla mnie samego...
- zaczął Cleveland i nie udało mu się dokończyć.

- Bardzo panu dziękuję. Ponieważ oba nasze kraje prowadzą obecnie wspólną walkę - przerwał mu Umański - z przyjemnością witam możliwość zapewnienia narodu amerykańskiego w pańskim popularnym programie „Kto dziś w mieście?”, że jesteśmy pełni ducha bojowego. Pozwoli pan, że przeczytam fragmenty przemówienia radiowego pana Mołotowa.

Ku zgrozie Clevelanda, którego żelazną regułą było wycinanie z programu przygotowanych oświadczeń, konsul wręczył ambasadorowi pisany na maszynie dokument.

- Ależ panie ambasadorze, jeśli wolno mi po prostu...

- Dziękuję panu. By nie tracić czasu skróciłem tekst, ale mamy tu ważne fragmenty tego, co dosłownie powiedział minister spraw zagranicznych Mołotow: - „Nie przedstawivszy Związkowi Radzieckiemu żadnych żądań, bez wypowiedzenia wojny, wojska niemieckie zaatakowały nasz kraj i zbombardowały z powietrza nasze miasta...”

Cleveland podniósł dłoń próbując zabrać głos, lecz ambasador bez chwili przerwy kontynuował: - „Ten niesłychany atak na nasz kraj stanowi perfidię bez precedensu w dziejach cywilizowanych narodów. Został dokonany pomimo istnienia między ZSRR i Niemcami paktu o nieagresji, którego rząd radziecki przestrzegał z najwyższą skrupulatnością...”

- Panie ambasadorze, co do tego paktu, jeśli mogę zadać tylko jedno...

- Przepraszam pana, będę kontynuował, a jeśli czas pozwoli, to również odbędziemy

dyskusję - odpowiedział pełen niezmaconego czaru Umański i powrócił do odczytywania zdań i akapitów wyraźnie podkreślonych czerwonym atramentem. Cleveland jeszcze dwukrotnie bezskutecznie próbował mu przerwać, co ambasador uprzejmie zignorował, aż doszedł do ostatnich linijek na ostatniej stronie:

- „Cała odpowiedzialność za ten rozbójniczy napad na Związek Radziecki spada na niemiecko-faszystowskich władców...

Rząd radziecki rozkazał naszym wojskom wypędzić niemieckie oddziały z terenu naszego kraju...

Nasza sprawa jest słuszna. Nieprzyjaciel zostanie pobity. Zwycięstwo będzie nasze”.

- Do tych wymownych słów - powiedział Umański - niewiele mam do dodania. Muszę powrócić do mych oficjalnych zajęć i dziękuję panu za stworzenie mi dzisiejszej możliwości.

Oddał maszynopis konsulowi, uśmiechnął się do Clevelanda i zrobił ruch, jakby chciał się podnieść z miejsca. Zdesperowanemu Clevelandowi udało się wtrącić:

- Panie ambasadorze, zdaję sobie sprawę, jak cenny jest pański czas w tej tragicznej godzinie. Nie będę pana zatrzymywał. Proszę mi powiedzieć tylko jedno: jaka będzie reakcja amerykańskich komunistów na te wydarzenia? Wie pan, że gwałtownie domagali się, byśmy zachowali neutralność. Walczyli zębami i pazurami przeciwko Lend-Lease. Czy teraz dokonają błyskawicznego zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni?

Umański z całym spokojem rozsiadł się na krześle.

- Jestem prawie pewien, że nie. Jak pan wie, klasa pracująca na całym świecie jest ze swej natury miłującą pokój. Na wojnie nie może niczego zyskać, natomiast wszystko stracić. Wojna zaczęła się jako walka między mocarstwami imperialistycznymi i dlatego robotnicy, jak na przykład wymieniona przez pana Amerykańska Partia Komunistyczna, przeciwstawiali się wojnie. Ale Związek Sowiecki nie ma imperium ani kolonii. Jest po prostu krajem chłopów i robotników, którzy pragną pokoju. Napadając na nas niemieccy faszyci odrzucili maskę i ujawnili się jako okrutny, wspólny wróg ludzkości. Naród amerykański także jest narodem miłującym pokój. Lud radziecki będzie liczył na jego poparcie w swej słusznej walce.

- Panie ambasadorze...

- W związku z tym - mówił Umański - historyczna brytyjska obietnica pełnego poparcia, którą pan Churchill właśnie nam złożył, będzie miała wpływ decydujący, ponieważ Winston Churchill słusznie jest podziwiany w Stanach Zjednoczonych za swój heroiczny opór przeciw hitleryzmowi. Do widzenia i dziękuję panu bardzo.

Wychodzącym ze studia Rosjanom towarzyszyła Madeline. Cleveland zaś, zupełnie

wytracony z równowagi, dodał:

- Usłyszeli państwo w programie „Kto dziś w mieście?” udzielony nam na prawach wyłączności pierwszy wywiad radiowy rosyjskiego ambasadora w Stanach Zjednoczonych, pana Konstantina Umańskiego, na temat niemieckiej inwazji na Związek Sowiecki. - Zmienił ton głosu z dramatycznego na gładki i wesoły. - No cóż, moi drodzy, skok od inwazji do zadziwiającego, nowego, ulepszonych „Fome-Brite” wydaje się duży, nieprawdaż? Ale życie toczy się dalej. Jeśli brud dokona inwazji na twoją kuchenkę, nowy ulepszony „Fome-Brite” jest nowoczesnym sposobem odparcia...

Wschód Słońca dotarłszy do Chicago stał się niewidzialny - miasto pogrążone było w straszliwej burzy. Przez potoki lejącego w półmroku deszczu Palmer Kirby jechał taksówką na tajne spotkanie Prezydenckiego Komitetu Uranowego, który wzywał na rozmowy inżynierów z całego kraju. Celem Komitetu było wyjaśnienie przy pomocy praktyków, którzy mieli z tym do czynienia, czy w przewidywanym okresie wojny, określonym jako cztery do pięciu lat, można wyprodukować tyle U-235, ile potrzeba dla zbudowania bomby atomowej lub atomowych elektrowni. Doktor Lawrence poprosił listownie Palmera, by przywiózł ze sobą sprawozdanie o możliwości zbudowania pewnych olbrzymich elektromagnesów. Kirby i Lawrence byli starymi przyjaciółmi; przez lata całe Palmer dostarczał nobliście specjalnie budowane wyposażenia do cyklotronu.

Domeną Palmera Kirby była strefa przejściowa, w której przemysł eksploatuje naukę. Zawsze mówił, że zajmuje się tylko robieniem pieniędzy, ale w związku ze swymi wczesnymi pracami w Kalifornijskim Instytucie Technologii miał też pewną pozycję w sferach naukowych. Kirby wiedział, do czego służą wielkie elektromagnesy. Miał zdecydowane poglądy na temat produkcji dla celów wojskowych. Uważał, że Niemcy są na tym polu znacznie zaawansowani. Napad na Rosję wydał mu się przerażającym potwierdzeniem tej opinii.

Zwykły uran wygląda jak nikiel. Jest aktywny chemicznie, ale w żaden sposób nie można go zmusić, by wybuchł. Jego osobliwa radioaktywność może spowodować zadymienie negatywu fotograficznego, w dotyku wydaje się ciepławy, a bardzo długi z nim kontakt może wywołać u człowieka lekkie oparzenia. Tak czy inaczej, w tym rozproszonym w świecie pierwiastku znajduje się maleńka domieszka substancji chemicznie identycznej, ale różniącej się budową atomu: wybuchowego izotopu U-235. Dziś wiemy o nim wszystko, ale w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku naukowcy jedynie domyślali się, że bomba U-235 może wybuchnąć. To była tylko teoria. Pierwszym problemem do rozwiązania było sprawdzenie, czy kontrolowana reakcja łańcuchowa rozszczepiania uranu jest możliwa, czy

też jakiś nieznaną czynnik naturalny może ją zatrzymać. Drugim, jeśli odpowiedź na pierwszy brzmiała „tak”, zapewnienie dostatecznej ilości czystego U-235, by wypróbować czy wybucha. Trzecim zaś, jeśli i to się powiedzie, wyprodukowanie takiej ilości materiału, by zastraszyć świat. Kirby, usłyszawszy wiadomość o ataku Hitlera na Rosję, doszedł do wniosku, że Niemcy musieli z powodzeniem dokonać przynajmniej pierwszego kroku.

Patrząc z punktu widzenia swojej wąskiej specjalizacji uważał całą tę wojnę za wyścig między Niemcami i Amerykanami do wywołania eksplozji U-235. Wszystko inne: zatopienie statków przez okręty podwodne, kampanie lądowe, bitwy powietrzne - coraz bardziej wyglądały mu na bezcelowy rozlew krwi, nieistotne i przestarzałe gesty przed jedynym istotnym, wielkim odsłonięciem kart. Skok Hitlera na Rosję, otwarcie drugiego frontu i wyzwolenie Anglii od groźby bliskiego upadku, uznał za omyłkę szaleńca - chyba, że Niemcom udało się uzyskać kontrolowaną reakcję łańcuchową. Jeśli Hitler miał bomby uranowe lub mógł na nie liczyć za rok czy dwa, wynik wojny był przesądzony i Niemcy po prostu wyruszyli do Rosji na gigantyczną wyprawę po niewolników jako przygotowanie do przejęcia władzy na całej Ziemi.

Zgodnie z informacjami, jakimi dysponował Kirby, było to możliwe. To przecież Niemcy odkryli rozszczepianie uranu. W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku wydzielili cały Instytut Cesarza Wilhelma do badań nad wojskowym zastosowaniem odkrycia. Według doniesień wywiadowczych w podbitej Norwegii produkowali wielkie ilości ciężkiej wody, tego dziwnego związku z podwojonym jądrem wodorowym: jako spowalnicza neutronów przy rozszczepianiu uranu.

Stany Zjednoczone nie miały reaktorów atomowych, nie znały technologii ich budowy, nie dysponowały naukowcem, który byłby pewien, że można uzyskać reakcję łańcuchową. W całym kraju znajdowało się tylko czterdzieści funtów nadającego się do eksperymentów uranu; nie było zakładów do produkcji większych ilości zwykłego uranu, a cóż dopiero bardzo rzadkiego izotopu 235, który może zdolny byłby wybuchać. A na wszystkie zebrania Komitetu Uranowego i poufne rozmowy między naukowcami, rząd nie wydał jeszcze nawet stu tysięcy dolarów w gotówce. Kirby oceniał, że Niemcy, w swym potężnym wysiłku dla zdobycia imperium światowego, mogli byli do tej pory wydać na ten cel około miliarda dolarów.

Komitet Uranowy zasiadał w brudnym pokoju seminaryjnym, rozgrzanym i zadymionym pomimo otwartych okien i nieustającej burzy za nimi. Na małej zapyłonej tablicy wypisano elementarne wzory matematyczne z pierwszego roku akademickiego. Z wyjątkiem dwóch umundurowanych wojskowych: pułkownika armii lądowej i kapitana

marynarki, Kirby znał wszystkich uczestników spotkania. Naukowcy siedzieli w koszulach, niektórzy zdjęli krawaty i podwinęli mankiety. Wciąż jeszcze przewodniczył komitetowi dyrektor Państwowego Biura Normalizacji, Lyman Briggs, co tym bardziej przygnębiło Kirby'ego. Briggs był miłym szpakowatym biurokratą, dla którego wydatek tysiąca dolarów z państwowych pieniędzy był niesłychaną kwotą. On jeden był w marynarce i krawacie.

Doktor Lawrence przyjacielsko pomachał Palmerowi ręką i zwrócił się do siedzących przy nim wojskowych:

- To jest doktor Kirby, prezes Zakładów Elektrycznych Denver... A to pułkownik Thomas i kapitan Kelleher.

Kirby rozdał egzemplarze powielonego dokumentu i odczytał na głos, robiąc czasami przerwy z powodu trzasku piorunów. Członkowie komitetu wysłuchali go z napiętą uwagą; wszyscy z wyjątkiem kapitana Kellehera, łysego nałogowego palacza z podwójnym podbródkiem, przygarbionego, ze wzrokiem zwróconym wprost przed siebie, a od czasu do czasu drapiącego się przez swój granatowo-złoty mundur w jedno i to samo miejsce na piersiach. Pułkownik armii lądowej, mały człowieczek o wyglądzie intelektualisty, dotknięty ciężkim kaszlem, bez przerwy zajadał pastylki z kartonowego pudełeczka, równocześnie robiąc na marginesie sprawozdania Kirby'ego stenograficzne notatki.

Kirby odpowiadał na pytania, które Lawrence postawił mu listownie: czy jest w stanie wyprodukować gigantyczne elektromagnesy, a jeśli tak, jakim przewidywanym kosztem i w jakim czasie? Pomysł Lawrence'a forsowany przez niego z niezwykłą siłą i przekonaniem, w sposób powodujący, że inni naukowcy kochali go lub nienawidzili, opierał się na produkowaniu uranu 235 przez separację strumienia zjonizowanych molekuł uranu w polu magnetycznym - metodą, którą Kirby niegdyś opisał Victorowi. Istniało już odpowiednie do tego celu urządzenie laboratoryjne: spektrograf masowy, który działał na tej właśnie zasadzie. Lawrence chciał, by produkowano gigantyczne spektrografy masowe dla uzyskiwania uranu 235 w ilościach dostatecznych dla celów wojskowych. Wszystko to wymagało, poza wielu innymi rzeczami, monstrualnych elektromagnesów, zdolnych do utrzymywania niezmiennego pola. Najmniejsze zakłócenie wielkości napięcia zniszczyłoby nieskończenie małą różnicę dróg przepływu molekuł U-238 i U-235, a od niej właśnie zależał cały pomysł.

Gdy Kirby wymienił wykonalny termin dostarczenia pierwszych magnesów oraz przybliżoną cenę, członkowie komitetu zaczęli spoglądać po sobie. Zakończył swoje wystąpienie zastrzeżeniem, że wykonanie zamówienia wymagałoby zapewnienia na zasadzie absolutnego pierwszeństwa potrzebnych surowców, i usiadł. Lawrence, patrząc na niego przez okrągłe okulary, promieniał z radości.

- To dość zachęcające - powiedział łagodnym tonem Lyman Briggs, przebijając palcami po krawacie. - Oczywiście liczby dotyczące ceny należą do zakresu czystej fantazji.

- Doktorze Kirby - przerwał mu kapitan marynarki - mieliśmy na ten sam temat sprawozdanie od ludzi z „General Electric” i z „Westinghouse”. Żądają dwa razy tyle czasu, dwa razy więcej pieniędzy, zaś charakterystykę działania urządzenia podają znacznie gorszą.

Palmer Kirby wzruszył ramionami.

- To bardzo możliwe.

- Dlaczego więc mielibyśmy co do możliwości tej budowy uwierzyć na słowo panu, a nie im? - zapytał ochryple pułkownik Thomas, wytrząsając z pudełka kolejną pastylkę.

- Pułkowniku - odpowiedział Kirby - kiedyś pracowałem u „Westinghousa”. Tam produkuje się wszystko, co działa na prąd. Ja robię urządzenia tylko na zamówienie, a specjalizuję się w elektromagnesach. To wąska specjalizacja, ale ona należy do mnie. W jednym z jej zakresów Niemcy znacznie nas wyprzedzili. Pojechałem do Niemiec, przestudiowałem jakimi dysponują komponentami i zamówiłem ich rdzenie z niklostopu. „Westinghous” i „General Electric” nie znają tego zakresu techniki tak jak ja. I nie muszą. Dla zadań specjalnych z zakresu elektromagnetyki moje produkty są lepsze niż ich. Przynajmniej ja tak twierdzę i gotów jestem złożyć ofertę na tych warunkach.

Gdy Palmer Kirby wspomniał o Niemczech, przy stole znów wymieniono spojrzenia. Kapitan marynarki odezwał się poirytowanym głosem:

- Czy Niemcy nadal nas wyprzedzają?

- W jakim zakresie, sir?

- W każdym. A nie owijając sprawy w bawelnę, w zakresie budowy tej bomby.

- Chyba pewność siebie, jaką okazują, nie jest bardzo zachęcająca - Kirby pyknął z fajki.

- Zgadzam się. W takim razie czemu nie bierzemy się do roboty? Jedyne czym ten komitet się zajmuje, to gadanina. - Kelleher wyprostował się na krześle. - Nie jestem naukowcem i nie mogę powiedzieć, bym umiał ocenić wartość tych futurystycznych broni. Ale na Boga, jeśli coś w nich jest, to najwyższy czas się nimi zająć. Udajmy się wprost do prezydenta i podnieśmy wrzask, że potrzeba pieniędzy i działania. Mogę zapewnić, że Marynarka Wojenna poprze tutaj komitet.

Podniósłszy w przerażeniu szczupłą dłoń, Briggs powiedział:

- Kapitanie, prezydent ma na głowie znacznie pilniejsze sprawy, wymagające pieniędzy i działania.

- Nie zgadzam się - oświadczył Thomas. - Pilniejsze od tych bomb?

- To wszystko jest czysta teoria, pułkowniku - sprzeciwił się Briggs - odległa o całe lata od jakiegokolwiek praktycznego wyniku.

Kapitan Kelleher walnął dłonią w stół.

- Słuchajcie, pozwólcie mi postawić całkiem głupie pytanie. O czym tu Kirby opowiada? Czy idzie o metodę dyfuzyjną czy spektrograficzną? Być może powinienem o tym wiedzieć, ale nie wiem.

- O spektrograficzną - odrzekł ojcowskim tonem Lawrence.

- W porządku. To w takim razie czemu nie stawiamy wszystkiego na nią? Pan ma Nagrodę Nobla. Czemu nie wysyła pan do prezydenta gorącej jak wszyscy diabli notatki, sformułowanej w zwykłym języku, który mógłby zrozumieć? Czemu się pan wdaje w gadaninę o innych możliwych podejściach?

- Dlatego, że jeżeli pomylimy się co do wstępnego podejścia - łagodnym tonem wtrącił naukowiec - możemy stracić kilka lat.

Kirby nie mógł się powstrzymać, by nie powiedzieć:

- I przegrać z Niemcami cały wyścig.

W dyskusji nastąpiła pauza. Przez chwilę słychać było tylko głucho bębnienie kropli deszczu. Wreszcie odezwał się Briggs:

- A więc! Wszystko to, jak mawia prezydent, opiera się na gdybaniu. Pewne jest tylko, że w tej sprawie nie możemy postąpić pochopnie. W każdym razie - zwrócił się z miłym uśmiechem do Kirby'ego - nie sądzę, byśmy musieli jeszcze pana zatrzymywać. Pańskie sprawozdanie było nam bardzo użyteczne. Dziękuję bardzo.

Zbierając swoje papiery Kirby spytał:

- Będziecie mnie jeszcze potrzebować, czy mogę wracać do Denver?

- Nie odjeżdżaj, Fred - powiedział Lawrence.

- Zgoda. Będę u Stevensa.

Resztę przedpołudnia Kirby spędził w apartamencie hotelowym, słuchając dzienników radiowych i komunikatów nadzwyczajnych na temat inwazji na Rosję, i z każdą chwilą wpadając w coraz gorszy nastrój. Nieustający deszcz z pojawiającymi się co pewien czas błyskawicami i odgłosem gromów jeszcze to pogłębiał. Od dawna nie brał do ust alkoholu przed lunchem, ale tym razem zamówił butelkę szkockiej i opróżnił ją prawie w jednej trzeciej, gdy zgłosił się w świetnym humorze Lawrence.

- Fred, byłeś wspaniały. Myślałem, że uda nam się zjeść razem lunch, ale komitet właśnie posłał po kawę i kanapki i pracujemy bez przerwy dalej. Tymczasem coś się wydarzyło. Masz wolną chwilę?

- Siedzę w hotelu i tylko słucham, jak Cbs informuje o końcu świata.

- Końca świata nie będzie - zaśmiał się Lawrence. - Przegonimy Niemców w wyścigu do U-235, a to jest klucz do wygrania tej wojny. Mają znacznie słabszy przemysł niż my. Ale komitet oczywiście musi zmienić tryb postępowania. Procedura jest niewiarygodnie niezdarna. Choćby ta ostatnia sprawa. Nie do wytrzymania! Dla zachowania tajemnicy każde spotkanie osobno, a w rezultacie jesteśmy całymi dniami zajęci! Potrzebny jest nam jeden dobrze zorientowany człowiek do stałej łączności ze światem biznesu i przemysłem, i to potrzebny od zaraz. - Lawrence zrobił pauzę i wreszcie dodał: - Właśnie mówiliśmy o tobie.

- O mnie? Nie, dziękuję.

- Fred, jesteś inżynierem, znasz się na biznesie i masz wystarczające pojęcie o teorii. To bardzo pożądana kombinacja i bardzo rzadka. Niestety, w tej chwili nie ma nic ważniejszego na świecie od tego zajęcia i ty o tym wiesz.

- Ale na rany, dla kogo bym pracował? I komu podlegał? Tylko, na litość boską, nie Państwowemu Biuru Normalizacyjnemu!

- Sprawa do omówienia. Dla zachowania tajemnicy możesz zostać po prostu zaangażowany jako doradca Marynarki Wojennej. Kapitan Kelleher strasznie się pali, abyśmy już brali się do roboty. To mnie bardzo śmieszy. Parę lat temu Fermi zgłosił się do Marynarki z zarysem tego całego planu. Spławili go jako pomyłeńca. Marynarka spławiła Enrica Fermiego! No więc, Fred? Angażujesz się?

Po namyśle Kirby spytał:

- Gdzie byłoby moje miejsce pracy?

- To musi być Waszyngton. - Kirby milczał tak długo, że Lawrence dodał: - Nie podoba ci się Waszyngton?

- Tego nie powiedziałem, ale jeśli chcesz, bym ci zbudował te elektromagnesy...

- Dopiero za rok, nawet zakładając, że nasze podejście do problemu zostanie zatwierdzone i kredyty przyznane. A to musi być zrobione już dziś. Więc co powiesz?

To był cały Lawrence, tak dobrze znany Kirby'emu: natarczywy i władczy. Palmer uważał, że fizyk jest prawdopodobnie najgenialniejszym w tej chwili człowiekiem na Ziemi. Sam był o kilka lat starszy od noblisty. Jeśli zrezygnował z czysto naukowej kariery, nastąpiło to głównie pod wpływem spotkań z Lawrencem i paru innymi ludźmi znacznie od Palmera młodszymi, ale inteligentnymi w stopniu, jaki uznał dla siebie za niedostępny. Dlatego po uzyskaniu doktoratu filozofii przeszedł do przemysłu, by nie stykać się więcej z ludźmi, którzy wpędzali go w kompleks niższości błyskotliwością swych umysłów. Głównie dlatego żądanie Lawrence'a, by przyjął zadanie takiej wagi, było nie do odrzucenia.

- Mam w Bogu nadzieję - oświadczył - że nikt mi nie zaproponuje tej posady. Ale jeśli to nastąpi, przyjmę.

Gdy słońce wstało nad San Francisco, linia między dniem i nocą okrążyła już połowę Ziemi, a napad na Związek Sowiecki trwał od pół dnia. Poległo masę ludzi, w większości Rosjan, a rosyjskie lotnictwo utraciło setki, a może nawet więcej niż setki samolotów. Klęska była takich rozmiarów, że nie udało się spisać jej pełnej dokumentacji.

W klubie oficerskim w Bazie US Navy Mare Island, przy jasno oświetlonym stole koło okna, kilku dowódców okrętów podwodnych rozmawiało o inwazji przy jajkach na szynce. Nie spierano się o prawdopodobny wynik. Wszyscy zgodzili się, że Związek Sowiecki zostanie zmiażdżony; niektórzy dawali Armii Czerwonej sześć tygodni istnienia, inni przewidywali koniec za trzy tygodnie, a nawet dziesięć dni. Nie była to garstka ludzi ograniczonych umysłowo czy uprzedzonych wobec Rosji; punkt widzenia tych młodych, zawodowych oficerów podzielano w siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych do samej góry. Żalose przedstawienie, jakie dała Armia Czerwona w wojnie fińskiej, potwierdziło opinię, że tak komunizm, jak czystki stalinowskie sprowadziły Rosję na poziom kraju bezsilnego militarnie. W czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku plany wojenne Ameryki w ogóle nie brały pod uwagę tego państwa w strategii globalnej. Podwodniacy na Mare Island, spokojnie plotkujący przy śniadaniu o postępach masakry po drugiej stronie kuli ziemskiej, wyrażali tylko to, w co wierzyły całe siły zbrojne.

Przedmiotem dyskusji było przede wszystkim to, czy Japończycy uderzą teraz, czy nie, a jeśli tak, to gdzie. Młodzi komandorzy-porucznicy skłonni byli przyznawać, że tak długo, jak prezydent trwać będzie przy, samobójczej skądinąd, polityce sprzedawania Japończykom amerykańskiej ropy naftowej i złomu żelaznego, Żółtki zapewne się nie ruszą. Ta jednomyślność trwała do chwili, gdy zabrał głos Branch Hoban z „Devilfish”.

Był to najbardziej wpływowy dowódca w całej eskadrze, o prestiżu bliskim fascynacji. Był oficerem tak sprawnym, że kolegów przechodziły zimne dreszcze. Wysoko oceniano go już w Akademii. Hoban świetnie grał w brydża, doskonale w golfa, mógł wypić dowolną ilość alkoholu bez widocznych skutków, miał piękną żonę, sam wyglądał jak okładkowy portret marynarza - w sumie wszystko to składało się na obraz tak doskonały, że aż podejrzany. Lecz nie była to pusta fasada, za nią stały osiągnięcia. Pod jego dowództwem „Devilfish” trzykrotnie zdobył najwyższe oceny w zakresie umiejętności prowadzenia ognia oraz sprawności maszynowej. Podczas majowych manewrów floty Hoban prześliznął się przez osłonę niszczycieli i „zatopił” pancernik. Jasne było, że wkrótce otrzyma stopień admirałski. Gdy komandor-porucznik Hoban mówił, inni słuchali.

Branch uważał, że sytuacja światowa podobna jest do meczu futbolu amerykańskiego, i że w Azji rosyjska Armia Syberyjska była obrońcą, stojącym naprzeciw Japonii. Swym ostatnim posunięciem Hitler zmusił rosyjskiego gracza do przesunięcia się na drugie skrzydło w charakterze ostatniej rezerwy Stalina. To była wielka okazja dla Japończyków. Żółtki miały teraz wolne pole, by przetrzucić piłkę z Chin na południe: do Singapuru, na Celebes i Jawę, robiąc tam porządek z bogatymi europejskimi koloniami. Jeśli ruszą się dość szybko, mogą strzelić tego gola nim Stany Zjednoczone zbiorą siły, by się wmieszać. Hoban przerwał jednak rozbudowywanie tej ulubionej przez wojskowych metafory i wstał od stołu na widok swego pierwszego oficera, kiwającego ręką od drzwi.

Porucznik Aster wręczył mu telegram od Dowódcy Okrętów Podwodnych Pacyfiku: remont kapitalny Devilfish odwołany wyjątek naprawy istotne gotowości bojowej x meldować najszybciej możliwym terminie odpłynięcia do Manili.

- No co, powrót do bazy! - Hoban uśmiechnął się szeroko, ale z odrobinę wymuszonym zapalem. - Doskonale! A więc także i DoFloPa przewiduje początek meczu. Zaraz, dzisiaj mamy dwudziesty drugi, he? Trzeba jeszcze dopieścić ten kompresor i wyrzucić torped numer cztery. Jasne, że nie dostaniemy tego nowego generatora i wszystkie inne roboty muszą poczekać, aż dobijemy do Manili. Ale to jest okay. - Przyłożywszy telegram do ściany nakreślił na marginesie wyraźnym charakterem pisma: „Odpływamy dwudziestego czwartego 0700” i wręczył blankiet Asterowi. - Wyślij to jako pilny meldunek operacyjny.

- Czy zdążymy, sir?

- Skieruj kopię do kapitana portu. Niech się pośpieszy jak diabli, by nas stąd wypchnąć.

- Rozkaz, sir. Brak nam jednego oficera. Podporucznik Bulotti poszedł na dwa tygodnie do szpitala.

- Jasna cholera. O tym właśnie zapomniałem. Cóż, odpłyniemy z czterema tylko oficerami. Wachty na okrągło nim dopłyniemy do Pearl, a tam postaramy się złowić nowego porucznika wśród tamtejszych podwodniaków.

- Kapitanie, zna pan kogoś w kadrach DoFloPa?

- Tak. Bo co?

- Czy wystarczająco, by ukraść podporucznika z nowo zwodowanego okrętu?

Na łobuzerski uśmiech Astera Hoban odpowiedział zabawnym grymasem.

- Masz kogoś na myśli?

- Jest taki porucznik, mój kolega z S-45, który właśnie zameldował się na „Tuna”, a

ona ma co najmniej dwa miesiące, zanim zacnie pływać bojowo.

- Czy to dobry oficer?

- No, niestety, straszny śpioch i obibok.

- To na co nam on?

- Potrafię go zmusić do działania. W ciężkich chwilach jest pomysłowy i odważny.

Jego ojcem jest kapitan z Planowania Wojennego, a brat lotnikiem na „Enterprise”.

- To brzmi nie najgorzej. Z którego jest rocznika?

- Rezerwista. - Na widok niechętniej miny Hobana Aster wykrzyknął: - Posłuchaj, kapitanie. Wśród podwodniaków w Pearl Harbor będzie pełno rezerwistów. Nie uda ci się mieć pełnej zawodowej obsady oficerskiej. Nie na „Devilfish”. Byron jest dobry na wachcie i ja go znam.

- Byron?

- Nazywa się Byron Henry. Przewisko Briny.

- Okay, może zadzwonię do Pearl. Ale wobec tego Briny'ego będzie to lekkie świństwo, prawda? Nowy okręt, stacjonujący w Pearl, to znacznie lżejsza służba niż podróż do Manili na „Devilfish”.

- Dostanie twarde orzeszek.

Hoban spojrział z zaciekawieniem na pierwszego oficera. O Asterze jeszcze nie wyrobił sobie zdania.

- Nie lubisz go, Lady?

- Brak nam jednego wachtowego. - Aster wzruszył ramionami.

W przesuającym się na zachód wschodzącym słońcu nie było widać na Pacyfiku wojowniczych punkcików. Poranne promienie ukośnie oświetliły pokład startowy „Enterprise'a”, przycumowanego do boi w Pearl Harbor, stojące na nim wypatroszone samoloty, na wpół zmontowane torpedy i wszystkie maszyny pływającego warsztatu, jakim jest pokład w czasie pokoju. Marynarze w wytłuszczonych kombinezonach i oficerowie w khaki pracowali na całej jego długości. Od strony stalowego hangaru, śmierdzącego jak wszystko na lotniskowcach benzyną, gumą, metalem i morskim powietrzem, rozległ się głośniejszy od hałasów codziennej pracy gwizdek bosmana, po nim zaś przez głośnik przemówił głos z południowym akcentem:

- Uwaga, uwaga. Za dziesięć minut spotkanie wszystkich oficerów w mesie.

Warren Henry wygramolił się z kabiny swego SBD i wytarł ręce w zatłuszczoną szmatę. Nałożył czapkę khaki i odezwał się do pracujących z nim marynarzy:

- To o mnie idzie. Życie mi szczęścia.

Gdy przybył do mesy, była już zapełniona przez oficerów w koszulach khaki i czarnych krawatach. Zajmowali wszystkie krzesła i stali pod ścianami. Na śródkreściu zawieszony był na przedniej grodzi ekran kinowy, a na przykrytym zielonym rypsem stole stał projektor. Dowódca, pyzaty mężczyzna z przedwcześnie posiwiałymi włosami, ujrawszy Warrena wstał i podszedł do ekranu.

- Panowie, spodziewam się, że wszyscy słyszeliście nowiny. Śledziłem je przez krótkofalówkę i wydaje się jasne, że Der Führer przyłapał Józia Stalina z opuszczonym sierpem i młotem. - Na żart kapitana oficerowie przepisowo zachichotali. - Osobiście współczuję narodowi rosyjskiemu, obarczonemu tak wszawym kierownictwem. Kilka razy spotykałem się z oficerami ich marynarki i przekonałem się, że są to ludzie przyjacielscy i całkiem niezłe wyszkoleni, choć niekiedy dziwnie się zachowują. Pytanie jednak, w jaki sposób wpływa to na zadania „Enterprise”? Jak wielu z nas już wie, porucznik Henry z Szóstego Dywizjonu Rozpoznawczego jest zawziętym miłośnikiem historii wojskowości. Poprosiłem go, by nam tu przedstawił krótką informację, nim wrócimy do codziennej pracy, a więc... Baczność!

W drzwiach ukazał się kontradmirał Colton, a wszyscy oficerowie powstali z głośnym szuraniem krzesłami. Admirał był mężczyzną szerokim w ramionach, z pulchną, czerwoną twarzą, poznaczoną bliznami z dawnych czasów, gdy jako lotnik marynarki służył na „Langley” i rozbił się parę razy. Teraz był szefem sztabu Dowództwa Lotnictwa Pacyfiku. Kapitan doprowadził go do skórzanego fotela, z którego zerwał się pierwszy oficer. Admirał gestem kazał zebrany siadać i zapalił olbrzymie czarne cygaro.

Warren, stojąc przed ekranem w typowej pozie instruktorów Marynarki Wojennej: z rękami na biodrach i lekko rozstawionymi nogami, zaczął skromnie, właściwym im monotonnym głosem. Powiedział parę zwyczajowych, lekceważących dowcipów na temat swej ignorancji, by następnie przejść wprost do rzeczy.

- Okay. Oczywiście jest, że w tej chwili obchodzą nas Japończycy. W teorii nie powinno to nastęrczać problemów bojowych: potencjał wojskowy mamy o tyle większy niż Japonia, że jakikolwiek ich ruch rozpoczynający wojnę, wyglądałby na samobójstwo. Słyszymy od cywilów, że w ciągu dwóch tygodni zetrzemy z mapy tych małych, żółtych skurwysynów, i tym podobne androny. - Z twarzy paru młodych, uśmiechających się oficerów, uśmiechy zaczęły znikać. Warren zawiesił na ekranie niebiesko-żółtą mapę wydaną przez Urząd Hydrograficzny i wziął do ręki pałeczkę. - Oto jest mapa Pacyfiku. Nie powinno się gadać o starciu kogokolwiek z mapy, nie popatrzywszy wpierw na samą mapę. - Końcem pałeczki Warren zatoczył okrąg wokół francuskich, holenderskich i brytyjskich posiadłości w

południowo-wschodniej Azji. - Ropa naftowa, kauczuk, cyna, ryż - wymieńcie cokolwiek, czego potrzebuje Japonia, by zostać czołowym światowym mocarstwem - to wszystko jest tutaj. Biorąc pod uwagę to, co spotkało siły zbrojne imperiów europejskich od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, wszystko co leży tutaj, jest prawie gotowe do wzięcia. A przede wszystkim zauważcie, że to wszystko znajduje się pod samym nosem Żółtków. My, by się tam dostać, musimy płynąć daleko poza wybrzeża Japonii i to przez wiele dni. Tereny, o które będzie się walczyć w każdej wojnie na Oceanie Spokojnym, leżą o dziesięć tysięcy i więcej mil od San Francisco, niektóre natomiast ledwie osiemset mil od Japonii. Wobec tego nasz rząd próbuje uspakajać Żółtków, pozwalając im kupować u nas ile tylko chcą stali, złomu żelaznego i ropy, choć oczywiście wszystko to służy im do tworzenia zapasów niezbędnych do wojny przeciw nam. Jasne, że ja sam nie mam żadnego zdania na temat tej polityki...

- Ale ja mam - warknął sarkastycznie admirał. Oficerowie roześmieli się i zaczęli klaskać. - Nie jest ono przeznaczone dla delikatnych uszu - ciągnął Colton. - Prędzej czy później tamci popłyną na zachód, na silnikach napędzanych ropą „Texaco” i strzelając do nas kawałkami starych buicków. Wspaniała polityka! Przepraszam, poruczniku, proszę kontynuować.

Warren zdjął mapę, zapanował spokój. Na ekranie ukazało się wyblakłe przeźrocze mapy sytuacyjnej wojny rosyjsko japońskiej.

- Okay, teraz odrobina historii starożytnej. Tutaj jest Port Arthur - Warren pokazał pałeczką - wysunięty daleko w Morze Żółte, poza Koreę. Znowu pod nosem Japończyków. I tu właśnie w tysiąc dziewięćset piątym roku Żółtki pobiły Rosjan. Bez wypowiedzenia wojny dokonali podstępного napadu na carską marynarkę przy pomocy nocnego ataku torpedowego. Ruscy nigdy się nie podnieśli po tej porażce. Żółtki zrobiły desant i obległy ten kluczowy, wolny od lodów port. Gdy zaś Port Arthur ostatecznie skapitulował, był to koniec. Car musiał zgodzić się na rokowania pokojowe z krajem prymitywnym, o powierzchni równej jednej sześćdziesiątej jego własnego! Dla Żółtków było to tak wielkie zwycięstwo, jak dla nas Rewolucja Amerykańska. Osobiście jestem zdania, że nasze podręczniki historii nie zwracają dostatecznej uwagi na tę wojnę. Od niej zaczyna się nowoczesna historia Japonii. Być może cała w ogóle historia nowoczesna. Bo tam właśnie po raz pierwszy kolorowy człowiek podjął wyzwanie białego człowieka i pobił go.

W kącie koło bufetu zebrali się stewardzi w białych kurtkach, co do jednego Filipińczycy lub Murzyni. Gdy nie szło o tematy objęte tajemnicą wojskową mieli zwyczajowe prawo przysłuchiwania się wygłaszanym przez oficerów odczytom. Nagle w sali

zapadło milczenie, a spojrzenia wszystkich obecnych powędrowały w ich stronę. Twarze Filipińczyków przypominały swą nieruchomością maski. Murzyni mieli zróżnicowane miny: niektórzy tajemnicze, młodsi zaś złośliwie uśmiechnięte. Ta krępująca sytuacja zupełnie zaskoczyła Warrena. Prawie nie zauważał obecności stewardów w mesie, tak codzienny był to widok. Otrząsnąwszy się z zażenowania kontynuował z pewnym wysiłkiem.

- A ten cholerny wyczyn miał miejsce ledwie pół wieku po tym, jak Perry zmusił Japonię do otwarcia granic. Żółtki uczyły się szybko. Jedwab i dzieła sztuki wymieniali u Brytyjczyków na nowoczesne, parowe okręty wojenne. Niemców wynajęli jako instruktorów swej armii. A potem przepłynęli przez cieśniny i na kontynencie stłukli Rosjan. Ale nie zapominajcie, że Moskwa odległa jest od Port Arthur właśnie o cały kontynent. Jedynym połączeniem była linia kolejowa. Car przegrał przez długie linie zaopatrzenia. Z długimi liniami zaopatrzenia przegrał Cornwallis i Napoleon w Rosji. Im dalej do pola bitwy, tym bardziej słabną własne siły przez sam fakt, że trzeba tak daleko wozić zapasy i do tego jeszcze wracać po nowe. Tak się składa, że w Akademii Marynarki gry wojenne często rozpoczynają się od zaskakującego ataku Żółtków na nas, wprost tutaj, na Pearl Harbor. To jest doświadczenie wyciągnięte z ataku na Port Arthur. Biorąc pod uwagę sposób myślenia Żółtków, czemuż by nie mogli wobec białych diabłów zastosować triku, który już raz przyniósł tak wielkie korzyści? Oczywiście wiadomo, że rok tysiąc dziewięćset czterdziesty pierwszy to nie tysiąc dziewięćset piąty. Mamy samoloty zwiadowcze i radar. Tym razem Żółtki mogą ściągnąć na siebie fantastyczne lanie. Niemniej ten nieprzyjaciel ma osobliwy charakter i nie można wykluczyć takiej właśnie ewentualności. Ale zawsze pamiętajcie o jego celach. Gdy Żółtki wzięły się za cara w tysiąc dziewięćset czwartym roku, nie miały zamiaru maszerować na Moskwę. Ich celem było zagarnąć najbliższe terytoria i utrzymać je. To właśnie zrobili i nadal je trzymają. Jeśli wybuchnie wojna na Pacyfiku, nie będzie zamiarem Japończyków okupacja Waszyngtonu. D. C., a mnie się wydaje, że nie będą nawet zagrażać Hawajom. Nic ich one nie obchodzą. Uderzą na południe po wielkie zdobycze, i wtedy rzucają nam wyzwanie, abyśmy przybyli do nich, wzdłuż linii zaopatrzenia rozciągniętych na dziesięć tysięcy mil, poprzez potrójny łańcuch ich ufortyfikowanych wyspowych lotnisk na Gilbertach, w archipelagu Marshalla i na Marianach, przeciw ich nawodnej i podwodnej flocie, operującej blisko domu pod parasolem stacjonujących na lądzie sił powietrznych. Dlatego nie widzę sposobu, by ich zdmuchnąć w ciągu dwóch tygodni. - Warren rozejrzał się po sali, napotykał ponure spojrzenia tysiąca par młodych oczu. - Kiedyś pokój na Pacyfiku opierał się na chwiejnej trójnożnej podstawie. Jedną nogą tego stołka była potęga morską Ameryki, drugą wojska europejskie w południowo-wschodniej Azji, trzecią rosyjskie siły

lądowne na Syberii. Europejska noga została złamana kopnięciem niemieckim w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Wczoraj Niemcy kopnęli rosyjską. Stalin nie wmiesza się w żadną wojnę azjatycką, przynajmniej nie teraz. Wszystko więc spoczywa na nas. A odważyłbym się powiedzieć, że przy dwóch nogach odłamanych od stołka, pokój na Pacyfiku siadł na dupie. - Warren przemawiał bardzo poważnym tonem, podkreślając zdania ruchami pałeczki. Żart wywołał zdumione chichoty. - Co zaś do pytania kapitana Nugenta: co oznacza dla nas pociągnięcie Hitlera, odpowiedź rysuje się jasno i wyraźnie, jeśli spojrzeć na mapę. Der Führer zatrąbił alarm bojowy dla „Enterprise”.

Konradmirał Colton pierwszy zerwał się na nogi, by rozpocząć oklaski. Trzymając w zębach cygaro mocno potrząsnął dłonią Warrena.

Prześliznąwszy się przez fikcyjną linię, przecinającą Ocean Spokojny od bieguna północnego do południowego, wschód słońca uzyskał nowe miano. Nazywał się teraz dwudziesty trzeci czerwca. Za linią był to właśnie świt dwudziestego drugiego czerwca. Ta czysto teoretyczna konwencja międzynarodowa, utrzymywała się wśród światowego chaosu. Dlatego, że planeta obracała się nadal w świetle słońca odległego o dziewięćdziesiąt milionów mil czarnej przestrzeni kosmicznej, a maleńcy jej mieszkańcy, choć zajmowali się wzajemnym wyrzynaniem, musieli jednak być zgodni w sposobie określania czasu.

Światło dzienne sunęło nadal przez wody, przez zielone łańcuchy czerwonych wysepek, niegdyś niemieckich kolonii, oddanych następnie Japonii pod warunkiem, że nie będą fortyfikowane. Ufortyfikowane były wszystkie. Usiłując rywalizować z białymi, Japończycy przestudowali historię europejską w zakresie dotrzymywania takich zobowiązań.

Dzień dotarł do Tokio, miasta usianego czarującymi parkami i świątyniami. Był tam także pałac cesarski. Lecz poza tym stolica była ogromnym, rozciągającym się we wszystkich kierunkach slumsem, złożonym z drewnianych domków i odrapanych kamienic w zachodnim stylu. Doganianie białych w ciągu dwóch pokoleń zubożyło Japończyków; cztery lata „incydentu chińskiego” wyssało ich do kości. Posłuszni swym przywódcom pochylali się nad pracą, jedli więzienne racje, budując maszyny wojenne na podstawie pożyczanych planów z pożyczanych metali, pod nadzorem pożyczanych doradców technicznych, z desperacją wymieniając jedwab, aparaty fotograficzne i zabawki za ropę naftową, by maszyny mogły działać. Dziewięćdziesiąt milionów Japończyków trudziło się na czterech skalistych, nieustannie nawiedzanych trzęsieniami ziemi wyspach, pełnych drzemiących wulkanów, na obszarze nie większym od Kalifornii. Ich głównym bogactwem naturalnym była siła woli. Reszta świata nie wiedziała o nich wiele więcej, niż wynikało z operetki Gilberta i Sullivana „Mikado”.

Byli to zastanawiający ludzie. Ich minister spraw zagranicznych, mały wąsaty człowieczek nazwiskiem Matsuoka, który zdobył wykształcenie w Ameryce, a potem wiele podróżował po Europie, robił wrażenie wariata. Mnóstwo gadał, nieustannie sam sobie przecząc, dziko chichotał, szczyrzył zęby i syczał. Wszystko to było całkowicie sprzeczne z tym, co powszechnie uważano za zachowanie właściwe dla ludzi Wschodu. Biali dyplomaci przypuszczali, że jego dziwaczne maniery musiały wynikać z japońskiego charakteru narodowego. Dopiero później okazało się, że także rodacy uważali go za niespełna rozumu. Jest historyczną zagadką, czemu wojskowy gabinet ministrów powierzył mu w tym okresie tak śmiertelnie poważne zadania; podobnie jak zagadką jest ochota, z jaką Niemcy stanęli po stronie Hitlera, który w swych pismach i przemówieniach zawsze robił na ludziach innej narodowości wrażenie oczywistego szaleńca. Nie jest też jasne, do jakiego stopnia Stalin był w tym czasie umysłowo chory, choć większość historyków zgadza się, że później zwariował do reszty. Jakkolwiek było, chory umysłowo Matsuoka kierował stosunkami Japonii z resztą świata w chwili, gdy obłąkany Hitler zaatakował obłąkanego Stalina.

Historycy japońscy podają, że Matsuoka uzyskał wówczas nagłą audiencję u cesarza i błagał go o natychmiastową inwazję na Syberię. Ale dowódcy armii lądowej i marynarki chłodno odnieśli się do tego pomysłu. W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku armia miała paskudne, nieujawnione starcie z Armią Syberyjską Stalina i poniosła wielotysięczne straty. Armia chciała iść na południe, tam, gdzie Francja Vichy była bezsilna, Holendrzy odcięci od ojczyzny; obleżeni zaś Anglicy mogli wydzielić bardzo niewielkie siły. Amatorska analiza Warrena w mesie „Enterprise'a” nie była błędna w tym, co dotyczyło owej głównej japońskiej alternatywy.

Ale Matsuoka upierał się, że podpisując Trójstronny Pakt z Niemcami i Włochami Japonia zobowiązała się do udzielenia im pomocy, jeśli zostaną zaatakowani, a inwazja niemiecka w oczywisty sposób nastąpiła dla odparcia rosyjskiego ataku. Wobec tego moralność wymaga, by Japonia natychmiast uderzyła na Syberię. A co do paktu o nieagresji z Rosją, który Matsuoka sam wynegocjował, to przecież Rosja nigdy nie dotrzymuje paktów. Zasadnicze znaczenie ma, by zaatakować ją natychmiast, nim się załamie. Taki najazd będzie czynem honorowym, a nie schylaniem się po resztki. To stanowisko nazwał „dyplomacją moralną”.

Opowiadano, że w tym okresie jeden z wysokich urzędników japońskich zupełnie serio oświadczył, iż minister spraw zagranicznych jest obłąkany. Na to jeden ze starszych wiekiem mężów stanu odpowiedział, że u Matsuoki obłąd oznaczałby znaczną poprawę. W każdym razie informację o takiej wymianie zdań można znaleźć w japońskich archiwach.

Tajna, oficjalna decyzja na ten temat brzmiała, że „należy pozwolić śliwce dojrzeć na drzewie”. To znaczy nie atakować Związku Sowieckiego do chwili, gdy jego porażka będzie całkowicie pewna. Zdecydowano tak dlatego, że ciągnąca się bez końca wojna w Chinach ugrzęzła w błocie i przywódcy japońscy z niechęcią odnieśli się do pomysłu podjęcia nowej, ciężkiej operacji lądowej. Jeśli już trzeba będzie walczyć, to uderzenie na południe wydaje się znacznie łatwiejsze. Taki cel ataku oznaczał poważny krok do przodu. Matsuoka poczuł się obrażony i wkrótce utracił swe stanowisko.

Gdy słońce weszło nad Tokio, poranne promienie już od trzech godzin przesuwają się wzdłuż Syberii, począwszy od cieśniny Beringa. Do ponownego wschodu słońca nad polem bitwy pozostawało jeszcze osiem godzin, ponieważ Związek Sowiecki rozciąga się na obszarze połowy kuli ziemskiej.

W maju i czerwcu, gdy pojawiły się pierwsze plotki na temat inwazji na Rosję, przez Europę przetoczyła się złośliwa anegdota, która przekroczyła granice między krajami wolnymi i okupowanymi. Brzmiała tak: Berlińska aktorka, odpoczywając w łóżku po czułościach z generałem Wehrmachtu, wymogła na nim, by jej opowiedział o zbliżającym się najeździe na Rosję. Wziął więc, by jej się przypodobać, atlas świata i zaczął wyjaśniać. Ale kobieta wkrótce mu przerwała:

- Kochanie, ale co to jest, ta wielka zielona plama przez całą długość mapy?
- Ależ moja droga, to właśnie, jak ci powiedziałem, jest Związek Sowiecki.
- Ach tak. A gdzie mówiłeś, że są Niemcy?

Generał pokazał jej małą czarną plamkę na środku Europy.

- Kochanie - odrzekła zamyślona aktorka - czy Führer widział tę mapę?

To był dobry żart. Ale centrum nerwowe Rosji nie znajdowało się we Władywostoku, na dalekim, wschodnim krańcu zielonego obszaru. Poranek dwudziestego trzeciego czerwca, sunąc na zachód od rosyjskiej stolicy, po godzinie oświetlił kolumny niemieckie, które przeszły dwadzieścia pięć mil w stronę Mińska i Moskwy, w jeden dzień przebijając się przez zmasowane siły Armii Czerwonej i jej największe umocnienia na granicy.

46

Z czarnego nieba wystrzeliła czerwona błyskawica, rozpadając się na zygzaki za pomnikiem Waszyngtona. Nad Potomakiem lipiec jak zwykle był mieszaniną duszących upałów i wściekłych burz.

- No, to koniec z moim spacerem do domu - rzekł Victor Henry.

Przez otwarte okno do dusznego, wilgotnego pokoju biurowego wpadł strumień chłodnego powietrza, rozrzucając grube krople deszczu po ściennych mapach. Na ulicy rozległ się syk i trzask ulewy.

- Może przerwie falę upałów? - powiedział Juliusz. Juliusz, spokojny pięćdziesięcioletni tłuścioch z fantastyczną głową do cyfr, był naczelnym kancelistą w Wydziale Uzbrojenia, gdzie pracował razem z Pugiem.

- Za wiele szczęścia. Będzie bardziej parno i to wszystko. - Kapitan spojrział na zegarek. - Hej, już po szóstej. Zadzwoń do mnie do domu, dobrze? Powiedz kucharce, że kolacja będzie o siódmej.

- Rozkaz, sir.

Podciągnąwszy krawat i nałożywszy płócienną letnią marynarkę, Pug zgarnął papiery z biurka.

- Chcę jeszcze raz przestudiować te liczby. One nie wydają mi się całkiem wiarygodne.

Współpracownik wzruszywszy ramionami i machnąwszy ręką odrzekł:

- Są całkowicie zgodne z danymi wyjściowymi, które mi pan podał.

- Na Boga, przecież z tego wynika, że potrzebując na obu oceanach aż tylu jednostek desantowych, przez najbliższe trzy lata nie możemy budować nic poza nimi.

Juliusz uśmiechnął się z odrobiną wyższości, jak podwładny, który w swoim wąskim zakresie wie więcej od szefa.

- Sir, produkujemy rocznie sześćdziesiąt milionów ton stali. Ale budujemy równocześnie te wszystkie suszarki do włosów, chłodziarki i czterdzieści różnych modeli samochodów. Oto sedno problemu.

Pug, w potokach deszczu rzucił się do taksówki, która właśnie podjechała pod gmach Marynarki. Wsiadł z niej bardzo wysoki mężczyzna, naciągając na czoło miękki kapelusz.

- Proszę bardzo... Hej, witaj!

- Witaj także! - Pug wyciągnął portfel i podał kierowcy banknot ze słowami: - Proszę zaczekać... Kirby, od jak dawna jesteś w Waszyngtonie?

- Około miesiąca.

- Jedź do mnie na drinka. Albo, jeszcze lepiej, na kolację.

- Dziękuję, ale nie bardzo mogę.

- Zostałem sam - powiedział Victor Henry.

Kirby zawahał się.

- A co z twoją żoną?

- Wydaje moje pieniądze w Nowym Jorku. Pojechała odprowadzić synową i wnuka do samolotu na Hawaje. A teraz szuka mebli i różnych tam rzeczy. Kupiliśmy dom.

- O? Ten, który znalazła na Foxhall Road?

- Ten właśnie. A ty skąd o tym wiesz?

- Nooo... natknąłem się kiedyś na Rhodę, gdy szukała nowego domu. Myślę, że to było wtedy, gdy byłeś na morzu. Zjedliśmy lunch i pokazała mi dom. Gorąco ją do niego przekonywałem.

- Masz tu dużo do roboty? Zaczekam na ciebie - nalegał Pug.

- Prawdę powiedziawszy mam tylko zabrać trochę papierów. Wpadnę tylko na sekundę. Potem chętnie wypiję z tobą drinka.

Po chwili siedzieli w taksówce, wolno posuwającej się przez zatłoczoną w godzinie szczytu Constitution Avenue. Deszcz lał strumieniami.

- Co robisz w tym paskudnym mieście? - spytał Pug.

- Ach, to i owo.

- Cóż U licha? - spytał Pug, z naciskiem na „U” dla uranu.

Kirby skierował wzrok na łysą głowę i czerwone uszy kierowcy.

- Proszę włączyć radio - powiedział Pug do szofera. - Posłuchajmy wiadomości.

Ale taksówkarz nie mógł złapać nic prócz jazzu, pomieszanego z głośnymi trzaskami zakłóceń.

- Nie wiem, co spodziewasz się usłyszeć, poza tym, że Niemcy są znów o pięćdziesiąt mil bliżej Moskwy - zauważył Kirby.

- Nasz departament zaczyna denerwować się Żółtkami.

- Nie rozumiem decyzji prezydenta. Gazety chyba też nie. Okay, zamroził im kredyty. Czy to ich odcina od naszej ropy czy nie? - spytał Kirby.

- Oczywiście, że tak. Nie będą mieli czym płacić.

- Czy to nie zmusi ich do wypowiedzenia wojny?

- Być może. Prezydent musi coś zrobić z tą umową rządu z Vichy, wpuszczającą japońskie wojska i lotnictwo do Indochin. Sajgon to cholernie dogodna podstawa wyjściowa do ataku na Malaje i Jawę... przy sposobności także na Australię.

Kirby powoli nabijał fajkę.

- Jak się czuje Rhoda?

- Zła na różne niedoróbki w nowym domu. Poza tym świetnie.

Wypuszczając z fajki kłęby niebieskiego dymu, naukowiec zapytał:

- Czego teraz żądamy od Żółtków?

- By zaprzestali agresji, wycofali się z Indochin, wynieśli z Chin, odwołali swą armię z Mandżurii i zwrócili jej niepodległość.

- Innymi słowy, by wyrzekli się wszelkich nadziei na awans do statusu mocarstwa i przyznali się do porażki militarnej, której nikt im nie zadał.

- Na morzu możemy sprawić im lanie.

- Czy mamy armię zdolną wypędzić ich z Azji?

- Nie.

- Ale mamy dość tupetu, by im kazać się wynieść.

Pug siedział z pochyloną głową. Spojrzał na Palmera spod gęstych brwi. Z nadmiaru wilgoci w powietrzu bolała go głowa, był też bardzo zmęczony.

- Słuchaj Kirby, tam ster władzy chwycili fanatyczni militaryści. Wiesz o tym. Skośnoocy samuraje z przemysłowo produkowaną bronią. Jeśli wyrwą się na swobodę i zdobędą południowo-wschodnią Azję, nad Pacyfikiem pojawi się Żółta Rzesza z nieograniczonymi zapasami siły roboczej i większością ropy i kauczuku na Ziemi. Musimy manewrować jak długo się da i walczyć, gdy będziemy musieli. Decyzja prezydenta o zamrożeniu kredytów jest manewrem; może uda mu się dojść z nimi do porozumienia.

- By ich ułagodzić.

- Dokładnie, ułagodzić. W tej chwili robimy to przy pomocy dostaw ropy. Jak dotychczas ani nie zaatakowali południa, ani nie zadali Rosji ciosu w plecy. Przypuszczam, że prezydent po prostu działa z dnia na dzień i z tygodnia na tydzień, na wycucie.

- Czemu nie wypowiedzi wojny Niemcom? Czemu bez przerwy wykręca się od konwojowania? Jeśli Rosja się załamie, załamie się też ostatnia szansa osadzenia w miejscu Hitlera.

- Mogę panu powiedzieć, mister, czemu Roosevelt nie wypowiedzi wojny Niemcom - odezwał się taksówkarz szorstkim, wesołym głosem południowca, nie oglądając się za siebie.

- O? Czemu?

- Bo gdyby to zrobił, zostałby postawiony w stan oskarżenia, dlatego, mister. Wie, jak wszyscy diabli, że naród amerykański nie wypowie wojny, by ratować Żydów. - Obejrzał się przez ramię. Miał tłustą, przyjaźnie uśmiechniętą twarz z błyszczącymi niebieskimi oczami. - Ja tam nie jestem uprzedzony i nie mam nic przeciwko Żydom. Ale także nie jestem nastawiony do nich korzystnie. Nie na tyle, by wysyłać amerykańskich chłopców, aby za nich umierali. To chyba rozsądne, nie?

- Niech pan lepiej patrzy, gdzie pan jedzie - rzucił Pug.

Taksówkarz zamilkł.

- To ładne miejsce - odezwał się Kirby.

Siedzieli na werandzie od strony ogrodu. Pug nalewał koktajle martini. Dom stał na małym wzniesieniu, wśród dobrze utrzymanych trawników i zagajnika. Świeży wiaterek, pachnący ziemią i mokrymi liśćmi, chłodził powietrze na werandzie.

- Rhoda je lubi.

Pili w milczeniu.

- Co powiesz o tym taksówkarzu? - odezwał się wreszcie Kirby.

- Wyłożył kawę na ławę. W dwuznaczny sposób często mówiono o tym w Senacie.

Kirby opróżnił szklanekę, Pug natychmiast ją nappełnił.

- Dzięki, Pug. Mam ostatnio dziwne przecucia. Zaczynam podejrzewać, że znany nam gatunek ludzki może nie przeżyć rewolucji przemysłowej. - Zapalił fajkę.

- Ja też miałem zły dzień.

- Nie w tym rzecz - powiedział Kirby, gasząc powolnym ruchem grubą drewnianą zapalkę. - Spróbuję to wyrazić słowami. Zauważyłem, że nasze ludzkie wartości, nasze pojęcia dobra i zła, słuszności i niesłuszności, wytwarzały się w mniej skomplikowanych czasach, nim pojawiły się maszyny. Być może Niemcy i Japończycy lepiej dostosowują się do nowego otoczenia. Taką myśl nasuwają ich sukcesy. A także sposób, w jaki ich przeciwnicy jeden po drugim potykają się i rozpadają. Może to jest przypadek darwinowskiej przemiany społeczeństwa. Może rządy totalitarne lepiej odpowiadają zurbanizowanemu i umaszynowionemu życiu; rządy uzbrojonych władców, obojętnych na uczciwość i miłosierdzie, utrzymujących porządek terrorem i gotowych kłamać i zabijać na co dzień. Przecież większość maszyn nie ma nawet stu lat. Samolot nie ma czterdziestu. A demokracja nadal jest kruchym eksperymentem. - Przerwał, by opróżnić szklanekę. - Nazwałś Japończyków uprzemysłowionymi samurajami. To mi coś przypomniało. Zagłodzili samych siebie i ogołocili kraj, by zbudować albo kupić maszyny, i z nicości wyskoczyli na środek sceny historii. Może ideologia nazistowska i samurajska jest sensowniejsza w tym zmienionym świecie, Pug. Zresztą to takie gadanie przy koktajlach. Zostało tam coś w dzbanku?

- Pełno - odrzekł Pug, nalewając. - I jeszcze więcej w zapasie. Czuję się coraz lepiej. Miła jest ta weranda.

- Wspaniała - odrzekł Palmer Kirby.

- Czemu nie chcesz zostać na kolacji? Co masz innego do roboty?

- Nie chcę się narzucać.

- Są zrazy, ziemniaki i sałatka. Wystarczy rzucić parę zrazów więcej. Zaraz powiem

kucharce.

- Zgoda, Pug. Dziękuję. Ostatnio miałem całą masę samotnych posiłków.

- Wracam za minutkę - oświadczył, biorąc dzbanek. Po chwili przyniósł pełen podzwaniającej zawartości. - Odłożyłem kolację, abyśmy mieli czas na chwilę relaksu.

- Pasuje mi - odrzekł Kirby. - Chociaż sądząc z mego nastroju oraz wielkości tego dzbanka, będziesz musiał zanieść mnie do jadalni.

- To niedaleko - odrzekł Pug - a meble mają bardzo ostre kanty.

Kirby roześmiał się.

- Wiesz, pierwsze co usłyszałem od twojej najśłodszej Rhody było, że za dużo piję. Na przyjęciu, które dla mnie wydała w Berlinie. Pamiętasz, wtedy gdy musiałeś odlecieć na rozmowę z prezydentem. Byłem w złym nastroju i w szybkim tempie wlewałem w siebie wino. Ostro mnie przyhamowała.

- To było bardzo niegrzeczne. Ile mężczyzna wypija, jest jego osobistą sprawą. Nie mówiąc już o tym, że moja dumna piękność od czasu do czasu też potrafi zalać się w pestkę.

- Słuchaj, Pug, twoje martini jest doskonałe.

- Kirby, to co mówiłeś, to tylko taka futurologiczna gadanina, jaką handlują Lindberghowie.

- A czy sam Lindy nie jest przykładem nowego człowieka? Przelecieć samotnie ocean na jednosilnikowym samolocie! On przetarł drogę dla wielu nowych wydarzeń.

- Ale nie jest kłamcą ani mordercą.

- Wystarczy, gdy są nim szefowie, Victor. Cała reszta z naukowymi lub technicznymi geniuszami jak Lindy, i końmi pociagowymi jak ja, ma tylko słuchać. Oczywiście jest, że tak właśnie dzieje się w Niemczech.

- Coś ci powiem, Palmer - powiedział Pug kręcąc szklanką i czując, że wypowiada niesłychanie głębokie myśli. - Tacy szefowie to nic nowego. Napoleon też taki był, i miał także swój aparat propagandowy, zmiękczejący przeciwnika zanim padł pierwszy strzał. Przecież Napoleon niósł wolność, równość i braterstwo całej Europie! I tym sposobem obrócił w perzynę część świata i kapał ją we krwi przez jakiś tuzin lat, póki inni nie zmądrzeli, nie złapali go i nie zamknęli na odludnej skale.

- Myślisz, że tak samo będzie z Hitlerem?

- Mam nadzieję.

- Jest jednak różnica. Napoleon nie miał maszyn, gdyby wtedy miał samoloty, telefony, czołgi, ciężarówki, karabiny maszynowe, jednym słowem wszystko, czego dostarcza przemysł, czy nie uważasz, że mógłby zaprowadzić w Europie trwałą tyranie?

- Nie jestem pewien. Tak się składa, że mam złą opinię o Napoleonie. Sprzedał Jeffersonowi prawie milion mil kwadratowych pierwszorzędnej ziemi, no wiesz, nasz cały Środkowy Zachód od Luizjany do Gór Skalistych i granicy kanadyjskiej, za piętnaście milionów dolarów. Piętnaście milionów! Wyliczyłem, że wyniosło to cztery centy za akr ziemi rolnej jak w Iowa czy Nebrasce. Do tego Minnesota z jej zasobami rud żelaza, Kolorado ze złotem i srebrem, Oklahoma z ropą naftową. Nie mogę zrozumieć, jak ktokolwiek, nawet jeśli jest Francuzem, może uznawać w Napoleonie geniusza. To był tylko krwiożerczy osioł. Gdyby choć wysłał wówczas jedną ze swych najmniejszych armii dla ochrony terytorium Luizjany, tylko parę dywizji! Zamiast tego włączył się po Europie masakrując i rabując. Gdyby zaś do Luizjany przysłał parę tysięcy Francuzów dla skolonizowania kraju, nie ulega wątpliwości, że dziś Francja byłaby największym mocarstwem światowym, a nie tym czym jest: zgwałconą starą dziwką.

- A wiesz, to mi wcześniej nie przyszło do głowy - uśmiechnął się Kirby. - Zapewne brak zdolności oceny perspektywicznej.

- A co się dzieje z uranem? - spytał Henry.

Uśmiech Kirby'ego zwiądnął.

- Czy to dlatego wlewasz we mnie koktajle?

- Jeśli martini może ci rozwiązać język na temat uranu, lepiej niech to zrobi w obecności oficera z Planowania Wojennego. A potem nie bierz więcej martini do ust.

- Czy w Planowaniu Wojennym nic o tym nie wiadomo?

- Nie. Dla nas to ciągle historyjka rodem z Juliusza Verne'a.

- Niestety, to znacznie więcej.

Znów zaczęło padać. Wiatr gwizdał, grzmiały pioruny, na werandę sypnęło kroplami deszczu. Pug opuścił i umocował brezentową zasłonę po nawietrznej. Kirby kontynuował.

- Najprawdopodobniej bombę da się zbudować. Przy największym wysiłku może nam to zająć dwa albo pięćdziesiąt lat. Taki jest rozrzut przewidywań. Ale my takiego wysiłku nie podejmujemy. Robimy dobrą robotę w zakresie teorii. Biorą w niej udział potężne umysły, niektóre wygnane z Europy przez Niemców, za co jesteśmy im winni serdeczne podziękowania. Największy znak zapytania, to jak dalece Niemcy w tej chwili nas wyprzedzili. A myśmy nawet nie zaczęli. Nie ma kredytów, nie ma planu pracy. Zbudowanie bomby uranowej wymaga szeregu kroków. Niektórzy z nas obawiają się, że Niemcy pierwszy etap już przeskoczyli; mianowicie uzyskania takiej ilości izotopu, która pozwoli zapoczątkować kontrolowaną reakcję łańcuchową.

- O jakiej właściwie broni mówimy? - spytał Pug. - O jakiej sile wybuchu?

- I znowu odpowiedź brzmi: X. Może się okazać, że siła będzie zbyt wielka. To znaczy, że bomba wybuchnie samoczynnie, zanim będzie można jej użyć. Teoretycznie jedna bomba może zrównać z ziemią centrum Nowego Jorku. A nawet powierzchnię wielkości Rhode Island. Mamy tu do czynienia z ogromną masą niewiadomych. Mówią nawet, że taka bomba może zapoczątkować reakcję, która wysadzi w powietrze całą Ziemię. Najlepsi z naszych ludzi nie biorą tego zbyt serio. A ja, szczerze mówiąc, nie wiem aż tyle, by mieć pewność.

- To znaczy, że wasza bomba będzie całkiem niezła.

- Halloooo! - rozległ się głos Rhody Henry z wnętrza wielkiego domu. Mężczyźni usłyszeli stuk jej obcasików na parkiecie. - Niespodzianka! Jest ktoś w domu? Jestem przemoczona. Jestem jak utopiony szczur!

- Halo! Tutaj jestem - zawołał Pug. - I mamy towarzystwo.

- Mamy?

- Halo, Rhoda - odezwał się Kirby wstając.

- O mój Boże! - Rhoda zamarła w drzwiach werandy, z wytrzeszczonymi oczami. Trzymała w ręku paczkę w przemoczonym papierze, jej czerwony kapelusz ociekał wodą, a jedwabna suknia w kwiaty przylepiła się do piersi i ramion. Jej twarz błyszczała od deszczu, makijaż rozpułnął się, wokół bladych warg widniała rozmazana szminka. Mokra pasma włosów zwisały na czole i szyi.

- Pośpieszyłaś się jakby w Nowym Jorku, co? - zauważył Pug. - Zaprosiłem Freda Kirby na drinka, ponieważ tak się złożyło, że...

Rhoda znikła. Jej pośpieszne kroki rozległy się w pokojach i na schodach na piętro.

- Tato! To nie dom, a pałac! - Na werandę wkroczyła Madeline, tak samo przemoczona jak matka, otrząsając ze śmiechem wodę deszczową z włosów.

- O.. Matty? Ty także?

- Spójrz na mnie! Chryste, ależ nam się dostało! Ani jednej taksówki dokoła, i... Witam, doktorze Kirby.

- Obie złapicie grypę - oświadczył kapitan Henry.

- Jeśli ktoś mi da martini - powiedziała Madeline zerkając na dzbanek - być może zwalczę zarazę.

Gdy ojciec nalewał jej drinka, Madeline wyjaśniła, że nazajutrz rano Hugh Cleveland ma coś do załatwienia w Departamencie Wojny. Rhoda zdecydowała więc, że wraz z nimi wróci do Waszyngtonu. Dziewczyna łyknęła koktajlu w sposób znamionujący praktykę w tym zakresie.

- Gdzie twój bagaż? - spytał ojciec. - Idź się przebrać w coś suchego.

- Zostawiłam rzeczy w hotelu Willarda, tato.

- Co? A po co? Masz tu do dyspozycji cały wielki dom.

- Tak. Właśnie przyszłam, żeby go obejrzeć. A potem wrócę do hotelu, by się przebrać.

- Ale po jakiego diabła zatrzymałaś się hotelu?

- Och, tak jest prościej. - Zerknęła na zegarek. - Chryste, już prawie siódma.

Pug uśmiechnął się do córki, niezbyt przejmując się jej bezczelnością. Pomimo pogniecionej różowej płóciennej sukienki i mokrych włosów wyglądała bardzo ładnie. Obawy Rhody, że Madeline w wieku dwudziestu jeden lat będzie brzydką dziewczyną, nie sprawdziły się.

- Skąd ten pośpiech?

- Tato, mamy kolację z grubą rybą z armii, żeby go przekonać do naszego nowego pomysłu. Idzie o taki program, by Hugh odwiedzał co tydzień inną jednostkę wojskową. Wtedy weźmiemy do mikrofonu amatorów z wojska, zwiedzimy ośrodek i wspomnimy coś o gotowości bojowej. To był mój pomysł, ja też wymyśliłam nazwę: „Wesoła Godzina”. W CBS dostali fioła na tym punkcie. - Z błyszczącymi oczami zwróciła się do obu mężczyzn, wyciągając szklanę. - Mogę dostać jeszcze troszeczkę? Otóż, jeśli to się uda, będę miała w tym udział! Pomyśleć tylko! Naprawdę będę miała. Hugh Cleveland zawiązuje spółkę do realizacji tego programu, a ja dostanę część udziałów. Obiecał mi. No i co powiecie? Może będę bogata! No i co, tato? - dodała, uśmiechając się łobuzersko. - Czemu masz kwaśną minę?

- Po pierwsze - oświadczył Pug - od września możemy już nie mieć armii. Nie czytasz gazet?

Madeline posmutniała.

- Masz na myśli pobór?

- Tak. W tej chwili są szanse pół na pół, a może jeszcze gorzej, że Kongres nie uchwali przedłużenia ustawy o poborze.

- Ależ to szaleństwo! Przecież wszystko wskazuje na to, że do września Hitler pobije Rosję. Jak daleko ma w tej chwili do Moskwy? Sto mil, czy coś koło tego?

- Nie mówię, że politycy mają dobrze w głowie. Mówię ci tylko, jaka jest sytuacja.

- Chryste, ależ to rozwali w pył „Wesołą Godzinę”, prawda? No, dobra. Zobaczmy. - Wstała, otrząsając spódniczkę. - Fuj. Czuję, jak deszcz spływa mi po skórze w różne dziwne miejsca. Przeleczę się po domu. A potem daję nogę.

- Oprowadzę cię - powiedział Pug. - A ty, Kirby? Przyłączysz się do nas?

- Myślę, że już sobie pójdę. Rhoda wróciła, ja się nie chcę narzucać, a ponadto mam masę...

- Siadaj i nie gadaj - rzekł Victor Henry, sadzając siłą Palmera w wiklinowym fotelu. - Mnie też nudzi zwiedzanie domów. Chlapij sobie malucha, ja zaraz wracam.

- Miałem już dość - odrzekł Kirby, sięgając równocześnie po dzbanek.

Madeline chodziła z ojcem po pokojach, co chwilę wykrzykując z radością.

- Chryste, spójrz na tę sztukaterię w jadalni... O, Chryste, co za fantastyczny kominek... Chryste, spójrz jakie wielkie szafy ścienne!

- Słuchaj, nie jestem świętoszkiem - odezwał się wreszcie Pug - ale co to za wykrzykiwanie co chwila „Chryste, Chryste”? Gadasz jak jakiś majtek okrętowy.

- Słusznie, Pug, nagadaj jej jak trzeba - zawołała Rhoda z garderoby. - Czegoś takiego jeszcze nie słyszałam. W ciągu pięciu minut więcej razy słyhać od niej „Chryste” niż podczas godzinnego kazania w kościele. Jakie to wulgarne!

- Przepraszam, to taki nawyk - usprawiedliwiła się Madeline. - Zaraziłam się nim od Hugh'a.

- Pug - odezwała się Rhoda z wymuszoną swobodą - skąd wytrzasnąłeś Palmera Kirby? Telefonował?

- Po prostu wpadłem na niego. Ma zostać na kolacji. Nie masz nic przeciw temu?

- Czemu bym miała mieć? Madeline, przecież naprawdę nie zatrzymasz się u Willarda. To by było bardzo dziwne kochanie. Proszę cię, pójdz tam po bagaż.

- Nie przejmuj się, matko. Pa, pa!

Odprowadzając córkę na dół, Pug odezwał się:

- Kupiliśmy taki wielki dom tylko po to, by nasze dzieci miały gdzie mieszkać przyjeżdżając do Waszyngtonu.

Madeline lekko dotknęła ręki ojca. Uśmiechała się tak pobłaźliwie, że poczuł się zażenowany.

- Tato, naprawdę wiem, co robię. Będziemy siedzieć z tekściarzami do późnej nocy.

- Ten Cleveland - wykrztusił wreszcie Pug - co to za facet? Dobry?

Madeline uśmiechnęła się jeszcze szerzej, z miną bardzo pewnej siebie kobiety.

- Tato, gdybym miała coś kręcić, robiłabym to o wiele dyskretniej, prawda? Przecież wiesz. Miej do mnie trochę zaufania.

- Cóż, wiem, że już jesteś dorosła. Jakoś to szybko nastąpiło.

- Wszystko jest w największym porządku. W życiu tak się nie bawiłam jak teraz, a

pewnego dnia będziesz ze mnie dumny.

- Wezwę ci taksówkę - mruknął Pug, stojąc z córką w wyłożonym marmurem holu. Ale telefon zadzwonił w tej samej chwili, gdy sięgał ręką po słuchawkę. - Halo? Tak, przy telefonie... Tak, admirale. - Madeline ujrzała, jak twarz jej ojca w jednej chwili nabiera wyrazu czujności. - Rozkaz, sir. Tak, wystarczy. Do widzenia, sir.

Przez telefon wewnętrzny wywołał Rhodę.

- Czy już jesteś ubrana?

- Za pięć minut. Bo co?

- Powiem ci, jak zejdziesz.

Zadzwonił po taksówkę. Madeline wiedziała, że gdy Victor Henry ma taką minę i mówi takim tonem, nie zadaje się pytań. Poszli na werandę, gdzie rozwalony w wilklinowym fotelu Kirby palił fajkę. Prawie w tej samej chwili pojawiła się Rhoda w wytwornej zielonej sukni, z fryzurą ułożoną w loki i makijażem jak na dancing.

- Coś podobnego! Zmiana kostiumu jak w teatrze - orzekł Pug.

- Mam nadzieję! Wchodząc tutaj wyglądałam jak wiedźma w „Królowie Śnieżce”.

- Rhoda, telefonował admirał King, jest w Departamencie. Pojadę do śródmieścia z Madeline. Nie przejmuj się i daj Palmerowi kolację. Może zdąży wrócić na kawę lub koło tego. W każdym razie, gdy się dowiem o co chodzi, zadzwonię.

Na ulicy zatrąbiła taksówka. Kirby zamierzał się pożegnać, ale Victor nie chciał o tym słyszeć. Lubił naukowca, a zaprosił go do domu po części dla towarzystwa, po części by coś z niego wyciągnąć na temat uranu. Łatwiej byłoby Pugowi podejrzewać żonę o ludożerstwo, niż wyobrazić sobie, że jest coś między nią a Palmerem. Zmusił Kirby'ego do pozostania i odjechał z córką.

Gdy zatrzasnęły się drzwi wejściowe, Rhoda odezwała się wesoło:

- No i co, Palmer? Kopę lat, nie?

Kirby pochylił się na fotelu z rękami na kolanach.

- Pug nie domyśla się, że postawił cię w trudnej sytuacji. Pójdę sobie.

Rhoda siedziała kompletnie opanowana, z elegancko skrzyżowanymi nogami, założonymi rękami i lekko pochyloną na bok głową.

- Straciłbyś naprawdę dobre, ogromne kotlety baranie. Nie czujesz zapachu? Kolacja za chwilę.

- Rhoda, widzę, że naprawdę nie czujesz się zupełnie skrepowana.

- Ach, Palmer, biorę życie tak, jak leci. W tej chwili bardzo się cieszę, że cię widzę. A propos, co cię sprowadza do Waszyngtonu?

- Sprawy obronności, o których mogę powiedzieć tyle tylko, że bardzo źle idą.
- Czy to znaczy, że mieszkasz tutaj?
- Mam apartament w Wardman Park.
- No, no, no. A co z twoją fabryką?
- Mam doskonałych dyrektorów i majstrów. Co jakieś dwa tygodnie latam do Denver.

Właśnie wróciłem. - Z sarkastycznym, krzywym uśmiechem dodał: - To wręcz niepokojące, jak tam beze mnie wszystko dobrze idzie.

- A co z twoim domem?
- Świetnie. Nie sprzedałem go i nie sprzedam.
- O? A teraz jesteś tutaj. Zabawne.
- Nie określiłbym tego w taki sposób.

Rhoda zniżyła głos do intymnego szeptu.

- Czy mój list tak cię zdenerwował?
- To był najgorszy cios od śmierci mojej żony.

Powiedział to tak ostrym tonem, że Rhoda zamrugła z wrażenia i westchnęła.

- Przykro mi. - Siedziała zaplatając i rozplatając palce na kolanach. Wreszcie potrząsnęła głową. - Próbowałam wymyślić sposób opowiedzenia wszystkiego tak, by nie wyjść na głupią kobietkę. Ale do diabła z tym. Na kolacji w Białym Domu siedziałam obok prezydenta. Był dla mnie miły, podobałam mu się. Mówił cudowne rzeczy o Pugu i jego przyszłości. Rozwód to dla zawodowego wojskowego ogromna przeszkoda w karierze, szczególnie gdy jest o krok od gwiazdki admirałkiej. Jestem tego w pełni świadoma. Widziałam, jak się takie rzeczy toczą. Więc... no cóż, zrobiłam co zrobiłam. Źle śpię od tej pory, Palmer, i trudno ze mną wytrzymać. Ale zdecydowałam się nie opuszczać Puga i nie zamierzam za to przeproszać.

- Kolacja, miss Henry. - Siwa Murzynka w białym fartuszkach ukazała się w drzwiach. Minę miała zasmuconą i pełną wyrzutu.

- Ach, jej. A, tak. Która godzina, Barbaro?
- Już wpół do dziewiątej, miss Henry.
- Okropne. Wcale nie chciałam cię tak długo przetrzymywać. Palmer, ty oczywiście zostajesz. Tylko podaj do stołu, Barbaro, dobrze? Potem możesz już pójść.

Gdy Rhoda Henry i Palmer Kirby skończyli z grubymi kotletami, sałatką i butelką wina, napięcie między nimi znikło. Kirby śmiał się, gdy Rhoda opowiadała zabawne historyjki o problemach związanych z nowym domem. Ona też się śmiała, chociaż jak twierdziła, początkowo trudności wywoływały w niej ataki furii.

- Co byś powiedział na jeszcze trochę St. Julien do sera, Palmer?

- Rhoda, jeśli on wróciwszy do domu zastanie nas przy wykańczaniu drugiej butelki, brwi mu podjadą do góry, ot w taki sposób.

- Phi! - Zaczęła zbierać ze stołu. - Nie jedną czy drugą butelkę wykończyliśmy razem, bywały i trzy. - Zatrzymała się, trzymając w rękach stos talerzy. - Nie wyobrażasz sobie, jak mi dobrze. To w żaden sposób nie mogło być zaplanowane. Ale ogromny kamień spadł mi z serca.

Kawę i drugą butelkę przyniosła na tylną werandę. Deszcz przestał padać. Za majaczącymi sylwetkami drzew, w ciemniejącym lipcowym półmroku, pokazały się pierwsze gwiazdy.

- Och! Jak przyjemnie! - powiedziała. - To głównie z powodu tej werandy chciałam kupić dom. Przypomina mi nasz berliński.

- Bo wieczór jest taki, jak latem w Berlinie. Gasnące światło, zapach mokrych drzew...

- Pamiętasz?

- Mam bardzo dobrą pamięć. Zbyt dobrą.

- A ja, Palmer, mam bardzo wygodną. Zostawia to, co dobre, zapomina o złym.

- To kobiecy typ pamięci. - Kirby jednym haustem pochłonął wino. - Pozwól, Rhoda, że o coś zapytam. Może to zabrzmieć obraźliwie, ale pewno nigdy nie będziemy mieli już takiej okazji do rozmowy. Wypiłem dużo. Z pewnością o wiele za dużo. Twój list był dla mnie okropnym wstrząsem. Od tej chwili w kółko o tym myślę i myślę. Mówiłaś mi, że przede mną nie było nikogo innego. Uwierzyłem ci i wierzę nadal. Ale mam do ciebie pytanie. Jak to było możliwe? - Po długim milczeniu, przerywanym tylko ćwierkaniem ptaków, dodał: - Jednak cię obraziłem.

- Nie - odrzekła spokojnym, gardłowym głosem. - Oczywiście wiem, co byś chciał usłyszeć: że nie mogłam ci się oprzeć, bo nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty. To zresztą prawda. Ale, kochanie, miałam mnóstwo okazji. Nie mam na myśli podrywania po pijanemu w klubie oficerskim. Był taki okres... ale mówiąc najszczerzą prawdę, wszyscy ci mężczyźni byli jak Pug oficerami Marynarki Wojennej. Żyję w tym środowisku. A tutaj nikt nie może się z nim równać, nie ma nawet takich, którzy by się do niego zbliżali. - Umilkła na chwilę. - Nie zrozum mnie źle. Nie zrzucam na Puga odpowiedzialności za to, co się z nami stało. To by było zbyt trywialne, ale on jest wobec mnie tak zamknięty! A od chwili wybuchu wojny to się jeszcze pogorszyło. Pug jest fanatykiem, wiesz o tym. Nie w sprawach religii czy polityki. W sprawie skuteczności działania.

- To bardzo amerykańska cecha - zauważył Palmer Kirby. - Sam jestem fanatykiem.

- Och, ale w Berlinie, czy wiesz o tym czy nie, uwodziłeś mnie. Gdy Pug mnie uwodził, też się w nim zakochałam. - Zachichotała cichutko, po czym dodała: - Jeszcze coś ci powiem, chociaż właśnie ty możesz mnie wyśmiać. Jestem przyzwoitą kobietą. Przynajmniej tak uważam. I tak, biorąc to wszystko razem, nie było nikogo innego. I nie będzie. Jestem teraz spokojną babcią. I koniec.

Długo milczeli. W ciemności majaczyły niejasno ich sylwetki, obrysowane słabym światłem niewidocznych lamp ulicznych, odbijających się w liściach drzew.

- Pug nie zatelefonował - zauważyła Rhoda spokojnym głosem.

Z wiklinowego fotela wynurzyła się wysoka, przygarbiona postać Kirby'ego.

- Teraz już pójde. Kolacja była wspaniała. Czuję się o wiele lepiej. Dziękuję.

- Czy jeszcze się zobaczymy? - spytała.

- Waszyngton to małe miasteczko. Pomyśl, jak natknąłem się na Puga.

- Kochany, czy trafisz do wyjścia?

- Oczywiście.

- Nie chcę być źle wychowana, ale prawdę powiedziawszy moje oczy są chwilowo nie w porządku.

Palmer Kirby podszedł, pochylił się nad jej dłonią i pocałował. Rhoda przykryła jego rękę swoją i lekko uściśnęła.

- Jej! - powiedziała. - Jakże to europejskie! I jak słodkie. Prosto przez salon, kochanie, i w lewo do wyjścia.

47

W tydzień później Victor Henry leżał na górnej koi kabiny oficerskiej na ciężkim krężowniku „Tuscaloosa”. Pod nim cicho pochrapywał pułkownik z Wydziału Planowania Wojennej Armii Lądowej. Puga zbudziło dotknięcie i szept:

- Kapitan Henry? - We wpadającym z korytarza czerwonym świetle dostrzegł marynarza, podającego mu blok meldunkowy. Pug zapalił słabe światło nad koją.

Proszę kapitana Victora Henry przenieść się ze wszystkimi manatkami na „Augustę” przed 0500 dziś w związku ze zbliżającymi się ćwiczeniami x King

- Która godzina? - wymamrotał Pug kreśląc swe inicjały na cienkiej kartce.

- 0430, sir, a oficer służbowy zawiadamia, że kapitański gig jest do pana dyspozycji.

Pug starał się spakować po cichu, ale skrzypiąca blaszana szuflada obudziła

pułkownika.

- Hej, skipper, opuszczasz mnie? Gdzie się wybierasz?

- Na „Augustę”.

- Cooo? - Pułkownik ziewnął i ciaśniej okrył się kocem. Nawet w połowie lata w zatoce Nantucket poranne powietrze było chłodne. - Myślałem, że ta łódka jest tylko dla największych szyszek i dla prezydenta.

- Może admirał zdecydował, że potrzebuje drugiego stenotypisty.

- Mówisz o admirale Kingu? Tym, co się goli lutlampą?

- O nim - Henry zaśmiał się uprzejmie.

- No, to życzę szczęścia.

Ostry wiatr wicherzył i rozwiewał mgłę w półmroku kotwiczowiska. Drobną falą podrzuciła sunący powoli gig tak mocno, że dzwon bił nieregularnie, a Henry musiał przytrzymać się ociekającego wilgocią skórzanego siedzenia. Po długiej chwili przed rozbujanym dziobem zamajaczył we mgle długi, ciemny i nieoświetlony kształt „Augusty”. Na krążowniku nie paliły się nawet światła kotwiczne, co w okresie pokoju było poważnym i dziwnym naruszeniem przepisów. W rozpraszającej się mgle można było dostrzec jacht prezydencki i diuny w Martha's Vineyard. Gdy kapitan Henry wspinał się po trapie krążownika, słaby różowy blask ukazał się na wschodnim nieboskłonie. Stary okręt był absolutnie czysty, świeżo położona farba gładka, okucia w półmroku błyszcząły blado, marynarze w niepokalanych uniformach poruszali się spokojnie i sprężysto. Wszystko to zdradzało, że „Augusta” jest okrętem flagowym Kinga. Dziwne, długie rampy na pokładach i świeżo przyspawane poręcze były przygotowane dla dotkniętego inwalidztwem prezydenta.

Admirał King w odprasowanym białym mundurze siedział założywszy nogę na nogę w wysokim krześle na mostku, wpytując kapitana „Augusty” o przygotowane dla Roosevelta urządzenia. Na przybycie Henry'ego w ogóle nie zwrócił uwagi. Kapitan, szkolny kolega Puga, odpowiadał jak aspirant na egzaminie. Gdy King go zwolnił, odważył się tylko powiedzieć przyciszonym głosem „Cześć, Pug” i opuścił mostek własnego okrętu.

- Henry, prezydent po przybyciu na okręt chce zamienić z tobą słówko - powiedział King, patrząc na kapitana zimnym wzrokiem i wkładając papierosa do czarnej cygarniczki z filtrem. - Właśnie się o tym dowiedziałem, stąd twoje przeniesienie. Nim byś zdażył powrócić na „Tuscaloosę”, my będziemy już w drodze. Sądzę, że przygotowałeś wszystkie sprawozdania i materiały, jakich prezydent mógłby zażądać.

- Mam wszystkie papiery ze sobą, admirał. - Pug dotknął zamykanej teki, której nie wypuszczał z rąk podczas jazdy z okrętu na okręt.

King, zadarłszy głowę, patrzył do góry na Victora przez półprzymknięte powieki, puszczając dym z papierosa.

- Jak ci mówiłem w zeszłym tygodniu, prezydent zażądał, abyś mu towarzyszył na tych ćwiczeniach. Nie wspominał jednak, że chce cię mieć w każdej chwili na zawołanie. Czy może jesteś przypadkiem jego dalekim krewnym albo starym przyjacielem rodziny Roosevelтів?

- Nie, admirale.

- Nooo... to pamiętaj, jeśli nadarzy się okazja, że służysz w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych.

- Rozkaz, sir.

Nikt właściwie nie zauważył, jak kalekiego prezydenta wwindowano na pokład. Załoga okrętu w paradnych białych mundurach stała na baczność na przednim pokładzie, pod wieżami głównej artylerii. Nie grała orkiestra, nie było salwy honorowej. Jacht „Potomac” podpłynął z lewej burty, niewidoczny od strony Martha's Vineyard. Rozległy się ostre komendy, zabrzmiał gwizdki bosmańskie, „Potomac” odpływając zmacił wodę śrubami i ukazał się prezydent w fotelu inwalidzkim, popychanym przez kapitana marynarki w otoczeniu imponującej świty cywilów, admirałów i generałów. Jakby na niewidzialny znak w tej samej chwili wyszło słońce i jego promień padł na pokład, wprost na szeroko uśmiechniętego i machającego ręką prezydenta. Biały garnitur, miękki biały kapelusz, energiczne gesty, długa cygarniczka trzymana w zębach prawie pionowo w górę, wielka twarz w okularach - wszystko to było niemal zbyt rooseveltowskie, by było prawdziwe. W ten sposób mógł sobie zrobić wejście aktor. Pug pomyślał więc, że FDR urządza małe widowisko dla załogi, być może pod wpływem nagłego ukazania się słońca. Fotel na kółkach i jego świta przesunęły się przez pokład dziobowy i znikły.

Oba krążowniki natychmiast podniosły kotwice i wypłynęły na morze pod osłoną poprzedzającego je dywizjonu niszczycieli. Poranne słońce znikło za chmurami. W posępnym, szarym świetle poranka okręty płynęły na wschód z szybkością dwudziestu dwóch węzłów, przecinając główne atlantyckie szlaki handlowe. Victor Henry godzinami spacerował po głównym pokładzie, rozkoszując się morskim wiatrem, wysoką falą i powolnymi przechyłami pancernych płyt pod stopami. Wezwanie od prezydenta nie nadeszło. To nie dziwiło Puga. Na pokładzie „Tuscaloosy” płynął jego szef z Wydziału Planowania Wojennego i obaj zamierzali odwalić w drodze sporo roboty. Gdy zaś oba krążowniki dopłyną do punktu spotkania, będą mieli całonocną konferencję. To, że zostali rozdzieleni, prawdopodobnie nie miało sensu, ale zachciance prezydenta trzeba się było podporządkować.

Nazajutrz, gdy Victor kończył jajka na bekonie w admirałkiej mesie, steward wręczył mu zapieczętowany list na żółtym papierze z bloku do notowania.

„Mój stary, jeśli nie trzymasz wachty, zajrzyj do mnie około dziesiątej. Skipper”.

Złożył liścik starannie i schował do kieszeni. Wszystkie takie listy, ważne czy nie, Pug przechowywał dla wnuków. Z uderzeniem dziesiątej stawiał się w kwaterze admirałkiej. Przed apartamentem prezydenta opalony żołnierz piechoty morskiej o nieruchomym wzroku z precyzją mechanizmu przyjął postawę zasadniczą.

- Witaj, Pug! Akurat czas na wiadomości radiowe. - W kajucie był tylko Roosevelt. Siedział w fotelu przy stole krytym zielonym rypsem. Z małego, przenośnego radia dobiegał bełkot audycji reklamowej. Pod oczami Roosevelta widać było przez szkła binokli ciemne worki. Był przemęczony, ale rozpięty kołnierz koszuli pod starym, szarym swetrem stwarzał pozory odprężenia. Zaciął się przy goleniu i miał na szerokim podbródku ranę pokrytą zaschniętą krwią. Za to cerę miał zdrową i z rozkoszą wciągał zapach wiatru, który wpadając do kabiny przez nawiewnik wicherzył mu rzadkie siwiejące włosy.

Usłyszawszy, że Moskwa przyznaje, iż Niemcy posunęli się daleko za Smoleńsk, prezydent potrząsnął głową ze smutkiem. Następnie spiker oświadczył, że miejsce pobytu prezydenta Roosevelta nie jest już tajemnicą. Roosevelt nadstawił uszu. Według spikera prezydent odpoczywa na swym jachcie „Potomac”. Reporterzy widzieli go zeszłego wieczoru o ósmej na tylnym pokładzie, gdy jacht przepływał kanał Cape Cod. Roosevelt rzucił Pugowi chytre spojrzenie. Na twarzy rozlał mu się uśmiech pełen zadowolenia z własnego sprytu.

- Ha, ha! A ja o ósmej byłem tutaj, na pełnym morzu. Jak myślisz Pug, jak to wymyśliłem?

- Doskonały podstęp, sir. Ktoś w przebraniu na jachcie?

- Trafieś w sedno! Tom Wilson, mechanik. Daliśmy mu biały garnitur i biały kapelusz. Wspaniale się udało. - Przyciszył radio, nadające kolejną reklamę. - Ani Churchill ani ja nie chcemy u-bootom ułatwiać polowania na nas. Ale szczerze przyznaję, że bawi mnie oszukiwanie dziennikarzy. Zmienili mi życie w męczarnię. - Roosevelt przerzucił stos papierów na biurku. - O, jest. Przejrzyj to, mój stary. - Maszynopis miał nagłówek: „Dla Prezydenta. Ścisłe tajne. Tylko dwa egzemplarze”.

Znów podkręciwszy radio, by głośniej grało, prezydent rozparł się w fotelu. Jego ruchliwa twarz stała się poważna i znużona, gdy spiker ogłosił, że zgodnie z sondażem prasowym Izba Reprezentantów odrzuci ustawę o przedłużeniu poboru większością sześciu do ośmiu głosów.

- To nieprawda - wtrącił się prezydent. Ciężkie spojrzenie ciemno podkrążonych oczu

wbił w odbiornik, jakby chciał kłócić się ze spikerem. W następnej wiadomości podawano, że niemieckie ministerstwo propagandy wysmiało oskarżenia światowych przywódców żydowskich, jakoby nastąpiła masakra Żydów na zajętych przez Niemców terenach Związku Sowieckiego. Ministerstwo oświadczyło, że Żydzi rozsiewają aliancką czarną propagandę, a jeśli Czerwony Krzyż zechce, może w każdej chwili przysłać swoich przedstawicieli, by sprawdzili rzecz na miejscu.

- Znowu kłamstwo - oświadczył prezydent, wyłączając radio z gestem obrzydzenia. - Ci naziści to naprawdę absolutnie bezczelni kłamcy. Czerwony Krzyż w ogóle nie może uzyskać tam wjazdu. Myślę, a także mam nadzieję, że te informacje są strasznie przesadzone. Przynajmniej tak twierdzi nasz wywiad. Ale nie ma dymu... Zdjął binokle i mocno przetarł oczy palcami. - Pug, czy twoja synowa wróciła ze swym wujem do kraju?

- O ile wiem, sir, powinni być już w drodze.

- Dobrze. Bardzo dobrze. - Roosevelt wypuścił chmurę dymu z papierosa. - Ten twój podwodniak, to kawał chłopa.

- Raczej zarozumiałego szczeniaka. - Victor Henry próbował równocześnie rozmawiać z Rooseveltem i czytać podany mu dokument. Materiał był wybuchowy. Trudno było się nad nim skupić, bo wszystkie strony pełne były cyfr.

- Ja też mam syna podporucznika. Jest na pokładzie i chcę byś go poznał.

- Z przyjemnością, sir.

Roosevelt kaszląc zapalił kolejnego papierosa.

- Dostałem egzemplarz tego żydowskiego oświadczenia. Przyniosła mi go delegacja moich starych, dobrych przyjaciół. To zadziwiające, Pug, jak Żydzi trzymają się razem. Ale co można zrobić? Besztanie Niemców jest ponizające i do tego bezowocne. Ten środek zużył się już dawno temu. Różnymi podstępami próbowałem omijać ustawy imigracyjne i nawet udało się to w pewnym stopniu. Ale mając na karku Kongres, gotów rozwiązać naszą armię, czy możesz sobie wyobrazić, że zwrócę się do niego o uchwalenie ustawy, zezwalającej na wjazd zwiększonej liczby Żydów? Co do poboru jestem pewien, że pokonamy opozycję, ale w najlepszym razie o włos.

Mówiąc to wszystko Franklin Roosevelt odsunął papiery na bok, wziął do ręki dwie talie kart i z uwagą zaczął rozkładać bardzo skomplikowanego pasjansa. Przez chwilę przekładał karty w milczeniu. Ale gdy okręt mocno się zakołysał, prezydent odezwał się radośnie:

- Ach, Pug, czy to nie wspaniałe uczucie, gdy człowiek jest znów na morzu?

- Z pewnością, panie prezydencie.

- Wiele razy pływałem po tych wodach. Słowo honoru, mógłbym pilotować ten okręt.
- Roosevelt zauważył, że Henry odwraca ostatnią stronicę. - No? Co o tym sądzisz?

- Panie prezydencie, to coś dla mojego szefa.

- Owszem, ale Kelly Turner jest tam, na „Tuscaloosie”. A poza tym nie chcę kolejnej kłótni między szefami służb. - Prezydent uśmiechnął się do kapitana serdecznie. - Pug, ty masz wycucie faktów, i mówisz w taki sposób, że cię rozumiem. Takie połączenie dwóch zalet rzadko się zdarza. Więc kawę na ławę. Nie śpiesz się.

- Tak, panie prezydencie.

Pug ponownie przerzucił dokument, robiąc krótkie uwagi w notatniku. Prezydent, zapalając papierosa od papierosa, starannie układał karty.

Henry nie znalazł w dokumencie nic zaskakującego. Wszystko to już słyszał podczas sprzeczek z planistami armii lądowej. Ale tym razem armia zwróciła się do prezydenta, albo przez generała Marshalla, albo jakimś krętym kanałem, który Roosevelt swoim zwyczajem trzymał otwarty. Ale sam dokument był jak brzytwa: gdyby jakiś przeciek dotarł do izolacjonistów wśród senatorów, byłby to koniec Lend-Lease, koniec ustawy o poborze, a może nawet początek działań do postawienia prezydenta w stan oskarżenia. I dlatego właśnie Henry zdumiał się, że coś takiego istnieje na papierze.

Roosevelt zażądał, by przygotowano „Program Zwycięstwa”. Miał on wytyczyć nowe podejście do problemów wojennych, by zlikwidować paraliż Lend-Lease i produkcji. Pół tuzina urzędów, a także wielki przemysł, tak się w tym zaplątały, że wreszcie zostały dotknięte zupełną niemocą. Istniał Urząd Zaopatrzenia Armii i Marynarki, Urząd Zasobów Wojennych, Biuro Administracji Stanu Wyjątkowego, Komisja Doradcza Obrony Narodowej, Urząd Zarządzania Produkcją. Ich szefowie walczyli między sobą o przychylność prezydenta, oficjalny Waszyngton był zdezorientowany mnogością nowych inicjałów na parafach, mnożyły się niedobory i wąskie gardła, a strumyczek zaopatrzenia wojennego ledwie się sączył. By przełamać ten impas, Roosevelt zażądał od sił zbrojnych, by wyliczyły wszystko, czego potrzebują do wygrania wojny globalnej, a wychodząc z tego założenia wypracowały nowe zasady pierwszeństwa.

Przez całe tygodnie planiści, tacy jak Victor Henry, obliczali potrzeby wynikające z zakładanych amerykańskich inwazji na Francję, Afrykę, Niemcy, Włochy, Chiny, i Honsiu, nalotów na miasta przemysłowe, oraz wspólne operacje z Brytyjczykami, a nawet z Rosjanami. Armia i Marynarka, pełne wzajemnej nieufności, prawie się nie porozumiewały na temat programu. Każda przygotowała własną wersję i oczywiście obie żądały dla siebie maksimum udziału w wykorzystaniu siły roboczej i produkcji przemysłu. Zrobiły absolutnie

wszystko co możliwe, aby utajnić „Program Zwycięstwa” i sporządzać jak najmniej dokumentów. Ten, który Victor Henry miał w tej chwili w rękach, był ostrą krytyką żądań Marynarki przez Armię.

- Napiłbyś się soku pomarańczowego? - spytał prezydent na widok stewarda wchodzącego z dzbankiem na tacy. - Masz ochotę? Felipe wyciska go ze świeżych owoców. Zdobył wprost fantastyczne pomarańcze.

- Dziękuję, sir - Pug wypił łyk pianistego płynu. - Panie prezydencie, to by wymagało odpowiedzi równie długiej, jak całe to pismo. Wszystko sprowadza się do tego, że Marynarka i Armia używają dwóch różnych szklanych kul. To zresztą nieuniknione. Armia jest wielka i na niej spoczywa ostateczna odpowiedzialność za bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych. To oczywiste. Armia jest zdania, że po klęsce Rosji i Anglii będzie musiała samotnie walczyć z Osią. Dlatego żąda tak wiele. Wychodząc z bilansu siły roboczej całych Stanów, obliczają, że Armia musi liczyć dziewięć milionów ludzi. To jest maksimum naszej wydolności mobilizacyjnej.

- I takiej armii pewnie będziemy potrzebować - zauważył prezydent.

- Tak, sir. Zapatrywaniami różnimy się głównie co do Lend-Lease. Armia twierdzi, że zamierzamy pozbywać się zbyt wiele broni i maszyn, które Niemcy mogą zdobyć i obrócić przeciw nam. Ale Marynarka uważa, że jeśli nawet Związek Sowiecki szybko upadnie, a po nim Wielka Brytania, to aby ich pobić, najpierw będzie musiała zginąć cholerna masa Niemców. A każdy martwy Niemiec, to jednego strzelającego do nas w przyszłości mniej.

- Zgadzam się z tym - powiedział po prostu prezydent.

- Wobec tego, panie prezydencie, czy nie powinniśmy za wszelką cenę wspomagać ludzi, którzy zabijają Niemców właśnie w tej chwili? Stracony materiał wojenny możemy odbudować i zastąpić nowym bardzo szybko, ale na zastąpienie martwego Szkopa nowym wyszkolonym potrzeba dwudziestu lat.

- Dobrze powiedziane - zauważył prezydent z uśmiechem. - Ale Lend-Lease nie jest jedyną kością niezgody. Zauważyłem, że Marynarka żąda potężnej części naszej produkcji stali.

Pug pochylił się do przodu z łokciami na kolanach i przemówił z wielkim przekonaniem:

- Panie prezydencie, Hitler w zeszłym roku nie pobił Anglii, ponieważ mając największą armię świata nie potrafił jej przerzucić na wybrzeże odległe o parę mil. Miał tyle statków, ile trzeba, by ją przewieźć. Ale po drugiej stronie Kanału nie miał portu, w którym by mógł je rozładować. Desant z morza to niezmiernie trudny problem taktyczny. Wątpliwe,

czy istnieją trudniejsze. Łatwo jest rzucić tu czy tam ludzi na brzeg, ale jak ich ustrzec przed zmieceniem przez obrońców? Tamci ludzie są w sytuacji rozbitków. A obrońcy dysponują ogromną ruchliwością, przewagą liczebną i większą siłą ognia. Mogą ześrodkować siły i zmiażdżyć desant - mówił Pug, a prezydent z cygarniczką w zębach, patrząc przenikliwie i uważnie, kiwał twierdząco głową. - Jakaż więc, sir, jest na to odpowiedź? Są nią jednostki morskie, zdolne do lądowania wielkimi masami na otwartych plażach. Rzuca się dużą siłą na wybrzeże, zaopatruje się ją i wzmacnia, póki nie zdobędzie portu. Wtedy można tam zmasować wszystkie transportowce, nawet luksusowe statki pasażerskie jeśli się je ma, i rozpocząć prawdziwą inwazję. Ale jednostek desantowych potrzeba całe roje, sir, i to wiele różnych modeli. Powierzono mi przeanalizowanie tej sprawy. Wygląda, że ogółem będziemy musieli zbudować ich około stu tysięcy.

- Sto tysięcy! - prezydent potrząsnął wielką głową. - Ależ wszystkie stocznie Stanów Zjednoczonych nie zbudują ich przez dziesięć lat, nawet gdyby przestały budować wszystko inne. Pug, gadasz absolutne nonsensy. Każdy przesadnie traktuje swoją wąską specjalność.

Równocześnie Roosevelt z rozjaśnionym wzrokiem uśmiechał się mile podniecony. Opowiedział o jednostkach desantowych, używanych przez marynarkę wojenną w poprzedniej wojnie, gdy był asystentem sekretarza. Opowiedział też o klęsce brytyjskiego lądowania w Gallipoli.

Victor Henry wyciągnął z teki zdjęcia niemieckich barek desantowych, nowych modeli brytyjskich oraz projekty amerykańskich. Prezydent oglądał wszystko z wielkim zapałem.

- Różne modele służą do wykonywania różnych zadań - oświadczył Pug - od wielkiego okrętu desantowego, zdolnego przepłynąć ocean z ogromnym ładunkiem czołgów i ciężarówek do małych czołgów ziemno-wodnych, które potrafią wypelzać z wody na brzeg, cofać się jeśli trzeba, a może nawet nurkować.

Rooseveltwi wyraźnie wszystko to szalenie się podobało. Pod rozrzuconymi fotografiami i rysunkami leżał pomieszany i zapomniany pasjans.

- Słuchaj, a wy, chłopaki, myśleliście kiedyś o czymś takim? - Prezydent schwycił żółty liniowany blok i grubymi kreskami czarnego ołówka zaczął szkicować, mówiąc: - To jest pomysł, jaki miałem w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku, gdy studiowałem raporty o Gallipoli. Wysłałem szkice i wszystko inne do Wydziału Okrętownictwa i więcej o tym nie słyszałem. Nadal jestem przekonany, że ma swoje zalety, choć do tej chwili o tym nie pamiętałem. Popatrz, Pug.

Rysunek przedstawiał wydłużoną, płaskodenną barcę. Na śródokręciu na podstawie w

kształcie łuku, nad głowami skulonych żołnierzy, wirowało osłonięte obudową śmigła silnika samolotowego.

- Wiem, że tu wchodzi problem równowagi całości przy tak wysoko umieszczonym ciężarze, ale przy dość masywnej stępcie i zastosowaniu aluminium... Sam widzisz, Pug, że taki statek może lądować wprost na plaży, przejść przez bagna, gdziekolwiek. Przeszkody podwodne byłyby dla niego niczym. - Prezydent z zadowoleniem uśmiechnął się do swego rysunku, po czym nakreślił pod spodem: „FDR - na pokładzie USS „Augusta”, w drodze na spotkanie z Churchilllem, 7 sierpnia 1941”. - Trzymaj. Nie zagrzeb tego w papierach, jak to zrobił Wydział Okrętownictwa. Pomyśl o tym. Może to tylko głupi pomysł, ale... No, dobrze! Może sobie popatrzymy na słońeczko, wreszcie świecące przez iluminator!

Prezydent nałożył biały kapelusz i płynnym ruchem prześliznął się na fotel na kółkach, opierając się na rękach z niemal małpią zręcznością, by unieść i przesunąć swe ciało. Victor Henry otworzył drzwi na pokład słoneczny. Roosevelt szybko przetoczył swój fotel przez listwę progową po szaro malowanych pochylniach.

- Ach, co za wspaniałe uczucie! Ciepłe słońce i morskie powietrze. Właśnie to, co lekarz zalecił. Pomóż mi, Pug. - Prezydent opuścił się na obity niebieską skórą leżak, ustawiony w osłoniętym od wiatru kącie nadbudówki. Obaj popatrzyli na długie, szaro malowane lufy armatnie i pienisty kilwater łagodnie kołyszącego się krążownika. - Nadal uważam, że dla tych barek desantowych nie znajdziesz wolnych pochylni na stoczniach cywilnych ani wojskowych, Pug. Trzeba budować statki handlowe, niszczyciele eskortujące, lotniskowce. Więc dla tamtych jednostek trzeba będzie korzystać z wytwórni, gdzie tylko się je znajdzie: przy rzekach i kanałach śródlądowych... setki małych fabryczek. - Prezydent pochylił głowę na ramię, spoglądając na morze. - Wiesz co? Ten program może być błogosławieństwem dla drobnego przemysłu. Na ten temat Kongres zawracał mi głowę na wszelkie możliwe sposoby. To naprawdę pomysł. Pieniądze płynące do drobnego przemysłu w wielu stanach... - Prezydent zapalił papierosa, zręcznie osłaniając zapalniczkę w złożonych dłoniach. - Bardzo dobrze. Przygotuj mi własną opinię o tym dokumencie Armii. Po prostu napisz, co myślisz i daj mi to jeszcze dziś.

- Tak jest, panie prezydencie.

- Oczywiście, szalenie mnie interesuje sprawa floty desantowej, ale nie chciałbym, abyś w niej ugrzązł. Gdy tylko Program Zwycięstwa zostanie ukończony, zabierzemy cię z Planowania Wojennego i wyślemy na morze. Już tam jesteś spóźniony.

Victor Henry zrozumiał, że odniósł sukces u Roosevelta, a moment jest sprzyjający.

- Panie prezydencie - powiedział - od dawna tęsknię za pancernikiem.

- Uważasz, że potrafiłbyś nim dowodzić?

Starając się ze wszystkich sił nie zdradzić emocji wyrazem twarzy ani głosem i zdając sobie sprawę, że jego dalsze życie może zależeć od kilku słów, odpowiedział:

- Sądzę, że potrafię, sir.

- Prawda, że zostałeś zatrzymany na łądzie przez niewdzięczne zadania. Wódz Naczelny powinien mieć w tej sprawie coś do powiedzenia. Damy ci dowództwo pancernika.

Prezydent powiedział to niedbale. Ale ton jego głosu, człowieka wykształconego, pełen samozadowolenia skłon głowy, królewski sposób trzymania rąk na oparciu leżaka i uśmiechania się do kapitana Henry'ego zdradzał, jak Roosevelt lubuje się w sprawowaniu władzy i ile daje mu satysfakcji rozdawanie łask.

- Dziękuję, panie prezydencie.

- Dobra, Pug. Poszukaj mi głównego kancelistę Terry'ego w kajucie sygnalistów. Powiedz mu, żeby do mnie przyszedł.

Victor Henry, oszołomiony ostatnim fragmentem rozmowy, skierował się do apartamentu prezydenckiego i tam przerwał pogawędkę między generałem Marshalllem, admirałem Kingiem, admirałem Starkiem i generałem Watsonem. Wszyscy we wspaniałych mundurach siedzieli rozwaleni na leżance i w głębokich fotelach. Twarze czterech wzbudających przerażenie dowódców zwróciły się ku Pugowi. Przemaszerował przez pokój tak szybko, jak się dało nie biegnąc, i wyszedł.

Okazało się, że Franklin Roosevelt wezwał Victora Henry'ego na „Augustę” tylko dla tej, trwającej krócej niż godzina, pogawędky. Przez całą drogę do Nowej Fundlandii kapitan widywał prezydenta tylko z daleka.

Pug już nie próbował przeniknąć zamysłów prezydenta. Nie poczuł się pochlebiony, gdy Roosevelt go wezwał, ani odrzucony gdy o nim zupełnie zapomniał. Nie łudził się, że prezydent wysoko go ocenia ani też, że cokolwiek sam powie lub zrobi, wpłynie na bieg historii. Prezydent używał także innych skromnych ludzi. Tożsamości i zadania niektórych z nich okrywała mgła tajemnicy. Henry wiedział o istnieniu pułkownika marines, który odwiedzał Japonię, Chiny i Indie ze zleceniami od prezydenta, a także podstarzałego kupca drzewnego z Oregonu, zresztą przyjaciela jego własnego ojca, którego specjalnością było wykupywanie rzadkich surowców wojennych w Ameryce Południowej, by nie dostały się do rąk Niemców. Pug sam siebie zaliczał do tych niewiele znaczących ludzi, a to, że prezydent dawał mu zlecenia, uznał za wynik przypadkowego impulsu. Roosevelt lubił go za to, że Pug znał się na rzeczy, działał skutecznie i trzymał usta zamknięte. Przypadek, że trafnie przewidział pakt hitlerowsko-sowiecki, zyskał mu uznanie za wnikliwość większe, niż na to

naprawdę zasługiwał. I było też to dziwne zdanie wypowiedziane przez Roosevelta: „Mówisz w taki sposób, że cię rozumiem”.

Mimo wszystko prezydencka obietnica pancernika odebrała Pugowi nocny spokój. Tylko dwóch jego kolegów z kursu dowodziło pancernikami. Victor Henry poszedł do kajuty sztabowej i przejrzał Rejestr Marynarki Wojennej, by ustalić możliwości wyboru. Oczywiście nie mógł liczyć na jeden z nowo zbudowanych okrętów, klasy „North Carolina” czy gigantyczny jak „Indiana”. Dostanie zmodernizowany stary okręt. Termin przedłożenia ukończonego Programu Zwycięstwa był krótszy niż za miesiąc. Przeglądając zapisy Pug doszedł do wniosku, że mogą otworzyć się za parę miesięcy wakaty na „Kalifornii” lub „West Wirginii”. Dla kapitana Victora Henry'ego po trzydziestu latach służby w marynarce przeglądanie spisu pancerników, by zgadnąć, którym z nich będzie dowodził, było mocnym przeżyciem.

Starał się zdławić swe uniesienie. Henry podziwiał prezydenta, niekiedy nawet kochał tego dzielnego kalekę o szerokim uśmiechu i prawie nienasyconym głodzie pracy. Ale nie rozumiał Roosevelta ani mu nie ufał i w żaden sposób nie podzielał nieograniczonego oddania dla niego ze strony ludzi takich, jak Harry Hopkins. Za ciepłą fasadą arystokratycznej bezpośredniości czaiła się ponura, trudna do określenia osobowość pełna dalekosiężnych wizji i upartego dążenia do celu, osobowość twardego sukinsyna, dla którego nie liczył się prawie nikt, może z wyjątkiem własnej rodziny, a może nawet bez tego wyjątku. Może zdarzyć się tak, że Roosevelt zapamięta swą obietnicę dania Henry'emu pancernika. Ale z równym prawdopodobieństwem jakieś nowe zlecenie może tę sprawę odsunąć tak daleko, aż obietnica przestanie się liczyć. Przy Roosevelcie Victor Henry nauczył się, jacy są wielcy ludzie, i od tej pory kapitan często przypominał sobie biblijną przestrożę, że gliniane garnki powinny trzymać się z dala od żelaznych kotłów.

Spokój przesycił otoczoną puszcza Zatokę Argentia na Nowej Fundlandii, gdzie zarzuciły kotwice amerykańskie okręty w oczekiwaniu na przybycie Winstona Churchilla. Tumany mgły przemieniły wszystko w szarość: szara była woda, szare niebo, szare powietrze i szare z odcieniem zieleni odległe pagórki. Monstrualne, szare stalowe okręty, dziwaczni intruzi z dwudziestego wieku w tym kraju Indian, stały we mgle jak brzydkie widma przyszłości. Na pokładach marynarze i oficerowie przy gwizdkach i skrzeczeniu głośników oddawali się codziennym zajęciom. Ale zaraz za zasięgiem odgłosów zwykłego życia okrętowego, w Zatoce Argentia panowała pierwotna cisza.

O dziewiątej rano ukazały się trzy szare niszczyciele, poprzedzając pomalowany w łamany kamuflaż przypominający skórę węża - pancernik. Był to H.M.S. „Prince of Wales”,

największy okręt ze zgromadzonych, uzbrojony w działa, z których trafiono „Bismarcka”. Gdy przepływał obok „Augusty”, orkiestra dęta na jego pokładzie wstrząsnęła ciszą grając „The Star Spangled Banner”. Po chwili milczenia orkiestra na pokładzie rufówki „Augusty” zagrała „God Save the King”.

Pug stał blisko prezydenta, pod markizą umocowaną do wieży artyleryjskiej numer jeden, w otoczeniu admirałów, generałów i cywilnych dostojników jak Averell Harriman i Sumner Welles. Nie dalej niż o pięćset jardów dobrze widoczny Churchill w dziwnym niebieskim ubiorze wymachiwał wielkim cygarem. Prezydent, stojąc sztywno na spiętych stalowymi klamrami nogach, przewyższał wszystkich. Miał na sobie dobrze skrojony brązowy garnitur, jedną ręką przyciskał kapelusz do serca, drugą trzymał się ramienia syna, bardzo podobnego do ojca oficera lotnictwa lądowego. Wielka, różowa twarz Roosevelta była przejęta i poważna.

W tym podniosłym momencie Pug myślał o bardzo prozaicznych sprawach. Eksperci Biura Okrętownictwa spierali się o wzór kamuflażu. Jednym podobały się brytyjskie tropikalne plamy, niektórzy woleli zwykłą szarość lub poziome niebieskie pasy. Pug dostrzegł przez mgłę pstry pancernik znacznie wcześniej, niż wyprzedzające go o milę jednobarwne niszczyciele.

Doszedł do wniosku, że złoży o tym raport.

Skończył się „God Save the King”. Prezydent odprężył się.

- No, no - powiedział - nigdy nie słyszałem lepiej odegranego „My Country Tis of Thee”. - Otoczenie zaśmiało się uprzejmie z prezydenckiego żartu, roześmiał się i Roosevelt. Dźwięk gwizdków bosmańskich zakończył uroczystą paradę na pokładzie krążownika.

Admirał King skinął na Puga.

- Weź mój barkas, płyn na „Prince of Wales” i tam zamelduj się do dyspozycji Harrego Hopkinsa. Prezydent chce z nim rozmawiać, nim zjawi się Churchill, więc się pospiesz.

- Rozkaz, sir.

Paręset jardów nieruchomej wody dzielącej „Augustę” od „Prince of Wales” Victor Henry przebył barkasem admirała Kinga. Była to podróż z Ameryki do Anglii i od pokoju do wojny. Skok był szokujący. Wymuskany, okręt flagowy Kinga należał do innego świata niż sponiewierany przez burzę okręt brytyjski, gdzie na trapie burtowym osadziła się sól, farba kamuflażu łuszczyła się, i nawet działa głównej baterii wyglądały jak podziobane przez rdzę. Pug osłupiał na widok niedopałków papierosów i starych papierów w splywnikach pokładowych, choć gromady brytyjskich marynarzy gorączkowo próbowały doprowadzić

wszystko do porządku. Tu i ówdzie na nadbudówce przyspawane były płyty świeżej stali jak plastry na ranach zadanych salwami „Bismarcka”.

Oficer dyżurny miał starannie przystrzyżoną kasztanową bródkę, zapadnięte policzki i czarujący uśmiech. Pug pozazdrościł mu zielonego nalotu na złotych galonach czapki.

- Tak, kapitanie Henry - powiedział, energicznie odsalutowawszy w sposób brytyjski, dłonią do przodu - pan Hopkins otrzymał wiadomość i czeka na pana w swej kabinie. Podoficer pana zaprowadzi.

Victor Henry poszedł za nim przez korytarze łudzaco podobne do tych na okrętach amerykańskich, a przecież różniące się niezliczonymi szczegółami: oznaczeniami, armaturą, gaśnicami, kształtem wodoszczelnych drzwi.

- A, witaj Pug - odezwał się Hopkins takim tonem, jakby rozstali się dzień czy dwa dni wcześniej, choć ostatni raz widzieli się w pociągu do Hyde Parku, a od tej pory Hopkins w pełnym blasku zainteresowania prasy światowej odbył podróże do Londynu i Moskwy. - Czy mam popłynąć z tobą?

- Tak jest, sir.

- Jak się czuje prezydent?

W niewielkiej, położonej za mesą oficerską kajucie Hopkinsa leżały na koi dwie otwarte walizki. W jednej starannie układał dokumenty, teczki i książki, do drugiej bezładnie wrzucał ubrania, buteleczki lekarstw i obuwie. Hopkins wyglądał na jeszcze chudsze niż dawniej: jak przygarbiony strach na wróble, na którym luźno powiewała szara dwurzędowa marynarka. W jego długiej, zmizerowanej twarzy mądre, prawie kobiece oczy wydawały się tak wielkie, jak u lemura. Podróż morską przywróciła mu tylko świeżość cery i żywe ruchy.

- Bawi się, jak nigdy w życiu, sir.

- No, ja myślę. Churchill zresztą także. Zachowuje się jak chłopak idący na pierwszą randkę. A swoją drogą chwila jest historyczna. - Hopkins wyciągnął brudne koszule z szuflady i upchał je w walizce. - Prawie o nich zapomniałem. Zostawiłem też parę na Kremlu i potem musiałem wypraszać nowe w Londynie.

- Mr. Hopkins, co z Rosjanami? Wytrzymają?

Hopkins zatrzymał się ze stosem papierów w ręku, zacisnął usta, po czym oświadczył zdecydowanie:

- Rosjanie wytrzymają. Ale niewiele będzie brakować. Potrzebują pomocy. - Znow zaczął się pośpiesznie pakować. - Pug, samolotem z Archangielska do Moskwy całymi godzinami leci się nad nieprzerwanymi zielonymi lasami lub brązowymi bagnami. Często od horyzontu po horyzont nie widać wioski. Hitler tym razem za dużo ugryzł. - Hopkins

mocował się z zamkami walizek, Henry mu pomógł. - Dziękuję. Jak ci się zdaje, czego Stalin najbardziej chce od nas?

- Samolotów - szybko odpowiedział Victor Henry. - „Całych chmur samolotów”, o które wołali Francuzi w zeszłym roku.

- Aluminium - odrzekł Hopkins. - Aluminium do budowy samolotów. Przepraszam, małe sprostowanie. Na pierwszym miejscu wymienił działa przeciwlotnicze. Następnie aluminium. Potrzebuje też masy wojskowych ciężarówek. Stalin nie zamierza dać się pobić za trzy tygodnie, za sześć tygodni ani za trzy lata. - Hopkins wyrównał papiery w mniejszej walizce. - Idziemy.

Przeszli przez wspaniałą mesę oficerską, zajmującą całą szerokość okrętu. Była wyposażona jak londyński klub, z ciemną boazerią, głębokimi fotelami, półkami pełnymi powieści i encyklopedii oraz barem. Lokaj otworzył drzwi do kabiny premiera; ujrzeli niezwykle widok. Winston Churchill, boso, ubrany tylko w żakiet, krawat i żółte jedwabne niewymowne, kontemlował swe odbicie w lustrze.

- Witaj, Harry. - W ustach obracał długie cygaro. Kapitana Henry'ego zignorował zupełnie. - Nie jest mi wiadomo, by kiedykolwiek przedtem premier Jego Królewskiej Mości składał wizytę na morzu prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Zauważyłem, że prezydent ubrany jest w codzienny brązowy garnitur. Ale on jest głową państwa, a ja zaledwie ministrem. - Rozważanie tego jedyne w swoim rodzaju, historycznego problemu rozjaśniło starą, tłustą twarz Churchilla psotnym uśmiechem zadowolenia. - Zdaję sobie sprawę, że to dziwny strój. Mój szef protokołu domaga się, bym włożył moją starą, codzienną kurtkę z mosiężnymi guzikami i czapkę z daszkiem. Ale to chyba zbyt po domowemu.

- Panie premierze - zauważył Hopkins - w ten sposób będzie pan bardziej wyglądał na Byłego Marynarza.

Na przypomnienie cudacznego przezwiska, jakiego używał w korespondencji z Rooseveltem, Churchill uśmiechnął się szeroko.

- Zgoda - odezwał się do lokaja. - Z powrotem mundurek z Trinity House.

- Panie premierze, to jest kapitan Victor Henry z Planowania Wojennego Marynarki.

Ściągnąwszy brwi Churchill powiedział:

- Cześć, czy już zrobiliście coś na temat tych barek desantowych?

Hopkins i Victor spojrzeli po sobie, a Churchill z zadowoleniem ściągnął szerokie usta.

- Jestem zaskoczony, że mnie pan pamięta, panie premierze - odrzekł Pug. - Właśnie tym się teraz zajmuję. Wczoraj długo rozmawiałem z prezydentem o jednostkach

desantowych.

- No więc? Czy Stany Zjednoczone wybudują ich ile trzeba? A potrzeba będzie bardzo dużo.

- Wybudujemy, sir.

- Czy nasi ludzie zapewnili wszystko, czego pan żądał?

- We wszystkich sprawach współpracowali znakomicie.

Gdy lokaj pomagał mu włożyć olbrzymie granatowe spodnie, Churchill powiedział:

- Myślę, że przekonacie się, iż my, prości wyspiarze, także zaprojektowaliśmy jedną czy dwie użyteczne konstrukcje. - Mówił powoli, głosem tak niskim, że niemal warczącym, „s” natomiast wymawiał sepleniąco.

Hopkins pożegnał się z Churchillem i odeszli. W korytarzu odezwał się z niedowierzaniem:

- Całymi dniami odbywaliśmy tu próby ceremonii powitalnej, a on w ostatniej chwili grymasi jak ma się ubrać! A przecież to wielki, bardzo wielki człowiek.

Gdy Hopkins niepewnym krokiem schodził po trapie do barkasa Kinga, rufa uniosła się na fali wysoko w górę, a potem zapadła. Hopkins stracił równowagę i zwałił się prosto w ramiona sternika, który powitał go głośnym: Hooopla, sir. - Hopkins chwiejnie przedostał się do środka i z westchnieniem opadł na poduszki.

- Pug - oświadczył - nigdy nie będę żeglarzem. Wsiadając do wodnopłatowca, którym miałem polecieć do Rosji, o mały włos bym się przewrócił na pysk, i taki byłby koniec mojej wyprawy. - Rozejrzał się po świetnie wyposażonej kabinie. - No, no. Ameryka! Pokój! A więc... jesteś nadal w Planowaniu Wojennym. Wobec tego będziesz brał udział w naradach sztabowych.

- Tak, w niektórych, sir.

- Powinieneś więc zapamiętać, czego będą chcieli nasi przyjaciele. Po pięciu dniach na morzu w towarzystwie premiera dobrze się w tym orientuję. - Hopkins wyciągnął wyschniętą dłoń i zaczął wylizywać na swych trupich palcach. Wyglądało to na to, że używa Victora jako pudełka rezonansowego, by odświeżyć pamięć przed spotkaniem z prezydentem, bo mówił na wpół do siebie. - Po pierwsze, będą nalegać na natychmiastowe wypowiedzenie wojny Niemcom. Wiedzą, że tego nie uzyskają. To będzie tylko zmiękczenie rozmówców przed drugim żądaniem, tym rzeczywistym, dla którego Winston Churchill przepłynął ocean. Chcą, aby Stany Zjednoczone ostrzegły Japonię, że jakakolwiek akcja przeciw Brytyjczykom w Azji będzie oznaczać wojnę z nami. Na tym obszarze imperium jest zupełnie zachwiane. Mają nadzieję, że takie ostrzeżenie je podeprze. I będą naciskać na wielkie dostawy materiałów

wojennych dla armii w Egipcie i na Bliskim Wschodzie. Bo jeśli Hitler tam się wepchnie i zablokuje Kanał Sueski, imperium się udusi. Będą też próbować, delikatnie, ale twardo, uzyskać zapewnienie, że pomoc amerykańska dla nich będzie miała pierwszeństwo przed pomocą dla Rosji. Sam bym to zrobił na ich miejscu. Powiedzą, że nadszedł czas, by zacząć z zachodu walić bombami w Niemcy jak w bęben i zbierać siły do końcowego ataku. Dadzą do zrozumienia, że to, co mamy Rosji może za kilka tygodni zostać obrócone przeciw nam.

- Prezydent jest innego zdania - powiedział Henry.

- Mam nadzieję. Jeśli Hitler zwycięży Rosję, podbije cały świat. Jeśli tam przegra, jest skończony, nawet jeśli Japończycy się ruszą. Tam się toczą walki niewyobrażalnej wprost wielkości. Strzela do siebie, Pug, jakieś siedem milionów ludzi. Siedem milionów, albo i więcej. - Te liczby wypowiedział Hopkins powolnym głosem, wyciągając przed siebie palce obu wychudzonych dłoni. - Rosjanie jak dotychczas dostali lanie, ale nie przestraszyli się. Chcą wyrzucić Niemców ze swego kraju. To tam toczy się prawdziwa wojna. I tam powinno iść zaopatrzenie.

- Więc ta konferencja jest prawie bez znaczenia - zauważył Pug.

Barkas dzwoniąc zbliżył się do „Augusty” i zwolnił bieg.

- Nie, to jest zwycięstwo - oświadczył Hopkins. - Prezydent Stanów Zjednoczonych i premier Wielkiej Brytanii spotkają się twarzą w twarz, by przedyskutować sprawę pobicia Niemiec. Świat się o tym dowie. Jak na dziś, to wystarczające osiągnięcie. - Hopkins smutno uśmiechnął się do Henry'ego, a w jego wielkich inteligentnych oczach zapaliło się jasne światło. Podniósł się chwiejnie na nogi. - A także, Pug, jest to zmiana warty.

Na pokład „Augusty” Winston Churchill przybył o jedenastej rano. Wśród towarzyszących mu członków sztabu Henry dostrzegł lorda Burne-Wilke. Wizja Pameli Tudsbury w niebieskim mundurze WAAF tak go wciągnęła, że nie zauważył teatralnego uścisku dłoni, jaki wymienili Roosevelt i Churchill u szczytu schodni. Z uwagi na fotografów uścisk trwał długo, a dwaj mężowie stanu z uśmiechem wymieniali słowa powitania.

Przez cały ranek Pugowi nie dawały spokoju wspomnienia o Anglii i Pameli. Bardzo brytyjskie pozdrowienie przez oficera służbowego przy trapie „Prince of Wales”, rozrzucone w mesie londyńskie magazyny, głos Winstona Churchilla z niewyraźnym „s”, wszystko to obudziło pamięć kapitana, jak budzi ją piosenka albo zapach. Zarządzone przez Göringa w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku bombardowanie Londynu wspominał, jak wydarzenie z innej epoki, prawie innej wojny. Stojąc w tylnych szeregach członków sztabu Kinga, mały, nieznany kapitan marynarki, którego twarz nie będzie widoczna na zdjęciach, próbował otrząsnąć się z takich głupstw i uważać na to, co się dzieje.

W jakiś dziwny sposób obaj przywódcy pomniejszali się nawzajem. Obaj byli Numerami Pierwszymi. Ale to przecież niemożliwe. Który więc był prawdziwym Numerem Pierwszym? Roosevelt był o głowę wyższy, ale z trudem utrzymywał się na martwym szkielecie nóg, trzymając się ramienia syna, a szerokie spodnie powiewały na nim i zwisały. Churchill, przygarbiony Pickwick w granatowym mundurze, patrzył na prezydenta z dołu majestatycznie uśmiechnięty i był przy tym znacznie starszy, bardziej dostojny i bardziej pewny siebie. A przecież był w tym wszystkim także odcień okazywanego szacunku. Roosevelt o najcieńszy włoszek bardziej wyglądał na człowieka Numer Jeden. Może to właśnie miał na myśli Hopkins, mówiąc o „zmianie warty”.

Na niedostrzegalny sygnał skończyło się fotografowanie i ściskanie dłoni. Ukazał się fotel na kółkach. Prezydent znów stał się znanym Pugowi kaleką, który kulejąc zrobił krok czy dwa i z ulgą opadł na fotel. Wielcy przywódcy i ich dowódcy wojskowi opuścili pokład.

Oba sztaby natychmiast zabrały się do roboty i konferowały przez cały dzień. Victor Henry pracował w grupie planistów, o szczebel niżej niż szefowie sztabu i ich zastępcy, wśród których działał Burne-Wilke, i oczywiście znacznie niżej niż konferencja na szczycie prezydenta, premiera i ich doradców. Natychmiast pojawiły się dobrze znane problemy: nadmierne i sprzeczne żądania poszczególnych brytyjskich rodzajów broni, nierealne plany, niewykonane zamówienia, galimatias co do pierwszeństwa, wadliwie działająca łączność. Natomiast szybko uzgodniono jeden punkt zasadniczy. Najpilniejsze było budowanie nowych statków w miejsce tych, które zatapiały u-booty. Tylko takie zaopatrzenie wojenne, które przepłynie ocean, może zostać użyte przeciw Hitlerowi. Ta sprawa była tak prosta, że natychmiast się z nią zgodzono i biegła czerwoną linią przez wszelkie żądania, wszelkie programy, wszelkie projekty. Stal, aluminium, kauczuk, zawory, silniki, obrabiarki, drut miedziany i tysiące innych rzeczy potrzebnych do prowadzenia wojny, zostaną przede wszystkim skierowane na budowę statków. To postanowienie natychmiast ujawniło, jak ubogi jest „arsenał demokracji” i narzuciło, jako sprawę przerażająco pilną, gigantyczne zadanie budowy nowych stalowni oraz przemysłu metalowego, przetwarzającego stal na broń, sprzęt i narzędzia.

Podczas wszystkich rozmów o wielkich, hipotetycznych planach: setkach statków, dziesiątkach tysięcy samolotów i czołgów, milionach ludzi, nieustannie powracał jeden wzruszający temat: natychmiastowa potrzeba stu pięćdziesięciu tysięcy karabinów. Jeśli Rosja się załamie, Hitler może próbować zakończenia wojny powietrzną inwazją na Anglię w stylu zdobycia Krety. Brakowało karabinów do obrony brytyjskich lotnisk. Zdumiewające ilości sprzętu wojennego, potrzebne dla przyszłych inwazji na Afrykę Północną albo wybrzeża

Francji, smutnie kontrastowały z prośbą o sto pięćdziesiąt tysięcy karabinów natychmiast.

Następnego ranka przez błyszczącą w słońcu zatokę zaczęły płynąć ze wszystkich statków łodzie na „Prince of Wales” z uczestnikami nabożeństwa. Po tyłu dniach szarej mgły, na otaczających zatokę pagórkach, w blasku słońca tak jasnym, że prawie oślepiającym, lasy jodłowo-modrzewiowe błyszczały głęboką zielenią.

Niszczyciel amerykański powoli wsunął się między dwa okręty, z mostkiem dokładnie na wysokości głównych pokładów. Przerzucono schodnię. Opierając się na ramieniu syna i na lasce, ubrany w granatowy garnitur i szary kapelusz, Franklin Roosevelt chwiejnie wkroczył na schodnię, z wysiłkiem wyrzucając z biodra to jedną to drugą nogę. Zatoka była spokojna, ale oba okręty kołysały się powoli. Za każdym krokiem prezydent chwiał się i zataczał. Victor Henry i wszyscy Amerykanie stłoczeni na mostku niszczyciela ledwie oddychali podczas bolesnego, utykającego marszu Roosevelta po wąskich, niepewnych deskach. Fotografowie oczekujący na pokładzie rufowym „Prince of Wales” wpatrywali się w prezydenta, ale żaden nie robił zdjęć tego doniosłego marszu kaleki.

Pugowi przypomniał się Franklin Roosevelt z czasów ich pierwszego spotkania: młody asystent sekretarza marynarki, zadzierzysty, wysportowany młodzik; czarujący uwodziciel, pewien siebie jakby cały świat do niego należał, skaczący w górę i na dół po drabinkach niszczyciela i gadający marynarskim żargonem. Lata zmieniły go w siwiejącego pólnivalidę, który z największym trudem pokonywał krok po kroku kilkustopniową schodnię. Tym marszem pokazywał prezydent, że ma dość siły woli, by wygrać wojnę światową. Łatwo można było sklecić i położyć w tym celu rampę, po której Franklin Roosevelt wygodnie i z godnością przejechałby na fotelu. Ale na swój litości godny sposób mógł jednak chodzić. Dlatego na brytyjski pancernik, gdzie zaprosił go na nabożeństwo Winston Churchill, prezydent wszedł na własnych nogach.

Dotknął stopą pokładu „Prince of Wales”. Churchill zsalutował i wyciągnął rękę. Orkiestra wojskowa zagrzmiała „The Star Spangled Banner”. Roosevelt stanął na baczność ciężko dysząc, z twarzą poszarzałą z wysiłku. Następnie, w towarzystwie Churchilla, podciągając się za poręcze i utykając przeszedł przez cały pokład i usiadł. Fotel na kółkach się nie pokazał.

Gdy ustawieni w szeregi marynarze śpiewali „O Boże, twa pomoc przez wieki” oraz „Naprzód, żołnierze Chrystusa”, Winston Churchill nieustannie wycierał oczy. Ryk starych hymnów z gardeł tysiąca młodych mężczyzn na otwartym powietrzu pod lufami wielkich armat napędził Victorowi Henry'emu łez do oczu i mrówek wzdłuż kręgosłupa. Ale to podniosłe nabożeństwo było dla niego takie krepujące.

Stali tutaj żołnierze amerykańskiej i brytyjskiej marynarki wojennej, modląc się jak towarzysze broni. A przecież był fałsz w tym obrazku. Anglicy walczyli, Amerykanie nie. Premier przez nabożeństwo pod lufami sprytnie działał na uczucia prezydenta. Tu oto trafiła kosa na kamień, wola starła się z wolą! Churchill używał wszystkiego co się da, włącznie z rzekomą religijnością Roosevelta, by go poruszyć. Jeśli prezydentowi uda się przeżyć te doświadczenia nie dając obietnicy wypowiedzenia wojny Niemcom, a przynajmniej skierowania ultimatum do Japonii, jest twardym człowiekiem. Ale płaczący obok niego stary grubas był nie mniej twardym graczem, i za to Victor Henry go podziwiał.

Brytyjski kapelan, w powiewającym purpurowo-białym ornacie, z rozwianą siwą czupryną, odczytał końcową modlitwę Royal Navy:

- „...Zachowaj nas przed niebezpieczeństwami morza i przed przemocą nieprzyjaciela, abyśmy mogli być rękojmiami spokoju dla tych, którzy przemierzają wody z prawowitych przyczyn... i abyśmy mogli bezpiecznie powrócić, by cieszyć się błogosławieństwem łądu i owocami naszego trudu... i wychwalać i czcić Twe Święte Imię, przez Jezusa Chrystusa Pana naszego...”

Paru brytyjskich marynarzy wystąpiło z szeregów. Jeden po drugim ukradkiem wyciągali zza bluz aparaty fotograficzne. Gdy nikt nie zamierzał im przeszkodzić, obaj przywódcy uśmiechnęli się do nich i pomachali rękami, zaczął się wyścig. Aparaty pojawiły się tuzinami. Marynarze otoczyli ze śmiechem i wiwatami obu przywódców. Przyglądając się tak niezwykle nieporządkowi na okręcie wojennym z mieszanymi uczuciami rozbawienia i oburzenia, Pug Henry poczuł, że ktoś dotknął jego łokcia. Był to lord Burne-Wilke.

- Witaj, kochany chłopie. Możemy chwilę pogawędzić?

Albo Brytyjczycy mniej się przejmowali pożarami na okrętach niż Amerykanie, albo też wynaleźli niepalną drewnopodobną boazerię. Kabina Burne-Wilke'a sprawiała wrażenie ciepłego, mrocznego i wygodnego zakątka w bibliotece.

- Słuchaj, Henry, jakie masz poglądy na temat picia na okręcie? Mam tu grzeczną butelczynę sherry.

- Jestem za.

- To dobrze. U was nikt nie bierze do ust ani kropli, prawda? Niemniej zeszłego wieczoru wasz prezydent kazał nam podać doskonałe wino.

- Prezydent, sir, jest twórcą wszystkich przepisów Marynarki Wojennej i może je przykrawać według własnego gustu.

- Tak? Szalenie wygodne. - Burne-Wilke zapalił cygaro, obaj sięgnęli po kieliszki. - Myślę, że wiesz, iż ten okręt przepłynął ocean bez eskorty - powiedział Wilke. - Pierwszej

nocy po wypłynięciu z Anglii wpadliśmy w potężny sztorm. Niszczyciele nie mogły utrzymać szybkości, więc pożygakowaliśmy naprzód samotnie.

- Sir, z przerażeniem się o tym dowiedziałem.

- Naprawdę? Nie sądzisz, że brytyjski premier zachował się bardzo sportowo, wystawiając się Hunom na strzał na otwartym morzu? Trzy tysiące mil bez osłony powietrznej i eskorty na powierzchni, na przełaj przez całą nieprzyjacielską flotę podwodną?

- Chyba aniołowie was eskortowali. Tyle tylko mogę powiedzieć.

- Och, wszystko jedno, w końcu jesteśmy tutaj. Ale może byłoby przezorniej nie przemęczać aniołów, co? Nie sądzisz? Gdy będziemy wracać, wszystkie u-booty na Atlantyku będą postawione w stan alarmu bojowego. Będziemy musieli przebić się przez nagonkę. - Burne-Wilke zamilkł na chwilę, badawczo przyglądając się popiołowi swego cygara. - Wiesz, z eskortą u nas bardzo krucho. Udało nam się dostać cztery niszczyciele. Admirał Pound byłby szczęśliwszy, gdyby było ich sześć.

- Powiem o tym admirałowi Kingowi - szybko odrzekł Victor Henry.

- Sam rozumiesz, że nie możemy o to prosić. Premier by się złościł. Ma nadzieję, że spotkamy „Tirpitz” i wdamy się z nim w pojedynkę artyleryjski.

- Zaraz się tym zajmę, sir. - Pug dopił sherry i wstał z miejsca.

- Naprawdę? Serdecznie dziękuję. - Burne-Wilke otworzył drzwi kabiny.

Na pokładzie rufowym nadal fotografowano. Teraz już oficerowie z aparatami odpychali marynarzy, a obaj politycy wesoło gawędzili.

Za nimi stali pochmurną grupą ich szefowie sztabu i doradcy cywilni. Hopkins, krzywiąc się od odbłasku słońca w wodzie, stał ze smutną miną. Wojskowi rozmawiali między sobą, z wyjątkiem admirała Kinga, który stał nieruchomo w pewnym oddaleniu, z długim nosem wystawionym w stronę morza i zastygłym na twarzy wyrazem dezaprobaty. Pug podszedł do niego, zsalutował i w paru słowach zreferował rozmowę z lotnikiem. Fałdy wzdłuż chudej szczęki Kinga pogłębiły się. Skinął dwa razy głową i oddalił się bez słowa. Nie szedł w żadnym określonym kierunku. Był to tylko gest odprawienia Puga, i to bardzo przekonujący.

Przy obfitym jedzeniu i piciu konferencja trwała kolejne dwa dni. Pewnego wieczoru po kolacji Churchill zabrał głos w mesie „Augusty” i w grzmiącej i obfitującej w retorykę mowie nakreślił apokaliptyczny obraz dalszego toku wojny. Blokada, coraz cięższe bombardowania lotnicze i dywersja osłabiają uchwyt hitlerowskich szponów w Europie. Rosja i Anglia „zamkną” pierścień i powoli, nieubłagane go zacisną. Oczywiście, jeśli Stany Zjednoczone staną się w pełni aliantem, wszystko potoczy się szybciej. Na zachodzie nie

będzie potrzebna wielka inwazja ani długa kampania lądowa. Desanty kilku kolumn pancernych w krajach okupowanych wywołają masowe powstania. Czar imperium Hitlera nagle się rozpadnie w gruzy, krew i płomień. Franklin Roosevelt słuchał uważnie z uśmiechem i błyszczącymi oczami, nie powiedział ani słowa, a na zakończenie gorąco oklaskiwał mówcę jak wszyscy.

Ostatniego dnia konferencji, tuż przed lunchem, admirał King posłał po Puga. Admirał stał w swej kabinie w podkoszulce i spodniach, wycierając ręcznikiem twarz i uszy.

- Utworzony został Task Force 26 kropka 3 kropka 1, złożona z niszczycieli „Mayrant” i „Rhind” - oświadczył bez słowa powitania. - Będziesz eskortować okręt premiera do Islandii. Zaokrętujesz się na „Prince of Wales” jako oficer łącznikowy, wyokrętujesz na Islandii i powrócisz z naszymi okrętami.

- Rozkaz, sir.

- Nie otrzymasz rozkazów na piśmie. Ale nie jesteśmy w takiej sytuacji jak poprzednim razem. Zawiadamiam cię poufnie, że wkrótce będziemy konwojować wszystkie statki do Islandii. Może już w przyszłym tygodniu. Do diabła, przecież w tej chwili rozpoczęła się okupacja tej wyspy przez naszych marines. Prezydent wysłała nawet młodego oficera jako adiutanta Churchilla na czas, gdy będzie zwiedzał tam naszą bazę. Podporucznik Franklin D. Roosevelt, junior. - King wymienił nazwisko z nieruchomą twarzą.

- Tak jest, sir.

- A teraz, Henry, jak stoisz z językami?

- Od dawna nie uczyłem się żadnego nowego, admirale.

- Hm. We wrześniu udaje się do Rosji misją dostaw wojskowych. Oczywiście, jeśli Rosja jeszcze będzie walczyć. Pan Hopkins wymienił twoje nazwisko. Zdaje się, że twoja biegłość w sprawach jednostek desantowych i tak dalej, zrobiła na nich dobre wrażenie. Przejrzano więc twój stan służby i stwierdzono, że podajesz tam „dostateczną” znajomość rosyjskiego. Hej? A skąd to? To bardzo rzadkie.

- Admirale, podałem to wstępując do Akademii w tysiąc dziewięćset jedenastym roku. Wtedy to była prawda. Teraz nie pamiętam nawet dziesięciu słów. - Henry wyjaśnił, że w dzieciństwie w hrabstwie Sonoma miał kolegów pochodzenia rosyjskiego i mówiących po rosyjsku.

- Rozumiem. No cóż, to jednak jest zapisane w aktach. Po powrocie z Islandii zostaniesz urlopowany z Planowania Wojennego dla przygotowania się na ewentualną podróż do Związku Sowieckiego z zadaniem specjalnym. Pójdiesz na przyspieszony kurs rosyjskiego dla przypomnienia języka. W Rosji dostaniesz tłumaczy. Ale nawet ze

znajomością tylko paru słów, twoje możliwości wywiadowcze będą znacznie większe.

- Rozkaz, sir.

King nałożył kurtkę mundurową, przyjrzał się Henry'emu i po raz pierwszy za pamięci kapitana obdarzył go uśmiechem.

- W twoich papierach jest też podane, że byłeś doskonałym artylerzystą.

- Mam nadzieję, że znów nim będę.

- Słyszałeś, że godzinę temu przedłużono ważność ustawy o poborze?

- Naprawdę? Dzięki Bogu!

- Większością jednego głosu.

- Cooo? Jednego, sir?!

- Jednego.

- Ojej! To nie doda ducha Brytyjczykom, admirale.

- Nie, prezydentowi też nie, ale takie są w tej właśnie chwili nastroje narodu amerykańskiego. Może samobójcze, ale właśnie takie. A my tak czy inaczej mamy robić naszą robotę. Nawiasem mówiąc, Henry, potrzebuję do mego sztabu oficera operacyjnego. Jeśli dojdzie do twego wyjazdu do Rosji, to po powrocie możesz dostać to stanowisko.

Victorowi Henry'emu udało się zachować kamienną twarz. - Byłbym zaszczycony, admirale.

- Właśnie pomyślałem sobie, że ci się to spodoba. Jestem przekonany, że dasz sobie radę - oświadczył King z niezdarnym odcieniem serdeczności.

Ta perspektywa w przeciwieństwie do dowództwa pancernika przekreślała wszelkie nadzieje kapitana. Rozpacz zmusiła Puga do uwagi:

- Być może prezydent Roosevelt będzie miał inne plany. Nie mam pojęcia.

- Wspominałem o tym prezydentowi. Powiedział, że to wygląda na doskonałą funkcję dla ciebie.

W pamięci Puga jak huk wystrzału zabrzmiał werset z Księgi Psalmów: „Nie pokładaj twych nadziei w książkach”.

- Dziękuję, admirale.

Nie upłynęła jeszcze godzina, gdy do pakującego się Puga nadeszło wezwanie do prezydenta. Tym razem spotkanie trwało minutę, może dwie. Zmęczony i zaabsorbowany Roosevelt siedział przy krytym rypsem stole, pośpiesznie robiąc adnotacje na leżących przed nim dokumentach. W pokoju był Harry Hopkins, a obok niego stał wysoki, przystojny podporucznik, podobny jak dwie krople wody do asystenta sekretarza marynarki, który w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku dokazywał na pokładzie niszczyciela „Davey”.

Prezydent przedstawił Pugowi Franklina D. Roosevelta juniora ze słowami:

- Panowie będą razem podróżować. Powinniście się więc poznać. - Gdy podporucznik ścisnął dłoń kapitana, prezydent rzucił Pugowi wzruszająco ludzkie spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: - Uważaj na niego i rozmawiaj z nim.

Ten ludzki odruch prawie rozwiął ostrą nieufność Henry'ego wobec prezydenta. A może Roosevelt zażartował sobie z Kinga i nadal miał zamiar dać Victorowi pancernik? Z uprzejmego pożegnania, jakim prezydent go obdarzył, jak zwykle niczego nie można było wywnioskować.

Wśród muzyki orkiestr wojskowych grających hymny narodowe i grzmotu salutów artyleryjskich, w podmuchach rześkiego wiatru pachnącego zielenią pobliskich pagórków i prochem armatnim, „Prince of Wales” opuścił zatokę Argentia. Wielka narada zakończyła się.

W mesie oficerskiej „Prince of Wales” Victor Henry wyczuł posępny nastrój, który zapanował na okręcie. Nie ujawniono, w jakim zakresie konferencja pozwoliła na zwiększenie pomocy dla Anglii i już samo to wystarczyło, by oficerowie pancernika uznali to za zły znak. Pomimo wspaniałości okrętu i luksusu, jakim przeładowana była mesa, ci weterani dwuletnich bojów, przeżytych nalotów i pojedynków artyleryjskich, mieli miny przygaszone i melancholijne. Myśli ich zaprzętało ciężkie położenie Anglii.

Ale nie mogli uwierzyć, że Winston Churchill naraził na ryzyko najlepszy okręt ich wycieczkowej marynarki oraz własne życie tylko po to, by wrócić z pustymi rękami. To nie było w stylu Winniego. Lecz w rozmowach oficerów nie wyczuwało się tonów prawdziwej ufności, raczej ledwie mglistą nadzieję. Choć wobec Puga byli uprzejmi, kapitan, siedząc w mesie nad szklanką portwajnu czuł, że jest wyizolowany. Zrozumiał, że kępuje ich jego obecność, toteż wcześniej położył się spać.

Nazajutrz odbył przechadzkę po „Prince of Wales” od pomostu nawigacyjnego do maszynowni, notując w pamięci wszystko, co kontrastowało z okrętami amerykańskimi. Przede wszystkim była to załoga: niechlujna, napięta i przepracowana, jakże różna od czyściutkiej i beztroskiej załogi „Augusty”.

Tego wieczoru po kolacji podszedł do niego generał-major Tillet i położył mu szczupłą dłoń na ramieniu.

- Henry, chciałbyś rzucić okiem na mapę z położeniem dostrzeżonych okrętów podwodnych? Premier sądzi, że to cię może zainteresować. Zbiera się na naszą cześć nielichy komitet powitalny.

Parę razy podczas konferencji Pug widział starego, odpychającego historyka wojskowości. Dwa dni wcześniej, na przyjęciu wydanym w mesie dla amerykańskich gości,

paru młodych oficerów brytyjskich zaczęło coś, co w ich żargonie nazywało się „rozróbą”. Zaczęli łązić po mesie ubrani w szkockie spodniczki lub kolorowe ręczniki oraz dziwaczne peruki i niewiele więcej; piszcząc na kobzach, rozrzucając petardy i maszerując paradnym krokiem po stołach i fotelach. Po chwili generał-major Tillet, który bez uśmiechu wstał z miejsca -jak sądził Pug, by położyć kres wybrykom - wskoczył na stół i puścił się w długiego, dzikiego giga wśród maszerujących wokół niego kobziarzy, przy oklaskach wszystkich zebranych. W tej zaś chwili był tak sztywny, jak zawsze.

Tillet otworzył stalowe drzwi, z czerwonym napisem zakazu wejścia. W środku, ubrany w jednoczęściowy kostium podobny do kombinezonu mechanika, przygarbiony, z zapuchniętymi oczami Churchill rozmyślał przed rozwieszoną na grodzi mapą frontu rosyjskiego. Na przeciwległej wisiała mapa Atlantyku. Pośrodku pokoju, w chmurach dymu tytoniowego, młodzi oficerowie pracowali przy stole nad napływającymi meldunkami.

- Tutaj - rzekł premier, wskazując Tilletowi i Pugowi gestem cygara mapę Związku Sowieckiego - tutaj zaczyna się dziać coś okropnego. - Szkarłatna linia frontu pokazywała na wschód od Smoleńska dwa nowe wybrzuszenia w kierunku Moskwy. Churchill zakaszłał i spojrzał na Henry'ego.

- Wasz prezydent ostrzegł Stalina. Ja go ostrzegałem jeszcze wyraźniej, opierając się na bardzo dokładnych danych wywiadowczych. Żaden rząd w żadnej sytuacji nie miał mniejszego prawa do usprawiedliwień, że został zaskoczony. W złej godzinie bohaterki, nieszczęsny naród rosyjski był kierowany przez bandę wystawionych do wiatru, zakłamanych kanalii.

Premier odwrócił się i podszedł do przeciwległej grodzi chwiejnym krokiem, który Victor Henry zauważył już w jego londyńskim biurze. W zatoce Churchill miał wygląd człowieka silnego, czerstwego, prężnego i o dziesięć lat młodszego. Teraz policzki miał szare jak popiół z czerwonymi wypiekami.

- Hej! Mamy tu jakby coś nowego!

Na wielkich, błękitnych połaciach mapy rozsypane były czarne markery w kształcie małych trumienek. Oficer przypinał jeszcze więcej, blisko zamierzonego kursu pancernika. Dalej w stronę Anglii wpięto gromadę czerwonych i kilka niebieskich szpilek.

- Ta nowa grupa u-bootów została zauważona o zmroku przez amerykański samolot patrolowy, sir - zameldował oficer.

- A, tak. Wspominał mi o tym admirał Pound. Przypuszczam, że staramy się ich uniknąć.

- Zmieniliśmy kurs na północny, sir.

- Widzę, że konwój H-67 jest już prawie w domu.
- Wyciągniemy te szpilki już dziś w nocy, panie premierze.
- To będzie dobra nowina. - Churchill ciężko zakaszłał, wciągając dym z cygara.

Zwrócił się do Puga: - Ale, ale! Może będziemy mieli dla ciebie jakąś rozrywkę. Nie tak dobrą, jak lot na bombowcu nad Berlinem, ale zawsze. I co? Podobało ci się to, kapitanie?

- To było wyjątkowe wyróżnienie, panie premierze.
- Drobiazg. Można powtórzyć, gdy tylko zechcesz.
- Zbyt wielki zaszczyt, sir. Raz było aż nadto.

Churchill zaśmiał się ochryple.

- Racja. Generale Tillet, jaki mamy film dziś wieczorem?
- O ile wiem, panie premierze, Stan Laurel i Oliver Hardy w Niedolegach na morzu.
- Niedolegi na morzu, co? Całkiem stosowne! Naczelnny lekarz kazał mi leżeć w łóżku.

Zabronił mi też palić. Przyjdę na film i wezmę moje cygara.

Przyjemność oglądania Niedolegów na morzu zakłócała Pugowi świadomość, że w każdej chwili pancernik może się natknąć na wilcze stado. Niemieccy dowódcy doskonale umieli przenikać poza osłonę niszczycieli. Ale film dobiegł końca bez przeszkód.

- Wesoła, ale błaha rozrywka - zauważył ochryłym, zakatarzonym głosem premier, ciężkim krokiem wychodząc z sali.

Przemówienie radiowe Clementa Attlee zapełniło nazajutrz mesę. Wszyscy oficerowie wolni od wachty, wszyscy sztabowcy i planiści zgromadzili się wokół niezwykle starego, chrypiącego radiodbiornika. Pancernik, przebijając się przez szalejącą burzę, ciężko przechylał się i zataczał wydając niskie, długie pojękiwania. Było to niedobre pół godziny dla amerykańskiego gościa. Dostrzegł zdumione spojrzenia, wydłużone twarze i potrząsanie głów; gdy Attlee czytał Kartę Atlantycką. Pompatyczny język nie wspominał o najmniejszym choćby zaangażowaniu się Ameryki. Potępienie nazistowskiej tyranii, wychwalanie „czterech wolności”, uroczyste pochwały przyszłego świata wolności i braterstwa, tak, to było. Ale na temat większej pomocy wojskowej dla Brytanii absolutne zero. Parę zdań o wolnym handlu i niepodległości dla wszystkich narodów oznaczało koniec Imperium Brytyjskiego, jeśli w ogóle coś oznaczało.

Franklin Roosevelt okazał się naprawdę twardym graczem, pomyślał kapitan Henry bez szczególnego zdziwienia.

- Umf - mruknął generał-major Tillet w milczeniu, jakie zapadło po wyłączeniu radia.
- Odważyłbym się sądzić, że za tym kryje się coś więcej. Co o tym myślisz, Henry?

Wszystkie oczy zwróciły się na Amerykanina.

Pug nie widział potrzeby szukania wykrętów.

- Nie, sir. Sądzę, że to wszystko.

- We wspólnym komunikacie wasz prezydent zobowiązał się zniszczyć nazistowską tyranię - odparł Tillet. - Czy to nie oznacza, że w taki czy inny sposób weźmiecie udział?

- To oznacza Lend-Lease - rzekł Pug.

Ze wszystkich stron zaczęto go zasypywać pytaniami.

- Nie zamierzacie stanąć przy nas przeciw Japonii?

- Nie teraz.

- Ale czy wojna na Pacyfiku nie jest po prostu waszą wojną?

- Prezydent nie zagrozi Japończykom wojną. Nie może tego zrobić bez poparcia Kongresu.

- Co się dzieje z waszym Kongresem?

- To dobre pytanie, ale przedwczoraj Kongres był zaledwie o jeden głos od rozwiązania armii Stanów Zjednoczonych.

- Czy kongresmeni nie wiedzą, co się dzieje na świecie?

- Głosują zgodnie ze swymi politycznymi domysłami, by ratować swe polityczne skóry.

- Więc co się dzieje z waszym narodem?

- Nasz naród jest mniej więcej w tym miejscu, w jakim był wasz w czasie Monachium.

To wywołało milczenie.

- Płacimy za to - odezwał się Tillet.

- A my będziemy musieli zapłacić.

- Wtedy, sir, naszym przywódcą był Chamberlain - zabrał głos młodzieńczo wyglądający porucznik. - Wy macie Roosevelta.

- Panowie, naród amerykański nie chce bić się z Hitlerem - powiedział Pug. - Taka jest prawda i Roosevelt nie może nic na to poradzić. Naród nie chce bić się z nikim. Życie jest przyjemne. Wojna to mecz piłki nożnej, któremu można się przyglądać. Wy jesteście naszą drużyną, bo mówicie naszym językiem. Stąd Lend-Lease i ta Karta Atlantycka. Lend-Lease nie wymaga wysiłku, oznacza tylko większe zatrudnienie i pieniądze dla wszystkich.

Wyjątkowo głęboki przechył wywołał brzęk naczyń w kuchni okrętowej. Skończył się krzyżowy ogień pytań. Victor Henry poszedł do kabiny. Przed wyokrętowaniem na Islandii nie rozmawiał więcej z brytyjskimi oficerami.

Karta Atlantycka była jak słoń: podobna do drzewa, węża, ściany lub sznura, zależnie od tego, której jej części ślepcy dotykali.

Propaganda Osi wyśmiewała jej nadętą retorykę na temat wolności, przypominała zniewolone Indie i Malaje, podkreślała tchórzostwo zdegenerowanych Amerykanów, uchylających się od zaangażowania w walkę i wyciągała z tego wnioski, że wszystko było wielkim, pustym blefem w zwykłym stylu pobożnej anglosaskiej hipokryzji, wymyślonym dla pokrycia bezsilnej nienawiści wobec triumfującego Nowego Porządku Światowego, którego nie cofnie nawet tysiące Kart Atlantyckich.

W Stanach Zjednoczonych podniósł się wrzask, że Roosevelt potajemnie zaangażował kraj w walkę po stronie Anglii. Rozległy się także, o wiele cichsze, wiwaty na cześć najwspanialszego dokumentu człowieczego dążenia ku światłu od Magna Charta.

Gazety brytyjskie dawały do zrozumienia, że w Zatoce Argentia stworzono znacznie więcej, niż tę piękną Kartę, ale na razie reszta musi zostać przemilczana.

Rosjanie powitali spotkanie Roosevelta z Churchillem na oceanie jako zwycięstwo wszystkich miłujących pokój narodów całej ziemi, równocześnie wskazując, że, jak dobrze wiadomo, kluczową w tej chwili sprawą jest otwarcie drugiego frontu w Europie i dlatego Karta, nic nie mówiąc na ten temat, jakby nieco rozczarowuje.

Ale najsilniejsze i najbardziej ślepe reakcje Karta wywołała za murami żydowskiego getta w Mińsku.

Niemcy skonfiskowali radia. Karą za posiadanie odbiornika była śmierć. Szesnastoletni chłopak niedokładnie usłyszał audycję rosyjską na ten temat na małym odbiorniku, jaki zmajstrował na dachu. Zaczął z radości rozpowiadać, że Roosevelt spotkał się z Churchillem i że Stany Zjednoczone mają wypowiedzieć wojnę Niemcom! Skutki tego kłamstwa w getcie były cudowne, tak ożywcze, że można było zastanawiać się, czy kłamstwo nie jest niekiedy niezbędnym źródłem ulgi dla cierpiących.

Nastroje mińskich Żydów doznały ostatnio głębokiego wstrząsu. Z nadejściem Niemców pogodzili się z tym, że zostali zgonieni do paru kwartałów domów, zmuszeni do zarejestrowania się do pracy, pogodzili się z aresztowaniami i poniewieraniem, z chuligańskimi napadami, może nawet z tym, że byli zabijani. To były czasy pogromów. A spodziewać się było można, że niemieckie pogromy będą cięższe. Ale Żydzi przeżyli już wiele pogromów.

Lecz wtedy, jednej nocy, zaroilo się w getcie od szarych ciężarówek, a ekipy

Niemców w nieznanym dotychczas, ciemnych mundurach opróżniły z mieszkańców dom po domu dwie ulice, ładując wszystkich do samochodów, jak mówili, w celu przesiedlenia. Niektórzy z Niemców upychających pośpiesznie ludzi w ciężarówkach byli brutalni, niektórzy grzeczni. Na innych ulicach, za żelaznymi bramami, inni Żydzi zdumiewali się i drżeli. Jak donieśli partyzanci nawiedzający okoliczne lasy, to, co się zdarzyło później, było tak okropne i nie do wiary, że mińscy Żydzi długo starali się wszystko pojąć. Szare wozy odjechały pięć mil dalej do lasów koło wioski. Tam w zalanym światłem księżyca wąwozie Niemcy kazali wszystkim wysiąść, ustawili ich w grupy i wystrzelali co do nogi, ze starcami i niemowlętami włącznie. Następnie wrzucili ich do czekającej wykopanej jamy i zasypali piaskiem.

Wieśniacy, którym kazano wykopać w piasku ogromny dół, widzieli te okropności na własne oczy, tak przynajmniej donosili partyzanci. Niemcy schwytali chłopów do tej pracy, a następnie kazali wracać do domów, nie włączając się w pobliżu ani nie mówiąc nikomu o tym co kopali, pod groźbą zastrzelenia. Ale paru podkraść się pod osłoną drzew, by popatrzeć, co Niemcy zamierzają, a następnie opowiedzieli partyzantom o masakrze Żydów z szarych ciężarówek.

Dla Żydów w mińskiej pułapce, trzysta mił za linią zbliżającego się do Moskwy niemieckiego frontu, wszystko to było nieprawdopodobnym wstrząsem. Owszem, Niemcy już zabijali ludzi za drobne wykroczenia po krótkich, pobieżnych procesach. Spuchnięte, śmierzące ciała ofiar oraz schwytanych partyzantów wisały na placach miejskich. Podczas wojny można się było takich rzeczy spodziewać. Ale nagle wymordowanie wszystkich przypadkowo wybranych ludzi, mieszkających przy dwóch długich ulicach - dzieci, kobiet, starców, wszystkich - to było więcej, niż sobie można wyobrazić w największym koszmarze. Albo opowiadanie było wynikiem historycznej przesady, albo też, jeśli było prawdziwe - a powtarzające się sprawozdania coraz bardziej przekonywały - Niemcy byli znacznie gorsi, niż o nich mówiono w najbardziej przerażających plotkach.

A jednak następnego dnia Mińsk niewiele się zmienił. Tak samo kwitły słoneczniki, tak samo świeciło słońce na błękitnym niebie. Trochę budynków zniszczyło bombardowanie i pożary, ale większość stała jak dawniej. Po ulicach krążyli niemieccy żołnierze w szarych ciężarówkach i czołgach ze znakami swastyki, ale był to codzienny widok. Zresztą sami żołnierze, włączający się z karabinami i mrużący oczy przed słońcem, wyglądali zupełnie zwyczajnie i po ludzku. Niektórzy nawet żartowali z przechodniami. Nadal wszędzie kręcili się starzy, rosyjscy sąsiedzi Żydów i nadal były dzwony o tych samych porach. Na tych samych ulicach toczyło się żydowskie życie, tak dobrze znane, jak twarze we własnym domu.

Tylko teraz wszystkie domy wzdłuż dwóch ulic stały ciche i puste.

W tym momencie osłupienia nadeszły nowiny, że Roosevelt i Churchill spotkali się na morzu, i że Ameryka przystępuje do wojny. Powtarzano je od domu do domu. Ludzie płakali, śmiali się, chwyтали dzieci i tańczyli z nimi na ramionach, całowali się i wyjmowali wino lub wódkę, by wypić zdrowie prezydenta Roosevelta. W zbiorowej pamięci Europy wryty był jeden fakt: zesłym razem przybycie Amerykanów dało zwycięstwo w wojnie. Zaczęły się wesołe przekomarzania. Ile czasu to zajmie. Trzy. miesiące? Sześć miesięcy? Jak długo by to nie trwało, takie szaleńcze działania, jak opróżnienie dwóch ulic, już się nie powtórzą. Teraz Niemcy się nie ośmielą! Są niegodziwi u szczytu sił, ale jakże potrafią być uniezeni, gdy sprawy biorą inny obrót! Wszyscy są tchórzami. Teraz zapewne będą starali się być mili dla Żydów, by uniknąć ukarania przez Amerykanów.

Berel Jastrow wiedział, że plotka jest fałszywa, ale nie próbował jej prostować. W piekarni ciągle miał ukryte swoje małe radio. Miał dokumenty zezwalające na przekraczanie granic getta, bo Niemcy potrzebowali chleba, a mińscy piekarze walczyli o setki mil stamtąd. Tej nocy, na tajnym zebraniu przywódców żydowskich w kotłowni szpitala, Berel dokładnie przekazał wiadomości o spotkaniu atlantyckim nadane przez szwedzkie radio. Ale Berel był obcym i powiedział komitetowi to, czego ten nie chciał słyszeć. Ktoś przerwał jego opowiadanie uwagą, że pewnie słuchał kontrolowanego przez Niemców radia norweskiego i nie zwracając na niego więcej uwagi dalej planowano zbrojne powstanie w Mińsku we współpracy z partyzantami, w momencie gdy Amerykanie wylądują we Francji.

W parę dni później Berel oraz jego syn z żoną i dzieckiem znikli. W nocy wyszli cichaczem z getta, nie prosząc nikogo o zezwolenie ani o pomoc, ani też o hasło do partyzantów w lesie. Rada Żydowska miała jakieś kłopoty z gestapo na temat zniknięcia polskiego piekarza, ale oświadczyła, że Jastrowowie byli uciekinierami, za których nie może odpowiadać. Przecież sami Niemcy wydali specjalną przepustkę.

Trójka polskich Żydów z dzieckiem nigdy nie powróciła do Mińska. W getcie przypuszczano, że zostali zastrzeleni na miejscu przez leśne patrole Wehrmachtu, jak to bywało z większością Żydów próbujących wydostać się z miasta bez partyzanckich przewodników. Niemcy mieli zwyczaj rzucania na Placu Jubileuszowym świeżych ciał zabitych w lesie jako ostrzeżenie dla reszty Żydów. Ale wśród tych okropnych stosów nieopogrzebanych trupów nikt nie zauważył ciał Jastrowów. Tylko z tego powodu wierzono, że jeszcze gdzieś żyją.

W Rzymie Niemcy zachowywali się bardzo przyzwoicie, przynajmniej w zasięgu wzroku Natalii i jej wuja. Może w miarę zwycięstw okazywali nieco większą arogancję

wobec Włochów, ale Niemcy zawsze tacy byli. Przez całe lata krążyły po Europie upiorne wieści o traktowaniu Żydów przez hitlerowców. Teraz jeszcze dodano do nich opowieści o najdzikszych okrucieństwach wobec schwytych słowiańskich żołnierzy. A przecież, gdy Aaron Jastrow i jego siostrzenica w zaawansowanej ciąży jedli w hotelu lub jednej z pierwszorzędných rzymskich restauracji, z wielkim prawdopodobieństwem mieli przy obu sąsiednich stolikach siedzących Niemców. Wino mogło z lekka podgrzać teutońską skłonność do robienia hałasu, ale przypisywać tym starannie ubranym, dobrze wychowanym i przystojnym ludziom, jakże podobnym pod niektórymi względami do Amerykanów - zdolność popełniania zbiorowych mordów, to przekraczało wszelkie wyobrażenie.

Nareszcie Jastrow miał wielką ochotę wracać do kraju. Ukończył pierwszą wersję książki o Konstantynie; koniecznie chciał pokazać ją wydawcy, a następnie wykończyć w oddziale bizantyńskim Biblioteki Harvardu. Biblioteka Watykańska była oczywiście lepsza do tego i miał w niej uroczych przyjaciół. Ale we Włoszech panował coraz większy niedostatek, a Rzym robił się coraz bardziej posępny. Triumfy Hitlera w Związku Radzieckim wstrząsnęły Italią jak trzęsienie ziemi, a Włochów pogrążyły w smutku. Nawet prasa faszystowska nie okazywała prawdziwego zadowolenia, raczej objawy przestachu z powodu tak gigantycznych kroków Führera przez ostatnie niepodbite ziemie Europy.

Nawet w najlepszych restauracjach i za najwyższą cenę to, co teraz podawano w Rzymie, było niedobre i coraz gorsze. Ciężki, gliniasty chleb był nie do jedzenia; nowe, brązowe spaghetti smakowało błotem, ser z każdym miesiącem bardziej przypominał gumę; oliwa sałatkowa i do gotowania zostawiały okropny posmak, a dostać butelkę przyzwoitego wina stołowego było prawie niemożliwe. Prawdziwe mleko Natalia dostawała od czasu do czasu z ambasady; Włoszki przy nadziei musiały pić ten sam niebieskawy, kleisty płyn, który kelnerzy ze wzruszeniem ramion podawali do namiastki kawy.

Doktor Jastrow był więc gotów do wyjazdu, ale się nie bał. Przeczytał w życiu tyle książek historycznych, że wydarzenia dnia dzisiejszego wydawały mu się tylko powtórzeniem starych zabaw. Wyjazd z Włoch wielokrotnie odkładał, a trudności z paszportem prawie go cieszyły, bo w głębi serca był przekonany, że wojna wkrótce się skończy. Nawet gdyby łobuz z wąsikami (jak z upodobaniem nazywał Hitlera) zwyciężył, nie mogłoby to mieć większego znaczenia pod warunkiem, że nie wkroczy do Italii. A czemuż miałby podbijać unizonego satelitę.

Chętnie mawiał przy winie, że Niemcy mogą okazać się nowym Bizancjum: trwałą, dobrze zarządzaną tyranią, przygotowaną do rządzenia przez tysiące lat, dokładnie tak, jak przechwalał się Hitler. Bizancjum istniało prawie tak samo długo, rosła i kurcząca się w

miarę tego, jak rywale potężnieli lub słabli, posuwając lub cofając swe granice prawie tak, jak Rzesza; ale zawsze trwając, a często triumfując dzięki przewadze wojskowej, jaką zapewniała mu tyrania, centralizacja i działanie po liniach wewnętrznych. Już dawno temu inny zbrodniczy tyran, Napoleon, wskazał, że historię narodu kształtuje jego położenie geograficzne, a tak czy inaczej dla Europy najodpowiedniejszą formą rządów jest tyrania. Oczywiście Jastrow będąc Żydem nienawidził Hitlera. Ale jako filozofujący historyk potrafił go osądzić, a nawet ocenić wysoko za siłę woli i zręczność polityczną. Absolutnie nie dawał wiary opowiadaniom o hitlerowskich okrucieństwach; twierdził, że jest to odgrzewana brytyjska propaganda, którą dobrze pamiętał z czasów poprzedniej wojny.

Ale Natalia bała się coraz bardziej. Od chwili, gdy przystąpienie Finlandii do wojny uniemożliwiło im odpłynięcie na fińskim statku, szukała innego sposobu wydostania się z Włoch. Oboje nadal mieli pełne prawo wyjechać. Ale Natalia miała obecnie do czynienia z włoskimi biurami podróży, liniami lotniczymi i urzędami emigracyjnymi. A była to miękka, splątana, paraliżująca gmatwanina. Sama myśl, że może zostać uwięziona z dala od kraju, karmiąc niemowlę tym, co można było dostać w wynędzniałych Włoszech, przerażała ją jak jeszcze nic w życiu. Prezydent Roosevelt z każdą chwilą wyraźniej interweniował w wydarzenia na Atlantyku; nagłe wypowiedzenie wojny Ameryce przez Hitlera niewątpliwie pociągnie to samo ze strony Mussoliniego i w rezultacie ona wraz z wujem zostaną internowani jako obywatele wrogiego państwa.

W tym okresie najgorszą przeszkodą okazało się coś, co nazywano zezwoleniem na wyjazd. Poprzednio nie było z tym żadnych problemów. Żółta kartka z czerwoną pieczętką kosztowała kilka lirów i można ją było natychmiast otrzymać okazując bilety na statek, pociąg czy samolot. Ale obecnie taki wniosek wywoływał pochrząkiwania, pomruki i głębokie zamyślenia u biurokratów, z którymi miała do czynienia. Raz, po wielu rozczarowaniach, Natalii udało się zdobyć dwa miejsca na samolot do Lizbony i pobiegła z nimi do urzędu emigracyjnego. Urzędnik wziął jej bilety oraz paszporty i powiedział, by przysłała za cztery dni. Gdy wróciła, ten sam otyły i przyjacielski urzędnik z oddechem mocno woniejącym czosnkiem oddał jej z westchnieniem paszporty. Wojsko zarekwirowało oba miejsca w samolocie. Dlatego, jak oświadczył, nie może wydać zezwoleń na wyjazd, natomiast pieniądze za bilety zostaną jej we właściwym trybie zwrócone.

Następnego dnia usłyszała pierwszy triumfalny komunikat BBC o spotkaniu na Nowej Fundlandii. Wynikało z niego, że przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny jest już faktem. W najgłębszej rozpaczy ułożyła natychmiast brawurowy plan. Zagra kartą najskuteczniejszą, by pozyskać włoskie serca: swoją ciężą. Rzeczywiście od czasu do czasu

zdarzały jej się krwawienia. Znajomi Amerykanie o rzymskich lekarzach wyrażali się drwiąco i sceptycznie. Wskazali jej położnika z Zurichu, niejakiego doktora Wundta, najlepszego poza zasięgiem hitlerowców w Europie. Postanowiła złożyć wniosek u władz szwajcarskich o krótki pobyt na badania lekarskie: dwa tygodnie, dziesięć dni, ile się uda. A gdy już dostanie się do Szwajcarii, wtedy nie przebijając w środkach pozostanie tam, póki nie uzyska wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Aaron Jastrow miał w Zurichu wydawcę, ona zaś знаła Bunky'ego Thurstona, przeniesionego na tamtejszą placówkę z Lizbony. Pomysł uznała za olśniewająco błyskotliwy. Ku jej radości Aaron Jastrow, po jakimś ociąganiu zgodził się wziąć udział w przedsięwzięciu. Zostawi w hotelu swą biblioteczkę podróżną, bagaż i materiały do pracy; wszystko z wyjątkiem maszynopisu książki, który zabierze wraz z ubraniami w niewielkiej walizce. W razie jakichś trudności oświadczy, że zamierza podczas krótkiej wizyty w Zurichu popracować nad tymi pokreślonymi stronicami. Jeśli, co Natalia obecnie podejrzewała, Włosi nie będą chcieli wypuścić Jastrowa na stałe, tego rodzaju krótkim wyjazdem może uda się ich oszukać. Także i u doktora informacja o Karcie Atlantyckiej wywołała przebłysk niepokoju, zgodził się więc na plan Natalii.

Podstęp podziałał jak zaklęcie. Natalia zamówiła bilety do Zurichu i dostała zezwolenie wyjazdu. W tydzień później oboje odlecieli do Szwajcarii. Wszystko było w najlepszym porządku z jednym wyjątkiem: w przeciwieństwie do Natalii doktor nie uzyskał formalnego zezwolenia od Szwajcarów na dziesięciodniowy pobyt. Papier, jaki mu wydano, mówił tylko, że towarzyszy on osobie niepełnosprawnej dla jej bezpieczeństwa w podróży. Gdy Natalia poinformowała o tym telefonicznie Bunky'ego Thurstona w Zurichu, ten oświadczył, że lepiej niech wybiorą się w podróż na takiej podstawie i nie próbują nalegać na więcej, bo i tak im się udało.

Terminal lotniczy w Zurichu zrobił na nich piorunujące wrażenie. Błyszczał czystością, pełen był sklepów pękających od nadmiaru pierwszorzędnej odzieży, zegarków, porcelany i biżuterii, stosów pudeł z czekoladkami, wspaniałych wyrobów cukierniczych i świeżych owoców. Idąc do samochodu Thurstona Natalia zajadała ogromną gruszkę, pojękując z rozkoszy.

- Co za gruszka! Taka gruszka! Mój Boże - oświadczyła - jakąż parszywą rzeczą jest faszyzm. Jakim plugawym idiotyzmem wojna! Europa jest bogatą częścią świata. Czemu ci krwawi zbrodniarze wciąż obracają ją w perzynę? Jedyne rozsądnymi Europejczykami są Szwajcarzy.

- Tak, Szwajcarzy są rozsądni - westchnął Thurston, gładząc swe ogromne wąsy, wypielegnowane jak zawsze. Ale twarz miał bladą i chorobliwie postarzałą. - Jak tam twój

podwodniak?

- Kto go wie? Ciska się po Pacyfiku. Czy byłeś kiedykolwiek świadkiem na bardziej wariackim ślubie? - Od przybycia do Zurichu wzrok Natalii stracił bolesny, przygaszony wyraz: powrócił jego dawny, łobuzerski błysk. Zwróciła się do Jastrowa: - Bunky podpisywał akt ślubu. Bunky, czy wolisz Zurich od Lizbony?

- Nie lubię myśli, że osiemdziesiąt milionów Niemców kotłuje się tuż za Alpami. Na szczęście te góry są przyjemnie wysokie. To tutaj, ten czerwony citroen. Ale i tutaj uchodźcy są w fatalnej sytuacji, Natalio, choć mniej widocznie i nie tak tragicznie. W Lizbonie było to nie do wytrzymania.

Gdy jechali szosą do miasta odezwał się Jastrow: - Czy nasze paszporty odeślą do konsulatu?

- Prawdopodobnie otrzymacie je z powrotem, gdy będziecie wracać.

- Kochany, ależ my nie wracamy do Włoch - odezwała się Natalia. - Aaron, daj mi chusteczkę, jestem cała w gruszkowym soku. Chciałabym się móc w nim wykapać.

- To moja jedyna chusteczka - sprzeciwił się Jastrow.

Thurston wyciągnął chusteczkę z kieszeni na piersiach i wręczył Natalii. - Co chcesz powiedzieć przez to „nie wracamy”?

- Ja i mój wuj mamy zamiar wskoczyć do pierwszego pociągu, samolotu lub wiejskiego wozu stąd odchodzącego, o ile pojedzie w kierunku dobrych, starych Stanów. Oczywiście, Bunky, nie mogłam ci tego powiedzieć przez telefon. Ale to jest cały sens tej podróży.

- Natalio, nic z tego.

- Czemu, na Boga?

- Aaron otrzymał zezwolenie wjazdu do Szwajcarii na moją gwarancję. I musi wracać skąd przybył. Nie ma wizy tranzytowej.

Po długim milczeniu odezwał się z tylnego siedzenia smutnym, cichym głosem doktor Jastrow: - Od razu sobie pomyślałem, że za łatwo nam poszło.

- Bunky - oświadczyła wesoło Natalia - rozszalałe konie nie zaciągną mnie z powrotem do Rzymu. Nie mam zamiaru tam rodzić i koniec. Musisz wymyślić jakiś sposób także dla Aarona. Jest tutaj. Ma paszport jak złoto. Wiem, że możesz to załatwić.

Thurston, trzymając jedną ręką kierownicę, drugą starannie przyglądał wąs. - Hm, wzięłaś mnie z zaskoczenia. Daj mi trochę czasu.

- Mam dziesięć dni - rzekła Natalia.

- W tej chwili nie ma zbyt wielu sposobów wyjazdu z Zurichu - odpowiedział. -

Spróbuję to zbadać.

Wysadził ich przed gabinetem doktora Hermana Wundta, zabierając walizki obojga do hotelu. Lekarz przyjmował w starym, trzypiętrowym domu ze skrzynkami kwiatów we wszystkich oknach. Natalia poszła na badanie, Jastrow drzemał w poczekalni.

Łysy, piegowaty doktor, krasnoludek jeszcze mniejszy od wuja, miał wielkie uszy i biegające piwne oczka. Zadawszy kilka pytań i zanotowawszy odpowiedzi na karcie, rozpoczął sondowania, palpacje, pobieranie próbek do analizy i poddał Natalię wszystkim zwykłym poniżeniom oraz kilku nowym i bolesnym przy pomocy dziwnych instrumentów, przez cały czas gawędząc z uśmiechem. Po badaniach Natalia położyła się na stole pod prześcieradłem dysząc wyczerpana, z twarzą ociekającą potem i bólami całego podbrzusza. Ze skrzynek za oknem wiatr przynosił aromat pachnącego groszku.

- Doskonale, proszę chwilę odpocząć.

Usłyszała, jak myje ręce. Po chwili wrócił i usiadł przy niej z notesem w rękę.

- Jest pani silna jak koń, a ciąża przebiega doskonale. Dziecko zostanie utrzymane bez trudności.

- Trzy razy miałam krwawienia.

- Owszem, wspominała pani o tym. Kiedy było ostatnie?

- Chwileczkę. Miesiąc temu. Może trochę dawniej.

- No, to może pani poczeka dzionek czy coś koło tego na wyniki wymazu, analizy moczu i tak dalej. Jestem prawie pewien, że będą ujemne, a doktor Carona przyjmie od pani piękne dziecko. Znam go dobrze. To najlepszy położnik w Rzymie.

- Doktorze, jeśli nie pojedę do Stanów, wolałabym tu zostać na poród. Nie chcę wracać do Rzymu.

- Nie? Dlaczego?

- Bo jest wojna. Jeśli Stany Zjednoczone się wmieszają, znajdę się z dzieckiem w kraju nieprzyjacielskim.

- Mówiła pani, że mąż jest oficerem marynarki wojennej na Oceanie Spokojnym?

- Tak.

- Jest pani za daleko od niego.

Natalia zaśmiała się niewesoło. - Zgadza się, ale tak się złożyło. - Co to za nazwisko, „Henry”?

- Zdaje się, że szkockie. Angloszkockie.

- A pani jest z domu Jastrow, prawda? Czy to też jest angloszkockie nazwisko?

- Polskie. - Po chwili, widząc że piwne oczka nadal się w nią wpatrują, dodała: -

Polsko-żydowskie.

- A ten pan w poczekalni, pani wuj, czy też jest polskim Żydem?

- Jest słynnym amerykańskim autorem.

- Naprawdę? Jakże wzruszające. Czy jest polskim Żydem?

- Urodził się w Polsce.

- Może się pani ubierać. A potem proszę przejść do drugiego pokoju.

Doktor Wundt czekał na nią w swym gabinecie, palił cygaro siedząc zgarbiony na obrotowym krześle. Dym snuł się wstęgami po żółtych, pomarszczonych dyplomach na ścianie i zakurzonej grawiurze rannego lwa z Lucerny. Odłożył cygaro na onyksową popielniczkę, złożył dłonie czubkami palców, po czym uniósł je do warg. Jego szara, brązowo nakrapiana twarz była bez wyrazu.

- Pani Henry, będę z panią szczery. Przez ostatnich kilka lat używano i nadużywano ciąży do przesady, aby rozwiązać tutejsze trudności paszportowe. Władze imigracyjne stały się bardzo odporne. Sam jestem cudzoziemcem i moje zezwolenie na praktykę lekarską łatwo może zostać anulowane. Czy wyrażam się jasno?

- Ależ ja nie mam trudności paszportowych - spokojnie odrzekła Natalia. - W ogóle żadnych. Czy uważa pan, że mogę bezpiecznie odbyć podróż do Stanów Zjednoczonych? To tylko chcę wiedzieć.

Doktor przygarbił się, zaciął wargi i nie spuszczać wzroku z Natalii przechylił głowę na bok jak bystry piesek. - Jakim środkiem transportu?

- Przypuszczam, że samolotem.

- Co o tym sądzi doktor Carona?

- Nie pytałam go. Pomimo pańskiej opinii ja nie mam do niego zbyt dużego zaufania. Dlatego, jeśli nie będę mogła polecieć do kraju, chcę zostać tutaj.

Stary doktor błysnął okiem i rozłożył ręce. - I w tym właśnie nie mogę pani pomóc. Władze żądają ode mnie pisemnego oświadczenia, że nie jest pani zdolna do podróży. Bez tego nie przedłużą pani pobytu. Jest pani całkowicie zdolna do podróży samolotem do Rzymu. Natomiast lot do Stanów Zjednoczonych - znów schylił głowę na ramię - to długa i trudna podróż.

- Czy sądzi pan, że mogłabym stracić wówczas dziecko? - zapytała Natalia z niezmaconym spokojem.

- Niekoniecznie, ale przyszła matka przy pierwszym dziecku powinna unikać takich wysiłków. Historia pani ciąży nie jest przecież stuprocentowo prawidłowa.

- Więc po co mnie zmuszać do powrotu do Rzymu? Mleko i żywność są tam okropne.

Nie lubię tamtejszego doktora. Nie radził sobie jak należy z moimi krwawieniami.

Mały doktor odpowiedział chłodnym tonem: - Pani Henry, lot do Rzymu zniesie pani z łatwością. Nie ma nic, co by usprawiedliwiało przedłużenie pani pobytu. Bardzo mi przykro. Władze będą mnie pytały o pani zdrowie, a nie o rzymskie mleko czy doktora Caronę. - Otworzył księgę wizyt. - Przyjmę panią jutro kwadrans po piątej i omówimy wyniki pani analiz.

Tego wieczoru podczas kolacji z wujem i Thurstonem Natalia była cała w skowronkach. Cudowna przygoda, jaką było wydostanie się z Rzymu i pobyt w pokojowym mieście tak ją nastroiły, że zatarło to wrażenie szorstkości Wundta. Ucieszyły ją także wyniki badań. Była „silna jak koń”, dziecko wesoło kopało w brzuchu i obojgu udało się uciec z faszystowskich Włoch. A wszystko inne, pomyślała sobie, jakoś się ułoży. Szczególnie, że Thurston nastawiony był bardziej optymistycznie. Zdecydowała, że nie będzie go wypytywać; niech sam coś powie, gdy będzie do tego gotów.

Tymczasem tematem, który ich łączył, był Leslie Slope. Natalia opowiadała komiczne historyjki o swym paryskim mieszkaniu. Była tam maleńka, umieszczona w środku klatki schodowej winda, w której Slope kiedyś ugrzązł między piętrami i przespał całą noc; był Algierczyk, właściciel domu, który starał się ją powstrzymać od gotowania; był też mieszkający piętro wyżej jednooki rzeźbiarz-homoseksualista, który prześladował Slope'a prośbami o pozowanie. Aaron Jastrow po raz pierwszy słyszał te opowiadki o młodzieńczej miłości na Lewym Brzegu Paryża. A przy doskonałej, pożywnej kolacji podlanej świetnym winem, zjedzonej na tarasie otwierającym widok na jarzącą się od świateł panoramę Zurichu, wpadł w dobry nastrój. Choć okropnie kaszlał, przyjął ofiarowane przez Thurstona cygaro.

- O Boże, prawdziwa hawana! - zawołał doktor smakowicie łykając dym. - Jak dziesięć lat temu w pokoju nauczycielskim w Yale. Jak łatwe, przyjemne i łaskawe dla mnie było ówczesne życie. A przecież przez cały czas łobuz z wąsikami gromadził czołgi i armaty. Biada mi! Natalio, widzę, że jesteś bardzo zadowolona.

- Wiem. To pewno wino i światła. Światła! Bunky, światło elektryczne to największy urok miasta. Pomieszkaj parę miesięcy w zaciemnieniu, a przekonasz się. Wiesz, co mi przypomina Zurich? Lunapark na Coney Island, kiedy byłam małą dziewczynką. Szło się w jasności milionów złotych żarówek. Światła były bardziej podniecające niż przejażdżki na karuzelach i gry. Szwajcaria jest zadziwiająca, prawda? Maleńki, suchutki dzwon nurkowy wolności w oceanie horroru. Co za przeżycie! Nigdy tego nie zapomnę.

- Więc możesz zrozumieć, czemu Szwajcarzy muszą być bardzo a bardzo ostrożni - rzekł Thurston. - W przeciwnym razie zaleją ich uchodźcy.

Te słowa otrzeźwiły Natalię i Aarona. W napięciu oczekiwali, co powie dalej.

Konsul oburącz przyglądał wąsy. - Nie zapominajcie, że w Europie Hitlera jest uwięzionych cztery miliony Żydów. A cała Szwajcaria ma tylko cztery miliony ludności. Wobec tego Szwajcarzy zostali zmuszeni do tak niechętnego stosunku do Żydów jak nasz Departament Stanu, i to z nieskończenie ważniejszych powodów. Kraj liczy szesnaście tysięcy mił kwadratowych, z tego większość to gołe skały i śnieg. Porównaj ich gęstość zaludnienia z naszą, a okaże się, że Stany są ogromnym, pustym odludziem. Podobno jesteśmy krajem wolnych ludzi, azylem dla prześladowanych. Szwajcarzy tego o sobie nie twierdzą. Kto więc powinien przyjmować Żydów? A przecież oni to robią, tylko ostrożnie i w pewnych granicach. A do tego Szwajcarzy są od Niemców zależni w zakresie paliw, żelaza, całości handlu zagranicznego - importu i eksportu. Są otoczeni. Pozostaną wolni tylko tak długo, jak będzie to odpowiadało Niemcom. Rozmawiając o tobie z władzami szwajcarskimi nie mogę wsiadać na wysokiego konia. Jako oficjalny przedstawiciel amerykański jestem w najparszywszej pozycji dla prawienia morałów.

- To zrozumiałe - powiedział Jastrow.

- Zrozumcie, w waszej sprawie niczego jeszcze nie zdecydowano - dodał konsul. - Ja tylko sonduję. Być może uda mi się uzyskać pozytywną decyzję. Natalio, czy możesz wytrzymać długą podróż koleją?

- Nie jestem pewna. Bo co?

- Jedyłą czynną w tej chwili linią lotniczą z Zurichu do Lizbony jest Lufthansa.

Natalii ścisnęło się serce, ale odpowiedziała rzeczowym tonem:

- Rozumiem. A co z tą hiszpańską?

- Miałaś złe informacje. Została zlikwidowana w maju. Lufthansa lata raz w tygodniu, startując w Berlinie z paru międzylądowaniami; Marsylia, Barcelona, Madryt. Przelot jest paskudny. Znam go, bo w ten sposób przybyłem tutaj. Zwykle samolot jest pełen dygnitarzy państw Osi. Czy jesteś zdecydowana rozdzielić się z wujem i próbować z Lufthansą? Twój paszport nie mówi, że jesteś Żydówką. Jesteś panią Henry. Nawet Niemcy mają miękkie serce dla kobiet w ciąży. Ale oczywiście przez jakieś dwadzieścia godzin będziesz w rękach hitlerowców.

- Czy jest inne wyjście?

- Pociąg przez Lyon, Nimes i Perpignan wzdłuż wybrzeży Francji, następnie przez Pireneje do Barcelony, a stamtąd, z pomocą niebios, przez całą Hiszpanię i Portugalię do Lizbony. Góry, tunele, fatalne torowiska i Bóg wie ile awarii, opóźnień i przesiadek, z długim przejazdem przez Francję Vichy. Może trzy, może sześć dni podróży.

- Nie sędę, bym to mogła ryzykować - powiedziała Natalia.

- A ja bym się nie bał spróbować Lufthansy - rzekł Jastrow zamyślonym głosem, obracając cygaro w palcach - i nie wierzę, naprawdę nie wierzę, że Niemcy mogliby mnie napastować.

Thurston pokręcił głową. - Doktorze, ona jest żoną chrześcijanina i oficera marynarki. Uważam, że nic jej się nie stanie. Pan nie może lecieć Lufthansą!

- A więc mam zdecydować - rzekła Natalia - czy ryzykować Lufthansą samotnie, czy jechać pociągiem z Aaronem.

- Na razie nic nie musisz decydować. Musicie tylko przemyśleć, to, co wam powiedziałem.

Przez następny dzień Natalia i jej wuj zabijali czas oglądając wystawy sklepowe, kupując odzież, zjadając ciastka z kremem, pijąc prawdziwą kawę, jeżdżąc po mieście taksówkami i delektując się bogactwem i wolnością Szwajcarii, leżącej ledwie o parę godzin lotu od brunatnego, melancholijnego Rzymu. Pod wieczór Natalia ponownie odwiedziła doktora Wundta. Wzruszywszy ze smutkiem ramionami powiedział jej, że wyniki wszystkich analiz wskazują, iż jest zdrowa.

- Nie szkodzi - poinformowała go. - Tak czy inaczej pewnie będę mogła zostać. Mój konsul tym się zajmie.

- Naprawdę? - Mały doktor poweselał. - Doskonale. Cieszy mnie to ogromnie. Zaraz zarezerwuję dla pani szpital na okres porodu, pani Henry. Wszystkie są przeładowane.

- Dam panu znać za jeden, najdalej dwa dni.

- Znakomicie.

Rano znalazła wsunięty pod drzwi list na hotelowej papeterii:

„Cześć. Coś się zaczyna dziać. Spotkajcie się ze mną oboje na wybrzeżu o czwartej po południu, na przystani łodzi spacerowych. Bunky”.

Gdy przybyli na przystań, konsul już wynajął otwartą łódź z przyczepnym motorem i siedział czekając na nich. Pomógł wsiąść bez słowa obojgu, zapuścił silnik i odbił od nabrzeża. Po przepłynięciu mili zgasił silnik. Usłyszeli, jak nad błękitną wodą rozlega się grmiący niemiecki walc, grany przez orkiestrę dętą na zbliżającym się parowcu wycieczkowym.

- Mam dla was całe sprawozdanie - oświadczył Thurson z radosnym uśmiechem. Natalii serce skoczyło z radości. - Myślę, że lepiej będzie, gdy omówimy to na osobności.

- Czy wszystko załatwione? - spytał Jastrow z dziecinnym, jak pomyślała Natalia, zapalem.

Thurston pogładził wąsy.

- Nie, nie jest najgorzej. - Mrugnął do Natalii. - Słuchaj, telefonowałem i teleksowałem do Rzymu. Ten twój Byron przewyższył własny wyczyn z Lizbony, co? Zwrócić się do prezydenta Roosevelta w sprawie paszportu twego wuja! Ależ tupet! Nawet nie znając nikt go w Rzymie nie lubi.

- Wyobrażam sobie!

- Tak, aleteczka twego wuja ma teraz wielką nalepkę „Sprawa prezydencka”, i to doskonale. A twoja, Natalio, jest załatwiona. Wpisałem cię w Lufthansie na listę oczekujących. Dwa najbliższe loty są wypełnione, ale masz rezerwację na trzeci. Władze imigracyjne przedłużą ci pobyt do tej chwili.

- Ale przecież będę wtedy w ósmym miesiącu...

Thurston przerwał jej podnosząc rękę:

- Lufthansa jest pewna, że odleciś wcześniej. Być może w przyszłym tygodniu. Zawsze część pasażerów rezygnuje, a ty z powodu ciąży jesteś wysoko na liście oczekujących.

- A co z Aaronem?

- Hm, to już jest inna historia.

- To ona jest tu ważniejsza - oświadczył Jastrow dramatycznym tonem - a co będzie ze mną, nie ma żadnego znaczenia. Ja już przeżyłem swoje życie.

- Chwileczkę, chwileczkę! - uśmiechnął się Thurston. - Dobry Boże, doktorze Jastrow! Wszystko w porządku. Pan nie może z nią pozostać w Szwajcarii, to jest poza dyskusją. Ale i w pana sprawie są decyzje. W Rzymie aż się gotuje z pana powodu. Ambasador jest oburzony. Powiedział, że jeśli nie da się inaczej, włączy pana do personelu i wyśle do kraju, na prawach dyplomaty. Pan wraca do Rzymu, ale ambasador bierze na siebie odpowiedzialność za pertraktacje z Włochami w pańskiej sprawie. W Stanach mamy masę włoskich grubych ryb i obiecuję panu, że nie będzie więcej kłopotów z pana zezwoleniem na wyjazd.

- Sądzi pan, że to lepsze rozwiązanie, niż gdybym pojechał pociągiem do Lizbony? Bardzo chętnie bym to zrobił. - Pytanie było oczywiście retoryczne; Jastrow mówił tonem pełnym zadowolenia i ulgi.

- Wielkie nieba, doktorze! Ja sam bym się na to nigdy nie zdecydował. Podróż jest wyczerpująca i nie wiadomo nawet, czy wszystkie połączenia jeszcze istnieją. Ale przede wszystkim idzie o to, że w takim wypadku pański wyjazd ze Szwajcarii byłby nielegalny. Niech pan nawet o tym nie myśli. Teraz, gdy ma pan już legalny status, niech pan za wszelką

cenę pozostanie w granicach prawa.

- No cóż, kochanie - zwrócił się Jastrow do siostrzenicy - wygląda, że nasze drogi się rozchodzą.

Natalia nie odpowiedziała. Teraz, przy tak bliskiej perspektywie podróży, przelot niemiecką linią wydał jej się bardzo niemiły. Do tego jeszcze kołysanie łodzi na falach wywołanych przez statek wycieczkowy wywołało u niej nudności. A stateczek przepływał blisko, pasażerowie leniwie spoglądali na nich z góry, orkiestra zaś wygrywała „Nad pięknym, modrym Dunajem”.

Spojrząwszy na nią przenikliwym wzrokiem, Thurston odezwał się:

- Natalio, wiem, że jesteś zdecydowana nie wracać do Rzymu. Ale gdybyś zmieniła zdanie, ambasador załatwi twoją sprawę identycznie jak twego wuja. Ja bym ci to zalecał.

- No, nad tym trzeba się dobrze namyślić, zgadzasz się? - oświadczyła Natalia. - Moglibyśmy już wrócić? Jestem zmęczona.

- Ależ oczywiście. - Thurston natychmiast szarpnął sznur koła zamachowego i silnik zaskoczył, wypuszczając chmurę niebieskiego dymu.

- Jesteśmy wprost niezwykle panu wdzięczni - starał się przekrzyczeć hałas doktor Jastrow. - Zdziałał pan cuda.

- Pomogła nalepka „Sprawa prezydencka” - odparł Thurston, kierując dziób w poprzek rozplywającego się śladu torowego stateczku. Łódź podskakiwała na fali niemal dokładnie w rytm „Modrego Dunaju”.

Gdy Natalia zeszła na śniadanie, wuj siedział w pełnym blasku słońca przy oknie restauracji, pijąc kawę.

- Witaj leniuszku - powitał ją. - Jestem na nogach od paru godzin. Mam nadzieję, że zgłodniałaś. Mają tu dzisiaj najwspanialszą polską szynkę. W jaki sposób mogli ją dostać? Myślę, że Niemcy ją ukradli, a Szwajcarzy odkupili za złoto. Polska szynka jest najlepsza na świecie.

Natalia zamówiła kawę z bułką.

- Nie jesteś głodna? - perorował Jastrow. - Ja byłem wręcz wygłodzony. Dziwne, jak daleko można zajść w ciągu jednego życia! Jako chłopiec w Mędzicach raczej pozwoliłbym się dosłownie spalić żywcem na stosie albo zastrzelić, niż wziąć do ust kawałek szynki. Te wszystkie stare tabu pozbawiły nas tak prostej i dostępnej przyjemności. - Spojrzał na siostrzenicę. Natalia siedziała pobladła, napięta i ponura, splótszy ręce na wydatnym brzuchu. - A wiesz, jednym z najpiękniejszych widoków świata jest maselniczka pełna świeżego masła w świetle poranka. Spójrz na to masło! Delikatne i słodkie jak kwiaty. Musisz

go spróbować. A ta kawa jest taka dobra! Natalio, kochanie, przemyślałem tę sprawę i jestem całkiem zdecydowany na to, co teraz nastąpi.

- Tak? To dobrze. Ja też.

- Wracam do Rzymu - oświadczył. - Oczywiście, mógłbym spróbować tej Lufthansy, kochanie, nie boję się czarnego luda, ale wiem, że to mogłoby ci przeszkodzić w ucieczce. A to jest najważniejsze. Musisz absolutnie pójść teraz własną drogą. Taka jest moja decyzja i obawiam się, że niezłomna. Moja droga, czemu tak mi się przyglądasz? Czy mam jajko na brodzie?

- Nie, ale powiedziałaś dokładnie to samo, co ja ci miałam powiedzieć.

- Naprawdę? - Twarz Jastrowa rozjaśnił łagodny uśmiech. - Dzięki Bogu. Myślałem, że zrobisz bohaterską awanturę na temat powrotu wraz ze mną. Nie, pomysł, abyś się tam wlokła, jest absurdalny. Co do mnie, to wierzę ambasadorowi, a poza tym nie ma sensu sprzeciwiać się przeznaczeniu. Często los wie lepiej. Mam bilet na popołudniowy samolot do Rzymu. Powrót wygląda tak łatwo, jak zjazd po natłuszczonej pochylni. Trudno jest tylko jechać w przeciwną stronę.

Natalia piła kawę. Czy wuj urządził przedstawienie, aby wyłudzić od niej propozycję wspólnego powrotu do Rzymu? Po długim doświadczeniu była całkiem świadoma egoizmu Jastrowa, czasem objawiającego się subtelnie, czasem wręcz brutalnie.

- Dobrze więc - odrzekła. - Myślę, że twój pomysł, by wyjechać do kraju przez Rzym jest sensowny. Im wcześniej tam się dostaniesz i zapiszesz w kolejce, tym lepiej. Czy jesteś pewien, że dasz sobie radę?

- Jeśli zajął się tym ambasador, jakbym ja mógł coś popłatać? Mam tylko jedną prośbę. Czy weźmiesz mój maszynopis? Nawet, jeśli w kraju byłbym wcześniej, wolałbym zostawić książkę pod twoją opieką. Bo ja będę miał cały brudnopis. W ten sposób Łuk Konstantyna będzie miał dwie szanse uratowania zamiast jednej.

Po raz pierwszy Natalia zaczęła wierzyć wujowi, a nawet pozwoliła sobie na pewną serdeczność wobec niego.

- Dobrze Aaronie, w porządku. To będzie bardzo, bardzo dziwne rozstanie.

- Natalio dla mnie to będzie ulga o wiele większa, niż dla ciebie. Cięży mi wobec ciebie poczucie winy przynajmniej tak wielkiej, jak to dziecko, które tu masz. Kiedyś przekonasz się, jak ogromna jest moja wdzięczność. - Położył swą małą, kościstą rączkę na jej dłoni. - Zyskałaś sobie, jak to osobliwie mawiali nasi ojcowie, wielką część na tamtym świecie. Gdybyż jeszcze on istniał!

Tak więc Aaron Jastrow bez sprzeciwu powrócił do Rzymu. Przez dziesięć dni jego

siostrzenica nie miała od niego wiadomości, dziesięć ponurych dni, w czasie których gwałtownie zbladły uroki wygód i doskonałego jedzenia w Szwajcarii. Nawet szalik na szyi byłby, uważała Natalia, pożądanym towarzystwem. Czuła się strasznie samotna. Bunky Thurston, po uszy zaplątany w romans z córką francuskiego literata, który schronił się w Szwajcarii, nie miał dla Natalii wiele czasu. Szwajcarzy traktowali ją jak wszystkich cudzoziemców: z chłodną, płatną uprzejmością. Cały kraj wydawał się terenem należącym do najwyższej kategorii hotelu. Natalię przygnębiał też widok smutnych Żydów w sklepach, na ulicach, w pociągach i na statkach wycieczkowych. Wreszcie nadszedł list, oklejony nalepkami przesyłki ekspresowej oraz upstrzony stemplami cenzury.

Z góry zakładam, że list będzie, czytany, ale to nie robi mi różnicy. Ty i ja mamy wszystko załatwione z władzami włoskimi! Mam teraz w ręku, Natalio, dwa bilety lotnicze, odpowiednie zezwolenie wyjazdu, portugalskie wizy tranzytowe i połączenia na PanAm, i to wszystko z nalepkami, absolutnego, dyplomatycznego pierwszeństwa. Co za robota! Wszystko to leży przede mną na biurku i nigdy w życiu nie oglądałem wspanialszego widoku.

Moja droga, Thurston spowodował w ambasadzie istny wybuch. Dobry chłop. A był najwyższy czas! Ambasador uruchomił wszystkie kanały, włącznie z Watykanem gdzie, jak wiesz, mam wielu przyjaciół. Od dawna powinienem był użyć swoich wpływów, ale wydawało mi się poniżej godności powoływanie się na moje osiągnięcia pisarskie, jakiegokolwiek by tam one nie były.

Teraz do rzeczy.

Bilety są na piętnastego grudnia. Wiem, że to bardzo odległa data, ale PanAm stanowi wąskie gardło. Nie ma sensu lecieć do Lizbony i wysiadywać tam całe miesiące! Ten przelot jest pewny. Ale będzie to oznaczało, że musisz родzić tutaj. Decyzja należy do ciebie.

Załączam list od żony ambasadora, czarującej i całkiem dorzeczej kobiety. Jeśli nie chcesz usychać z tęsknoty w Zurichu, czekając na okazję podróży z walecznymi Hunami, jej zaproszenie może być korzystne.

Czekam na twe rozkazy. Czuję się o dwadzieścia lat młodziej, czy czujesz się dobrze? Martwię się o ciebie dniami i nocami. Ucałowania,

Aaron.

Ambasadorowa pisała ozdobnym charakterem pisma, jakiego uczą w szkołach dla panienek z dobrych domów, zielonym atramentem, z małymi kółeczkami zamiast kropek nad „i”:

Droga Natalio

Trzy miesiące temu odesłałam córkę do domu, by tam rodziła. Jej pokój świeci

puszkami, a jej mąż pracuje w ambasadzie i wszyscy bardzo za nią tęsknimy!

Jeśli możesz dostać się do kraju ze Szwajcarii, to będzie najlepsze rozwiązanie. W przeciwnym razie, proszę, weź pod uwagę możliwość przyjazdu do nas, gdzie przynajmniej będziesz dobrze jadła, a Twoje dziecko urodzi się, że tak powiem, na amerykańskiej „ziemi „, wśród Twych przyjaciół. Bardzo byśmy chcieli mieć cię wśród nas.

Tego samego ranka zadzwonił Bunky Thurston. Lufthansa dała się przekonać i zapewnia w dowód szczególnej dla niego uprzejmości bliską rezerwację: jedno miejsce do Lizbony, siedemnastego września, za cztery dni. Nie ma bezpośredniego połączenia na PanAm, dodał, ale w Lizbonie Natalię umieszczono wysoko na liście oczekujących i otrzyma pierwsze zwalnijące się miejsce.

- Proponuję, żebyś poszła od razu do Lufthansy na Bahnhofstrasse. To tylko dwie przecznice od twego hotelu i sama odbierzesz ten bilet - powiedział Thurston. - Są też różne formularze do wypełnienia. Tego nie mogę zrobić za ciebie, inaczej...

- Zaczekaj, Bunky, zaczekaj. - Natalia z trudem go rozumiała.

Obudziła się z bólem gardła i wysoką gorączką; kręciło jej się w głowie od aspiryny, przygnębił ją list wuja, który pograżył ją w zamęcie sprzecznych perspektyw. - Dostałam list od Aarona. Masz chwilę czasu?

- Wal.

Przeczytała mu list.

- No! Ależ się tam zagotowało, nie? Natalio, przecież ja nie mogę decydować za ciebie. Wiem, co by na to powiedział Leslie Slote. A także Byron.

- Ja też wiem. „Nie ryzykuj, jedź prosto do Rzymu”.

- Dokładnie.

- Mylisz się co do Byrona. On powiedziałby mi, abym leciała Lufthansą.

- Naprawdę? Znasz go lepiej niż ja. Ale cokolwiek zdecydujesz, daj mi znać, czy mogę ci w jakikolwiek sposób dopomóc. A teraz do widzenia, słyszę klakson wozu Françoise. Wyjeżdżamy na cały dzień na wieś.

Natalia za żadne skarby nie chciała wracać do Rzymu. Tego postanowienia trzymała się twardo. Półprzytomna, ocieżała, ubrała się wreszcie i wyruszyła do Lufthansy. Bez przerwy łykała ślinę, bo gardło ją bolało, jakby było wyłożone papierem ściernym, pomimo nieustannie pochłanianej aspiryny. Wszystkie biura linii lotniczych mieściły się w jednym miejscu. Air France, PanAmerican i BOAC były zamknięte, zasłony w oknach opuszczone, szyldy już wyblakłe. W słońcu błyszczał tylko złocony orzeł Lufthansy, siedzący na otoczonej wieńcem swastyce. Z powodu tej swastyki Natalia zawahała się przed wejściem.

Przez okno widać było wewnątrz czyste jak sala szpitalna, z pustym kontuarem. Stała za nim opalona blond dziewczyna w lazuruowo-złotym mundurze, wyglądająca jak lalka z wystawy, ukazując w uśmiechu olśniewająco białe zęby. Odpowiadał jej uśmiechem mężczyzna równie opalony, ubrany w sportową marynarkę w kratkę. Rozwieszono na ścianach plakaty ukazujące zamki na nadrzecznych urwiskach, dziewczęta w bawarskich strojach ludowych, pijących piwo grubasów i popiersia Beethovena i Wagnera na szczycie gmachu opery.

Pracownicy biura dostrzegli przez witrynę Natalię, przestali się śmiać i zaczęli się jej przyglądać. Natalia, czując dreszcze gorączki, weszła do biura Lufthansy.

- Grüss Gott - powiedziała dziewczyna.

- Dzień dobry - odrzekła ochryple Natalia. - Amerykański konsul Bunker Thurston zarezerwował dla mnie miejsce do Lizbony na siedemnastego.

- Tak? Czy pani Byron Henry? - odpowiedziała gładką angielszczyzną dziewczyna.

- Tak.

- Doskonale. Pani paszport?

- Czy jest dla mnie ta rezerwacja?

- Tak. Proszę panią o paszport.

Dziewczyna wyciągnęła wypielegnowaną dłoń. Natalia wręczyła jej paszport, dziewczyna zaś podała długi formularz, wydrukowany na grubym, zielonym papierze.

- Proszę uprzejmie to wypełnić.

Natalia przejrzała rubryki.

- Na litość boską! Tyle pytań przy zwykłej podróży samolotem.

- Przepisy bezpieczeństwa w związku z wojną, pani Henry. Proszę wypełnić obie strony.

Na pierwszej stronie znajdowały się szczegółowe pytania o podróże odbyte przez pasażera w ostatnim roku. Natalia odwróciła arkusz. Po drugiej stronie pierwsze pytanie od góry brzmiało:

Glaubung (Foi) (Religion) ...

Vater (Pere) (Father) ...

Mutter (Mere) (Mother) ...

Wstrząsnął nią dreszcz. Zdziwiła się, czemu Thurston nie uprzedził jej o tym niebezpiecznym haczyku. Musiała szybko podjąć decyzję. Można było po prostu napisać „Metodystka”; w paszporcie podano nazwisko panieńskie jej matki, ale „Greengold” nie musiało być żydowskim. Jakże mogliby to sprawdzić? Ale z drugiej strony, po wszystkich kłopotach, które spotkały Aarona, na jakie listy mogli ją Niemcy wpisać? Skąd pewność, że

incydent w Królewcu nie został odnotowany? I co się stało z tymi neutralami narodowości żydowskiej, których Niemcy oddzielili w Królewcu? Te pytania przeleciały przez jej zgorączkowany umysł. Dziecko w brzuchu zadrgało.

Ulica za oknem wydawała się daleka i pożądana. Natalii kręciło się w głowie, gardło zdawało się zatkałe garścią żwiru. Upuściła zielony formularz na kontuar. Pracownica Lufthansy zaczęła wypisywać bilet danymi z paszportu. Natalia zauważyła, jak dziewczyna ze zdumieniem spogląda na odrzucony formularz, a potem na mężczyznę w sportowej marynarce. Mężczyzna sięgnął do kieszeni i spytał Natalię po niemiecku:

- Czy potrzebuje pani pióra?

- Proszę o paszport - odrzekła.

Dziewczyna podniosła wysoko brwi. - Czy coś nie w porządku?

Zbyt wstrząśnięta, by wymyślić gładką odpowiedź, Natalia wyjąkała:

- Amerykanie nie pytają o wyznania religijne w związku z podróżą, a także go nie podają.

Dziewczyna i mężczyzna wymienili znaczące spojrzenia. Mężczyzna powiedział:

- Jeśli chce pani zostawić to nie wypełnione, pani Henry, to wszystko w porządku. Jak pani sobie życzy.

Oboje uśmiechnęli się podejrzanym uśmiechem, takim samym, jaki miał podoficer SS w Królewcu.

- Proszę o mój paszport.

- Zaczęłam już wypisywać pani bilet - odpowiedziała dziewczyna. - Pani Henry, naprawdę jest bardzo trudno o miejsce do Lizbony.

- Mój paszport!

Dziewczyna rzuciła brązową książeczkę na kontuar i odwróciła się plecami.

Natalia wyszła. O trzy sklepy dalej otwarte było biuro Swissair. Weszła do środka, wzięła bilet do Rzymu na następny rano. Było tak, jak powiedział Aaron Jastrow. Powrót był równie łatwy jak zjazd po natłuszczonej pochylni.

49

Marsz na Moskwę (z książki: „Utrata światowego imperium”)

Geografia planu Barbarossa

Najważniejszy w wojnie jest wynik, a Niemcy przegrały tę wojnę. Ten fakt przesłonił ich zwycięstwa w bitwach, jakich wrogowie Rzeszy nigdy nie odnieśli. W końcu pobili nas

tylko przewagą liczebną i potokiem maszyn.

Całkiem naturalne jest też, że przegrana rzuca cień wątpliwości na sposób prowadzenia walki przez pokonanego. Dlatego wielu historyków wojny, niestety wraz ze znanymi niemieckimi generałami jak Guderian, Manstein i Warlimont, zgadza się, że nasz plan inwazji na Rosję był „niejasny”, „byle jak sklecony”, czy nawet „bez wyraźnego celu strategicznego”. Czemu służy to historyczne kalanie własnego gniazda? Wyłącznie samousprawiedliwieniu się, co powinno być czymś poniżej żołnierskiej godności. Czyż nie wystarczy, że w rozdzierający serce sposób przegraliśmy tę wojnę o włos i straciliśmy imperium światowe? Nie ma żadnego powodu, by na domiar złego charakteryzować nas, którzy dokonywaliśmy największego wysiłku narodowego, jako gromadę niedouczonej durniów. Tego rodzaju lizusowska pisanina, obliczona na podtrzymywanie przesądów u zwycięzców, nie przynosi nikomu zaszczytu, a ponadto gwałci prawdę historyczną.

Ja sam zostałem czasowo przydzielony do sztabu planowania generała Marcksa, który jesienią i zimą 1940 roku wypracował wstępne plany gier wojennych na temat inwazji na Związek Sowiecki, a następnie nakreślił zasady operacyjne. Dlatego od samego początku brałem udział w całej sprawie. Biorąc pod uwagę takie czynniki, jak czas i przestrzeń, liczebność wojsk i wielkość zaopatrzenia oraz ogrom celów politycznych, była to śmiała koncepcja. We wszystkich swych szczegółach Plan Barbarossa był niemal nazbyt skomplikowany, by mógł go ogarnąć intelekt jednego człowieka. A jednak, gdy się weźmie pod uwagę jego wizję całościową, plan był prosty. To było jego zaletą i jego siłą. Był mocno zakotwiczony w realiach geograficznych, ekonomicznych i militarnych. W granicach ryzyka nieodłącznego od każdej wojny, był to plan rozsądny.

Niechże czytelnik poświęci chwilę czasu na przestudiowanie bardzo uproszczonej mapki, jaką przygotowałem. W dalszej części, w mej analizie operacyjnej, znajduje się ponad czterdzieści map sytuacyjnych pochodzących z archiwów. Oto jest obraz ataku Barbarossa w największym skrócie.

Linia „A” ukazuje naszą postawę wyjściową w Polsce. Miała około pięciuset mil długości, ciągnąc się z północy na południe od Morza Bałtyckiego do Karpat. (Były też przewidziane działania powstrzymujące z Rumunii, dla osłony pól naftowych Ploeshti.)

Naszym celem była linia „C”. Długa na przeszło dwa tysiące mil, biegła od Archangielska nad Morzem Białym na południe do Kazania, a następnie wzdłuż Wołgi do Morza Kaspijskiego. Jej najdalsze rubieże leżały o około tysiąc dwieście mil od naszych podstaw wyjściowych.

Linia „B” ukazuje, jak daleko dotarliśmy w grudniu 1941 roku. Biegnie ona od

Leningradu nad Zatoką Fińską na południe, przez Moskwę do Półwyspu Krymskiego na Morzu Czarnym dochodząc prawie do Rostowa nad Donem. Ma prawie tysiąc dwieście mil długości i jest oddalona o ponad sześćset mil od naszych podstaw wyjściowych. Wydaje się więc, że zostaliśmy zatrzymani przez Rosjan mniej więcej w połowie drogi. Ale tak nie było. Zostaliśmy zatrzymani w ostatnim momencie, na ostatniej linii obronnej.

Koncepcja ataku

Wiosną 1941 roku nasz wywiad doniósł, że Armia Czerwona koncentruje się na zachodzie blisko linii granicznej przecinającej Polskę. To groźne nagromadzenie uzbrojonych Słowian zagrażało zalaniem Europy przez bolszewizm. Było to główną przyczyną decyzji Führera wydania wojny prewencyjnej i z całą pewnością usprawiedliwiało całe nasze wcześniejsze planowanie.

Jednak to groźne rozmieszczenie sił zbrojnych Stalina było dla nas korzystne, ponieważ w ten sposób rezygnował on z wielkiej przewagi, jaką dawała rosyjska przestrzeń manewrowa i stłoczył Armię Czerwoną w zasięgu szybkiego nokautującego ciosu. Stalin przewyższał nas zarówno liczebnością sił zbrojnych, jak sprzętu. Według najlepszych posiadanych przez nas informacji, mieliśmy wyruszyć około stu pięćdziesięciu dywizjami przeciw mniej więcej dwustu, mając trzy tysiące dwieście czołgów przeciw aż dziesięciu tysiącom i przy bliżej nie określonej przewadze jego lotnictwa. Oczywiście więc było, że nasze nadzieje mogliśmy pokładać w lepszym wyszkoleniu, dowodzeniu, jakości żołnierza i maszyn oraz szybkim decydującym dla ostatecznych rezultatów wykorzystaniu zaskoczenia. Po doświadczeniach wojny fińskiej, ryzyko wydawało się w granicach rozsądku.

Celem strategicznym Planu Barbarossa było obalenie państwa sowieckiego jednym, kolosalnym letnim uderzeniem i zdegradowanie jego rozbitych części do roli rozbrojonych, socjalistycznych prowincji, obsadzonych siłą zbrojną i rządzonych przez Niemcy od granicy polskiej po Wołgę. Ziemie na wschód od Wołgi, mroźne pustynie Syberii i puste lasy za Uralem mogły zostać wówczas albo oddzielone kordonem sanitarnym, albo bez trudności zajęte. Istotnym czynnikiem, który należało wziąć pod uwagę było to, że z tych oddalonych terenów żaden z istniejących bombowców nie mógł dotrzeć nad Niemcy.

Pod względem operacyjnym spodziewaliśmy się przebić przez zmasowane na zachodniej granicy siły trzema potężnymi i równoczesnymi atakami błyskawicznymi. Dwa miały uderzyć na północ od bagien poleskich, jeden na południe, wszystkie zaś otoczyć i wykończyć złamane siły nieprzyjacielskie w ciągu paru tygodni. W ten sposób główny trzon Armii Czerwonej przestałby istnieć niemal na początku działań.

Ocenialiśmy, że potrafimy to osiągnąć. Ale wiedzieliśmy też, że na tym się nie

skończy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nieprzyjaciół będzie utrzymywać wielkie rezerwy między granicą i Moskwą, i że w pewnym miejscu te siły okopią się. Wiedzieliśmy też, że tępy Słowianin najlepiej walczy w obronie ojczyzny. Dlatego też oczekiwaliśmy i planowaliśmy drugą wielką kampanię w pierwszej połowie lipca, prawdopodobnie za linią Dniepr-Dźwina, by otoczyć i zniszczyć te rezerwy. I wreszcie spodziewaliśmy się, że gdy przebijemy się do linii Leningrad-Moskwa-Sewastopol, napotkamy na ostatni opór rosyjskiej obrony (i tak się właśnie stało), do której włączy się masowo ludność stolicy i innych wielkich miast przemysłowych, leżących wzdłuż stosu pacierzowego Związku Sowieckiego. Gdy już złamiemy ten kręgosłup, za linią Archangielsk-Wołga, która była naszym celem, nic już nie leżało, jak ocenialiśmy, poza ogarniętą paniką i przeznaczoną do likwidacji ludnością, oprócz jeszcze być może, drobnych oddziałów partyzanckich.

Oczywiście było to trudne przedsięwzięcie, świadomie podjęte ryzyko. Polem bitwy była cała Rosja Sowiecka - teren ukształtowany jak lejek, na jednym końcu szeroki na pięćset, na drugim na tysiąc siedemset mil. Północny skos lejka leżał wzdłuż mórz Bałtyckiego i Białego, południowy wzdłuż Karpat i Morza Czarnego. Nasze siły musiały więc rozwinąć się jak wachlarz przez ogromne, płaskie i monotonne równiny rosyjskie, w miarę posuwania się wydłużając nasze linie komunikacyjne i rozpraszając obsadę frontów. Tego też oczekiwaliśmy, ale zaskoczyła nas prymitywność dróg i dzikość terenu. Tutaj nasz wywiad się mylił. Nie był to teren nadający się do wojny błyskawicznej. Prawdą jest, że sama nieudolność zarządzania i niski standard komunistycznej Rosji był jej groźnym czynnikiem obronnym. Nie pokwapili się, by wybudować przyzwoite szosy, torowiska linii kolejowych były nędzne, a same tory - umyślnie, rzecz oczywista - miały inny rozstęp niż nasze.

Komentarz tłumacza: Z punktu widzenia Roona niemieckie plany sztabowe ataków na inne kraje są zawsze obronne i tylko hipotetyczne; ale ci inni zawsze zrobią coś głupiego lub złego, co przeszkadza realizacji planu ataku. Historycy nadal zastanawiają się nad intencjami Stalina w 1941 roku, ale wydaje się, że nie miał on zamiarów ofensywnych. Sowieci śmiertelnie bali się Niemców i robili wszystko co możliwe aż do ostatniej chwili, by ich ułagodzić i odwieść od myśli o zaatakowaniu.

(V. H.)

Rozcinanie tortu

Pomimo wielu istniejących problemów, Plan Barbarossa od początku okazał się sukcesem. Zaskoczenie uzyskaliśmy na całym froncie. W annałach wojny zostanie to uznane za najbardziej zadziwiające wydarzenie. Guderian notuje w swych pamiętnikach, jak niemieccy artylerzyści wokół Brześcia Litewskiego, gotowi do położenia o świcie nawaly

ogniowej na nie spodziewających się bolszewików, widzieli jak ostatni rosyjski pociąg towarowy z zaopatrzeniem, sapiąc z wysiłku, skrupulatnie wwiózł swój ładunek do naszej części Polski. Nic jaśniej nie wskazuje, jak Stalin i jego stronnicy zostali oszukani przez zręczną politykę Führera. Zachodni autorzy nazywają to obecnie „perfidnym atakiem”, jakby w przededniu walki na śmierć i życie Niemcy mogli się wdawać w salonowe subtelności.

Opierający się na tej przewadze, Plan Barbarossa rozwijał się zgodnie z założeniami. Luftwaffe zaskoczyła potężne frontowe siły lotnicze czerwonych na ziemi i starła je w ciągu paru godzin. W centrum i na północy nasze pancerne kleszcze posuwały się zgodnie z rozkładem, z piechotą spieszącą naprzód dla ich podtrzymania. Po sześciu dniach znaleźliśmy się w Mińsku i nad Dźwiną, zagarniając niemal pół miliona jeńców oraz tysiące armat i czołgów. Tylko na południu Rundstedt napotkał na pewien realny opór. Wszędzie indziej Armia Czerwona przypominała olbrzymie, miotające się ciało bez głowy. Stalin był niewidoczny i milczący, sparaliżowany atakiem przygnębienia.

Upłynęły jeszcze dwa tygodnie i wokół Smoleńska zamknął się drugi olbrzymi pierścień pancerny, po przebyciu dwóch trzecich głównej drogi do Moskwy. Na północy zajęliśmy kraje bałtyckie, przekształcając Bałtyk w niemieckie jezioro i poprzez pustynne tereny zbliżaliśmy się do Leningradu. Atak Rundstedta na południu odzyskał rozpęd i zbliżał się do Kijowa. Wzięliśmy do niewoli jeszcze kilkaset tysięcy jeńców. Rosjanie walczyli dzielnie i uparcie w małych kotłach, ale pod względem operacyjnym nie napotykalimy już zorganizowanego oporu. Według raportów napływających z pola bitwy i zgodnie z obrazem, jaki mieliśmy w Naczelnym Dowództwie, raz jeszcze wygraliśmy wojnę - a raczej, ściśle mówiąc, olbrzymią operację policyjną - w ciągu trzech tygodni, i zajęci byliśmy akcjami likwidacyjnymi resztek. Tak było w Polsce, Francji, a teraz w Rosji.

Oczywiście tak potężna ofensywa pociągnęła za sobą straty w ludziach, zaopatrzeniu oraz zużycie sprzętu zmechanizowanego. Nastąpiła więc przerwa na konsolidację pozycji i trwała ona do połowy sierpnia. Niektórzy autorzy twierdzą, że było to „okazaniem fatalnego braku zdecydowania”, ale oczywiste jest, że nie mają oni pojęcia o logice. Ta przerwa była przewidziana w naszym pierwotnym rozkładzie czasu. Bez cienia braku zdecydowania, triumfujący od Bałtyku po Morze Czarne Wehrmacht przegrupował się i odnawiał wyposażenie w upojeniu zwycięstwem, którego wspomnienie do dziś przyśpiesza bicie serca starych żołnierzy.

Jako członek sztabu wprowadzony w najdrobniejsze szczegóły Planu Barbarossa, brałem udział w słynnej konferencji 16 lipca w Wilczym Gnieździe, gdy Hitler, rozłożywszy szeroko ręce nad mapą plastyczną, triumfalnie powiedział do Göringa, Rosenberga,

Bormanna i innych dygnitarzy partyjnych: - „Istota rzeczy polega na tym, by teraz ten gigantyczny tort pokroić dla nas, abyśmy mogli:

- po pierwsze, zapanować nad nim;
- po drugie, rządzić nim, oraz
- po trzecie, eksploatować go!”

Do dziś mam przed oczami promienny uśmiech na niezdrowej, nalanej twarzy Hitlera, gdy wyliczał te punkty na palcach i gorączkowe wypieki, jakie zwycięstwo wywołało na jego wybladłych policzkach. Po zakończonej konferencji, wspomniawszy nieoficjalnie o rozwiązaniu we wrześniu czterdziestu dywizji, aby zwolnionych w ten sposób ludzi odesłać do fabryk. Chciał też zmniejszyć produkcję czołgów i działa na rzecz programu pośpiesznej budowy samolotów i okrętów dla ostatecznego zmiżdżenia Anglii i zakończenia wojny. Wszystko to było zgodne z najprostszym, zdrowym rozsądkiem i nie podniósł się ani jeden głos sprzeciwu. Naoczne fakty pola bitwy dowodziły, że wygraliśmy kampanię wschodnią.

Krytycy

Stratedzy zza biurka korzystają nie tylko z przewagi wynikającej z pisania po fakcie, ale także z tej, jaką daje zupełny brak odpowiedzialności. W gruncie rzeczy to co piszą, nie obchodzi nikogo. Spór się zakończył, więc od ich zdania nic już nie zależy. Po prostu zużywają papier i atrament, a to tanie towary. Natomiast od każdej decyzji podejmowanej w czasie wojny zależy życie żołnierzy, może nawet sam byt narodowy. Niemądre jest sumaryczne odrzucanie, długo po fakcie, ocen dowódców polowych, którzy musieli wykonywać swe zadania. Ale krytycy Barbarossy nieczęsto wykazują należyłą ostrożność.

Nieustannie powtarzane są trzy fałszywe zarzuty przeciw naszej kampanii. Wszystkie przeczą sobie wzajemnie; lecz to nie powstrzymuje naszych krytyków od wypowiedzania jednego z nich, dwóch, lub wszystkich trzech naraz. Twierdzi się mianowicie, że:

Po pierwsze, niezależnie od tego, ile zwycięstw wojskowych byśmy odnieśli, nasza inwazja na Związek Sowiecki była z góry skazana na klęskę, ponieważ mała plamka na mapie Europy, jaką były Niemcy z ich osiemdziesięciu milionami mieszkańców, nie mogła marzyć o przeciwstawieniu się ogromnej Rosji z prawie dwustu milionami mieszkańców.

Po drugie, twarde traktowanie ludności Rosji przez Hitlera było głupotą, w przeciwnym bowiem wypadku powitałaby nas z otwartymi ramionami i dopomogła w obaleniu zniechęconego reżimu komunistycznego. W związku z tym niezmiennie odgrzewa się stare historyjki o chłopkach, wychodzących naprzeciw niemieckim najeźdźców z kwiatami czy chlebem i solą.

Po trzecie, nasz plan zawierał klasyczny błąd skupienia się na celach geograficznych

czy ekonomicznych, zamiast zniszczenia sił zbrojnych nieprzyjaciela.

Doskonale. Na pierwszy zarzut odpowiadam, że mapa ludności świata pokazuje, że mała wysepka, którą jest Anglia, z ludnością trzydziesto- czy czterdziestomilionową w żaden sposób nie mogła rządzić Południową Afryką, Indiami, Kanadą i Australią z niemal pół miliardem mieszkańców. Niemniej Anglia dokonała tego i trwało to przez długi czas. Co więcej, podległe kraje nie graniczyły z nią a były odległe o tysiące mil, leżąc na końcach cienkich jak włos morskich linii komunikacyjnych. Natomiast Związek Sowiecki przytykał do Niemiec, znajdując się w zasięgu ognia naszych armat.

Krytycy zapominają przede wszystkim że był on tworem małej, ekstremistycznej partii bolszewików, która obaliła poprzedni rząd i przechwyciła władzę nad ludnością dziesięć razy liczniejszą niż oni i stanowiącą konglomerat różnych narodowości. A także, że Złota Orda - mała grupka okrutnych najeźdźców - w rzeczywistości przez ponad wiek rządziła słowiańskimi masami. Krótko mówiąc ci krytycy nie mają pojęcia o historii podbojów ani o technice administracji wojskowej, dysponującej nowoczesnym wyposażeniem i środkami komunikacji. Gdybyśmy zajęli Związek Sowiecki rządilibyśmy nim. Udało nam się to całkiem dobrze na tych terytoriach, które trzymaliśmy w rękach przez lata.

Zarzut drugi w oczywisty sposób zaprzecza pierwszemu. Gdybyśmy nie podbili Rosjan, cóż byśmy zyskali stosując wobec nich łagodną politykę? Przyspieszyłoby to tylko dzień naszego upadku. Ale ten zarzut wynika z absurdalnie błędnej koncepcji wojny między Niemcami i Związkiem Sowieckim. Była to, w najściślejszym znaczeniu tego słowa, wojna na śmierć i życie.

Historia znalazła się na zakręcie. Na kontynencie eurazjatyckim pozostały dwa mocarstwa przemysłowe, i tylko dwa. Stały twarzą w twarz. Wyznawały dwie zupełnie przeciwstawne idee rewolucyjne. Gdyby zatriumfować miał bolszewizm, Niemcy jakie znaliśmy, musiałyby umrzeć. Gdyby triumfować miał niemiecki narodowy socjalizm, w tym środku świata nie było miejsca dla niepodległego, zbrojnego, groźnego narodu bolszewickiego, o wiele większego niż Rzesza Niemiecka.

Zielona Teczka

Wiele hałasu zrobiono na temat „Zielonej Teczki”, podstawowej dyrektywy eksploatacji ekonomicznej pobitej Rosji, przygotowanej przez Sztab Ekonomiczny „Wschód” pod kierownictwem Göringa. Na procesie norymberskim dowiodłem, że nie brałem udziału w przygotowaniu tego planu administracyjnego, ponieważ odpowiadałem za sprawy operacji wojskowych.

Nie ulega wątpliwości, że propozycje zawarte w „Zielonej Teczce” były drakońskie.

Oznaczały one śmierć głodową milionów Rosjan. Göring to przyznał, a dokumenty zostały włączone do akt procesowych; zaprzeczanie temu byłoby więc absurdalne.

Nie miałyby także sensu, ani nie przynosiła korzyści próba udowadniania „moralności <Zielonej Teczki>„. Niemniej byłyby tu na miejscu pewne uwagi o charakterze wojskowym.

Plan „Zielonej Teczki” opierał się na oczywistych faktach geograficznych. Żywny region „pasa czarnoziemnego” południowej Rosji nie tylko żywi się sam oraz ma własny przemysł, ale także żywi cały kompleks przemysłowy na północy. Północna Rosja była zawsze nędznym, ubogim terytorium, na którym łączny wpływ marnej ziemi i niedobrego klimatu powodują permanentny deficyt żywności. „Zielona Teczka” proponowała wprowadzenie drastycznej rekwizycji zboża, mięsa, węgla, ropy, tłuszczów, skór i produktów przemysłowych południa na rzecz zaopatrzenia naszych armii w polu i wyczerpanego narodu niemieckiego w ojczyźnie. Plan przewidywał, że południowi Słowianie będą otrzymywać kaloryczne minimum wyżywienia, niezbędne dla ich pracy produkcyjnej. Ale niemieckie potrzeby tak wielkiej ilości rosyjskich produktów oczywiście wywołają brak żywności na wielką skalę. Należało pogodzić się więc z poważnym wytrzebieniem ludności północnej Rosji, jako wynikiem planu.

Być może nasz plan zarządzania Rosją był mniej „moralny” niż wytepienie przez Amerykanów rasy czerwonej i zrabowanie jej najbogatszych terytoriów na ziemi. Być może brakowało mu szlachetnej myśli religijnej, z jaką Hiszpanie obrabowali Meksyk i Amerykę Południową oraz zniszczyli fascynujące cywilizacje Inków i Azteków. I być może, w jakiś sposób nie całkiem jasny dla piszącego te słowa, uciemnienie Indii przez Brytyjczyków oraz handlowa grabież Chin przez wszystkich europejskich kolonialistów plus Stany Zjednoczone, były sympatyczniejszymi i moralniejszymi programami od propozycji zawartych w „Zielonej Teczce”. Ale nieuprzedzony czytelnik nie powinien nigdy zapomnieć że z punktu widzenia filozofii politycznej Niemiec Rosja była naszymi Indiami.

Nam, Niemcom, zawsze brakowało tego szczególnego, anglosaskiego daru ubierania egoizmu narodowego w szaty pobożnej moralności. Mówimy uczciwie to, co myślimy, a to nieodmiennie uraża wrażliwość zachodnich polityków i pisarzy. Adolf Hitler był indywidualnością polityczną na miarę światową, przynajmniej to jest dziś faktem dowiedzionym. Postawił przed narodem niemieckim wielkie cele historyczne. A historyczno-swiatowe przemiany znajdują się, jak nauczał Hegel, daleko poza nieistotnymi granicami moralności. Są one objawieniami woli Boga. Być może w tym olbrzymim wysiłku i olbrzymiej tragedii Niemiec, zawarte były ciemne dla nas plany Opatrzności, które staną się jasne dla przyszłych pokoleń. „Zielona Teczka” była integralną częścią tego wysiłku. Z

punktu widzenia światowo-filozoficznego była ona słusznym czynem narodu, trudzącego się nad wytyczeniem nowych ścieżek dla odwiecznej, faustowskiej wędrówki ludzkości.

W świetle tych idei argument, że powinniśmy byli łagodnie traktować Ukraińców i innych Słowian, aby dopomagali nam oni do obalenia swych komunistycznych władców, w oczywisty sposób staje się śmieszny. Niemcy naród równie biedny jak potężny, nie mógł kontynuować wojny nie konfiskując żywności południowej Rosji. Czyż można było oczekiwać, że Słowianie pogodzą się ze zubożeniem, robotami przymusowymi i śmiercią głodową milionów bez naprawdę poważnej rewolty - jeśli ich duch nie zostanie od samego początku złamany, a jedyną czekającą ich perespektywą jeśli nie będą posłusznie pracować, będzie żelazna pięść i pluton egzekucyjny? Adolf Hitler powiedział, że jedynym sposobem zarządzania południową Rosją jest zastrzelić każdego, kto się skrzywi. Führer niekiedy przekazywał swe myśli w ostrej formie, ale rzadko zdarzało się, by jego wypowiedzi w takich sprawach nie były realistyczne.

Wreszcie należy podkreślić, że system administracyjny „Zielonej Teczki” nigdy nie został wprowadzony w życie, ponieważ nie udało nam się zwyciężyć Związku Sowieckiego. Był to plan hipotetyczny, którego nie można było zrealizować. Dlatego też nacisk, jaki nań położono podczas procesu norymberskiego, był o wiele za duży, a także zniekształcający rzeczywistość.

Komentarz tłumacza: Filozoficzna obrona przez Roona „Zielonej Teczki” - najokrutniejszego zapewne planowanego systemu rządzenia spisanego w historii - okaże się bez wątpienia niestrawna dla przeciętnego czytelnika w Stanach Zjednoczonych. Niemniej właśnie wówczas, gdy przeczytałem ten rozdział, postanowiłem przetłumaczyć „Utratę światowego imperium”.

(V. H.)

Zwrot na południe

Opierając się głównie na Guderianie, wielu autorów twierdzi ponadto, że Hitler przegrał wojnę w połowie lipca, gdy po naszym zadziwiającym trzytygodniowym marszu na Smoleńsk - co stanowiło trzy czwarte drogi do Moskwy - skierował pancerne armie Guderiana na południe, by dopomogły Rundstedtowi zamknąć kocioł kijowski, zamiast pozwolić mu na dalsze parcie naprzód. Dowodzi się, że w ten sposób stracono cenne tygodnie, a sprzęt pancerny został nadmiernie zużyty; tak więc naszemu ostatecznemu atakowi na stolicę odebrana została siła uderzenia.

W krytyce „Zwrotu na południe” jest wiele luk. Przede wszystkim zamknięcie kotła kijowskiego na wschód od Dniepru było największym zwycięstwem lądowym w historii

ludzkości. Za jednym zamachem Niemcy zabili lub wzięli do niewoli siły zbrojne i zdobyli wyposażenie równe prawie połowie tych sił Wehrmachtu, z którymi rozpoczęli inwazję na Związek Sowiecki. Trudno tak wspaniałe zwycięstwo określać lekceważąco jako „dywersję taktyczną”. Wraz z nim zapewniliśmy sobie niezakłócone posiadanie bogactw południowej Rosji, a tylko to pozwoliło nam kontynuować walkę przez lata i niemal wygrać wojnę. Zabezpieczyliśmy sobie wyżywienie, zagłębienie przemysłowe i rezerwy paliwa, których Niemcy tak długo poszukiwały. Ich zdobycie było osią całej polityki Adolfa Hitlera.

To prawda, że Clausewitz mówi, iż głównym celem działań wojennych jest zniszczenie siły żywej nieprzyjaciela, a nie zdobywanie terytorium czy przemysłu. Ale tak bardzo krytykowany „Zwrot na południe” spowodował właśnie wielkie zniszczenie sił zbrojnych nieprzyjaciela.

A gdyby ta ogromna armia południowa wymknęła się na naszym skrzydle? Nawet, gdybyśmy zniszczyli stolicę, czy bylibyśmy w lepszym położeniu niż Napoleon? Napoleon zasadniczo pokierował strategią Guderiana, uderzając w „środek ciężkości” - Moskwę. Kłopot polegał na tym, że gdy się tam znalazł, nie miał czym wyżywić swych ludzi ani koni, jego lewe i prawe skrzydło były zagrożone i po krótkim czasie nie mógł zrobić nic innego, jak wykonać absolutnie katastrofalny odwrót.

My, którzy planowaliśmy Barbarosę i śledziliśmy jak się rozwija, rzadko wypuszczaliśmy z rąk egzemplarze Pamiętników Caulaincourta. Jeśli Wehrmacht utrzymywał pozycje podczas straszliwej zimy 1941 roku, jedynym i doskonałym powodem ku temu było to, że nie powtórzyliśmy błędu Napoleona. Przynajmniej zajęliśmy południe, które nas żywiło i dawało nadzieję, że walkę podejmiemy później. Gdy Hitler powiedział Guderianowi, który przybył do „Wilczego Gniazda”, by zaprotestować przeciw „Zwrotowi na południe”, że generałowie nie mają pojęcia o ekonomii wojny, mówił szczerą prawdę. Podobni są do rozpieszczonych sportowców, którzy uważają, że kto inny powinien się martwić o stadion, widzów i pieniądze; ich interesuje tylko popisywanie się swą walecznością. I taki był Guderian, uparta, choć błyskotliwa primadonna.

Mniemanie, że uderzenie w centrum zostało w ten sposób osłabione, samo się osłabia przez prosty fakt, że po ukończeniu swego zadania na południu, Guderian powrócił na północ i przegrupował do naszych spektakularnych zwycięstw wrzesniowych i październikowych. Te wyczyny nie doznały żadnego osłabienia!

Nie wahałem się wytykać dyletanckich błędów Adolfa Hitlera w innych sytuacjach. Niektóre z nich były katastrofalne. Ale zwrot na południe był rozumnym, koniecznym i szczęśliwym posunięciem.

Ku wieżom Kremla

Resztki Armii Czerwonej na północy i w centrum, raz jeszcze pobite i rozbite, wycofywały się oszołomione przez olbrzymie przestrzenie Rosji. Braliśmy tłumy jeńców, ale jeszcze więcej żołnierzy wyslizgiwało się nocą z okrażeń, porzucając czołgi i armaty. Na północy osiągnęliśmy wszystkie cele, z wyjątkiem samego zdobycia Leningradu. Miasto zostało oblężone, a trwało to dziewięćset dni, podczas których straciło wszystkie siły i prawie obumarło. Wybrzeża Bałtyku należały do nas, dzięki czemu mogliśmy zaopatrywać nasze siły na północy drogą morską. Byliśmy w kontakcie operacyjnym z naszymi fińskimi sprzymierzeńcami. Na południu zajęliśmy Krym i rozpoczęliśmy wyścig w kierunku kaukaskich pól naftowych. W centrum zaś olbrzymie kleszcze pancerne zaciskały się na Moskwie z północy i z południa, przenikając do jej przedmieść. Nieugięta piechota Bocka, maszerując z zadziwiającą szybkością po drodze ze Smoleńska, miażdżyła wszystko przed sobą we frontalnym ataku na bolszewicką stolicę. Moskwę ogarnęła panika. Szesnasty października do dziś znany jest w literaturze wojny rosyjskiej jako dzień „wielkiego wiania”, gdy obcy dyplomaci, wiele ministerstw i duża liczba sowieckich dygnitarzy wraz z ogromną masą cywilów porzuciła stolicę i zemknęła na wschód, poszukując bezpieczeństwa na Uralu.

Stalin pozostał w Moskwie, wygłaszając rozpaczliwe przemówienia i rozkazując kobietom i dzieciom, by wychodziły z miasta kopać rowy na drodze naszych zbliżających się armii. Na równinie środkoworosyjskiej zaczynał padać śnieg. Już we wrześniu rozpoczęła się „rasputica” - jesienny sezon roztopów. Bóg jeden wie, jak trudno było posuwać się naprzód w tych warunkach, ale posuwaliśmy się. Nigdy w dziejach siły zbrojne nie wykazały większej energii i ducha wśród ogromnych trudności. Niezwykłym zapalem płonęli wszyscy, od najwyższego generała do najskromniejszego piechura. Przez błotniste, zaśnieżone, dzikie równiny, na zamglonym rosyjskim horyzoncie, widać było kres długiej drogi, niewiarygodnego dziewięcioletniego marszu niemieckiego narodu pod wodzą Führera. Nasze wysunięte patrole oglądały wieże Kremla. Imperium światowe znalazło się wreszcie w zasięgu germańskiej ręki.

Komentarz tłumacza: Generał von Roon wyraża się nader wyrozumiale o wyczynach Hitlera w operacji Barbarossa, zapewne dlatego, że brał udział w jej planowaniu, a w tym okresie cieszył się łaskami Hitlera. Inni historycy twierdzą, że armie schwyte w kotle kijowskim były masą rozbitków. Twarde jądro rosyjskiego oporu, jak sądzą, znajdowało się wokół Moskwy i zniszczenie tych właśnie sił w październiku zakończyłoby wojnę. Nie jestem kompetentny w sprawach kampanii lądowych w Związku Sowieckim, choć spędziłem tam pewien czas. Być może cała prawda o wydarzeniach na tym froncie nigdy nie będzie znana.

(V. H.)

50

Na scenę amfiteatru w Bazie Morskiej Pearl Harbor wyszła szczupła ciemnowłosa dziewczyna, zdejmując okulary przeciwsłoneczne i mrugając w oślepiającym blasku porannego słońca. Jej szykowna różowa sukienka, odsłaniająca okryte jedwabiem nóżki wywołała gwizdy aprobaty ze strony żołnierzy i marynarzy, zapelniających wszystkie miejsca na widowni i większość dodatkowych, składanych krzeseł. Pośrodku pierwszego rzędu siedział gubernator Hawajów, a obok admirałowie, generałowie i ich panie. Fotoreporterzy nieustannie błyskali w ich kierunku bladoniebieskimi fleszami. Dochodziła jedenasta rano, trochę wcześniej jak na program rozrywkowy, ale ta pierwsza audycja z cyklu „Wesołych Godzin” została tak obliczona, by odebrała ją możliwie największa ilość wieczornych słuchaczy radia na atlantyckim wybrzeżu Stanów. Za niską estradą, gdzie siedziała orkiestra Marynarki Wojennej z połyskującymi w słońcu mosiężnymi instrumentami, widać było podwójny szereg wyniosłych, szarych pancerników przycumowanych w przystani.

Dziewczyna stała uśmiechnięta przy mikrofonie, czekając aż ucichnie radosny gwar. Wtedy podniosła lakierowaną tablicę z czarnym napisem oklaski. Publiczność odpowiedziała długo i głośno klaskając w dłonie.

- Dziękuję i witajcie. Jestem Madeline Henry, asystentka pana Clevelanda. - Długi, przenikliwy gwizd aprobaty dla kobiecych wdzięków Madeline rozległ się z ostatniego rzędu, a przez widownię przetoczył się śmiech. Dziewczyna pogroziła palcem. - A ty tam, pilnuj się! Siedzi tu dwóch moich braci, lotnik i podwodniak, a obaj są duzi i mocni - wywołało to ponowny śmiech i oklaski.

Widownia była w doskonałym nastroju, pełna oczekiwania. Ten debiut nowego programu radiowego w bazie marynarki przez całe dni ekscytował senną miejscowość. Najlepsze białe rodziny wyspy, na co dzień zamknięta, senna klika, wszczęły zaciętą walkę o to, czyje zaproszenie przyjmie Hugh Cleveland. Ludzie przylatywali z innych wysp archipelagu tylko po to, by wziąć udział w przyjęciach. Marynarka odłożyła nawet ćwiczenie symulujące nagły atak nieprzyjaciela, ponieważ kolidowało to z terminem audycji. Tytuły na pierwszych stronach gazet Honolulu mówiły tylko o przedstawieniu i zupełnie usunęły w cień wiadomości o otoczeniu przez Niemców kilku armii sowieckich pod Kijowem.

Jakając się z czarującą niezręcznością, Madeline powiedziała o zasadach nowego programu. We współzawodnictwie amatorów mogą brać udział tylko żołnierze

pierwszoliniowi. Każdy uczestnik otrzyma w nagrodę obligację obrony narodowej wartości pięciuset dolarów. Wykonawca, który zbierze najwięcej oklasków, otrzyma nagrodę dodatkową: sponsor opłaci przelot jego dziewczyny lub jego rodziców do Pearl Harbor na całotygodniową wizytę.

- Pan Cleveland ma tylko nadzieję, że nie będzie zbyt wielu zwycięzców z dziewczynami w Kapsztadzie czy Kalkucie - dodała, wywołując ponowny śmiech. - Cóż, myślę, że to już wszystko. A oto człowiek, na którego czekacie: gwiazda słynnej „Godziny Amatorów”, a obecnie naszej nowej „Wesołej Godziny”, mój szef, pan Hugh Cleveland.

Odeszła na miejsce przy orkiestrze i siadając z efektowną skromnością obciągnęła spódniczkę.

Podchodzącego do mikrofonu Clevelanda powitała owacja. - Okeybebedokey - powiedział z kowbojskim, nosowym zaśpiewem. To zdanie było czymś w rodzaju jego znaku fabrycznego i znów wywołało oklaski. - Możliwe, że powinienem pozostawić Madeline Henry dalsze prowadzenie programu. Ja wprawdzie mam tę posadę, ale ona ma kształty. - Poruszył komicznie brwiami, a na widowni rozległy się śmiechy. - Może więc lepiej przedstawię jej braci, abyście ujrzeli jak naprawdę są duzi i mocni. Lotnikiem jest porucznik Warren Henry z „Enterprise”. Gdzie jesteś, Warren?

- O Chryste - jęknął Warren. - Nie. Nie. - Skulił się na swym krześle w środkowych rzędach.

- Wstawaj, idioto - syknęła Janice.

Warren z ponurą miną podniósł swe chude, długie ciało w białym mundurze i natychmiast usiadł, zapadając się głęboko.

- Witaj, Warren. A teraz Byron Henry z „Devilfish”.

Byron podniósł się trochę i usiadł, mrużąc coś niemilego pod nosem.

- Cześć, Byron! Ludzie, ich ojciec jest specjalistą od pancerników, więc rodzina całkiem nieźle osłania morze: powierzchnię, powietrze i głębiny. Taka jest rodzina Henrych, a nasz kraj dlatego jest silny i bezpieczny, że mamy dużo takich rodzin jak oni. - Gubernator i admirałowie ochoczo przyłączyli się do oklasków. Skurczony na krześle Byron wydał dźwięk dziwnie przypominający duszenie się.

Pierwsza „Wesoła Godzina” zachwycała widownię, co obiecywało na przyszłość, że stanie się popularną audycją, cieszącą się wielkim powodzeniem. Cleveland zjechał całe Stany Zjednoczone; potrafił opowiadać przyjacielskie dowcipy dowodzące, że znał nawet zapadłe miejscowości. Mówiąc bez kartki, opowiadając przygotowane z góry żarty z pamięci, stwarzał wrażenie swobodnego, błyskotliwego, małomiasteczkowego dowcipnisia.

Przedstawienie ujawniło przede wszystkim, że występujących żołnierzy i marynarzy pożera skrywana tęsknota za domem. Ich numery podobne były do występów w salach parafialnych, orkiestra grała patriotyczne marsze; całą godzinę zapęłniły sentymentalne wspomnienia Ameryki. Nieporadność Madeline zapowiadającej poszczególne numery, wywoływała lekkie żarty na jej temat, pasowała do tej swojskiej atmosfery.

Byrona to nie bawiło. Przez całe przedstawienie siedział zgarbiony z założonymi rękami, patrząc nieobecny wzrokiem na czubki własnych butów. Janice w pewnej chwili trąciła męża mrużąc oczy i nieznacznie wskazując szwagra. Warren gestem rąk zarysował wypukłość brzucha kobiety w ciąży.

Po przedstawieniu na estradzie zrobiło się tłoczno. Clevelanda otoczył taki tłum z gubernatorem, jego świtą i wysokimi urzędnikami na czele, że bracia Henry nie mogli nawet wdrapać się na schodki.

- Popatrz tylko - zauważył Byron - także i Branch Hoban jest tutaj. - Przystojny dowódca okrętu podwodnego Byrona, stojący między dwoma admirałami, ścisnął dłoń Clevelanda, rozmawiając z nim jak stary przyjaciel.

- Masz kłopoty z Branchem Hobanem? - spytał Warren. - Facet jest całkiem w porządku, Briny.

- To on ma kłopoty ze mną.

- Hej, duzi, mocni bracia! Chodźcie tutaj! - zauważywszy ich zawołał z uśmiechem Cleveland i pokiwał dłonią. - Madeline jest tu jedyną dziewczyną, której honor jest całkiem bezpieczny, co? Janice, ten wasz gubernator właśnie zaprosił mnie na lunch, a ja mu właśnie odmówiłem. Powiedziałem, że czekasz na mnie.

Janice na chwilę straciła oddech.

- Nie nie, proszę, nie powinieneś tego mówić.

Gubernator uśmiechnął się do niej.

- Wszystko w porządku. Hugh przyjedzie później do Washington Place. Nie miałem pojęcia, że ukrywa się wśród nas córka senatora Lacouture. Musimy jak najprędzej zaprosić cię na kolację.

Janice uznała, że otwarła się szansa dla śmiałych działań.

- Gubernatorze, a czy nie przyszedłby pan do nas na lunch w ogrodzie? Będą tylko steki i piwo, nic więcej, ale z przyjemnością byśmy pana gościli.

- Wiesz co, steki i piwo w ogrodzie to świetny pomysł. Pozwól, że poszukam mojej pani.

Warren i Branch Hoban wymieniali wesołe obelgi na temat ich nieistniejących

brzuszków oraz tego, jak bardzo mają miny stare i małżeńskie. Byron stał obok z ponurą twarzą i tępych spojrzeniem. Nagle wtrącił się:

- Przepraszam, kapitanie. Moja szwagierka zaprosiła mnie na lunch. Czy mogę pójść?

- Hej, nie mów, że junior ma karną służbę!

- Ach, Briny i ja mieliśmy maciupkie nieporozumienie. Oczywiście, Briny, możesz pójść na lunch z Janice i Warrenem. Zamelduj się na pokładzie o piętnastej zero zero.

- Rozkaz, sir. Dziękuję, sir.

Warren z lekka potrząsnął głową, słysząc niegrzeczny ton odpowiedzi Byrona.

Janice pojechała do domu limuzyną gubernatora, Madeline i Byron starym kombi Warren. Podwójna girlanda z kwiatów na szyi siostry napelniła samochód migdałowym aromatem.

- No, no - zauważyła - cała trójka razem. Kiedyż to się nam ostatni raz zdarzyło?

- Słuchaj, Briny - powiedział Warren - Branch Hoban to mój stary kumpel. Co cię ugryzło? Może będę mógł coś pomóc.

- Zrobiłem szkic kompresora powietrza do mego zeszytu zadań oficerskich. Nie podobał mu się. Chce, żebym zrobił jeszcze raz. A ja nie chcę. I mam karną służbę do chwili, gdy zrobię.

- Kompletna głupota.

- Też tak uważam.

- Mówię, że to co robisz, to głupota.

- Warren, podczas naszego rejsu z San Francisco nawalił kompresor powietrza, ponieważ zamarzała pompa olejowa. Główny mechanik był chory. Rozłożyłem ten kompresor na części i naprawiłem.

- Brawo dla ciebie, ale czy zrobiłeś dobry rysunek?

- Rysunek był parszywy, ale naprawiłem kompresor.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Właśnie w tym cały szkopuł.

- Nie, wszystko polega na tym, że to Branch Hoban decyduje, czy przedstawić cię, czy nie do odznaki podwodniaka z delfinami.

- Nie obchodzi mnie, czy dostanę delfiny.

- Łżesz, aż się kurzy.

- Posłuchaj, Warren, zostałem porwany na „Devilfish”. Miałem przydział na nowy okręt, „Tuna”, ale mój pierwszy oficer i Hoban zrobili szwindel w DoFloPa. A do tego, i to przede wszystkim, pójście do szkoły podwodniaków nie było moim pomysłem. Wepchnął

mnie tam tato, głównie po to, bym się nie ożenił z Natalią. Z tego powodu pojechała do Włoch. I z tego samego powodu tam ugrzęzła. Mam życie spięprzone ponad wszelką miarę właśnie dlatego, że poszedłem do szkoły podwodniaków. Bóg jeden wie, kiedy znów spotkam się z żoną. I kiedy zobaczę dziecko, jeśli je będę miał. Ona ma rodzić na drugim końcu świata. I to o tym myślę, nie o delfinach.

- Słuchasz teraz w marynarce. Czy chcesz, by cię splawiono na brzeg?

- Czemu nie? Rozkład zajęć jest łatwiejszy, a poczta lepiej dochodzi.

- Och, pieprzenie w bambus. Przepraszam, Mad.

- Też coś! Mówisz, jak za dawnych czasów. A gdybyś usłyszał, jakiego języka używa Hugh! Iiiiik! - wrzasnęła, gdy Warren przeskoczył wozem z szosy na trawę, unikając zderzenia ze starym, zardzewiałym buickiem, który zajechał mu drogę.

- Można osiwieć przy tych krajowcach za kierownicą - zauważył spokojnie Warren.

- Jest jeszcze coś, co mnie obchodzi. Mianowicie ten Cleveland - odrzekł Byron. - Matty, jak ty możesz się z nim zadawać?

- Ja się z nim nie zadaję - odpaliła Madeline. - Ja dla niego pracuję.

Byron uśmiechnął się do niej serdecznie.

- Wiem, siostrzyczko.

- Robi dobrą robotę - zauważył Warren. - Ten program się przyjmie.

- Co? - zdziwił się Byron. - Przecież to jest od początku do końca naciągane! On nie żartuje naprawdę, wszystko ma wyuczone na pamięć.

- Masz absolutną rację - odrzekła ze śmiechem Madeline.

- To oczywiste. On po prostu robi wielką, gładką, pustą zgrywę. Przypomina mi Brancha Hobana.

- Hoban się nie zgrywa - zauważył Warren. - Ma znakomity przebieg służby. I będzie dla ciebie lepiej, Briny, jeśli zrozumiesz, że na tym okręcie on jest szefem.

- Oczywiście jest szefem i oczywiście ma znakomity przebieg służby i oczywiście ja mam karną służbę. Ale prędzej będą żywe kocięta z nieba leciały, niż dostanie ode mnie drugi rysunek tego kompresora. Gdy się dowiedziałem, że Natalia wróciła do Włoch, by tam urodzić, złożyłem prośbę o przeniesienie na Atlantyk. Nasze okręty podwodne wpływają na Morze Śródziemne i wypływają i być może miałbym szansę, by ją ujrzeć, a może nawet wydobyć ją stamtąd. Wszystko to mu powiedziałem. Wygłosił mi kazanie o potrzebie podporządkowania mego życia osobistego służbie w marynarce! Więc odpowiedziałem, że tak czy inaczej składam tę prośbę. Przesłał ją wyżej, bo musiał przesłać, z uwagą, że „nie popiera”.

- Jesteś na tym okręcie od trzech miesięcy - zauważył Warren, nie odrywając wzroku od szosy. - Zwykły okres służby na jednym okręcie wynosi dwa lata.

- Zwykły podporucznik nie ma żony, która ugrzęzła we Włoszech.

- Nie zrozum mnie źle, ale to nie wina Marynarki Wojennej.

- I nie winię o to marynarki. Mówię ci tylko, dlaczego nie palę się do robienia przyjemności Branchowi Hobanowi.

Madeline zdecydowała przerwać tę szorstką wymianę zdań czymś weselszym.

- Chłopcy - powiedziała ze śmiechem - czy wiecie, że ze wszystkich możliwych rzeczy tata studiuje rosyjski?

- Rosyjski? - krzyknął Warren. - A po co?

- Bo tam jedzie. Nie wiem kiedy, ani w jaki sposób. - Madeline zaśmiała się znowu. - A mama zostaje. On jest na błyskawicznym kursie, po dziesięć godzin dziennie. W ogóle się nie widują. Mama siedzi sama w wielkim nowym domu, chyba że ktoś wpadnie, by zagrać z nią w tenisa lub pójść do kina.

- Lepiej niech tata się pośpieszy - oświadczył Warren - jeśli chce być w Moskwie wcześniej niż Niemcy.

Byron wziął wieniec Madeline i zawiesił sobie na szyi.

- Ludzie, ależ te kwiaty mocno pachną. Bóg jeden wie, kiedy się jeszcze tak we trójkę spotkamy. Jestem w paskudnym nastroju, ale kocham was oboje. Warren, jaka sytuacja bufetowa u ciebie w domu? Jest szansa, by coś zatankować?

- Dziewięćdziesięciosiedmioprocentowa. Właśnie dopełniliśmy bak.

- Genialnie. Zamierzam ci wypalić do połowy.

- Proszę bardzo.

W domu Warrena Byron znalazł ostatnie wydanie lotnicze „Time”. Zasiadł na leżaku stojącym wśród wysokich korzeni drzewa figowego i zatopił się w lekturze. Tymczasem Warren, Janice i ich goście zabawiali się przekąskami i koktajlem na rumie. Byron, wróciwszy właśnie z dwutygodniowego rejsu, znał tylko część wiadomości.

Gdy przyjęcie doszło do punktu, w którym zaczęto tańczyć hula przy dźwiękach gitary uśmiechniętego boya, Warren otoczony kłębamii wonnego dymu, zaczął piec na ruszcie steki. Tymczasem Hugh Cleveland i Madeline tańczyli boso przy oklaskach i śmiechach oficerów marynarki i mieszkańców wyspy, a fotoreporter kroniki towarzyskiej strzelał zdjęcia. Byron z kwaśną miną przyglądał się, jak białe nogi siostry wywijają szybkie pas w trawie, a jej różowo odziany tyłeczek wije się w tańcu - zastanawiając się przy tym, kto tu zwariował: on sam, czy ta rozbawiona grupa. Według tego co pisał „Time”, Niemcy przewalali się przez

Rosję dokładnie tak szybko, jak dwa lata temu przez Polskę. I był to ten sam miesiąc, wrzesień. Radosne komunikaty Niemców, poparte fotografiami z pola walki, były w najwyższym stopniu przekonujące. Zdjęcia ukazywały palące się wioski, roje samolotów Luftwaffe na niebie, drogi wśród pól zatkałe uciekinierami i masy smutnych, zarośniętych jeńców rosyjskich za drutami kolczastymi. Sceny te żywo przypominały Byronowi dni, które go zbliżyły z Natalią: ucieczkę starym samochodem z Krakowa do Warszawy, odniesioną ranę, dziecko płaczące na drodze nad zmiażdżoną twarzą matki, pomarańczowe rakiety oświetlające, świszczące bomby, Natalię w przeludnionym, śmierdzącym szpitalu, granie koników polnych na ziemi niczyjej.

Warren, niosąc dwa talerze ze stekami i frytkami, podszedł i usiadł koło niego na trawie.

- Jedz na zdrowie, chłopcze.

- Dziękuję. Bardzo ponury numer „Time”.

- Do diabła, Briny, przecież wiedziałeś, że Niemcy wezmą się za ruskich, prawda? Rosjanin jest odważnym żołnierzem, ale ten ich bolszewicki rząd to banda stukniętych polityków. W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku Stalin rozstrzelał połowę swych oficerów, w tym wszystkich zawodowych, pozostałych z carskich czasów. Nie można prowadzić wojny bez zawodowych oficerów. Pod tym względem Niemcy biją nas wszystkich. Ich Sztab Generalny funkcjonuje bez przerwy od stu lat. W dniu, w którym przegrali poprzednią wojnę, zaczęli po prostu zbierać mapy i informacje potrzebne do prowadzenia obecnej. Ta ferajna ma olej w głowie. Może trochę wina? Kalifornijski burgund dociera tutaj w bardzo dobrym stanie.

- Oczywiście.

Powróciwszy z wielką czerwoną butelką Warren powiedział:

- Ale jedno jest pocieszające. Jeśli Hitler weźmie Moskwę, Żółtki skoczą na północ, by złapać koniec Syberii. A to da nam chwilę oddechu. W przeciwnym razie, na pewno, pójdą szybko na południe, bo z każdym dniem mają mniej ropy, a każde dziecko wie, że nie jesteśmy gotowi walczyć z nimi. Potrzebujemy roku na to tylko, by wzmocnić Filipiny na tyle, by się utrzymały.

Byron trzepnął dłonią w egzemplarz „Time”.

- A czy przypadkiem czytałeś ostatnie przemówienie twego teścia? Chce, abyśmy spróbowali dogadać się z Niemcami.

- Wiem. Jemu już się wszystko pokićkało. Hitler nie ma zamiaru z nikim się dogadywać, w każdym razie nie w chwili, gdy bierze co chce. Ale, Briny, w przyszłości może

będzie łatwiej dogadać się ze Szkopami, niż z Żółtkami. Jednak to są biali.

- To prawda. Tyle tylko, że na początek będziemy musieli wystrzelać naszych Żydów.

Warren powoli odwrócił opaloną twarz w stronę brata. Jego cienkie wargi wygięły się w zakłopotanym uśmiechu.

- Chłopie, nawet Niemcy nie wystrzelili swoich Żydów. Uważam, że ich polityka jest obrzydliwa, ale...

- Nie masz pojęcia o tym, co oni robią. Gdy próbuję naszym ludziom wyjaśniać, jacy są Niemcy, natykam się na ścianę. Branch Hoban uważa, że jest to wojna angloamerykańskiej cywilizacji z narastającą falą Azjatów, a Rosjan należy uważać za Azjatów. Dlatego my i Brytyjczycy powinniśmy iść po rozum do głowy i szybko stanąć po stronie nazistów, bo oni biją się za nas, i to jest ostatnia szansa białej rasy. Wszystko to wyczytał w książkach obłąkańca nazwiskiem Homer Lea. Zaczytuje ją na strzepy. Najważniejsze to „Odważa ignorancji” oraz „Dzień Anglogermanów”.

- Czytałem Homera Lea - odrzekł Warren spoglądając na zegarek. - Ma fioła, ale pisze bardzo interesująco... Ale tymczasem naszemu małemu Vicowi należy się butelka, a nie ma szans, by Jan porzuciła towarzystwo gubernatora.

- Nakarmię dziecko.

- Lubisz dzieci, czy co?

- Lubię to dziecko.

W czasie, gdy mały Victor leżał na kolanach wujka pijąc mleko, Byron pił kalifornijski burgund. Obaj opróżnili swe butelki prawie równocześnie. Byron odniósł bratanka do łóżeczka na boczną werandę i wrócił do ogrodu. Wiatr zamarł, zrobiło się bardzo gorąco. Zapach kwiatów cytrynowych napełnił Byrona melancholią. Położył się twarzą w dół pod figowcem i zasnął. Obudził go potrząsając za ramię porucznik Aster ze szklanką w ręku.

- O kurczę - jęknął Byron siadając. W ustach czuł niemiły, zastarzały posmak wypitego wina. - A miałem się zameldować na pokładzie o trzeciej, prawda? Czy przyszedłeś, by mnie tam odstawić w kajdanach?

- Amnestia. Zostałeś zwolniony z karnej służby - roześmiał się szeroko Aster. - I dostałeś dwudziestoczterogodzinną przepustkę. Masz tu coś, co przyszło z radiostacji portowej z Rzymu przez Lizbonę, Waszyngton i San Francisco.

Wręczył siedzącemu po turecku na trawie Byronowi telegram.

„Podporucznik Byron Henry, USS Devilfish x czy możesz wymyślić odpowiednie imię dla siedmioletniego chłopca x oboje czujemy się świetnie oboje cię kochamy x Natalia i jakiś tam Henry”

Byron ukrył twarz w dłoniach. Był religijny w równie prosty sposób, jak jego ojciec. Wyszeptał modlitwę dziękczynną za cud narodzenia chłopca, spłodzonego podczas szalonej nocy miłosnej w Lizbonie, która na krótką chwilę złączyła ich dwa ciała, teraz oddalone o połowę obwodu Ziemi. Po chwili podniósł głowę, uśmiechając się nieśmiało ze łzami w oczach.

- No i co, Lady?

- Gratulacje, Briny.

Byron wstał, rozglądając się nieprzytomnym wzrokiem. Z radia słychać było melodię „Lovely Hula Hands”. Janice szalała boso z kapitanem „Enterprise”, gubernator tańczył z Madeline, wybałuszając z rozkoszy oczy na jej falujące biodra, a Hugh Cleveland wyśpiewywał nieprzyzwoitą parodię piosenki przy wtórze ryków męskiego śmiechu i zachwyconych pisków kobiet.

- Myślę, że powinienem o tym powiedzieć bratu i siostrze.

Aster pomaszerował obok niego, podzwaniając lodem w szklance.

- Ale ubaw! Czy to nie gubernator? Twoja szwagierka to fajna dziewczyna. Ledwie postawiłem nogę na progu, a już mi wręczyła szklanekę ponczu na rumie.

- Janice jest dobra.

- To ona ma na imię Janice? Ładne. To chyba najładniejsza biała dziewczyna, jaką widziałem na oczyma na tej zapomnianej przez Boga i ludzi wyspie.

- Nie tak ostro, Lady.

- Dlaczego, Briny? Podziwiam ją tak, jak się podziwia zachód słońca albo pomnik Waszyngtona.

- Chwileczkę, Madeline...!

Biegając w stronę domu w ślad za Clevelandem i hawajskim boyem, Madeline machnęła tylko ręką w stronę brata.

- Telefon z Nowego Jorku, kochanie! Dzwoni nasz sponsor. Coś takiego!

Byron opowiedział więc nowinę Warrenowi i jego żonie. Zanim zdążył ją powstrzymać, Janice z radością wszem i wobec ogłosiła to. Otoczyli go goście z pijackimi żartami, gratulacjami i pytaniami, dziwiąc się głośno, że jego żona jest we Włoszech. Reporterka działu towarzyskiego dziennika „Star” z Honolulu, koścista blondynka z twarzą jastrzębia, nazwiskiem Petsy Peters, znalazła się u boku Byrona, pilnie notując.

Byron skierował się śladem Madeline do domu. Chciał być pierwszym, który wyjawia jej nowinę. Telefon, ze słuchawką odłożoną na widełki, stał na stole w holu. Byron usłyszał stłumiony chichot i spojrzawszy przez amfiladę pokoi w stronę bocznej werandy, gdzie spało

dziecko w swym łóżeczku, ujrzał Madeline w objęciach Hugh'a Clevelanda, w zasłoniętym od strony ogrodu kącie. Cleveland trzymał siostrę oburącz za pośladki, a jej różowa sukienka była mocno podciągnięta z tyłu, ukazując jej uda i majteczki. Madeline stała przyklepiona do Hugh'a z nieprzyzwoitą intymnością. Byron wyszedł z domu na słońce.

- Chyba wrócę na „Devilfish” - oświadczył Warrenowi.

- Po co? Przecież Branch dał ci całą dobę.

- Chcę napisać do Natalii i do starych. Może wyślę jakieś telegramy.

- Briny, gubernator właśnie zaprosił całe towarzystwo do Washington Place na koktajl-party z Clevelandem.

- Cleveland całuje w domu Madeline. Mówię wyraźnie: całuje, a ona z przyjemnością to przyjmuje.

- Naprawdę? - mruknął lotnik z krzywym uśmiechem. - Zdawało mi się, że ich sponsorowi podobał się program.

Madeline wypadła z domu rozczochrana, z promienną twarzą i podbiegła do braci. Za nią ukazał się Cleveland, ocierając usta chusteczką.

- Chłopaki, zgadnijcie! - zaświergotała. - Rozmawiał także ze mną. Powiedział, że świetnie wypadłam. Pomiar audytorium wykazał dla nas aż 23,5. Tylko cztery punkty mniej, niż program Freda Allena, i to od pierwszego podejścia!

Byron wyciągnął telegram z kieszeni i pokazał siostrze.

- Nie do wiary! Jeszcze jedna dobra nowina! Słuchaj, Hugh, wiesz że żona Briniego urodziła dziecko?

- Hej! Gratulacje, papo! - Wyciągnął rękę, co ten zignorował, ale Cleveland się nie obraził. - Chodź, Madeline, opowiemy gubernatorowi, co mówił Chet Fenton.

Byron z założonymi rękami patrzył za nimi gniewnym wzrokiem.

- Słuchaj, nie rób awantur, dobrze? Postawisz Janice w niezręcznej sytuacji - wtrącił się Warren.

- Ten uśmiechnięty skurwysyn... - warknął brat.

- Daj sobie spokój. Ona jest już pełnoletnia.

- A on jest żonaty. Jeśli ty nie chcesz z nią pogadać, to ja to zrobię. A jeśli usłyszę, że coś jest nie tak, to powiem skurwysynowi, że jeśli nie będzie się trzymał od niej z daleka to wykopię z niego amory i parę innych rzeczy przy okazji.

Warren zmierzył Byrona rozbawionym wzrokiem.

- Jest cięższy od ciebie i na oko w dobrej formie.

- To świetnie.

Z radia rozległ się sygnał dziennika. Była czwarta, a gubernator nastawił na cały regulator mały przenośny odbiornik, stojący przy ogrodowym barku.

„Berlin. Niemieckie Naczelne Dowództwo donosi o wzięciu Kijowa twierdząc, że jest to największe zwycięstwo w tej wojnie, a może i w historii świata. Według źródeł niemieckich, cztery pełne rosyjskie armie, liczące prawie milion ludzi, zostały otoczone i rozbite, a z upadkiem Kijowa jakkolwiek zorganizowany opór w tym rejonie ustał. Radio Berlin ogłosiło o północy, że, cytujemy: „Związek Sowiecki utracił zdolność prowadzenia działań wojennych, a koniec działań na froncie wschodnim nastąpi lada chwila”. Dalsze wiadomości za chwilę. A teraz parę słów o Pepsi-Coli”.

Z głośnika popłynęły dźwięczne, dziewczęce głosy. Gubernator, kręcąc w dłoni szklanekę z rumem oświadczył:

- No, no. Ruskim chyba naprawdę popędzili kota, co?

- Gubernatorze, gdzie jest Kijów - spytała Petsy Peters. - Czy to stamtąd bierze się kawior? Mam nadzieję, że to nie oznacza przerwania dostaw. Jest jeszcze kawior perski, ale taki drogi!

- Zdaje się, że Kijów jest na północy - powiedział gubernator. - Szczerze mówiąc nie najlepiej chwytam geografie Rosji.

Skończyła się reklama Pepsi-Coli. Spiker odezwał się dramatycznym tonem:

„Przerywamy dziennik dla pilnego komunikatu Połączonego Dowództwa Armii i Floty Wysp Hawajskich. Nagły atak nieprzyjacielski na hawaje! To są ćwiczenia. Flota nieprzyjacielska, złożona z pancerników i lotniskowców, została zauważona o czterysta pięćdziesiąt mil na północ od wyspy Oahu. To są ćwiczenia”.

- Nie, nie! - zawołała Petsy Peters. - Znowu? W niedzielę o czwartej po południu! Co za okropność! Czy znowu nie pozwolą całymi godzinami wychodzić na ulicę?

Gubernator położył palec na ustach.

„Wszystkie przepustki i urlopy zostają unieważnione, wszyscy wojskowi mają natychmiast powrócić do swych jednostek. To są ćwiczenia. Powtarzamy, to są ćwiczenia. Nagły atak nieprzyjacielski na Hawaje! Wszyscy członkowie sił zbrojnych natychmiast wracają do swych jednostek. Graczom meczu baseballowego między Lotnictwem i Pancernikami udziela się specjalnego zezwolenia na ukończenie dziewiątego gema, a widzom pozostania na stadionie do tej chwili. Poruszanie się ludności cywilnej nie jest, powtarzam, nie jest ograniczone”.

- No to dziękować Bogu przynajmniej za to - oświadczyła Petsy Peters.

„Wszystkie okręty tego obszaru zameldują dowódcom flotylli gotowość wyjścia w

morze, ale nie będą, powtarzam, nie będą opuszczać kotwiczowisk albo miejsc cumowania, chyba, że otrzymają inne rozkazy. O osiemnastej trzydzieści nastąpi symulowany atak na Pearl Harbor przez samoloty ćwiczebne, holujące rękawy. Wszystkie baterie okrętowe i brzegowe przeprowadzą ćwiczenia w śledzeniu i celowaniu, ale nie będą, powtarzam, nie będą otwierać ognia. Jednostki remontowane w suchych dokach lub na nabrzeżach będą w dalszym ciągu prowadziły te prace i są wyłączone z ćwiczeń. Powtarzamy. Nagły atak na Hawaje. To są ćwiczenia. Ten komunikat zostanie powtórzony”.

Gubernator wyłączył radio.

- Nie byłem pewien, czy nadal będą chcieli zrobić to dzisiaj. Początkowo były wyznaczone na dziesiątą rano, Hugh, ale „Wesoła Godzina” temu przeszkodziła.

- Tak, sir, to była naprawdę wielka uprzejmość. Mój sponsor pisze listy z podziękowaniami dla armii i marynarki.

- To świetny pomysł.

Odwołano ogólne zaproszenie do rezydencji gubernatora, Washington Place. Towarzystwo w jednej chwili się rozeszło. Wkrótce wśród pozostałych na trawniku śmieci znajdował się tylko Cleveland, Madeline, Janice, obaj podwodniacy oraz gubernator z żoną. Aster i Byron nie musieli się spieszyć, bo „Devilfish” stał w suchym doku.

- Janice, a może byś pojechała do nas, do Washington Place, na drinka? - spytał gubernator. - Hugh i Madeline jadą.

- Ach, dziękuję gubernatorze, ale nie mam męskiego towarzystwa - odrzekła Janice.

- Janice - odezwał się z ujmującym uśmiechem porucznik Aster - stara zasada Marynarki Wojennej mówi: „Nie wychylaj się”. Ale nie wiem, kiedy znów będę miał szansę ujrzeć tę rezydencję od środka. Zgłaszam się na ochotnika.

- No, cóż, jest pan przyjęty, poruczniku - odrzekła ze śmiechem Janice. - Gubernatorze, proszę mi dać trzy minuty.

Byron na osobności powiedział Madeline, że chce z nią pomówić, więc odwiezie ją do Washington Place samochodem Warrena.

- Wspaniała nowina, to twoje dziecko - odezwała się Madeline, gdy ruszyli z miejsca.

Patrząc prosto przed siebie Byron powiedział:

- Byłem wtedy w domu szukając ciebie. Widziałem cię z Clevelandem.

Po dłuższej chwili, wypełnionej tylko warkotem silnika, spojrzął na nią. Wyglądała ślicznie, ale minę miała upartą, z brwiami ściągniętymi w niechętnym grymasie nad wielkimi, czarnymi oczami. Była w tej chwili bardzo podobna do ich ojca.

- Czy to dlatego zaproponowałeś, że mnie odwieziesz do domu gubernatora? By mi

prawić kazanie? Dziękuję, mój drogi.

- Ten człowiek jest żonaty, Madeline. Mama i tata bardzo by się przejęli zobaczywszy to, co ja widziałem.

- Nie opowiadaj mi o przejmowaniu się mamy i taty. Jeszcze nie wyszłam za mąż za Żyda.

Były to ostatnie słowa wypowiedziane w samochodzie aż do przyjazdu do Washington Place. Madeline otworzyła drzwiczki.

- Przepraszam, Briny. To było paskudnie z mojej strony. Ale czy nie zasłużyłeś na to, oskarżając mnie o Bóg wie co? Nie mam nic przeciw Natalii. Lubię ją.

Byron wychylił się i zatrzasnął drzwiczki wozu. Wyraz jego pobladłej z wściekłości twarzy był przerażający.

- Chwileczkę. Powiedz Hughowi Clevelandowi, powiedz mu na pewno, Madeline, że jeśli kiedykolwiek dowiem się, że ci cokolwiek zrobił, znajdzie się w szpitalu.

- Jak śmiesz? - zawołała Madeline z oczami pełnymi łez. - Jesteś okrutny i masz brudne myśli. Czy naprawdę uważasz, że zadałabym się z żonatym mężczyzną? Przecież „Wesoła Godzina” była moim pomysłem. Byłam w tak świetnym humorze, gdy pan Fenton powiedział nam o ocenie audytorium, że pocałowałabym każdego, kto by się nawinął. Jesteś okropny, Byron. - Wyciągnęła chusteczkę z torebki i otarła oczy.

- W porządku. Nie chciałem cię doprowadzić do płaczu.

- Czy ty mi nie wierzysz? - spytała Madeline cichym i pełnym smutku głosem, uśmiechając się przez łzy. - Mój Boże, myślałam, że znamy się tak dobrze. Przynajmniej kiedyś tak było. Zgadzam się, że Hugh przespałby się ze mną, gdyby mógł. Przespałby się z kimkolwiek i uważam to za obrzydliwe. To tylko zwykły dziwkarz, a jego żona jest najniezwyklejszą kobietą na świecie. Doceniam twoją troskę o mój honor. Jesteś tak słodko staromodny, zupełnie jak tatuś. Ale nie martw się o Madeline. I wybac mi, kochanie, ten głupi żart. Naprawdę bardzo się cieszę z twego dziecka. - Pocałowała go w policzek. Poczł jej łzy na twarzy. Wsiadła z samochodu, pokiwała mu palcami i pobiegła do Washington Place.

Gdy Byron wrócił do bazy marynarki, samoloty ćwiczebne nadlatywały wysoko na niebie, holując długie, trzepoczące czerwone rękawy, a na wszystkich okrętach załogi wśród wrzasków kierowały lufy do góry. Ale nie słychać było strzałów, a podniecenie zdawało się głupio wymuszone. Na „Devilfish”, spoczywającej w suchym doku, byli tylko robotnicy portowi i wachta. Byron usiadł przy biurku, wyciągnął z szuflady blok listowy i płytę z pieśnią „fado”, której słuchali z Natalią w Lizbonie. Założył płytę na gramofon w mesie i

zaczął pisać.

Moje kochanie.

Właśnie nadeszła wiadomość o dziecku i...

Zgrzyt zużytej igły ustąpił miejsca akordom gitarowym, rozpoczynającym utwór. Byron złożył głowę na rękach. Chciał sobie wyobrazić żonę i dziecko, chłopca być może podobnego do Victora. Ale zamknawszy oczy widział tylko gołe uda i podwiązki siostry.

Zatrzymał gramofon i następną godzinę spędził nad rysunkiem kompresora powietrznego. Pracując z pamięci i używając różnokolorowych tuszów i kredek, wykonał rysunek tak dokładny i przejrzysty, że można go było drukować w podręczniku. Przypiął do niego list, wystukany na maszynie w pachnącej pleśnią kajucie kancelisty. W liście postawił formalny wniosek o przeniesienie do służby na Atlantyku. Dodał do tego odręczną notatkę na skrawku papieru:

„Kapitanie, w pełni doceniam amnestię i przepustkę. Ale obecnie jedyna rzecz na świecie, której pragnę, to ujrzeć moją żonę i dziecko i postarać się wyciągnąć ich z Europy. Jestem pewien, że Pan to zrozumie”.

Następnego ranka Branch Hoban pogratulował Byronowi rysunku i z żalem wyjaśnił, że nie może się pozbyć ani jednego oficera, oraz wyraził przekonanie, że Natalia i jej dziecko są zupełnie bezpieczni w Rzymie, dodając że przekaże prośbę Byrona drogą służbową, nie zalecając przyjęcia.

51

Grubość zalakowanej koperty otrzymanej z Departamentu Stanu zdumiała Rhodę. Wewnątrz znajdowała się druga także gruba koperta, z bladoniebieskim rosyjskim nadrukiem. Zawierała jedenaście stron maszynopisu, mocno pokreślonych piórem. Była do niej przypięta kartka z nagłówkiem Memorandum od Alistaira Tudsbury, a na niej kilka słów czerwonym ołówkiem, nakreślonych zdecydowanym, pochyłym charakterem pisma Puga:

„3 października, Moskwa (i ciągle nie mogę w to uwierzyć!).

Hej!

Nic się nie obawiaj - zdaje mi się, że jak długo się znamy, nie napisałem jeszcze listu tej objętości, bo nie miałem dotąd takich doświadczeń.

Ukłony od Tudsburys. Piszę na jego maszynie i papeterii. Wyjaśnienie w liście. Gaduła jest grubszy niż kiedykolwiek, a córka wygląda jak widmo.

Ucałowania. Pug”.

Maszynopis zawierał kolejny list.

Hotel National, Moskwa. 2 października 1941.

Najdroższa Rhodo

Za trzy godziny będę na kolacji na Kremlu. Co o tym powiesz? A to najszczerza prawda. Cała reszta podróży zresztą była w każdym szczególe równie fantastyczna.

Obecnie, gdy już mamy dwóch wnuków (i cóż o tym sądzisz, babciu?), coraz bardziej jestem przekonany, że powinienem zapisywać przynajmniej niektóre rzeczy, które mi się wydarzają, i to w chwili, gdy są jeszcze świeże w pamięci. Literatem nie jestem, ale suchy zapis faktów kiedyś zainteresuje obecne niemowlęta. Dlatego nie uważam, że jeśli od czasu do czasu otrzymasz ode mnie podobny pakiet kartek, uznasz mnie za starego, gadatliwego ramola. Gdy je przeczytasz, schowaj je dobrze dla tych dzieci.

Czuję się trochę zamroczony; od chwili opuszczenia Londynu nie przespałem porządnie ani jednej nocy. Podróż do Archangielska na brytyjskim niszczycielu mogłaby być jakimś odpoczynkiem, gdyby nie całonocne konferencje i całodzienne alarmy bojowe. To ciężka trasa, przez cały czas przebiega w zasięgu Luftwaffe. Idące nią konwoje dostają ciężkie lanie. Na szczęście dla nas prawie przez połowę drogi płynęliśmy we mgle.

Przez cały czas robię te literówki, bo maszyna do pisania Tudsbury'ego nawaliła. A w całej Rosji nie ma nikogo, kto potrafiłby (czy chciałby - nigdy nie wiadomo, jak jest z nimi naprawdę) naprawić brytyjską maszynę. Do pracy udaje mi się wyżebrać maszynę z ambasady, ale dzisiaj wszystkie są zawałone robotą: przygotowuje się dokumenty końcowe konferencji. Tudsbury'owie zajęli najlepszy apartament w hotelu National. Oczywiście! W takich sprawach zdaję się na Gadułę! Jego pokoje wychodzą na Plac Czerwony i z mojego miejsca mam przez padający deszczyk widok na Kreml. Mówili nam, że w tym apartamencie mieszkał Lenin, a teraz ja tu siedzę. W pokojach wszędzie brązowy plusz, złote kandelabry i alabastrowe rzeźby, a pośrodku perski dywan wielkości jednego akra. Jest tu nawet koncertowy fortepian z palisandru (oczywiście rozstrojony), ledwie widoczny w kącie salonu. Co do mnie, to dostałem pokoik na ostatnim piętrze z widokiem na podwórze, jakieś pięć na dziesięć stóp, nagie ściany żółto tynkowane.

Tudsbury siedzi obok, dyktując Pamelii swoją korespondencję radiową na dziś wieczór. Możesz być pewna, że gdzie coś się dzieje, pojawi się Gaduła! Wymusił na Biurze Informacji Wojennej, że przydzielono mu Pamelę. Powołał się na zły wzrok, a jego audycje są uważane za pierwszorzędną propagandę. Dlatego Pamela jest na długoterminowym urlopie z RAF u i jest strasznie nieszczęśliwa z tego powodu. Jej lotnik od przeszło roku jest w niewoli niemieckiej, a od miesięcy nie miała od niego wiadomości.

Tudsbury, jak wszyscy tutejsi korespondenci, próbuje strzelać bez prochu. Zeszłego wieczoru zawracał mi głowę przez dwie godziny opowiadaniem, jakie to trudne. Rosjanie trzymają wszystkich sprawozdawców w Moskwie i mniej więcej co drugi dzień wzywają ich, by im przekazać kolejne lipne komunikaty. Większość dziennikarzy zagranicznych uważa, że sytuacja jest bardzo zła, ale nie mają wiele materiałów prócz krążących po Moskwie plotek i berlińskich audycji radiowych. Wygląda na to, że Rosjanie potwierdzają tak czy inaczej wszystkie przechwałki Niemców, ale z dwu- albo trzytygodniowym opóźnieniem. Tutejsi pesymiści - a jest ich mnóstwo - sądzą, że Moskwa padnie za tydzień! Ani ja, ani Tudsbury tak nie uważamy, ale nasi w ambasadzie, a przynajmniej część z nich, boją się jak diabli, by naziści nie złapali Harrimana. Jutro, gdy misja odleci, wielki kamień spadnie im z serca.

Teraz trochę o podróży. Rosyjskie wybrzeże przypomina Nową Fundlandię. Tu na północy, Rhodo, świat składa się głównie z jasnych wód i sosnowych lasów. Być może człowiek w swym oślim uporze wyniszczy strefę umiarkowaną i tropikalną, a zmarniała cywilizacja zacznie się odradzać na czubku globusa.

Pierwsza niespodzianka i pierwszy wstrząs czeka wszystkich w Archangielsku. Jest to miasto portowe w dzikiej puszczy, od początku do końca zbudowane z drewna. Nabrzeża, magazyny, tartaki, fabryki, kościoły, dźwigi portowe - samo drewno. Gdziekolwiek spojrzeć, stosy drewna - miliardy stóp sześciennych. Bóg jeden wie, ile drzew ścięto, by zbudować to miasto i ułożyć te góry drewna, a przecież puszcze wokół Archangielska wyglądają na nietknięte. Miasto przypomina Alaskę, podobne jest do obrazków z Klondike.

Pierwszy autentyczny Rosjanin jakiego ujrzałem, był to pilot portowy. Przybył na pokład na początku toru wodnego i wtedy nowa niespodzianka: Rosjanin okazał się Rosjanką. Kozuch, spodnie, długie buty i ładna, zdrowa twarz. Byłem na mostku, gdy nas pilotowała i okazała się doskonałym żeglarzem, a raczej żeglarką. Bardzo zręcznie wprowadziła nas do portu. Wtedy wymieniła z szyprem uścisk dłoni i wysiadła. Przez cały czas nawet się nie uśmiechnęła! Rosjanie uśmiechają się tylko wtedy, gdy ich coś rozśmieszy, a nigdy z uprzejmości wobec rozmówcy. Dlatego wydają się ludźmi utrzymującymi dystans i raczej zgryźliwymi. My zaś, jak przypuszczam, robimy na nich wrażenie szczerzących zęby małp. I tu masz w największym skrócie problem porozumiewania się z Rosjanami. Nie tylko języki, ale i nasze usposobienie i obyczaje są całkowicie odmienne.

Choć Hopkins opowiadał mi o puszczach rosyjskich, ich widok mnie zdumiał. Czy pamiętasz jak kiedyś, chyba w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku, w środku lata pojechaliśmy samochodem na zachód i przez trzy dni nie mogliśmy się wydostać z pól kukurydzianych? Tak samo jest z lasami północnej Rosji. Z Archangielska do Moskwy

lecieliśmy przez cały czas tuż nad czubkami drzew. Zielone gałęzie przez niezliczone godziny bezustannie przesuwają się wprost pod naszymi skrzydłami. A potem nagle wzbiliśmy się w górę, a przed nami leżał ogromny, ciągnący się od horyzontu po horyzont obszar zabudowany domami i fabrykami. Moskwa jest płaska i szara. Patrząc na miasto z pewnej odległości, równie dobrze można by je wziąć za Boston czy Filadelfię. Ale przy zbliżeniu, gdy się już widzi cebulaste kopuły cerkwi i rozciągnięty nad rzeką ciemnoczerwony Kreml z całą grupą cerkwi wewnątrz obwodu murów, człowiek zdaje sobie sprawę, że przybył do bardzo dziwnego miejsca. Przed lądowaniem, prawdopodobnie jako dowód specjalnej grzeczności wobec nas, pilot zatoczył koło nad miastem, co pozwoliło nam dobrze je obejrzeć. Przy okazji powiem ci, że starty i lądowania wykonywane są bardzo fachowo, ale z naszego punktu widzenia po barbarzyńsku. Rosyjski pilot odrywa się od ziemi świecą w górę, a przy lądowaniu nurkuje i z trzaskiem siada na ziemi.

Po przybyciu do Moskwy znaleźliśmy się w maszynie do mielenia mięsa, która kręci się bez przerwy całą dobę. Mamy rozkazy, by dosłownie każdą noc pracować. Gdy nie obradujemy, jemy i pijemy. Standardowe wyżywienie gości obejmuje, jak się zdaje, tuzin różnych ryb na zimno i kawior, następnie dwie zupy, potem drób, po czym pieczone, z winem do każdego dania. Przed każdym stoi też osobno karafka z wódką. To cholerna metoda załatwiania spraw, ale z drugiej strony być może ci Rosjanie są mądrzy. Alkohol ułatwia dużo spraw. Oczywiście jest że bolszewik i kapitalista jednakowo się upijają, więc przynajmniej pod tym względem znajdujemy wspólny język.

Uważam, że ta konferencja będzie historycznym przełomem. Kiedy to Amerykanie i Rosjanie siedzieli przy jednym stole, omawiając problemy wojskowe, nawet jeśli robią to z wielką ostrożnością? To najdziwniejsze i zupełnie nowe wydarzenie. Rosjanie nie chcą nam podawać pełnych i prawdziwych danych o swej produkcji wojennej ani o sytuacji na froncie. Ale biorąc pod uwagę, że przed trzema krótkimi miesiącami w miejscu, gdzie teraz siedzimy, my i Brytyjczycy, siedzieli Niemcy, trudno im się dziwić. Rosjanie mieli pecha. Nie można o tym zapominać, gdy się z nimi rozmawia. Nasz tłumacz, Leslie Slotte, nieustannie nam to przypomina.

Nie ujawnię tu żadnej tajemnicy mówiąc, że Brytyjczycy rezygnują z niektórych swoich pierwszeństw od Lend Lease, a nawet podejmują się wysyłać Rosjanom czołgi. Wszystko to znajdzie się w komunikatach prasowych. W Dunkierce Anglików obdarto do naga z wszelkiego wyposażenia, a więc ich obecną postawę trzeba uznać za odważną i bardzo przyzwoitą. Oczywiście Brytyjczycy nie mają obecnie jak użyć czołgów przeciw Niemcom, a Rosjanie tak. Niemniej Churchill nie może mieć pewności, czy Hitler i Stalin znów się nie

dogadają. A wtedy Niemcy mogą zrobić w tył zwrot i rzucić wszystkie siły na przekroczenie kanału La Manche. Nie sądzę, by to mogło nastąpić. Narasta tu zupełnie dzika nienawiść do Niemców; wystarczy obejrzeć kroniki filmowe, nakręcone w wioskach skąd wyparto nieprzyjaciela, by to zrozumieć. Dzieci na szubienicach, kobiety zgwałcone na śmierć i wszystko inne w tym rodzaju. Ale Hitler i Stalin są tak zimnokrwisci, jakby mieli rtęć w żyłach. Postępują w sposób nieludzki i nieprzewidywalny i dlatego brytyjska decyzja wysłania im czołgów zasługuje na bardzo wysokie uznanie.

Niektórzy amerykańscy członkowie delegacji czują się podczas obrad dziwnie, a nawet cholernie dziwnie. Zagrożeń Brytyjczycy chcą pomóc Rosjanom, a nasz Kongres krzyczy, by im nic nie dawać. My siedzimy wśród przedstawicieli dwóch krajów walczących z Niemcami na śmierć i życie, sami reprezentując kraj, którego Kongres nie pozwala prezydentowi nawet kiwnąć palcem, by im pomóc. A gdy już na coś pozwoli, to z wrzaskiem od morza do morza.

Czy przypominasz sobie Slotę'a? Jest teraz drugim sekretarzem w Moskwie. Jak może pamiętasz odwiedził mnie w Berlinie, wychwalając zachowanie się Briniego pod ostrzałem w Polsce. To właśnie jego Natalia odwiedzała w Warszawie. Nadal jest zdania, że to najwspanialsza dziewczyna na ziemi i nie rozumiem, dlaczego się z nią nie ożenił, gdy miał tę możliwość. W tej chwili próbuje uwodzić córkę Gaduły. Ponieważ jest to jedna z niewielu wolnych zachodnich dziewczyn - o mały włos powiedziałbym „białych dziewczyn” - w Moskwie, Slotę ma mnóstwo współzawodników.

(Nawiasem mówiąc moja uwaga o „białych dziewczynach” jest idiotyczna. Po dwóch dniach pobytu w Moskwie, gdy próbowałem się zorientować, co tu jest tak odmiennego od miast amerykańskich, powiedziałem wreszcie Slotę'owi dwie rzeczy: nie ma ogłoszeń i nie ma kolorowych. Rozśmieszyło go to. Ale to prawda. Pod względem swobody zachowania i poczucia równości wszystkich ludzi, Moskwa jest bardzo podobna do Ameryki. Ale w żadnym z wielkich amerykańskich miast nie widzi się takiego morza wyłącznie białych twarzy. Biorąc wszystko pod uwagę, podobają mi się Rosjanie z ich spokojnym i zdecydowanym sposobem prowadzenia spraw, podobnym do zachowania londyńczyków).

A teraz opowiem ci pewne zdarzenie, które powinnaś znać, a nasi wnukowie przeczytać pewnego dnia, szczególnie chłopak Byrona. Sprawa jest ponura i do tej pory nie wiem, co o niej sądzić. Ale chcę ją zanotować. Wczoraj, pomiędzy ostatnią konferencją popołudniową i oficjalną kolacją w hotelu Metropol, poszedłem na chwilę do mieszkania Slotę'a z Tudsburyem i z Pam. To przyjętko zainspirował Gaduła, bo chciał ode mnie wyciągnąć coś na temat konferencji, choć niewiele mogłem ujawnić.

W każdym razie właśnie piłem z nim drinka - gdy się jest tak zmęczonym, trzeba stale mieć należyty poziom alkoholu we krwi i podtrzymywać to stężenie awaryjnymi dawkami - gdy rozległo się pukanie do drzwi i wkroczył facet w zdartych butach, czapce i znoszonym ciężkim płaszczu. Był to Jochanan Jastrow, żydowski kupiec z Warszawy, wuj Natalii! Ten, którego nazywają Berel. Jak pamiętasz, Briny i Natalia pojechali na południe Polski na ślub jego syna, i tam ich zastała inwazja. Berel był wygolony, płynnie mówił po rosyjsku i niemiecku i nie wyglądał na Żyda, choć Slotę powiedział, że w Warszawie nosił brodę i miał wygląd rabina.

Jego ucieczka z Warszawy z resztą rodziny to cała saga. Znaleźli się w Mińsku i tam znów przyłapał ich błyskawiczny najazd niemiecki na Białoruś. Powiedział nam tylko kilka najistotniejszych faktów: jak wy dostał się z rodziną z Mińska i uciekł z nimi przez lasy, ale oczywiście jest, że ten facet jest geniuszem forteli ratujących życie.

I tu, się zaczynają rzeczy niewiarygodne. Jastrow twierdzi, że pewnej nocy, mniej więcej w miesiąc po zajęciu Mińska przez Niemców, hitlerowcy wkroczyli do ustanowionego tam przez siebie getta z całą kolumną ciężarówek. Opróżnili domy dwóch najgęściej zaludnionych ulic, upychając wszystkich mieszkańców do ciężarówek: mężczyzn, kobiety, dzieci, niemowlęta, starców niezdolnych do poruszania się o własnych siłach. Było tego przynajmniej kilka tysięcy dusz. Wywieźli ich kilka mil za miasto do wąwozu, a tam wystrzelali co do jednego i zagrzebali w ogromnych, świeżo wykopanych dołach. Jastrow mówi, że wcześniej Niemcy złapali grupę Rosjan do kopania tych rowów, a potem kazali im się oddalić. Paru z nich przekradło się z powrotem, by zobaczyć, co tam się będzie działo i w ten sposób wszystko wyszło na jaw. Jeden z nich miał aparat fotograficzny i porobił zdjęcia. Jastrow pokazał nam trzy odbitki. Całe to wydarzenie, czymkolwiek naprawdę było, miało miejsce o świcie. Na jednym zdjęciu widać ogień szeregu strzelających karabinów. Na drugim daleki tłum ludzkich sylwetek. Trzecie, najwyraźniejsze, pokazuje ludzi w niemieckich hełmach zasypujących dół. Jastrow wręczył także Slotę'owi dwa dokumenty po rosyjsku, jeden ręcznie pisany, drugi na maszynie, które mają być zeznaniami naocznych świadków.

Jastrow powiedział, że zdecydował przedostać się do Moskwy i przekazać amerykańskiemu dyplomacie historię masakry w Mińsku. Nie wiem, w jaki sposób otrzymał adres Slotę'a. Berel jest człowiekiem pomysłowym, ale naiwnym. Wierzył i wierzy nadal, że gdy tylko prezydent Roosevelt dowie się o tej historii i opowie o niej narodowi amerykańskiemu, Stany Zjednoczone natychmiast wypowiedzą wojnę Niemcom.

Jastrow przekazał wszystko Slotę'owi i oświadczył, że ryzykował życiem, by

dostarczyć te materiały do Moskwy, i że masa kobiet i dzieci została zamordowana. Prosi więc, by Slote starannie przechował te zeznania i zdjęcia. Rozmawiałem z nim trochę o dzieciach. Miał łzy w oczach dowiedziawszy się, że Byron i Natalia mają chłopca.

Gdy sobie poszedł, Slote zaproponował Tudsbury'emu, że da mu to wszystko. - No to masz swoją korespondencję. Znajdzie się na tytułowych stronach całej prasy Stanów. - Ku naszemu zdumieniu Tudsbury oświadczył, że nie tknie tego nawet palcem. Podczas pierwszej wojny, po tym jak został ranny, pracował w brytyjskiej propagandzie i tam pomagał koncytować i podrzucać prasie zełgane historyjki o niemieckich okrucieństwach. Twierdzi, że to właśnie Brytyjczycy wymyślili, że Niemcy wyrabiają mydło z ciał poległych żołnierzy. Być może w Mińsku wydarzyła się taka masakra, ale Jastrow wygląda mu na wtyczkę NKWD. Wydaje mu się zbyt nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności, że mój odległy polski powinowaty, i to spowinowacony przez tak dziwacznie zawarte małżeństwo, nagle z wolnej i nieprzymuszonej woli ujawnia się w Moskwie z takim opowiadaniem i takimi materiałami.

Tu nastąpiła gorąca kłótnia i wreszcie Tudsbury oświadczył, że gdyby nawet miał pewność, że historia jest prawdziwa, nie zrobiłby z niej użytku. Twierdzi, że taka sprawa może mieć efekt bumerangowy i powstrzymać Amerykę od wmieszania się do wojny, dokładnie w taki sam sposób, jak postępowanie Hitlera wobec Żydów przez szereg lat paraliżowało politycznie Brytyjczyków: - „Nikt nie chce prowadzić wojny w obronie Żydów” - powtarzał nieustannie, bijąc pięścią w stół, a do tego Hitler przekonał masę ludzi, że każdy, kto walczy z Niemcami, w rzeczywistości przelewa krew tylko za Żydów. Gaduła twierdzi, że ta argumentacja to jeden z największych pomysłów propagandy wojennej wszechczasów i że historia o Mińsku będzie Niemcom tylko na rękę.

No cóż, opisałem Ci tylko nagie fakty. Nie chciałem się o tym aż tyle rozpisywać, ale sprawa nie daje mi spokoju. Jeśli w opowiadaniu Jastrowa jest choć odrobina prawdy, to znaczy, że Niemcy wpadli w szal, a Natalia i jej niemowlę, jeśli w tej chwili nie znajdują się już poza Italią, są w ogromnym niebezpieczeństwie. Mussolini małpuje wszystko, co robi Hitler. Ale zakładam, że już się wydostali; Slote twierdzi, że wszystko było załatwione przed jej pościelą.

Rhodo, gdy pomyślę o tym, co opowiedział Jastrow, dostaję zawrotu głowy i wydaje mi się, że świat, w którym wyrosłem, rozpada się. Usłyszeć taką historię, nawet gdyby była przesadzona, to jakby znaleźć się znowu w mrokach średniowiecza. Nie mogę tego znieść, a najgorsze, że trudno mi nie wierzyć w to, co powiedział Jastrow. Ten człowiek zachowywał się z prawdziwą godnością. I choć trudno mi było sobie to uprzytomnić, gdy na niego

patrzyłem, jest człowiekiem, którego mogę w pełni zaakceptować jako należącego do mej rodziny.

Już za pięć szóstą. Muszę zapakować ten list i iść na bankiet.

Wojna paskudnie się zabawia z naszą rodziną, prawda? Nasze dni w Manili, z całą trójką dzieci w szkole i naszym domem z kortem tenisowym, gdzie wszystkie je uczyłem grać, wydają się jakimś dalekim snem. To były najlepsze dni mego życia. A teraz jestem w Moskwie. Spodziewam się, że nadal grasz co tydzień debła z Fredem Kirby i z Vanceami. Zawsze czujesz się lepiej, gdy masz trochę ruchu. Pozdrów ode mnie Blinkera i Anny, a także Freda i powiedz mu, że mam nadzieję, iż faceci z Departamentu Stanu nie załatwią go.

Choć tak jestem zajęty, tęsknię do Ciebie. Ale ty, kochanie, na pewno nie chciałabyś się znaleźć w Rosji Sowieckiej, obojętne - w wojnie czy w pokoju. Pamela Tudsbury mówi, że w całej Moskwie nie ma fryzjera, do którego mogłaby pójść. Sama pierze sukienki i kostiumy w benzynie.

Pomyśl, rozmawiałem już z Hitlerem, Churchillem, Rooseveltem, a dziś wieczorem może uścisknę rękę Stalina. Biorąc pod uwagę, że jestem prawie nikim, to chyba dużo! Moja kariera zawodowa przebiega w zdecydowanie kapryśny sposób. Wolałbym, by moi wnukowie (o czym wiesz) dowiedzieli się, że ostatnie dwa lata spędziłem na morzu. Ale co się stało, to się nie odstanie; ponadto sądzę, że przy okazji czegoś się nauczyłem. Tyle, że w tej chwili ta nauka już mi wychodzi uszami i przysięgam, że chętnie zamieniłbym kolację na Kremlu na jeden ucziwy powiew zapachu spalin z komina okrętu wojennego.

Do następnego razu! Całuję Cię mocno... Pug.

* * * * *

Victor Henry przybył do Związku Sowieckiego w składzie misji Harrimana-Beaverbrooka dokładnie w chwili, gdy Niemcy rozpoczęli swój jesienny atak na Moskwę. Armie pancerne przebiły się na mniej niż sto mil od stolicy, ale Rosjanie organizowali przyjęcia i pijaństwa dla anglosaskich gości, wozili ich limuzynami po Moskwie, zabierali na przedstawienia baletowe i spokojnie prowadzili długie pertraktacje, nie zdradzając absolutnie niczym, by mieli jakiegokolwiek kłopoty - chociaż wydawało się, że nader się spieszą, wyznaczając bankiet pożegnalny na mniej niż tydzień od dnia przyjazdu misji.

O ile Amerykanie i Brytyjczycy mogli się zorientować, centralny atak Niemców został przed przeszło miesiącem zatrzymany na wschód od Smoleńska i od tej chwili zostali oni na tym odcinku zepchnięci do defensywy. W Moskwie ciągle powtarzano, że to powstrzymanie hord najeźdźców było wielkim wyczynem Armii Czerwonej, nowym

„Cudem nad Marną”. Podobnie jak Francuzi w tysiąc dziewięćset czternastym roku zatrzymali Hunów o trzydzieści mil od Paryża, pozbawiając ich szansy szybkiego wygrania wojny, tak samo - twierdzono - Armia Czerwona powstrzymywała atak hitlerowskich rabusiów, którego celem było zdobycie Moskwy przed nastaniem pory zimowej. Rosjanie nawet zawieźli korespondentów zagranicznych na ten centralny odcinek frontu, pokazując im oswobodzone wsie, rozbite czołgi hitlerowców oraz martwych i wziętych do niewoli wrogów. Obecnie jednak Niemcy twierdzili, że ich marsz na Moskwę znów się toczy, Rosjanie natomiast temu zaprzeczali. Mglista zasłona tajemnicy wojskowej skrywała prawdę o przebiegu faktów.

W przeciwieństwie do szeroko głoszonej podówczas opinii - która zresztą nie zginęła bez śladu do dziś - Wehrmacht nie stanowił gigantycznej, masywnej falangi czołgów i samochodów pancernych, która przetaczała się przez całe kraje plując ogniem i śmiercią. Armie Hitlera miały zaprzęg konny. Były liczniejsze niż napoleońskie, ale ich wdzieranie się w głąb Rosji opierało się na tym samym, co la Grande Armee: sile mięśni zwierząt pociągowych i maszerujących piechurów. Oczywiście Hitler miał też trochę dywizji pancernych, rozmieszczonych na skrzydłach trzech wielkich grup armii, które najechały Związek Sowiecki. Blitzkrieg przebiegał w następujący sposób: jednostki pancerno-motorowe atakowały na skrzydłach każdego z frontów, wbijając się w linie nieprzyjacielskie i licząc na zaskoczenie, przerażenie i swoją siłę przebicia, która miała zmieknąć opór nieprzyjaciela lub wprowadzić go w panikę. Pomędzy tymi dwoma klinami podążała tak szybko jak tylko mogła piechota, zabijając lub biorąc do niewoli oddziały, w które włamały się dywizje pancerne lub otoczyły cienkim łańcuchem.

Te pancerne dywizje odnosiły wielkie sukcesy i niewątpliwie Hitler z przyjemnością używałby ich w większych ilościach. Ale wojnę rozpoczął - jak z cicha pomrukiwali jego generałowie - o wiele za wcześnie, ledwie w sześć lat po dojściu do władzy. Bynajmniej nie udało mu się całkowicie uzbroić Niemiec, choć groźnie krzyczał, że to zrobił, a Europa mu uwierzyła. Dlatego, biorąc pod uwagę rozległość frontu wschodniego, pancernych dywizji miał bardzo mało.

W sierpniu, gdy jego trójzębny atak wbił się głęboko w Związek Sowiecki, Hitler skierował niewielkie siły pancerne środkowego odcinka na północ i południe, by zakończyć wojnę na skrzydłach przez wzięcie Kijowa i oblężenie Leningradu. Wykonawszy to zadanie, jednostki pancerne miały powrócić na pozycje wyjściowe i znowu dopomóc Grupie Armii „Środek” do wymierzenia nokautującego ciosu stolicy. Historycy wojskowości do tej pory spierają się o słuszność tej decyzji. W każdym jednak razie piechota i artyleria konna w

centrum, pozbawione pancerza, zmuszone zostały do zatrzymania się i okopania w oczekiwaniu na powrót swych stalowych ostrzy tnących - dywizji pancernych - z ich wycieczek na boki. I to był ten nowy „Cud nad Marną”. Rosjanie byli najpierw zdziwieni, później niesłuchanie podniesieni na duchu tego rodzaju nagłym zatrzymaniem się olbrzymich sił następujących na stolicę i nawet tak zdeorganizowani jak byli wówczas, rzucili się do kontrataków i uzyskali lokalne postępy. „Cud” zakończył się z końcem września, gdy armie pancerne powróciły na poprzednie pozycje i stamtąd, odremontowane i zaopatrzone w paliwo, uderzyły znowu na Moskwę po dwóch, biegnących łukami do wyznaczonego punktu spotkania, liniach natarcia. Właśnie wtedy przybyli Harriman i Beaverbrook, ze skromnym kapitanem Henrym w ich świcie.

52

Lesliemu Slotemu tak trzęsły się ręce, że w pośpiechu dwukrotnie krzywo zawiązał krawat. Cisnął nim w kąt, wyciągnął drugi z szafy i wreszcie udało mu się jako tako uzyskać przyzwoity węzeł. Nałożył żakiet i zasiadł na ciężkim fotelu z brązowej skóry, wyciągając nogi na kozetkę i próbując uspokoić wzburzone nerwy papierosem. Apartament ten został porzucony piętnastego czerwca przez niemieckiego korespondenta, który pośpiesznie wynajął go Slotemu. Jak na Moskwę był wspaniały: trzy pokoje, kuchnia, łazienka, solidne niemieckie meble. Podobał się też Pamela Tudsbury, która ugotowała tam niejedną kolację dla Slotema i kilku ich przyjaciół.

Anglojęzyczni pracownicy ambasad i korespondenci - mała, izolowana i rozplotkowana grupka - przypuszczali, że brytyjska dziewczyna i amerykański dyplomata nawiązali romans. Tego samego zdania była przysadzista rosyjska pokojówka Slotema, Walia, która na widok Pameli uśmiechała się promiennie i chodziła po mieszkaniu na paluszkach. Slotemu tęsknie marzył o takim romansie. Do tej pory nie przyszedł do siebie po małżeństwie Natalii Jastrow i nic lepiej nie uleczyłoby rany, jaką zadano jego ambicji, jak nowy romans. Pam Tudsbury, którą pamiętał z Paryża jako gorąckrwistą dziewczynę Philipa Rule'a - pełną szalonych pomysłów, otwarcie zmysłową, najzważszą i najweselszą po zapadnięciu zmroku - ostro pohamowała jego awanse. Była w kiepskim nastroju. Oświadczyła, że zostanie wierna swemu narzeczonemu, zaginionemu pilotowi RAF-u. Pamela miała cerę tak świeżą jak za paryskich czasów, a jej twarz w kształcie serca z cienkim łukiem warg nadal wyglądała jak kwiat angielskiej piękności. Ubierała się w brązowe wełniane kostiumy, nosiła pantofle na płaskim obcasie i okulary. Ale pod tym odzieniem wzorowej sekretarki płonęła uroda

dziewczyny, która w Paryżu w noc świętojańską zrzuciła pończochy i wraz z Philipem Rule taplała się w paryskiej fontannie, podciągawszy czerwoną jedwabną sukienkę do pól uda. Tę sukienkę miała nadal i od czasu do czasu ją nosiła.

Slote cierpliwie zgadzał się na to, że ich stosunki układały się wedle życzeń Pameli. Miał nadzieję, że z czasem się zacieśni. Ale przybycie kapitana Victora Henry'ego pozbawiło go towarzystwa Pameli na jakichkolwiek warunkach. Ujrawszy tylko raz Pam w towarzystwie Puga Slote pojął, że ma przed sobą zakochaną kobietę. Taka to była wierność wobec zaginionego lotnika! Natomiast kapitan Henry - krępy, blady, zmęczony facet około pięćdziesiątki wydał się dyplomacie prawie karykaturą typowego zawodowego wojskowego: lakoniczny w rozmowach towarzyskich, bystry w sprawach zawodowych, z pokerową twarzą, mocny i bezbarwny. Leslie nie mógł nawet określić, czy Henry lubi Pamelę Tudsbury. Na jej niezawołowane, zakochane bez pamięci spojrzenia nawet nie odpowiadał. Slote bez powodzenia próbował zgłębić, czym ten podstarzały tępak mógł tak opętać młodą Angielkę, podobnie jak nigdy nie udało mu się zrozumieć szaleńczej miłości Natalii Jastrow dla syna tego człowieka.

Los zaserwował mu dziwaczne a niestrawne danie, myślał Leslie Slote. Najpierw prześcignął go syn, potem ojciec, a żaden z nich w jego pojęciu nie był godnym go rywalem. Byron Henry był przynajmniej przystojnym młodym zuchwalcem, który głęboko zmienił zdanie Sloty na temat wrażliwości mądrych kobiet na zewnętrzny urok. Ale powierzchowność kapitana Henry nie miała żadnych uroków. Najlepszym, co jeszcze dałoby się o nim powiedzieć, było to, że zachował do tej pory gęstą, ciemną czuprynę, a jego talia zdradzała wysiłki utrzymania dobrej formy. Ale wiek marynarza stawał się oczywisty, gdy tylko spoglądało się na jego zmęczone, otoczone zmarszczkami oczy, sękaty dłonie, zaciśnięte wargi i odmierzone ruchy.

Slote miał spotkać się z admirałem Standleyem i kapitanem Henrym w hotelu National; miał być ich tłumaczem na kremlowskim bankiecie. Perspektywa tego wyróżnienia bynajmniej go nie uszczęśliwiała. Szarpały nim paniczne przeczucia.

Przez pierwsze tygodnie inwazji fizyczne tchórzostwo Sloty, z którym nauczył się żyć tak, jak inni ludzie żyją z katarem siennym lub wysokim ciśnieniem krwi, jeszcze się nie ujawniło. Był wielbicielem Rosji Sowieckiej. Wierzył w wiadomości podawane przez głośniki uliczne i wyklócał się, że zwycięskie niemieckie komunikaty to czysta propaganda. Od Niemców oddzielało go sześćset mil terenu, ponad sto milionów ludności Rosji, a ponad wszystko wielka Armia Czerwona. Znajdował się tak daleko od Niemców, że nawet Luftwaffe nie była w stanie przelecieć tego dystansu. Barometr jego lęków wskazywał na

piękną i słoneczną pogodę w Moskwie. Moskwanie - przyjaźni, dobroduszeni i raczej ubogo ubrani ludzie; całe roje robotników w czapkach, robotnic w chustkach, chłopców i dziewcząt z czerwonymi komsomolskimi chustkami na szyjach, wszyscy tak do siebie podobni ze spokojnych, płaskich rosyjskich twarzy, że zdawali się wielomilionowym tłumem bliskich krewnych - pogodnie układali stopy worków z piaskiem, zaklejali okna paskami papieru i uczestniczyli w ćwiczeniach przeciwpożarowych na wypadek nalotów, które nie nadchodziły. Prócz tego zajmowali się nadal swoimi sprawami pod błękitnym niebem przy ciepłej, słonecznej pogodzie. Nad placami miejskimi kołysały się na uwięzi srebrzyste balony zaporowe. Z dachów hoteli i muzeów wyglądały lufy armat przeciwlotniczych. Masy krzepkich, rumianych, młodych ludzi w nowiutkich mundurach i pierwszorzędnym skórzanych butach płynęły w stronę dworców kolejowych. Czołgi, wieloosiowe ciężarówki i ciężkie działa w dzień i w nocy chrzęszcząc toczyły się po alejach miasta, a wszystkie kierowały się na zachód. Teatry i kina były otwarte. Sprzedawane na ulicach lody były tak smaczne jak zawsze. Cyrk letni występował przed tłumami publiczności, gdyż tego lata był tam tańczący słoń i równie uzdolnione niedźwiedzie. Jeśli w Moskwie można było wierzyć własnym oczom i uszom, to Związek Sowiecki odparł napad na swych dalekich granicach i zadał nazistom ich pierwszą wielką porażkę - dokładnie tak, jak to twierdziło Radio Moskwa.

A potem upadł Mińsk, następnie Smoleńsk, później Kijów - co Rosjanie potwierdzali w tydzień lub jeszcze później po zwycięskich peanach Niemców. Zaczęły się naloty: zasięg Luftwaffe objął już miasto. W całej ambasadzie nikt nie przeraził się tak jak Slotę, bo nikt poza nim tak nie liczył na Rosjan. A do tego nikt inny nie przeszedł męczarni Warszawy. Od maja ambasador gromadził żywność, benzynę i inne zapasy w dużym domu o trzydzieści mil za Moskwą, aby tam przesiedzieć zbliżające się oblężenie. Niektórzy Amerykanie, rozwścieczeni nieporozumieniami z Rosjanami, cieszyli się na myśl o przemarszu Wehrmachtu przez Plac Czerwony. A przynajmniej, wypiwszy kilka kieliszków, tak twierdzili.

Przekonawszy się, jak bardzo pomylił się w ocenie Armii Czerwonej, Slotę przestał się spierać. Ale uważał, że obojętność i spokój ducha reszty Amerykanów graniczy z szaleństwem. W miarę zbliżania się Niemców naloty stawały się cięższe. W ciemnościach nocy, wśród smug reflektorów, poszukujących na niebie samolotów nieprzyjaciela zadziwiająco gęsty ogień zaporowy artylerii przeciwlotniczej tworzył baldachim, utkany z zielonych, czerwonych i żółtych ogników. To podnosiło na duchu, ale bomby jednak padały. A zbliżał się przecież terror ostrzału z dział. - Jeśli nawet przeżyję oblężenie - myślał Slotę - czy będę bezpieczny? Do tej chwili prowokacyjnie jawna pomoc, udzielana przez Roosevelta

wrogom nazizmu może spowodować, że zwycięski Hitler wypowie wojnę Stanom. Jeśli Moskwa padnie, Niemcy mogą wywieźć Amerykanów do wężowu i pozabijać jak Żydów w Mińsku. A potem Adolf Hitler może przeprosić za pomyłkę, zaprzeczyć, by coś takiego się zdarzyło, albo oświadczyć, że to zrobili Rosjanie.

Opowiadanie Berela Jastrowa przeraziło Slotę'a do utraty zmysłów. Przeczytał nie tylko te książki o Niemczech, których listę dał Byronowi Henry, ale jeszcze znacznie więcej. Dobrze znał charakter Niemców. Przepelniała ich prymitywna namiętność posłuszeństwa rozkazom, byli też brutalni i grubiańscy, energiczni, inteligentni, obsesyjnie wręcz egocentryczni, wiecznie uskarżający się, że cały świat sprzysiągł się przeciw nim, by traktować ich niesprawiedliwie. Ich romantyczna filozofia aż do obrzydzenia powtarzała motyw, raz na zawsze utrwalony przez Goethego w postaci Fausta: tęsknotę za przeżywaniem doświadczeń na granicy ludzkich możliwości. Tak, Leslie Slotę był zdania, że te osiemdziesiąt milionów obcych przybyszów ze środka Europy, jeśli tylko wyzwoli się ze sztywnych konwenansów potocznej przyzwoitości, jest całkowicie zdolne do wyróżnienia na rozkaz dowolnej liczby niewinnych ludzi, radośnie i bez poczucia winy, ani cienia świadomości, że postępują nieludzko. Otchłań niemieckiego ducha nie znała dna. Ci ludzie byli jak zimne, zamknięte w sobie dzieci: równie posłuszne i okrutne. Straszliwy sekret władzy Hitlera polegał na tym, że on Niemców znał i rozumiał. Można było liczyć, że w razie wojny inne prowadzące ją kraje będą się stosować do takich zasad, jak wymiana oblężonych lub wziętych do niewoli dyplomatów. Przejęty zgrozą Slotę doszedł wreszcie do wniosku, że w takiej sytuacji dyplomaci mogą liczyć zaledwie na to, że Niemcy ich nie pożrą. Ale nie na wiele więcej.

Za oknami mieszkania blade czerwone światło zachodzącego słońca. Był najwyższy czas, by wstać i towarzyszyć Victorowi Henry'emu w nocnej wizycie w miejscu, które było celem wszystkich nalotów na Moskwę.

* * *

Nie zdziwił się, zastawszy kapitana Henry'ego w apartamencie hotelowym Tudsburych. Choć w pokoju było zimno, marynarz leżał rozwalony w koszuli na kozetce, paląc cygaro. Pamela, siedząc w świetle lampy z czerwonym abażurem na podstawie w kształcie alabastrowej Wenus, coś szła przy pogniecionym granatowym mundurze ze złotymi galonami.

- Hej tam - powitał go leniwie Henry.

- Nadwreżone guziki. Nie chcemy, by zaczęły odskakiwać na kremłowskich

parkietach. Weź sobie whisky z wodą z kranu, Leslie. Beaverbrook podarował staremu butelkę.

Spojrząwszy na zegarek Slotę przysiadł na brzeжку fotela.

- Nie, dziękuję. Kapitanie, mam nadzieję, że nie pił pan dużo. Gdy ktoś się wybiera na rosyjską kolację, nie powinien mieć ani kropli alkoholu w żyłach.

- Wiem coś o tym - mruknął Henry. - Nawet jej nie powąchałem.

Pamela szła, Victor Henry palił cygaro, a dyplomata poczuł, że w tym pokoju jest zupełnie zbędny. Raz i drugi spojrzął na zegarek, kaszlnął i odezwał się:

- Umówiłem się z admirałem w hotelu na szóstą. Jest za dziesięć. Chyba go poszukam.

Przyjdzie pan, kapitanie?

- Oczywiście - odrzekł Henry.

- Jesteś taki spokojny, Leslie - powiedziała Pamela. - Ja, gdybym miała teraz jechać na Kreml, trzęsłabym się z wrażenia.

- Także kapitan Henry jest całkiem spokojny - zauważył Slotę.

- Ach, on! To robot. Mechaniczny człowiek. Puff puff puff. Brzdęk-brzdęk. Pstryk!

- Potrzebuję nowego akumulatora - zauważył Henry. - Może także przeszlifowania zaworów.

To intymne przekomarzanie się raz jeszcze pokazało Slotę'owi, że jest tu zupełnie niepotrzebny.

- No to za dziesięć minut - zakończył.

- Jeszcze dwa guziki - odrzekła Pamela. - Diabli! Drugi raz ukłułam się w palec. Nigdy nie nauczyłam się szyć.

* * *

Przed hotelem stały niezgrabne czarne limuzyny - rzadki widok w Moskwie. Od chwili wybuchu wojny nieczęsto dotychczas pojawiające się na szerokich alejach i przestronnych placach miasta samochody osobowe znikły niemal zupełnie. Moskwianie, jak zwykle tłumnie odbywający wieczorne spacery po ulicach, spoglądali na auta badawczo, ale nie zatrzymywali się. Przy samochodach zgromadzili się kierowcy i eskorta w czarnych czapkach i czarnych skórzanych kurtkach. Amerykanie nazywali ich „chłopcami z YMCA”, a byli to funkcjonariusze tajnej policji. Spacerowicze robili wrażenie, że za nic nie chcą się zatrzymać w ich bliskości. Ale gdy samochody zaczęły zapełniać elegancko ubrani cudzoziemcy, wynurzający się z wąskiego wejścia hotelu National, przechodnie utworzyli szpaler milczących widzów, szeroko otwartymi, przyjaznymi oczami wpatrujących się w obce

twarze, ubrania i obuwie.

- Jak ci się udało z tymi planami portów? - spytał Henry'ego admirał Standley, sadowiac się na tylnym siedzeniu i regulując aparat słuchowy. Standley był niegdyś Dowódcą Operacji Morskich, a Roosevelt odwołał go ze stanu spoczynku, by włączyć w skład misji. Slotowi nigdy nie udało się przekonać tego krótkowzrocznego człowieka z twarzą jak z pomarszczonej, wyprawionej skóry oraz poczwórnym rzędem baretek, aby nie omawiał spraw służbowych w obecności agentów NKWD, niewątpliwie znających angielski, choć nigdy nie mówili w tym języku.

- Wcale się nie udało - odrzekł Henry. - O kodach roboczych i sygnalizacyjnych nie ma co mówić. Faceci oświadczyli mi bez mrugnięcia okiem, że niczego takiego nie mają; łączność utrzymują morsem lub aldisami, tekstem otwartym.

- Co za nędza! Czy dałeś im nasze?

- Pokazałem im naszą Ogólną Księgę Kodów i parę pasków szyfrowych do niej. Prawie się pobiliśmy z kontradmirałem, tym małym, grubym. Zaczął je pakować do swej teki, ale mu odebrałem. Powiedziałem mu, że nie ma karesu bez interesu.

- Nie! Naprawdę? - odrzekł admirał. - Ależ za coś takiego możesz zapłacić głową, Pug. Podobno my tu mamy dawać, dawać i jeszcze raz dawać. Powinieneś być po prostu wręczyć im wszystkie tajne szyfry naszej marynarki, uścisnąć dłonie i wznieść wódką toast za wieczną przyjaźń. Wstyd mi za ciebie, kapitanie, i cholernie się cieszę, że mam cię z sobą.

- Za wszystko co dajemy Sowietom, coś otrzymujemy - wtrącił się Slot. - Zabijają za nas Niemców.

- Żeby nie dać się zabić przez Niemców - mruknął admirał. - Nie robią tego z miłości do nas.

- Posłuchaj, Leslie - odezwał się Pug - jeśli mamy zamiar konwojować aż do Murmańska i Archangielska i może nawet prowadzić wspólne operacje, musimy wymienić informacje hydrograficzne i kody robocze. Do cholery, nie prosimy o tajne szyfry operacyjne, tylko o to, co niezbędne dla żeglugi i pilotażu.

- Rosjanie mają obsesję tajemnicy państwowej - odrzekł Slot. - Bądź cierpliwy i nie ustępuj.

Samochody, objechawszy Kreml szeregiem ulic, zatrzymały się pod wielką bramą z czerwonego kamienia, uwieńczoną gwiazdą.

- To nic nie pomoże - zauważył admirał. - Myślę, że ptaszki po prostu nie dostały zielonego światła od Wielkiego Szefa i póki nie dostaną, my mamy ucho od śledzia.

Usłyszawszy takie nagromadzenie wyrażeń slangowych, eskortujący enkawudzista

odwrócił się zezując w stronę admirała wąskimi, tatarskimi oczami, po czym z grzecznym uśmiechem odezwał się do Slotę'a po rosyjsku, że przez bramę przejadą nie wysiadając. Wysocy, zbrojni strażnicy z zawziętymi twarzami, ubrani w nieskazitelne mundury, po kolei sprawdzali wszystkie samochody. Wreszcie wjechano na teren fortecy, zatrzymując się przy wewnętrznej bramie na kolejną kontrolę i minawszy dziwaczne, stare cerkwie. Kolumna stanęła przed ogromnym budynkiem z majestatyczną, kamienną fasadą.

Goście opuścili samochody w towarzystwie rosyjskich oficerów, wspięli się po schodach i czekając na zewnątrz zaczęli rozmawiać. W mroźnym powietrzu ich oddechy zamieniały się w kłęby pary. Po bladobłękitnym sklepieniu nieba nad fortecą płynęły różowe wieczorne puszyste obłoczki. Nagle otwarły się pałacowe wrota i cudzoziemcy zamrugali w oślepiającym świetle kulistych żyrandoli, podwieszonych u wysokiego plafonu niezwykle długiego holu. Na jego końcu widniały w oddali białe marmurowe schody, pokryte kaskadą cynobrowego dywanu. Gdy weszli, owiało ich ciepłe powietrze. W Moskwie, gdzie zakazano ogrzewania budynków do połowy października, było to coś nowego. Zatęchły zapach starych, kamiennych ścian i antycznych mebli mieszał się z aromatem kwiatów. Służba, odziana w liberie wojskowego kroju i białe rękawiczki pomagała gościom zdejmować palta i kapelusze. Wzdłuż lustrzanych ścian na stołach z ciemnego drewna wyłożone były w równych szeregach grzebienie i szczotki.

- Co za troskliwość - mruknął Victor do Slotę'a, gdy stojąc ramię w ramię szczotkowali włosy. - Słuchaj, co sądzi ambasador o tych materiałach z Mińska? Dałeś mu je?

Slotę skinął twierdząco głową do odbicia Puga w lustrze. - Chciałem, by wysłał je do sekretarza Hulla z absolutnym pierwszeństwem. Ambasador to utopił. Wszystko ma być przesłane zwykłymi kanałami do naszej sekcji wschodnioeuropejskiej.

- No to koniec - Pug zmarszczył brwi. - Twój departament podchodzi do spraw żydowskich z najwyższą opieszałością. Lepiej pokaż te papiery któremuś z tutejszych amerykańskich korespondentów.

- Szef wyraźnie mi tego zakazał, bo oficjalna ocena może stwierdzić, że jest to fałszerstwo czarnej propagandy.

Oficerowie w brązowych mundurach z czerwonymi patkami na kołnierzach, młode, przystojne wielkoludy o jasnych oczach, weszli przez boczne drzwi i zaczęli kierować gości w stronę schodów. Idąc koło Slotę'a Pug odezwał się raz jeszcze:

- A gdybyś zaprosił na drinka Freda Fearinga, a on przypadkiem naumyślnie przeczytałby te materiały? Reporter, jak wiesz, dla zdobycia sensacyjnych wiadomości okradłby nawet własną starą, niewidomą babcię.

- Chcesz, żebym złamał wyraźny zakaz?

- Uważam, że tej historii nie wolno pogrzebać.

Podszedł admirał, wziął ich obu pod ręce i wspinając się po schodach zarechotał:

- To tak ma wyglądać socjalistyczna surowość obyczajów? Czy widzicie te duchy carskich arystokratów i ich przepięknych pań, idące obok nas po czerwonym dywanie? Wszystko jak w kinie!

Towarzystwo przeszło przez ponurą salę, pełną nowoczesnych biurek z mikrofonami, a oficerowie wyjaśnili, że tutaj zbiera się Rada Najwyższa. Goście przeszli przez wiele innych ogromnych sal, bogato umeblowanych we francuskim, włoskim lub angielskim stylu, pełnych obrazów i rzeźb. Wyglądało, że nie mają innego zastosowania prócz wzbudzania podziwu. Wszystko razem robiło wrażenie rozrzutnej wspaniałości, wystawionej tu chaotycznie na pokaz w nader nietaktowny sposób. Wreszcie dotarto do jeszcze większej i bogatszej sali o marmurowych kolumnach, złożonym sklepieniu i obitych czerwonym adamaszkiem ścianach. Osiemdziesiąt zgromadzonych osób bynajmniej nie wypełniło pomieszczenia.

Otworzyły się lustrzane drzwi i weszła grupa cywilnych Rosjan w nieodprasowanych, szerokich spodniach i źle leżących dwurzędowych marynarkach. Slote natychmiast rozpoznał kilka twarzy, które na pierwszomajowej paradzie stały rzędem na balkonie mauzoleum Lenina: Mołotow, Kaganowicz, Susłow, Mikojan.

- Popatrz na tych wchodzących typków - odezwał się Victor Henry. - Wyglądają, jakby rewolucja wydarzyła się w zeszłym tygodniu.

Slote zerknął na kapitana. Lesliem także wstrząsnął widok nieeleganckich komunistycznych władców w przepysznym Wielkim Pałacu, a Henry jednym zdaniem określił to uczucie. Victor patrzył na zbliżających się komunistów przez na wpół zmrużone oczy, jakby oceniał stan pogody na horyzoncie.

- To Politbiuro, kapitanie - szepnął Slote. - Najgrubsze ryby.

- Wcale mi na to nie wyglądają - odmruknął Henry.

- To te okropne ubrania - rzekł Slote.

Zaczęły się prezentacje. Pojawili się kelnerzy w liberiach, niosąc na tacach wódkę w małych, pękatych kieliszkach oraz paluszki. W celach badawczych Slote ugryzł paluszka; był o wiele za słodki. Do sali wszedł pałac papierosa, niski człowiek. Nie powitano go osobno, ale nagle stał się biegunem magnetycznym wielkiej sali i wszystkich tu zgromadzonych. Przejawiło się to rzucanymi spojrzeniami, ruchami ramion, zwróconymi twarzami, szerzej otwartymi oczami, małymi przesunięciami osób w tłumie. Był to Stalin. I tak po raz pierwszy Leslie Slote ujrzał na własne oczy człowieka, którego popiersi, fotografii, rzeźb i malowideł

Związek Sowiecki był tak pełen, jak katolicki kraj wizerunków Chrystusa.

Komunistyczny dyktator, zaskakująco niskiego wzrostu, z małym wystającym brzuszkiem, przeszedł przez salę ściskając ręce i rozmawiając z tym i owym. Niewidzialne ognisko przyciągania poruszało się wraz z nim jak punktowy reflektor. Podszedł do obu amerykańskich oficerów marynarki, wyciągnął dłoń do admirała i powiedział: - „Stalin”. Wyglądał jak jego portrety, z tym jednym wyjątkiem, że jego ziemista cera była bardzo nierówna i pełna dziobów, jakby kiedyś cierpiał na ciężki trądzik. Lekko skośne oczy, zaczesane do tyłu gęste, szpakowate włosy oraz krzaczaste wąsy i brwi nadawały mu wygląd dobrotliwego lwa. W przeciwieństwie do innych tu obecnych komunistów nosił świetnie skrojony beżowy mundur, z zaprasowanymi w ostre kanty spodniami, wpuszczonymi w błyszczące wysokie buty z brązowej skóry.

Leslie Slope przedstawił Amerykanów. Kapitan Henry powiedział powoli, z ciężkim amerykańskim akcentem:

- Sir, opowiem o tym spotkaniu moim wnukom.

Uniósłszy gęstą brew Stalin spytał niskim, sympatycznym głosem:

- Tak? Ma pan wnuki?

- Dwóch chłopców.

- A dzieci? Ma pan synów? - Dyktator wydawał się rozbawiony brzmieniem powoli wypowiedzianych z mechaniczną precyzją przez Victora Henry'ego rosyjskich słów.

- Dwóch, panie przewodniczący. Mój starszy syn jest lotnikiem US Navy. Młodszy pływa na okręcie podwodnym.

Stalin spojrział na kapitana przez smugę dymu z papierosa z nieuchwytnym wyrazem zainteresowania.

- Proszę mi wybaczyć złą znajomość rosyjskiego - dodał Pug. - Miałem kiedyś rosyjskich kolegów. Ale to było dawno temu.

- Gdzie pan miał rosyjskich kolegów?

- Urodziłem się w Kalifornii koło Rzeki Rosyjskiej. Do dziś są tam rodziny pierwszych osadników.

Tym razem Stalin uśmiechnął się szeroko, ukazując poślizgnięte od tytoniu zęby.

- A, tak, tak. Fort Ross. Niewiele osób wie, że my Rosjanie skolonizowaliśmy Kalifornię przed wami. Może czas już, byśmy zażądali jej zwrotu.

- Mówią, towarzyszu przewodniczący, że wyznaje pan zasadę walki tylko na jednym froncie.

Z wesołym pomrukiem Stalin powiedział:

- Ha, ha! Oczeń charaszo! - klepnął Puga po ramieniu i odszedł.

Admirał słuchał tego wszystkiego z kompletnym niezrozumieniem.

- Pug, do wszystkich diabłów, o co chodzi z tą Kalifornią? Swoją drogą cholernie dobrze sobie radzisz z ich szwargotem.

Gdy Victor Henry przełożył całą rozmowę na angielski, admirał ryknął śmiechem.

- Pug, na Boga, zapisz mi to wszystko co do słowa. Słyszysz? Chcę to umieścić w moim raporcie. Walka tylko na jednym froncie! Dobra robota!

- Muszę panu pogratulować - odezwał się Slote. - Wykazał pan przytomność umysłu, a jemu to się spodobało.

- Starał się stworzyć swobodną atmosferę - odrzekł Pug. - Wiem, że zupełnie zamordowałem gramatykę rosyjską, ale on nie dał mi tego po sobie poznać. Zwróciliście uwagę na jego ręce? Wspaniale wymanikiurowane.

- Wiesz, tego nie zauważyłem - odrzekł admirał. - Co o tym sądzisz, Slote? Wielu z nas, dekadencckich kapitalistów, nie zawraca sobie głowy manikiurem, ale Główny Czerwony tak. Warto o tym przez chwilę pomyśleć, co?

Slote też nie zauważył manikiuru Stalina i był wściekły na siebie za to przeoczenie.

Wkrótce całe towarzystwo ruszyło dalej, tym razem wchodząc do zdumiewająco wielkiej sali bankietowej wyłożonej białym marmurem, z czerwonymi obiciami i błyszczącym jak lustro parkietem, gdzie na białych obrusach licznych stołów, rozmieszczonych wśród kolumn z zielonego kamienia, błyszczało srebro, złoto i szkło. Jeden stół znajdował się na długim, może na sto stóp, podwyższeniu, ciągnącym się pod ścianą przez całą długość sali, resztę ustawiono pod kątem prostym do niego. Z tysięcy abażurów z mrożonego szkła dwóch dziwaczkich, gigantycznych żyrandoli zwisających z cynobrowo-złotego sufitu, lały się potoki światła. Jeszcze więcej jasności spływało z rozmieszczonych na ścianach ozdobnych złotych kinkietów.

- Cholera! - sapnął Pug.

Leslie Slote rozejrzał się po ścianach i suficie.

- To sala Katarzyny Wielkiej. Widziałem ją na obrazach. O, tutaj w tych wielkich medalionach jest jej herb. Sprowadziła jakichś francuskich czy włoskich architektów, kazała wypatroszyć tę część pałacu i przebudować. To była jej sala tronowa.

- Na Boga, jeśli taki jest ich styl życia - zauważył admirał - to może i ja zostanę komunistą.

- Nie zdziwiłbym się - rzekł Slote - gdyby się okazało, że od czasów rewolucji ta sala została użyta po raz pierwszy.

Menu, wydrukowane na grubym kremowym papierze ze złotym sierpem i młotem, w języku rosyjskim i angielskim, wymieniało ryby, zupy, dziczyznę, drób i pieczyście. Zajmowało całą długą kartę. Kelnerzy zaczęli wnosić dania, a jeszcze więcej kelnerów, stojących dokoła z butelkami win i wódek, natychmiast podskakiwało, by dopełniać gościom kieliszki. Ogromna sala była wspaniała, zwarte szeregi stołów, pięknie nakryte, generałowie i admirałowie trzech krajów nosili różnobarwne mundury, a na podwyższeniu zasiadali mężowie stanu wraz z ogniskującym znów całą uwagę Stalinem, rozmawiającym z siedzącymi po obu jego stronach Beaverbrookiem i Harrimanem. Sute przyjęcie, rzeka wina, góry kawioru, parada smakowitych, tłustych dań na złotych carskich półmiskach - wszystko to nappełniło Victora Henry uspokajającym poczuciem, że Rosja jest bardzo zasobna, bardzo mocna, bardzo szczodra, bardzo gościnna i bardzo ufna we własne siły.

Inaczej przeżywał to Slote. Niewątpliwie komunistyczni przywódcy świetnie się bawili i okazywali wielką gościnność, ale pod tą wulgarną wylewnością i dławiącym luksusem wyczuwał ton ostrej słowiańskiej ironii. Milcząco, bez słów, a przecież aż ogłuszającym głosem gospodarze mówili: - „Doskonale, wy tam z Zachodu, macie tu wszystko, co was uszczęśliwia: bogactwo i rozkosze zdobywane kosztem potu innych. Spójrzcie, jak i my to dobrze umiemy, gdy zechcemy! Spójrzcie, jak to wyglądało za naszego starego, carskiego reżimu, nim daliśmy mu kopniaka! Czy potraficie się z tym równać? Jutro wrócimy do skromnego życia, które wolimy prowadzić, ale ponieważ przyjechaliście z dekadentckiego Zachodu, no to świetnie, nażryjmy się wszyscy wraz i upijmy jak świnię. My, Rosjanie, wiemy, jak żyć równie dobrze jak wy, a żeby było zabawniej, jeszcze was przelicytujemy. I zobaczymy, kto pierwszy zwali się pod stół. Wasze zdrowie!”

Wasze zdrowie! Toasty szły jeden za drugim. Widać było, że każdy kto chce może wstać, zadzwonić nożem w kieliszek dla zwrócenia uwagi i wykrzyzczeć toast. Gdy był on do kogoś zwrócony lub zrobił komuś przyjemność, ludzie wstawali od stołów i szli przez cały pokój, by stuknąć się kieliszkami z tym, kto go wzniósł. Stalin też chodził tu i tam z kieliszkiem w dłoni. Dla Slote'a wszystko to było szalenie interesujące, ale działo się zbyt szybko, a tłumacząc równocześnie rozmowę między admirałem amerykańskim i niskim, tłustym admirałem rosyjskim, który próbował zagarnąć książkę kodów, nie mógł zwracać na wszystko uwagi. Stary Rosjanin, ze świecącą się od potu, zaczerwienioną twarzą, wlewał w siebie bezustannie wódkę i wino, bez przerwy jęcząc, że jest bardzo chorym człowiekiem, nie zostało mu wiele życia, więc przynajmniej się zabawi. Wreszcie admirał amerykański zdenerwował się.

- Do jasnej cholery, Slote, powiedz mu, że wygląda o wiele lepiej niż ja, wygląda

świetnie.

- No tak, ale rozumie pan - jęknął Rosjanin - ja jestem jak system kapitalistyczny. Zdrowy na powierzchni, zgniły w środku.

Slote z przyjemnością przetłumaczył tę uwagę, ale większa część rozmowy między admirałami składała się z mętnych bredni na temat ich rodzin. Zazdrościł więc Victorowi Henry'emu, który spokojnie obserwował otoczenie, używając wszelkich możliwych trików, by nie wypić zbyt wiele. Uczta stawała się coraz hałaśliwsza, a Slote'a już bolały uszy od wrzasku obu admirałów, usiłujących przekrzyczeć otoczenie. Próbował się pożywić soczystą pieczoną przepiórką w śmietanie, podaną z doskonałym, zimnym białym winem krymskim, ale coraz ostrzejsza wymiana uwag zajmowała mu zbyt wiele czasu.

- Dlaczego - nalegał Rosjanin - dlaczego potężna Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych nie podejmuje przynajmniej konwojowania ładunków Lend-Lease do Anglii? Czy się boi paru blaszanych u-bootów? Jest idiotyzmem - tu rąbnął pięścią w stół aż podskoczyły kieliszki - Idiotyzmem, że produkuje się materiały wojenne i wysyła je statkami tylko po to, aby służyły za ćwiczebne cele dla hitlerowskich torped.

- Powiedz mu, że zaczniemy konwojować lada dzień - warknął Amerykanin - ale jeśli nie zmięknie na punkcie danych o portach oraz kodów roboczych, prędzej go diabli wezmą niż my zaczniemy konwojować do Murmańska.

Slote przetłumaczył, a stary Rosjanin rzucił staremu Amerykaninowi wściekle spojrzenie. Obaj oficerowie jednym haustem wychylili po kieliszku wódki i zamilkli. Ta chwila wytchnienia pozwoliła Slote'owi na rozejrzenie się dokoła. Oficjalny bankiet zmienił się już w koleżeńską biesiadę. Niejedna głowa spoczywała na stole, a pewien łysy Rosjanin chwiejnym krokiem opuścił salę, podtrzymywany pod ramiona przez dwóch kelnerów. Gdy ucichły wrzaski admirałów, Slote usłyszał inny dźwięk: przytłumione, ostre i nieregularne wystrzały. Ba bomp! Bomp, bomp! Poczul zimno w żołądku. Wymienił spojrzenia z Victorem Henrym.

- Artyleria... - zaczął Slote, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Odkasznął. - Artyleria przeciwlotnicza. Nalot.

Henry skinął głową.

- Założę się, że na tym terenie jest największe na świecie zgrupowanie artylerii przeciwlotniczej. Wystarczy posłuchać, co dociera przez te wszystkie grube mury. Rozszalało się autentyczne piekło.

- Udałoby się Niemcom - zauważył Slote z nerwowym chichotem - gdyby zaliczyli dzisiaj trafienie w tę salę.

Przygłuszone grzmoty ognia artyleryjskiego rozlegały się coraz częściej i głośniej. Niektórzy z biesiadników z niepokojem zerkali na ściany. Stary rosyjski admirał, osunąwszy się głęboko na krzesło, opuścił podbródek szkarłatnej twarzy na piersi i rzucał Amerykanom spode łba nieprzyjazne spojrzenia. Nagle wygramolił się z siedzenia, stanął i zaczął wściekle walić nożem w szklanke, aż w końcu udało mu się ściągnąć na siebie uwagę. Podniósł w górę kieliszek napełniony żółtawą wódką.

- Proszę o uwagę! Siedzę tutaj z przedstawicielami Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, najpotężniejszej marynarki na świecie. Ci dzielni ludzie muszą być bardzo nieszczęśliwi z tego powodu, że gdy cała ludzkość jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ich okręty stoją na kotwicach porastając pąklami - tu zwrócił się do amerykańskiego admirała z sarkastycznym uśmiechem - piję więc za dzień, w którym ta potężna marynarka weźmie udział w walce i pomoże zniszczyć wspólnego wroga całej ludzkości: hitlerowskie szczury.

Zapanowała cisza. Slotę przyciszonym głosem szybko tłumaczył tekst toastu. Cywilni i wojskowi Rosjanie przy pobliskich stołach potrząsali głowami i wymieniali zaniepokojone spojrzenia. Stary opadł ciężko na krzesło, rozglądając się wokół zadowolony z siebie.

Admirał amerykański odezwał się do Slotę'a drżącym głosem:

- Jeśli mu odpowiem, spowoduję incydent na skalę międzynarodową.

Victor Henry wtrącił się natychmiast.

- Admirale, czy mogę spróbować ja, mimo mojej fatalnej ruszczyzny?

- Droga wolna, Pug.

Slotę złapał Henry'ego za rękę.

- Słuchaj pan, innym Rosjanom jego mowa też się nie podobała, po prostu o jeden kieliszek za dużo...

- Okay. - Victor Henry wstał z kieliszkiem w dłoni. - W sali ucichły nawet szepty. Grzmoty artylerii przeciwlotniczej stały się jeszcze głośniejsze, na stołach szkło zaczęło drzeć i dzwonić od wstrząsów. Siedzący za stołem na podwyższeniu, ze Stalinem włącznie, wlepili oczy w kapitana. Henry przemówił kulejącą ruszczyzną powolnym głosem, potykając się nieustannie na trudniejszych zdaniach i robiąc błędy gramatyczne.

- Mój dowódca polecił mi odpowiedzieć w imieniu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. To prawda, że nie walczymy. Piję więc przede wszystkim za mądrą politykę pokojową marszałka Stalina, który nie poprowadził waszego kraju do wielkiej wojny, nim nie zostaliście zaatakowani i nie zyskali czasu na przygotowanie się. - Slotę'a zdumiała zręczność tej kolczastej repliki. „Mądra pokojowa polityka towarzysza Stalina” była komunistycznym stereotypem na określenie umowy Stalina z Hitlerem. Henry mówił dalej, robiąc przerwy w

poszukiwaniu właściwych słów. W sali panowała napięta cisza. - Taka sama jest polityka naszego prezydenta. Jeśli zostaniemy zaatakowani, będziemy walczyć. A teraz jeśli idzie o - tu przerwał, by zapytać Slotę o rosyjskie słowo - „pąkle”. Pąkla, która by chciała przyrosnąć dziś do któregoś z naszych okrętów, musiałaby umieć bardzo szybko pływać. Nasze okręty wyszły na morze. Nie ogłaszamy wszystkiego, co robimy. Zachowanie tajemnicy to drugi przykład mądrej polityki obu naszych krajów. Ale nie twórzmy tak wielu tajemnic wzajemnych, by uniemożliwiały nam współpracę. W tej chwili nasza marynarka potrzebuje - znów zwrócił się do Slotę o brakujące słowo - pewnych danych o waszych portach, kodów meteo i tak dalej. Musimy je dostać, nim wyjedziemy. Ponieważ jest to bankiet pożegnalny, piję też za szybkie działanie. Na koniec chcę powiedzieć, że byłem attache morskim w Berlinie. Odbyłem długą drogę z kancelarii Hitlera do wnętrza Kremla. A to nigdy nie uda się Hitlerowi i przede wszystkim piję za to.

Rozległy się głośne oklaski i okrzyki: - Wasze zdrowie! Za szybkie działanie! - Wszyscy podnieśli kieliszki.

Slotę złapał Puga za rękę powstrzymując od spełnienia kielicha i zrobił gest w stronę podwyższenia. Józef Stalin, z kieliszkiem w ręku, wstawał z miejsca.

- Do jasnego dorsza, co mówi protokół dyplomatyczny o takiej sytuacji? - spytał Henry.

- Nie wiem - odrzekł Slotę. - Niech pan jeszcze nie pije. Na Boga, kapitanie Henry, zaiste stanął pan na wysokości zadania.

Pug wyszedł naprzeciw Stalina, ze Slotem depczącym mu po piętach. Gdy spotkali się w pobliżu podwyższenia i wśród powszechnych uśmiechów i oklasków stuknęli się kieliszkami, dyktator odezwał się z sympatycznym uśmiechem:

- Dziękuję panu za piękny toast i w odpowiedzi możecie sobie zatrzymać Kalifornię.

- Dziękuję, panie przewodniczący - odrzekł Pug. Obaj wypili.

- To dobry początek. Czy może pan jeszcze coś dla nas zrobić?

- Oczywiście. Szybkie działanie - odrzekł Stalin, biorąc Puga pod rękę. Przysunął się tak blisko, że Pug poczuł, iż oddech Stalina pachnie rybą. - W amerykańskim stylu. My Rosjanie też to niekiedy potrafimy. - Podeszedł do obu admirałów. Stary, czerwonolicy Rosjanin z trudem wygramolił się i stanął wyprostowany jak struna. Stalin cichym głosem powiedział mu kilka bardzo szybkich zdań. Stojący za Victorem Henrym Slotę uchwycił tylko parę słów, ale wytrzeszczone oczy admirała i ton głosu Stalina mówiły same za siebie. Dyktator, znów z promienną twarzą, zwrócił się do kapitana. - No, więc z kodami meteo i tak dalej, wszystko załatwione. Proszę powiedzieć swemu szefowi, że my, Rosjanie, nie

wprawiamy umyślnie naszych gości w zakłopotanie. Proszę też powiedzieć, że amerykańska marynarka w tej walce dokona historycznych czynów, a gdy nadejdzie pokój, będzie panować na oceanach.

Gdy Slotę pospiesznie to przetłumaczył, stojący obok z drżącymi starczymi wargami admirał Standley chwycił dłoń dyktatora i potrząsnął. Stalin wrócił do głównego stołu. Ale nadal myślał o incydencie, bo gdy wstał, by wznieść toast za prezydenta Roosevelta, ostatni toast wieczoru, wrócił do tematu. Tłumaczył Umański, ambasador w Stanach Zjednoczonych, wyróżniający się wśród Rosjan dobrze skrojonym granatowym garniturem. Jego angielszczyzna była doskonała.

- Towarzysz Stalin mówi, że prezydent Roosevelt ma niezwykle trudne zadanie przewodzenia krajowi nie biorącemu udziału w wojnie, a przecież chce zrobić wszystko co możliwe, by dopomóc dwóm wielkim europejskim demokracjom w ich walce z faszyzmem. Towarzysz Stalin mówi - Umański przerwał i obiegnął wzrokiem ogromną salę, w ciszy, której już nie przerywał ogień artylerii - „niech Bóg mu dopomoże w tym najtrudniejszym z zadań”.

Pełne zdumienia milczenie było odpowiedzią na ten religijny zwrot. I nagle wszyscy uczujący zerwali się z miejsc z kieliszkami w dłoniach, wiwatując, pijąc i klaszcząc. Harriman gorąco uściskał Stalinowi rękę, mały, purpurowy na twarzy rosyjski admirał chwycił dłonie Slotę'a, Henry'ego i Standleya, a w całej sali przyjęcie zmieniło się w ogólne ściskanie dłoni, klepanie się po plecach i uściski.

Ale nie był to koniec wieczoru. Rosjanie poprowadzili gości przez jeszcze więcej wspaniałych, pustych sal do kina, gdzie na widowni stało z pięćdziesiąt niskich, miękkich foteli, a przy każdym stoliczek z ciastkami, owocami, słodyczami i szampanem. Pokazano im najpierw film wojenny, a potem długi musical. Slotę zrobił coś, w co by sam nigdy nie uwierzył: w sercu Kremla zasnął. Wybuch finałowej muzyki obudził go na moment przed zapaleniem świateł. Zauważył, że i innych nagle wyrzywa ze snu oświetlenie, zmuszając do ukradkowego przecierania oczu. Stalin opuścił salę sprężystym krokiem w towarzystwie Beaverbrooka i Harrimana - obaj mieli krwią nabiegłe oczy i wyraz cierpienia na twarzach. W wielkim holu, stojąc pod ogromnym malowidłem bitwy na zaśnieżonym polu, uściskał dłonie wszystkim gościom po kolei.

Na zewnątrz Wielkiego Pałacu czekała czarna, bezgwiezdna noc i zimny szczypiący wiatr. Enkawudziści z podniesionymi skórzanymi kołnierzami i błękitnymi latarkami w dłoniach, zmarznięci, zaspani i znudzeni, rozprawdzili gości po limuzynach.

* * *

Gdy samochód przejechał przez bramę zewnętrzną i wypadł w atramentową pustkę, admirał zaprotestował.

- Słuchajcie, jakże ten diabeł może tak szybko prowadzić przy takim zaciemnieniu? Czy Rosjanie widzą w ciemności jak koty?

Wóz nagle zatrzymał się w zupełnym mroku, a eskortujący podprowadził trzech Amerykanów do drzwi. Weszli do środka i znaleźli się w niewielkim, zimnym foyer hotelu National, gdzie na biurku recepcjonisty świeciła tylko jedna słaba żarówka. Portier, który otworzył im drzwi był zakutany w futrzany płaszcz. Winda stała otwarta, ciemna i porzucona. Admirał życzył im dobrej nocy i z wysiłkiem zaczął wchodzić po schodach.

- Proszę wstąpić na chwilę - powiedział Henry do Slotę'a.

- Nie, dziękuję. Jakoś się przedostanę do mego mieszkania. To niedaleko.

Pug jednak nalegał i wreszcie Slotę podążył za nim przez mroczne schody do nędznego pokoiku kapitana.

- Nie mam tu tak wysokiej rangi jak Tudsbury - zauważył Henry.

- Tudsbury jest chyba najlepszym propagandzistą na rzecz Związku Sowieckiego i sądzę, że oni zdają sobie z tego sprawę - odrzekł Slotę.

Pug otworzył kluczem walizkę, wyjął z niej zamykaną wąską teczkę, również otworzył kluczem i zaczął przeglądać papiery.

- Mam nadzieję - powiedział Slotę, że zdaje pan sobie sprawę, iż te zamki są bez znaczenia. Cała zawartość pańskiej teczki została sfotografowana.

- Tak - odparł Henry z roztargnieniem. Wsunął list do kieszeni. - Może chce się pan zdrzemnąć? Proszę jeszcze przez pewien czas tu pozostać. Coś może się jeszcze zdarzyć.

- O? - Henry wzbudzał w Lesliem coraz większy szacunek, więc dyplomata nie pytał o nic, tylko ze skrzypem i piskiem sprężyn wyciągnął się na wąskim, twardym łóżku. Od szampana, którego ledwie widoczni w mroku kina kelnerzy bez przerwy mu dolewali, nadal kręciło mu się w głowie. Ocknął się dopiero na pukanie do drzwi. W progu Victor Henry rozmawiał z człowiekiem w czarnym skórzanym płaszczu.

- Charaszo, my gotowi - powiedział ze swym okropnym akcentem. - Odnu minutu. - Zamknął drzwi. - Leslie, chce pan się obmyć albo coś w tym rodzaju? Chciałbym, by mi pan towarzyszył.

- Dokąd?

- Z powrotem na Kreml. Mam list od Harrego Hopkinsa do grubej ryby. Nie sądziłem, że będę go wręczał osobiście, ale wygląda, że tak się stanie.

- Wielki Boże, czy ambasador o tym wie?

- Tak. Admirał Standley przywiózł mu list od prezydenta na ten temat. O ile wiem był niezadowolony, ale wie.

Slote wyprostował się.

- Niezadowolony! Wyobrażam sobie! Pan Hopkins potrafi postawić na swoim. To skrajnie dziwaczna sytuacja, kapitanie. Nigdy, nigdy, nikt nie powinien spotykać się z głową państwa inaczej, jak za pośrednictwem ambasadora. Jak pan to załatwił?

- Ja? Nie miałem z tym nic wspólnego. Jestem chłopcem na posyłki. Hopkins chciał, by ten list albo został doręczony Stalinowi prywatnie i nieoficjalnie, albo wcale. Na moim stanowisku nie można się sprzeczać z Harrym Hopkinsem. O ile wiem, rozmawiał z Umańskim. Jeśli to stawia pana w fałszywej sytuacji, pojedę sam. Na Kremlu będzie tłumacz.

Przekalkulowawszy różne aspekty tej zadziwiającej sytuacji, głównie aspekt ratowania własnej kariery, Slote zaczął się czesać przed poślódką ściennym lustrem.

- Będę musiał złożyć ambasadorowi pisemny raport.

- Oczywiście.

* * *

W długim, wysokim i źle oświetlonym pokoju, wytapetowanym mapami, Stalin siedział u szczytu stołu konferencyjnego, za ogromnym stosem papierów na zielonym suknie, pokrywającym część stołu. Niedopałki, wypełniające kamienną popielniczkę koło łokcia dyktatora wskazywały, że od chwili wyjazdu gości bankietowych pracował bez przerwy. Miał teraz na sobie gruby mundur khaki, zmięty i powypychany i wyglądał na bardzo zmęczonego. Jego stały tłumacz angielskiego, Pawłow, chudy, blady, ciemnowłosy młody człowiek o bystrym spojrzeniu, siedział obok niego z miną trwożnej służalczości. W wielkim gabinecie nie było nikogo innego. Gdy urzędnik w mundurze protokołu dyplomatycznego wprowadził Amerykanów, Stalin wstał, uściśnął im dłonie i uprzejmym gestem w milczeniu wskazał krzesła. Po czym usiadł, kierując na kapitana Henry'ego pytające spojrzenie. Victor wręczył mu list i okrągłe pudełko, zawinięte w błyszczący niebieski papier.

- Panie przewodniczący - przemówił po angielsku - nie będę pana dłużej zamęczał moim nieudolnym rosyjskim.

Stalin nożem do papierów ostrożnie rozciął kopertę z Białego Domu. Slote przetłumaczył słowa kapitana, a dyktator skłonił głowę.

- Jak pan sobie życzy. - Podał Pawłowowi pojedynczy bladezielony arkusz, zapisany ręcznym pismem. W górnym rogu widniał nadruk „Biały Dom”.

Gdy Stalin odpakował pudełko, Pug dodał:

- A to jest specjalny tytoń z Wirginii, o którym pan Hopkins mówił panu, że jest ulubionym tytoniem jego syna. - Pawłow przetłumaczył te słowa, a później tłumaczył wszystko, co Henry mówił, szybko przekazując nie tylko dokładny tekst, ale także ton, w jakim był wypowiedziany. Słote siedział milcząco, od czasu do czasu potwierdzając skinieniem głowy.

Stalin obrócił w dłoniach okrągłą niebieską puszkę.

- To bardzo uprzejme ze strony pana Hopkinsa, że zapamiętał parę przypadkowych słów, jakie wymieniliśmy na temat tytoni fajkowych. Oczywiście w naszym kraju mamy masę dobrego tytoniu fajkowego. - Otworzył puszkę szybkim skrętem silnych rąk i z zaciekawieniem obejrzał grubą folię ołowianą chroniącą zawartość. Następnie przeciął ją wypielęgnowanym paznokciem kciuka i wyciągnął z kieszeni fajkę. - Może więc pan powiedzieć panu Hopkinsowi, że próbowałem tytoniu jego syna. - Pug rozumiał dobrze rosyjski Stalina, gdy była to potoczna, towarzyska rozmowa. Później już nie chwycił znaczenia jego słów.

Podczas gdy Pawłow głośno tłumaczył list Hopkinsa, Stalin nabił fajkę, zapalił grubą drewnianą zapalką i puścił kłąb wonnego dymu. Po dłuższym namyśle dyktator zwrócił na Victora Henry'ego spojrzenie zamglonych, zimnych oczu i zaczął mówić, robiąc co kilka zdań przerwy, by pozwolić Pawłowowi na natychmiastowe tłumaczenie.

- Pan Hopkins napisał do mnie bardzo dziwny list. Wszyscy wiemy, że Stany Zjednoczone wyrabiają co roku miliony samochodów różnych marek i modeli, w tym wielkie, luksusowe i skomplikowane maszyny jak cadillac i tak dalej. Skąd więc problemy z okrętami desantowymi? Desantowce to tylko opancerzone lichtugi z małymi, prostymi silnikami. Z pewnością możecie ich zbudować tyle, ile zechcecie. Z pewnością Brytyjczycy mają ich już masę. Nie rozumiem, w jaki sposób mogłoby to stanowić rzeczywistą przeszkodę w otwarciu drugiego frontu w Europie, jak twierdzi Hopkins.

Pug Henry wyciągnął z teczki rysunki i tablice statystyczne produkcji okrętów desantowych.

- Panie przewodniczący, aby dokonać lądowania na silnie ufortyfikowanym wybrzeżu, trzeba od początku zaprojektować i wyprodukować różne ich typy. Spodziewamy się, że masowa produkcja nastąpi najpóźniej w połowie tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Te dokumenty mogą pana zainteresować.

Niespodziewanie, w samym środku tłumaczenia, Stalin zaśmiał się krótko i ochryple i zaczął szybką przemowę po rosyjsku, zwracając się wprost do Victora Henry'ego. Słote i Pawłow szybko notowali, a gdy dyktator zrobił pauzę, Pawłow przejął inicjatywę i

przemówił, zachowując ton ostrego sarkazmu, jaki przepelniał głos Stalina.

- A to znakomicie! W połowie tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego! Niestety, mamy październik tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego. Gdybyż tylko pan Hitler wstrzymał operacje aż do połowy tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego! Ale być może na to nie możemy liczyć. A co się stanie do tej pory? Uważam pana Harrego Hopkinsa - Stalin powiedział tu „gospodin Garry Gopkins” - za przyjaciela i mądrego człowieka. Czy nie zdaje on sobie sprawy, że jakakolwiek operacja, jaką Brytyjczycy mogliby w tej chwili zmontować, choćby jako zwiad bojowy w sile paru dywizji, jeśli nie stać ich na więcej, może zdecydować o przebiegu wojny? Niemcy mają jedynie bardzo słabe rezerwy, wręcz symboliczną obsadę na wybrzeżu Francji. Wszystkie siły rzucają do boju na naszym froncie. Jakiegokolwiek działania na Zachodzie zmuszą ich do przerwania ataku i odciągną stąd właśnie tyle ich sił, że stanowić to będzie decydującą o wyniku różnicę.

Podczas tłumaczenia Stalin machinalnie kreślił czerwonym atramentem w szarym bloku, rysując wilka.

- Panie przewodniczący - odrzekł Henry - polecono mi odpowiedzieć na wszelkie pytania dotyczące problemu okrętów desantowych.

Stalin wierzchem dłoni odsunął papiery, które położył przed nim Pug.

- Okręty desantowe? To przecież sprawa chęci, a nie okrętów desantowych. Niemniej przestudujemy sprawę tych okrętów. Oczywiście i my mamy takie, do lądowania na bronionych wybrzeżach. Może będziemy mogli odstąpić ich część Anglikom na zasadzie Lend-Lease. W roku tysiąc dziewięćset piętnastym, gdy sprzęt wojenny był znacznie prymitywniejszy niż obecnie, panu Churchillowi udało się wysadzić na brzeg wielkie siły w Gallipoli, o tysiące mil od Anglii. Być może to doświadczenie go zniechęciło. Ale w ostatnich latach Japończycy wysadzili w Chinach armię ponad milionową. Z pewnością ci żołnierze nie przepłynęli o własnych siłach tak zimnego morza. Mam nadzieję, że pan Hopkins użyje swego wielkiego wpływu dla ustanowienia drugiego frontu w Europie już teraz, bo to może decydująco wpłynąć na przebieg wojny z hitlerowcami. Nie mam nic więcej do dodania.

Podczas tłumaczenia dyktator wykończył paru szybkimi kreskami rysunek wilka i zaczął następny, z wyszczerzonymi kłami i zwisającym językiem. Podniósł wzrok na Henry'ego z dziwnie jowialną miną, tak dobrze znaną z jego fotografii i zapytał zmienionym tonem:

- Czy spodobał się panu pobyt u nas? Czy możemy jeszcze coś dla pana zrobić?

- Panie przewodniczący - rzekł Henry - byłem frontowym obserwatorem wojskowym w Niemczech i w Anglii. Pan Hopkins polecił mi, bym udał się na front tutaj, jeśli zdarzy się

okazja i złożył mu specjalne sprawozdanie naocznego świadka.

Na słowo „front” Stalin potrząsnął głową.

- Nie, nie. Naszym obowiązkiem jest zapewnić gościom bezpieczeństwo. W obecnej fazie walk nie jesteśmy w stanie tego zrobić. Gdyby spotkało pana jakieś nieszczęście, pan Hopkins nigdy by nam tego nie wybaczył.

- Pan Hopkins, sir, nie szczędzi własnego zdrowia. Mamy wojnę.

Oczy Stalina nabrały błędnego i dzikiego wyrazu, prawie jak oczy goryla.

- A więc powinien pan wiedzieć, że na froncie dzieje się źle. Niemcy znów próbują go przełamać wielkimi siłami. Wkrótce dla Rosji nadejdą najcięższe godziny od tysiąc osiemset dwunastego roku. Jutro usłyszysz pan o wszystkim. Dlatego właśnie drugi front w tej chwili zdobyłby dla Anglii przyjaźń mego narodu po wsze czasy. - Znów zajął się rysowaniem wilka.

- Biorąc pod uwagę te wiadomości, panie przewodniczący, podziwiam pańską pogodę ducha na dzisiejszym przyjęciu - zauważył Pug poważnym tonem.

Stalin wzruszył szerokimi, spadzistymi ramionami.

- Wojen nie wygrywa się ani ponurym nastrojem, ani brakiem gościnności. No cóż, jeśli pan Hopkins chce, aby znalazł się pan na froncie, musi mieć dostateczne ku temu powody. Zobaczmy, co się da zrobić. Proszę mu przekazać moje podziękowania za list i tytoń. To niezły tytoń, choć przyzwyczałem się do mojego rosyjskiego. I proszę mu przekazać moje zdanie o drugim froncie. Być może pańska wycieczka na nasz front pozwoli wam zrozumieć, jaka to pilna sprawa. Pan Hopkins jest dobrym doradcą waszego wielkiego prezydenta, a ponieważ pan jest jego wysłannikiem, życzę panu wszystkiego najlepszego.

* * *

W czasie nocnej jazdy z Kremla przez zaciemnione miasto obaj Amerykanie nie zamienili ani słowa. Gdy samochód się zatrzymał, odezwał się Pug Henry:

- W takim razie pogadamy sobie jutro. Sądzę, że ci chłopcy odwiozą pana do domu.

- Nie, teraz wysiądę. - Gdy limuzyna odjechała, Slote dotknął ramienia Puga. - Porozmawiajmy tutaj. Byłem kompletnie zaszokowany tym pomysłem wyjazdu na front. Gdyby pan Hopkins znał katastrofalną sytuację, do jakiej Stalin właśnie się przyznał - dyplomacie tak się głos załamał, że musiał odchrząknąć - na pewno cofnąłby takie polecenie.

Noc miała się ku końcowi i choć na lodowato zimnej ulicy było nadal ciemno, Pug widział zarysy bladej twarzy Slote'a pod futrzaną czapką.

- Tu nie zgodzę się z panem. Hopkins to twardziel.

- Ale oni nie puszcza pana na prawdziwy front - upierał się Slote. - Właśnie urządzili wycieczkę dla korespondentów zagranicznych. Trzymali ich daleko za liniami, napychając kawiozem i szampanem. A mimo to Luftwaffe zrobiła nalot na wioskę i prawie ich dopadła.

- Zgoda, ale to się nam może przydarzyć także w Moskwie.

- Ależ po co tam jechać, na miłość boską?! - wrzasnął Slote piskliwym, drżącym głosem. Zniżył ton. - W najlepszym razie ujrzy pan przez kilka godzin maleńki odcinek. Takie zwiedzanie to wielkie ryzyko. Wywoła całą lawinę kłopotów dla ambasady, a także dla Rosjan.

Victor Henry odpalił papierosa od papierosa.

- Posłuchaj pan. Gdy się obejrzy zachowanie dziesięciu ludzi pod ogniem w ciągu paru godzin, można się dowiedzieć całą masę o tym, jakie jest morale armii. Pan Hopkins lubi się nazywać słynnym chłopcem na posyłki. To przesada, ale ja jestem takim chłopcem całkiem nie słynnym. Gdy wykonam to zlecenie, będę miał przynajmniej złudzenie, że zarobiłem na moją pensję. Niech pan wejdzie do mnie na strzemiennego. Mam trochę dobrej szkockiej.

- Nie, dziękuję. Muszę napisać mój raport, a potem postaram się złapać godzinę snu.

- No to uszy do góry. Ja odniosłem wrażenie, że wprawdzie gruba ryba była uprzejma, ale na front mnie nie puszcza.

- Mam nadzieję, że tak będzie. Jak dotąd żaden zagraniczny attache wojskowy nie był na froncie, ani nawet się doń nie zbliżył. No to dzień dobry.

Podczas tej rozmowy niebo stało się fioletowe i Slote przynajmniej widział, dokąd idzie przez śmiertelnie ciche ulice. Sprawilo mu to wielką ulgę, bo przedtem nie raz nabił sobie guza o słup lampy ulicznej albo spadł z krawędzi chodnika w zaciemnionej Moskwie. Zatrzymywały go także patrole z bronią gotową do strzału. W bladym przedświcie i tym razem podeszli do niego patrolujący, przyjrżeli się podejrzliwie i wyminęli bez słowa.

* * *

W mieszkaniu Slote zaparzył kawę na kuchence gazowej i szybko wystukał długie sprawozdanie z bankietu i późniejszego spotkania ze Stalinem. Gdy skończył, odciągnął zasłony zaciemniające. Świeciło słońce. Chwiejąc się na nogach, z zamglonym wzrokiem wyciągnął z szuflady swój pamiętnik i zrobił tam krótki wpis, zakończony następującymi słowami:

Ale oficjalny raport, z którym się właśnie uwinąłem, wystarczająco szczegółowo opisuje spotkanie ze Stalinem, a kopię zachowam dla siebie.

Jeśli idzie o ojca i syna Henrych, to w końcu zagadka rozwiązuje się nader prosto. Odpowiedź znalazłem w ciągu paru ostatnich godzin. Obaj mają zmysł działania i związaną z tym przytomność umysłu. Byron wykazał te cechy w chwili fizycznego zagrożenia. Zapewne jego ojciec zachowałby się tak samo. Ale zobaczyłem, jak działa w znacznie bardziej delikatnych i skomplikowanych sytuacjach, wymagających błyskawicznej orientacji, śmiałości i taktu. Niełatwo zachować przytomność umysłu stawiając czoła takiej osobowości, jak Stalin, który ma aurę jak wielka bryła radu: potężną, niewidzialną i jadowitą. Victor Henry tego dokonał.

Po namyśle mogę zrozumieć, czemu kobiety lubią takich mężczyzn. Człowiek czynu chroni, karmi i jak można przypuścić, zapładnia energiczniej i odpowiedzialniej, niż człowiek myśli. Quod erat demonstrandum.

Zapewne nie można zmienić własnej natury. Ale może można uczyć się i dorastać. Kapitan Henry sugeruje, abym zlekceważył rozkaz i okazał dokumenty mińskie Fredowi Fearingowi albo kilku innym dziennikarzom. Tego rodzaju czyn jest całkowicie niezgodny z moją naturą i wyłącznie z tego powodu mam zamiar go dokonać.

53

W dniu, w którym Victor Henry wchodząc do apartamentu hotelowego oświadczył, że jedzie na front, Gaduła Tudsbury siedział przy samotnym podwieczorku, złożonym z herbaty oraz lekkiego posiłku: szprotek, sera, jesiotra, czarnego chleba i pierników. Na korespondencje zrobiło to takie wrażenie, że przestał jeść.

- Dobry Boże, człowieku, naprawdę? I to w chwili, gdy wszędzie roi się od Niemców. To niemożliwe. To tylko takie gadanie. Chryste, Rosjanie doskonale umieją zbyć każdego gładkimi słówkami. Nigdy tam nie pojedziesz. - Otarł wąsy i sięgnął po kolejną przekąskę.

- Może i tak - odrzekł Pug, zapadając się w fotel i kładąc sobie na kolanach tekę, wypchaną kodami sygnałowymi i planami portów właśnie otrzymanymi z Ministerstwa Żeglugi. W ciągu czterech dni udało mu się pospać z pięć, może sześć godzin. Przed jego oczami pokój chwiał się tam i z powrotem, a kapitan walczył z sennością. - Ale zgoda na to właśnie nadeszła z nader wysoka.

Tudsbury w tym momencie pakował do ust kawałek chleba z całą górą sardynek. Kanapka zawisła w powietrzu. Wpatrzył się w Henry'ego przez okulary grubości dna butelki i odezwał się cichym i spokojnym głosem:

- Pojadę z tobą.

- Cholerę w bok.

- Victor, dwa tygodnie temu, gdy Rosjanie kontratakowali, korespondentów zawieziono na front centralny. W dniu ich odjazdu miałem grypę i smażyłem się w gorączce.

- Tudsbury pochłonął kanapkę, złapał laskę i szybko pokulał przez pokój, by włożyć pelisę i futrzaną czapkę. - Kto to załatwia, Łozowski? Czy mógłbym mu po prostu powiedzieć, że to ty chcesz bym także pojechał? Znam ich wszystkich, a oni mnie kochają. Zgadzasz się?

Victor Henry wcale sobie nie życzył jego towarzystwa, ale był zupełnie wyczerpany, a poza tym przekonany, że Rosjanie odmówią.

- Okay.

- Bóg zapłać, kochany chłopie. Zostań tu, dokończ mój podwieczorek, a Pameli powiedz, że wracam przed szóstą i że ma przepisać na czysto moją audycję.

- Gdzie ona jest?

- Przyszedł do niej list pocztą dyplomatyczną. Poszła po niego.

Pug zasnął w fotelu.

* * *

Zbudził go dotyk chłodnych palców na policzku.

- Witaj. Może lepiej byś się położył? - Pam stała nad nim z twarzą zaróżowioną od mrozu, błyszczącymi oczami i wymykającymi się spod barankowej czapki kosmykami ciemnych włosów.

- Co? A! - Victor zamrugał i przeciągnął się. - Co ja tu robię? Chyba wszedłem i straciłem przytomność.

- Gdzie Gaduła? - Pamela zdjęła czapkę i rękawiczki. - Zostawił herbatę? To do niego niepodobne.

Henry otrząsnął się z sennej mgły. Przypomniał sobie rozmowę z Tudsburym i opowiedział ją Pameli. Jej twarz zmartwiała.

- Front? Nigdy go tam nie puszcza. Ale ty? Victor, mówisz serio? Czy słuchałeś BBC albo Radia Szwedzkiego?

- Tak.

- No, tak. Znam cię zbyt dobrze, by się spierać, ale... Powiem ci tyle, że nasza ambasada przygotowuje się do ewakuacji na Ural czy gdzieś tam. Aha, z Tedem wszystko w porządku. - Nie zdejmując płaszcza podeszła do biurka i wzięła do ręki żółty maszynopis. - Jasna cholera, znowu zmiany. Zawracanie głowy!

Pug już się nauczył, że Pamela od czasu do czasu wybucha jak szrapnel, ale tym

razem tak szybko się opanowała, że nawet nie był pewien, czy dobrze ją usłyszał.

- Pamela, co się zdarzyło? Co z Tedem?

- Dobrze. A przynajmniej jest bezpieczny.

- Ale gdzie on jest?

- Ach, z powrotem w starej Anglii. Według tego co pisze, mało co zużyty. Ostatecznie udało mu się zwiać, jemu i czterem francuskim lotnikom, z obozu jeńców pod Strasburgiem. Miał niemało przygód we Francji i Belgii, wprost filmowych. Ale dał sobie radę. Byłam pewna, że prędzej czy później mu się uda. - Usiadła i zdjęła pokrywę z maszyny do pisania.

- Mój Boże, dziewczyno, ależ to fantastyczna nowina.

- Tak, nieprawdaż? Musisz przeczytać jego list. Siedem kartek dwustronnie zapisanych i zgoła zabawnych. Stracił dziewiętnaście kilo i ciągle ma pocisk w udzie, a ściślej mówiąc, w tyłku. Całkiem się ustatkował i weźmie siedzące zajęcie, oczywiście, jak dodał ze smutkiem, gdy już będzie mógł siadać na krześle. A to wszystko znaczy oczywiście, że mam wracać natychmiast do kraju i wyjść za niego za mąż. - Pamela przerwała swoją dość bezceremonialną przemowę, rzuciła Victorowi długie spojrzenie i włożyła okulary w czarnej oprawce. - Lepiej będzie, jak się wezmę za robotę. A tobie wyraźnie potrzeba trochę snu.

- Nic z tego. Misja zaraz odjeżdża. Muszę ich pożegnać. Pam, to wielka radość z Tedem. Ucieszyłem się i bardzo mi ulżyło.

Rozcierając palce i chuchając na nie, Pamela odrzekła:

- Boże, w tej chwili naprawdę byłaby to jakaś ulga, co? Mam na myśli uwolnienie się od rękopisów Gaduły i jego optymistycznego bełkotu.

W chwilę później, właśnie gdy kapitan nakładał ciężki marynarski płaszcz, wpadł Tudsbury z rozplomioną twarzą i nosem posiniałym od mrozu.

- „Możet byt!„. Na Boga, dostałem pozytywną odpowiedź! Jutro ją mają ostatecznie potwierdzić, ale wszystko wskazuje, Victor, że jadę z tobą. Pam, skończyłaś? Bo już mój czas się zbliża. Narkomindiel wygląda jak dom wariatów. Wiadomości z frontu muszą być naprawdę złe, ale na Boga, Victor, to twoje zezwolenie, skądkolwiek nadeszło, działa jak magiczne zaklęcie! Oczywiście oni mnie uwielbiają i wiedzą, że należy mi się taka wycieczka, ale jaką minę miał Łozowski, gdy mu powiedziałem, że ty żądasz, bym ci towarzyszył!

- Gaduło! - Pamela przestała pisać i rzuciła ojcu miażdżące spojrzenie. - Victor wcale tego nie żądał. To było kłamstwo.

- Pam, z tymi ludźmi można rozmawiać tylko z grubą pałką - odrzekł Tudsbury z chytrym uśmiechem. - Powiedziałem, i to jest prawda, że wy dwoje jesteście starymi

przyjaciółmi, że Victor naprawdę bardzo cię lubi i dlatego chce mi wyświadczyć tę przysługę. A więc, jeśli będzie ku temu okazja, potwierdź moją opowiastkę.

- Ty stary łotrze bez sumienia - rzekła zaczerwieniona jak piwonia Pamela.

- Prawdę powiedziawszy on wcale nie skłamał - zauważył Victor Henry. - Teraz już muszę wyruszać na lotnisko. Gaduło, Pamela ma wspaniałe nowiny.

* * *

Ale wmieszanie się Tudsbury'ego przyhamowało wycieczkę. Narkomindiel - Ministerstwo Spraw Zagranicznych - mrucało, chrząkało i wymigiwało się. Płynęły dni. Pug ugrzązł w Moskwie bez żadnego zajęcia. Ambasador i attache traktowali go chłodno i z dystansem, bo przecież Victor Henry był dla nich dopustem bożym, zarazą zesłaną przez Departament Stanu z Waszyngtonu. Kiedyś Henry wpadł do gabinetu Slot'e'a i zastał dyplomatę bladego, znękanego i co chwila wybuchającego bezsensownym chichotem.

- Cóż tu robi moja synowa na pańskim biurku? - spytał.

Stało tam w srebrnej ramce zdjęcie Natalii. Wyglądała na nim młodsza i pełniejsza na twarzy, z włosami związanymi w nietwarzowy węzeł.

- A? Tak, to Natalia - zaśmiał się Slot'e. - Czy sądzi pan, że Byron miałby coś przeciw temu? Podarowała mi to wieki temu, a ja ją nadal bardzo lubię. I co z pana wycieczką? Niedaleko pan pojedzie przy tempie, w jakim Niemcy się tutaj zbliżają, hi, hi.

- Bóg jeden wie - odrzekł Pug zauważywszy, że jego rozmówca kiepsko wygląda. - Może ją w ogóle odwołają.

* * *

Okazało się wreszcie, że główny problem stanowi Pamela. Jej ojciec domagał się, by mu towarzyszyła, powołując się na to, że bez niej jest całkiem bezradny. Później wycofał swą prośbę. Ale Narkomindiel już wrzucił wszystkie trzy nazwiska do wnętrza wielkiej, tajemniczej maszyny zajmującej się tą sprawą i nie dało się wrócić do punktu wyjścia. Gdy pojawiał się lub telefonował Pug, dobry humor Łozowskiego zaczynał wędznąć.

- Drogi kapitanie Henry, odpowiedź usłyszysz pan we właściwej porze. W tej chwili Związek Radziecki ma też inne, równie pilne problemy.

W rezultacie Pug włóczył się po ulicach, przyglądając się zmianom, jakie zaszły w Moskwie. Nowe, czarno-czerwone plakaty wielkim głosem wołały o ochotników, ukazując na prymitywnych, wyrazistych, typowych dla socjalistycznej propagandy rysunkach młodych, muskularnych robotników i młode chłopki, wymachujących bagnetami w obronie przed pajakami, zmijami lub hienami z twarzą Hitlera. Tu i tam maszerowały nierównym krokiem

bataliony robocze ze szpadlami i kilofami na ramionach; przelatywały przez miasto wielkie ciężarówki wypełnione dziećmi; pomimo ulewnych, całodziennych deszczów przed sklepami spożywczymi stały długie kolejki. Zniknęli z ulic żołnierze i konne zaprzęgi. Blade twarze ludzi o wysokich kościach policzkowych, kłębiących się na ulicach w przemoczonych czapkach i chustach, zmieniły wyraz. Słowiańska obojętność gdzieś przepadła, pojawiły się zmarszczone brwi, badawcze spojrzenia i przyspieszone kroki. Victor Henry pomyślał, że zbliżanie się Niemców upodobniło tłumy moskiewskie do nowojorskich.

Wreszcie Łozowski zadzwonił do Victora do hotelu. Wesołym głosem zapytał:

- A więc, kapitanie, czy odpowiada panu termin jutro o świcie? Proszę uprzejmie zgłosić się w Narkomindiele w ciepłej odzieży, płaszczu nieprzemakalnym, dobrych butach i być gotowym do wyjazdu na trzy lub cztery dni.

- W porządku. Czy dziewczyna też jedzie?

- Oczywiście. - W głosie Łozowskiego zadźwięczał ton zdziwienia i lekkiej urazy. - Cały problem na tym polegał. Niełatwo było go rozwiązać ściśle według pana życzeń. Dla naszych rosyjskich dziewczyn znaleźć się w boju to sprawa oczywista. Ale wiemy, że zagraniczne panie są znacznie mniej odporne. Lecz wszyscy znamy miss Tudsbury, to piękna kobieta i można zrozumieć tak gorącą przyjaźń. Wszystko załatwione.

Victor Henry zdecydował zignorować kpiący, a nawet lubieżny ton głosu Łozowskiego i nie próbował wyjaśnić. Odrzekł krótko:

- Jestem wdzięczny. Stawię się punktualnie.

* * *

Wyjechali z Moskwy w kierunku południowym wśród deszczu i przez cały ranek wlekli się w kolumnach wojskowych ciężarówek. Zatrzymali się tylko, by złożyć wizytę na zdumiewająco dobrze zakamuflowanym lotnisku myśliwców przechwytyjących, w lesie tuż u wrót stolicy. Ciasno było w rosyjskim „M-1”, czarnym samochodziku, uderzająco podobnym z wyglądu i dźwięku silnika do forda z tysiąc dziewięćset trzydziestego roku. Do tego podłogę zajęły pakunki i pudła o nieznanym przeznaczeniu. Gdy już przejechali około stu mil ich przewodnik, pułkownik czołgista o łagodnej twarzy, w okularach, noszący dziwaczne nazwisko Porfirija Amfiteatrowa, zaproponował przerwę na lunch i wyprostowanie nóg. Wtedy właśnie po raz pierwszy usłyszeli niemieckie armaty.

Kierowca, milczący, krzepki żołnierz z krótką rudą brodą, skręcił w boczną drogę wysadzaną starymi drzewami. Wiła się wśród uprzątniętych pól i brzoźowych zagajników, ukazując w oddali dwa białe wiejskie dwory, a kończyła cienistą ścieżką, która zniknęła w

dzikim lesie. Tu wysiedli, a pułkownik poprowadził ich wąską drożynką do niewysokiego trawiastego pagórka pod drzewami, na którym leżały wieńce świeżych kwiatów.

- Jesteśmy w posiadłości wiejskiej Tołstoja, wie pan, w Jasnej Polanie - powiedział Amfiteatrow. - To jest jego grób. Ponieważ mieliśmy po drodze, pomyślałem sobie, że może to państwa zainteresować.

Tudsbury przyjrzał się niskiemu kopcowi i spytał niezwykle, jak na niego, przyciszonym głosem:

- Grób Tołstoja? Bez nagrobka? Bez kamienia?

- Tak zarządził. „Złóżcie mnie w ziemi” - powiedział - „w lasach, gdzie bawiłem się z moim bratem Mikołajem, gdy byliśmy chłopcami...” - Basowy głos Amfiteatrowa brzmiał ostro i głośno na tle plusku kropli deszczu, spływających po żółtych liściach.

Victor Henry przechylił głowę na ramię i spojrzał na pułkownika, bo usłyszał nowy dźwięk: ciche, nieregularne grzmoty, nie głośniejsze niż plusk deszczu w trawie. Pułkownik skinął głową.

- Widzi pan, gdy wiatr wieje z tamtej strony, dźwięk niesie się daleko.

- O, armaty? - spytał Tudsbury, siłąc się na spokój.

- Tak, armaty. To może coś przegryziemy? Dom, gdzie Tołstoj pracował jest ciekawy, ale obecnie niedostępny dla publiczności.

Trochę dalej niż kurhanek nagrobny stały ławki, gdzie brodaty szofer przyniósł im lunch, złożony z razowego chleba, świeżych ogórków, mocno czosnkowej kielbasy i ciepłego piwa. Padał drobny deszczyk, wojskowe ciężarówki pomrukiwały na szosie, a odległe działa cicho huczały. Milczenie przerwała Pamela.

- Kto tu składa kwiaty?

- Dozorcy, jak sądzę - odrzekł pułkownik.

- Niemcy nigdy nie powinni tu dotrzeć - powiedziała.

- To natchniona myśl - skomentował pułkownik. - Osobiście nie przypuszczam, by dotarli, ale Jasna Polana nie jest ufortyfikowana, więc wielki Tołstoj musi teraz ponosić takie samo ryzyko, jak wszyscy Rosjanie. - Uśmiechnął się ukazując czerwone dziąsła, a ten uśmiech nie był bynajmniej łagodny. - W każdym razie Niemcy nie mogą go zamordować.

- Powinni byli czytać nieco uważniej jego dzieła - dodał Tudsbury.

- To jeszcze musimy im udowodnić. Ale na pewno tak zrobimy.

Na chwilę wyjrzało słońce i zaczęły śpiewać ptaki. Victor Henry i Pamela Tudsbury siedzieli obok siebie na ławce. Przez pożółkłe liście przebił się słup światła i padł na dziewczynę jak teatralny reflektor. Ubrana była w szare spodnie, wpuszczone w futrzane białe

buty śniegowe oraz palto i czapkę z szarego baranka.

- Czemu tak na mnie patrzysz, Victor?

- Pam, nigdy nie byłem na grobie Tolstoja, a już na pewno nie z tobą, ale przysięgam, że pamiętam to wszystko, a już najbardziej jak ładnie nosisz na bakier tę czapkę. - Gdy podniosła rękę do nakrycia głowy dodał: - I mogłem ci z góry powiedzieć, że podniesiesz rękę, a twój pierścionek błysnie w słońcu.

Wyprostowała sztywno palce, patrząc na brylant.

- Na ten temat Ted i ja posprzeczaaliśmy się trochę. Gdy się z tym pokazał, wcale nie byłam pewna, czy chcę to nosić.

- Kapitanie - zawołał pułkownik - może już pojedziemy?

* * *

Wepchnąwszy się w gęstniejący strumień pojazdów na szosie, czarny samochodzik potoczył się w kierunku ognia artyleryjskiego. Szosę wypełniały ciężarówki, jedne podążały w stronę frontu, drugie stamtąd powracały. Zarośnięci mężczyźni i krzepkie, ogorzałe kobiety pracujący na polach przedzielanych pasami brzozowych lasów, nie zwracali uwagi na ruch samochodowy. Także dzieci, zabawiające się blisko szosy, nie interesowały się wojskowymi pojazdami. W małych wioseczkach, przed chatami z bali i drewnianymi domami o ramach okiennych malowanych w wesołe kolory, suszyło się pranie. Victora Henry uderzyło, że im dalej od Moskwy, a bliżej frontu, tym Rosja miała bardziej pokojowy i normalny wygląd. Opuszczona przez nich tego ranka stolica pogrążona była w lęklwym pośpiechu. Tuż na jej skraju bataliony kobiet, chłopców i wychudłych mężczyzn w okularach: drobnych urzędników, nauczycieli i dziennikarzy, gorączkowo kopały rowy przeciwczołgowe i wkopywały dziesiątki tysięcy stalowych i betonowych przeszkód. Ale za tym pasem obronnym zaczynały się pełne spokoju lasy i pola, których jesienne barwy kontrastowały z zielenią drzew iglastych. W gruncie rzeczy tylko schrony przeciwlotnicze dla ciężarówek - wycięte wśród drzew polanki, zamaskowane wiecznie zielonymi gałęziami - przypominały, że trwa najazd.

Pod wieczór samochód wjechał do miasteczka i zatrzymał się na błotnistym placu przed żółtym drewnianym domem. Przy pompie stały w kolejce rumiane dzieci z wiadrami, z kominów wznosiły się słupy dymu; inne dzieci zaganiały do zagród krowy i kozy. Ogromne pola ciągnęły się płasko i szeroko pod czerwieniejącym, pochmurnym niebem, a trzech potężnych starców trudziło się z młotami i piłami nad budową nowego, drewnianego domu. Był to, najdziwniejszy ze wszystkich ujrzanych tego dnia przez Puga widok: trzej wiekowi

Rosjanie budujący o zmroku dom tutaj, gdzie odgłosy strzałów nie tylko dolatywały znacznie głośniejsz niż w posiadłości Tolstoja, ale jeszcze na zachodnim horyzoncie jak letnie błyskawice, migotały żółte błyski niemieckiej artylerii.

- To przecież ich kraj - odrzekł pułkownik na zdziwienie wyrażone przez Victora, gdy zeszywniali wysiadali z samochodu. - A gdzież by mieli pójść? Zatrzymamy tu Niemców. Oczywiście kobiety w ciąży i matki z dziećmi wywieźliśmy już dawno.

* * *

W domu mieściło się obecnie dowództwo pułku. W małej, dobrze ogrzanej jadalni zgromadzili się przy stole goście, pułkownik czołgów, czterech oficerów pułku oraz generał Jewlenko, który na mocnych szerokich ramionach miał trzy gwiazdy z zielonego sukna. Był szefem sztabu grupy armii na tym odcinku, a pułkownik Amfiteatrow poinformował Puga, że właśnie przejeżdżał przez miasto. Ten blondyn z perkatym, chłopskim nosem i ciężkimi, gładko do różowości wygolonymi ogromnymi szczękami był tak potężnie zbudowany, że zdawało się, iż swoją osobą wypełnia koniec wąskiego, zadymionego pokoju. Tak się zainteresował Pamelą, że bez przerwy kierował pod jej adresem szarmanckie komplementy i namawiał do jedzenia i picia. Ale od czasu do czasu jego mięsista twarz przybierała nieobecny, pełen zmęczenia wyraz głębokiego smutku i choć zmuszał się do okazywania wesołości, oczy miał zapadnięte, otoczone fioletowymi obwódkami.

Nastąpiła uczta w niemal kremlowskim stylu. Na grubym żółtym obrusie żołnierze stawiali kolejno: szampan, kawior, wędzone ryby, zupę, drób, steki i ciastka z kremem. Tajemnica tej sztuki magicznej wydała się, gdy Victor Henry przelotnie zajrzał do kuchni, której drzwi uchylił na chwilę żołnierz-kelner. Przy kuchni, w białym fartuchu, trudził się rudobrody kierowca ich „M-1”, a przed chwilą Pug widział go niosącego tam pudełka z samochodu. Okazało się, że w rzeczywistości był kucharzem i to wspaniałym.

Generał bez skrępowania opowiadał o sytuacji wojennej, a pułkownik tłumaczył. Na tym odcinku Niemcy mieli przewagę liczebną nad jego armią, także w czołgach i armatach. Niemniej Szkopów spotka niespodzianka. Rosjanie trzymają tu odcinek, który zgodnie z doktryną wojenną jest o wiele za długi, jak na ich siły. Ale dobra doktryna, podobnie jak dobry pułk, może być czasami rozciągliwa. Niemcy ponoszą straszliwe straty. Generał sypnął wysokimi liczbami zniszczonych czołgów, zdobytych armat i zabitych nieprzyjaciół. Każda armia może iść do przodu, jeśli jej dowódcy zdecydują się, by każdy jard zdobytego terenu zalać własną krwią. Ale wpływ niemieckiej krwi jest taki, że są już od tego biali jak papier. Ten atak, to już ich ostatni wielki wysiłek, by wygrać wojnę przed nadejściem zimy.

- Czy zdobędą Moskwę? - spytał Tudsbury.

- Z tego kierunku nie - odparł generał. - I nie sądzę, by z któregokolwiek innego. Ale gdyby nawet ją zdobyli, to i tak wypędzimy ich z Moskwy, a potem z naszego kraju. Pobjemy ich. Niemcy nie znają polityki strategicznej. Ich pojęcie o niej, to zabijać, rabować i brać niewolników. W dzisiejszych czasach, w obecnej epoce, to żadna polityka strategiczna. Ponadto ich zasoby są w decydującej mierze niższe niż nasze. Niemcy to ubogi kraj. Na koniec przeceniają siebie, a nie doceniają nas. Według Lenina, przy prowadzeniu wojny to bardzo niebezpieczny błąd. W wojnie, powiedział Lenin, bardzo niebezpiecznie jest mieć nazbyt wysokie mniemanie o sobie i zbyt niskie o przeciwniku. Jedynym tego wynikiem mogą być niewłaściwie pomyślane plany i bardzo niemiłe niespodzianki, jak na przykład przegrana.

- Ale przecież doszli tak daleko - zauważyła Pamela.

Wielka twarz generała w mgnieniu oka przybrała groźny, przerażająco brutalny wyraz straszliwej złości, choć przebijało przez nią okropne wyczerpanie. Zwrócił się do Pameli i nagle jego złość rozplynęła się w kokieteryjnym uśmiechu.

- Tak, moja miła pani. I widzę, że mówi to pani bez złej intencji i tak samo jak my ocenia pani to, co się wydarzyło. Tak, nazistom z ich niebywałą perfidią udało się nas zaskoczyć. I jeszcze coś. Są zarozumiali, przyszli tu dumni i pewni, że nikt im się nie oprze. Wygrawszy już wiele kampanii, wrzuciwszy we Francji niezwycięzonych Brytyjczyków do morza i tak dalej, uważają się za zawodowych zwycięzców. Wierzą, że nie można ich pobić. Ale sądzę, że widząc jak ich koledzy giną w Rosji jak muchy, zaczynają wątpić. Początkowo wkraczali do naszego kraju po szosach, kolumnami, nie troszcząc się nawet o osłonę skrzydeł. Później stali się ostrożniejsi. Owszem, Hitler ich wyszkolił w płądrowaniu, zabijaniu i rabunku. To zresztą stare teutońskie zwyczaje, więc dobrze to umieją. My jesteśmy narodem miłującym pokój, dlatego, jak sądzę, zaskoczyli nas nieprzygotowanych psychicznie. I dlatego, jak pani powiedziała, doszli tak daleko. Teraz mamy dwa zadania: nie pozwolić im iść dalej, a następnie odesłać ich tam, skąd przyszli. Oczywiście tych, których wcześniej nie wdepczemy w nasze błoto. - Zwrócił się do kapitana i do korespondenta. - Oczywiście zrobilibyśmy to szybciej, gdybyście wspomogli nas zaopatrzeniem, bo straciliśmy go wiele. Ale ponad wszystko do szybkiego zgniecenia tych szczurów może przyczynić się otwarcie drugiego frontu w Europie. Anglicy naprawdę by się zdziwili stwierdziwszy, że gdy raz postawią nogę na francuskiej ziemi, mogą maszerować prosto do Berlina. Jestem zdania, że każdy Niemiec, który potrafi utrzymać w rękach karabin, został posłany do tego ataku.

- Nie miałem ani jednej audycji, w której bym się nie domagał drugiego frontu

natychmiast - oświadczył Tudsbury.

Generał skinął głową. - Jest pan dobrze znany i szanowany jako przyjaciel narodu rosyjskiego. - Spojrzał na Victora Henry'ego. - A pan, kapitanie, co chciałby pan obejrzeć? Niestety, tak daleko w głębi lądu nie jesteśmy w stanie pokazać panu zadowalających manewrów morskich.

- Generale, a gdyby... oczywiście to absurd, ale ... gdyby mój prezydent chciał odwiedzić pański front w czapce niewidce z bajki?

- My też mamy takie bajki - rzekł Jewlenko - ale niestety nie mamy takich czapek.

- Co wówczas chciałby mu pan pokazać?

Generał spojrzął na czterech, siedzących ramię w ramię przy stole oficerów. W identycznych brązowych mundurach, paląc bezustannie papierosy, czwórka kędzierzawych, białych Rosjan z bystrymi, zmęczonymi oczami, wyglądała jak czworaczki. Do tej pory żaden nie odezwał się ani słowem. Generał zwrócił się do nich i potoczyła się błyskawiczna wymiana rosyjskich zdań. Ponownie zwrócił się do Henry'ego:

- Dobrze pan postawił sprawę. Da się zrobić. Ponieważ sytuacja jest trochę płynna, proponuję, by państwo wyruszyli o świcie. Dla pani opróżniono pokój na piętrze, panowie mają nocleg z tymi oficerami.

- Na miły Bóg, sypialnia? Byłam przygotowana na nocleg w ubraniu na podłodze albo na ziemi - powiedziała Pamela. - A poza tym wcale nie jestem śpiącą.

Gdy pułkownik przetłumaczył, Jewlence rozjaśniła się twarz.

- Naprawdę? Mówi pani jak jedna z naszych, rosyjskich dziewczyn, a nie jak delikatna Angielka. - Podając jej ramię poprowadził wszystkich do drugiego pokoju, gdzie na ścianach wisiały zniszczone, pokreślone mapy, a wiejskie meble domowe stały pomieszane z biurkami, stołkami, maszynami do pisania i wijącymi się czarnymi kablami telefonicznymi. Żołnierze zepchnęli skrzypiące meble w kąt, opróżniając przestrzeń wokół zniszczonego pianina z klawiszami obdartymi do gołego drewna. Usiadł przy nim oficer ze zwisającym z kąca ust papierosem i grzmotnął w klawisze, grając „Zawsze istnieć będzie Anglia”. Pamela, rozpoznawszy melodię, zaśmiała się i wstawszy odśpiewała hymn. Za wzorem generała wszyscy zaczęli klaskać, po czym podano znowu szampana. Pianista niezdarnie zaczął wygrywać „Alexander's Ragtime Band”. Z niskim, eleganckim ukłonem generał poprosił Pam do tańca. Stanowili zabawną parę, bo przerastał ją o głowę i ramiona, kręcąc się sztywno w fokstrocie na wąskim kawałku wolnej podłogi, w ciężkich zabłoconych butach. Ale twarz Jewlenki promieniowała zadowoleniem. Potem Pamela tańczyła z innymi oficerami, znowu z generałem, pianista zaś wygrywał kilka znanych mu amerykańskich melodii, by wreszcie

ponownie odegrać „Alexander's Ragtime Band”. Wszyscy obecni wleli już w siebie dużo szampana i wódki. W drzwiach tłoczyli się żołnierze, z szeroko otwartymi, rozbawionymi oczami, przyglądając się, jak cudzoziemska pani tańczy i pije z ich oficerami. Pug wiedział, że Pamela nie znosi tańczyć, a już szczególnie z obcymi. Przypomniawszy sobie pierwsze chyba słowa, jakie od niej usłyszał na pokładzie „Bremen”: - Powinnam chodzić z laską i w siwej peruce. - Ale tutaj dzielnie sobie poczynała.

Pianista przeszedł do melodii rosyjskich, co robił znacznie lepiej. Pamela padła na krzesło, a oficerowie zaczęli tańczyć pojedynczo lub ze sobą. Śmiano się i bito brawa jeszcze głośniej. Przystojny młody żołnierz z tygodniowym zarostem skoczył na środek pokoju i wykonał brawurowe solo, odbijając się lekko od ziemi w podskokach, przysiadając, robiąc obroty, aż na koniec w podziękowaniu za aplauz skłonił się z gracją zawodowego artysty baletu. Generał podniósł się z miejsca i też zaczął solowy taniec, wirując i podskakując. Wreszcie założył ręce na piersi i w przysiadach zaczął wysoko podrzucać nogi, wykrzykując ochryple: - Skorciej! Skorciej! Od jego ciężkich skoków drżała podłoga. Żołnierze wpadli do pokoju otaczając go kołem i wiwatując. Śmierdziało brudnymi męskimi ciałami, dymem papierosowym i alkoholem, ale przyciśnięty do Pameli Victor Henry czuł także lekki aromat jej goździkowych perfum. Gdy ciężko dyszący generał Jewlenko zakończył występ okrzykiem i wysokim podskokiem, mężczyźni ryknęli i zaczęli bić w dłonie, a Pamela nagrodziła go pocałunkiem w czerwony spocony policzek. Generał serdecznie pocałował ją w usta, co wywołało jeszcze więcej śmiechów i ryków. To był koniec zabawy. Generał odjechał. Żołnierze ustawili meble na miejscach. Goście poszli spać.

54

O świcie lało jak z cebra. W bladym, sinym świetle, po całym placu włościły się dzieci i zwierzęta, a ciężarówki chlapały, ślizgały się i buksowały w miejscu, wyrzucając w górę fontanny błota. Z tyłu samochodu zrobiło się luźniej, bo zjedzono i wypito zawartość wielu pakunków. Victor Henry pomyślał, czy by nie pogratulować siedzącemu za kierownicą mistrzowi patelni, ale zdecydował tego nie robić. Wciśniętej między ojca i Puga Pameli udało się użyć rano szminki do warg i kredki do oczu. Pug pomyślał, że w tym otoczeniu dziewczyna wygląda jak gwiazda filmowa, odwiedzająca oddziały wojskowe.

- No, to ruszamy - oświadczył Amfiteatrow. - Przy takiej pogodzie pojedziemy wolniej i nie tak daleko. - Przez jakieś sto jardów samochód podskakiwał i ślizgał się, po czym utknął w błocie. - Oczywiście mam nadzieję, że dalej, niż w tej chwili - dodał

pułkownik.

Samochód otoczyli żołnierze w ciężkich płaszczach. Pokrzykując i popychając uwolnili wóz. Koła chwyciły twardszą ziemię i samochód chlapiąc, kiwając się i wpadając w poślizgi wytoczył się z miasta. Przejechali odcinek asfaltowej szosy wśród pól, skręcili w stronę lasu wąską, błotnistą drogą. Kucharz kierował dobrze (albo kierowca dobrze kucharzył - Pugowi nigdy nie udało się ustalić, jak było naprawdę) i przez prawie dwadzieścia minut udawało mu się przeprowadzać wóz przez straszliwe wyboje, kopce i koleiny, po czym zatrzymał się na dobre. Pug, kierowca i pułkownik wysiedli. Tylne koła zapadły się po osie w lepkie, czerwone błoto. I ciągle lał deszcz. Ugrzęźli wśród dzikich lasów, w takiej ciszy, że krople deszczu padające na maskę samochodu parowały z sykiem.

- Mam nadzieję, że szofer ma łopatę - mruknął Pug.

- Tak, ja także - odrzekł rozglądając się pułkownik.

Zanim wziął się za robotę, poszedł na skraj lasu, by sobie ulżyć, jak przypuszczał Pug. Po chwili Victor usłyszał głosy, a potem chrapliwe sapanie silnika. Poruszyły się krzaki. Z zarośli wynurzył się lekki czołg przykryty gałęziami, z armatą wymierzoną prosto w Puga. Za nim szedł pułkownik i trzech ludzi w zabłoconych szynelach. Amerykanin przed chwilą spoglądał prosto na pokrytą pstrym kamuflażem lufę, a przecież jej nie zauważył, póki się nie poruszyła. Czołg parszając wyjechał spomiędzy drzew, zatoczył łuk i tyłem wjechał na drogę. Żołnierze szybko zaczęli łańcuch i w jednej chwili samochód wyciągnięto wraz z pasażerami. Otworzyła się, obwieszona zielenią wieżyczka i ukazały się dwie nie ogolone, chłopięce słowiańskie twarze. Pamela wyskoczyła z wozu, chlapiąc i potykając się podbiegła do czołgu i ku ich przyjemnemu zaskoczeniu ucałowała obu. Właz zamknął się, czołg wycofał na dawne miejsce w lesie, a czarny samochód chwiejnie zagłębił się w las. W ten sposób utykali i byli ratowani wielokrotnie i w ten też sposób odkryli, że ciche, mokre lasy roją się od oddziałów Armii Czerwonej.

Dotarli do miejsca, gdzie droga była tak podmyta, że przecinał ją pełen wody jar. Obie jego strony były poznaczone śladami gaśienic i opon terenowych ciężarówek, ale jasne było, że ich auto w żaden sposób się nie przedostanie. Tutaj z lasu znów wynurzyli się żołnierze i przez wyrwę przerzucili rozpołowione pniaki, gładką stroną do góry, wiążąc je w chwiejny, ale zupełnie wystarczający mostek. Był to dość liczny oddział, a jego dowódca, gruby, zezowaty porucznik, zaprosił podróżnych, by się zatrzymali i posilili. Nie odróżniał się niczym od swoich żołnierzy prócz tego, że on rozkazywał, a oni słuchali. Wszyscy byli jednakowo ubrani i jednakowo oblepieni czerwoną ziemią. Poprowadził gości przez las, a potem do lodowatego, błotnisteo schronu przykrytego pniami drzew i tak dobrze

zamaskowanego krzakami i zaroślami, że Henry nie zauważył wejścia do chwili, gdy oficer zaczął zapadać się pod ziemię.

Schron był w rzeczywistości podziemną chatą ze smołowanych bali, pełną kabli telefonicznych, oświetloną lampą oliwną i ogrzewaną starym żelaznym piecykiem, w którym palono pociętymi gałęziami. Oficer, z dumą zezując na mosiężny samowar na stole z surowych desek, zaproponował im herbatę. Podczas gdy woda się gotowała, żołnierz zaprowadził mężczyzn do latryny tak prymitywnej i śmierdzącej - choć Tudsbury i Rosjanie chętnie z niej skorzystali, że Pug wołał potykając się zrobić kilka kroków między drzewa, jedynie po to, by zostać zatrzymanym przez wartownika, który pojawił się jak leśny duch. Gdy Amerykanin oddawał dług naturze, żołnierz go pilnował, patrząc z pewnym zainteresowaniem jak to robi cudzoziemiec. Wracając do schronu Pug napotkał trzech wysokich Rosjan, którzy z obojętnymi minami maszerowali otaczając Pamelę z bagnietami na broni, dziewczyna zaś wyglądała na lekko zakłopotaną, choć rozbawioną.

Nim odjechali, porucznik pokazał Pugowi i Tudsbury'emu żołnierskie ziemianki, wyraźnie dumny z dokonań swoich ludzi. Te świeżo wykopane w wilgotnej ziemi, wyłożone gliną z piaskiem dziury o zapachu grobów, przykryte były grubymi stropami z darni, ułożonej na drewnianych balach, zdolnymi wytrzymać bezpośrednie trafienie pocisku armatniego, a ubłoceni, nie ogoleni żołnierze, skuleni w półmroku w swych szynelach robili wrażenie, że rozmowy, palenie papierosów i oczekiwanie na rozkazy zupełnie ich zadowala. Kilku pożywiało się, odłamując kawałki z bochnów szarego chleba i wyławiając kawały duszonego mięsa z zabłoconego kotła, wlezonego przez dwóch zabłoconych żołnierzy. Żując chleb, pociągając papierosy, ludzie ci ze spokojem spoglądali na gości idących okopami i ze spokojem odwracali za nimi głowy. Zdrowo wyglądający, dobrze odżywieni, wyglądali w czerwonej ziemi tak jak u siebie w domu, jak by byli dżdżownicami i prawie że podobni byli do tej formy życia swoją odpornością, liczebnością i małymi wymaganiami. Tutaj po raz pierwszy w Victorze Henrym zrodziło się niezłomne przekonanie, że Jewlenko powiedział prawdę: Niemcy mogą odnieść największe zwycięstwa, ale z czasem Armia Czerwona ich wypędzi.

- O bogowie - wyjąkał Tudsbury w drodze powrotnej do samochodu - Belgia w tysiąc dziewięćset piętnastym roku to było nic. Ci ludzie żyją jak zwierzęta.

- Potrafią - odrzekł Henry i zamilkł, widząc jak Amfiteatrow nie spuszcza ich z oka podczas tej krótkiej wymiany szeptów na boku.

- Prawdę powiedziawszy jesteśmy niedaleko miejsca przeznaczenia - oświadczył Rosjanin ocierając z twarzy krople deszczu i pomagając wsiąść Pamelę. - Gdyby nie błoto, już

byśmy tam byli.

Wóz podskoczył i wysunął się z lasu. Przed nimi na całe mile ciągnęły się zżęte pola, płaskie jak stół pod szarymi, niskimi chmurami.

- Tam jedziemy - wskazał Amfiteatrow na leżącą prosto przed nimi daleką linię lasu. Dotarli do skrzyżowania błotnistych dróg tak zbełtanego, jak gotująca się woda. I chociaż droga przed nimi wydawała się w dobrym stanie, kierowca ostro zakreślił w prawo.

- Czemu nie jedziemy prosto? - spytała Pamela. - Czy to nie jest dobra droga?

- O, tak. Całkiem dobra. Jest zaminowana. Cały ten obszar - pułkownik szerokim gestem ogarnął spokojne ścierniska - jest zaminowany.

- Dobrze wiedzieć, gdy się wyrusza w podróż - zauważył Pug, nieco zmrożony wiadomością.

Amfiteatrow obdarzył go swym rzadkim, wilczym uśmiechem, ukazującym czerwone dziąsła i otarł kroplę deszczu z posiniałego nosa.

- Ma pan rację, kapitanie. Pański przewodnik z „Inturist” w tej okolicy naprawdę musiałby się orientować co jest czym. W przeciwnym razie miałoby to zły wpływ na pana zdrowie.

Samochód podskakiwał w rzadkim błocie, które deszcz jeszcze bardziej rozrzedzał, aż wreszcie utknął wszystkimi czterema kołami w bagnie i zatrzymał się wśród ciągnącej się aż za horyzont żółtej ścierni. Ratownicy nie pojawili się. Nie było to możliwe, chyba że wstaliby spod ziemi, choć Pugowi przyszło do głowy, że i to jest możliwe. Kierowca odkopał koła szpadlem i podłożył pod tył deski. Gdy pasażerowie dla odciążenia wozu wysiedli, Amfiteatrow ostrzegł ich, by się nie ruszali poza szlak, bo pod ścierniskiem wszędzie zakopane są miny. Oblewając ich prysznicem z błota i odłamków desek, samochód wyrwał się z pułapki. Pojechali.

Pug dał spokój domysłom co do kierunku jazdy. Ani razu nie minęli drogowskazu czy innego znaku drogowego. Przez nisko nawisłe szare chmury nie przebijał się nawet promień słońca. W lesie, gdzie żołnierze zakopali się w ziemi jak dżdżownice, odgłosy ognia artyleryjskiego były słabsze, niż we wsi. Tutaj zaś znacznie głośniejsze. Ale to mogło wynikać z zygzakowatej linii frontu. Jasne było, że nie podążają już na zachód, bo tam byli Niemcy. Wynikałoby z tego, że jadą meandrami o jakieś pięć mil za frontem.

Na następnym skrzyżowaniu pułkownik powiedział:

- Tu zboczmy nieco z drogi, ale zobaczą państwo coś interesującego.

Wjechali między pola, na których stały nie zebrane i gnijące wysokie żółtozielone źdźbła. Po jakiejś mili Amfiteatrow polecił kierowcy zatrzymać się.

- Może wyprostują państwo nieco nogi. Wszyscy macie dobre, grube buty - stwierdził patrząc dziwnie na Pamelę. - Ale panią ten spacer może znudzić. Może pozostanie pani z kierowcą? - zaproponował.

- Pójdę, chyba że każe mi pan pozostać.

- Doskonale. Proszę bardzo.

Szli, przeciskając się wśród kłosów. Ciche pole przejrzałego mokrego zboża pachniało słodko, prawie jak kwitnący sad. Ale goście, chlupocząc nogami w jednym rzędzie za Amfiteatrowem, wkrótce spojrzeli po sobie z obrzydzeniem, gdy odór zgnilizny uderzył ich w nozdrza. Wyszli na wolną przestrzeń i zrozumieli. Patrzyli na pobojoisko.

We wszystkich kierunkach wielkie, krzyżujące się pasy brązowego błota przecinały zboże. Tu i ówdzie stały jeszcze płyty żółtozielonych źdźbeł, a wśród nich i pośród brązowych pasów leżały na bokach, kołami do góry lub przechylone na skos, rozbite czołgi z kamuflującą farbą pokrytą pęcherzami lub spaloną, z zerwanymi gąsienicami i rozdartymi pancierzami. Siedem czołgów miało znaki niemieckie, dwa były lekkimi rosyjskimi T-26, które Pug często widywał przejeżdżające przez Moskwę. Smród bił od niemieckich trupów w czarnych mundurach (Niemieckie wojska pancerne miały czarne kombinezony (przy. tłum.)), rozciągniętych tu i tam na ziemi lub skurczonych w rozprutych czołgach. Ich martwe sine twarze były obrzydliwie spuchnięte i pokryte rojami tłustych, czarnych much, ale można było poznać, że byli to młodzi chłopcy. Pamela zbladła i przytknęła chusteczkę do twarzy.

- Bardzo przepraszam - odezwał się pułkownik ze złym błyskiem w oku. - To zdarzyło się zaledwie przedwczoraj. Szkopy próbowali tu atakować i zostali przyłapani. Ich koledzy zawrócili i nie chcieli się zatrzymać, by wykopać przyzwoite groby, bo odrobinę im się spieszyło.

Między czołgami i trupami ziemia zasłana była hełmami, papierami i potłuczonymi butelkami. Ale najdziwniejszym widokiem była sterta damskiej bielizny: różowych, błękitnych i białych majtek i halek, mokrych i unurzanych w błocie koło przewróconego czołgu. Pamela, nie odejmując chusteczki od nosa, podniosła wysoko brwi i pokazała tę stertę.

- A co, zabawne? Przypuszczam, że któryś ukradł to we wsi. Niemcy kradną wszystko, co im wpadnie w ręce. Przecież właściwie po to przybyli do nas: by kraść. Miesiąc temu mieliśmy ciężką bitwę pancerną koło Wiaźmy. W jednym ze zniszczonych przez nas czołgów był wielki, piękny marmurowy zegar oraz martwa świnia. Ogień ją zniszczył, a szkoda. To była bardzo dobra świnia. No więc pomyślałem sobie, że to może państwa zainteresować.

Zdjęcia rozbitych czołgów niemieckich były pospolite w Moskwie. Przedtem Victor Henry widział prawdziwe niemieckie czołgi tylko w Berlinie. Z brzękiem przejeżdżały tam alejami w szpalerach czerwonych flag ze swastyką wśród ryku orkiestr dętych, wygrywających marsze wojskowe i okrzyków, witających je hitlerowskim pozdrowieniem, tłumów, albo też całymi masami przejeżdżały na platformach kolejowych, prosto z fabryki na front. Widok kilku rozbitych i poprzewracanych na spustoszonej rosyjskiej polu uprawnym o dwa tysiące mil od Berlina, z załogami gnijącymi w błocie obok swych pojazdów, był dla Victora ostrym wstrząsem.

- Pułkownik - zapytał czołgiste - czy to nie Pzkw III? Jak mogły je pokonać wasze T-26? Przecież ich pociski nie przebijają pancerza tych wozów.

Amfiteatrow wyszczerzył zęby.

- Dobrze, bardzo dobrze. Jak na marynarza, dobrze się pan orientuje w bojach pancernych. Ale lepiej niech pan spyta dowódcę batalionu, który wygrał tę bitwę, więc ruszajmy w drogę.

Cofnęli się aż do skrzyżowania, skierowali w stronę lasu i we wsi, złożonej z tuzina chat z drewnianych bali pod strzechą, rozciągniętej wzdłuż puszczańskiej drogi, natknęli się na coś, co wyglądało jak warsztat naprawczy czołgów pod gołym niebem. Pod drzewami leżały na całą długość zdemontowane gąsienice, koła jezdne były pozdejmowane, działa zdemontowane i wszędzie ludzie w czarnych lub granatowych kombinezonach kuli, piłowali, smarowali i spawali, wykrzykując po rosyjsku i śmiejąc się do siebie. Ujrawszy samochód, spacerujący ulicą w oliwkowym zbyt obszernym szynelu niski, krzywonosy, śniady oficer puścił się biegiem. Zasalutował pułkownikowi, po czym objęli się i ucałowali. Przedstawiając gości, Amfiteatrow powiedział:

- Majorze Kapłan, pokazałem naszym przyjaciółom te rozwalone czołgi na polu. Nasz przyjaciel z amerykańskiej Marynarki Wojennej zadał pytanie godne pancerniaka. Spytał, jakim sposobem T-26 może znokautować niemiecki Pzkw III?

Dowódca batalionu roześmiał się od ucha do ucha, poklepał Victora po plecach i powiedział po rosyjsku:

- Dobrze, proszę ze mną.

Za ostatnią chatą poprowadził gości w głąb lasu, poza dwa szeregi lekkich czołgów ustawionych pod drzewami i osłoniętych siatką maskującą, zarzuconą na pomalowane w kamuflujące, zielone i piaskowe, plamy korpusy. - Jesteśmy na miejscu - oświadczył z dumą. - Oto czym rozwaliliśmy Niemców.

Rozproszone w zaroślach, prawie niedostrzegalne pod gałęziami i siatkami, pięć

pancernych potworów wznosiło wysoko w powietrze kwadratowe wieżyczki z potężnymi armatami. Tudsbury'emu, gdy na nie spojrział, opadła szczęka. Nerwowo otarł wąsy kostkami palców.

- Mój Boże! A to co takiego?

- Nasze najnowsze, rosyjskie czołgi - powiedział Amfiteatrow. - Generał Jewlenko uważa, że mogą one zainteresować prezydenta Roosevelta.

- Fantastyczne! - zawołał Gaduła. - Coś takiego! Owszem, słyszałem, że macie te potwory, ale... Ile one ważą? Sto ton? Popatrzcie tylko na te armaty!

Rosjanie wymienili uśmiechy.

- To dobry czołg - powiedział Amfiteatrow.

Tudsbury spytał, czy może je obejrzeć w środku i, ku zdumieniu Puga, pułkownik się zgodził. Pug wdrapał się na czołg, a młodzi pancerniaczy pomogli grubemu kulawemu Anglikowi przedostać się przez właz. Wewnątrz wieżyczki, pomimo mnóstwa mechanizmów i instrumentów oraz ogromu łoża i zamka działa, było jeszcze dużo miejsca. Pachniało zadziwiająco podobnie, jak w nowym samochodzie. Pug domyślił się, że zapach wydzielają wielkie skórzane siedziska działonowego i dowódcy czołgu.

Kapitan słabo znał się na czołgach, ale wykonanie wnętrza z niemalowanego metalu było dobre, pomimo paru dość prymitywnych wsporników na przyrządy i ich okablowania. Zegary, zawory i urządzenia sterownicze przypominały stare niemieckie konstrukcje.

- Wielki Boże, Henry, to przecież pancernik lądowy - powiedział Tudsbury. - Gdy pomyślę o tych blaszanych pudełeczkach, którymi jeździliśmy. Ależ w porównaniu z tym najlepsze obecne niemieckie czołgi to skorupki od jajek. Diabła warte skorupki! Co za niespodzianka!

Gdy się wygramolili na zewnątrz, wokół czołgu zgromadziła się dobra setka żołnierzy, a jeszcze więcej nadchodziło przez las. Na płaskim korpusie stała Pamela, zakłopotana, ale i rozbawiona wlepionymi w nią męskimi spojrzeniami. Zakutana w zabłocony kozuch nie wyglądała olśniewająco, ale sama jej obecność zdawała się wzruszać i hipnotyzować czołgistów. Koło niej stał oficer w okularach na bladej, okrągłej twarzy, z długimi żółtymi zębami. Major Kapłan przedstawił go jako oficera politycznego.

- Komisarz chciałby was wszystkich przedstawić żołnierzom - zwrócił się Amfiteatrow do Victora Henry'ego - i jest zdania, że wasza wizyta jest doskonałą okazją do podniesienia ducha walki.

- Oczywiście - odrzekł Henry.

Rozumiał tylko małe fragmenty wygłaszanego pośpiesznie gromkim głosem

przemówienia okrągłolicego komisarza. Ale jego poważny ton, wymachiwanie pięścią, komunistyczne slogany i wyraz skupienia na naiwnych twarzach przystojnych młodych pancerniaków mówiły same za siebie. Mowa komisarza wyglądała na skrzyżowanie wystąpienia kaznodziei z przedmeczowym przemówieniem trenera do drużyny. Nagle żołnierze zaczęli klaskać, a Amfiteatrow tłumaczył po trzy-cztery zdania, gdy komisarz w przerwach zwracał do niego uradowaną twarz.

- W imieniu Armii Czerwonej, witam amerykańskiego kapitana marynarki Genrego, brytyjskiego korespondenta wojennego Tudsbury'ego, a szczególnie dzielną angielską dziennikarkę Pamelę na naszym froncie. Ludziom walczącym zawsze dobrze robi widok pięknej twarzy. (Śmiechy wśród żołnierzy.) Ale, miss Tudsbury, mówimy to bez złej myśli, bo myślimy tylko o naszych własnych, kochanych dziewczynach pozostawionych w domu, to oczywiste. Ponadto pani ojciec mądrze zrobił przyjeżdżając tutaj, by panią strzec przed romantycznymi i męskimi młodymi rosyjskimi czołgistami. (Śmiechy i oklaski.) Pokazaliście nam, że narody brytyjski i amerykański nie zapominają o nas w naszej walce przeciw faszystowskiemu hienom.

Towarzysz Stalin powiedział, że wojnę wygrywa ta strona, która ma więcej silników benzynowych. Czemu ten silnik jest tak ważny? Bo benzyna jest największym współczesnym źródłem energii, a energią wygrywa się wojny. My, czołgiści, wiemy o tym! Hitler i Niemcy sądzili, że wybudują pośpiesznie dużo silników benzynowych, wsadzą je do czołgów i samolotów i w ten sposób wyprzedzą cały świat. Hitler nawet miał nadzieję, że pewne koła rządzące w Ameryce i Europie dopomogą mu, gdy zdecydował się zaatakować pokojowy naród rosyjski. No i przeliczył się. Te dwa wielkie narody stworzyły niewzruszony front z narodami Związku Sowieckiego. Potwierdza to obecność naszych gości. Nasze trzy kraje mają o wiele więcej silników benzynowych niż Niemcy, a ponieważ możemy ich budować jeszcze więcej i prędzej niż oni, bo mamy znacznie większy przemysł, wygramy wojnę.

Wygramy ją szybciej, jeśli nasi przyjaciele szybciej przysyłać nam będą całe masy zaopatrzenia wojennego, bo nazistowscy bandyci nie ustąpią, dopóki wielu z nich nie zabijemy. A ponad wszystko zwyciężymy znacznie szybciej, jeśli nasi brytyjscy przyjaciele natychmiast otworzą drugi front i także zabiją pewną liczbę niemieckich żołnierzy. Niektórzy ludzie myślą, że nie jest możliwe pobicie Niemców. Zapytuję więc ten batalion: czy biliście się z Niemcami?

Podczas przemowy zapadł zmrok i Pug ledwie mógł rozróżnić twarze najbliższych stojących. Z ciemności rozległ się ryk: Da!

- Czy biliście ich?

- Da!

- Czy boicie się Niemców?

- Niet! - a po nim grube, męskie śmiechy.

- Czy sądzicie, że Brytyjczycy powinni się bać otwarcia przeciw nim drugiego frontu?

- Niet! - jeszcze więcej śmiechów i ryk zbiorowego skandowania po rosyjsku: - Drugi front teraz! Drugi front teraz!

- Dziękuję wam, moi towarzysze. A teraz kolacja, a potem znowu do naszych czołgów, którymi odnieśliśmy wiele zwycięstw i odniesiemy jeszcze więcej za naszą ojczyznę, nasze dziewczyny, nasze matki, nasze żony, nasze dzieci i za towarzysza Stalina!

W ciemności rozległ się ponowny ryk jednym wielkim głosem: Służymy Związkowi Sowieckiemu!

- Miting skończony - ochryple zawołał komisarz. Nad drzewami wstawał księżyc.

* * *

Pug obudził się z niespokojnego snu na rozłożonym na ziemi sienniku w chacie z bali. Obok niego w zupełnej ciemności melodyjnie chrapał Tudsbury. Zapalając papierosa ujrzał w świetle zapalki, że Pamela siedzi z błyszczącymi oczami na jedynym w izbie łóżku oparta plecami o tynkowaną drewnianą ścianę.

- Pam?

- Cześć. Ciągle się czuję, jakbym podskakiwała i wpadała w poślizgi w błocie. Jak myślisz, czy wartownik mnie zastrzeli jeśli wyjdę na dwór?

- Spróbujmy. Wyjdę pierwszy, a jeśli zastrzeli mnie, ty wrócisz do łóżka.

- O, to świetny plan. Dziękuję.

Pug wciągnął dym, a w czerwonym blasku rozjarzonego papierosa Pamela podeszła i podała mu rękę. Posuwając się wzdłuż szorstkiej ściany Pug namacał drzwi i otworzył. W ciemności otworzył się granatowy prostokąt.

- Niech mnie diabli. Księżyc. Gwiazdy.

Księżyc w pełni, częściowo zakryty szybko płynącymi chmurami, sypał na słomiane dachy i rozjeżdżoną pustą drogę szarobłękitny pył. W lesie po drugiej stronie drogi żołnierze zawadzili smętne pieśni przy akompaniamencie akordeonu. Victor Henry i Pamela Tudsbury usiedli na ławce z surowego drewna trzymając się za ręce i przytulili do siebie w lodowatym wietrze, wiejącym wzdłuż drogi. Błoto pod ich nogami było nierówne i twarde.

- Mój Boże - powiedziała Pamela - daleka jest droga do Tipperary, prawda?

- Waszyngton, Dyskryt Kolumbia, jest jeszcze dalej.

- Dziękuję za wyjście na dwór, Victor. Siedziałam i nie śmiałam się poruszyć. Kocham wiejskie zapachy, ale na Boga, ten wiatr tnie do kości!

Przez niebo przeleciały żółte błyskawice, a zaraz potem rozległy się grzmoty. Ciasno przytulona Pamela drgnęła i westchnęła.

- Ach, ach, spójrz na to. To było wielkie świństwo ze strony Gaduły, że mnie tutaj zaciągnął. Oczywiście jemu z tym wygodnie. Dziś wieczorem dyktował mi przez dwie godziny przy świecy, bo sam nie mógł napisać ani linijki. A była to, można powiedzieć, sensacyjna historia. Czy te czołgi są naprawdę tak zdumiewające, jak on twierdzi. W ostatnim zdaniu powiedział, że jeżeli Rosja potrafi je produkować masowo, to wojna praktycznie się skończyła.

- To takie dziennikarskie gadanie. Wielkość, to nie wszystko. Każdy czołg, niezależnie od wielkości, może okazać się krematorium dla załogi, jeśli jest źle skonstruowany. Na ile jest zwrotny? Jaka ma wytrzymałość pancerza? Niemcy wykryją jego słabe strony. Szybko zbudują nowe działo, które będzie mogło te pancerze przebijać. Umieją doskonale robić takie rzeczy. Niemniej to bardzo dobry czołg.

- Na tobie to można polegać! - zaśmiała się Pamela. - Myślę, że przez to właśnie nie mogłam zasnąć. Widziałam, jak wojna nagle się kończy. To była tak zaskakująca i olśniewająca myśl! Niemcy pobici, Hitler martwy albo za kratkami, Londyn znowu oświetlony, wielkie porządki i wreszcie życie płynące jak dawniej! A wszystko z powodu tych potwornych czołgów toczących się tysiącami do Berlina... O Boże, te armaty chyba są blisko.

- To tylko marzenie, Pam - odrzekł Victor. - Niemcy wygrywają. Jesteśmy tutaj bardzo blisko Moskwy.

Milcząco spojrzała na księżyc, na gwiazdy i wreszcie na ukrytą w cieniu twarz Puga.

- A wiesz co? Gdy powiedziałeś przed chwilą, że te czołgi nie skończą wojny, poczułam ulgę. Ulgę! Co to za wariacka reakcja?

- Widzisz, trwająca wojna to zupełnie nowe przeżycia. - Zrobił gest w stronę jadowicie żółtych błysków na czarnych chmurach zachodniego horyzontu. - Kosztowne ognie sztuczne... Podróże do dziwnych miejsc...

- Ciekawe towarzystwo - uzupełniła Pamela.

- Tak, Pam. Ciekawe towarzystwo.

Akordeon grał teraz solo na żalostną, podobną do kołysanki nutę, ledwie słyszalną przez szum i trzask chwiejących się na wietrze drzew.

- Na czym może polegać to uczucie, że człowiek nagle sobie coś przypomina, czego

jeszcze nie było? - zapytała. - To, co poczułeś wczoraj w majątku Tołstoja?

- Może to jakieś krótkie spięcie w mózgu? Jakiś błahy bodziec wyzwała poczucie, że się coś pamięta, choć tego nie było. Tak gdzieś o tym czytałem.

- Drugiego dnia podróży na „Bremen” - powiedziała Pamela - byłam na porannym spacerze na pokładzie. A także ty, idąc w przeciwnym kierunku. Dwa razy wyminęliśmy się. Robiła się głupia sytuacja. Postanowiłam, że za następnym naszym spotkaniem poproszę, byś mi towarzyszył. I nagle wiedziałam, że ty mnie o to poprosisz. I dokładnie, jakimi słowami. I ty je wypowiedziałeś. Zrobiłam uwagę na temat twojej żony, jakbym grała w teatrze, a twoja odpowiedź brzmiała jak replika sceniczna, którą z góry znałam. Nigdy tego nie zapomniałam.

Koło nich przeszedł wysoki, zawinięty po uszy w szynel żołnierz. Jego oddech buchał parą, a bagnet na karabinie błyszczał w świetle księżyca. Zatrzymał się na chwilę, spojrzął na nich i poszedł przed siebie.

- Victor, dokąd się jutro wybierasz?

- Na linię frontu. Ty i Gaduła zostaniecie w miasteczku o parę mil głębiej. Na pierwszej linii często trzeba błyskawicznie dać nura, tak przynajmniej mówi pułkownik, a Gaduła oczywiście nie jest do tego zdolny.

- Czemu musisz tam jechać?

- Cóż, Amfiteatrow zaproponował. To będzie pouczające.

- Znowu lot nad Berlinem.

- Nie. Przez cały czas będę na ziemi, na przyjaznym terenie. To wielka różnica.

- Jak długo nie będzie cię z nami?

- Tylko parę godzin.

Zapłonął zielony blask, nagle wypełniający niebo. Pamela krzyknęła. Gdy ich oślepiiony wzrok dostosował się do jasności ujrzeni, jak cztery zielone, dymiące gwiazdy bardzo powoli spływają w dół pod gęstniejącymi chmurami i usłyszeli warkot silników. Wartownik zeskoczył z drogi. We wsi nie było widać nawet znaku życia: malutka, śpiąca rosyjska wioska z chatami o słomianych dachach, zagubiona przy leśnej drodze, podobna do setek innych. W świetle rakiet wyglądała jak dekoracja teatralna. Wszystkie naprawione czołgi były dobrze zakamuflowane.

- Okropnie wyglądasz - orzekła Pamela.

- Powinnaś zobaczyć samą siebie. Niemcy szukają tego batalionu pancernego.

Rakiety opadły na ziemię. Jedna zmieniła kolor na pomarańczowy i zgasła. Samolot uciął w dali. Pug spojrzął na zegarek. - Myślałem dawniej, że Ruscy mają fioła na tle maskowania, ale widać, że ma to dobre strony. - Wstał sztywno i otworzył drzwi do chałupy.

- Może lepiej spróbujemy pospać.

Pamela wyciągnęła rękę, otwartą dłonią w stronę czarnego nieba. Chmury zasłoniły księżyc i gwiazdy.

- Zdaje się, że coś poczułam. - Wyciągnęła dłoń do Puga. W świetle ostatniej, gasnącej rakiety ujrzał, jak na dłoni dziewczyny topnieje wielki płatek śniegu.

55

Samochód toczył się przez białą pustkę w nieustannie padającym śniegu. Światło dnia było ołowiane. Pug nie był w stanie dostrzec, gdzie znajduje się droga, po której kierowca prowadzi podskakującą, ślizgającą się i trzęsącą maszynę. A co z minami? Ufając, że Amfiteatrow nie bardziej ma ochotę wylecieć w powietrze niż on sam, Pug nie odzywał się ani słowem. Po godzinnej jeździe, przez zasłonę padającego śniegu zamajaczyła wieża z żółtej cegły, uwieczona cebulastą kopułą. Wjechali do miasteczka. Dookoła kręcili się żołnierze, a przez błotniste ulice wśród niemalowanych drewnianych domów chwiejnie toczyły się wojskowe ciężarówki. Z niektórych patrzyli smutnym wzrokiem obandażowani żołnierze ze zsiniałymi, zakrwawionymi twarzami. Przed domami stali obsypani śniegiem mieszkańcy, głównie stare kobiety i mali chłopcy, surowym spojrzeniem odprowadzając przetaczające się pojazdy.

Przy schodach prowadzących do cerkwi, Pug rozstał się z resztą towarzystwa. Małym brytyjskim dżipem przyjechał po niego oficer polityczny. Był ubrany w biały kozuch ściśnięty pasem i miał skośne, tatarskie oczy i leninowską bródkę.

- A więc brytyjska pomoc wreszcie dotarła na front! - wykrzyknął radośnie po rosyjsku pokazując palcem markę fabryczną samochodu.

Oficer polityczny odpowiedział łamaną angielszczyzną, że aby zatrzymać Niemców potrzeba ludzi i ognia artyleryjskiego, a nie samochodów. A ponadto brytyjskie wozy nie są dostosowane do pracy w ciężkim terenie.

Pamela popatrzyła na Victora z powagą, szeroko otwartymi oczami. Pomimo trudu i brudu podróży wyglądała czarująco a barankową czapkę miała zawadiacko przekrzywioną. Powiedziała tylko:

- Uważaj na siebie.

Z pełnego zamętu miasteczka dżip wyjechał na zachód, w głąb zaśnieżonego, cichego lasu. Wyglądało, że jadą prosto na front, ale odgłosy ognia artyleryjskiego dolatywały z lewej strony, z południa. Pug pomyślał, że śnieg może tłumić dźwięki płynące z przodu. Minęli

wiele świeżo roztrzaskanych drzew i lejów po bombach, przysypanych świeżym śniegiem. Komisarz powiedział, że Niemcy otworzyli ogień poprzedniego dnia, daremnie starając się sprowokować odpowiedź ukrytej w lasach rosyjskiej artylerii. Dżip przemknął koło kilku z tych baterii, ciężkich haubic o konnym zaprzęgu, obsługiwanych przez zarośniętych, znużonych żołnierzy, kręcących się wśród zielonych krzaków, gdzie leżały w gotowości stopy pocisków artyleryjskich.

Dojechali do linii prymitywnych okopów z wysokimi, przyprószonymi śniegiem przedpiersiami. Ciągnęły się wśród rozbitych, poprzewracanych drzew. Komisarz powiedział, że są to umocnienia pozorne, specjalnie tak wykopane, by były dobrze widoczne. Wczoraj były mocno ostrzeliwane przez niemiecką artylerię. Prawdziwe okopy o paręset jardów dalej, uniknęły ostrzału. Właśnie te prawdziwe, ciągnące się wzdłuż rzeki, z dachami z bali drewnianych ułożonymi równo na poziomie ziemi i przysypanymi śniegiem, były całkowicie niewidoczne. Komisarz zaparkował dżipa wśród drzew, po czym razem z Victorem popęzli przez krzaki.

- Im mniej ruchu Szkozy mogą zauważyć, tym lepiej - rzekł Rosjanin.

I wreszcie kiedy znaleźli się w głębokim, błotnistym dole, który był stanowiskiem ogniowym karabinu maszynowego, wyglądając przez osłoniętą workami z piaskiem strzelnicę, Victor Henry ujrzał Niemców. Pracowali zupełnie otwarcie na drugim brzegu rzeki, mając tam maszyny do robót ziemnych, pontony, nadmuchiwane gumowe łódki i ciężarówki. Niektórzy kopali szpadlami, inni z lekkimi karabinami maszynowymi w rękach patrolowali teren. W przeciwieństwie do Rosjan, zagrzebanych w ziemi jak dzikie zwierzęta, Niemcy nie próbowali ukryć ani siebie, ani swoich działań. Gdyby nie hełmy, karabiny i długie, szare płaszcze, wyglądałoby jak duża brygada budowlana przy pokojowych zajęciach. Przez wręczoną mu przez żołnierza lornetę - niemiecką lornetę - Victor Henry widział nawet okulary oraz posiniałe od mrozu policzki i nosy przemarzniętych hitlerowców.

- Moglibyście wystrzelać ich jak ptaki - powiedział po rosyjsku.

Dokładniej nie udało mu się przetłumaczyć amerykańskiego idiomu „jak siedzące kaczki”.

Żołnierz odmruknął: - Tak, ujawnić naszą pozycję i ściągnąć na siebie ogień artyleryjski. Nie, dziękuję, gospodin Amerykaniec.

- Jeśli w ogóle uda się im ukończyć ten most i zaczną przezeń przechodzić - oświadczył komisarz, będziemy mieli dość czasu, by im wepchnąć do gardeł stosowne lekarstwo.

- Na to właśnie czekamy - dodał palący fajkę żołnierz z wielkimi, opadającymi

wąsami, który zdawał się dowodzić tą dziurą w ziemi.

- Czy naprawdę uważacie, że zdołacie się utrzymać, jeśli przekroczą rzekę? - spytał Pug.

Trzej żołnierze potoczyli po sobie wzrokiem, zastanawiając się nad pytaniem, zadany przez cudzoziemca w złym rosyjskim języku. Zaciśnęli usta z goryczą. Tutaj po raz pierwszy w obliczu Niemców Victor Henry dostrzegł strach na twarzach czerwonoarmistów!

- Jak już przyjdzie co do czego - oświadczył fajczarz - to każdy człowiek ma swój czas. Rosyjski żołnierz potrafi umierać.

- Obowiązkiem żołnierza jest żyć, towarzyszu - ostro wtrącił się komisarz. - Nie umierać, a przeżyć i walczyć. Rzeki nie przekroczą. Nasze ciężkie działa są wycelowane na tę przeprawę i gdy tylko Niemcy stracą czas potrzebny im na budowę mostu i zaczną się przeprawiać, zgnieciemy te hitlerowskie szczury! No, Polikow? Jak ci się to podoba?

- To w porządku - odrzekł nie ogolony żołnierz z zakatarzonym nosem, skulony w kącie na ziemi i chuchający w swe czerwone dłonie. - To w największym porządku, towarzyszu oficerze polityczny.

Pełznąć przez krzaki i skacząc od drzewa do drzewa, Victor Henry i komisarz posuwali się wzdłuż ziemianek, bunkrów, okopów i pojedynczych stanowisk strzeleckich słabo obsadzonej linii. W tym miejscu batalion złożony z dziewięciuset żołnierzy bronił pięciu mil brzegu rzeki, powiedział komisarz, by zagrozić Niemcom dostęp do ważnej drogi.

- Ta kampania to po prostu wyścig - wydyszał, gdy czołgali się między ziemiankami. - Niemcy chcą wyprzedzić Dziadka Mroza w Moskwie. I to jest cała sprawa. Aby to zrobić, wylewają ostatnią kroplę krwi z żył. Ale nie ma strachu, Dziadek Mróz jest starym przyjacielem Rosji. Zamrozi ich na śmierć. Zobaczysz pan, nigdy tam nie dotrą.

Oczywiście było, że komisarz ma za zadanie podniesienie morale oddziału. Jeżeli w okopie zastali dobrego dowódcę, jego ludzie sprawiali wrażenie gotowych do walki. Ale gdzie indziej byli w zgaszonym, fatalistycznym nastroju, co zdradzały ich opuszczone ramiona, nieporządne mundury, zasiane odpadkami ziemianki i brudna broń. Komisarz przemawiał do nich, wykorzystując obecność Amerykanina dla polepszenia nastrojów. Ale w większości wypadków zarośnięci Słowianie gapili się na Henry'ego z sarkastycznym niedowierzaniem, jakby chcieli powiedzieć: - Jeśli naprawdę jesteś Amerykaninem, czemuś taki głupi, by tu się znaleźć z własnej woli? My, niestety, nie mamy wyboru.

Wzdłuż całej rzeki widać było Niemców, spokojnie i metodycznie przygotowujących się do przeprawy. I ta ich rzeczowość bardziej onieśmiela, pomyślał Pug, niż wszystkie salwy pocisków. Niepokojąca także była ich liczba. Skąd właściwie tyłu ich się brało?

Wyszędłszy z jednej z największych ziemianek komisarz i kapitan położyli się na śniegu.

- Skończyłem już obchód tego odcinka, kapitanie - rzekł Rosjanin. - Może zechce pan dołączyć do swojego towarzystwa.

- Jestem gotów.

Z ponurym uśmiechem komisarz wstał.

- Proszę się trzymać w cieniu drzew.

Gdy dotarli do dżipa, Pug zapytał:

- Jak daleko tutaj jesteśmy od Moskwy?

- O, wystarczająco daleko. - Komisarz zapalił silnik wozu. - Mam nadzieję, że ujrzał pan wszystko, co chciał pan zobaczyć.

- Zobaczyłem bardzo dużo.

Komisarz zwrócił swą leninowską twarz w stronę Amerykanina, oceniając go podejrzliwym spojrzeniem. - Niełatwo zrozumieć front tylko rzuciwszy nań okiem.

- Zrozumiałem, że jest wam potrzebny drugi front.

Komisarz mruknął gardłowo:

- W takim razie rozumiał pan to, co najważniejsze. Ale nawet bez drugiego frontu, kapitanie Genri, zupełnie sami zmiżdżymy tę zarazę germańskich karaluchów.

Gdy dotarli do centralnego placu miasteczka, śnieg przestał padać, a wśród pędzących po niebie chmur ukazywały się na chwilę skrawki błękitu. Wiatr był przejmująco zimny. Płatanina ciężarówek, wozów konnych i żołnierzy była jeszcze większa niż poprzednio. Ze wszystkich stron rozlegały się gwałtowne rosyjskie przekleństwa i klótnie. Stare kobiety i młodzi chłopcy ze zmarszczonymi brwiami nadal przyglądali się bałaganowi szeroko otwartymi, smutnymi oczami. Czarny samochód napotkali w samym sercu korka, który utworzył się wokół przewróconego wozu amunicyjnego i dwóch leżących na ziemi koni. Tudsbury w znakomitym humorze stał przy grupie kilkudziesięciu wrzeszczących oficerów i żołnierzy, patrząc jak konie kopiąc próbują wywikłać się ze splątanej uprzęży, a żołnierze zbierają wysypane z rozbitych skrzyń i błyszczące na śniegu długie miedziane łuski armatnie.

- Hej tam! Już wróciliście? Co za bałagan! To cud, że ten cały wóz nie wyleciał z hukiem w powietrze, co? Byłaby dziura w ziemi na jakieś sto stóp średnicy.

- Gdzie Pamela?

Tudsbury machnął kciukiem do tyłu.

- A tam, w cerkwi. Na dzwonnicy jest stanowisko obserwatora artyleryjskiego. Podobno mają stamtąd wspaniały widok, ale ja nie jestem w stanie wleźć na tę cholerną

wieżę. Ona tam robi notatki. A jak na froncie? Musisz mi o wszystkim dokładnie opowiedzieć. Brrr! Ależ mróz! Jak myślisz, czy Szkopy poczują go trochę w jajach? Ach, podnieśli już konie.

Amfiteatrow oświadczył, że zabiera Tudsbury'ego na pobliskie pole, gdzie leży zestrzelony Junkers 88. Pug odrzekł, że widział już mnóstwo tych samolotów, wobec tego dołączy do Pameli w cerkwi i tam na nich zaczekają. Amfiteatrow trochę się zaniepokoił, ale odrzekł:

- Dobrze kapitanie, ale proszę tam pozostać. Wrócimy najdalej za dwadzieścia minut.

Pug pożegnał się z brodatym komisarzem, który siedział za kierownicą dżipa, wrzeszcząc na chudego żołnierza, trzymającego żywą białą gęś. Żołnierz krzychał coś ochryple, a gęś zwracała swój pomarańczowy dziób i małe oczka to na jednego, to na drugiego jakby chcąc odgadnąć swój przyszły los. Obszedłszy korek uliczny, Pug podążył do cerkwi po skrzypiącym, suchym śniegu. Uwolnienie się od eskorty, nawet na parę minut, było mu dziwnie przyjemne. Wnętrze cerkwi wypełniała mocna, niekościelna woń lekarstw i środków dezynfekcyjnych. Z łuszczących się fresków wielkooccy święci w niebieskich szatach spoglądali z zakopconych ścian na leżących na słomianych matach obandażowanych żołnierzy, rozmawiających, palących papierosy lub smutnym wzrokiem spoglądających przed siebie. Wąskie, kamienne, kręcone schody wewnątrz dzwonnicy nie miały poręczy. Pug poczuł się nieswojo, ale szedł na górę, przyciskając się do szorstkich ścian, aż dotarł do drewnianej platformy z zaśnieżonymi dzwonami, gdzie przez cztery otwarte ceglane arkady wpadał gwałtowny wiatr. Tu przystanął, by złapać oddech, po czym wdrapał się wyżej po chwiejnej drewnianej drabinie.

Górna platforma była ceglana. Gdy się na niej pojawił, Pamela pomachała ręką, wołając: - Victor!

Z bliska oglądana cebulasta kopuła okazała się prymitywną konstrukcją z blach, przybitych zardzewiałymi gwoździemi do wygiętych drewnianych ram. Pod nią kwadratową platformę otaczał parapet z żółtej cegły, a w kącie przycupnęła Pamela, osłonięta od wyjącego wiatru. Obserwator artyleryjski, z twarzą zakrytą goglami i zawiązanymi pod brodą nausznikami grubej czapki, w sięgającym kostek brązowym płaszczu i mitenkach, obsługiwał lornetę nożycową na trójnogu. Koło Pameli tłusty czarny kot przysiadł nad miską zupy, chlepcząc ją, potrząsając wielką głową z niesmakiem i znowu chlepcząc. Dziewczyna i obserwator śmieli się z niego.

- Za dużo pieprzu, kotku?

Figlarne spojrzenie Pameli jasno dowodziło, że świetnie się tutaj bawi. W dole naga

płaszczyzna ciągnęła się daleko na wschód i na południe, aż po odległe bory, zaś na zachód i północ ku czarnej, wijącej się rzece i rzadko rozsypanym ląskom. W tym pustym, płaskim świecie tylko tuż pod nimi, w miasteczku, gromadka żywych istot wydawała słabo dolatujące odgłosy.

- Wy amierikanskij oficer? - spytał obserwator, ukazując białe zęby w jedynym nieosłoniętym fragmencie twarzy.

- Da.

- Posmotritie? - Dłoń w mitence poklepała lornetę.

- Widietie Niemcy? - spytał Pug.

- Slizskom mnogo.

- Odin uże slizskom mnogo - skomentował Pug.

Z groźnym gestem i zduszonym chichotem obserwator odstąpił od lornety. Oczy Puga łzawiły od wiatru, ale przytknął je do okularów lornety i nagle w polu widzenia pojawiły się na drugim brzegu rzeki niewyraźne, małe sylwetki, ciągle zajętych tą samą robotą Niemców.

- Czy to nie robi niesamowitego wrażenia - zauważyła Pamela głaszcząc kota - że oni są tacy spokojni?

Victor Henry skierował się do rogu ceglanego parapetu, badając wzrokiem zaśniewony pejzaż we wszystkie cztery strony świata, wsadziwszy ręce w kieszenie granatowego płaszcza. Żołnierz, obracając powoli lornetę z południa na północ, obserwował co się dzieje nad rzeką, cały czas mówiąc do obdrapanego telefonu podłączonego do czarnego, zwisającego za parapet kabla.

- Kotku, za uszami także - powiedziała Pamela. Kot zaczął się myć, dziewczyna pogłaskała go po głowie.

Pug opowiedział o wycieczce na pierwszą linię, nie przerywając obserwacji całego horyzontu, jakby się znajdował na pomoście nawigacyjnym. Nagle zauważył niezwykle ruch w dalekim, ośnieżonym lesie. Stojąc tyłem do żołnierza z napięciem wpatrywał się w stronę wschodu, osłaniając oczy spierzchniętą do czerwoności dłonią.

- Podaj mi tamtą - powiedział. Pamela wręczyła mu małą lornetkę polową, leżącą w otwartym pokrowcu koło nożycowej. Jeden szybki rzut oka i Pug stuknął obserwatora w ramię, pokazując kierunek. Obróciwszy nożycówkę na trójnogu o sto osiemdziesiąt stopni żołnierz spojrzał zdziwiony, ściągnął czapkę i gogle i spojrzał znowu. Był piegowaty, miał bujne kędzierzawe blond włosy. Mógł mieć osiemnaście, może dwadzieścia lat. Schwycił za telefon, zastukał w widelki, powiedział parę słów, znowu postukał, a nie uzyskawszy odpowiedzi, rozzłoszczony schwycił czapkę i zbiegł po drabinie.

- Co się stało? - spytała Pamela.

- Sama zobacz.

Przez wielkie okulary przyrządu obserwacyjnego ujrzała wynurzającą się z lasu kolumnę pojazdów.

- Czołgi?

- Są także ciężarówki oraz transportery pancerne. Ależ tak, to oddział czołgów - mówił Victor Henry z oczami przylepionymi do szkła tak spokojnym tonem, jakby oglądał rewię wojskową.

- Rosyjskie?

- Nie.

- Ale przecież my przyjechaliśmy z ich strony.

- Tak.

Spojrzeni sobie w oczy. Zaczerwieniona od mrozu twarz dziewczyny była zatrwożona, ale z odcieniem nerwowej wesołości.

- No to wpadliśmy w kabałę. Czy nie powinniśmy zejść i poszukać Amfiteatrowa?

Oglądana gołym okiem kolumna pancerna wyglądała jak czarny robaczek, pełzający po rozległej białej płaszczyźnie o jakieś pięć - sześć mil. Pug popatrzył na wschód. Zastanowił się. Ten nagły zwrot w sytuacji otwierał możliwości zbyt niemiłe, by je ujmować w słowach. Oczywiście nikt nie planował, że zostaną od tyłu zaskoczeni przez Niemców, ale przecież tu byli! Poczł nagły przypływ złości na egoizm Tudsbury'ego, który wciągnął własną córkę w niebezpieczeństwo. Gdyby przyszło do najgorszego, Pug uważał, że da sobie radę z niemieckimi zdobywcami, choć mogą mu się przydarzyć paskudne momenty z żołnierzami, nim porozumie się z oficerem. Ale Tudsbury'owie byli dla nich nieprzyjaciółmi.

- Wiesz co, Pam - powiedział, obserwując równocześnie, jak robak wypelza całkowicie z lasu i niemrawo kieruje się w stronę miasta, zostawiając za sobą czarny ślad - pułkownik wie, gdzie jesteśmy. Zostańmy jeszcze trochę na miejscu.

- Dobrze. Ale jak, na Boga, Niemcom udało się nas obejść?

- Amfiteatrow mówił, że są kłopoty na południu. Musieli przełamać obronę rzeki i zrobić łuk przez lasy. To nie jest duży oddział, to tylko zwiad.

Wierzch drabiny zakołysał się i zastukały ciężkie kroki. Młody blondyn wyskoczył, chwycił dalmierz i wycelował go na Niemców, suwając noniuszem w przód i do tyłu. Szybko rozprostowawszy na kolanie małą czarnobiałą mapkę koordynatów, zaczął wyszczekiwać cyfry do telefonu: - Pięć przecinek sześć! Jeden dwa cztery! R siedem M dwanaście! Tak jest! Tak jest! - Weselszy już i podniecony uśmiechnął się do gości. - Nasze baterie biorą ich na

cel. Gdy podejda bliżej, rozwalimy ich w strzępy. Pewno więc coś tani zobaczycie. - Nałożył gogle, znowu zmieniając się z wesołego chłopca w ponurego, pozbawionego twarzy obserwatora.

- Zza rzeki obserwują, skąd wasze baterie otworzą ogień.

- To prawda, ale nie możemy tym skurwysynom pozwolić wziąć miasta od tyłu, co?

- Słyszę samoloty. - Pug zwrócił lornetkę na zachód w stronę nieba. - Samoloty!

- Da! - Obróciwszy nożycówkę i odchyliwszy ją do góry, obserwator zaczął wykrzykiwać do telefonu.

- Samoloty też? - Pameli zadrżał głos. - Trudno, już się do nich trochę przyzwyczaiłam.

- Zgodnie z niemieckim regulaminem - powiedział Victor - czołgi i samoloty atakują równocześnie.

Trzy nadlatujące stukasy rosły coraz bardziej w szklach Henry'ego. Obserwator znowu zwrócił lornetkę nożycową w stronę czołgów i zaczął wznosić radosne okrzyki. Pug zwrócił się w tamtą stronę.

- Jasny gwint! Pam, oni naprawdę fachowo prowadzą obserwację.

Mniej więcej w połowie drogi między Niemcami i miastem wyjechała z lasu druga kolumna czołgów, kierując się prawie pod kątem prostym do nieprzyjaciela. Zezując na samoloty wręczył dziewczynie lornetkę.

- Ach, ach! - krzyknęła Pamela. - Nasi?

- Da! - wrzasnął obserwator, śmiejąc się od ucha do ucha. - Naszi!

Na jej ramię spadła ciężka ręka, zmuszając do osunięcia się na czworaki.

- Zaczynają nurkować - powiedział Victor Henry. - Podpełnij jak najbliżej kopuły i nie ruszaj się.

Uklęknął przy niej. Czapka spadła mu z głowy i odtoczyła się, więc by śledzić samoloty odsunął ręką czarne włosy sprzed oczu. Stukasy położyły się na skrzydło i zanurkowały. Gdy były niewiele wyżej niż dzwonnica, zrzuciły bomby. Z rykiem silników i gwizdem rozcinanego powietrza samoloty rosły w oczach. Pug ujrzał czarne skrzydła, swastyki i żółtawe pleksiglasowe kabiny pilotów. Bomby zaczęły wybuchać dookoła cerkwi. Zatrzęsła się dzwonnica. Płomień, ziemia i dym z rykiem wzniosły się aż po parapet, ale Pug zachował na tyle zimną krew, że zauważył, iż pilotaż jest niezgrabny. Wznosząc się w górę i zawracając do powtórnego bombardowania nurkowego, trzy niezgrabne czarne maszyny omal się nie zderzyły. Albo Luftwaffe już straciła większość swych doświadczonych pilotów, albo nie było ich na tym odcinku frontu. W mieście otwarto ogień z dział przeciwlotniczych i

karabinów maszynowych.

Dłoń Pameli, skulonej pod kopułą, poszukała dłoni Puga.

- Tylko się nie ruszaj, to się zaraz skończy. - W tym samym momencie Pug ujrzał, jak jeden ze stukasów oddzieliła się od klucza i nurkuje prosto na dzwonnice. Krzyknął ostrzegawczo na obserwatora, ale jego głos utonął w warkocie samolotów, terkocie dział przeciwlotniczych, wrzaskach i krzykach dolatujących z miasta oraz wyciu wichru. Szare niebo przecięła czerwona kropkowana linia pocisków smugowych, skierowanych wprost na dzwonnice. Błyszcząca kopuła zaśpiewała w takt ich uderzeń. Victor Henry brutalnie pchnął Pamelę płasko na ziemię i przykrył własnym ciałem. Samolot nadleciał tak blisko, że wydawał się całkiem duży. Nie przestając go obserwować przez ramię, Victor Henry ujrzał zamazaną sylwetkę pilota za pleksiglasową osłoną - uśmiechniętego od ucha do ucha blond młodzika bez hełmu. Kapitan myślał, że stukas zaraz uderzy w dzwonnice i gdy mimo woli zamrugał, poczuł uderzenie w lewe ramię. Ryk, świst i brzęk samolotu wzmógł się, przeleciał obok i zaczął cichnąć. Warkot i klekot pocisków o blachę ustał.

Pug powstał i pomacał ramię. Rękaw miał rozdarty tuż przy barku, naramiennik zwiślał na nitce, ale krwi nie było. Obserwator leżał na ceglanej posadzce koło przewróconej nożycówki. Niżej wybuchały jeszcze bomby, dwa pozostałe samoloty jeszcze ryczały i gwizdały nad miastem, ale jeden z nich mocno dymił. Pod głową obserwatora rosła kałuża krwi. Pug ze zgrozą ujrzał, że spod rozdartej pociskiem czapki wygląda biała, strzaskana kość czaszki, a po blond włosach sączy się coś szarego i krwawego. Podeszedł do leżącego i delikatnie zdjął mu gogle. Niebieskie oczy były otwarte, puste i nieruchome. Podniósłszy słuchawkę, Pug tak długo uderzał w widelki telefonu, aż mu ktoś odpowiedział. Krzyknął po rosyjsku: - Tu amerykański gość na wieży. Rozumiecie mnie? - W tym momencie dojrzał, jak dymiący samolot, próbując wspiąć się w górę, wybucha płomieniem i spada.

- Da! Gdzie jest Konstanty?

- Samolot go zabił.

- W porządku. Ktoś go zamieni.

Pamela, podpełzłszy do obserwatora, ujrzała martwą twarz i zmiażdżoną głowę. - O mój Boże, o mój Boże - załkała, ukrywając twarz w dłoniach.

Dwa pozostałe samoloty wzbily się i znikły z pola widzenia. Ze wznieconych w mieście pożarów bił, pachnący palącym się sianem, dym. Na wschód od nich ślady dwóch oddziałów pancernych, ciągnące przez równinę, prawie złączyły się w czarne „V”. Pug nastawił lornetę. Przez przesłaniające pole widzenia dym dostrzegł kręcące się w rzucającym żółte błyskawice wirze czołgi. Nad lżejszymi rosyjskimi czołgami górowało pięć potworów

typu „KW”. Palilo się wiele czołgów niemieckich, a ich załogi biegały po śniegu bezładnie jak mrówki. Kilka niemieckich czołgów i ciężarówek wycofywało się do lasu. Tylko z jednego z lekkich radzieckich czołgów bił czarny dym. Ale w chwili gdy Pug przyglądał się bitwie, jeden „KW” wybuchł gwałtownym ogniem pięknej krwistopomarańczowej barwy, rozlewając na śniegu kałużę koloru. Reszta niemieckich czołgów już zawróciła.

- Kotku! O Chryste, Chryste, nie! Przestań!

Pam poderwała w górę kota, który przysiadł przy zabitym. Podeszła do Puga z martwą ze zgrozy, zapłakaną twarzą, trzymając zwierzątko w ramionach. Kot oblizywał swój zakrwawiony nos i wąsy.

- To nie jego wina - wyjąkała zduszonym głosem.

- Rosjanie zwyciężają - rzekł Victor Henry.

Patrzyła na niego nic nie rozumiejącym spojrzeniem wytrzeszczonych w szoku oczu, przyciskając kota do siebie. Podniosła rękę, dotykając rozdarcia na ramieniu kapitana.

- Najdroższy, czy jesteś ranny?

- Nie. Ani trochę. Pocisk przeszedł przez materiał.

- Dzięki Bogu! Dzięki Bogu!

Drabina podskoczyła i zabrzęczała, a na jej szczycie ukazała się podniecona, czerwona twarz pułkownika Amfiteatrowa.

- Dobrze, z wami wszystko w porządku. Cieszę się. Dużo zabitych. Szybko! Oboje! Proszę za mną. - W tym momencie zauważył leżące we krwi ciało i zakrztusił się.

- Zostaliśmy ostrzelani z samolotu - powiedział Pug. - On został zabity.

Pułkownik potrząsnął głową i znikł w dole, powtarzając:

- No to proszę, chodźcie szybko.

- Idź pierwsza, Pam.

Pamela ogarnęła wzrokiem martwego, leżącego we krwi i śniegu na ceglach obserwatora, blaszaną kopułę, a potem w dali czarne „V” wryte na polu i ślady bitwy pancерnej.

- Tak się czuję, jakbym tu spędziła cały tydzień. Nie mogę zejść z kotem po drabinie. A nie możemy go tu zostawić.

- Podaj mi go.

Wsadziwszy zwierzę za pazuchę marynarskiego płaszcza i przytrzymując go jedną ręką, Pug niezdarnie zszedł za dziewczyną po drabinie i kręconych schodach. W pewnej chwili kot zaczął się kręcić, gryźć i drapać, a Pug omal nie zleciał. Wypuścił zwierzę dopiero przed cerkwią, ale przejeżdżające samochody i kłębiący się dym tak przeraziły zwierzę, że

zawróciło i znikło w środku pomiędzy rannymi.

Przez otwarte drzwi czarnego samochodu Tudsbury machał do nich laską.

- Hej! Tuż za miastem toczy się gigantyczna bitwa pancerna! Mówią, że kłębi się tam przynajmniej setka czołgów, kompletne inferno, i to dokładnie w tym momencie. Hej, rozdarłeś sobie płaszcz, wiesz o tym?

- Tak, wiem. - Choć gonił resztkami sił, Victor Henry nie mógł się nie uśmiechnąć na myśl o przepaści dzielącej dziennikarskie sprawozdania od realiów wojennych. Odczepił naramiennik i wrzucił do kieszeni. Rzeczywistość, to były dwie grupki czołgów, zderzające się z trzaskiem na zaśnieżonym polu. W porównaniu z opisem Tudsbury'ego wydarzenie zdawało się blade i nieistotne.

- Oglądaliśmy to - powiedział. Pamela wsiadła do samochodu i padła bezsilnie w kącie tylnego siedzenia, zamykając oczy.

- Naprawdę? Świetnie, Pamela dopomoże mi w tej relacji! Słuchaj, Pamelu, oczywiście dobrze się czujesz?

- Doskonale, Gaduło, dziękuję - odrzekła słabo, ale wyraźnie.

- Widzieliśmy początek ucieczki Niemców - rzekł Pug do pułkownika.

- To dobrze. Tak się stało, że batalion Kapłana zawiadomiono z południowego skrzydła. To dobry batalion. - Amfiteatrow zatrzęsnał drzwiczki. - Postarajcie się rozsiaść wygodnie. Teraz pojedziemy wprost do Moskwy.

- No, nie! - Tudsbury skrzywił tłustą twarz jak rozszoszczone niemowlę. - Chcę obejrzeć pole bitwy po walce. I chcę porobić wywiady z załogami czołgów.

Amfiteatrow odwrócił się ku nim z przedniego siedzenia, bez uśmiechu pokazując zęby i dziąsła. Za nim, przez zamarznąłą przednią szybę majaczył na głównej ulicy miasteczka dym, ogień, stojący dęba koń, biegający żołnierze i powoli wyplątujące się z korka zielone wojskowe ciężarówki.

- Na południu nastąpiło przełamanie na bardzo szerokim odcinku. Moskwa jest zagrożona. Wszystkie przedstawicielstwa zagraniczne zostaną ewakuowane na Kaukaz. Musimy dać nogę. - To ostatnie, slangowe wyrażenie z trudem wypowiedział po angielsku bez cienia rozbawienia, po czym odwrócił się do kierowcy: - Nu, skoro!

Pod rozciągniętym na nogach pasażerów kocem Pamela Tudsbury poszukała dłonią w rękawiczce ręki Victora Henry. Zdjęła rękawiczkę, splotła zimne palce z jego palcami i przycisnęła twarz do rozdartego ramienia marynarskiego płaszcza. Jego popękana od mrozu dłoń zacisnęła się na jej dłoni.

Leslie Slote, siedzący w palcie i futrzanej czapce, pracując przy świetle lampy naftowej, usłyszał w ciemności zbliżające się kroki. Jego uginające się pod papierami i raportami biurko stało wprost pod zgaszonym żyrandolem wielkiego holu kolumnowego Spaso House, moskiewskiej rezydencji ambasadora.

- Kto tam? - spytał piskliwym, zdenerwowanym głosem, który odbił się echem w pustym marmurowym holu. Nim rozpoznał twarze, w ciemności zamajaczyła mu biała czapka marynarska, biały szalik i mosiężne guziki. - Bogowie, kapitanie Henry, czemu nie zabrano pana wprost na Dworzec Kazański? Może jeszcze uda się panu zdążyć. Musi pan wyjechać z Moskwy jeszcze dziś wieczorem!

- Byłem na dworcu. Pociąg do Kujbyszewa odjechał. - Pug otrzepał śnieg z ramion. - Nalot zatrzymał nas poza Moskwą.

Slote zupełnie wstrząśnięty spojrzał na zegarek. - Ależ... to okropne! Bóg jeden wie, kiedy będzie następny pociąg do Kujbyszewa, jeśli w ogóle będzie. Czyżby pan nie wiedział, że jedna niemiecka kolumna pancerna już się przebiła na północy i okrąża miasto od tyłu? A mówią, że drugie ramię kleszczy zbliża się od strony Kaługi. Już nie wiadomo komu wierzyć, ale przynajmniej można założyć, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin zostaniemy całkowicie okrążeni. I znowu wszystko zaczyna pachnieć Warszawą - Slote wesoło zachichotał. - Niestety nie ma tu krzeseł. Brygada szalonych gruzińskich robotników przyjechała i ponakrywała oraz poskładała na stopy wszystkie meble... ooo, jednak jest stołek, proszę siadać...

- Ja na temat tych niemieckich kleszczy słyszałem o wiele mniej, a wracam prosto z Narkomindiela. - Kapitan usiadł nie rozpinając płaszcza. W Spaso House było prawie tak samo zimno i ciemno, jak w burzy śnieżnej na zewnątrz.

- A pan myśli, że oni cokolwiek powiedzą? Zapewniam pana, że usłyszałem to wprost od ambasadora szwedzkiego, dziś o dziewiątej wieczór w restauracji na Dworcu Kazańskim, gdy zegnałem tam nasz personel. Mój Boże, nie da się zapomnieć tego, co się tam działo! Jedna niemiecka bomba starłaby z powierzchni ziemi wszystkich korespondentów zagranicznych i dziewięć dziesiątych dyplomatów w Rosji. A na dokładkę niezły kęs radzieckiej biurokracji.

- Czy wszystkie maszyny do pisania są schowane? Mam raport do napisania.

- Są maszyny w biurze pułkownika Yeatona. Mam tu szkieletową załogę i mamy tak robić, by wszystko jakoś funkcjonowało do chwili, gdy charge zorganizuje ambasadę w

Kujbyszewie. - Slotę powiedział to z pełnym roztargnienia spokojem, ale nagle, na przygłuszony odgłos z zewnątrz, podskoczył. - Czy to była bomba? Nie ma pan czasu, kapitanie, na pisanie raportów. Jestem naprawdę odpowiedzialny za zapewnienie panu natychmiastowego wyjazdu z Moskwy i muszę nalegać, aby jakoś...

Pug przerwał mu podnosząc rękę. - Załatwia to Narkomindieł. Poza mną są jeszcze inni spóźnialscy. Mam się zgłosić po wiadomość o jedenastej rano.

- Ach! No, jeśli Narkomindieł przejmuje odpowiedzialność, to niech tak będzie - zachichotał Slotę.

Victor Henry przyjrzał mu się przez zmrużone oczy. - Jak to się stało, że po raz drugi wepchnięto panu takie zadanie? Po Warszawie trochę to przekracza granice przyzwoitości.

- Zgłosiłem się na ochotnika. Niech pan nie robi takiej sceptycznej miny. Naprawdę tak było. Jakby nie patrzeć, wiem już, jak trzeba w takich warunkach postępować. Nie jestem zbyt dumny z tego, co robiłem w Warszawie i pomyślałem sobie, że może tym razem potrafię się zrehabilitować.

- Ależ Byron mówił mi, że pan zrobił cholernie dobrą robotę w Warszawie, Leslie.

- Naprawdę? Byron jest gentlemanem. Prawie rycerzem. Co mi przypomina, że przyszła potężna poczta dyplomatyczna ze Sztokholmu w dniu pana wyjazdu. Było coś z Rzymu. Czy chciałby pan obejrzyć zdjęcie swego wnuka? - Pogrzebał w papierach na biurku i z wymiętej koperty wyciągnął fotografię. - Jest. Nie uważa pan, że to przystojny chłopak?

Od lampy naftowej czarne cienie kładły się w każdej fałdzie twarzy Victora. Na odwrocie zdjęcia napisane było: „Dla starego Slotę'a. Louis Henry w wieku jedenastu dni wraz z grubą kobietą z panopticum”.

Natalia ubrana w luźną suknię, tłusciutka, z podkrążonymi oczami, trzymała na rękach niemowlę zaskakująco podobne do Byrona z lat dziecięcych. Trójkątna twarz, wielkie, poważne oczy, komicznie uparta mina, cienkie blond włoski - wszystko było identyczne; Louis wyglądał jak kolejna odbitka z matrycy, która wymodelowała jego ojca. Był jednym z Henrych o wiele bardziej, niż chłopak Janice. Victor patrzył ze ściśniętym gardłem. Odchrząknął.

- Niezły. A Natalia ma rację, rzeczywiście utyla.

- Sama sobie winna. Za dużo odpoczywała w łóżku, jak pisze. Założę się, że dziecko będzie równie mądre, jak ładne. Wygląda na mądrego. - Victor Henry wpatrywał się w fotografię. - Może chciałby pan ją zatrzymać? - dodał Slotę.

Kapitan podał mu ją natychmiast.

- Nie, na pewno nie. Przysłała ją panu.

- Kapitanie Henry, ja ją z pewnością zgubię. Mam lepsze zdjęcia Natalii.

- Jest pan pewien? Zgoda. - Victor Henry zakłopotanym uśmiechem starał się wyrazić wdzięczność, dla której nie znalazł słów. Ostrożnie włożył zdjęcie do wewnętrznej kieszeni.

- Co z Tudsburymi? - spytał Slote. - Czy także ugrzęźli w Moskwie?

- Gdy widziałem się z Gadułą, właśnie próbował wyszachrować dla siebie i dla Pam podróż do Archangielska. Rosjanie wywożą tam samolotem grupę pilotów-instruktorów z RAF-u. Jestem pewien, że się dostanie.

- To dobrze. Czy mieliście jakieś kłopoty na froncie? Co za idiotyzm ciągnąć tam dziewczynę!

- Cóż, usłyszeliśmy trochę strzelaniny i zobaczyli paru Niemców. Lepiej wezmę się za ten raport. Jeśli Gaduła odleci, chcę mu dać kopię do wysłania via Londyn.

- To może i dla mnie zrobi pan kopię, dobrze? I jeszcze jedną do następnej poczty dyplomatycznej. Oczywiście, jeśli taka w ogóle będzie.

- Jest pan pesymistą, Slote.

- Jestem realistą. Byłem w Warszawie. Wiem, do czego Niemcy są zdolni.

- A czy pan wie, do czego są zdolni Rosjanie?

- Myślałem, że wiem. Z całej ambasady ja najbardziej zachwalałem Armię Czerwoną, do chwili... - Slote wzruszył ramionami i odwrócił się do biurka, wycierając nos. - Jedyne, co naprawdę działa mi na nerwy, to ten smród spalonego papieru. Mój Boże, jakże to przypomina Warszawę! W ambasadzie aż zatyka. Dzisiaj paliliśmy i palili bez przerwy, aż do chwili, gdy wszyscy wyjechali. A jeszcze została tona papierów, które mam jakimś sposobem spalić rano.

- Cała Moskwa tak śmierdzi - odrzekł Pug. - Najgorsze co znam, to jazda samochodem przez burzę śnieżną w wyziewach palonego papieru. W mieście bałagan nie z tej ziemi. Czy widział pan drut kolczasty i stalowe zapory blokujące mosty? Mój Boże, do tego jeszcze te tłumy na stacji! I zatory samochodów, wszystkie maskami na wschód i wszystkie z zapalonymi reflektorami. Do diabła z zaciemnieniem! Nie wyobrażałem sobie, że w całym Związku Sowieckim jest tyle samochodów osobowych i ciężarowych. A na każdym sterty materaców, starzy ludzie, dzieci i licho wie, co jeszcze. A nad głowami ślizgające się bez przerwy po niebie błękitne reflektory przeciwlotnicze, Bóg wie po co. I śnieg, i wiatr... Mówię panu, to wygląda jak koniec świata.

Slote zachichotał.

- A co, prawda? Ten exodus zaczął się w dniu waszego wyjazdu na front. I rośnie lawinowo. Wczoraj odjechał cały konwój czarnych limuzyn z rządowymi grubymi rybami,

klaksony były włączone na stałe. No, gdyby tylko pan widział, jak na to patrzyli ludzie na ulicach! Jestem pewien, że to z tego powodu wybuchła panika. Ale jestem z całym uznaniem dla Stalina. Zostanie do końca, a do tego trzeba odwagi, bo jeśli Hitler go złapie, powiesi jak psa na Placu Czerwonym, a obok zawiesi wyciągniętą z mauzoleum mumię Lenina, aż się rozsypie na wietrze. Ach, jeśli ktokolwiek przeżyje to wszystko, będzie miał o czym opowiadać!

Victor Henry wstał.

- Czy pan wie, że przy wejściu nie ma posterunku? Wszedłem ot tak sobie.

- To niemożliwe. Mamy przez całą dobę ochronę wojskową przydzieloną przez Narkomindiel.

- Nie ma nikogo.

Slote dwa razy otworzył i zamknął usta.

- Jest pan pewien? Przecież mogą nas napaść szabrownicy! Jeśli żołnierze porzucają posterunki, to koniec się zbliża. Muszę zadzwonić do Narkomindieła. Gdyby tylko udało się połączyć z centralą! - Skoczył z miejsca i znikł w ciemnościach.

Victor Henry po omacku przedostał się do gabinetu attache wojskowego. Tam w świetle zapalki, znalazł i zapalił dwie lampy naftowe. W ich nikłym żółtozielonym blasku obszedł biuro. Wszędzie leżały płatki czarnego popiołu. Na każdym ze stosów raportów, kartotek i luźnych papierów, leżących na podłodze i skórzanym fotelu, widniały napisy namazane czerwonym ołówkiem na brązowych okładkach: Spalić - natychmiast! - Opróżnione szuflady i szafki kartoteczne stały otworem, obrotowe krzesło było przewrócone do góry nogami. Biuro wyglądało, jakby przeszli przezeń włamywacze. Na biurku, oparty o maszynę do pisania ze splątanymi czcionkami, stał oddarty kawał tektury z poleceniem drukowanymi czarnymi literami: Rozkaz - spalić jeszcze dziś w nocy zawartość drugiej brązowej zamkniętej szafy (L. Slote zna kombinację zamka szyfrowego).

Pug zrzucił papiery z biurka, rozplątał czcionki maszyny do pisania i po obu jej stronach postawił lampy naftowe. Znalazł papier, kalki i przebitkę w szufladzie.

„Spaso House

16 października 1941.

Front moskiewski - relacja naocznego świadka”.

Palce miał tak zimne i zeszytywniałe, że uderzał w niewłaściwe klawisze: Maszynopisanie w grubym marynarskim płaszczu było trudne i niewygodne. W pustym budynku powolny stuk maszyny odbijał się głuchym echem. Jedna z lamp zaczęła filować. Henry kręcił knotem, aż znów rozpałała się jasno.

Niniejszy raport jest próbą opisu wizyty na aktywnym froncie na zachód od Moskwy, skąd w tej chwili powróciłem.

Dziś wieczorem, dwadzieścia mil od Moskwy, nasz samochód został zatrzymany z powodu nalotu na Moskwę. Z tej odległości widok był spektakularny: omiatające niebo reflektory, ogień artylerii przeciwlotniczej jak parasol kolorowych ogni sztucznych nad horyzontem, trwający przez pełne pół godziny. Niezależnie od wszelkich braków zaopatrzenia, wydaje się, że Rosjanie mają nieograniczone zapasy amunicji przeciwlotniczej i gdy Luftwaffe zapędza się nad stolicę, wystrzeliwują ją w niebo w ogromnych ilościach. Niczego na tę skalę nie widziałem w Berlinie ani Londynie.

Ale ten pokaz odwagi nie miał tego wieczoru odpowiednika na ziemi w Moskwie. Miasto przygotowuje się do oblężenia. Wygląda okropnie, a w ciężkiej śnieżycy uciekają bojaźliwi. Rząd komunistyczny albo nie umie, albo nie chce położyć kresu panice. Dowiedziałem się, że już istnieje slangowe określenie tego masowego exodusu: „Bolszoi Drap” - Wielkie Wianie. Dyplomaci zagraniczni i dziennikarze zostali wysłani do Kujbyszewa nad Wołgą, pięćset mil na wschód, a wiele instytucji rządowych wyjeżdża en masse do tego samego schronienia. Kierujące się na wschód pojazdy i pociągi absolutnie przypominają ucieczkę szczurów z tonącego okrętu. Niemniej są informacje, że Stalin zostaje na miejscu.

Sądzę, że ta panika jest przedwczesna, a Moskwa ma duże szanse obronienia się. A nawet gdyby upadła, nie będzie to jeszcze koniec. Z frontu przywiozłem wiele wrażeń, ale najważniejsze z nich jest to, że Rosjanie, choć stoją już prawie na linii autowej, nie są pobici. Kierownictwo amerykańskie musi samo ocenić, czy Rosja utrzyma się czy upadnie i zgodnie z tym skierować odpowiednio dostawy Lend Lease. Sprawozdanie naocznego świadka z wizyty na froncie, jakkolwiek fragmentaryczne, może być tu przydatne.

Teraz już maszyna stukiała pośpiesznie. Była prawie pierwsza w nocy. Victor Henry miał jeszcze wrócić do hotelu, by się spakować. Zaczął żuć na wzmocnienie kolejnego „Białego Niedźwiedzia” - rosyjski baton czekoladowy - i rozpoczął opowiadanie o swej podróży. Nagle w pokoju włączyła się elektryczność, ale nie zgasił lamp naftowych i pisał dalej. Po pół godzinie światło elektryczne zamrugało; szczywniało, przygasło, zapulsowało i wreszcie zgasło zupełnie. Henry pisał dalej.

Właśnie opisywał wnętrze czołgu „KW”, gdy wszedł Słote z uwagą:

- Pan naprawdę wziął się za to poważnie.
- Pan też do późna jest zajęty.
- Już zbliżam się do końca sterty - odrzekł, kładąc na biurku zalakowaną brązową

kopertę. - A ponadto przyszło w poczcie jeszcze i to. Może trochę kawy?

- Mowa! Dziękuję.

Pug przeciągnął się i przespacerował po pokoju, zabijając ręce i tupiąc nogami dla rozgrzewki, nim złamał pieczęcie koperty. Wewnątrz były dwa listy, jeden z Białego Domu, drugi z Wydziału Kadr. Zawahał się, po czym otworzył najpierw list z Białego Domu. Stroniczka wypełniona była odręcznie, pochyłym pismem Harrego Hopkinsa.

Kochany Pugu,

Chcę Ci pogratulować nowego przydziału i przekazać najlepsze życzenia Szefa. Jest bardzo zaniepokojony Japończykami, którzy robią się paskudni i oczywiście wszyscy z napięciem śledzimy walkę Rosjan. Nadal uważam - i modłę się o to - że wytrzymają. Spodziewam się, że mój list dotarł do Stalina. Jest on szcurem lądowym i trzeba go przekonać, że przekroczenie kanału La Manche to wielka operacja. W przeciwnym razie ku wielkiej radości Hitlera posypią się oskarżenia, że działamy w złej wierze. Jest zwrot na gorsze w zatopianiu statków przez łodzie podwodne na Atlantyku, a i w Afryce Niemcy zaczynają się wymykać spod kontroli. Biorąc wszystko pod uwagę, nad słuszną sprawą zaczyna się burza. Będzie nam ciebie brak w cichym bractwie posłańców.

Harry H.

W drugiej kopercie znajdował się pisany w telegraficznym stylu list na blankiecie Marynarki Wojennej:

Listownie.

Od: Szefa kadr.

Do: Kapitana Victora Henry, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych.

Pierwszego listopada odwołany obecnego przydziału x udać się najszybszym środkiem transportu Pearl Harbor x zameldować Kalifornii (BB 64) przejąć dowództwo x przedłożyć dowody kasowe kosztów podróży warunkach bojowych do Pearl.

W suchym, banalnym żargonie Marynarki Wojennej na cienkim żółtym arkusiku leżała przed Henrym nominacja na dowódcę pancernika. I to jakiego! „Kalifornia”, stara „Porządna Łajba” na której odbywał dwukrotnie służbę, raz jako podporucznik i raz jako komandor-porucznik; którą znał i kochał; okręt noszący nazwę jego rodzinnego stanu, zwodowany w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku i kompletnie zmodernizowany.

Dowódca „Kalifornii”!

Pierwszą reakcją Victora Henry była chłodna kalkulacja. Jasne było, że udało mu się uniknąć pułapki przydziału do sztabu admirała Kinga. Z jego rocznika tylko Warendorf, Munson i Brown dowodzili pancernikami, a Robinson „Saratogą”. Mimo wszystko jego

dziwaczna rola „cichego posłańca” prezydenta okazała się drogą na skróty w karierze zawodowej i nagle znów stanął przed nim w bliskiej perspektywie pełen blasku stopień admirałski.

Pomyślał o Rhodzie, która przez dwadzieścia siedem lat z niepokojem wyczekiwała wraz z nim na ten kawałek żółtej bibułki. A także o Pameli, bo chciał się natychmiast podzielić z nią swoją radością. Ale nie był nawet pewien, czy ją jeszcze ujrzy w Moskwie. Rozstali się z mocnym uściskiem dłoni na dworcu kolejowym w chwili, gdy Gaduła Tudsbury błagał pilotów RAF-u, by wzięli go ze sobą i równocześnie zagadywał człowieka z Narkomindiela, który starał się go stamtąd odciągnąć.

Wszedł Leslie Slote z dwiema szklankami czarnej kawy.

- Co dobrego?

- Nowe rozkazy. Dowództwo „Kalifornii”.

- O? A co to jest?

- Pancernik.

- Pancernik? - Slote z miną pełną powątpiewania łyknął kawy. - Czy tego właśnie pan sobie życzył?

- Zawsze to jakaś odmiana.

- Mogę sobie wyobrazić, że wyda się to panu czymś ograniczonym i... No, rutynowym po dotychczasowych zajęciach. Niewielu oficerów marynarki, a prawdę powiedziawszy także niewielu Amerykanów rozmawiało ze Stalinem twarzą w twarz.

- Leslie, nie mogę powiedzieć, bym był aż tak bardzo niezadowolony z tego rozkazu.

- Tak? No to widzę, że należy panu złożyć gratulacje. Jak panu idzie z raportem? Chyba niedługo położę się spać.

- Jeszcze kilka godzin roboty.

- To niewiele zostanie panu na sen. - Slote pokręcił głową i wyszedł.

Victor Henry siedział popijając kawę i medytując nad prostokąciem żółtego papieru z wyrokiem, nagle zmieniającym bieg jego życia. O nic lepszego poprosić nie mógł. To była Błękitna Wstęga, najwyższa ocena, złoty medal marynarskiej służby. A przecież pomimo tak wspaniałych nowin, coś mu nie dawało spokoju. Co to było? Po głębokiej autorefleksji, między jednym i drugim łykiem kawy, Pug odkrył coś zdumiewającego na własny temat.

Po przeszło dwudziestu pięciu latach służby jakby wyrósł ze swej żądz awansu. Teraz bardziej interesowała go wojna. Pracując w Planowaniu Wojennym toczył nieustanną, czujną walkę o utrzymanie wysokiego stopnia pierwszeństwa dla programu budowy okrętów desantowych, noszącego kodową nazwę „Elza”. „Kochanka Puga, Elza” - mówiono, i nie był

to żart. Ale teraz nie będzie prowadził dalej tej walki. Jego miejsce przejmie Mike Drayton. Mike jest doskonałym oficerem, komandorem z solidnym stażem w Wydziale Okrętownictwa i niezwykłą znajomością całego przemysłu krajowego. Ale brakowało mu wojowniczości i dostatecznie wysokiego stopnia wojskowego. „Elza” straci dotychczasową pozycję.

Oczywiście nie na długo. Pewnego dnia nadejdzie znak - Henry był tego pewien na podstawie swych studiów operacyjnych - i okręty desantowe wskoczą na sam szczyt listy pierwszeństw, a wtedy zacznie się gorączkowa szarpanina, by je natychmiast budować. Przebieg wojny na tym ucierpi, być może jakaś drobna operacja desantowa zakończy się porażką z wielkimi stratami ludzi. Ale z drugiej strony, pomyślał Pug, poczucie, że na jego barkach spoczywa odpowiedzialność za losy wojny i trwanie w obsesji „Elzy”, choć stanowiła część jego życia, były absurdem. Po prostu wpadaniem ze skrajności w skrajność. Wojna była czymś na większą miarę od jakiegokolwiek pojedynczego człowieka, a Pug Henry był w niej tylko malutkim, wymiennym kóleczkim. Tak czy inaczej, prędzej czy później. Stany Zjednoczone zbudują dość okrętów desantowych, by pobić Hitlera. A tymczasem on musi dotrzeć do swego pancernika.

W kącie pokoju stał globus. Podeszedłszy tam z lampą, Victor Henry kciukiem i palcem wskazującym zaczął mierzyć odległość od Moskwy do Pearl Harbor. Stwierdził zaskoczony, że prawie nie stanowi różnicy czy pojedzie na zachód czy na wschód: te dwa miejsca znajdowały się dokładnie po przeciwnych stronach kuli ziemskiej. Ale który kierunek okaże się szybszy i bezpieczniejszy? Na zachód prowadziły wszystkie dobre i szybkie środki transportu: przez Atlantyk i Stany Zjednoczone, a potem skok PanAmem z San Francisco do Honolulu. Kaszka z mleczkiem! Niestety, płonąca bariera wojny uczyniła Europę nieprzekraczalną w tym kierunku od Spitsbergenu do Sycylii i od Moskwy do kanału La Manche. Istniały jeszcze wąziutkie ścieżki przez ogień: konwojem okrętowym przez Morze Północne, następnie ryzykowne połączenie lotnicze ze Sztokholmu do Londynu. Teoretycznie, jeśli w ogóle dostanie się do Sztokholmu, może nawet polecieć przez Berlin i Madryt do Lizbony. Ale kapitan Victor Henry nie miał zamiaru w drodze do objęcia dowództwa „Kalifornii” postawić nogi w Niemczech czy na terytoriach przez Niemców okupowanych. Niewątpliwie jego ostatnia, ordynarnie obraźliwa uwaga na temat Göringa, wypowiedziana do Wolfa Stallera, została zapisana. Niemcy, tak bliscy podboju świata, z przyjemnością położyliby łapy na Victorze Henrym.

Wobec tego na wschód? Powolne i niepewne rosyjskie pociągi, już zapchane do ostateczności- uciekinierami przed niemieckim atakiem; przypadkowe, jeszcze mniej pewne rosyjskie samoloty. Ale ta droga prowadziła przez tereny nie objęte wojną i była odrobinę

krótsza, szczególnie z Kujbyszewa, o pięćset mil bliższego Pearl Harbor. Tak - pomyślał - lepiej zacząć natychmiast załatwiać z oszalałymi ze strachu Rosjanami sprawę swej podróży przez połowę kuli ziemskiej.

- Wygląda pan, jak szalony zdobywca - rozległ się głos Slote'a.

- He?

- Pożerający oczami globus przy świetle lampy. Brak panu jeszcze tylko czarnego wąsika. - Dyplomata oparł się o framugę drzwi, przebierając palcami po dymiącej fajce. - Mamy gościa.

W holu, koło biurka pod żyrandolem, stał rosyjski żołnierz otrzepując śnieg z długiego płaszcza khaki. Zdjął szpiczastą czapkę, by ją także otrzepać i Pug ze zdumieniem rozpoznał Jochanana Jastrowa. Był krótko ostrzyżony, podbródek zarastała mu rzadka ruda szczecina z wielu siwymi włosami. Wyglądał brudno i ordynarnie.

W odpowiedzi na pytania Slote'a wyjaśnił po niemiecku, że aby otrzymać ciepłą odzież i jakiegokolwiek dokumenty, podał się za żołnierza z rozbitej jednostki. Władze moskiewskie zbierały tego rodzaju rozbitków i uchodźców i formowały z nich na oczekaniu bataliony robocze, nie zadając wielu pytań. Miał poprzednio komplet fałszywych papierów, w schronie przeciwniejszym zaczął go wypytywać policjant i papiery zabrał, ale Jastrowowi udało się uciec. Można było znowu kupić fałszywe papiery, prowadzano nimi regularny handel, ale tym razem wołał wojskowe.

- W tym kraju, sir - powiedział - człowiek bez papierów ma się gorzej niż pies albo świnia. Pies i świnia mogą jeść i spać bez papierów. Człowiek nie. Może za pewien czas sytuacja wojenna zmieni się na lepsze i będę mógł odnaleźć moją rodzinę.

- Gdzie ona jest? -- spytał Slote.

- Z partyzantami, koło Smoleńska. Żona mego syna rozchorowała się, więc ich tam zostawiłem.

- Chyba nie zamierza pan wracać do nich przez niemieckie linie? - zdziwił się Pug.

Kuzyn Natalii rzucił mu z ukosa dziwne spojrzenie. Jeden kącik ust uniósł do góry, ukazując białe zęby, drugi pozostał ponuro zaciśnięty.

- Rosja to bardzo wielki kraj, kapitanie Henry, pełen lasów. Dla własnego bezpieczeństwa Niemcy trzymają się głównych dróg. Już raz przechodziłem przez linię frontu. Tysiące ludzi tak zrobiło. - Zwrócił się do Lesliego Slote'a. - Tak. Ale usłyszałem, że wszyscy cudzoziemcy opuszczają Moskwę. Chciałem się dowiedzieć, co się stało z papierami, które panu dałem.

Dyplomata i oficer spojrzeli po sobie z jednakowym wyrazem wahania i zakłopotania.

- Noooo... Pokazałem te papiery ważnemu amerykańskiemu dziennikarzowi - rzekł Słote. - Wysłał długą korespondencję do Stanów Zjednoczonych, ale obawiam się, że zrobiono z tego tylko małą notatkę na jednej z ostatnich stron. Widzi pan, tyle już było opowiadań o niemieckich okrucieństwach!

- Takich jak to!? - wykrzyknął ze złością i rozczarowaniem na zarośniętej twarzy. - Dzieci, matki, starcy? Siedzący we własnych domach, nie robiący niczego, wyciągnięci w środku nocy do dołów wykopanych w lesie i zastrzeleni?

- Okropność. Być może dowódca wojskowy w rejonie Mińska był szaleńczo fanatycznym nazistą?

- Ależ mordercy nie byli żołnierzami, to już panu mówiłem. Byli w innych mundurach. A tutaj w Moskwie, ludzie z Ukrainy i z północy opowiadają takie same historie. To się dzieje, sir, wszędzie, nie tylko w Mińsku. Proszę mi wybaczyć, ale czemu nie dał pan tych dokumentów swemu ambasadorowi? Jestem pewien, że przesłałby je prezydentowi Rooseveltowi.

- Przedstawiłem mu pana dokumenty. Muszę z przykrością powiedzieć, że przedstawiciele naszego wywiadu zakwestionowali ich autentyczność.

- Co?! Ależ sir, to wprost niewiarygodne! Mogę panu jutro przyprowadzić dziesięć osób, które opowiedzą o takich samych zdarzeniach i złożą zaprzysiężone zeznania. Niektóre z nich to naoczni świadkowie, którzy uciekli z tych właśnie ciężarówek, którymi wieźli ich Niemcy, i....

- Posłuchaj, mój dobry człowieku - przerwał mu doprowadzony do skrajnej irytacji Słote, wskazując gestem zasypane papierami biurko - jestem tutaj prawie sam jeden, odpowiedzialny za wszystkie sprawy mego kraju w Moskwie. Naprawdę uważam, że zrobiłem dla pana wszystko, co mogłem. Pokazując dokumenty dziennikarzowi potem, jak je zakwestionował nasz wywiad, złamałem instrukcje. Otrzymałem za to ostrą naganą. Prawdę mówiąc wziąłem na siebie tę brudną robotę, jaką jest pozostanie w Moskwie po to, aby uzyskać jej wymazanie. Pańskie opowiadanie jest przerażające, ja sam jestem, niestety, skłonny w nie wierzyć, ale to jest tylko maleńkie wydarzenie tej odrażającej wojny. W ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwu godzin Moskwa może upaść, i tym się teraz głównie zajmuję. Bardzo mi przykro.

Jastrow wysłuchał tego wybuchu bez mrugnięcia okiem i odpowiedział spokojnym, upartym tonem:

- Bardzo mi przykro z powodu pańskiej nagany. Niemniej, jeśli by prezydent Roosevelt mógł tylko dowiedzieć się o szaleńczej rzezi niewinnych ludzi, to by ją ukrócił. On

jeden na całym świecie może to zrobić. Zwrócił się do Victora Henry: - Kapitanie, czy zna pan jakąkolwiek inną drogę, którą ta historia mogłaby dotrzeć do prezydenta Roosevelta?

Pug już sobie wyobraził, jak pisze list do prezydenta. Widział już szereg podobnych historii w druku i nawet jeszcze bardziej makabryczne, oficjalne raporty o wymordowaniu rosyjskich partyzantów i mieszkańców wsi. Taki list byłby bezskuteczny. Więcej - dyletancki. Byłoby to ponaglanie prezydenta w sprawach, które już zna lub przynajmniej podejrzewa. On, Victor Henry, był oficerem Marynarki Wojennej, czasowo odkomenderowanym do Związku Sowieckiego w sprawach Lend-Lease. Taki list byłby podobną impertynencją, jak odezwanie się Byrona przy stole w Białym Domu. Ale Byron miał przynajmniej to usprawiedliwienie, że niepokoił się o własną żonę.

Victor Henry odpowiedział Jastrowowi podniesieniem obu rąk w górę. Melancholijnie skinąwszy głową Jastrow powiedział:

- Oczywiście, to nie leży w pana kompetencjach. Czy miał pan wiadomości od Natalii? Czy ona i Aaron są już w kraju?

Pug wyciągnął zdjęcie z kieszeni na piersiach.

- Ta fotografia jest sprzed paru tygodni. Być może już wyjechali z Włoch. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Jastrow podniósł zdjęcie do światła, a jego twarz nagle rozjaśnił zupełnie nie licujący z sytuacją, ciepły i łagodny uśmiech.

- Ależ to malutki Byron! Niech mu Bóg błogosławi i trzyma go z dala od niebezpieczeństwa. - Patrząc na Victora Henry, którego oczy zamglily się na dźwięk tych paru sentymentalnych niemieckich słów, oddał mu fotografię. - No cóż, panowie byli dla mnie bardzo uprzejmi. Zrobiłem co mogłem, by opowiedzieć wam co wydarzyło się w Mińsku. Może któregoś dnia dokumenty dotrą do właściwych rąk. Są prawdziwe i modłę się, by ktoś szybko znalazł sposób opowiedzenia prezydentowi Rooseveltowi o tym, co się dzieje. On musi wybawić Żydów z niemieckich szponów. Tylko on to może.

Z tymi słowami Jochanan Jastrow obdarzył ich swym niewesołym, krzywym uśmiechem i rozpląnął się w ciemności za kręgiem światła lampy naftowej.

* * *

Gdy dzwonek budzika po godzinie, może po dwóch wyrwał go z drzemki, wyczerpany Pug ledwie pamiętał o napisanym liście, który leżał na biurku koło zegarka nakreślony na dwóch arkuszach papeterii hotelu National. Pomimo zamkniętych okien, w pustym pokoiku panowało lodowate zimno. Victor Henry narzucił na ramiona kupiony w Londynie gruby

wielniany szlafrok, włożył drugą parę ciepłych skarpet i usiadł przy biurku, by jeszcze raz przeczytać swój list.

Szanowny Panie Prezydencie,

Dowództwo „Kalifornii” jest wypełnieniem moich życiowych ambicji. Zrobię co w mojej mocy, by w tej służbie okazać się godnym okazanego mi zaufania.

Panu Hopkinsowi przesyłam raport z dokonanych na jego polecenie odwiedzin frontu pod Moskwą. Zawiera wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły, nie warte Pana zainteresowania. Potwierdziło się moje główne wrażenie, że Rosjanie prawdopodobnie zatrzymają Niemców, a z czasem wypędzą ich ze swego kraju. Tymczasem potrzebują w każdej ilości pomocy, którą możemy im wysłać, i to tak szybko jak to możliwe. Z naszych własnych, egoistycznych motywów nie da się zrobić lepszego użytku z uzbrojenia, ponieważ zabijają oni wielką liczbę Niemców. Wielu martwych nazistów widziałem na własne oczy. Pozwalam sobie również wspomnieć, że nasza tutejsza ambasada otrzymała dokumentalne dowody niemal niewiarygodnego masowego mordu na Żydach, dokonanego pod Mińskiem przez jakieś niemieckie oddziały paramilitarne. Pamiętam, jak na pokładzie „Augusty” powiedział Pan, że dalsze karcenie Hitlera byłoby poniżające i bezcelowe. Ale w Europie, Panie Prezydencie, Ameryka uważana jest za ostatni bastion ludzkości, a Pan jest dla tych ludzi głosem sprawiedliwego Boga na Ziemi. To wielki ciężar, ale jest to faktem.

Dlatego pozwalam sobie sugerować, aby Pan zechciał zażądać tych materiałów o Mińsku do własnego wglądu. Niemcy poważnie zastanowią się nad kontynuowaniem tych okropności, jeśli oskarży ich Pan przed światem i potwierdzi swe oskarżenie dowodami w postaci dokumentów. Również opinia światowa może raz na zawsze odwrócić się od rządu Hitlera.

Z wysokim szacunkiem

Victor Henry,

kapitan Marynarki Wojennej

Oglądany świeżym okiem po drzemce list zdecydowanie zrobił na nim wrażenie nieprzemyślanego i zasługującego tylko na to, by znaleźć się w koszu. Dwa pierwsze akapity były nieszkodliwe, ale prezydent swym bystrym wzrokiem natychmiast wykryje, że są tylko rozwodnieniem właściwego tekstu. Reszta, istota rzeczy, była zbędna, nawet obraźliwa. Doradzał prezydentowi, aby nad głowami całego Departamentu Stanu, z jego własnym ambasadorem w Związku Sowieckim włącznie, zażądał wglądu do pewnych dokumentów. Nie było szans, by Roosevelt do tego się posunął, a jego opinia o Victorze Henrym z całą pewnością znacznie się pogorszy. Przypomni sobie natychmiast, że Pug ma synową

Żydówkę, z którą już były kłopoty. A Victor nie miał przecież pewności, czy dokumenty są prawdziwe. Jastrow mógł być, jak to przypuszczał Tudsbury, podesłany przez NKWD, aby podrzucić im przeznaczone do amerykańskiego użytku materiały. Człowiek wprawdzie wyglądał ucziwie, ale to niczego nie dowodziło.

W swoim życiu Henry naszkicował tuziny źle pomyślanych listów po to tylko, by pozbyć się sprawy z głowy, a później je wyrzucał. W takich okolicznościach ujawniało się jego bystre, redaktorskie spojrzenie w połączeniu z nieomylnym instynktem nienarazania własnej kariery. Gdy rozległo się ostre stukanie do drzwi, rzucił list na biurko pismem do dołu. Ukazał się Alistair Tudsbury, oparty na lasce, ogromny, z czerwoną twarzą, z astrachanową czapką na głowie i w długim futrze.

- Dzięki Bogu, że tu jesteś, stary. - Korespondent kulejąc przeszedł przez pokój w pełnym świetle słońca i padł na fotel, wyciągając wygodnie swą chorą nogę. - Przepraszam, że tak się do ciebie wdarłem ale... Hej, czy ty się dobrze czujesz?

- O, tak. Wprost znakomicie. - Pug roztarł oburącz twarz. - Przez całą noc pisałem raport. Co się dzieje?

Tudsbury wpatrzył się w kapitana wylupiastymi oczami.

- To głupia sprawa, ale kawa na ławę. Czy ty i Pamela jesteście kochankami?

- Co? - Pug był zbyt zdumiony i zbyt zmęczony, aby się rozzłościć lub rozbawić. - Ależ nie! Oczywiście nie.

- Wyobraź sobie, to śmieszne, ale ja też tak sędzę. I właśnie dlatego cała sprawa jest tak krępująca i kłopotliwa. Przed chwilą Pamela powiedziała mi wprost, że nie wróci do Londynu, jeśli ty tam nie jedziesz! Jeśli wybierzesz się do Kujbyszewa, ma zamiar przyłączyć się do ciebie, a tam znaleźć pracę w ambasadzie brytyjskiej lub jakąś inną podobną. Przecież to absolutna bzdura! - wrzasnął, waląc laską w podłogę. - Przede wszystkim wiem, że Narkomindiel na to się nie zgodzi. Ale ona się zaparła. Nie przyjmuje żadnych argumentów. A ci chłopcy z RAF-u odlatują w południe i mają miejsca dla nas obojga.

- Gdzie ona jest w tej chwili?

- Nigdy byś nie uwierzył, ale poszła na spacer na Plac Czerwony. Możesz to sobie wyobrazić? Nawet nie chce się spakować. Victor, rozumiesz chyba, że nie przyszedłem tu w roli oburzonego ojca. - Gadatliwość Tudsbury'ego była wręcz przysłowiowa. Ale tym razem słowa lały się z niego niepowstrzymanym strumieniem. - To byłoby najgłupsze, co mógłbym zrobić. Do diabła, ja sam w tych drobnych sprawkach przez całe życie robiłem to, na co miałem ochotę. Gdybym spróbował prawić jej morały, roześmiałaby mi się w twarz. Ale gdzie tu zdrowy rozsądek? Przecież ty, szczęśliwy małżonek, nie chciałbyś, aby się za tobą

włoczyła, prawda? Co za żenująca sytuacja! A poza tym, co z Tedem Gallardem? Wiesz, co ona mi powiedziała? Żebym go zawiadomił, że koniec z ich narzeczeństwem! Kiedy odpowiedziałem, że nic takiego nie zrobię, usiadła, napisała do niego list i wrzuciła do mojej torby. Mówię ci, Victor, że mam z nią prawdziwe piekło.

Przyłożywszy dłoń do czoła Pug odrzekł tonem wielkiego zmęczenia, ale z radością w sercu:

- Możesz mi wierzyć na słowo, że jestem zupełnie zaskoczony.

- Byłem pewien, że tak będzie. Tłumaczyłem jej do utraty tchu, że nic z tego nie będzie, że jesteś staromodnym, pruderyjnym mężczyzną, uosobieniem poczucia honoru, oddanym żonie i tak dalej. A wiesz co ta bezczelna dziewczyna mi odpowiedziała? Że zgadza się ze mną całkowicie i właśnie za to cię lubi. Nic do niej nie dociera! Victor, dla brytyjskiej dziewczyny bezcelowe włóczenie się po Moskwie w chwili, gdy Hunowie okrążają miasto, jest i głupie, i niebezpieczne.

- Tak, na pewno. Czemu nie jedziesz z nią do Kujbyszewa, Gaduło? Prócz ciebie wszyscy co do jednego zagraniczni korespondenci pojechali tym pociągiem.

- Bo wszyscy są idiotami. Już tutaj w Moskwie uzyskanie jakichś wiadomości było dosyć trudne. A jakież u diabła znajdą oni tematy w tej prowincjonalnej dziurze nad Wołgą? Będą się tylko zapijać aż do marskości wątroby i grać w pokera do utraty wzroku. Mój jest już wystarczająco zły. Daję dyla. Jeśli Ruscy utrzymają Moskwę, wrócę. Wierzę i mam nadzieję, że to potrafią. Ale jeśli nie, no to koniec. Anglia goni resztkami sił, wiesz o tym dobrze. Położymy karty na stół. Nastąpi wielkie odwrócenie wszystkiego, a twój FDR ze swoim znakomitym wyczuciem momentu może się znaleźć w obliczu całego świata, uzbrojonego przeciw niemu.

Victor Henry na sztywnych nogach podszedł do pożółkłego lustra i potarł nie ogolony podbródek. - Powiniennem chyba porozmawiać z Pamelą.

- Zrób to, kochany, zrób to koniecznie. I pośpiesz się!

* * *

Ulica zasłana była świeżym śniegiem. W jasnym blasku słońca rozlegała się śpiewana nierówno męskimi głosami rosyjska pieśń. Oddział starców i chłopców z kilofami i szpadlami na ramionach, głośno wyrzaskując marszową melodię, podążał za sierżantem armii przez Plac Maneżowy. Inni moskwianie szli przed siebie zwykłym krokiem w swoich sprawach, zakutani w płaszcze i szale, ale przechodniów było o wielu mniej niż dawniej. Być może, pomyślał Pug na ten widok, uciekły już wszystkie szczury, a to byli prawdziwi mieszkańcy

Moskwy.

Poszedł w kierunku Placu Czerwonego. Po drodze minął ogromny plakat walczącej ojczyzny, uosobionej przez muskularną, wrzeszczącą kobietę, wymachującą mieczem i czerwoną flagą, a także mniejsze, przedstawiające szczury, pająki i węże z twarzami Hitlera, przebijane bagnietami przez przystojnych, gniewnych rosyjskich żołnierzy lub rozgniatanych przez czołgi Armii Czerwonej. Plac Czerwony był pusty. Na ogromnej płaszczyźnie, zasypanej grubo śniegiem prawie nie widać było śladów stóp. Pod murem Kremla, przy mauzoleum Lenina, którego czerwone marmury zakryte były warstwami zaśnieżonych worków z piaskiem, stali jak zawsze dwaj żołnierze podobni do żywych posągów, ale brak było zwykłej kolejki odwiedzających. Daleko, po przeciwnej stronie placu, Victor Henry dostrzegł małą figurkę w szarym ubraniu, idącą samotnie koło soboru Błogosławionego Wasyla. Nawet z takiej odległości rozpoznał taneczny krok i charakterystyczne ruchy rąk, po raz pierwszy ujrane na pokładzie „Bremen”. Poszedł w jej stronę. Jego kalosze zapadały się głęboko w śnieg, przyprószony czarnym popiołem spalonych papierów. Pamela zobaczyła go i zamachała rękami. Podbiegła na spotkanie i rzuciła mu się w ramiona, całując tak, jak to zrobiła po jego powrocie z lotu nad Berlin. Jej oddech był pachnący.

- Diabli nadali! Stary poszedł do ciebie i wszystko wygadał.

- Zgadza się.

- Jesteś zmęczony? Wiem, że nie spałeś przez całą noc. Koło katedry są ławki. Jakie masz plany? Czy wybierasz się do Kujbyszewa? Czy raczej pojedziesz do Londynu?

Szli ramię w ramię ze splecionymi dłońmi.

- Ani tu, ani tu. Nagła zmiana. Pam, dostałem rozkazy. Czekają tu na mnie. Mam objąć dowództwo pancernika „Kalifornia”.

Zatrzymała się, pociągnęła za rękaw; by schylił się do niej, chwyciła go za obie ręce i spojrzała w twarz szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami.

- Dowództwo pancernika!!!

- Nielicho, co? - odpowiedział tonem uczniaka.

- Boże, absolutna bomba! Wkrótce zostaniesz admirałem, prawda? Och, jaka szczęśliwa będzie twoja żona! - Pamela powiedziała to z całkowicie bezinteresowną radością. Puściła Puga i znów poszli przed siebie. - Gdybym tylko miała butelkę tego kiepskiego gruzińskiego szampana, tutaj i w tej chwili. Dobra! To absolutnie cudowna nowina. Gdzie stacjonuje „Kalifornia”? Wiesz o tym?

- Pearl Harbor. - Pamela spojrzała na niego pytająco. - Oahu. Wyspy Hawajskie.

- A, Hawaje. W porządku. Zaraz pomyślimy, jak mam się tam dostać. Musi tam być

konsulat brytyjski albo jakaś wojskowa misja łącznikowa. Z pewnością jest.

- Czy nie jesteś na urlopie z lotnictwa wojskowego? Czy nie musisz wracać do służby, jeśli Gaduła dotrze do Londynu?

- Ukochany, pozwól, że ja się tym zajmę. Bardzo, bardzo dobrze umiem dostawać to, czego chcę.

- Nie wątpię.

Roześmiała się. Zmiotli śnieg z ławki stojącej przed ogrodzeniem dziwaczego soboru. Jego kolorowe kopuły w kształcie cebuli i ananasów przykryte były, podobnie jak czerwone gwiazdy na kremlofskich wieżach, grubym szarym płótnem.

- Kiedy odjeżdżasz na Hawaje i jaką drogą?

- Gdy tylko będę mógł, przez Syberię, Japonię i Filipiny. - Ujął jej dłonie w swoje. - A teraz, Pam, posłuchaj...

- Chcesz mi powiedzieć kazanie? Nie trudź się, Victor, to nie poskutkuje.

- Wspomniałaś moją żonę. Prawdopodobnie ona przyjedzie do Pearl.

- Uważam, że powinna.

- Więc co właściwie masz na myśli?

- Ależ najdroższy, ponieważ mnie pytasz, to ci odpowiem. Mam na myśli, że ty i ja będziemy ją zdradzać przyzwoicie, ostrożnie i miło, aż się mną znudzisz. A wtedy odjadę do domu.

To szczere oświadczenie wstrząsnęło Victorem. Było to coś tak nowego, tak niepodobnego do ustalonych reguł jego życia, że jedyne na co się zdobył, to była sztywna i niezdarna odpowiedź:

- Nie rozumiem tego rodzaju układu.

- Wiem, kochanie. Wiem, że wydaję ci się szokująco niemoralna. Jesteś kochanym, dobrym człowiekiem. Niemniej nie wiem, co innego mogłabym ci zaproponować. Kocham cię. I tego nie da się zmienić. Jestem szczęśliwa przy tobie i nieszczęśliwa, gdy cię nie ma. I nie mam zamiaru być już kiedykolwiek daleko od ciebie przez tak długi czas. Przynajmniej do chwili, gdy mnie odeślesz. Więc musisz się pogodzić z tą umową. A tak naprawdę to ona wcale nie jest taka zła.

- Nie, nie jest zła, ale ty jej nie dotrzymasz.

Pamela zdziwiła się, po czym w jej oczach pojawił się błysk rozbawienia, a wargi wygięły się w uśmiechu mądrej, dorosłej kobiety.

- Nie jesteś taki tępy.

- W ogóle nie jestem tępy, Pamelko. Marynarka Wojenna nie daje tępakom

pancerników.

Kolumna oliwkowych ciężarówek z wielkimi czerwonymi gwiazdami wjechała z rykiem na plac, przejeżdżając koło muzeum z czerwonej cegły i budynku GUM-u z zasłoniętymi oknami i ustawiła się szeregiem naprzeciw mauzoleum Lenina.

- Została nam już tylko krótka chwila - kontynuował Pug, podnosząc głos. - Nie chcę teraz mówić o Rhodzie, a tylko o tobie...

Przerwała mu:

- Victor, najdroższy, wiem że jesteś wierny żonie. Zawsze się bałam, że uznasz mnie za narzucającą się dziwkę. Ale co ja mogę zrobić? Nadszedł czas i to wszystko. Od chwili, gdy musiałam to dziś rano powiedzieć Gadule, nie posiadam się z radości.

Henry pochylił się naprzód z łokciami na kolanach i zaciśniętymi dłońmi, patrząc na Pamelę oczami zmrużonymi przed bijącym od śniegu blaskiem słońca. Z ciężarówek zaczęli wysiadać żołnierze. Widać było, że to świeży rekruci. Ustawili się w nierównych szeregach na śniegu, przy wtórze komend wykrzykiwanych przez sierżantów w szynelach długich do kostek. Żołnierzom wydawano karabiny. Po długiej przerwie Pug odezwał się rzeczowym tonem:

- Wiem, że taka szansa już mi się nie powtórzy w życiu.

- Na pewno nie, Victor, na pewno! - Twarz Pameli promieniowała podnieceniem. - Ludzie, którym się to zdarza, są bardzo szczęśliwi. Dlatego muszę z tobą pojechać. To pech, że nie możesz się ze mną ożenić, ale z tym musimy się pogodzić.

- Nie powiedziałem, że nie mogę się z tobą ożenić - stwierdził Henry. - Postawmy sprawę jasno. Gdybym cię kochał na tyle, by mieć z tobą romans za plecami żony, to znaczyłoby, że kocham cię wystarczająco, by zażądać rozwodu. Uważam, że to taka sama krzywda. Nie pojmuję takiej przyzwoitej i miłej zdrady, o jakiej mówisz. To ma swoją nazwę, a ja jej nie lubię. Ale to wszystko dzieje się zbyt szybko, Pam, a ty musisz wyjechać z Moskwy. Jedyne możliwe kierunek to Londyn. To oczywiste.

- Nie wyjdę za Teda. Nie sprzeczasz się - przerwała mu twardym głosem. - Wiem, że to nieludzkie, ale tak zdecydowałam. Nie ma o czym gadać. Nie wiedziałam o twoim pancerniku. To cudowne i wspaniałe, choć komplikuje sprawy. Oczywiście, nie możesz mnie zabrać ze sobą przez całą Syberię, ale jeśli mi tego z miejsca nie zabronisz, sama dostanę się na Hawaje i to szybciej, niż sobie wyobrażasz.

- Czy ci nigdy nie przyszło do głowy, że możesz być potrzebna w Anglii?

- Teraz ty mnie posłuchaj, Victor. Rozpatrywałam tę sprawę ze wszystkich możliwych punktów widzenia, bardzo dokładnie i bardzo długo. Jeśli chcesz wiedzieć, to podczas naszej

czterodniowej wycieczki samochodowej nie myślałam prawie o niczym innym. Jeśli porzucę moją Anglię w krytycznym momencie, to tylko dlatego, że wzywa mnie coś większego. I dlatego to zrobię.

To było jasne, zrozumiałe dla Victora Henry'ego stawianie sprawy. Kołnierz szarego palta i szara wełniana czapka przysłaniały prawie całą twarz Pameli. Policzki miała zaróżowione od mrozu, nos zaczerwieniony. Wyglądała jak każda inna, zawinięta w niezgrabną odzież młoda kobieta, ale nagle Pug poczuł do niej ostry pociąg seksualny. A jednocześnie zaświtała mu nadzieja, że może z tą kobietą czeka na niego nowe życie, i że wszystkich na świecie tylko z nią jedną. Sposób, w jaki postawiła wszystko na jedną kartę, zrobił na nim nieodparte wrażenie, przynajmniej w tej chwili.

- Okay. Zajmijmy się więc rzeczywistością - odrzekł łagodnie, spoglądając na zegarek.
- Dzisiaj, i to za parę godzin, musisz wyjechać. A ja muszę się zająć takim drobiazgiem, jak objechanie połowy kuli ziemskiej, by objąć dowództwo mego okrętu.

Groźnie zmarszczona Pamela uśmiechnęła się ślicznie na te słowa.

- Jakże musiałam ci dokuczyć, wieszając ci się nagle na szyi w takiej chwili twego życia. Czy ty naprawdę mnie kochasz?

- Tak, kocham cię - odrzekł po prostu i całkiem szczerze, bo tak było rzeczywiście.

- Czy jesteś tego pewien? Powiedz to jeszcze tylko jeden raz.

- Kocham cię.

Westchnęła głęboko ze szczęścia, opuściwszy wzrok na swe ręce.

- Tak. Tak jest. Co więc chcesz, abym teraz zrobiła?

- Wracaj z Gadułą do Londynu. Nie masz wyboru, więc jedź spokojnie. Napiszę do ciebie, albo zatelegrafuję.

- Kiedy?

- Kiedy będę mógł. Kiedy będę wiedział.

Siedzieli w milczeniu. Mury Kremla, tak pomalowane, by wyglądały jak szereg kamienic, odbijały krzyki podoficerów i metaliczne trzaski zamków karabinowych, bo rekruci uczyli się, jak się nimi posługiwać.

- Tak, będę wyczekiwać na tę wiadomość - rzekła wesoło Pamela. - Czy możesz mi już teraz powiedzieć, co ona będzie zawierać.

- Nie.

Z jakiegoś powodu zrobiło jej to przyjemność, a przynajmniej taką miała minę. Pogłaskała go po twarzy i uśmiechnęła się do niego oczami pełnymi miłości.

- Okay. Poczekam. - Dotknęła rozerwanego rękawa jego płaszcza. - Ach, chciałam to

naprawić. Która godzina?

- Po dziesiątej, Pam.

- Więc muszę brać nogi za pas. Mój Boże, jak bardzo nie chce mi się w tej chwili z tobą rozstawać.

Wstali i poszli trzymając się pod ręce. Wśród rekrutów, koło których przechodzili, stał świeżo ogolony Berel Jastrow. Ze zwisającymi fałdami skóry twarzy wyglądał znacznie starzej. Ujrzał Victora Henry'ego i na moment położył rękę na sercu. Victor zdjął czapkę, jakby chciał otrzeć pot z czoła i zaraz ją nałożył.

- Kto to taki? - spytała Pamela, przyglądając się bystrym wzrokiem. - A! Czy to nie ten człowiek, który wdarł się wtedy na kolację u Slote'a?

- Tak - odrzekł Victor Henry. - Mój krewny z Mińska. To on. Nie rozglądaj się, ani nie daj nic po sobie poznać.

W ciemnym przedpokoju apartamentu Tudsburych Pamela rozpięła swój płaszcz, a potem płaszcz Victora Henry, patrząc mu prosto w oczy. Przycisnęła się do niego z całej siły! Objęli się i pocałowali.

- O Boże - szepnęła - jak ja cię Kocham! Czy pojedziesz z nami na lotnisko? Czy zostaniesz ze mną do ostatniej sekundy?

- Tak, oczywiście zostanę z tobą.

Wierzchem dłoni otarła łzy z twarzy, a potem oczy chusteczką.

- Ach, jaka jestem szczęśliwa, że zaparłam się wszystkimi moimi paskudnymi kopytkami!

Otworzyła drzwi, a Tudsbury podbiegł kulejąc.

- A więc? A więc? Jak brzmi wyrok?

- Byłam głupia - odrzekła Pamela. - Wracam z tobą do domu.

Tudsbury spojrzał na nią, a potem na Henry'ego, bo córka powiedziała to tonem gryzącej ironii.

- Ona jedzie ze mną, Victor?

- Przecież właśnie to powiedziała.

- Jej, co za ulga! No to wszystko dobre, co się dobrze kończy. Aha, właśnie miałem was poszukać. Chłopcy z RAF-u odlatują pół godziny wcześniej. Jest pogłoska, że niemiecka kolumna zaczęła się przebijać w stronę lotniska i wkrótce będzie ono pod ogniem artyleryjskim. Narkomindiel mówi, że to nikczemne łgarstwo, ale chłopcy nie chcą ryzykować.

- Zapakuję się w ciągu dziesięciu minut. - Pamela skierowała się do swego pokoju,

mówiąc równocześnie: - Chodź ze mną najdroższy.

Victor ujrzał, jak Gadule zabłyśły oczy, a grube wargi wykrzywił lubieżny uśmieшек pod gęstym wąsem. Niech będzie. Pamela jest ludzką istotą, mimo całej jej siły - pomyślał Pug. Nie mogła się powstrzymać, by nie wystrzelić ojcu w twarz jak petardą tym pieszczośliwym zwrotem kobiety, która zdobyła mężczyznę.

- Zaczekaj chwilę - powiedział. - Mam raport, który Gaduła musi zabrać do Londynu. Wracam natychmiast.

- I co powiesz, Gaduło? - usłyszał Pug jej wesoły głos w chwili, gdy wychodził z pokoju. - Victor dostał ni mniej ni więcej tylko dowództwo pancernika i wyjeżdża do Pearl Harbor, na Hawaje!

Wrócił po chwili ciężko dysząc od biegu do góry i w dół po hotelowych schodach i wręczył zapieczętowaną brązową kopertę Tudsbury'emu.

- Oddaj to do rąk własnych kapitanowi Kyserowi, attache morskiemu naszej ambasady. Zgoda?

- Oczywiście. Ścisłe tajne? - spytał Tudsbury z wielką przyjemnością.

- Nooo... Uważaj na to. Jest przeznaczone do najbliższej poczty dyplomatycznej do Waszyngtonu.

- Gdy podróżuję, nigdy nie wypuszczam tej teki z rąk - oświadczył Tudsbury. - Nawet przez sen. Bądź więc spokojny.

Wsunął do brązowej teki kopertę Puga. Wewnątrz były dwie dalsze koperty. Jedna zawierała długi maszynopis dla Harrego Hopkinsa, druga - list do prezydenta Roosevelta o Żydach w Mińsku.

57

Katastrofa w Pearl Harbor (z książki: „*Upadek światowego imperium*”)

Punkt zwrotny

Wystarczył jeden tydzień w maju 1940 roku, by zmienić panujący od stuleci układ sił w Europie. Wystarczył także jeden tydzień w grudniu 1941 roku, by zdecydować o wyniku II wojny światowej i przyszłym rozkładzie sił na świecie.

4 grudnia nasza Grupa Armii Środek parła przez śnieżycę ku przedmieściom Moskwy. Bolszewicy cofali się od Leningradu do Krymu. Imperium francuskie było skończone, imperium brytyjskie sypało się w gruzy, choć macierzysta wyspa jeszcze trwała, słabnąc coraz bardziej w uścisku naszej podwodnej blokady. Żadna potęga nie stała między nami a

światlanym imperium poza Ameryką, osłabioną przez wygodne życie i niechęć do mieszania się w wojnę. Jej przemysł, na wpół sparaliżowany przez strajki, nadal produkował zabawki i luksusy, militarna siła tkwiła w przestarzałej częściowo flocie, skupionej wokół pancerników, które ryzykancko bazowały na Hawajach, by wywierać wrażenie na Japonii, będących zaś całkowicie bezsilnymi wobec zbliżającego się zwycięstwa Niemiec.

Siedem dni później, 11 grudnia, byliśmy już w stanie wojny ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki, przeobrażonymi w dyktaturę wojskową i zjednoczonymi jedną wolą, pod wodzą fanatycznego wroga Rzeszy na gwałt przestawiającego przemysł na produkcję wojenną i ogłaszającego rozbudowę wojsk wszelkiego rodzaju. Armia Czerwona pod Moskwą, kosztem wielkich strat i dostarczonego przez Zachód sprzętu oraz świeżych, twardych i dzikich sybirackich dywizji, zatrzymała nas, a nawet próbowała kontratakować. Zostaliśmy zmuszeni do wycofania się z Rostowa, co było pierwszym odwrotem Armii Niemieckiej od czasu, gdy w 1939 roku Adolf Hitler został naszym wodzem.

Będąc o krok od panowania nad światem 4 grudnia, po tygodniu znaleźliśmy się w wojnie totalnej prowadzonej na dwa fronty i zagrożeni z dwóch stron przez dwa potężne państwa obszarowo dwudziestokrotnie większe od nas i z pięciokrotnie większą produkcją.

Historia nie zna podobnego punktu zerowego, a jego powodem był japoński atak na Pearl Harbor. Sir Winston Churchill nie wstydził się przyznać, że na wieść o nim rozplakał się z radości, gdyż miał pewność, że właśnie przegraliśmy wojnę. Nie tracił naturalnie łez na amerykańskich marynarzy zaatakowanych zniemacka i zdziesiątkowanych na Hawajach.

Komentarz tłumacza: Oto słowa Churchilla:

„Żaden Amerykanin nie obrazi się jeśli powiem, że z największą przyjemnością dowiedziałem się, iż Stany Zjednoczone Ameryki są po naszej stronie. Nie mogłem przewidzieć przyszłości i nie twierdzę, że zdawałem sobie sprawę z możliwości i zaciętości Japonii, ale w tym właśnie momencie wiedziałem, że USA tkwi w tej wojnie tak jak my i że mimo wszystko wygraliśmy”.

Ani słowa o łzach. Jak już dało się to poprzednio zauważyć generał von Roon nie jest specjalnie obiektywny jeśli chodzi o osobę Winstona Churchilla.

(V. H.)

Błąd Japonii

Atak japoński był naturalnie zupełnie usprawiedliwiony, ale także był ogromną strategiczną pomyłką.

Upadek Francji i osłabienie Anglii pozostawiły kolonie europejskie na Dalekim Wschodzie praktycznie bezbronne i Japonia była ich naturalnym spadkobiercą. Poza tym

potrzebowała ich, by zakończyć wojnę w Chinach. Parę pokoleń wstecz Europejczycy przeszli połowę kuli ziemskiej, by podbić Wschodnią Azję i grabić jej bogactwa. Teraz nastał kres tej działalności - Japonia była w tym rejonie jedyną siłą, która się liczyła. Sprawiedliwsze także było to, by tym terenem rządili Azjaci (jeśli już ktoś musiał) niż paru na wpół pijanych Europejczyków, będących pozostałością epoki kolonialnej. Adolf Hitler, patrząc właśnie z tego punktu widzenia, nawiązał przyjazne stosunki z Japonią. W naszym Sztabie Generalnym panowało przekonanie, że Kraj Kwitnącej Wiśni zaatakuje te posiadłości kiedy tylko będzie mu to odpowiadało, co było nader rozsądnym posunięciem z każdego normalnego punktu widzenia światowej filozofii.

Pod względem taktycznym japoński atak na Pearl Harbor był doskonałą operacją, pod wieloma względami porównywalną z Operacją „Barbarossa” - w obu niewielki i biedny kraj zaskoczył dużego i bogatego przeciwnika i to pomimo napiętej atmosfery i wszelkiego rodzaju ostrzeżeń i wskazówek. W obu przypadkach zaskoczenie wykorzystano, by zniszczyć na jak największą skalę siły przeciwnika. „Barbarossa” wykorzystwała traktat o nieagresji, który uspił Rosję, zaś Japonia pobiła nas atakując USA w trakcie rozmów pokojowych.

W swoim czasie oba ataki wywoływały głośnie oburzenie i przyrównywane były do takich pojęć, jak: „niesławne” bądź „zdradzieckie”, tak jakby określenia zaczerpnięte z nauk o moralności mogły być wykorzystywane w odniesieniu do polityki czy wydarzeń historycznych. Kraj biedny, jeżeli jest wrogiem bogatego, musi używać najlepszych sposobów, jakie może znaleźć. Tucydides powiedział dawno temu, że procesem naturalnym są rządy silniejszego. W historii zaś moralne jest to, co skuteczne. Według Hegla wola boża objawia się w historycznych wydarzeniach. W takim ujęciu „Barbarossa” i Pearl Harbor były idealnymi krokami ku nowemu porządkowi na świecie.

Różnice polegają na tym, że „Barbarossa” była strategicznie rozsądną decyzją i zakończyłaby się sukcesem, gdyby nie kilka nieszczęśliwych i nie do przewidzenia czynników, a mianowicie tenże japoński atak pięć i pół miesiąca później, będący tak wielką strategiczną pomyłką, że Churchill miał rację nazywając go samobójczym szaleństwem.

Aby plan strategiczny był błędny wystarczy nieprzestrzeganie jednej tylko z podstawowych zasad rządzących strategią. Ten atak złamał dwie z nich.

Żelazne zasady prowadzenia wojny, które złamali Japończycy, to:

1. Obiektywny Wybór Celu.
2. Znajomość Przeciwnika.

Obiektywny wybór celu

Zasada ta jest następstwem najistotniejszej zasady prowadzenia wojny, a mianowicie

Zasady Koncentracji Sił i japońscy przywódcy właśnie to przeoczyli.

Od chwili, w której słusznie zdecydowali, że wojna w Europie jest ich wielką szansą przejścia Wschodniej Azji, stanęła przed nimi ciężka decyzja: czy najpierw zaatakować Rosję poprzez inwazję Syberii, czy też ruszyć na południe, by zająć prawie bezbronne europejskie kolonie? Bardziej kuszące było to ostatnie, ale w wojnie nie należy ulegać złudzeniom co do słabości i łatwości celu.

Wojna to nic innego jak zmiany polityczne na mapie świata - a ten konflikt był pierwszym w dziejach, o którym można powiedzieć uczciwie, że objął cały świat. Rozkład przeciwników był klasyczny: biedny przeciwko bogatemu, żelazo przeciwko złotu: Niemcy były jedyną realną siłą po stronie pnących się w górę, która chciała stworzyć nowy podział świata i atak na wschód był największą ku temu szansą. Jeśli Niemcy pokonały Rosję stałyby się niezwyciężone. Logicznym więc posunięciem Japonii było pomóc Niemcom w tym zadaniu - ze zwycięskimi Niemcami Japonia mogłaby zabrać i zatrzymać, co by się dało. Natomiast przy zwyciężonych Niemcach miała niewielką szansę na utrzymanie swego stanu posiadania z okresu przed wybuchem wojny.

Gdyby w 1941 roku Japonia zaatakowała Syberię, nasz pochód zakończyłby się zdobyciem Moskwy, rosyjska kontrofensywa grudniowa nie miałaby miejsca, a reżim bolszewicki albo by upadł, albo podpisał drugi pokój w Brześciu. Tym, co uratowało Moskwę, był desperacki rozkaz Stalina ogałający front syberyjski ze wszystkich rezerw, które zostały rzucone następnie przeciwko nam, co w ostatniej sekundzie przeważało szalę bitwy.

Co więcej, prawdziwa jest zasada Napoleona, iż w wojnie morale do siły fizycznej ma się jak trzy do jednego i sam fakt ataku japońskiego na Syberię mógł doprowadzić do upadku Rosji. W połowie października wyższych rangą bolszewików ogarnęła taka panika, że całe ministerstwa w pośpiechu opuszczały stolicę, a niepotwierdzona wieść głosi, że sam Stalin potajemnie uciekł i równie potajemnie wrócił, gdy panika osłabła, zabijając następnie wszystkich, którzy wiedzieli o jego tchórzostwie. Władcy Rosji żyją jakby wewnątrz bizantyjskiego labiryntu i nie ma możliwości sprawdzenia, jaka była prawda.

Pewne jest, że był to wymarzony moment psychologiczny i jedna na tysiąc lat okazja dla Japonii, jednakże jej przywódcy, źle wyszkoleni w wojskowym podejściu do zagadnienia i stanowiący dziwną mieszankę orientalnej gwałtowności, ostrożności i emocji pozwolili, by przeminął niewykorzystany. Historia podobnie jak kobieta musi być wykorzystana, gdy jest gotowa, gdyż inaczej nigdy nie wybaczy fałtłapie i nigdy nie da mu ponownej szansy.

Znajomość przeciwnika

Tak więc pierwszym błędem było pójście na południe zamiast na północ i atak na łatwy łup zamiast długodystansowego, strategicznego sukcesu. Ale nadal mogliśmy wygrać, pomimo rozproszenia siły, gdyby Japonia nie uwieńczyła tego błędu drugim, który faktycznie zasługuje na miano szaleństwa.

Zaczynając na południu należało z maksymalną szybkością i jak największymi siłami ruszyć na Indie Wschodnie, zająć europejskie kolonie i przygotować się na pokonanie amerykańskiego kontruderzenia, gdyby takowe miało miejsce. Amerykanie bowiem mogli się nie ruszyć, gdyż w USA była ogromna opozycja przeciwko wysyłaniu żołnierzy po to, by ginęli za pukka sahibs. Roosevelt mógł jedynie odpowiedzieć ostro, jak robił to po każdym naszym zwycięstwie, ale nigdy nie zrobił choćby jednego kroku poza granice opinii publicznej. I to właśnie był klucz do natury przeciwnika, z którego nie zdawała sobie sprawy Japonia z powodu orientalnej naleciałości utrudniającej obiektywny punkt widzenia.

Nawet gdyby Roosevelt wbrew opinii publicznej zdecydował się na wysłanie floty przeciwko Japonii, to walczyłaby ona we Wschodniej Azji, daleka od baz zaopatrzenia, na nieprzyjacielskich wodach i w zasięgu nieprzyjacielskiego lotnictwa z baz lądowych - byłyby to, mówiąc krótko, druga Cuszima z dodatkiem lotnictwa, a krwawa masakra mogłaby spowodować upadek kalekiego Machiavellego z Białego Domu.

Ale nawet to nie było najgorszym aspektem japońskiego błędu.

Ameryka posiadała i posiada największe zaplecze przemysłowe na ziemi. Ten kraj kupców oddanych wszechmocnemu dolarowi i błogosławiony cudownymi zapasami surowców naturalnych skradzionych Indianom zbudował potężny przemysł wytwarzający zwykle zabawki i zbytki. Potrafił jednak ten przemysł w krótkim czasie przestawić na produkcję wojenną o skali która była wprost fantastyczna. Jedyną nadzieją Osi na wygranie wojny było utrzymanie Ameryki podzielonej i słabej z dala od walki, dopóki nie nadejdzie czas, by się nią zająć. Ale już samotną i nie przygotowaną.

Ten cel był bliski spełnienia. Połowa Amerykanów fetowała zwycięstwo Niemiec nad Rosją. Program Lend-Lease realizowany był tak opieszale, jak tylko się dało, a bezwład administracji odzwierciedlał skłócenie i niezdecydowanie obywateli.

To wszystko jest zasługą Adolfa Hitlera. Był on człowiekiem o wąskiej wyobraźni, który nie znał Stanów Zjednoczonych. Ale jego niemal kobieca intuicja ostrzegała go, że nie może dać swemu wrogowi, jakim bez dwóch zdań był Roosevelt, szansy na zjednoczenie Ameryki. Dlatego połykał w milczeniu publiczne obelgi prezydenta Stanów Zjednoczonych i nakazał u-bootom unikać prowokacji za wszelką cenę. Ta mądra polityka została zniweczona bezsensownym atakiem na Pearl Harbor. W ciągu jednej nocy sto trzydzieści milionów

skłóconych, niepewnych i podzielonych Amerykanów stało się rozwścieczoną masą żądną walki. Roosevelt przeprowadził w Kongresie plan wojny na tak gigantyczną skalę, że kilka dni wcześniej wywołałby nim nie tyle sprzeciw, ile śmiech senatorów. Tym razem nie dość, że nie napotkał oporu, to prawie spotkał się z jednogłośnieścią i wszystkie plany wojny długoterminowej przegłosowane zostały w kilka godzin.

To właśnie był główny rezultat Pearl Harbor, gdyż marynarka szybko uzupełniła straty i to z nadwyżką. W ciągu tygodnia Niemcy ze strategicznej ofensywy, mającej w swym zasięgu panowanie nad światem, znalazły się w strategicznej defensywie bez perspektyw innych niż zniszczenie, chyba że nasi przeciwnicy zrobiliby coś równie głupiego i samoniszczącego.

Nieistniejąca Oś

Jeśli ktoś by zapytał: „Jak Niemcy pozwoliły na taki rozwój wypadków?” odpowiedź brzmiałaby, iż nikt nas o nic nie pytał i o niczym nie informował. Że celem jest Pearl Harbor dowiedzieliśmy się równocześnie z Amerykanami - gdy eksplodowały pierwsze bomby i torpedy.

Oś złożona z Niemiec, Włoch i Japonii tak naprawdę nigdy nie istniała. Był to groźnie wyglądający balon nadmuchany przez propagandę, a jej celem był bluff. Przez cały czas trwania wojny każde z tych państw kierowało się własnymi korzyściami i szło własnymi drogami przeważnie nie informując nawet swych partnerów o atakach, inwazjach czy decyzjach strategicznych.

Dlatego, gdy zaatakowaliśmy Polskę, Mussolini nagle odmówił wypowiedzenia wojny i nie zrobił tego do momentu, aż Francja nie zaczęła padać na pysk. Bez porozumienia z nami zaatakował Grecję, sam zaś został poinformowany o naszym ataku na Rosję dwanaście godzin przed inwazją. Tyle tylko, że my mieliśmy ku temu powody. Zdaniem naszego wywiadu to, co wiedział Mussolini, w ciągu dwudziestu czterech godzin wiadome było Anglikom via włoska rodzina królewska. Ani razu nie miały miejsca wspólne narady na szczeblu sztabów wśród tych państw, podczas gdy Anglia i USA odbyły pierwszą z nich rok przed atakiem na Pearl Harbor. Przez całą wojnę nasi przeciwnicy prowadzili ścisłą współpracę strategiczną dopuszczając do niej nawet bolszewików. Teraz mogą się zastanawiać jedynie nad tym na ile rozsądna była pomoc Stalina w zniszczeniu nas i dopuszczeniu, by zaraza dotarła do Łaby. Natomiast ich operacje strategiczne były nieomal modelowym przykładem współpracy, podczas gdy nasza w ogóle nie istniała. Niemcy miały pecha być związane z drugorzędnymi pomagierami, którzy co chwila swymi nieprzemysłanymi i gwałtownymi poczynaniami przyczyniali się do naszej klęski.

Rola Yamamoto

Dlaczego Japonia wybrała tę skazującą ją na zagładę drogę? Włączyła się we współczesną historię niespodziewanym atakiem na flotę rosyjską w Port Arthur w 1904 roku i być może miała obsesję na tym punkcie uważając że jest to jedyny skuteczny sposób dla żółtej rasy, by pobić białych. Sztab Główny Marynarki Imperialnej preferował właściwe posunięcie - zajęcie Indii i bitwę z US Navy, jeśliby taka nastąpiła, na wodach macierzystych. Pearl Harbor było dzieckiem admirała Isoroku Yamamoto, szefa sztabu marynarki, który wymusił go na rządzie i marynarce groźbą swej rezygnacji. Całkowicie i od początku sprzeciwiał się on wojnie ze Stanami Zjednoczonymi twierdząc że przy przewadze gospodarczej przeciwnika wynoszącej siedem do jednego próba wygrania była skazana na niepowodzenie. Natomiast skoro już musi z nimi walczyć, to początkiem musi być wyłączenie z gry floty przeciwnika. Sztab oceniał ten atak jako zbyt ryzykowny, ale przeważało jego zdanie - taktycznie miał rację i poprowadził go doskonale. Jak długo ludzie piszą i czytają, Pearl Harbor będzie synonimem udanego ataku z zaskoczenia - stało się to taką samą częścią składową języka, jak Waterloo.

Jak flota japońska mogła zebrać się przepłynąć Pacyfik na odległość dwustu mil od Hawajów, uniknąć wykrycia mimo wysiłków amerykańskiego wywiadu i patroli tak morskich, jak i powietrznych i wreszcie zaskoczyć nieprzygotowane wojska lądowe i marynarkę? Zagadka ta jest tym większa, iż w świetle powojennych relacji okazało się, że USA złamały szyfry japońskie i były w stanie odczytać nawet jej depesze dyplomatyczne, o rozkazach nie wspominając. Śledztwo prowadzone przez Kongres na temat Pearl Harbor obejmuje setki tomów akt, a zagadka nadal pozostaje nie rozwiązana.

Jako oficer niemieckiego Sztabu Generalnego spoglądam na Pearl Harbor jako na abstrakcyjny problem wojskowy, podobnie zresztą jak na bitwę pod Trafalgarem czy Salaminą. Operacja ta dokładnie zaskoczyła Amerykanów, gdyż była tak niepojętą głupotą, ryzykiem i błędem strategicznym, psychologicznym i politycznym, że nikt nie brał jej poważnie pod uwagę. Nawet będąc sukcesem, była jednocześnie najgorszym posunięciem, jakie Japonia mogła wykonać i dlatego Amerykanie ją zlekceważyli. Japończycy przeprowadzili ją i okazało się, że akcja się udała.

Wzmianka z przesłuchań emerytowanego admirała Kimmela może być kluczem do tej zagadki. Torpedy lotnicze w tym okresie wymagały odpowiedniej głębokości wody, która uruchamiała ich mechanizm napędowy, jak i zapalnik. Według specjalistów amerykańskich minimalną głębokością było 75 stóp, zaś Pearl Harbor miał średnią głębokość około 30 stóp i dlatego niebezpieczeństwo ataku torpedowego z powietrza uznano za „minimalne” i nie

osłonięto jednostek sieciami przeciwtorpedowymi. 7 grudnia torpedy rzucone przez samoloty zatopiły siedem pancerników i wywołały piekło w porcie, gdyż Japończycy skonstruowali torpedę, która stawała się skuteczna przy głębokości mniejszej niż 30 stóp, a ich piloci ćwiczyli rzuty z niskiej wysokości od maja do grudnia (Japończycy nie wymyślili nowej torpedy lecz przy pomocy drewnianych płetw przystosowali do tej akcji istniejące (przyp. tłum.)). To wyraźnie wskazuje na różnicę mentalności, która dzieliła oba te narody.

Czy Roosevelt to zaplanował?

Powstało i nadal istnieje przypuszczenie, że Roosevelt i jego główni doradcy pomogli w klęsce, jaka spotkała w Pearl Harbor flotę amerykańską. Według tej teorii ukryli oni przed dowództwem Floty Pacyfiku wiadomość o zbliżającym się ataku japońskim, nie ujawniając rozszyfrowanych depech dyplomatycznych rządu japońskiego, by wojska tam stacjonujące były zupełnie nie przygotowane na atak. Według tej teorii Roosevelt zdecydował, że włączenie Ameryki do wojny jest istotniejsze niż strata paru pancerników. Oficjalnym powodem tego stanu rzeczy było nieprzygotowanie kadry dowódczej, co jest do dziś dnia oficjalną wymówką.

Roosevelt rzeczywiście był zdolny do czegoś takiego - był zdolny praktycznie do wszystkiego. Natomiast dokumenty jasno wskazują, że tak w Pearl Harbor, jak i w całych siłach zbrojnych USA zdawano sobie sprawę z prawdziwości zagrożenia, i jego nieuchronności. W praktyce wystarczyło czytać gazety, by o tym wiedzieć. Jakże nie byłyby powody, nie istnieje żadne wytłumaczenie dla zawodowych oficerów by zostali tak zaskoczeni nawet w najspokojniejszych czasach pokoju. Zdarza się to, lecz w dalszym ciągu jest niewytłumaczalne.

Mimo wyczerpującego śledztwa nie znaleziono dowodów, że Roosevelt wiedział o miejscu czy czasie ataku. Japończycy utrzymywali to w doskonałej tajemnicy i nawet czołowi dyplomaci tego nie wiedzieli i nigdy nazwa ani data nie została przesłana w jakiegokolwiek depeszy.

Amerykańscy wojskowi między innymi zostali tak dokładnie zaskoczeni, że, podobnie jak w czerwcu Armia Czerwona, nie byli psychologicznie przygotowani do wojny. W noc poprzedzającą atak oficerowie zgodnie ze zwyczajem spili się zapewne wraz z żołnierzami (była to sobota) i w związku z tym, gdy eksplodowały pierwsze bomby, nie byli w stanie obsługiwać myśliwców czy dział przeciwlotniczych. Zasada „Znać Przeciwnika” znacznie Japończykom pomogła. Jeśli bowiem siły amerykańskie, gdziekolwiek by nie stacjonowały, miałyby stać się obiektem ataku, to najlepszym do tego momentem zawsze będzie niedzielny ranek. Charakter narodowy zmienia się bardzo powoli.

Rooseveltowi znacznie lepiej przysłużyłoby się zwycięstwo w Pearl Harbor niż klęska - sukces w odparciu ciosu, poza tym wszystkim, co wywołała klęska, znacznie podniósłby morale społeczeństwa i armii. Amerykanie przychodzili do siebie dość długo po szoku, jakim był dzień siódmego grudnia. Roosevelt nie był durniem, a tylko dureń nie wykorzystałby szansy zaskoczenia i zatopienia floty japońskiej, gdyby tylko mógł to zrobić. Nie ostrzegł dowództwa na Hawajach o niebezpieczeństwie ataku lotniczego, gdyż podobnie jak inni nie wiedział i nie mógł przypuścić, że Japończycy zachowają się tak groteskowo, jak się zachowali. Teoria spisku, którego wynikiem była klęska w Pearl Harbor jest próbą trywialnego wytłumaczenia zawodowych nieudolności.

Powodem ataku natomiast, i co do tego nie ma żadnej wątpliwości, było zmuszenie Japończyków do działania wpraw przez odcięcie dostaw ropy a potem przez informację, iż ceną za wznowienie tychże jest pokój w Chinach i trzymanie się z daleka od Wschodniej Azji, o czym Roosevelt doskonale wiedział. Ten honorowy naród wojowników nie miał po prostu innego wyjścia. Faktem także jest to, że te manewry polityczne, w których zresztą był mistrzem Roosevelt wykonywał jawnie - gazety pełne były not dyplomatycznych - wobec czego mowa o jakimkolwiek spisku jest głupotą. Mógł też mieć nadzieję, że w końcu uda mu się zmusić słabszy kraj do podporządkowania się jego woli, bez wywoływania konfliktu zbrojnego. Hitler rozegrałby tę sytuację dokładnie w ten sam sposób. Natomiast jest jedna zasadnicza różnica - Armia Niemiecka nigdy nie pozwoliłaby się tak zaskoczyć! Mimo wszystko byliśmy żołnierzami.

Komentarz tłumacza: Praca Roona jest w pełni profesjonalnym dziełem, jeśli nie dotyczy spraw niemieckich i jego obraz ataku na Pearl Harbor jest jak najbardziej zgodny z rzeczywistością, co, niestety, przyznaję. Niestety, gdyż wina spoczywa na nas - na oficerach armii amerykańskiej. Co prawda całkowicie zignorował prawdziwie głupie zachowania, jakie w tych dniach miały miejsce w Waszyngtonie i na Hawajach, a które znacznie przyczyniły się do finalnego zaskoczenia, natomiast wnioski, jakie wyciąga, są jak najbardziej do przyjęcia. Nie ma tłumaczenia dla dowódcy wojsk liniowych, że został zaskoczony - podobny przypadek, jeśliby zdarzył się w erze broni nuklearnej, oznaczałby koniec historii Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Tym razem nie byłoby czasu na złapanie oddechu.

Uczucie minionego czasu ogarnęło Victora Henry, gdy siedział na trawniku na tyłach Klubu Armii i Marynarki w Manili. Była trzecia rano, a on słuchał radiowej transmisji z

meczu piłki nożnej, który był rozgrywany jedenaście tysięcy mil stąd. Ponad jego głową Orion roztaczał olśniewający blask na połowie sklepienia nieba. Wokół Moskwy ten gwiazdozbiór także świecił jasno, ale o wiele niżej w kierunku południowego horyzontu.

Pug usiadł na trawie wśród oficerów obu jednostek i ich filipińskich przyjaciółek. Żony oficerów już dawno zostały odesłane do domu. Wokół panował dobrze mu znany zapach typowy dla tutejszych wieczorów przesycony aromatem świeżo ściętej trawy, damskich perfum, rumu, kremu migdałowego i przystani cuchnącej wodą. Także świeżo przystrzyżone trawniki, papierowe lampiony, stare wojskowe dowcipy przeplatane obelgami przywoływały mu na myśl wspomnienia kilkunastu lat spędzonych tutaj. Życie w Manili przebiegało zadziwiająco jednostajnie, nie ulegając żadnym zmianom. Nerwowo przemęczeni pracownicy ambasady w Tokio przewidywali, iż być może tegoroczne zawody pomiędzy Armią a Marynarką w ogóle się nie odbędą. Obawiali się, że albo Japończycy wkroczą do wojny przed Świętem Dziękczynienia, albo wojska amerykańskie zostaną postawione w stan pogotowia. Jednak nic się nie wydarzyło. Biała płaska piłka przesuwawała się tam i z powrotem na sznurku na tej samej co zawsze, starej tablicy z namalowanym boiskiem do piłki nożnej. Nie zmieniły się także maskotki - zwierzęta obu drużyn. Muł okryty brązową derką dopingował drużynę Armii, a kozioł okryty na niebiesko drużynę Marynarki. Spętane zwierzęta czekały na co zabawniejsze momenty. To mógłby równie dobrze być senny tysiąc dziewięćset dwudziesty ósmy rok - pomyślał Pug.

W zatoce odbijał się blask reflektorów, które świeciły teraz całą noc w związku z prowadzonymi bez przerwy na dziedzińcu pracami naprawczymi. Tylko one a także lekki niepokój wśród oficerów marynarki, jakby przygotowanych na każdą ewentualność, sugerowały, iż był to jednak listopad tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego.

Głośniki starały się zagłuszyć wrzawę panującą na trawnikach. Odbiór radiowy tego wieczoru był zdecydowanie lepszy niż w poprzednich latach. Mecz nadal posiadał ten sam rytualny czar dla Puga. Śledził akcję z napięciem, nerwowo paląc papierosa. Ogarnęła go nostalgia za brutalną młodzieńczą walką na trawie. Przypomnił sobie kotłujące się ciała, sprytne, dobrze wyćwiczone zagranie, a przede wszystkim te rzadkie chwile, gdy udało mu się wykiwać przeciwnika i samodzielnie biec w dół boiska w otoczeniu morza wrzeszczących głosów. Nigdy w życiu nie udało mu się przeżyć czegoś podobnego, ale taka nostalgia już dawno go opuściła. Gdy pomyślał, że chłopcy młodszy od jego synów przebywali teraz tam, na tym chłodnym boisku w Filadelfii i uświadomił sobie, jak złożone i długie było jego życie, które teraz uczyniło z niego żywą mumię.

- Pug, słyszałem, że jesteś tutaj.

Ktoś delikatnie uderzył go w ramię. Był to jego kolega z klasy Walter Tully. Łysy jak kolano, opalony na ciemny brąz uśmiechał się do niego. Tully opuścił szkołę okrętów podwodnych, by objąć dowództwo nad dywizjonem okrętów podwodnych w Manili. Wskazał palcem na zatłoczony stół w pobliżu tablicy.

- Chodź i siądź z nami.

- Może, w drugiej połowie, Red. - Był to już zdecydowany anachronizm, ale wszyscy wciąż używali tego przezwiska. - Kiedy siedzę na trawie przypominają mi się dawne czasy.

- Masz rację. Wiesz, przyłączę się do ciebie.

- Siadaj.

Tully także grał w piłkę nożną na uczelni i przysłuchiwał się sprawozdaniu równie uważnie jak Pug. Po chwili biała piłka prześliznęła się przez połowę boiska Armii i wypadła na aut. Wśród okrzyków radości i rozczarowań, młody porucznik uwolnił muła z uwięzi, wskoczył na jego grzbiet i pogalopował dookoła trawnika.

- Do diabła! - wykrzyknął Pug.

Tully potrząsnął głową.

- Coś mi się zdaje, mój stary, że przegramy ten mecz. Oni mają dobrą obronę. Moglibyśmy tam wystawić Puga Henry'ego.

- Ha! Piętnaście tysięcy grzywny za nielegalne użycie wózków inwalidzkich. Powiedz mi, Red, że jesteś tym Simonem Legree, nieprawdaż?

- Co masz na myśli?

- Mówię o wysłaniu „Devilfish” na ćwiczenia, akurat w dniu zawodów między wojskami lądowymi i marynarką. Co się stało? Czy sądzisz, że zagraża nam wojna czy coś podobnego?

Tully wyszczerzył zęby w ironicznym uśmiechu.

- To był pomysł Brancha Hobana. Sądził, że potrzeba im trochę musztry, dlatego wpływają dzisiaj na dwa tygodnie. Około południa będą już gotowi i możesz zobaczyć się z Byronem.

- Zostaję tu tylko do czasu odlotu samolotu.

- Tak, słyszałem, że dostałeś „Kalifornię”! To wspaniale, Pug!

Gra została wznowiona. Po kilku nudnych potyczkach biała piłka przesunęła się na drugi koniec tablicy. Marynarka przerwała złą passę i przeniosła się daleko na terytorium Armii. Pug i Tully poderwali się na równe nogi i dołączyli do okrzyków wydawanych przez swoich towarzyszy „Bij Armię! Gol, Gol!”. W tym czasie chorąży wesoło prowadził kozła dookoła trawnika.

Pierwsza połowa zakończyła się piłką autową. Gdy mijał ich steward, Red Tully ochoczo zamówił drinki.

- Zostańmy tutaj na trawie, Pug. Opowiedz mi o Rosji.

Radośnie uśmiechnięta twarz Victora Henry'ego spoważniała, gdy zaczął opisywać bitwę czołgów, którą widział, a także panikę w Moskwie szesnastego października.

- Jezus, ty naprawdę tam byłeś! Zazdroszczę ci. A my tutaj siedzimy głupi, tępi i szczęśliwi. Mówili mi, że leciałeś do Manili przez Tokio.

- Zgadza się.

- Masz jakieś konkretne wiadomości, Pug. Czy te świny naprawdę mają zamiar się bić. Dochodzą nas czasami straszliwe wieści, ale nic poza tym.

- Nasi ludzie są tam naprawdę wystraszeni. Ambasador rozmawiał ze mną dość długo na temat psychologii Japończyków. Powiedział, że to bardzo dziwny naród, a harakiri to ich sposób na życie. Realne szanse nie odgrywają żadnej roli. Są w stanie przeprowadzić ni stąd ni zowąd samobójczą akcję, a on obawia się, że do tego dojdzie.

Tully spojrział na siedzących wokół na trawie lub na leżakach i zniżył głos:

- Koniec z tym. Admirał Hart otrzymał dziś bezpośrednie ostrzeżenie o wojnie. Ale z drugiej strony nerwowe pogłoski dochodziły nas z Waszyngtonu przez całe lato i jesień. W lipcu, gdy wylądowali w Indochinach i Roosevelt odciął im ropę naftową, wszyscy myśleliśmy: zaczęło się. Wciąż byliśmy w stanie gotowości. Prawie wariowaliśmy. Czy mamy zaczynać to wszystko od początku?

Pug rozłożył dłonie na znak zakłopotania.

- Posłuchaj, pewnego dnia na przyjęciu w ambasadzie rozmawiałem z kilkoma biznesmenami. Byli tam Amerykanie, Brytyjczycy, jeden Japończyk, właściciel stoczni, który zacytował opinię, prosto z dworu cesarza, że wojna ze Stanami Zjednoczonymi jest nie do pomyślenia. Wszyscy mu przytaknęli. Więc sam możesz sobie wybrać.

- Jedyne co wiem, to że gdy nas zaatakują, będziemy w poważnym kłopotcie. Stan gotowości na Filipinach jest przerażający, a mieszkańcy nie chcą się bić z Japończykami. Ale to tylko moja opinia. Jeśli chodzi o okręty podwodne to brakuje tam wszystkiego: torped, części zamiennych, nawet oficerów wachtowych. To wszystko jest po prostu godne pożałowania. Kiedy ostatni raz widziałeś Byrona?

- Zdaje się, że około sześciu miesięcy temu. Dlaczego pytasz?

- On ma piekielną śmiałość! Pewnego dnia wkroczył do mojego biura i zażądał przeniesienia go na Atlantyk. Jego własny kapitan odrzucił podanie, więc chciał przeskoczyć wyżej. Byłbym go rozszarpał za to. Powiedziałem mu, powtarzam ci to, Pug, słowo po

słowie, że gdyby nie to, że jest twoim synem wyleciałby z mojego biura z kopniakiem w tyłek.

Victor Henry, siląc się na spokój, powiedział:

- Jego żona i dziecko są we Włoszech. Martwi się o nich.

- Wszyscy jesteśmy daleko od naszych rodzin, Pug. Po prostu nie mogę go teraz przenieść. Staram się powyciągać oficerów z niszczycieli i statków zaopatrzeniowych i przenieść ich na okręty podwodne. Zrobiłbym wszystko dla twego syna, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku, ale...

- Nie mów w ten sposób. Byron jest po prostu jednym z oficerów. Jeśli nie możesz tego zrobić, to nic się na to nie poradzi.

- W porządku. Cieszę się, że to powiedziałeś.

- Mimo wszystko problemy z jego rodziną są rzeczywiście poważne. Jeśli to możliwe, przenieś go.

- Jest jeszcze jeden mały problem, mianowicie Japończycy.

- Nie ma sprawy.

Victor Henry musiał się wysilić, by ton jego głosu nadal brzmiał lekko i przyjacielsko. Gdy z głośników popłynęła znowu wrzawa powiedział z ulgą:

- W porządku. Druga połowa.

* * *

Po zakończeniu meczu ludzie spali wyciągnięci na trawie pod niebem przeszytym czerwonymi łunami. Chłopcy ubrani na białą wciąż roznosili drinki, a stłoczeni oficerowie marynarki wznosili okrzyki na cześć ich zwycięskiej drużyny. Pug nie przyjął zaproszenia Reda na śniadanie i poszedł do swego pokoju się zdrzemnąć. W tym samym pokoju zamieszkał, gdy po raz pierwszy przyjechał do Manili i czekał na Rhodę, która miała przybyć wraz z dziećmi. Dopiero wtedy zaczęli prowadzić normalne gospodarstwo. Ten wysoki pokój, wypełniony zakurzonymi, starymi klubowymi meblami, które niczym się nie wyróżniały, z wiecznie wirującym wentylatorem ponownie przywołał wspomnienia minionych lat i dni. Odwrócił wentylator, rozebrał się do majtek, otworzył okno balkonowe wychodzące na zatokę i usiadł paląc papierosa za papierosem. Cały czas obserwował budzący się nad błękitną zatoką dzień i przemieszczające się statki. Nie czuł się senny. Siedział tak, prawie bez ruchu, przez ponad godzinę, a zbierający się pot spływał po jego nagim ciele.

O czym myślał?

Widział obrazy wywołane jego powrotem do Manili. Siebie i Byrona pod drzewem

przy białym domu na Bulwarze Harrisona, gdy obaj uczyli się francuskich czasowników. Szczupła twarz chłopca marszczyła się, a ciche łzy były odpowiedzią na krzyki zirytowanego ojca. Przypomniały mu się wszystkie medale uzyskane w szkole przez Warrena: z historii, angielskiego, a także zwycięstwo w baseballu na studiach. Madeline wyglądająca jak z baśni w białej, pajęczej, lekkiej sukience ze złotą koroną na głowie na przyjęciu z okazji swoich ósmych urodzin.

Myślał także o Rhodzie zręczącej na temat upału i nudy. Co wieczór upijała się w tym klubie. A w czasie tańców bożonarodzeniowych nawet się przewróciła. Potem ta kłótnia, gdy oznajmił jej chłodno, że wnosi pozew o rozwód, a która w istocie położyła kres jej pijaństwu. Zapach trawników, klubowych korytarzy i aromat powietrza w Manili sprawiły, iż uległ złudzeniu, że to wszystko dzieje się teraz, a nie należy do przeszłości, lat, które już dawno odeszły w niepamięć.

Następnie pojawił się obraz Pameli Tudsbury na Placu Czerwonym. Posępne, ponure zabłocone ulice Kujbyszewa, i całą noc trwające partie pokera. Odwiedziny kolchozów i ten wolno płynący czas, gdy oczekiwał na bilety kolejowe. Potem dwutygodniowa podróż pociągiem przez Syberię. Piękne syberyjskie dziewczyny sprzedające na małych drewnianych stacyjkach owoce, płaskie, okrągłe bochenki chleba i kiełbaski. Przez pustkowia pokryte śniegiem oświetlone promieniami słońca, biegła linia złożona tylko z pojedynczych torów. W przedziale kolejowym były tylko drewniane ławki, a ludzie, którzy siedzieli obok niego, opatuleni w futra cuchnęli cebulą. Widziało się wśród nich Mongołów. Czasem przez trzy dni jazdy nie widział nic poza ogromnymi połaciami wzbudzających grozę lasów. A potem Japonia i jej wstrętnei mieszkańcy. Spojrzenia pełne nienawiści, które paliły jego plecy, gdy chodził ulicami Tokio. Wojna uczyniła tu nawet więcej nieszczęścia i biedy niż w Berlinie. Na koniec ujrzał pół tuzina listów, które napisał do Pameli, by potem je podrzeć na strzępy.

Odiedzając te wszystkie niesamowite miejsca Victor Henry czuł się szczęśliwy, jakby podążał ku nowemu życiu. Życie, na które już stracił nadzieję, a które teraz nagle pojawiło się przed nim jak spełnione marzenie. Rhoda w jego myślach była tryskającą młodością dziewczyną z Waszyngtonu, którą adorował. Rozumiał, dlaczego się w niej zakochał, a następnie ją poślubił. Obecnie traktował ją z obojętnością, zupełnie jakby była żoną kogoś innego. Potrafił obiektywnie ocenić wszystkie jej wady i zalety. Rozwód z nią byłby zbyt okrutny i szokujący. Czym mu zawiniła? Życie, które mu ofiarowała, było jałowe i puste. Teraz był tego świadomy, ale robiła, co w jej mocy. Nie chciał urazić Rhody, ani zrezygnować z szansy rozpoczęcia nowego życia.

Pisał listy do Pameli, by przelać swe myśli na papier i w ten sposób nabrać do nich

dystansu. Z tych samych powodów napisał jej o masakrze w Mińsku. Gdy dotarł do Tokio stwierdził, że listy są zbyt powolne. Musiał wysłać jeden z dwóch telegramów: „Przyjeżdżaj” bądź „Nie przyjeżdżaj”. To by jej w zupełności wystarczyło. W końcu stwierdził, iż była znacznie mądrzejsza niż on.

Ten pierwszy krok rzeczywiście powinien tylko być przelotnym romansem, w czasie którego mogliby sprawdzić, czy to prawdziwa miłość, czy tylko namiętność.

Nie warto byłoby ranić Rhody dla zwykłego zaślepienia, które nigdy nie trwa wiecznie. Jednak, by to sprawdzić, powinien z nią zamieszkać. Victor Henry zrozumiał, iż było to rozwiązanie bardzo osobliwe, ale nie wiadomo, czy nie najlepsze w jego trudnej sytuacji.

W Tokio zastanawiał się, czy nie nadać telegramu: „Przyjeżdżaj”. Po krótkim wahaniu zrezygnował. Nawet jeśli to było najlepsze rozwiązanie, nie mógł znaleźć w nim miejsca dla siebie. Nie potrafił wyobrazić sobie siebie uwikłanego w potajemny romans, chociaż ze względu na Pamelę nie myślał o ich związku jako o niemoralnym bądź plugawym. To nie było w jego stylu. Nie potrafiłby dobrze wywiązać się z roli kochanka i kapitana USS „Kalifornia” jednocześnie. Jedno z dwojga by na pewno spartaczył. Dlatego też, do Manili przyjechał nadal niezdecydowany.

Tutaj po raz pierwszy od czasu rozmowy na Placu Czerwonym, uświadomił sobie, że rola Rhody w jego życiu zaczęła przyćmiewać Pamelę. Manila była przesiąknięta Rhodą. Dobrymi i złymi wspomnieniami, w których jednak był on. Dzisiejsze realia to Red Tully, przyjaciel z klasy, a teraz komandor wszystkich okrętów podwodnych Floty Azjatyckiej, zawody między Armią a Marynarką Wojenną, w których po raz ostatni brał udział dwadzieścia osiem lat temu, gdy Pam była kilkumiesięcznym niemowlęciem. Tuziny młodych poruczników marynarki siedzących na trawniku z przyjaciółkami w wieku Pameli.

Ta dzika sceneria syberyjska nagle stała się blednącym obrazkiem skleconym ze zdjęć migawkowych. Taką samą migawką było to burzliwe pół godziny na Placu Czerwonym.

Czy naprawdę mógłby teraz zacząć wszystko od początku? Mieć dzieci, które będą uczyły się mówić. Małych chłopców bawiących się na trawie i dziewczynkę splatającą rączki wokół głowy. Manila przede wszystkim kojarzyła mu się z przyjemnościami, które dały mu jego dzieci. To były najlepsze dni jego życia. Gdyby mógł powtórzyć to wszystko z Pamelą, byłoby to dla niego niczym zmartwychwstanie; prawdziwe drugie życie. Ale czy mógł tego dokonać taki twardy i stetryczały człowiek, jakim był on sam? Był wystarczająco srogi dla swych dzieci, gdy miał trzydzieści lat.

Teraz był bardzo zmęczony. W końcu zmógł go sen, gdy siedział na krześle, tak samo

jak kiedyś w apartamencie Tudsburych w hotelu National. Ale tym razem nie obudził go pieszczotliwy dotyk chłodnych dłoni. Jego wewnętrzny budzik, który nigdy nie zawodził, i tym razem wyrwał go ze snu na czas, by zdążył dojechać do Cavite i obserwować przybycie „Devilfish”.

* * *

Byron stał na pokładzie dziobowym przy maszynie kotwicznej, ubrany w mundur i kamizelkę ratunkową, ale Pug go nie poznał. Gdy „Devilfish” przesuwała dziób wzdłuż przystani Byron krzyknął:

- O Boże to mój ojciec. Tato! Tato!

Wtedy dotarło do Puga, że ten szczupły chłopak z rękoma w kieszeniach ma taką znajomą posturę, a głos jego syna wydobywa się z tej wychudłej twarzy przysłoniętej kędzierzawą, rudą brodą. Gdy okręt jeszcze cumował, Byron wyskoczył na nabrzeże, otoczył ojca ramieniem i przytulił mocno.

Pug doznał dziwnego uczucia całując zarośniętą twarz syna.

- Cześć Briny. Skąd ten zarost?

- Kapitan Hoban nie znosi brodaczy. Planuję zapuścić brodę do kolan. Boże, to niesamowita niespodzianka tato.

Z mostku przez megafon niecierpliwie wołał go oficer. Byron niczym kozioł wskoczył z powrotem na bujający się dziób i krzyknął na ojca.

- Spędzimy razem cały dzień. Mama pisała mi, że będziesz dowodził „Kalifornią”. To fantastyczne!

Gdy statek został już zabezpieczony przy nabrzeżu, oficerowie gorąco zaprosili Victora, by zjadł z nimi obiad, w domu, który tutaj wynajmowali. Pug zauważył dezaprobujące spojrzenie Byrona i odmówił.

* * *

- Mieszkam na okręcie - powiedział Byron, gdy jechali z powrotem do Manili szarym wojskowym samochodem Puga. - Nie należę do układu.

- Dlaczego nie. Wygląda to całkiem nieźle.

- Ach, kucharz, lokaj, dwóch chłopców do pomocy, ogrodnik, pięć akrów, basen pływacki, a wszystko to dla tych nędzników gdy rozłożą się na wybrzeżu. Byłem tam na obiedzie. Dziewczyny mają na zawołanie, przychodzą tam na noc. Najróżniejsze: sekretarki, pielęgniarki i co tylko. A potem się zabawiają.

- To naturalne w tym wieku.

- Tato, co robiłeś, gdy byłeś daleko od mamy.

- Myślisz, że bym ci powiedział? - Pug spojrział na Byrona. Zarośnięta twarz przybrała poważny wyraz. - Więc dobrze. Przechodziłem katusze Briny. Ale nigdy nie rób z siebie męczennika.

- Nie jestem męczennikiem. Moja żona jest we Włoszech. To wszystko. Oni mogą robić, co tylko chcą?

- Jakie były ostatnie wiadomości od niej?

- Piętnastego leci do Lizbony. Dostałem zdjęcie dziecka. Poczekaj aż go zobaczysz! To nieprawdopodobne jak bardzo jest podobny do mnie, kiedy byłem małym chłopcem.

Przez dwa miesiące Pug ślęczał nad zdjęciami, które miał w portfelu, ale zdecydował się nie wspominać o tym!

Dedykacja dla Slot'e'a była niezbyt zręcznym dodatkiem.

- O Boże, to przekleństwo, że musimy być rozłączeni - wykrzyknął Byron. - Ojczy, czy możesz to sobie wyobrazić? Twoja żona z dzieckiem, którego nigdy nie widziałeś na drugim końcu świata; żadnych telefonów, od czasu do czasu, gdy sprzyja ci szczęście, możesz dostać list. To piekło. Najgorsze z tego wszystkiego jest to, że ona prawie już wydostała się przez Szwajcarię. Gdy miała lecieć niemieckim samolotem ogarnęła ją panika. Była chora i taka samotna, że nie mogę jej o to winić. Ale teraz byłaby już w domu, gdyby wybrała inną drogę. Niemcy! Ci przeklęci Niemcy!

Po chwili milczenia powiedział ze świadomą beztróską w głosie:

- Gorąco tutaj, nieprawdaż?

- Ja już zapomniałem, co to jest upał Briny.

- Sądzę, że w Rosji musiało być bardzo zimno.

- Ale w Tokio już zupełnie lodowato.

- Powiedz jakie jest Tokio. Niezwykłe i zachwycające i takie inne.

- Najbrzydsze miasto na świecie - powiedział Pug, był zadowolony, że zmienili temat.

- Patetyczne. Płaskie, zabudowane chatami miasto, rozciągające się jak tylko można sięgnąć okiem. W centrum kilka nowoczesnych budynków i sygnalizacji, a wokół tłumy biegających małych Japończyków. Większość z nich nosi zachodnie ubrania, które wyglądają jak przerobione ze starych ciuchów. Czasem można zobaczyć kobietę ubraną w tradycyjny strój japoński, kilka świątyń i pagody takie jak w San Francisco, w Chinatown. Nie jest to styl orientalny, wszystko wygląda na biedne i zaniedbane, a wszędzie unosi się zapach ścieków i zepsutej ryby. Tokio to moje największe rozczarowanie. Co więcej nienawiść do białego człowieka jest tak silna, że można ją kroić nożem.

- Myślisz, że oni rozpoczną wojnę?

- Widzisz, to nie jest proste pytanie - Victor Henry nerwowo pukał palcami po kierownicy. - Mam książkę o ich religii shinto, mógłbyś ją przeczytać, otwiera oczy na wiele spraw. Dostałem ją od ambasadora. To są ludzie, Briny, którzy żyjąc w dwudziestym wieku wciąż wierzą, że ich cesarz jest potomkiem boga - słońca, a ich imperium istnieje bez przerwy dwa tysiące sześćset lat. Według legendy, zanim kontynent się rozpadł na części, Japonia była najwyższym punktem ziemi, a tym samym centrum świata. Tak więc misją tego boskiego narodu jest zaprowadzanie na świecie pokoju poprzez pokonanie wszystkich. Śmiejesz się, ale lepiej mój chłopcze przeczytaj tę książkę. Ta ich religijna paplanina niczym się nie różni od nazistowskiej czy komunistycznej propagandy. Wszyscy wierzą, że istnieje jedna grupa ludzi przeznaczona do tego, by zapanować nad całym światem przy użyciu siły. Jeden Bóg wie, dlaczego ta idea wybuchła w tak różnych formach i wciąż się rozprzestrzenia. To zupełnie jak umysłowy trąd. Powiedz, jesteś głodny? Zajrzymy do starego domu przed obiadem?

Uśmiech Byrona, obramowany teraz równo przystrzyżoną rudą brodą wyglądał dziwnie, ale nie był pozbawiony dawnego uroku.

- Jasne ojciec. Nigdy tam nie byłem. Sam nie wiem dlaczego.

* * *

Jechali wzdłuż Harrison Boulevaru i kiedy zbliżyli się do domu Byron wykrzyknął.

- O Boże, czy to naprawdę ten? Ktoś pomalował go na żółto.

- Ten sam.

Pug zaparkował samochód przy chodniku i wysiedli. Zupełnie ich zaskoczył ten brzydki kolor musztardowy. Nawet niski murek z cegły i żelazna brama były tego samego koloru. Farba była już stara, wypalona przez słońce i zaczynała się łuszczyć. Na trawniku leżał przewrócony dziecięcy rower, duża czerwona piłka, wózek dziecienny i plastikowe zabawki.

- Drzewa są wyższe i grubsze - powiedział Byron zerkając przez ogrodzenia - ale dom wygląda jakby się skurczył. Patrz, tutaj Warren rzucił we mnie puszką czerwonej farby. Ciągłe jest znak. Potarł butem wyblakłą czerwoną plamę na płycie chodnika. - Przeszedłem tu ciężki czas. Warren zranił mnie w głowę, a potem żółtaczka.

- Tak i potrafiła cię ciężarówka, kiedy jechałeś na rowerze. Nie myślałem, że możesz to wszystko tak dobrze pamiętać.

Byron wskazał palcem.

- Pod tym drzewem siadaliśmy, gdy mnie uczyłeś. Pamiętasz tato? Spójrz, jaki ten

pień jest teraz gruby!

- O pamiętasz nawet to. Nie sądziłem, że będzie to dla ciebie przyjemne wspomnienie.

- Dlaczego nie? Tęskniłem za szkołą. Ty musiałeś ją zastąpić!

- Ale byłem wstrętnym nauczycielem. Być może twoja matka powinna była się tym zająć. Ale ona lubiła długo spać rano, a po południu albo szła po zakupy, albo do fryzjera, albo była umówiona na przyjęcie. Przepraszam, że złościłem się na ciebie.

Byron spojrział na ojca spod na półprzymkniętych powiek i podrapał się po brodzie.

- Nie ma za co - powiedział.

- Czasami płakałeś. Chociaż nie uroniłeś ani jednej łzy, gdy potraçała cię ciężarówka.

Nigdy nie płakałeś z bólu.

- No cóż, bałem się, gdy podnosiłeś na mnie głos pełen złości. Ale miałeś rację. Lubiłem uczyć się z tobą. Rozumiałem cię.

- W każdym razie miałeś wówczas niezłe stopnie.

- Najlepsze, jakie kiedykolwiek otrzymałem.

Przez dłuższą chwilę spoglądali przez ogrodzenie w milczeniu.

- Więc już obejrzelśmy to miejsce - powiedział Pug. - A co z obiadem?

- Wiesz co? - wzrok Byrona był nadal utkwiony w dom. - Z wyjątkiem trzech dni, które spędziłem z Natalią w Lizbonie, byłem tu bardziej szczęśliwy niż kiedykolwiek w moim życiu. Kocham ten dom.

- To jest właśnie najgorsze co może ci się przydarzyć w czasie kariery wojskowej - oznajmił Pug. - Nigdy nie zapuszczasz korzeni. Zakładasz rodzinę pływaków.

* * *

Koktajl z krabów podawano w Klubie Armii i Marynarki nadal z tym samym słodkim, czerwonym sosem w takich samych co zawsze smukłych naczyniach ozdobionych na szczycie zielonym listkiem, który niczemu nie służył. Pieczeń z pieca parowego była letnia i zbyt rozgotowana, zupełnie tak jak w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym. Nawet twarze ludzi jedzących tu obiad się nie zmieniły. Z wyjątkiem twarzy Byrona. Ten szczupły mały chłopiec, który zawsze jadł tak wolno, iż doprowadzał tym wszystkich do irytacji był teraz młodym przystojnym człowiekiem z brodą. Nawet teraz jadł zbyt wolno. Pug skończył swoje danie pierwszy, chociaż to on mówił przez cały czas.

Chciał wysondować Byrona co sądzi o Pameli i Jochananie Jastrowie. Opisał mu nagle wtargnięcie Jastrowa do moskiewskiego mieszkania Slote'a oraz jego pojawienie się niczym widma w Spaso w czasie zamieci śnieżnej. Byron wybuchnął gniewem, gdy ojciec

wspomniał o odmowie Tudsbury'ego użycia dokumentów z Mińska i jego przypuszczeniu, że Jastrow może być emisariuszem NKWD.

- Co? On chyba nie mówił tego poważnie. Dlaczego? On jest albo idiotą, albo hipokrytą! Jeden Bóg wie, że to co mówił o ludziach, którzy nie chcieli pomóc Żydom, było najszczęśliwszą prawdą. Hitler paraliżował świat przez lata uderzając w tę strunę. Nie wierzę, by ktoś mógł rozmawiać z Berelem przez pięć minut i nie uświadomił sobie, że to naprawdę niezwykły człowiek.

- Wierzysz w tę opowieść o masakrze?

- Dlaczego nie? Czyż Niemcy nie są do tego zdolni? Jeśli Hitler wydał taki rozkaz, to został on wykonany.

- Sam nie byłem tego pewien Byronie, ale napisałem do prezydenta.

Byron przyglądał mu się z otwartymi ustami, po czym zapytał cicho głosem pełnym niedowierzania.

- Co zrobiłeś tato?

- No, cóż, dokumenty były przekładane w ambasadzie z jednej szuflady do drugiej jako prawdopodobnie sfinansowane. Sądziłem, że zasługują jednak na dokładniejsze przebadanie. To był impuls, być może głupi, ale stało się.

Byron Henry wyciągnął rękę, położył ją na dłoni ojca i uściśnął, po czym tklwym wzrokiem spojrzał na niego.

- Wszystko co mogę powiedzieć to to, że dobrze zrobiłeś.

- Nie. Sądzę, że był to daremny gest, a te nigdy nie są dobre. Ale to już należy do przeszłości. Przy okazji, czy spotkałeś kiedykolwiek córkę Tudsbury'ego? Natalia wspominała na lotnisku w Rzymie, że ją zna.

- Masz na myśli Pamelę. Spotkałem ją raz w Waszyngtonie. Dlaczego pytasz.

- Razem z Tudsburymi podróżowałem przez strefę działań wojennych. Odniosłem wrażenie, że to niezwykle dzielna i twarda dziewczyna. Znosiła bardzo wiele, ale nigdy się nie skarżyła.

- Ach, z tego co mówi Natalia, Pam Tudsbury jest niezwykle wytrzymała. Nie są pod tym względem zbyt do siebie podobne, ale poza tym niczym się nie różnią. Natalia dużo mi o niej opowiadała. W Paryżu Pamela była istnym diabłem wcielonym.

- Naprawdę?

- Tak, była tam z tym swoim hemingwayowskim przyjacielem, który mieszkał w pokoju z Leslieem Slotem. Ona i ten gość wzniesali awantury w całym Paryżu. Potem on ją zostawił, a Pamela wpadła w chandrę. Mam ochotę na deser tato. Ty także?

- Oczywiście - Victor Henry potrafił zapanować nad ciekawością. - Jaką chandrę?

- Ach, nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Spała na okrągło, usiłowała wypić całe wino Paryża, samochód prowadziła jak maniaczka. Pod Marsylią rozbiła samochód na drzewie i omal nie zabiła tego francuskiego pisarza, z którym była. Co się stało? Wyglądasz na zmartwionego.

- Bo to smutna historia. Zrobiła na mnie dobre wrażenie. Będę tutaj przez tydzień - oznajmił Pug nagle - chyba żeby clipper zmienił swój rozkład. Może zagramy w tenisa?

- Oczywiście, ale nie jestem w takiej formie jak w Berlinie.

- Ani ja.

* * *

W tenisa grali wcześniej rano, gdy nie było jeszcze upału, po czym brali prysznic i wspólnie zjadali śniadanie. Victor Henry nie wspominał więcej o Pameli. Nocą, gdy nie mógł zasnąć w ciepłym, wilgotnym pokoju, leżąc w ciemnościach myślał jak powrócić do tego tematu. Lecz gdy zasiadał twarzą w twarz z synem przy śniadaniu, nie potrafił tego zrobić. Domyślał się, co może myśleć Byron o romansie swego statecznego ojca z Pamelą Tudsbury. Odebrałby to jako zaburzenia umysłowe typowe dla osób w średnim wieku. Trochę bulwersujące, trochę patetyczne. Czasami Victor sam zaczynał myśleć o tym w taki właśnie sposób.

Pewnego dnia Branch Hoban nakłonił go do przyjęcia zaproszenia na obiad i złożenia wizyty w domu w Pasay. Byron uparcie odmawiał towarzyszenia mu. Przed obiadem Pug przez dłuższą chwilę pływał w basenie, otoczonym kwitnącymi drzewami. Następnie równie zadowolony zasiadł do obiadu, na którym podano wspaniałą potrawę w sosie curry. Po krótkiej poobiedniej drzemce rozegrał mecz tenisa, w którym pokonał porucznika Astera. W sumie było to udane popołudnie. Zanim odjechał, odbył rozmowę na temat Byrona. Popijając rum i siedząc na tarasie w ogrodzie Hoban i Aster próbowali uspokoić Puga. Obaj uważali go za urodzonego podwodniaka. Jedyne czego mu brakuje, to zacięcia do wojska. Wręcz obsesyjnie domagał się przeniesienia na Atlantyk, ale Hoban wyjaśnił ojcu, iż było to niemożliwe. W eskadrze i tak brakowało żołnierzy, a „Devilfish” nie mogłaby wyruszyć na morze, gdyby straciła jednego oficera wachtowego. Byron musiał sobie uświadomić, że „Devilfish” to jego okręt.

Victor Henry podjął ten temat w najstosowniejszym, jego zdaniem, momencie, to znaczy następnego ranka przy śniadaniu tuż po tenisie i prysznicu, gdy siedząc razem na trawie popijali kawę. Zaobserwował, iż w czasie porannej kawy Byronowi dopisuje najlepszy

humor. Starał się, by jego wypowiedź zabrzmiała tak przypadkowo jak to tylko było możliwe.

- Słuchaj Byron, wspominałeś, że Natalia leci do Lizbony kiedy? Piętnastego tego miesiąca?

- Zgadza się, piętnastego.

- Myślisz, że tym razem jej się uda!

- Boże, lepiej żeby jej się udało. Mają każde możliwe oficjalne zabezpieczenie i pierwszeństwo.

- Cóż piętnasty to już niedługo. Ta twoja prośba o przeniesienie - Pug zawahał się, na twarzy syna pojawił się grymas, który tak dobrze znał: posepny bezmyślny, daleki i zamknięty w sobie - czy nie mógłbyś tego odłożyć przynajmniej do tego czasu?

- Odłożyć? To już jest odłożone, nie martw się. Odmówił mi Hoban, Tully i oficer personalny admirała Harta. Czego jeszcze chcesz?

- Chcę, byś sam się przekonał, że to konieczne Briny.

- Posłuchaj, zakładam, że ona dotrze do domu z dzieckiem. W innym razie zdezerterowałbym i sam ich tam odwiózł. Jednak wciąż chcę, by mnie przeniesiono. Chcę ich zobaczyć. Chcę być blisko nich. Nigdy nie widziałem mego własnego syna! Od czasu gdy się pobraliśmy, spędziłem z moją żoną w sumie trzy dni.

- Jest jeszcze druga strona. Twoja eskadra jest zdesperowana, bo brakuje oficerów wachtowych. Jesteśmy w stanie gotowości na wypadek wojny i...

Byron mu przerwał.

- Co się dzieje tato? Nie prosiłem cię, byś wstawił się za mną u Tully'ego.

- I bardzo się z tego cieszę. Red Tully nie może przewyciężyć czegoś, co jest niemożliwe. On i tak użył swego stanowiska, gdy wciągnął cię do klasy z maja, ale to było co innego...

Byron przerwał mu ponownie.

- Jezu, tak, i jestem do zgongnie wam obu za to wdzięczny. Dzięki temu mój syn urodził się we Włoszech i dzięki temu cała kula ziemską dzieli mnie teraz od mojej żony.

- Może lepiej przestańmy o tym mówić - mruknął Pug.

- To genialny pomysł ojczec.

* * *

Byron był znów wesoły, gdy jedli jajka na bekonie, ale Victor Henry czuł, iż ta krótka ostra wymiana zdań zniszczyła tę więź, która się między nimi nawiązała. Byron nie mógłby być bardziej przyjazny, gdy zegnał następnego dnia odlatującego ojca. Na przystani zarzucił

ręce na szyję Puga. Pod wpływem impulsu, gdy broda Byrona łaskotała go w usta, zapytał:

- Czy Natalii spodobały się te krzaki na twojej twarzy?

Śmiech Byrona sprawił mu ogromną przyjemność.

- Nie martw się. W dniu, kiedy opuścę „Devilfish” zgolę to.

- A więc, to byłoby na tyle, Byron.

- Znow przypominamy te pustynne rośliny, które nigdy nie mogą się ukorzenieć, bo wciąż je rozwiewa wiatr.

- Właśnie.

- Zobaczysz się z Warrenem i Janice za kilka dni. Pozdrów ich ode mnie.

Głośnik wezwał wszystkich pasażerów na pokład. Victor spojrzął w oczy swojego syna i powiedział zdławionym głosem:

- Modlę się za Natalię i twojego chłopca.

Oczy Byrona pozostały spokojne i nieodgadnione.

- Wiem o tym tato. Dziękuję.

Gdy clipper oddalał się, syn wciąż stał na przystani, z rękoma w kieszeniach, spoglądając w jego kierunku.

* * *

W tym samym czasie flota japońska była w drodze na Hawaje. Wyspy Kurylskie, które tworzyły łańcuch skał wulkanicznych o długości siedmiuset mil, luźno łączące Japonię i Syberię, stwarzały doskonałe warunki na potajemne spotkanie. Sześć lotniskowców japońskich spotkało się wśród tych ciemnych, gdzieniegdzie rozjaśnionych śniegiem urwisk. Silne wiatry i długotrwałe mrozy sprawiły, iż roślinność była zdegenerowana i było jej bardzo mało. W deszczu i słońcu lotnicy ćwiczyli ataki torpedowe podczas gdy pancerniki, krążowniki oraz tankowce stopniowo dołączały do eskadry. Nikt nie wiedział o gromadzącej się armadzie. Była to wspólna tajemnica marynarzy zaokrętowanych na pokładach i kilku japońskich przywódców. Gdy flota wyruszyła na wschód, tylko kilku oficerów flagowych zostało poinformowanych gdzie zdążają i dlaczego.

Nie mieli wyznaczonego ani dnia, ani godziny ataku. Co więcej, nie byli pewni, czy atak nastąpi. Flota miała być w pogotowiu na wypadek gdyby rozmowy w Waszyngtonie zostały zerwane. Japońscy posłowie starali się Wypracować modus vivendi, zawieszenie broni na Pacyfiku zanim obudzą się działa. Japońskie modus vivendi zobowiązywało Stany Zjednoczone do ponownych dostaw ropy naftowej i złomu, uznania prawa Japonii do władania wschodnią Azją i kolonizacji Chin. Jeśli Ameryka przystanie na takie warunki, flota

japońska zostanie wycofana. Ale *modus vivendi* Stanów Zjednoczonych wzywało Japończyków do zaprzestania wojny w Chinach, wycofania się z południo-wschodniej Azji w zamian za normalizację stosunków gospodarczych. Przywódcy japońscy zdecydowali, iż jeśli to jest ostatnie słowo, to przystępują do walki. Według początkowych ustaleń atak miał na dany sygnał rozprzestrzenić się we wszystkich kierunkach na całym Pacyfiku. Obecnie wszelkie ruchy wojsk zostały wstrzymane, by w odpowiednim, nieodwołalnie już określonym czasie uderzyć z zaskoczenia na Hawaje.

Trzy główne punkty na południowym Pacyfiku, które znajdowały się pod panowaniem białych to Pearl Harbor, Manila i Singapur. Zgodnie z planem amerykańska flota i lotnictwo stacjonujące w Pearl Harbor miały być zaatakowane z powietrza. Marynarka japońska miała obezwładnić Singapur, a desant lądowy Manilę.

Po wykonaniu tych operacji oddziały biorące w nich udział miały dołączyć do wojsk znajdujących się we Wschodnich Indiach i wspólnymi siłami pokonać Chiny. Przez cały czas oczywiście żołnierze japońscy mieli odpierać ataki połączonych sił Anglii i Stanów Zjednoczonych. Według ostatecznych spekulacji chodziło o to, by Niemcy wygrali tę bratobójczą wojnę białych ludzi dając szansę Japonii, bądź też miało to doprowadzić do takiego wyczerpania sił amerykańskich i brytyjskich, które pozwoliłoby Japonii zatrzymać podbite tereny bez względu na to co stanie się z Niemcami.

Przywódcy japońscy wspólnie z cesarzem wątpili w powodzenie tak ryzykownego planu, jednak sądzili, iż nie mają innego wyboru. Znajdowali się w tak samo kłopotliwym położeniu jak Niemcy przed atakiem na Związek Sowiecki. Oba państwa kierowane przez militarzystów rozpoczęły wojny, których w istocie nie były w stanie skończyć. Czas uciekał, a zapasy topniały, toteż decydowały się uderzać na ślepo wierząc w poprawę losu.

Trzy przyczyny wpłynęły na to, że atak japoński nastąpił właśnie teraz. Kończyła się ropa naftowa, pogoda wkrótce miała się pogorszyć, co utrudniłoby wszelkie działania wojenne, a biali ludzie w końcu ulegli trwodze i umacniali swoje trzy bastiony dostarczając tam tydzień w tydzień samoloty, okręty, działa przeciwlotnicze, czołgi i budując fortyfikacje. Chwilowa przewaga Japonii na południowym Pacyfiku i we wschodniej Azji malała z dnia na dzień. Jeśli prezydent Roosevelt nagle nie złagodnieje, Japonia będzie musiała uderzyć lub zrezygnować z marzeń o imperium.

I tak, na dzień przed zawodami armii i marynarki, armada wyruszyła na wzburzone wody, udając się w kierunku Hawajów.

Gdy japońska flota podążała na wschód, znacznie mniejsza flota amerykańska wyruszyła z Pearl Harbor na zachód. Admirał William Halsey zabrał na pokład „Enterprise”

dwanaście myśliwców, by dostarczyć je na wyspę Wake. Japonia, działając w ukryciu, już dawno wybudowała fortyfikacje na każdej swojej wyspie i także na Pacyfiku, a Kongres wciąż odrzucał prośby prezydenta Roosevelta o przeznaczenie funduszy na umocnienie amerykańskich baz na tym oceanie.

Dopiero teraz, w końcu listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, fundusze zostały zatwierdzone. Pracując w szalonym pośpiechu próbowano nadrobić zaniechania. Na Wake prace zostały prawie ukończone, ale atol nadal nie posiadał żadnego zabezpieczenia przed atakiem z powietrza.

Na drugi dzień, Warren Henry wracał z porannego lotu patrolowego i lądował na pokładzie lotniskowca. Dzień był słoneczny i czysty jak kryształ. Pokład wyrósł przed Warrenem - poczuł jak noga gwałtownie zaczepia o linę hamującą, a pasy bezpieczeństwa ostro wbijają się w żołądek, i już był na dole wśród marynarzy pokładowych ubranych w jaskrawoczerwone, zielone i żółte bluzy, którzy gestykulując poruszali się między samolotami niczym w jakimś szalonym tańcu. Ciepłe powietrze morskie wirowało nad otwartym okienkiem tylnego strzelca. Odpiął pasy i połączenia, zebrał mapy i niezręcznie wy dostał się na pokład, gdzie wiał orzeźwiający wiatr. W tym samym czasie następny samolot zwiadowczy wylądował wśród ryku silnika.

Oficer lądowy krzyknął osłaniając usta rękoma:

- Wszyscy piloci do kabiny szóstej na godzinę dziewiątą.
- Co się stało?
- Stary chce z nami pogadać.
- Kapitan?
- Halsey.
- Jezu!

* * *

Miękkie, wygodne fotele w kabinie były już wypełnione przez pilotów w mundurach khaki i żółtych kamizelkach ratunkowych, gdy Halsey wkroczył w asyście kapitana okrętu i dowódców eskadr. Stał przed tablicą z pleksy, na której pomarańczowe znaki pokazywały trasy lotów i wyznaczone zadania. Warren siedział za ledwie o kilka stóp od niego. Z tak niewielkiej odległości widział dokładnie, starą i poznaczoną plamami twarz Halseya. Od czasu do czasu nawiedzał ją, ukazujący zęby, nerwowy tik.

Dowódca dywizjonu pomachał zieloną kartką.

- W porządku, wszyscy otrzymali to już wczoraj i zdążyli przedyskutować, ale admirał

prosi mnie, bym odczytał to jeszcze raz, na głos.

Rozkaz bojowy nr 1

1. „Enterprise” działa teraz w warunkach wojennych
2. O każdej porze dnia i nocy musimy być przygotowani do natychmiastowej akcji
3. Możemy napotkać wrogie okręty podwodne

Potrzeba nam spokojnych nerwów i odważnych serc.

Oficer dowodzący „Enterprise” zatwierdzone przez W. F. Halseya wiceadmirała Marynarki Stanów Zjednoczonych Komandora Grupy Lotniskowców.

Kapitan zrobił krok do tyłu i stanął wśród komandorów eskadry za admirałem. Halsey rozejrzał się po pokoju, ściągając siwe brwi.

- Dziękuję. Słyszałem, że wczoraj były pytania. Jestem tu, by zaspokoić waszą ciekawość.

Żadna ręka nie uniosła się w górę, nie padło żadne pytanie.

Twarz admirała Halseya wykrzywiła się w mimowolnym tik, kiedy spoglądał przez ramię na otaczających go oficerów.

- Panowie - zwrócił się znów do pilotów. - Mowę wam odjęło?

Wywołało to niespokojne szepty.

- Z wiarygodnego źródła wiadomo mi, że ktoś powiedział, że ten dokument daje każdemu z was carte blanche odnośnie postawienia Stanów Zjednoczonych w stan wojny. A teraz czy ten odważniak, który to powiedział zechce wstać?

Warren Henry zrobił krok do przodu. Wszystkie twarze zwróciły się w jego kierunku.

- Jak się nazywasz?

- Porucznik Warren Henry, sir.

- Henry? - Srogi wyraz jakby złagodniał na twarzy Halseya. - Czy jesteś krewnym kapitana Victora Henry?

- To mój ojciec, sir.

- No cóż, on jest wspaniałym oficerem. Wróćmy do rzeczy. Sądysz, że ten rozkaz pozwala ci pogрузić twój kraj w wojnie, czy nie tak?

- Tak i dodałem wczoraj, że jestem jak najbardziej za tym.

- Jesteś za tym, tak? Dlaczego? Kim ty jesteś? Jednym z tych spragnionych krwi zabójców? Admirał uniósł do góry swą wysuniętą szczękę.

- Admirale, sądzę, że już teraz znajdujemy się w stanie wojny, tyle że walczymy z rękoma spętanymi na plecach.

Twarz Halseya wykrzywiła się, po czym nakazał Warrenowi wstąpienie do szeregu.

Splatając ręce z tyłu admirał powiedział szorstkim tonem:

- Panowie, ta jednostka została przygotowana do akcji wiele tygodni temu. Nie pozostawiono nic niesprawnego, zbędnego czy łatwopalnego na pokładzie „Enterprise” o czym bym nie wiedział. Wyjątek stanowi pianino w mesie oficerskiej. Sam odpowiadam za to uchybienie. Obecnie nasza misja jest sekretem. Na naszej drodze nie napotkamy żadnych jednostek Stanów Zjednoczonych, ani sił sprzymierzonych. Wszyscy otrzymali ostrzeżenie. Te, które napotkamy, będą należeć do wroga. Jeśli nie zaatakujemy pierwsi, nie będzie nam już dana druga szansa. Dlatego strzały z tej jednostki będą padać pierwsze, a dyskutować będziemy potem. Ja ponoszę wszelką odpowiedzialność. Jakies pytania? - Powoli przyjrzał się otaczającym go młodym twarzom. - W takim razie życzę wam dobrego dnia i pomyślnych łowów.

* * *

Później skrzydłowy Warrena leżąc nago na górnej koi, stwierdził:

- Trzeba mu jednak przyznać, to waleczny skurwysyn.

- Albo stuknięty i skory do strzelaniny starzec - odparł Warren oplukując brzytwę - zależy od rozwoju wydarzeń.

W dniu, kiedy Japończycy podążając na wschód zbliżyli się do udającej się w przeciwnym kierunku floty Halseya, Warren patrolował rejon północny w odległości ponad dwustu mil od japońskich okrętów.

Japoński samolot zwiadowczy też został wysłany na taką samą odległość w kierunku południowym. Na ogromnym Pacyfiku cała ta akcja przypominała zabawę w chowanego. Setki mil wody dzieliły dwa patrolujące samoloty, a okręty minęły się spokojnie, nie zauważając się nawzajem.

* * *

Nad Guam zapadał zmrok, gdy Victor Henry wyglądał przez okno lądującego clippera. Wierzchołki gór na wyspie były oświetlone luną zachodzącego słońca. Cień padający już na wyspę spłaszczał perspektywę. Guam poprzecinana tarasowymi polami, wyglądała jak obraz namalowany na japońskim parawanie. Od czerwonego horyzontu ostro odcinała się ciemna plama; Rota, wyspa pod panowaniem Japończyków.

* * *

Zmęczeni i przepoceni pasażerowie stali stłoczeni w wejściu do biura emigracyjnego, gdy nadjechał szary samochód z powiewającą na przednim błotniku flagą amerykańską.

- Kapitan Henry? - Marynarz w białym mundurze zsalutował i wręczył mu kopertę wyławiając pewnie z tłumu pilotów i cywilów oficera marynarki wojennej. - Pozdrowienia od gubernatora, sir.

Na kremowym papierze listowym widniał złoty napis:

Gubernator Guam

Clifton Norbert Tollever, Jr.

Kapitan Marynarki Stanów Zjednoczonych.

Cześć Pug!

Pozdrowienia dla najgorszego gracza na świecie i jeśli to nie jest niedziela zapraszam na drinka, obiad i partyjkę.

Kip.

Puga rozśmieszył ten stary dowcip o jego niedzielnej abstynencji.

- Panie poruczniku, przykro mi, ale zanim załatwię to wszystko tutaj, dotrę do hotelu, umyję się i tak dalej, gubernator będzie już po obiedzie.

- Nie, sir. Proszę mi pozwolić wyjaśnić. Gubernator powiedział, że mam zabrać pana prosto do pałacu, razem z bagażem. Dostanie pan pokój, by się odświeżyć i wypocząć.

Złote naszywki na ramieniu białego i sztywnego munduru adiutanta gubernatora załatwiły wszelkie trudności. Po pięciu minutach Victor Henry wsiadł do samochodu gubernatora żegnany zawistnymi spojrzeniami pozostałych pasażerów.

* * *

Jechali przez wyspę spowitą w ciemnościach. Droga była kręta i wąska, ale porucznik zręcznie wymijał część wybojów, wpadając za to w inne.

- Brakuje wam sprzętu do naprawy dróg? - zapytał Pug.

- Gubernator przeznaczył pieniądze wyzebrane z funduszy społecznych na stanowisko artylerii i budowę schronów. Mówi, że może go za to powieszą, ale jego najważniejszym obowiązkiem jest obrona wyspy, a nie łatanie dróg. Przynajmniej dopóki będzie można jej bronić. - Światła samochodu oświetlały zieloną dżunglę i pola uprawne.

- A to już stolica, sir.

Samochód jechał wybrukowaną ulicą, mijając zamknięte sklepy i słabo oświetlone bary o wyszukanych nazwach w stylu: Wiadro Krwi. Tutaj wałęsali się samotni marynarze, niektórzy w towarzystwie śniadych dziewcząt ubranych w skąpe suknie.

Samochód wjechał na przestronny, przystrojony kwiatami plac. Jego zabudowa opierała się na antycznym wzorze hiszpańskim. Z czterech stron zamykały go katedra, długie

baraki: ogromne więzienie oraz ozdobny budynek, który porucznik nazwał Pałacem Gubernatora.

* * *

Kip Tollever pomachał na powitanie, kiedy Victor wspinał się szerokimi schodami na pałacowy taras. Ubrany w biały sztywny mundur siedział w ogromnym, rzeźbionym, hiszpańskim fotelu. Żelazne żyrandole rzucały na niego żółte światło. Przed gubernatorem stali tubylcy, ubrani tylko w spodnie i koszule bez rękawów.

- Siadaj Pug - wskazał mu krzesło obok siebie. - Witaj na pokładzie. To nie potrwa długo. Zaczynaj Salas. A co z uczniami? Ćwiczyli codziennie?

Była to konferencja na temat przygotowań do obrony. Tollever zwracał się do krajowców po angielsku lub hiszpańsku tonem protekcyjnej uprzejmości. Jeden mówił dziwnym dialektem, który pozostali tłumaczyli. Mężczyźni byli przystojni i wyżsi od Filipińczyków.

- W porządku Pug - gubernator lekko poklepał gościa po kolanie, gdy tubylcy w ukłonach wychodzili na schody. - To dopiero niespodzianka. Twoje nazwisko na liście pasażerów clippera! Na tej wyspie to duże wydarzenie. Kate, kiedy jeszcze tu była, dwa razy w tygodniu rzucała się na tę listę jak na list miłosny. No cóż. Na co masz ochotę? Najpierw drink, a potem prysznic? Chodź, wypijemy po jednym. Gdzie się podziewałeś? Co cię sprowadza do tego wyspiarskiego rajku?

* * *

Siedząc na tarasie popijali wspinały poncz rumowy, z ozdobnie rzeźbionych zielonych wysokich szklanek. Pug opowiadał o swoich podróżach. Tollever wykazywał daleko większe zainteresowanie wojną w Rosji niż Japonią. Gdy Pug powiedział mu, iż spędził cztery dni w Tokio zauważył tylko:

- Ach, naprawdę? A propos, zostaniesz do jutra, prawda? Wyznaczę chłopca, by się tobą zajął. Będzie ci wygodnie.

- Dzięki Kip. Lepiej prześpię się w mieście, w hotelu PanAm. Odlot zależy od warunków atmosferycznych, a nie chciałbym, by mnie zostawili tutaj.

- Nie ma problemu. - W głosie Kipa zabrzmiała władcza nuta. - Nie wyruszą bez ciebie. Ja już tego dopilnuję.

* * *

Zdaniem Puga pałac robił bardzo przygnębiające wrażenie, które pogłębiały jeszcze

bogate ciemne meble i ogromne przestrzenie. Nad łóżkiem pokrytym złoto-srebrną narzutą z brokatu wolno obracał się wentylator. Z nowych niklowanych kurków w przestronnej łazience tryskała wspaniała, gorąca woda. Ale ta cisza! Tubylcy w swych białych uniformach poruszali się wokół. bezgłośnie niczym duchy. On i gubernator byli chyba jedynymi białymi tutaj, jako że biały porucznik odjechał, by zabawić się w jednym z barów. Gdy się ubierał z drugiego końca pałacu dochodziły odgłosy przygotowań do obiadu, szcęk srebrnych sztućców i porcelany.

W ponurym a jednocześnie wspaniałym wnętrzu hiszpańskiej jadalni, siedząc przy jednym końcu długiego, błyszczącego stołu dwaj Amerykanie spożywali obiad, na który składały się wyłącznie mrożonki i konserwy przywiezione z domu. Kip Tollever utrzymywał swą gubernatorską godność przy pierwszych potrawach zadając grzecznościowe pytanie o starych przyjaciół z Berlina i o sytuację w Manili. Jednakże po kilku kieliszkach wina ta fasada zaczęła się załamywać, by po krótkim czasie lec w gruzach. Wkrótce na wierzch wyszła zazdrość wobec stanowiska Puga i przygnębienie z własnego przeniesienia na wyspę było bardzo deprymujące. Młodszy oficerowie mogli pójść do baru, zabawić się, czy też do klubu wypić i pograć w karty. Gubernator musiał siedzieć samotnie w pałacu. W dodatku źle sypiał i tęsknił za żoną. Kobiety oczywiście musiały odjechać do domu. Jeśli Japończycy zaatakują, Guam nie będzie w stanie się bronić nawet przez tydzień. W Saipan i Tinian, o pół godziny lotu stąd, bombowce japońskie stały wzdłuż nowych pasów startowych, a na kotwicach kołysały się załadowane transportowce wojskowe. Guam natomiast nie miało nawet lotniska wojskowego.

Gdy podano deser pojawiło się czterech oficerów w towarzystwie adiutanta.

- O, proszę, jest towarzystwo - ucieszył się gubernator. - Ci mili chłopcy przychodzą tutaj co wieczór po obiedzie, Pug. A ja odkrywam przed nimi tajniki gry. Co o tym sądzisz? Masz ochotę na partyjkę czy wolisz się przejść?

Pug zauważył, że twarze młodzieńców rozjaśniły się, gdy usłyszeli o drugiej możliwości. Nadając swemu głosowi beznamiętny ton powiedział bez cienia entuzjazmu.

- Dlaczego nie. Możemy zagrać.

Gubernator Guam przeniósł niezdecydowany wzrok z twarzy Puga na oficerów. Trzymał się prosto, kiedy rozmawiał z podwładnymi. Gęste, szpakowate włosy, twarz o wydatnej szczęce i jasnoblękitne oczy powinny nadać jego twarzy wyraz surowy i poważny. Tymczasem wyglądem przypominał zmęczonego starca, który waha się czy wybrać przyzwyczajenie czy kurtuazję. Ta gra była niewątpliwie krótką chwilą radości daną mu na wygnaniu.

- Ach, do diabła - mruknął po chwili. - Nieczęsto nadarza się okazja, by spotkać starego przyjaciela z klasy. Szczególnie tak drogiego przyjaciela. Uciekajcie młodzi koledzy i bawcie się dobrze. Do zobaczenia jutro o tej samej porze.

- Do widzenia, sir - odpowiedział oficer marynarki starając się, by jego głos oddał rozczarowanie.

Czterech młodych ludzi zniknęło w okamgnieniu.

Kapitan Tollever i kapitan Henry siedzieli długo popijając brandy. Kip pytał Puga czy Japończycy naprawdę mają zamiar atakować, czy przygotowania w Saipan były tylko bluffem mającym przyspieszyć zakończenie rozmów w Waszyngtonie. Kiedyś przebywał w Tokio jako attache, ale Japończycy zawsze stanowili dla niego wielką niewiadomą. Problem polegał na tym, iż nieodpowiedni ludzie dostali się do władzy i stąd brały się kłopoty. Armia miała teraz siłę, która pozwalała jej postawić veto ministrowi wojny, a to oznaczało, że wojsko mogło zrzucić każdy gabinet, który mu nie odpowiadał. Japończycy zawsze dążyli do podbijania obcych krajów, ale czy zaatakują Stany Zjednoczone? Znał kilku Japończyków, byli to wspaniali ludzie, z wyobraźnią, przyjacielsko nastawieni do Stanów Zjednoczonych i poważnie zmartwieni militarnymi planami swych przywódców. Z drugiej strony, ludzie, którzy lecieli clipperami opowiadali mrozące krew w żyłach historie o okrucieństwach Japończyków w Chinach. Szczególnie bezwzględnie obchodzili się z białymi, którzy dostali się w ich ręce.

- Czytałeś, co wojsko japońskie zrobiło, gdy zdobyło Nanking w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku? Byliśmy tak zajęci zatopieniem ich „Panay”, że prawie nie zwróciliśmy na to uwagi. Wpadli w szal: zgwałcili dwadzieścia tysięcy chińskich kobiet, po czym większość z nich wyrznęli. A właściwie zaszlachtowali tak, na miłość boską, że kobiece głowy, ręce i piersi wały się po ulicach. To prawda Pug. Chińczyków wiązali w setki, gonili po ulicach i strzelali do nich z karabinów maszynowych. Dzieci gonili po ulicach i strzelali do nich jak do królików. W ciągu kilku dni zamordowali około dwustu tysięcy cywilów. A to wszystko możesz przeczytać w oficjalnych raportach. To stało się naprawdę. Miałem okazję zerknąć na te fakty, można powiedzieć byłem tym osobiście zainteresowany. A teraz jestem tutaj - kontynuował wychylając czwarty czy piąty pękaty kieliszek brandy, pokazując jednocześnie białka oczu swemu przyjacielowi. - Jestem tutaj bez samolotów, okrętów czy nawet oddziału wojska. Tylko kilku marynarzy i garstka marines. Marynarka powinna wydać mi rozkaz ewakuacji, ale skąd, politycy nie zdobędą się na to. Ci sami politycy, którzy odmówili funduszy na uzbrojenie wyspy. Nie. Będziemy siedzieć i czekać, aż tu przyjdą. Flota nie przybędzie na czas, by nas uratować. Pamiętasz co powiedział o mnie Lucky Bag,

gdy dostaliśmy dyplomy? „Każdy z przyjaciół Kipa Tollevera chciałby dziś być na jego miejscu! Nie tylko dziś, ale nawet za trzydzieści lat”. Śmieszne, co? Chodź wypijmy po jeszcze jednym i posłuchamy nocnych wiadomości z Tokio.

* * *

W wyłożonej drewnem bibliotece gubernator manipulował pokrętełami dostrajając odbiornik. Była to wielka czarna maszyna, mrugająca czerwonymi, zielonymi i żółtymi światełkami, gdy emitowała gwizdy i szumy. Usłyszeli wyraźnie głos japońskiej kobiety. Opowiedziała o zwycięstwach Niemców pod Moskwą i przewidywanej kapitulacji Związku Sowieckiego, po czym radosnym głosem poinformowała słuchaczy o zamieszkach, jakie powstały w Stanach Zjednoczonych w związku z ujawnieniem tajnych planów wojennych prezydenta Roosevelta. „Chicago Tribune” otrzymała dokument pod nazwą „Program Zwycięstwa”. Victor Henry podniósł się gdy słodki głos cedził słowa Płogłam Zwycięstwa. Dokument głosił, że potrzeba ośmiomilionowej armii do wojny obronnej przeciwko Japonii, a także do ataków powietrznych przeciwko Niemcom z baz na terenie Anglii. Konsekwencją tych przedsięwzięć miała być inwazja na Europę w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku. Gazety, oświadczyła, patriotycznie wydrukowały cały ten plan!

W końcu ujawniono diabelskie plany Roosevelta wciągnięcia Ameryki w wojnę po stronie plutokratycznych kolonistów - oznajmiła spikerka. Amerykanie unieśli się gniewem. Kongresmeni wzywali do postawienia w stan oskarżenia oszusta z Białego Domu. Biały Dom bezwstydnie milczał, ale uczciwe pokojowe zamiary ostatnich propozycji ze strony japońskiej - szczególnie teraz w świetle ujawnionych machinacji wojennych Roosevelta - zostały przyjęte z radością przez cały naród amerykański. Kobieta mówiła dalej przytaczając całe strony dokumentu zamieszczonego w „Tribune”. Pug je rozpoznał. Niektóre zdania pisał on sam.

- Rozumiesz coś z tego Pug? Zwykle androny, nie? - Tollever ziewnął. - Jakiś reporter dostał w ręce materiały opracowane na wszelki wypadek i wszystko rozdmuchał.

- Na pewno. Cóż może być innego?

Pug poczuł, jak robi mu się niedobrze. Jeśli do tego doszło to Stany Zjednoczone są przeżarte zgnilizną. Japończycy będą mogli zająć Wschodnie Indie, nawet Filipiny, a Ameryka nie stanie do walki. Zdrada tajemnicy najwyższej wagi państwowej przez gazetę była upadkiem honoru. Jego zdaniem niepodobnym do niczego w historii tego kraju. Ulgę przyniósł mu jedynie fakt, iż zdrada była tak odważna i zdumiewająca, że Niemcy i Japończycy nie będą w stanie w nią uwierzyć, chociaż na pewno wykorzystają ją do celów

propagandowych.

- Czas żebym się położył - Victor potrząsnął głową i podniósł się z miejsca.

- Do diabła, nie rób tego Pug. Siadaj. Nie zjadłbyś omleta lub czegoś podobnego? Mój kucharz robi doskonale omlety. Za pół godziny posłuchamy dziennika porannego z San Francisco. Ta bestia odbiera go jakby był nadawany w domu obok. Sprawdzimy, czy powiedzą coś na temat „Chicago Tribune”. To śmieszne, szukamy potwierdzenia informacji z Tokio w San Francisco.

Pug nalegał, iż będzie lepiej, gdy wróci do hotelu PanAmerican. Opanował go nastrój przygnębienia, który dodatkowo pogłębiała czarna niedola emanująca niczym zapach z uwięzionego gubernatora Guam, dawnego strzelca Akademii Marynarki, który topił swe smutki w brandy.

Mimo wszystko Tollever zamówił omlety i zatrzymał Victora na następną godzinę wspominając dawne dni w Manili, kiedy byli sąsiadami. Jego lęk przed samotnością był przerażający.

W końcu Tollever zrezygnowany podszedł do telefonu i wezwał oficera, który przyjechał samochodem po kilku minutach. Czterech tubylczych stewardów mocowało się z walizką Puga i dwiema torbami.

U szczytu pałacowych schodów Kip zawołał do Puga.

- Słuchaj, czy mógłbyś zadzwonić do Kate z Pearl? Ona jest już z powrotem w naszym domu w La Jolla. Powiedz, że widziałeś się ze mną i że wszystko w porządku. Wiesz, ona bardzo interesuje się tutejszą szkołą. Powiedz, że zapisy się już skończyły na następny semestr. Wiesz co, powiedz jej, że ją kocham.

- Na pewno powiem.

- I pozdrów Rhode. Będziesz pamiętał? Z wszystkich żon oficerów marynarki, które znałem, była najładniejsza i najlepsza. Z wyjątkiem mojej Kate naturalnie.

- Powtórzę jej to Kip - odpowiedział Pug.

Fakt, że Tollever używał czasu przeszłego mówiąc o sobie przeszył go dreszczem.

- Dobrego polowania na „Kalifornii” Pug - Tollever przyglądał się jak samochód odjeżdżał. Był białym wyprostowanym znakiem na tle ciepłej nocy.

O świcie clipper wystartował z Guam.

59

Tego dnia kiedy Victor Henry wyjechał z Manili, ambasada japońska we Włoszech

wydała nieoczekiwane przyjęcie dla japońskich i amerykańskich korespondentów prasowych. Celem było okazanie serdeczności, która miała być odpowiedzią na krążące plotki o wojnie. Reporter z „New York Timesa” poprosił Natalię, by tam z nim poszła.

Nigdy przedtem nie zostawiała dziecka wieczorem, żadna suknia na nią nie pasowała, a w dodatku nie lubiła za bardzo tego człowieka. Ale w końcu zgodziła się i poprosiła krawcową, by szybko dopasowała jej najszerszą suknię. Gdy wychodziła z hotelu zostawiła pokojówce, opiekującej się dzieckiem, ogromną listę pisemnych instrukcji dotyczących kąpieli i karmienia syna. Na widok listy kobieta roześmiała się. Krążące pogłoski o wojnie na Pacyfiku zżerały nerwy Natalii, miała nadzieję dowiedzieć się czegoś konkretnego na przyjęciu.

* * *

Wróciła z dziwną plotką. Pośród amerykańskich gości był Herb Rose, dystrybutor filmowy, który nadal miał swoje biura w Rzymie. Herb ożywił nieco to sztywne, zimne i bezcelowe przyjęcie, jako że mówił po japońsku. Okazało się, że prowadził podobne biura w Tokio. Był to przystojny kalifornijski Żyd, ubierający się w garnitury od najlepszych włoskich krawców i z łatwością konwersujący po włosku. Wydawało się, iż był jak najbardziej wytwornym mężczyzną dopóki nie zaczynał mówić po angielsku. Wtedy bowiem zachowywał się jak typowy przedstawiciel show biznesu: sypał niewymyślnymi dowcipami, był ostry i nieco nieokrzesany.

Herb Rose, który miał odlecieć do Lizbony tym samym samolotem co Natalia i jej wuj, podszedł do niej na przyjęciu, odciągnął na bok i w kilku nerwowych zdaniach kazał jej iść następnego ranka o dziewiątej z wujem do kościoła Świętego Piotra i czekać koło Piety Michała Anioła. Tam ktoś im zaproponuje wydostanie się z Włoch szybszą drogą przez Palestynę. Wojna między Ameryką i Japonią to już kwestia nie tylko dni, ale godzin. Tak twierdził Herb. On sam wyjeżdżał w ten sposób, rezygnując z biletu na samolot do Lizbony. Nie mógł powiedzieć jej nic więcej. Błagał ją, by skończyli wszelkie rozmowy na ten temat i nie poruszali go, gdy znajdą się w hotelu. Wróciwszy z przyjęcia powtórzyła wszystko wujowi podczas spaceru w zimnym deszczu po Via Veneto. Reakcja Aarona była sceptyczna, ale zgodził się, że lepiej będzie, gdy pójdą do Świętego Piotra.

* * *

Następnego ranka był nieco poirytowany. Lubił wstawać o świcie i pracować do jedenastej. Sen miał bowiem zbawienny wpływ na jego umysł, a trwało to ledwie parę godzin i spędzanie ranka na załatwianiu tak odległych spraw było zwykłym marnotrawstwem czasu.

W dodatku z powodu wilgoci panującej w nieogrzanym pokoju hotelowym przeziębził się. Z rękoma w kieszeniach płaszcz, niebieskim szalem owiniętym wokół szyi i głową przykrytą starym, filcowym kapeluszem podążał u boku swej bratanicy wzdłuż Via Veneto na postój taksówek. Wyglądał jak dziecko bez entuzjazmu maszerujące do szkoły.

- Palestyna! - mruzczał. - Ale dlaczego! To niebezpieczniejsze miejsce niż Włochy.

- Ale nie według Herba. On mówi, że za wszelką cenę musimy się natychmiast stąd wydostać. Sądzi, że cały świat może się znaleźć w stanie wojny z dnia na dzień, a wtedy nigdy stąd nie wyjedziemy.

- Ale Herbert ma zamiar wyjechać nielegalnie, czy nie tak. Ma wizę wjazdową do Lizbony, a nie do Palestyny. Teraz to bardzo ryzykowne. Gdy znajdziesz się w tak krytycznej sytuacji jak my teraz, naczelną zasadą jest nie dać władzom najmniejszego powodu do odmowy - Jastrow kiwał wyprostowanym palcem wskazującym - do działania przeciwko tobie. Trzeba wykonywać polecenia, papiery utrzymywać w porządku, głowę spuścić na dół i pieniądze mieć w gotówce. To nasza stara narodowa mądrość. A przede wszystkim postępować zgodnie z prawem. - Kichnął kilka razy, po czym wytarł nos i załzawione oczy. - Zawsze nie znosiłem pogody w Rzymie. Ta nasza podróż przypomina wyprawę z motyką na słońce. Palestyna! Ty oddalisz się jeszcze bardziej od Byrona, a ja od cywilizacji. To piekło Natalio. Pustynia pełna insektów, Arabów i zarazy. Wściekli Arabowie, którzy od czasu do czasu wzniesają zamieszki i mordują. Planowałem podróż tam podczas pisania mojej książki. Jednak zarzuciłem ten zamiar po uzyskaniu kilku informacji. Pojechałem do Grecji.

* * *

Na postoju była długa kolejka, a tylko kilka taksówek. Nie udało im się dostać do Świętego Piotra na dziewiątą. Gdy w pośpiechu wpadli ze słonecznego dnia do katedry, temperatura obniżyła się o kilka stopni. Jastrow kichał, więc owinął się ciaśniej szalem i podniósł kołnierz. Bazylika Świętego Piotra była cicha, prawie pusta i bardzo ponura. Gdzieś tam kobiety w czerni zanosły modły w nikłym świetle rzucanym przez świece, grupy turystów podążały za przewodnikami, jednak wszyscy ginęli w tych przeogromnych przestrzeniach.

- Najmniej ją lubię z wszystkich włoskich katedr - sapnął Jastrow. - Taki Empire State Building doby Renesansu: miała wzbudzać podziw i wprawiać w osłupienie. Tak, ale oto Pieta, to wspaniały widok.

Podeszli do statuy. Obok stała niemiecka przewodniczka i dziarsko przemawiała do grupy Teutonów, z których każdy dzierżył aparat fotograficzny i czytał przewodnik, zamiast

patrzeć na Pietę. Zupełnie jakby sprawdzali, czy kobieta mówi prawdę.

- Mimo wszystko to cudowne dzieło Natalio - powiedział Jastrow gdy Niemcy odeszli - ten biedny, młody a już nieżywy Chrystus złożony na kolanach Madonny, niewiele starszej od niego. Oboje są tacy łagodni i tacy młodzi. Jak on tego dokonał w kamieniu. Oczywiście, to nie jest Mojżesz! Nic mu nie dorówna. Zanim wyjedziemy z Rzymu, musimy pójść i jeszcze raz popatrzeć na Mojżesza! Nie pozwól bym zapomnieć o tym.

- Czy nazwałby go pan żydowskim Jezusem doktorze Jastrow? - zapytał głos po niemiecku.

Człowiek, który to powiedział był średniego wzrostu, raczej postawny, około trzydziestki. Miał na sobie starą tweedową marynarkę i czerwony sweter. Był tu wraz z grupą i z przewodnikiem, ale pozostał z tyłu. Wyjął spod pachy książkę. Było to stare brytyjskie wydanie Żydowskiego Jezusa w zniszczonej, zabrudzonej obwolucie. Uśmiechając się pokazał Jastrowowi zdjęcie autora na odwrocie.

- Proszę - jęknął Jastrow, zerkając z ciekawością na mężczyznę. - To zdjęcie napawa mnie przerażeniem. Od tego czasu zmieniłem się nie do poznania.

- Oczywiście że nie, skoro pana rozpoznałem. Nazywam się Avram Rabinowicz. Pani Henry, jak się pani miewa? - Mówił teraz czystym angielskim, z nieco szorstkim, obcym akcentem. Natalia nerwowo skinęła mu głową. - Cieszę się, że przyszliście. Pytałem pana Rose o pozostałych amerykańskich Żydów, którzy nadal są w Rzymie - kontynuował. - Byłem bardzo zaskoczony, że doktor Aaron Jastrow jest tutaj.

- Skąd masz tę książkę - głos Jastrowa zabrzmiał wesoło. Każdy przejaw podziwu dla jego osoby podnosił go na duchu.

- Kupiłem ją tutaj w antykwariacie z książkami w obcych językach. Przeczytałem ją już dawno. Jest zdumiewająca. Chodźmy, przespacerujemy się wokół katedry, dobrze? Odpływam do Neapolu, jutro o czwartej. Zabieracie się ze mną?

- Odpływa pan? Jest pan kapitanem statku? - zapytała Natalia.

Przez sekundę na twarzy mężczyzny gościł uśmiech, jednak gdy mówił znów wyglądał poważnie, a nawet groźnie. Jego okrągła twarz miała raczej rysy słowiańskie niż semickie. Spoglądał na nich inteligentnymi oczyma, a kręcone włosy opadały nisko na czoło.

- Niezupełnie. Wynająłem statek. Nie będzie to wyprawa komfortowa. Statek jest stary i mały. Używano go do przewozu tłuszczu, koni i tym podobnych ładunków wzdłuż wybrzeża śródziemnomorskiego. Więc zapach też jest nie najciekawszy. Ale zmieścimy się wszyscy.

- Jak długo potrwa ta podróż? - zapytała Natalia.

- Cóż, to zależy. Norma przypadająca na ten rok została już wykorzystana, więc droga

może być nieco wydłużona.

- Jaka norma? - chciał wiedzieć Jastrow.

Pytanie to widocznie zaskoczyło Rabinowicza.

- Panie profesorze, Brytyjczycy zezwalają corocznie na wjazd do Palestyny tylko niewielkiej grupie Żydów, tak by nie drażnić Arabów. Nie wiedział pan o tym? To stwarza problemy. Chcę być z wami szczery. W zależności od prądu możemy płynąć bezpośrednio do Palestyny lub do Turcji, a następnie lądem przez Syrię, Liban i góry do Galilei.

- Ma pan na myśli nielegalne przekroczenie granicy - głos Jastrowa zabrzmiał groźnie.

- Jeśli powrót Żyda do domu jest nielegalny, to tak. Jednak nie sądzę. W każdym wypadku moi pasażerowie nie mają dużego wyboru. Są uciekinierami z Niemiec i innych państw, które zatrzasnęły przed nimi drzwi, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi. Mogą się położyć i umrzeć.

- Ale my jesteśmy w innej sytuacji - sprzeciwił się Jastrow - a to co pan proponuje jest bardzo niebezpieczne.

- Profesorze, pan nie jest tutaj bezpieczny.

- Z jakiej jest pan organizacji? I ile wynosi opłata?

- Moja organizacja? To długa historia. Przesiedlamy Żydów z Europy. Jeśli chodzi o zapłatę, można o tym pomówić. Możecie zapytać pana Rose. Pieniądze to sprawa drugorzędna, jakkolwiek zawsze się przydadzą. Tak naprawdę to przyjechałem do Rzymu właśnie po pieniądze. W ten sposób spotkałem pana Rose.

- A gdy już dostaniemy się do Palestyny, to co dalej?

Rabinowicz spojrzał na niego przyjaźnie.

- No cóż, dlaczego by nie zostać tam? To będzie wielki honor dla nas powitać wielkiego żydowskiego historyka.

Natalia wtrąciła się do rozmowy:

- Mam dwumiesięczne dziecko.

- Wiem, powiedział mi o tym pan Rose.

- Czy tak małe dziecko może odbyć taką podróż?

Zatrzymując się przed głównym ołtarzem Rabinowicz patrzył z podziwem na kolumny.

- Ta katedra jest taka bogata i piękna. I taka przejmująca. Gigantyczny wysiłek ludzi, by uczcić jednego, biednego Żyda zamordowanego przez Rzymian. A teraz ten budynek dominuje nad całym Rzymem. Myślę, że to nam schlebia. - Spojrzał nagle prosto w oczy Natalii. - Pani Henry, czy słyszała pani wieści z Polski i Rosji. Być może powinna pani

podjąć ryzyko i wydostać swe dziecko z Europy.

- W czasie wojny słyszy się różne historie - wtrącił Jastrow łagodnie.

- Panie Rabinowicz! Mamy wyjechać za niecałe dwa tygodnie - dodała Natalia. - Mamy bilety i wszystkie konieczne dokumenty. Zdobycie ich kosztowało nas wiele wysiłku. Wracamy do domu.

Rabinowicz przyłożył rękę do czoła i przechylił głowę w bok.

- Dobrze się pan czuje? - Natalia dotknęła jego ramienia.

Odsłonił pomarszczone czoło i uśmiechnął się boleśnie.

- Boli mnie głowa, ale poza tym wszystko w porządku. Pan Herbert Rose także ma bilet na samolot, ale jedzie ze mną do Neapolu. Jeśli macie ochotę przyłączyć się do nas proszę bardzo. Cóż więcej mogę powiedzieć.

- Nawet gdybyśmy chcieli rozważyć ten drastyczny ruch nie możemy zmienić naszych wiz wyjazdowych - zauważył Jastrow.

- Nikt nie będzie miał wizy wyjazdowej. Po prostu wejdziecie na pokład złożyć wizytę. Statek odpłynie, a wy zapomnicie zejść na brzeg.

- Jeśli coś się nie powiedzie - nalegał Jastrow - nie wydostaniemy się z Włoch, aż do końca wojny.

Rabinowicz zerknął na zegarek.

- Nie oszukujmy się. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek się pan wydostanie, doktorze Jastrow. Pan Rose opowiedział mi o trudnościach jakie napotkaliście. Nie sądzę, żeby były przypadkowe. Nawet w ostatniej minucie mogą pojawić się niespodziewane problemy. Miło było was poznać. Jeśli zdecydujecie się z nami jechać, będziemy mieć więcej czasu na rozmowy. Nurtuje mnie wiele pytań odnośnie pańskiej książki. Pański Jezus miał bardzo mało wspólnego z tym wszystkim - rękoma zatoczył krąg wokół katedry.

- On był Jezusem Żydów. Takie było moje założenie.

- W takim razie proszę mi powiedzieć jedną rzecz. Europejczycy uwielbiają jednego biednego Żyda, dla nich to najwyższy Bóg, a mimo to mordują Żydów. W jaki sposób to wytłumaczy historyk?

Jastrow odpowiedział mu swobodnym, ironicznym, trochę szkolnym tonem, który nie przystawał do okoliczności:

- Musisz pamiętać, że tak naprawdę to są łacińscy i nordyccy poganie. Zawsze ich irytowały nauki ich żydowskiego Boga, więc może teraz rekompensują sobie ten gniew mordując jego współwyznawców.

- Nie wpadłbym na takie wyjaśnienie - przyznał Rabinowicz. - Powinien pan

opublikować tę teorię. Ale teraz zostawmy to. Myślę, że zechcecie to wszystko przemyśleć. Pan Rose zadzwoni do was dziś wieczorem o szóstej i zapyta, czy chcecie bilety do opery. Powiedzcie mu tak lub nie. To wystarczy.

- Dobrze - zgodziła się Natalia. - Jesteśmy panu głęboko wdzięczni.

- Za co? Zajmuję się przesiedlaniem Żydów do Palestyny. To moja praca. Pani dziecko to chłopiec czy dziewczynka?

- Chłopiec. Ale jest tylko pół-Żydem.

Z chytrym uśmiechem na twarzy i nagłym machnięciem ręką na pożegnanie Rabinowicz powiedział:

- Nic nie szkodzi. Zabierzemy go. Potrzebujemy chłopców - po czym szybko się oddalił. Gdy jego postać zniknęła w grupie turystów opuszczających katedrę Świętego Piotra, Natalia i jej wuj spojrzeli na siebie z zaskoczeniem.

- Zimno tutaj stwierdził Jastrow. - I bardzo przygnębiająco. Chodźmy na zewnątrz.

Przez chwilę spacerowali w słońcu po dziedzińcu, rozważając tę zaskakującą propozycję. Aaron zamierzał natychmiast zaniechać tego pomysłu, ale Natalia chciała to przemyśleć i być może przedyskutować z Rose. Fakt, że on odjeżdżał martwił ją. Jastrow zauważył, iż Rose nie był tak bezpieczny jak oni. Jeśli wybuchnie wojna między Stanami Zjednoczonymi i Włochami, a tym, groził kryzys w stosunkach z Japonią, oni mieli obietnicę ambasadora otrzymania miejsc w pociągu dla korpusu dyplomatycznego wraz z pracownikami ambasady i korespondentami gazet. Rose nie miał takiego zabezpieczenia. Na początku tego roku dostawał ostrzeżenie po ostrzeżeniu z ambasady z prośbą, by wyjechał. Został na własne ryzyko, a teraz musi stawić czoła konsekwencjom. Jeśli chciał zaryzykować nielegalny wyjazd, to nie znaczy wcale, że oni muszą postąpić tak samo.

* * *

Gdy Natalia wróciła do hotelu, jej dziecko nie spało i było dziwnie niespokojne. Był taką małą, kruchą istotką, której nie można było wystawić na trudy morskiej podróży, której celu nawet nie znała. Podróży starym, zatłoczonym statkiem, w wątpliwych warunkach sanitarnych. Prawdopodobnie będzie brakować jedzenia i wody. A potem ta niebezpieczna droga przez góry, której uwieńczeniem będzie dotarcie do prymitywnego i niespokojnego kraju. Jeden rzut oka na niemowlę wystarczył, by podjęła decyzję.

Rose zadzwonił dokładnie o szóstej.

- Chcesz bilety do opery? - jego głos w słuchawce zabrzmiał przyjacielsko, chociaż trochę niecierpliwie.

- Dziękuję Herb, ale zrezygnujemy. Podziękuj przyjacielowi, który je nam proponował.

- Popełniasz błąd Natalio - powiedział Rose. - Myślę, że to już ostatnie przedstawienie. Jesteś pewna?

- Najzupełniej.

- No to powodzenia. Ja idę na pewno.

* * *

Janice Henry wyszła z domu, wsiadła do samochodu i pojechała w kierunku centrum Pearl. Był chłodny ranek, w dali pobrzmiwały kościelne dzwony. Vic obudził ją tego dnia o szóstej przeraźliwym kaszlem. Miał prawie czterdzieści stopni gorączki, a ziewający do słuchawki telefonicznej lekarz zalecił jej natrzeć dziecko spirytusem i w ten sposób spowodować obniżenie gorączki. Ponieważ nie miała w domu spirytusu, dała rozgorączkowanemu skapanemu w pocie maleństwu tylko lekarstwo przeciw kaszlowi, a następnie wyruszyła do miasta, zostawiając go z chińską piastunką. Ze szczytu wzgórza widziała słońce, które dopiero wynurzało się z morza. Przystań przybrała odświętny wygląd. Flota, która właśnie zawinęła do portu spowita była poranną mgłą. Zatoka była wypełniona tankowcami, krążownikami, szarymi niszczycielami oraz czarnymi okrętami podwodnymi. Pancerniki już otaklowane stały w dwóch majestatycznych rzędach błyszcząc w słońcu. Przy wyspie Ford w pobliżu portu znajdowało się lotnisko, na którym ustawiono w równych rzędach tuziny samolotów. Prawie nikt nie poruszał się na okrętach, w dokach czy na lotnisku. Żadna większa jednostka nie wpływała do przystani. Na spokojnej zielonej wodzie dryfowało kilka żaglówek należących do kościoła.

Janice wysiadła z samochodu, by odnaleźć okręt męża. Ku jej rozczarowaniu „Enterprise” zniknął z przystani. Nie widziała go także na morzu. Liczyła, że powrócą w niedzielę rano. Wzięła ze schowka lornetkę i raz jeszcze pilnie prześledziła linię horyzontu. Nigdzie ani śladu, tylko jeden stary tankowiec niemrawo poruszał się po morzu. We wtorek miną dwa tygodnie odkąd Warren wyjechał z domu. Została tutaj sama z chorym dzieckiem na ręku i kacem. Co za życie! Co za nuda!

Poprzedniego wieczora poszła na tańce do klubu oficerskiego. Miała już tak dosyć nudy i samotności, że przyjęła zaproszenie porucznika, z którym dawniej jeszcze w Pensacoli umawiała się na randki, a który teraz także służył w Pearl Harbor. Vic kaszlał już od kilku dni, ale temperaturę miał zawsze w normie. Oczywiście gdyby wiedziała, że tak się rozchoruje, nie pozostałaby poza domem do trzeciej nad ranem, pijąc i balując. Teraz czuła

się winna, co pogłębiało jej irytację spowodowaną nudną i idiotyczną egzystencją.

Odkąd wróciła z Waszyngtonu z dnia na dzień nudziła się coraz bardziej. Zrozumiała, że poślubiła zawodowego fanatyka marynarki, który potrafił ją wspaniale kochać od czasu do czasu, ale poza tymi krótkimi chwilami prawie ją ignorował. Nie był to ten sam dziarski i zuchwały rozpustnik, którego знаła przed ślubem. Na igraszki miłosne w łóżku poświęcał bardzo mało czasu. Oto Janice Lacouture - w wieku dwudziestu trzech lat została dziewczyną do dziecka marynarza. Poszła nawet do pracy na pół etatu do agencji telegraficznej w sztabie, by nie zostać ewakuowaną wraz z żonami innych oficerów, ale to także nie zdało się na nic. Wszystko wewnątrz niej się buntowało, ale jak dotąd nie powiedziała ani słowa Warrenowi. Bała się go. Jednak wcześniej czy później będzie musiała wyjawić mu prawdę, nawet gdyby miało to się skończyć rozwodem.

Mały drewniany sklep na skrzyżowaniu dróg był otwarty. Dwaj mali, tłuści Japończycy bawili się na rozsypującej się werandzie. Miała szczęście. Można tu było kupić przeróżne rzeczy, więc być może nie będzie musiała jechać aż do centrum. Gdy przekraczała próg sklepu usłyszała odgłos strzałów nad portem, zupełnie jak podczas ćwiczeń, które odbywały się już od kilku miesięcy.

Właściciel sklepu stał za ladą popijając herbatę. Był to niski Japończyk o ciemnych włosach, ubrany w koszulę w barwne kwiaty. Na półkach w zasięgu jego ręki znajdowały się równo poukładane towary. Puszki z jedzeniem, lekarstwa, miotły, słodycze, zabawki i magazyny. Nad nim wisały suszone ryby. Na powitanie skinął jej głową i uśmiechnął się.

- Spilytus do nacielenia? Tak, ploszę pani - po czym zniknął za zieloną kotarą.

Odgłos wystrzałów był coraz bliższy i dołączył doń odgłos samolotowych silników. Niezły czas na ćwiczenia wybrali, pomyślała. Niedzielny ranek przed mszą, ale może właśnie o to chodziło.

Podchodząc do drzwi Janice zauważyła, że samoloty leciały całkiem wysoko a także dziwiła ich duża ilość. W dodatku leciały prosto w stronę portu, otoczone gradem czarnych dymków. Weszła do samochodu, by wziąć lornetkę. Na początku widziała tylko błękitne niebo, i kłęby czarnego dymu. Potem w jej pole widzenia wleciały trzy samoloty, tworząc błyszczący srebrzysty trójkąt. Na skrzydłach miały duże koła koloru pomarańczowego (Błąd autora. Godłem Japonii było czerwone koło z białą obwódką na kadłubach i skrzydłach (przyp. tłum.)). Oszołomiona podążyła wzrokiem za nimi.

- Tak plosze pani. Duzo latać. Wielkie szkolic - sprzedawca stał obok niej, wręczając jej paczkę uśmiechał się tak szeroko, że aż mrużył oczy. Jego dzieci stały za nimi na ganku wpatrzone w samoloty, szeptały coś po japońsku.

Janice utkwiała oczy w sprzedawcy. Prawie nikt w marynarce nie lubił hawajskich Japończyków. Uważano ich za szpiegów. To podejrzenie udzieliło się także jej. A teraz tutaj stał taki Japonec szerząc zęby w uśmiechu, a nad jej głową latały autentyczne samoloty japońskie. Latały nad Hawajami! Co to mogło znaczyć? Jakże oni muszą mieć stalowe nerwy, ci Japończycy. Wzięła pakunek od sprzedawcy i nagle, bezczelnym ruchem podała mu lornetkę. Mężczyzna odchylił do tyłu głowę i przyglądał się samolotom, które teraz zaczęły nurkować jeden po drugim, błyszcząc srebrzyście w chmurach czarnego dymu. Wydając dziwny odgłos z krtani, wyprostował się i wręczył jej lornetkę z kamienną twarzą. Jego przebiegłe oczy pozostały nieodgadnione. Wyraz jego twarzy przemówił do Janice wyraźniej niż te nierzeczywiste samoloty oznakowane godłem Japonii. Teraz zrozumiała co się działo w Pearl Harbor. Chwyciła lornetkę, wskoczyła do samochodu, zatrzasnęła drzwi i zapaliła silnik.

Mężczyzna przytrzymał drzwi jedną ręką a drugą z otwartą dłonią wyciągnął przed siebie i krzychał. Nie zapłaciła mu za zakupy.

Janice była uczciwą dziewczyną, ale teraz wiedziona impulsem odczuwając dziecinne podniecenie krzyknęła ostro, używając tego marynarskiego przekleństwa po raz pierwszy w swoim życiu.

- Odpierdol się! - i wjechała na szosę.

Oto w jaki sposób wojna zaczęła się dla Janice Henry. Historię tę opowiadała nawet wiele lat później gdy była po kilku kieliszkach wypitych w odpowiednim towarzystwie. Reakcją na jej opowiadanie był zwykle gromki śmiech i brawa.

* * *

Gaz do dechy. Pędziła najszybciej jak tylko mogła w kierunku wzgórza, omijając zakręty. Nagle wcisnęła hamulce i zjechała na trawiaste pobocze. Na szczycie była całkiem sama. Poniżej srebrne samoloty krążyły nad spokojną bazą marynarki, gdzie poranna rosa wciąż okrywała perłowym różem okręty. Fontanny wody uderzały w górę, kilka jednostek stało w ogniu, gdzieś tam działa błyskały żółtym ogniem. Ale to wciąż bardziej przypominało ćwiczenia niż prawdziwą wojnę.

Potem jej oczom ukazał się bardzo dziwny i szokujący widok. Pancernik zniknął! W jednej chwili okręt stał w zewnętrznej linii, a po sekundzie nie było tam nic oprócz wielkiej czerwonej kuli w otoczeniu czarnego i żółtego dymu. Huk wybuchu był taki, że zaboląły ją uszy, fala powietrza smagnęła ją po twarzy jak ciepły powiew, po czym kula dymu i ognia uniosła się wysoko w górę podtrzymywana słupem jaśniejszego dymu i eksplodowała

ponownie. Pojawił się wspaniały gigantyczny wybuch czerwieni i pomarańcza i daleki odgłos gromu. Okręt który zniknął przed chwilą ukazał się na nowo w polu widzenia jej lornetki. Ale był to już tylko tonący, rozsypujący się wrak cały w ogniu. Mężczyźni biegali w pośpiechu, zeskakując z pokładu. Widziała palące się białe mundury, które w popłochu i bezładnie znikały w kłębach dymu, to znów pojawiały się krzyżąc, chociaż ją otaczała cisza. Wyglądało to jak film w kinie, ekscytujące i nierzeczywiste. Teraz jednak przerażenie narastało w Janice Henry: Oto tonął przed jej oczyma pancernik, a atak nie trwał nawet dziesięciu minut. Nad jej głową pojawiły się nowe samoloty. Na wzgórzach zaczęły eksplodować bomby. Przypomniała sobie o dziecku, pobiegła do samochodu zawróciła na szosę i pognęła do domu.

* * *

Chińska pokojówka siedziała w fotelu. Ubrana w odświętną suknię z kapeluszem na kolanach czekała na wyjście do kościoła, ospale kartkując książeczkę do nabożeństwa.

- Dziecko śpi - powiedziała czystym angielskim. Urodziła się na wyspie i wychowała w klasztorze. - Gilletowie nie przyszli. Zapomnieli o mnie. Więc będę musiała iść na mszę o dziesiątej. Proszę zatelefonować do pani Fenney.

- Wiesz, Anna May, że zaatakowali nas Japończycy?

- Co?

- Tak! Czy nie słyszysz dział, wybuchów bomb? - Janice nerwowo wskazała okna. - Włącz radio, to się dowiesz. Japońskie samoloty są nad portem. Już zatopili pancernik.

Mały Victor leżał na plecach, wciąż pod działaniem leku, lecz oddychał głośno i szybko. Janice rozebrała rozognione małe ciało. Z radia dochodził odgłos brząkających hawajskich gitar, a kobiecy głos nucił Lovely Hula Hands! Gdy Janice nacierała niemowlę prezenter radośnie zachwalał mydło z Kaszmiru, po czym popłynęła następna piosenka.

W drzwiach stanęła pokojówka.

- Czy jest pani pewna, że to wojna, pani Henry? W radiu nic nie mówią. Myślę, że pani widziała tylko ćwiczenia.

- Na miłość boską! Ćwiczenia! Czy myślisz że jestem aż taka głupia? Mówię ci, że widziałam wybuch okrętu! Widziałam setki samolotów japońskich, a może nawet więcej. W tej rozgłośni radiowej muszą spać albo postradali zmysły. Masz, daj mu aspirynę, proszę. Staje się chłodniejszy. Spróbuję się dodzwonić do Fenneyów.

Ale w słuchawce panowała głucha cisza. Potrząsnęła słuchawką, jednak to nie pomogło.

W radiu szczęśliwy męski głos zachęcał: „Palcie Lucky Strike, tylko one nie zagrażają twojej krtani”. Janice usiłowała odszukać inną stację i trafiła na muzykę organową.

- Dobry Boże! Co się z nimi stało?

Pokojówka stała oparta o drzwi, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, mierząc ją skośnymi oczami, w których malowała się kpina. Janice kręciła gałką na próżno usiłując znaleźć jakieś wiadomości.

- Oni wszyscy poszaleli. Przecież tam palą się i toną marynarze! Co to wszystko znaczy? Kto tam? Czy to Gilletowie?

Usłyszała pisk opon samochodu hamującego na podjeździe wysypanym drobnym żwirem. Ktoś zapukał do drzwi, zabrzączał dzwonek. Pokojówka stała nieruchomo wpatrzona w swoją panią. Janice podbiegła do drzwi, by je otworzyć. W progu stał zataczając się Warren Henry. Jego twarz była pokryta krwią, podobnie jak żółta kamizelka ratunkowa. Na nogach miał ciężkie lotnicze buty.

- Cześć, masz dwadzieścia dolarów?

- O Boże, Warren!

- Idź i zapłać za taksówkę Jan - jego głos brzmiał chrapliwie i sztywno.

- Anna May przynieś jakieś bandaże.

Taksówkarz, starszy człowiek, powiedział:

- Droga pani należy mi się pięćdziesiąt. Słyszałem, że Japońce wylądowały w Kahuku Point. Muszę się martwić o swoją rodzinę.

- Ale mój mąż powiedział dwadzieścia. - Dała mu dwa banknoty.

- Wsiadam na pierwszy statek, który stąd odpłynie - informował ją kierowca chowając pieniądze. - Muszę opłacić swoją przeprawę. Każdy biały człowiek, który zostanie na Hawajach będzie zamordowany. Macie swojego Roosevelta!

W kuchni siedział Warren bez koszuli. Pokojówka opatrywała mu krwawiące rany na lewym ramieniu.

- Ja to zrobię - powiedziała Janice biorąc gąbkę i butelkę ze środkiem dezynfekującym. - Sprawdź, jak się czuje Victor.

Warren zaciskał zęby, gdy Janice odkażała pięciocentymetrową otwartą ranę.

- Jan, coś nie w porządku z Vickiem?

- Ach gorączka. I kaszel. Kochanie, co się tobie, na Boga, stało?

- Zestrzelili mnie. Ci łajdacy zabili mojego radiooperatora. Zapal mi papierosa. Nasza eskadra odbywała patrolowy lot przed „Enterpistem” i wpadliśmy na nich. Hej, uważaj na jodynę. A co mówią o tych przeklętych Japończykach?

- Mój drogi, musisz iść do szpitala. To musi być zszyte.

- O nie, szpital będzie przepelniony, dlatego przyszedłem tutaj. Poza tym chciałem się upewnić, że wszystko w porządku z tobą i Vickiem. Jadę na Ford Island, muszę się dowiedzieć, co się dzieje. Może dostanę samolot. Lotniskowce japońskie nie uciekły daleko. Będziemy kontratakować! Na pewno. Nie chcę tego przegapić. Po prostu zabandażuj to Jan. I zaklej tę ranę na uchu. To właśnie z niej leciało najwięcej krwi.

Janice dostała zawrotów głowy widząc Warrena z powrotem w domu. Dosłownie spadł z nieba. Półnagi, zakrwawiony, wrócił z pola bitwy. Przeszywał ją dreszcz szczęścia, kiedy wycierała jego ciało. Czowała zapach jego potu i krwi. Opatrywała mu rany, a on nie przestawał mówić:

- O Boże, to było takie niesamowite. Sądziłem, że ta eksplozja to były zwykłe ćwiczenia. Widzieliśmy ich z odległości czterdziestu mil. Nad wyspą unosiły się piekielne kłęby dymu. Rozmawialiśmy o tym z moim skrzydłowym. Obaj przypuszczaliśmy, że palą trzcinę cukrową. Dostrzeżliśmy Japończyków dopiero, kiedy aż sześciu z nich spadło na nas od strony słońca. Wtedy po raz ostatni widziałem Billa Plantza. Nadal nie wiem co się z nim stało. Od tego momentu myślałem tylko, jak uratować swoje życie. Jak oni nurkowali...

- Nie ruszaj się kochanie.

- Przepraszam. Mówię ci, to było okropne Jan. SBD jest niezłym bombowcem, ale te japońskie zero - jaką szybkość osiągały, a jakie możliwości manewrowania. Oni są w stanie skrócić wewnątrz twojego zakrętu. Bezkonkurencyjne. Kręcą akrobacje jak ptaki. Wierz mi, ci piloci są znakomici. Nie wiem czy F4F mógłby się z nimi równać, ale jednego jestem pewien SBD w porównaniu z zero to martwy gołąb. Jedyne co mogłem, to stosować uniki. De Lashmutta dostali od razu. O mało co bębunki w uszach mi nie popękały od jego wrzasku. A potem jęczał. „Panie Henry, krwawię, umieram” i zawył raz jeszcze. To był koniec. Nie mogłem nic zrobić. Cały czas strzelali do mnie. Byli tacy zawzięci, że jeden przypadkiem trafił mi na celownik, nadusiłem spust i mógłbym przysiąc, że zaczął dymić, ale potem straciłem go z oczu. Pociski pojawiły się z trzech stron, dokładnie obok kabiny strzelali różowymi smugami, a potem, niech to szlag trafi: nasza własna artyleria otworzyła ogień i to do mnie! Nigdy się nie dowiem, dlaczego to zrobili, głupie skurwysyny. Może celowali w Japończyków i nie trafili. Ale dookoła rozrywały się pociski artylerii przeciwlotniczej. Nie mam pojęcia czy to oni trafili, czy jakiś Japończyk. Wiem tylko, że mój bak zapalił się. Biedny De Lashmutt, wrzeszczałem do niego, że płomienie pokryły cały kokpit, ale nie odpowiedział. Na pewno już nie żył. Więc otworzyłemabinę i wyskoczyłem. Do czasu gdy otworzył się spadochron, nawet nie wiedziałem gdzie jestem. Wszędzie była woda. Byłem

nad przystanią w Honolulu, ale wiatr przegnał mnie w stronę lądu. O mało co nie zawiesiłem się na palmie w parku przy Bulwarze Dillinghama. Wyplątałem się i zszedłem na ziemię. Złapałem tę taksówkę, ale miałem z nim przejścia. Widział spadochron zaczepiony na gałęziach, widział mnie jak usiłowałem się wyplątać - zatrzymał się, by popatrzeć, a mimo wszystko żądał ode mnie pięćdziesięciu dolarów za podwiezienie do domu. Patriota, cholera jasna!

- Już zatakowałam krwawienie, najdroższy. Posiedź teraz spokojnie, dobrze?

- Dobra z ciebie dziewczyna. Muszę dziś zrobić jeszcze jedną rzecz. Dostać maszynę do pisania. Mogę napisać raport z pierwszego starcia z zero. Powinnaś zobaczyć, co się działo w mieście! - Warren uśmiechnął się do żony. - Ludzie wybiegali z domów w pidżamach, koszulkach nocnych albo bez niczego. Z jękiem biegali wkoło i spoglądali w niebo. Starcy, dzieci, matki z niemowlętami na ręku. Idioci, i to wtedy, gdy nasze szrapnele padały na miasto. Tylko w domach było bezpiecznie. Widziałem piękną Chinę - Anna May mi ją przypomina - jak galopowała przez Bulwar Dillinghama w samym staniku i różowych majtkach. Majtki oczywiście były skąpe i przezroczyste. Co za widok!

- Nie mógłbyś przeoczyć takiego widoku - zauważyła Janice. - Nawet gdyby ci odstrzelili ramię też byś ją zauważył. Zdrową ręką Warren gładził ją czule, a ona klepnęła go po dłoni.

- W porządku. Rana opatrzona. Może trochę wytrzyma. Ucho też w porządku. Uważam, że jednak powinienes pójść do doktora.

- Jeśli będzie na to czas, jeśli będzie czas - gdy poruszał ręką ból wykrzywił mu twarz. Założył koszulę i sweter, zapiął kombinezon. - Muszę zobaczyć Vicka. Wyprowadź samochód.

* * *

Kilka chwil później wyłonił się z domu i otworzył drzwi do samochodu.

- Śpi spokojnie. Nie jest już rozpalony. Wygląda jakby był dwa razy większy. Tak urósł.

- Może gorączka spadła - Janice przerwała trzymając rękę na gałce biegów. Radio podawało wezwanie gubernatora do zachowania spokoju. Zapewniał, że flota została uszkodzona tylko w niewielkim stopniu, a atak jest odparty. - Warren, taksówkarz powiedział, że Japończycy wylądowali w Kahuku. Myślisz, że to prawda...

- Nie, skąd. Ruszaj. Lądowanie? W jaki sposób mogliby utrzymać przyczółek mając bazy odległe o cztery tysiące mil? Słuchasz tych wszystkich bzdur. Zrobili nalot i uciekli.

Chryste, ale teraz łamią sobie nad tym głowę. I to klasyczny atak w niedzielny poranek! Od lat ćwiczone to na każdych manewrach!

Na wzgórzu parkowały samochody i stali gapie rozmawiając i pokazując coś sobie palcami. Z kotwiczowiska unosiła się wielka chmura czarnego dymu. Janice zatrzymała samochód. Warren wyciągnął lornetkę.

- Dobry Boże, Jan. Ford Island jest zrujnowane. Nie widzę ani jednego nieuszkodzonego samolotu. Ale muszą być jakieś w hangarach. Boże, ten pancernik jest wyrócony do góry dnem. Założę się, że tysiące ludzi jest tam uwięzionych. Jezu Chryste! Wracają?

W całym porcie znów zabrzmiały działa, a ciemne wybuchy artylerii przeciwlotniczej zakwitły znów na niebie.

Warren spojrział w kierunku nieba.

- Do diabła. Oni tam są. Jak to się stało. Te japońskie skurwysyny skoncentrowały się na tym jednym, Janice. Świetnie, to znaczy, że lotniskowce są nadal w zasięgu, czekając na samoloty. Wspaniale. Przesuń się, ja prowadzę.

* * *

Szybka jazda irytowała Janice, gdy to nie ona była za kierownicą. Warren wiedział o tym, ale pędził do Pearl Harbor jak bandyta uciekający po napadzie na bank. Po chwili strachu Janice zaczęła bawić ta jazda na złamanie karku. Wszystko się zmieniło po ataku Japończyków. Więcej przygód, więcej zabawy. Warren wyglądał tak przystojnie, taki kompetentny i godny pożądania. Zdrową ręką luźno trzymał kierownicę jednocześnie paląc papierosa. Zapomniała o swojej nudzie i złości. Czarne obłoki dymu były coraz bardziej intensywne. Przez szybę widzieli, jak japońskie samoloty zapalały się, po czym spadały jeden po drugim. Za każdym razem Warren wył z radości.

* * *

Przystań floty robiła przerażające wrażenie. Z łodzi ratunkowych wynoszono rannych marynarzy. Byli cali poparzeni. Przekładano ich na nosze i ładowano do karetek. Białe fartuchy sanitariuszy były umazane krwią. Ranni i zdrowi kleli na czym świat stoi nie zwracając uwagi na obecne tu kobiety, które zagryzały wargi widząc twarze rannych mężczyzn. Nie byli świadomi także obecności dzieci, które bawiły się i żartowały przy nogach matek, jeśli były zbyt małe, by zrozumieć co się dzieje. Sternik łodzi wypełnionej ciałami przykrytymi prześcieradłami, próbował podplłynąć jak najbliżej. Gruby, stary bosman wymachiwał do niego pokazując mu drogę. Nad tym wszystkim rozlegał się grzmot dział,

wycie syren, ryk samolotów. Rozpoczął się drugi nalot. W powietrzu unosił się duszący zapach dymu i ognia, przemieszany z kwaśnym odorem ropy naftowej, która płonęła na wodzie dookoła Ford Island w chmurach gęstego dymu. Trzymając ręce na udach z papierosem zwisającym z ust Warren Henry spokojnie przyglądał się tej okropnej i widowiskowej scenie.

- Nie wiem, jak tam się przedostaniesz - wykrztusiła Janice trzęsącym się głosem.

Pokiwał głową w milczeniu i udał się w kierunku pomostu, gdzie znajdowała się zadaszona łódź. Janice podążyła za nim.

- Sternik, czyj ten barkas?

Wysoki, opalony mężczyzna spojrzał z ciekawością na zakrwawioną kamizelkę ratunkową Warrena i podniósł rękę do czapki, przylegającej do krótko ściętych włosów.

- Admirala Radburne'a.

- Czy admirał jest na plaży?

- Tak, sir.

- Wiesz jak długo tam będzie?

- Nie, sir, powiedział, że mam czekać.

Spoglądając na łodzie mijające pomost Warren powiedział:

- Słuchaj. Jestem porucznik Henry, z „Enterprise”. Jestem pilotem bombowca nurkującego.

- Tak, sir?

- Latałem dziś rano, gdy zaczęli atak. Japończycy mnie zestrzelili. Muszę znaleźć jakiś samolot i włączyć się do walki. Czy zawiózłbyś mnie do Ford Island?

Sternik zawahał się, po czym wyprostował się i zasalutował:

- Proszę wejść na pokład. Najważniejsze to dostać tych skurwysynów. Proszę mi wybaczyć madam.

- Ach, w porządku - Janice zaśmiała się. - Ja także chcę, by on dostał tych skurwysynów.

Gdy barkas odpływał Warren stał z rozwichrzonymi włosami, w rozpiętej kamizelce ratunkowej poplamionej krwią, z rękoma na biodrach, uśmiechając się do niej.

- Dostań ich - zawołała. - I wracaj do mnie.

- Roger. Nie jedź z powrotem, aż ci dranie skończą z tym, bo mogą cię zbombardować. Do zobaczenia.

* * *

Pochylił głowę, gdy w górze przeleciał nad nimi żółto-czerwony (Błąd autora. Maszyny w czasie ataku miały kamuflaż biały i jasnoszary lub zielony i szary. (przyp. tłum.)) samolot japoński. Znajdował się na wysokości dwudziestu stóp nad wodą, jego silnik dławił się i parskał. Nagle zawrócił gwałtownie i odleciał w stronę kanału, nad purpurowy wrak pancernika. Warren wyprostował się, wciąż uśmiechając się do żony. Janice obserwowała wspianą barkas admirała; świeżo pomalowany na szaro, mosiężne części błyszcząły, a w oknach wisiały śnieżnobiałe firanki. I ten właśnie barkas wiozł teraz ubroczony krwią jej męża na spowitą dymem wyspę na środku zatoki, gdzie znajdowało się lotnisko marynarki. Machał jej ręką na pożegnanie, a ona odpowiedziała mu takim samym gestem. To co widziała napawało ją przerażeniem, nic jej nigdy tak nie poruszyło. Było w niej teraz tyle chęci do życia, dobrego samopoczucia i nigdy nie była tak zakochana.

Gdy wracała do domu, złapała w radio przemówienie rzecznika armii, który wzywał do zachowania spokoju, ostrzegał przed sabotażem i zapewniał, że drugi atak został odparty. Według niego flota została zniszczona w niewielkim stopniu. Natomiast Japonia poniosła ogromne straty. Włączono wszystkie syreny na wyspie odwołując alarm, gdy weszła do domu pokojówka siedziała w fotelu słuchając radia, które znów nadawało hawajską muzykę.

- Victor był spokojny, pani Henry - powiedziała. - Nawet nie zapłakał. Czy ta wojna nie jest straszna? Ale i tak ich pokonamy.

„Lucky Strike” to jedyne papierosy...

W swojej sypialni Victor się rozkaszał, ochrypłym kaszlem jak u dorosłego mężczyzny.

- No zaczyna się - powiedziała Janice.

- To po raz pierwszy odkąd dostał lekarstwo, Słuchałam przecież.

Zegarek Janice pokazywał godzinę dziesiątą pięćdziesiąt dwie minuty.

- Minęły dwie godziny. Sądzę, że to lekarstwo dobrze mu robi. Dam mu więcej.

Dziecko już nie gorączkowało. Połknął porcję brązowego syropu nie otwierając nawet oczu. Janice padła na fotel, myślała o wojnie, która się zaczęła i o tym, że flota Pacyfiku została zmiażdżona między jedną i drugą dawką syropu na kaszel dla jej dziecka.

60

Słońce wznosiło się nad horyzont, oświetlając czerwonym blaskiem skrzydło clippera. Victor Henry obserwował świecące koło wynurzające się z oceanu. Silniki zmieniły rytm, co odbijało się na jego nerwach. Od czasu gdy pożegnał się z Pamelą Tudsbury na ośnieżonym

Placu Czerwonym, jego ciało doznawało wstrząsów w różnych pociągach, samolotach, łodziach, ciężarówkach, jeepach, a nawet wozach zaprzęzonych w woły. Myślał, że jego kości będą jeszcze wibrować na pokładzie „Kalifornii” przez miesiąc. Czterdzieści osiem godzin, dwa następne skoki tysięcznysetmilowe i, jeśli nic nie wypadnie, tułaczka niemalże dookoła świata będzie ukończona.

Słońce się przesunęło. Przechył samolotu był tak łagodny, że prawie wcale go nie odczuł. Z okien przeciwnej strony samolotu wprost na jego kolana padało różowe światło. Pug wstał i przeszedł w kierunku kuchni, gdzie steward smażył jajka.

- Chciałbym rozmawiać z Edem Connellym jeśli ma chwilę czasu.

Steward uśmiechnął się wskazując ręką drzwi. Oficer marynarki i kapitan samolotu zawsze jedli razem posiłki i dzielili pokoje w hotelach na wyspach. W kokpicie wypełnionym tablicami rozdzielczymi było słycać pracę silników, a za szybą rozpościerało się bezkresne purpurowe morze i czyste, błękitne niebo. Kapitan, piegowaty mężczyzna w koszuli z krótkim rękawem i słuchawkach na głowie, spojrzał ze zdziwieniem na Puga.

- Dzień dobry Ed. Dlaczego zawracamy?

Connelly podał mu wiadomość przesłaną przez radio, którą ktoś zanotował czerwonymi, drukowanymi literami na żółtym papierze.

Cincpac: Nalot powietrzny na Pearl Harbor. To nie są ćwiczenia. Ciężki ostrzał na lotniskowcu. Zalecenie powrotu na Wake aż do wyjaśnienia sytuacji.

- Co o tym sądzisz? - kapitan zdjął słuchawki i pogładził się po rudych, kręconych włosach. - Myślisz, że to prawda?

- Bez wątpienia - powiedział Victor Henry.

- Niech to diabli wezmą. Szczerze mówiąc nigdy nie sądziłem, że to zrobią. Zaatakować Pearl! Przecież ich zmiążdżą.

- Miejmy nadzieję. Ale jaki jest sens w naszym powrocie Ed?

- Przypuszczam, że mogą uderzyć także na Midway.

- Jeśli o to chodzi, to równie dobrze mogą zaatakować Wake.

- Rozmawiałem z Wake. Tam jest spokój.

Victor Henry powrócił poruszony na miejsce, chociaż wcale go to nie zaskoczyło. W końcu nastąpił zamierzony podstępny atak na Pearl, w samym środku wojennej paniki. Pozbawieni inwencji Azjaci postanowili powtórzyć Port Arthur. Ale tym razem wpadną we własne sidła! Stany Zjednoczone w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku to nie carska Rosja w tysiąc dziewięćset czwartym. Jedno zdanie z informacji przesłanej z Cincpac szczególnie nie dawało mu spokoju „To nie są ćwiczenia”. To głupota przekazywać tego typu

informację flocie znajdującej się w stanie pogotowia wojennego. Jakiś urzędnik musiał to dodać od siebie.

* * *

W miejscu lądowania oczekiwał go marynarz z jeepem. Był to młody, opalony chłopak ubrany tylko w szorty, skarpetki i buty. Komandor postawił swoich ludzi w stan gotowości bojowej i teraz chciał zobaczyć się z kapitanem Henry. Początkowo jechali w oślepiającym słońcu drogą pełną kurzu wśród plaży, potem skręcili w zarośla. Plan gotowości bojowej nie wpłynął na zmianę wyglądu Wake. Na tych trzech piaszczystych wyspach w kształcie podkowy nadal panował spokój. Otoczone morzem wciąż dawały schronienie ptakom, dla których stanowiły sanktuarium. Spokój na wyspach zakłócała jedynie krzątająca się buldożerów i ciężarówek przywożących grupy cywilów. Zwinne, wyspiarskie szcury wyskakiwały spod kół jeepów niczym małe kangury, a przepięknie kolorowe ptaki unosząc się całymi tabunami z zarośli tworzyły ćwierkające chmury.

Dokładnie ukryte w zaroślach stanowisko dowodzenia znajdowało się w ziemiance wykopanej w koralowym piasku. Gdy Pug stanął twarzą w twarz z pułkownikiem w tej głębokiej, oszalowanej deskami jamie, ujrzał odbiornik radiowy i surowe meble oraz poczuł zapach trawy i świeżo kopanej ziemi, wojna z Japonią stała się dla niego faktem. Schron nie miał tego cmentarnego odoru jaki panował w rosyjskich okopach; było tu ciepło i sucho, a nie zimno i wilgotno. Łącznościowcy byli zajęci liniami telefonicznymi. Byli to mocno opaleni, pocący się Amerykanie ubrani w same szorty, natomiast Słowianie, których spotkał w Rosji, byli zamarznięci na kość i bladzi. Jednak tutaj wśród stłumionego szumu Pacyfiku Amerykanie, podobnie jak Rosjanie pod Moskwą, schodzili pod ziemię, by oczekiwać ataku. Stany Zjednoczone zostały wciągnięte w tę grę.

Pułkownik, chudy, kościsty człowiek o spokojnej twarzy, z którym Pug jadł obiad poprzedniego dnia, dał mu kopertę adresowaną do sztabu.

- Proszę to własnoręcznie oddać admirałowi, kapitanie. To lista moich najpilniejszych potrzeb. Bez tego nie będziemy w stanie tutaj podjąć walki. Być może wytrwamy do czasu, aż nadeślacie nam posiłki. Radar dla Wake wciąż znajduje się w magazynach na Hawajach, jest tam już od miesiąca. Na miłość boską, powiedzcie im, żeby go przysłali tu jakimś niszczycielem, albo jeszcze lepiej bombowcem. Bez radaru jestem bezradny. Nawet nie mogę wysłać myśliwców na patrol, mam ich zbyt mało. Jesteśmy tu dwadzieścia stóp nad powierzchnią morza w najwyższym punkcie, a moja wieża wodna jest tylko o kilka stóp wyższa. Skończymy prawdopodobnie jedząc ryby i ryż za drutem kolczastym, ale niech to

kosztuje tych drani chociaż trochę wysiłku.

* * *

Pug zdążył wrócić do hotelu jeszcze przed nawałnicą. Pasażerowie clippera właśnie zasiadali do lunchu, kiedy silny podmuch wstrząsnął podłogą. Ze stołów pospadały talerze. Z krzykiem i płaczem ludzie rzucili się do okien. Samoloty w kształcie grubych cygar, z pomarańczowymi kołami na maskującym kamuflażu wylatywały z ulewy. Pug zauważył, że miały podwójne silniki i podwójne stateczniki. Nad laguną unosił się dym i ogień z bombardowanego lotniska. Pug często widział bombardowanie, ale tu atak bezkarnie niszczący amerykańskie umocnienia oburzał go i paraliżował jednocześnie.

Błyszczące w deszczu bombowce przelatywały nad wyspami i laguną, wypełniając przestrzeń grzmotem silników. Odpowiedzią na ich atak był skromny ogień artylerii. Wkrótce szyk bombowców skierował się na bazę PanAmerican, a tego Victor Henry obawiał się najbardziej. Jeśli zaatakują clippera będzie w poważnych kłopotach, a jego kariera wojskowa zostanie sparaliżowana, zanim się naprawdę rozpocznie. Jedynie ten ogromny, srebrzysty kształt zapraszający do zbombardowania mógł mu umożliwić opuszczenie wyspy.

Eksplozje następowały jedna po drugiej. Samoloty bombardowały hotel, warsztaty naprawcze PanAm, doki i wieżę radiową. Zbiornik benzyny stanął w białym płomieniu, sięgającym nieba. Pasażerowie chowali się po kątach i pod stołami, a Victor Henry wciąż stał przy oknie obok pilota, obserwując całe zajście. Wodnopławiec otaczały bryzgi wody. W końcu ujrzeli jak z clippera sypią się drzazgi.

* * *

Gdy odgłosy ataku zaczęły słabnąć, Pug wraz z pilotem udali się na pomost. Niczym ubrana małpa Ed Connelly wgramolił się na mokry i śliski wodnopławiec, który kołysał się w deszczu.

- Myślę Pug, że z Bożą pomocą możemy polecieć mimo wszystko. Bak i silniki nie są uszkodzone. Przynajmniej tak mi się wydaje. Do diabła, teraz muszę zabrać stąd pasażerów, a z Hawajami będę się sprzeczał później.

Pasażerowie ochoczo zaczęli wspinać się na pokład. Clipper wystartował i odleciał. Pod nim płonęły zniszczone samoloty, a nad wyspami unosiły się chmury dymu. Pug widział małe figurki wpatrzone w odlatujący samolot. Niektórzy machali.

* * *

Nawet pośród ciemnej nocy, dziewięć godzin później z łatwością można było

odszukać Midway. Pilot wezwał Victora do siebie, by pokazać mu blask ognia, daleko pod nimi na czarnym morzu.

- Chryste, ci Japończycy mają wszystko zaplanowane - powiedział. - Atakują we wszystkich miejscach jednocześnie. Słyszałem przez radio, że już są w Tajlandii, Malajach, Hong Kongu i bombardują Singapur.

- Czy możemy lądować, Ed?

- Musimy spróbować. Wsiadły wszystkie światła nawigacyjne. Midway ma dużo podziemnych zbiorników paliwa. Jeśli się dostaniemy, będziemy mogli zaopatrzyć się w paliwo. Więc - naprzód.

Wodnopłatec zaczął zbliżać się do ciemnej powierzchni wody, oświetlonej tylko przez blask płonących hangarów i zabudowań. Gdy dotknął powierzchni, natrafił na coś twardego, ale zwolnił i wypłynął nie uszkodzony. Lotniska Midway, jak mieli się wkrótce dowiedzieć, zostały zbombardowane przez japoński niszczyciel i krążownik. Tłum prawie nagich żołnierzy zalewał płomienie środkami chemicznymi i wodą, wytwarzając słupy gryzącego, czerwonego dymu. Victor odnalazł drogę do biura komendanta i próbował dowiedzieć się czegoś o ataku na Pearl Harbor. Porucznik dyżurny był służalczy, ale nie potrafił udzielić informacji. Komendant odbywał właśnie inspekcję zabezpieczenia wyspy przed atakiem z powietrza, ale nie mógł pokazać tajnych dokumentów, mógł natomiast go poinformować, że marynarce udało się zestrzelić sporo japońskich samolotów.

- A co z „Kalifornią”? Jadę tam, by objąć dowództwo.

Porucznik wyglądał na poruszonego.

- Naprawdę, sir? „Kalifornia”? Jestem pewien, że jest w porządku. Nie przypominam sobie ani słowa o „Kalifornii”.

Te wiadomości uspokoiły nieco Victora i pozwoliły mu na krótką drzemkę, choć przez całą noc mamrotał coś przez sen i wstał jeszcze przed świtem. Udał się na chłodną, hotelową werandę. Ptaki zamieszkujące Midway, stwory o haczykowatych dziobach, o których tyle słyszał, choć nigdy ich nie widział, całymi stadami spacerowały teraz po szarych wydmach. Widział, jak niezdarnie próbowały fruwać i lądować upadając na głowę. Gdy słońce zaczęło wschodzić, niektóre z nich odbywały erotyczny taniec w parach podnosząc ciężko stopy, jak starzy pijani farmerzy. Normalnie Victor Henry wykorzystałby szansę zwiedzenia Midway, ze względu na silne fortyfikacje, ale dzisiaj nic nie było w stanie skłonić go, by oderwał wzrok od latającej łodzi, która wznosiła się i zanurzała w wodzie, wypełniając przystań jednostajnym łoskotem.

* * *

Cztery godziny dzielące go od Hawajów wydawały mu się nieskończonością. Czas zamiast płynąć ze zwykłą szybkością, zdawał się stać w miejscu. Pug poprosił stewarda o karty, by postawić sobie pasjansa, po czym zupełnie o tym zapomniał. Siedział bez ruchu, starając się przeczekać ten czas, podobnie jak u dentysty z niecierpliwością oczekując na koniec borowania zęba. Ten beczynny stan przerwał steward, gdy podszedł do niego i z uśmiechem powiedział.

- Kapitan Connelly chciał, by pan do niego przyszedł.

Przed nim na horyzoncie rozpościerał się widok zielonych, słonecznych hawajskich wzgórz.

- Ładne, nieprawdaż? - spytał pilot.

- Najładniejszy widok, jaki widziałem od czasu, gdy moja żona urodziła córeczkę - odparł Pug.

- Zostań tutaj, popatrzymy na flotę.

Nikt na pokładzie clippera nie wiedział czego można się spodziewać. Pogłoski na Midway mówiły zarówno o druzgocącej porażce, jak i zwycięstwie. Maszyna nadleciała nad zatokę od północy i zawróciła, by wodować.

W czasie tych dwóch manewrów oczom Victora ukazał się przerażający widok. Wzdłuż całego wschodniego wybrzeża Ford Island pancerniki Floty Pacyfiku stanowiły stertę złomu: połamane, powywracane, przechylone, przypominały zniszczone dziecinne zabawki w wannie. Hickam Field i baza lotnicza marynarki były upstrzone czarnymi plamami części samolotów i spalonymi szkieletami hangarów. Z tej zadymionej i odrażającej panoramy Pug rozpaczliwie próbował wyłuskać wzrokiem „Kalifornię”. Ale z tej wysokości wszystkie okręty wyglądały podobnie. Niektóre z wewnątrz były mniej uszkodzone. Żeby tylko „Kalifornia” się uratowała!

- Mój Boże - jęknął Connelly spoglądając na Puga, ze ściągniętą twarzą - co za rzeź.

Victor Henry pokiwał w milczeniu i siadł na składanym krześle. W tym czasie maszyna prześliznęła się obok zniszczonego pancernika o trzech masztach, zatopionego aż po działa. Clipper rozpylił ścianę wody zasłaniając ten rozdzierający serce widok.

- Koniec podróży.

* * *

Kiedy Pug wyszedł z biura celnego PanAm na lotnisku mijał jadące na sygnale karetki ratunkowe. Udał się prosto do budynku sztabu, gdzie marynarze i oficerowie uwijali się jak w

ukropie. Na ich twarzach malowała się niepewność i przerażenie, jak u ludzi dotkniętych trzęsieniem ziemi. Przystojny chorąży siedział za biurkiem zamykającym dostęp do wewnętrznych biur i z niedowierzaniem spoglądał na Puga, który wszedł tu w wymiętych spodniach i podobnej marynarce.

- Admirał? Ma pan na myśli admirała Kimmela?

- Właśnie.

- Chyba nie sądzi pan, że dziś zobaczy się pan z admirałem Kimmelem? Jeśli pan chce mogę spróbować skontaktować się z zastępcą jego Szefa Sztabu.

- Proszę przekazać admirałowi wiadomość. Jestem kapitan Victor Henry. Przybyłem tu z osobistym listem dla niego od komendanta wyspy Wake.

Przystojny chorąży wskazał mu niedbale krzesło i podniósł słuchawkę telefonu.

- Może pan czekać cały dzień, a może nawet tydzień. Wie pan jaka jest sytuacja.

- Mam ogólne wyobrażenie.

Mniej więcej minutę później w drzwiach pojawiła się ładna kobieta, ubrana w błękitny kostium.

- Kapitan Henry? Tędy proszę.

Chorąży spoglądał na Victora Henry, gdy ten go mijał jakby nagle wyrosła mu druga głowa.

Drzwi do biur były pootwierane, wszędzie było słyhać podniecone głosy i stukot maszyn do pisania. Przed wysokimi drzwiami ozdobionymi czterema złotymi gwiazdami, pieczęcią marynarki i złotym napisem: Naczelnny Dowódca Floty Pacyfiku zsalutował mu marines trzymający wartę. Weszli do wyłożonego drewnem przedpokoju. Kobieta otworzyła ciężkie, błyszczące, mahoniowe drzwi.

- Admirale, kapitan Henry jest tutaj.

- Cześć Pug. Tyle czasu! - Kimmel pomachał mu radośnie od okna, przez które wyglądał na kotwiczowisko. Był ubrany w nieskazitelnie biały mundur ze złotymi guzikami i wyglądał wspaniale, choć postarzał się i był zupełnie łysy.

- Nie widziałem cię od czasu, gdy służyłeś na „Maryland”.

- Chyba tak, sir.

- No cóż, czas obchodzi się z tobą łagodnie. Siadaj, siadaj. Dużo latałeś, nieprawdaż? Byłeś w Rosji?

Uścisnęli sobie dłonie. Głos Kimmela brzmiał jak zawsze serdecznie. To niezwykle oficer - pomyślał Pug.

Przepowiadano mu świetną karierę i dopiął tego. Teraz po dwudziestu latach

poligonów i ćwiczeń przeciwko pomarańczowym, flota, którą dowodził, leżała w gruzach pod jego oknem. A dokonała tego drużyna pomarańczowych w ciągu jednej, szybkiej akcji. Sprawiał wrażenie, iż był w dobrym humorze, tylko zaczerwienione i rozbiegane oczy mówiły w jakim naprawdę był stanie.

- Wiem, jak mało ma pan czasu, sir - Pug wyciągnął z kieszeni na piersi list z Wake Island.

- Ależ skąd. Tak miło widzieć starą znajomą twarz. Byłeś dobrym artylerzystą, Pug. Najlepszym oficerem ze wszystkich. Papierosa? - Kimmel podał mu paczkę, sam zapalając jednego. - Czy czasem twoi dwaj chłopcy nie są teraz w wojsku?

- Tak, sir. Jeden lata na SBD, na „Enterprise”, a...

- To dobrze. Nie trafili „Enterprise” ani żadnego innego lotniskowca. Wiesz dlaczego? Bo lotniskowce posłuchały moich rozkazów i były w stanie stuprocentowej gotowości bojowej, a drugi chłopak?

- On jest na pokładzie „Devilfish” w Manili.

- Manila? Chyba nie uderzyli jeszcze na flotę w Manili, chociaż zdaje się, że zbombardowali lotnisko. Teraz Tommy Hart otrzymał ostrzeżenie i nie będzie miał żadnego usprawiedliwienia. Mam nadzieję, że ludzie z lotnictwa w Manili nie będą tak zaspani jak ci tutaj. Wojsko było i jest całkowicie odpowiedzialne za bezpieczeństwo tych wysp i portu, Pug, włączając odpowiedzialność patroli powietrznych i służb radarowych. Nie ma nic prostszego na tej bożej ziemi, niż instrukcje obronne wysp. Na szczęście dokumenty nie pozwalają na żadne wątpliwości. Masz coś dla mnie z Wake, czyż nie tak? Zobaczymy, co to jest? Byłeś tam w czasie ataku?

- Tak, sir.

- Źle tam było? Tak jak tutaj?

- Ataku dokonało około dwa tuziny bombowców. Głównie zniszczyli samoloty i lotnisko, admirale. Nie zbombardowali żadnych okrętów.

Kimmel potrząsnął głową i zaczął czytać list. Pug odważył się zapytać:

- Admirale, jak „Kalifornia” z tego wyszła?

- Dlaczego pytasz? Nie wiesz?

- Nie, sir. Przychodzę tu prosto z clippera.

Nie podnosząc głowy, tonem obojętnego raportu Kimmel powiedział:

- Dostała dwie torpedy i kilka bomb. Jedna przebiła pokład i eksplozja wywołała duży pożar. Teraz jest na dole, tonie Pug. Wciąż wypompowują wodę, więc może nie wywróci się. Ma elektryczny napęd, ale według wstępnych szacunków - wziął z biurka kartkę i spojrzał na

nią - około półtora roku a może nawet dwa nie będzie mogła być w użyciu. To oczywiście tajne. Nie udostępniamy informacji tego typu.

Skończył list w milczeniu i rzucił go na biurko.

Głos Victora Henry drżał, gdy starał się wykrztusić:

- Admirale, czy gdybym znalazł ludzi i wraz z nimi harował dzień i noc, istnieje możliwość przywrócenia „Kalifornii” do działań w ciągu sześciu miesięcy.

- Idź i sam zobacz. Ale to beznadziejna sprawa Pug. Oficer ratowniczy zmieni Chipa. - Powiedział to tonem pełnym współczucia, ale Victor Henry czuł, iż przekazywanie komuś tak katastroficznych informacji poprawiło mu nieco humor.

- W takim razie, to wszystko.

- Dostaniesz dowództwo innego okrętu.

- Jedyne problemy polegają na tym admirale, że nie ma już wolnych pancerników, sir. Już nie ma.

Ponownie szybkie podejrzliwe spojrzenie. Trudno było powiedzieć cokolwiek w takiej sytuacji, nie irytując naczelnego wodza Floty Pacyfiku. Kimmel uczynił szeroki gest w kierunku listu przyniesionego przez Puga.

- A teraz problem dla ciebie. Przyjdziemy z pomocą Wake czy nie? To oznacza zagrożenie dla jednego lotniskowca. Nie możemy tego zrobić bez osłony lotniczej. Prosi o rzeczy, których nie mogę mu dać z tej prostej przyczyny, że są w posiadaniu Rosjan i Brytyjczyków. Prezydent Roosevelt był wielkim prezydentem marynarki, ale tylko do czasu tej europejskiej rozróby. Nasz prawdziwy wróg był zawsze tutaj na Pacyfiku. Ten ocean jest problemem numer jeden bezpieczeństwa naszego kraju. A o tym zapomniał. Nigdy nie dysponowaliśmy nawet koniecznymi funduszami na przeprowadzenie powietrznych patroli. Nie chciałem polegać tylko na armii, a sprzęt ma przecież ograniczoną żywotność. Z czym przystąpilibyśmy do wojny, jeśli byśmy zużyli nasze samoloty w czasie patrolowania. Waszyngton podnosił fałszywy alarm o Japończykach przez cały rok. Mieliśmy tyle stanów gotowości bojowej, ćwiczeń z nalotami powietrznymi, ataków z zaskoczenia itd., że nikt by ich nie zliczył, ale cóż, co się stało, to się nie odstanie. Myślę jednak, że prezydent zajął się nie tym co trzeba wrogiem, nie tym oceanem i nie tą wojną.

Wywarło to dziwne wrażenie na Victorze. Najpierw Berlin i Londyn, potem Moskwa, a teraz to wstrząsające rozczarowanie, które przemawiało przez admirała Kimmela. Stara marynarska gadanina o ważności Pacyfiku.

- No cóż admirale, wiem jak bardzo jest pan zajęty - powiedział, chociaż tak naprawdę to zaskoczył go ten spokój panujący w samym sercu katastrofy i ochota, z jaką Kimmel

zgodził się za pogawędkę z mało mu znanym zwykłym kapitanem. Wyglądał na tak samotnego jak Kip Tollever.

- Tak, mam kilka spraw do załatwienia, a ty także musisz się zająć swoimi problemami. Miło było cię spotkać, Pug - powiedział admirał Kimmel nagle dając mu do zrozumienia, że ma już odejść.

* * *

Janice odebrała telefon Puga. Ciepło zaprosiła go, by szybko przyszedł i zatrzymał się u nich w domu. Victor potrzebował miejsca, by zostawić bagaż i przebrać się w mundur, zanim pojedzie zobaczyć, co się stało z „Kalifornią”. Przyjechał na miejsce samochodem marynarki Przez chwilę pozachwycał się wnukiem i przyjął ze spokojem wyrazy współczucia od Janice z powodu „Kalifornii”. Zaproponowała mu, iż pokojówka szybko wyprasuje mundur. Gdy w wolnym pokoju otworzył walizkę, by wyciągnąć pomięty mundur, na podłogę wypadł list do Pameli Tudsbury. Ubrał się w szlafrok i przejrzał list, który napisał podczas długiej podróży z Guam na Wake. Wprawił go w takie zażenowanie, jak mógłby to zrobić tylko stary list miłosny do Rhody. Nie było w nim wiele miłości, głównie logiczne i zwięzłe uzasadnienie jego trybu życia. Cała sprawa z tą angielską dziewczyną - romans, flirt, miłośćka, cokolwiek by to nie było - zdawała się być mu tak odległa po postojach w Manili i Guam. Taka przedawniona i niepodobna do niego, zupełnie poza zasięgiem rzeczywistości. Pamela była piękną młodą kobietą, ale trochę dziwną. Najlepszym na to dowodem była namiętność jaką żywiła do niego, posiwiąłego starego wilka morskiego US Navy, z którym było jej dane spędzić przez przypadek trochę czasu. Rozpaliła w nim żarliwy ogień w ciągu tych kilku burzliwych godzin w Moskwie. Pozwolił sobie na marzenie o zupełnie nowym życiu i prawie w nie uwierzył, podobnie jak z dumą myślał o dowodzeniu „Kalifornią”.

A teraz wszystko się skończyło! „Kalifornia”, Pamela, Flota Pacyfiku, honor Stanów Zjednoczonych, nadzieja cywilizowanego świata.

Ktoś zapukał do drzwi, usłyszał głos chińskiej pokojówki:

- Pański mundur, kapitanie.

- Dziękuję. Doskonale zrobione.

Nie podarł listu na strzępy. Nie myślał, że mógłby napisać lepszy. Sytuacja mężczyzny po pięćdziesiątce odrzucającego miłość młodej kobiety wydawała się niezrozumiała i dziwna. Nie potrafił tego wyjaśnić słowami. Wrzucił kopertę do kieszeni. Idąc do portu mijając skrzynkę pocztową, zatrzymał się i wrzucił list. Szczęk skrzynki wydał mu się smutny i równie przykry był cały ten dzień dla kapitana Victora Henry.

* * *

Jeszcze smutniejsza okazała się wyprawa na „Kalifornię”. Cuchnąca woda pokryta była czarną ropą tak grubo, że motor, dławiąc się, przebijał się jak lodołamacz przez pływające masy śmieci i złomu. Szalupa minęła cały rząd pancerników. „Kalifornia” znajdowała się u samego wejścia do portu. Victor Henry uważnie przyglądał się każdemu z tych olbrzymich szarych okrętów, które tak dobrze znał. Sam służył na kilku z nich. Żaden z nich nie był w pełni sprawny. Zniszczone przez bomby i pożar były przynajmniej częściowo zatopione, niektóre z nich spoczęły na dnie dziobem, inne rufą, a jeszcze inne przewróciły się. Rozdzierał go ból i żal.

Kochał pancerniki. Dawno, dawno temu skończył szkołę lotniczą. Lotnictwo morskie wydawało mu się najodpowiedniejsze ze względu na rozpoznanie terenu, wspomaganie, bombardowanie, atakowanie torpedami. Nie zgadzał się tylko z ich siłą uderzeniową. Sprzeczał się kiedyś z chłopakami z lotnictwa, że gdy nadejdzie wojna, lotniskowce o słabym opancerzeniu będą musiały przemykać z dala od miejsca bitwy i zawracać sobie głowę bombardowaniem i walkami powietrznymi, podczas gdy pancerniki z ogromnymi działami będą walczyły naprawdę o panowanie na morzu. Lotnicy upierali się, że jedna bomba powietrzna lub torpeda wystarczy, by zatopić cały pancernik. Odparł ich atak przypominając, iż stalowa płaszczyzna o grubości szesnastu cali nie przypomina porcelany, a setki dział, gdy wypalą jednocześnie, mogą nieco uszkodzić pilota latającego małą metalową klatką.

Właściwe mu nieco konserwatywne podejście do problemu zostało podbudowane doświadczeniem z czasów, gdy grywał w futbol amerykański. Po czym zaczął się wdawać w szczegółowe porównania. Zwycięzcami zostawali ci, co potrafili twardo i wytrwale atakować. Tak myślał, popełniając swój życiowy błąd. Pomylił się najbardziej jak to było możliwe w kwestii dla siebie najważniejszej, wyboru swej przyszłej profesji. Inni zwolennicy pancerników wciąż potrafili znaleźć usprawiedliwienie dla tych wymordowanych dinozaurów, które mijała jego szalupa. Do Puga przemawiały tylko fakty. Każdy z tych okrętów był cudem inżynierii, tak precyzyjnym jak damski zegarek, a potrafiącym zetrzeć na proch całe miasto. To wszystko była prawda, ale gdy je zaatakować z zaskoczenia, mogła sobie z nimi poradzić jedna, mała latająca klatka. Dowodem był rozpościerający się przed nim widok. Sprzeczką trwająca dwadzieścia lat skończyła się.

Zachodzące słońce rzucało różowe światło na „Kalifornię”. Była przechylona około siedmiu stopni i bryzgała ustawicznie dużymi strumieniami brudnej wody z odpływników. Osmalona i opalona stalowa ściana pochylała się nad jego głowę, gdy motorówka zbliżyła się

do trapu. Widok ten, przyprawił go o zawrót głowy. Tak samo wpłynęła na niego wspinaczka po częściowo zanurzonym trapie.

Co za powitanie! W najgorszych momentach, w Kujbyszewie, na Syberii, na ulicach Tokio, czy klubie w Manili, Pug pocieszał się myślą o przyjęciu, jakie go czekało na pokładzie tego okrętu. Marynarze w białych mundurach mieli mu salutować i przyjąć go z pełnymi honorami przy wtórze świstu bosmańskiego, i prezentowaniu broni przez wartę honorową. Oficerowie dowodzący mieli uściskać mu dłoń zaraz po wejściu na pokład. Okręt powinien odświętnie błyszczeć na powitanie nowego kapitana. Często odgrywał pomniejszą rolę w takich rytuałach. Ale nigdy nie był główną gwiazdą tego przedstawienia, nigdy nie był w samym centrum. To było warte cierpień całego życia.

I tak to wszystko się skończyło. Wstrętny odór uderzył go w twarz, gdy tylko stanął na pokładzie „Kalifornii”:

- Proszę o zezwolenie na wejście na pokład - odezwał się.

- Udzielam zezwolenia, sir.

Oficer zasalutował mu elegancko. Miał atrakcyjną, opaloną twarz. Nosił powalany tłuszczem mundur, rękawiczki, lornetkę. Na pokładzie leżało pięć trupów przykrytych prześcieradłami poplamionymi wodą i ropą. Spod materiału wystawały czarne przemoczone buty. Z miejsca gdzie leżeli wyciekała woda. Ten okropny zapach pochodził częściowo od nich, a częściowo od dymu, spalonej benzyny i ropy, palącego się drewna, papieru, ludzkich ciał, zgniłej żywności. Był to spleśniały wyziew nieszczęścia, tej wielkiej maszynierii, która miała być domem wielu istot ludzkich, a teraz była rozbita i zniszczona. Po pokładzie kręcili się niewzruszeni oficerowie i marynarze w brudnych mundurach. Ponad brudem i wszędzie panującym nieładem wznosiła się masywna, czysta i nie uszkodzona konstrukcja ostro rysująca się na tle zachodzącego słońca. Długie, czternastocalowe, nowe i świeżo pomalowane na szary kolor działa, były wycelowane we wszystkich kierunkach. Oprócz artylerii głównej widać było masę mniejszych dział pelot - fakt, że okręt był uszkodzony, ale nadal jeszcze niepokonany.

- Jestem kapitan Victor Henry.

- Tak, sir? Oh! Tak jest, sir. Kapitan Wallenstone oczekuje pana już od dłuższego czasu. - Strzelił palcami na gońca w białym mundurze, i powiedział ze smutkiem w głosie. - To okropne zastać okręt w takim stanie. Banson, powiedz kapitanowi, że kapitan Henry jest tutaj.

- Jedną chwilę. Gdzie jest wasz kapitan? - spytał Pug.

- Jest na dole w maszynowni z oficerami z ekip ratowniczych.

* * *

Gdy szedł do maszynowni mijał znajome pokłady i przejścia teraz powyginane pod dziwnymi kątami. Dławił się dymem, zapachem benzyny i spalin. Odrzucał go zapach zgniłego mięsa. Zrozumiał, że te przestrzenie wypełnione spalinami to pułapki, które mogą eksplodować w każdej chwili. W przedniej maszynowni czterej oficerowie stali na wąskim pomoście oświetlając silnymi latarkami pokrytą ropą powierzchnię wody, która dzięki złudzeniu optycznemu wyglądała na równą, nie pochyloną.

Bez zbędnych ceregieli przyłączył się do rozmowy na temat ratowania okrętu.

Masy wody, które cały czas napływały przez wybite przez torpedy dziury przewyższały ilości, które mogły być usunięte przez pompy. Dlatego też okręt powoli opadał na dno. Pug spytał, czy nie można by podłączyć więcej pomp, bądź też wykorzystać pomp z holowników czy z nabrzeża, ale w całym porcie bezskutecznie szukano pomp. Pompowanie nie wchodziło w rachubę, przynajmniej nie można było zapobiec osiadaniu okrętu. Kapitan Wallenstone, wychudły i brudny, w poplamionym mundurze, wyglądał na około sześćdziesiąt lat. Jednym tchem odpowiadał na wszystkie propozycje Puga. Łatanie dziur oznaczało całe miesiące podwodnych prac. Nie zdążą także na czas wysłać nurków, by uszczelnili kolejno wszystkie uszkodzone miejsca. Krótko mówiąc, „Kalifornia”, chociaż nie była na dnie, nie nadawała się do niczego. Rozmowa dotyczyła głównie grodzi wodoszczelnych oraz cementowych łąt. Padła nawet propozycja, iż należy statek poddać remontowi w Stanach, a wtedy powróci do służby w 1943 lub 1944 roku.

Wallenstone zabrał Victora do swojej kabiny. Błogosławił moment, w którym ponownie mógł odetchnąć świeżym powietrzem. Na zielonkawym niebie ujrzał jasno świecące gwiazdy. Kabiny dowództwa pozostały nietknięte, przestronne i olśniewająco wspaniałe. Teraz, razem z całym okrętem, niepohamowanie opadały na dno. Filipiński steward przyniósł kawę, którą musieli trzymać na kolanach, bowiem mogła się ześliznąć z pochylonych stolików. Kapitan posepnie opowiedział Pugowi o ataku Japończyków. Henry nigdy wcześniej nie spotkał tego oficera, ale Wallenstone wydawał się wiedzieć o nim całkiem dużo. Zapytał Victora jaki jest naprawdę prezydent Roosevelt, a także czy Rosjanie długo jeszcze będą w stanie stawiać opór Niemcom.

- Ach, przy okazji - dodał, gdy towarzyszył Pugowi do wyjścia - zebrało się tu trochę poczty dla pana. Nie jestem pewien, gdzie to schowałem - mówił, otwierając szuflady biurka.
- O tutaj, jest wszystko.

Victor Henry wsunął pękatą kopertę pod ramię i poszedł wraz z kapitanem przez

śmierdzący pochylony główny pokład, skąpany w mroku.

- Nie uwierzyłby pan własnym oczom, gdyby pan zobaczył ten okręt dwa dni temu. - Kapitan smutno potrząsnął głową, starając się przekrzyczeć warkot pracujących pomp i odgłos uderzeń młotów. - Otrzymaliśmy informację z Manili, że mamy oczekiwać pana. W sobotę przeprowadziłem pięciogodzinną inspekcję. Przygotowali się wspaniale: można było zjeść obiad na silnikach w maszynowni. Wszystko błyszczało; to był najwspanialszy okręt w całej marynarce i miał najlepszą załogę. Ale na co to wszystko? Na co?

Ciała już usunięto. Kapitan rozejrzał się wokoło i powiedział:

- Zabrali już stąd tych biedaków. To było najgorsze. Na ostatniej zbiórce brakowało czterdziestu siedmiu. Są tam na dole, Henry. Wszyscy utonęli. O Boże, ci goście z ekipy ratowniczej twierdzą, że pewnego dnia ten okręt znów będzie mógł wziąć udział w walce, ale Bóg jeden wie kiedy. I on jeden wie, gdzie ja wtedy będę. Kto by pomyślał, że te skurwysyny podpłyną do Hawajów nie zauważeni i że będą mieli dość odwagi, by spróbować. Gdzie była nasza obrona przeciwlotnicza?

- Czy to „Enterprise”? - Pug wskazał palcem czarny, czworokątny kształt przesuający się wzdłuż kanału.

Wallenstone przyjrzał się sylwetce.

- Tak. Dzięki Bogu, że nie był w porcie w niedzielę rano.

- Mój syn jest tam lotnikiem. Może się z nim zobaczę. Po raz pierwszy od długiego czasu.

- To pana podniesie na duchu. Wiem, co pan czuje. Wszystko co mogę panu powiedzieć to to, że naprawdę jest mi przykro. Jest mi tak przykro, jak tylko może być człowiekowi.

Kapitan Wallenstone wyciągnął dłoń. Victor Henry zawahał się. Przez krótką chwilę pomyślał, że gdyby ten człowiek był mądrzejszy od reszty utrzymałby swój okręt w stanie gotowości bojowej. W końcu tak samo jak inni otrzymał ostrzeżenie o wojnie. Jeśli o świcie ogłosiłby alarm powietrzny „Kalifornia” stałaby się najsłynniejsza jednostką z całej floty. Gotowa do walki na morzu. Wallenstone zostałby bohaterem narodowym, kariera wojskowa stałaby przed nim otworem. Zamiast tego był jednym z ośmiu dowódców okrętów, którzy teraz mogli tylko rozmawiać z ekipami ratowniczymi i opowiadać o tym wielkim nieszczęściu. Teraz miał uściskać rękę człowiekowi, którego okręt został z jego własnej winy zatopiony przez wroga.

Ale czy on, Pug Henry, działałby coś więcej? Kapitana okrętu, który o świcie postawiłby na nogi całą załogę, podczas gdy pół tuzina innych spokojnie spało, uznano by za

zdziwaczałego ekscentryka. Cała flota z dowództwem na czele śniła smacznie. To był fakt, którego nie można było już zmienić. Zatopienie „Kalifornii” było tylko niewielkim epizodem, na który nikt nigdy nie zwrócił uwagi.

Uścisnął dłoń Wallenstona, zaszalutował i zszedł na dół po drabinie, która zwieszona nad wodą prowadziła prosto do luksusowej łodzi motorowej kapitana, którą wezwał oficer wachtowy. Łódź podążyła w kierunku nabrzeża. Pug, kiedy znalazł się już w samochodzie, przejrzał korespondencję, która czekała na niego na „Kalifornii”. Były to w większości pisma urzędowe, kilka listów od Rhody i jeden od Madeline. Nie otworzył żadnego z nich.

* * *

- Tato! - Warren nie tylko był w domu, ale zdążył już nawet przebrać się w luźne spodnie i kwiecistą koszulę. Wszedł do pokoju i otoczył ojca jednym ramieniem, drugie trzymając sztywno i nieruchomo. Ucho miał zaklejone plastrem. - W końcu dotarłeś. Prosto z Moskwy. Jak się masz ojcze?

- Byłem zobaczyć „Kalifornię”.

- O Boże. Napijesz się burbona z wodą?

- Nie za dużo wody, więcej burbona. Co się stało z twoim ramieniem?

- Jan powiedziała ci, jak wpadłem na tych Japończyków, prawda?

- Ale nie mówiła, że jesteś ranny.

- Tylko kilka szwów. Najważniejsze, że mogę latać. Chodź tato, tutaj jest chłodniej.

Na ocienionym ganku Pug w kilku słowach opowiedział, w jakim stanie jest „Kalifornia”. Warren był pełen pogardy: jego zdaniem Marynarka Wojenna to banda zaspanych idiotów, zasługujących na klęskę; obsesyjnie pochłonięci awansami i rywalizacją, nie znają się zupełnie na obronie przeciwlotniczej. Ćwiczyli tak, jakby mieli rozegrać przeciw Japończykom bitwę pod Jutlandią. A Japończycy postawili na lotnictwo morskie i gładko rozpoczęli tę grę. - Ale ich jeszcze dostaniemy - powiedział - to będzie trudne zadanie, ale lotnictwo morskie tego dokona. Nikt inny, tato.

- Wydaje mi się, że sporo maszyn dostali na ziemi - mruknął Pug, czując jak burbon daje mu uczucie przyjemnie rozchodzącego się po ciele ciepła.

- Jasne, zgadzam się. Cała baza była w wielkim nieładzie, tato. Jedno ci powiem, gdyby Halsey był dowódcą nie doszłoby do tego. On był dobrze przygotowany do wojny, ale miał za długi język. Trzymałby tę całą przeklętą flotę w stanie gotowości bojowej od świtu do zmierzchu przez okrągły rok. Wysyłałby samoloty na patrole, aż by się rozleciały ze starości. Byłby najbardziej nienawidzonym skurwysynem na Hawajach, ale na Boga, gdyby nadeszli,

on by na nich czekał. Dlaczego w listopadzie rozbroiliśmy okręt? Dotąd lataliśmy z głowicami bojowymi przy torpedach i lukami pełnymi bomb, i bez świateł? Nie da się ukryć, że Halsey zareagował jak muł, któremu osa latała koło tyłka.

Warren opisał bezowocną wyprawę Halseya na południe od Oahu w poszukiwaniu japońskich lotniskowców. Warren Henry i inni piloci od początku uważali, że udają się w złym kierunku. Japończycy mogli uderzyć tylko z północy, tak by po ataku wycofać się prosto do domu. Ale Halsey, jak się później dowiedzieli, otrzymał informację radiową, że należy udać się na południe. Wypuścił wszystkie bombowce i samoloty torpedowe. Godzinami samoloty przemierzały przestrzeń nad pustym morzem, aż ogłupiały „Enterprise” wezwał ich do powrotu. Informacja była błędna, spowodowana wzajemnym znoszeniem się sygnałów. Japończycy płynęli dokładnie w przeciwnym kierunku, na północ. Potem gonienie było już bezcelowe.

Jego ojciec mruknął z niedowierzaniem.

- Czy to naprawdę tak wyglądało? Co za głupota! To prawie tak jak cumowanie pancerników.

- Tak, ktoś z tej wielkiej bandy powinien był pomyśleć o wzajemnym znoszeniu się sygnałów. Ale nikt nie miał dość jasnego umysłu, a i tak byłby to jeden lotniskowiec przeciwko, nie wiem dokładnie, czterem czy pięciu. Posłuchaj ojcze, nasza własna artyleria zestrzeliła kilka naszych samolotów. Jestem pewien, że to oni wypalili do mnie. To był jeden wielki bałagan. Powiedz lepiej, jak się ma Briny? Widziałeś się z nim w Manili?

Burbon poprawił wisielczy humor Victora Henry'ego, ale rozmowa z Warrenem była jeszcze lepszym lekarstwem. Światło padające z salonu oświetlało twarz syna ukazując mu jak bardzo się zmienił. Wyglądał starzej, był bardziej rozluźniony, a papieros stał się nieodłączną częścią jego osoby. Walczył z wrogiem i wyszedł z tego cało.

- Powiem ci ojcze - rzekł, napełniając jego kieliszek - to nie była porażka. To była najgorsza klęska w całej historii. Ten wstyd zawisnie nad marynarką na setki lat. Kongres głosował dziś za wojną, z jednym głosem przeciw. Tylko jednym. Pomyśl do czego musiało dojść. Japończycy byli na tyle głupi, że nie poszli dalej na południe, utrudniając Rooseveltowi szansę wypowiedzenia wojny. Byłby w nie lada kłopotcie. - Warren pociągnął solidny łyk burbona. - Co więcej, pod względem operacyjnym spieprzyli ten atak. Pokonali nas w pierwszym nalocie. W drugim rzucie zbombardowali tylko kilka okrętów. Co im z tego przyszło? Nasze zbiorniki ropy stały łatwo dostępne na tyłach bazy okrętów podwodnych. Mieli tyle celów, do których nie sposób było chybić. Gdyby dostali ropę, a nic ich od tego nie powstrzymywało, ewakuowalibyśmy się teraz z Hawajów. Flota nie mogłaby już stąd

operować. Odegralibyśmy tu Dunkierkę, tyle że na przestrzeni dwóch i pół tysiąca mil. Co więcej nie uderzyli na okręty podwodne. Tego też będą żałować. I nawet nie tknęli warsztatów naprawczych.

- Przekonałeś mnie - przerwał mu Pug. - Jestem pewien, że japoński admirał popełnia teraz harakiri z powodu tej haniebnej klęski.

- Powiedziałem, że to była nasza porażka - ostro lecz uprzejmie odparł Warren. - Powiedziałem, że osiągnęli zaskoczenie kosztem strat politycznych, a następnie zdołali je w pełni wykorzystać. Słuchaj, został kwadrans do obiadu. Wypijemy jeszcze po jednym?

Pug chciał przejrzeć swoje listy, ale lotność umysłu Warrena podnosiła go na duchu, a trunek czynił cuda.

- Dobrze, ale nie za dużo.

Opowiedział Warrenowi o swoim spotkaniu z admirałem Kimmelem. Gdy wspominał o uwadze admirała, że zbyt dużo materiałów wojennych idzie do Europy, młody lotnik trzepnął ręką na znak protestu.

- O Boże, on także? To kiepska wymówka. Wiadomo, że powstrzymywanie Niemców będzie kosztowało życie milionów ludzi. Jakich ludzi? To przecież możemy być my. Rosjanie już raz umówili się z Hitlerem, teraz mogą zrobić to samo. Wiesz, że komuniści podpisali odrębny akt pokojowy w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku. Była to pierwsza rzecz, którą zrobił Lenin po objęciu władzy. To oczywiste, że nie możemy pozwolić, by Związek Sowiecki przestał walczyć.

- Wiesz Warren, gdy będziesz miał trochę wolnego czasu, powinieneś pojechać do sztabu i wyjaśnić im to wszystko.

- Byłbym rad, ale musiałbym się pospieszyć, żeby zdążyć póki jest jeszcze dowódca.

- O, masz jakieś przeczucie?

- Tato, prezydent nie ma zamiaru podać się do dymisji, a czyjaś głowa musi polecieć.

- Obiad! - zawołała Janice.

- Najgorsze jest to - mówił Warren, gdy wchodzili do jadalni - że pewnego dnia Rosjanie zażądają zapłaty za to wszystko. Zaanektują Polskę lub Czechosłowację albo jeszcze coś innego. Rosja mniej więcej co pół wieku połyka Polskę, by następnie ją zwymiotować. A jak było w Moskwie ojcze? Jacy są Rosjanie? Dużo widziałeś?

W czasie całego obiadu Pug opowiadał o swoich przygodach w Rosji. Janice przyniosła kilka butelek czerwonego wina. Nie było w pierwszorzędym gatunku, ale on nie był wielkim zwolennikiem wina. Tego wieczoru jednak, wypijał kieliszek za kieliszkiem, myśląc, że jest naprawdę niezłe. Ta długa rozmowa, choć nie był do takiej przyzwyczajony,

uspokoiła mu serce.

Janice pytała go o Pam Tudsbury, więc opowiedział także o przygodach w Anglii i locie nad Berlinem. Warren chciał wyciągnąć od niego jakieś szczegóły odnośnie bombardowania, ale Pug nie był w stanie dużo mu powiedzieć. Warren przerwał potok słów Puga i opisał mu swoje potyczki z Biurem Zaopatrzenia w związku z ulepszeniem luku bombowego, jakie opracował w warsztatach okrętowych, a które miało być zastosowane we wszystkich maszynach. Pug z trudem ukrył zdziwienie i dumę mówiąc tylko:

- Nikt ci za to nie podziękuje, mój chłopcze. Szczególnie, jeśli to się sprawdzi! Co najwyżej będziesz miał opinię człowieka sprawiającego kłopoty.

- Osiągnę to, co chcę. Bomby, które spadają prosto na cel.

* * *

Po obiedzie usiedli znowu na ganku przy brandy. Pug był prawie pijany. Zapytał syna, co według niego powinien teraz robić. Nie będzie już przecież dowodził „Kalifornią”. To było szczere pytanie. Syn wywarł na nim duże wrażenie, ufał, że Warren może mu dobrze doradzić. Ten zaśmiał się i powiedział:

- Tato, naucz się latać.

- Nie myśl, że nie rozważyłem tego.

- Mówiąc poważnie, lepiej wróć do sztabu i czekaj, aż coś się zmieni. Oni prawdopodobnie myślą, że doskonale znasz prezydenta. Dostaniesz wszystko, o co poprosisz. Ale musisz działać szybko. Jeśli pan Roosevelt przypomni sobie, że jesteś bez zajęcia, wyszuka ci inną misję. Chociaż, jak sądzę, musi to być interesująca praca.

- Warren, dzięki, dzięki chłopie, mam nadzieję, że mi wierzysz, nalej jeszcze tylko trochę, to cholernie dobra brandy - prawie wszystko co robiłem w ciągu ostatnich dwóch lat przynosiło mi tylko ból głowy. Nie wiem, dlaczego pan Roosevelt właśnie ze mnie chce zrobić wysokooktanowego chłopca na posyłki. Rozmawiałem z ważnymi osobistościami twarzą w twarz, jasne że to przywilej. Jeśli chciałbym napisać książkę albo robić karierę polityczną czy coś w tym rodzaju, to byłoby bardzo przydatne. Ale nawet najpiękniejszy kwiat szybko traci płatki. Musisz uważać na każde słowo, które mówisz, a oczy i uszy zawsze musisz mieć szeroko otwarte. Niektórzy z nich przejdą do historii, choć są to tacy sami ludzie jak my, a czasem po prostu kryminaliści, tak jak Stalin czy Hitler. Sądzę, że trzeba lubić towarzystwo ważnych osobistości, by to robić na stałe. Na Boga, są tacy którzy to wprost uwielbiają, ale ja nie jestem jednym z nich. Nie chcę znowu opuszczać okrętu i morza; nie mam zamiaru ponownie zwiedzać wnętrza jakiejś ambasady.

- Jak to się zaczęło, tato? Proszę, nalej sobie.

- Nie, nie Warren. No dobrze, jeszcze parę kropel na dno. Jak to się zaczęło? Cóż... - Pug przypomniał sobie swoje przecucia odnośnie paktu hitlerowców z Sowietami, wizytę u prezydenta, wysyłkę samolotów do Anglii i raporty z Berlina. Czuł, że język zaczyna mu się plątać. - To niezły pomysł. Nigdy jeszcze nie rozmawiałem o tym z nikim. Nawet z twoją matką. Trafiłeś mnie teraz niczym zawodowy oficer śledczy. Ale to mnie podnosi na duchu, a nawet z chęcią ci się wypowiadam. Swoją drogą jestem pijany jak szewc.

Warren uśmiechnął się.

- Ha! O niczym mi nie powiedziałaś. Ta historia z samolotami dla Anglii ukazała się w Time kilka miesięcy temu.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale to nie ja wypaplałem tajemnicę. I nie uświadczysz tam mojego nazwiska.

- Oczywiście, że go tam nie było. Tato, wiesz dlaczego prezydent cię lubi? Masz bystry umysł, robisz co do ciebie należy, i nie mówisz za dużo - a, to ciekawa kompilacja. W dodatku nie walczysz o jego sympatię. Wyróżniasz się wśród tych ludzi, którzy zrobiliby wszystko, aby być blisko niego. Jesteś dla niego nie tylko użyteczny, lecz wnosisz także powiew świeżego powietrza. W Waszyngtonie nie ma zbyt wielu patriotów.

- To całkiem interesujące. Nie wiem dlaczego mi schlebiasz, ale dzięki za nazwanie mnie w tej sprawie patriotą i obdarzenie jasnym umysłem. Staram się nie być głupszy niż reszta. Być może nie miałem racji w tej sprawie z lotniskowcami i pancernikami. Gdybym został wysłany na „Enterprise” zamiast „Kalifornię”, co mogłoby się stać, gdybym nauczył się latać, dowodziłbym teraz okrętem, a nie kupą złomu. Jutro porozmawiamy, chcę usłyszeć o tych zerach. Teraz jeśli nogi nie odmówią mi posłuszeństwa, myślę, że pójdę do łóżka. Przepraszam, że tak się rozgadałem.

* * *

Spał aż do południa. Janice bawiła się w ogrodzie z dzieckiem, gdy jej teść w białym jedwabnym kimonie pojawił się, ziewając, na ganku, trzymając w ręku koperty.

- Cześć, tato - zawołała. - Masz ochotę na śniadanie?

Usiadł w wiklinowym fotelu.

- Masz na myśli lunch? Nie, dziękuję. Przez te podróże jestem i tak wybity z rytmu. Twoja pokojówka przygotowuje mi kawę. Przejrzę pocztę, a potem zwiewam do sztabu.

W kilka minut później Janice usłyszała głośny brzęk. Victor Henry siedział wyprostowany, wpatrując się w list leżący na kolanach, a jego dłonie wciąż obejmowały

filizankę, której o mało nie zbił.

- Co się stało, tato?

- Co? A, nic.

- Złe wiadomości z domu?

- Ta kawa jest okropnie gorąca. Oparzyłem się w język. Nic poza tym. Przy okazji, gdzie jest Warren?

- Poszedł na swój okręt. Mówił, że wróci na obiad, ale sądzę, że w dzisiejszych czasach niczego nie można być pewnym.

- Masz świętą rację.

Jego głos oraz sposób w jaki to powiedział zaniepokoiły Janice. Był spięty i jakiś nieswoj. Ukradkiem przyglądała mu się, gdy czytał dwa ręcznie napisane listy, odkładając na bok, nietkniętą całą stertę urzędowych pism.

- Słuchaj Jan - podniósł się z miejsca, wkładając wszystkie listy z powrotem do dużej koperty.

- Tak, tato? Jesteś pewien, że nie chcesz nic do jedzenia?

- Nie, nie. Nie chcę jeść! Jestem tylko trochę przemęczony. Położę się chyba z powrotem do łóżka.

* * *

Wieczorem drzwi do jego sypialni były wciąż zamknięte. Warren wrócił do domu po siódmej. Janice powiedziała mu, co się wydarzyło. Ostrożnie zapukał do drzwi ojca.

- Tato?

Gdy nie odpowiedział zapukał głośniejsz, a następnie nacisnął klamkę i wszedł do ciemnego pokoju. Wkrótce wyszedł z pustą butelką brandy w dłoni.

- To była nowa butelka, Janice. Otworzył ją i wypił wszystko.

- Jak on się czuje?

- Jest pijany do nieprzytomności.

- Może powinieneś przejrzeć jego pocztę?

Warren spojrzał na nią chłodno zapalając papierosa.

- Słuchaj - powiedziała nieśmiało, ale w jej głosie brzmiała nuta desperacji - to te listy go załamały. Lepiej sprawdź o co chodzi.

- Jeżeli będzie chciał, bym się dowiedział, sam mi to powie.

- Co masz zamiar zrobić?

- Zjeść obiad.

W czasie posiłku Warren nie odezwał się słowem. Siedział w milczeniu wpatrzony przed siebie.

- Tata zbyt się przejął „Kalifornią”, odezwał się w końcu. To cały problem.

- Miejmy nadzieję, że to tylko o to chodzi.

- Czy słuchałaś wieczornych wiadomości? - zapytał.

- Nie.

- Wielki nalot na Manilę. Doszczętnie zbombardowali bazę marynarki. To wszystko co przekazał Waszyngton. Ale radiotelegrafista z „Enterprise” powiedział mi, że trafiono bombami dwa okręty podwodne i że jeden z nich zatonął. Nazywał się „Devilfish”.

- O Boże, nie!

- I nie ma ani słowa o tym, by ktoś się uratował.

- Może to mylny raport.

- Być może.

- Warren, czuję w kościach, że Byronowi nic się nie stało.

Jego chłodna twarz bardzo przypominała teraz ojca.

- Jest to jakieś pocieszenie, przynajmniej do czasu, gdy dostaniemy jakieś konkretne informacje.

61

Dla specjalistów wojskowych „Clark Field” oznacza porażkę poniesioną przez Stany Zjednoczone w sposób równie okrutny jak w Pearl Harbor. Wraz z tą porażką na głównym lotnisku armii na Luzon, Filipiny straciły swą osłonę powietrzną, a Flota Azjatycka musiała się przenieść na południe. Bogate wyspy i archipelagi na morzach południowych zostały pozbawione jakiegokolwiek zabezpieczenia i praktycznie czekały na podbicie. To co się tam stało, nie miało żadnego racjonalnego wytłumaczenia. Mimo to Kongres nigdy nie zechciał zbadać tej sprawy. Nikogo nie zwolniono, a historia ignoruje Clark Field, rozpamiętując Pearl Harbor. Clark Field spóźniło się tylko o pół dnia, by przejść do nieśmiertelności. Dwie wielkie katastrofy w ciągu jednego dnia były zbyt nudne. Historia, jak dobry redaktor, wycięła tę powtórkę.

Clark Field wydarzyło się pół dnia później niż Pearl Harbor, ponieważ Japończycy nie byli w stanie dotrzeć o świcie we wszystkie miejsca jednocześnie. Zrezygnowali z szansy niespodziewanego ataku na Filipiny, ponieważ słońce wschodziło tam pięć godzin później. Ich bombowce czekały tylko na odpowiednią pogodę na lotniskach Formozy, po czym udały

się wprost nad główną wyspę Luzon. Spodziewali się pogotowia i gwałtownej obrony, a przybyli na miejsce bez szkód. Obserwatorzy naziemni już od wybrzeża przekazywali dane o nich, a mimo to myśliwce i bombowce Sił Powietrznych Dalekiego Wschodu - groźnej i potężnej armady, która powstała w ciągu ostatnich kilku tygodni i miała stanowić główną siłę oporu przeciwko Japonii - czekały na nich na ziemi. To haniebne wydarzenie pozostaje w dalszym ciągu nie wyjaśnione. Tym razem to Japończycy zostali zaskoczeni, tyle że bardzo przyjemnie. Doprowadzili do całkowitej ruiny siły powietrzne generała MacArtura po czym odlecieli. W ciągu kwadransa zniknęła jakakolwiek nadzieja na powstrzymanie Japończyków na morzach południowych. Jedyne co pozostało oddziałom amerykańskim, to wycofać się na ostatnie punkty oporu, po czym poddać się.

Japończycy natychmiast przystąpili do wykorzystania tego sukcesu. Pierwszym krokiem było doprowadzenie portu w Manili do stanu nieużywalności. Dwa dni po ataku na Clark Field, nadleciała horda bombowców, by starannie i pracowicie zniszczyć bazę marynarki. W tym czasie nikt tam nie spodziewał się ataku, nie było żadnej obrony powietrznej, która mogłaby pomóc odeprzeć nawałnicę. „Devilfish” i Byron znajdowali się w samym centrum tego ataku.

* * *

Gdy zaczął się właściwy atak, Byron znajdował się na brzegu wraz z brygadą pobierającą torpedy. Przerażający odgłos syren rozbrzmiał niedaleko składu amunicji. Dźwиг pracujący nad ich głowami zatrzymał się z łoskotem. Podobnie ustały odgłosy całego sprzętu naprawczego. Żołnierze udali się na stanowiska bojowe.

Grupa Byrona miała cztery torpedy na ciężarówce. Zdecydował, że przed odjazdem załadują jeszcze dwie. Zgodnie z rozkazem powinni zabrać sześć, a fałszywe alarmy rozbrzmiewały co chwilę po ataku na Clark Field. Jednak postój dźwigu bardzo utrudniał im pracę. Jedna torpeda ważyła półtorej tony, a ze względu na zawartość materiałów wybuchowych musieli zachować dużą ostrożność. Pracując w pocie czoła, marynarze „Devilfish” przymocowywali właśnie jedną z nich do małego dźwigu, gdy jeden z nich spojrzął w niebo.

- Panie Henry, tam, nadlatują.

Hansen miał najlepsze oczy z całej załogi. Byronowi potrzeba było pół minuty, aby na błękicie dostrzec nikłą literę V, którą tworzyły srebrzyste samoloty, lecące o wiele wyżej niż te, niemieckie, widziane wcześniej nad Polską. Ogarnęło go to stare, dobrze znajome uczucie, które pamiętał z Warszawy, strach, radość, wezwanie do szybkiego działania.

- Boże, jest ich z pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt - mruknał.
- Naliczyłem pięćdziesiąt siedem. Lecą w naszym kierunku, sir. Kąt kursowy zero.
- Rozumiem. A więc pospieszmy się.

Marynarz obsługujący dźwig uruchomił silnik, zaciskając łańcuch na torpedzie.

- Zatrzymaj to! - wykrzyknął Byron słysząc odgłos dalekiej eksplozji.

Następne wybuchy nastąpiły już o wiele bliżej. Cementowe podłoże drżało. Teraz, po raz pierwszy od pobytu w Warszawie do uszu Byrona dobiegł znajomy hałas - głośny gwizd o wzbierającym tonie i głośności.

- Kryć się!

Marynarze ukryli się pod ciężarówką i dużym, ciężkim stołem ślusarskim stojącym w pobliżu. Wybuch nastąpił niedaleko baraku, podłoga zadrżała. Byron także rzucił się pod stół na goły, pokryty smarami i piaskiem cement. Twarzą dotykał czyichś spodni. Po raz pierwszy widział takie bombardowanie. Z wykrzywioną twarzą zaciskał zęby wraz z każdym, potężnym wybuchem, który wstrząsał ziemią. Miał pięćdziesiąt procent szans, by zginąć w każdej następnej minucie. Lecz hałas w końcu ucichł, a bombowce odleciały nad inną część bazy. Wyczołgał się i pobiegł zobaczyć, co się stało. Wszędzie było mnóstwo dymu, a ogień cały czas się rozprzestrzeniał. Ściany zaczynały się walić. Niebo usiane było obłoczkami wybuchów pocisków artylerii przeciwlotniczej, które i tak nie zdołały osiągnąć wysoko lecących samolotów. Marynarze „Devilfish” zgromadzili się wokół Byrona, otrzepując ubrania i przyglądając pożarom wybuchającym wciąż w nowych miejscach.

- Kiepsko to wygląda, sir.
- Czy wracamy na pokład?
- Może powinniśmy dokończyć załadunek?
- Poczekajcie.

Byron spróbował przedrzeć się przez dymną zasłonę, by zobaczyć, jak wygląda sytuacja po drugiej stronie. Hansen poszedł razem z nim. Był to doświadczony żołnierz, stary podwodniak, gruby Szwed z Oregonu, wysoki, z jasną, bujną brodą. Pod wystającym brzuchem zawsze nosił ciasno zapięty pasek. Hansen nie został dowódcą tylko dlatego, że pewnego razu w Honolulu, zatrzymany przez patrol odmówił pójścia z nimi na posterunek, jednemu z żołnierzy łamiąc rękę, a u drugiego powodując pęknięcie podstawy czaszki. Lubił Byrona i wiele go nauczył. Z kolei Byron zapuścił brodę częściowo z sympatii dla Hansena, a częściowo dlatego, że kapitan chciał skłonić Szweda do zgolenia zarostu.

Po drugiej stronie magazynu również szalał ogień, rozprzestrzeniany przez morski wiatr. Na ulicy bomba wyrwała olbrzymi lej, z którego tryskała teraz woda. Podziemne

instalacje w wyniku uszkodzenia iskrzyły się niebezpiecznie. Dym zagroził drogę trzem ogromnym ciężarówkom, zmuszając je do postoju. Filipińscy kierowcy wysiedli i gawędząc spoglądali w dół wyrwy. Byron krzyknął starając się zagłuszyć wrzawę.

- Wygląda na to, że utknęliśmy, Hansen. Co myślisz?

- Nie wiem, panie Henry. Jeżeli te ciężarówki przejadą, to i my wydostaniemy się za nimi gdzieś w okolicy Commandancji.

Jeden z kierowców zawołał Byrona.

- Powiedz, możemy przejechać przez ten magazyn? Przebijemy się tamtędy na nabrzeże?

Byron potrząsnął głową i podniósł głos, by przekrzyczeć ryk syren i krzyki pięciu ludzi ciągnących węże wzdłuż ulicy.

- Wszystko zablokowane z tamtej strony. Wszędzie pożar, niektóre ściany się zawaliły.

- Panie Henry, jeśli ogień dostanie się do tego magazynu, wszystkie torpedy wylecą w powietrze - powiedział Hansen, kuląc się przed niesionymi przez wiatr kłębam dymu i językami ognia.

Byron rozumiał cierpienie wyzierające z jego głosu. Cóż warta była eskadra okrętów podwodnych pozbawiona torped? I tak, od dłuższego czasu odczuwali ich niedostatek.

- Jeżeli zdołasz uruchomić ten duży dźwig, może uda nam się coś uratować.

Hansen podrapał się po łysiejacej głowie.

- Panie Henry, nie jestem operatorem dźwigu.

W pobliżu krateru stał jakiś cywil w kombinezonie i brązowym sztywnym kapeluszu.

- Ja jestem operatorem - powiedział. - Macie jakieś kłopoty?

Byron zwrócił się do filipińskiego kierowcy.

- Czy twoi przyjaciele mogą nam pomóc? Chcemy usunąć stąd kilka torped.

Po krótkiej wymianie zdań w tagalog, Filipińczyk krzyknął.

- W porządku! Gdzie mamy iść?

- Chodź z nami - Byron zwrócił się do cywila. - W tym magazynie mamy duży dźwig.

- Wiem, chłopcze.

* * *

Tymczasem w zatoce Sangley Point, szara motorówka dobiła do burty „Devilfish”, który kierował się w stronę bazy okrętów podwodnych w Bataan. Była to łódź Reda Tully, który odwoził skippera „Devilfish” z powrotem na pokład. Branch Hoban wskoczył na pokład

swego okrętu, podczas gdy kapitan Tully krzyczał z pomostu przez megafon:

- Ahoy, „Devilfish”! Co się dzieje z „Seadragon” i „Sealion”?

Porucznik Aster przyłożył ręce do ust.

- Gdy ich widzieliśmy ostatnio, trzymali się dzielnie. Ale utknęli przy nabrzeżu. Nie mają mocy.

- Chryste, powiedz Branchonowi, by został na redzie. Muszę to sprawdzić.

- Czy mamy się zanurzyć?

- Nie prędzej niż was zaatakują.

Hoban przyszedł na pomost, gdy łódź już odpływała.

- Rety, a co z Brinym i jego brygadą?

Aster wskazał w kierunku bazy, która stała w ogniu pod unoszącymi się w górę słupami dymu.

- Nie dali znaku życia. Pomyślałem, że lepiej się stamtąd wynieść, kapitanie.

- Racja. Szczęście, że jeden z nas był na pokładzie.

Po krótkiej chwili łódź motorowa powróciła. Sternik podprowadził ją, a Tully wszedł na pokład z pobladłą twarzą.

- Niedobrze. Zbombardowali ich. Myślę, że „Sealion” przepadł. Stoi cały w ogniu, maszynownia wypełnia się wodą. Zatonie bardzo szybko.

- O Boże - jęknął Hoban. - Cumowaliśmy przy nich.

- Wiem. Mieliście cholerne szczęście.

- „Pigeon” próbuje właśnie przyholować „Seadragona”. Lepiej wracaj do siebie Branch i zobacz co się da zrobić.

- Oczywiście, sir.

Motorowa szalupa zbliżyła się do „Devilfish”.

- A kto to znowu? - zapytał Tully.

Hoban przymrużył oczy.

- Czy to nie Pierce?

- Tak, to Pierce - przytaknął Aster patrząc przez lornetkę.

Marynarze pobiegli, by pomóc młodemu chłopakowi wdrapać się na pokład. Od razu poszedł na mostek. Miał czerwone, spierzchnięte od wiatru usta, a w usmarowanej sadzą twarzy odcinały się ostro białe gałki oczu.

- Kapitanie, przysyła mnie pan Henry, bym powiedział, że z nim i całą brygadą wszystko w porządku.

- Dzięki Bogu! Gdzie oni są?

- Zabierają torpedy z magazynu.

Tully wykrzyknął.

- Magazyn torped? Chcesz powiedzieć, że on ciągle stoi.

- Tak, proszę pana. Wiatr przewiał ogień w innym kierunku, więc pan Henry i Hansen wzięli ciężarówkę i...

- Jedziesz ze mną. Branch, wracam tam.

* * *

Ale gdy dowódca eskadry wraz z marynarzem dotarli do stojącej w płomieniach bazy, nie zdołali przedostać się do składu torped. Drogi na nabrzeżu blokowały zawalone budynki i tłące się jeszcze szczątki. Tully na próżno krążył w dymie, omijając leje po bombach i jadące na sygnale karetki.

- Kapitanie Tully, wydaje mi się, że widzę ich ciężarówkę - powiedział Pierce. Wskazał na porośniętą trawą obszar po drugiej stronie małego mostu, zatłoczonego przez samochody, karetki i pieszych.

- Widzi pan? Tam obok wieży ciśnień.

- Te duże, szare?

- Tak, myślę, że to oni, sir.

Tully zjechał jeepem z drogi i skierował pojazd w stronę mostu. Byron Henry siedział na szczycie ciężarówki załadowanej torpedami popijając coca-cole. Był nie do poznania. Jego twarz, ręce i broda pokryte były sadzą. Trzy ciężarówki były po brzegi wypełnione torpedami podobnie jak dwa ruchome dźwigi. Mały samochód wojskowy załadowany był oznakowanymi skrzyniami i pudłami. Filipińscy kierowcy siedzieli na trawie zjadając kanapki i opowiadając dowcipy. Brygada „Devilfish” leżała wyczerpana, z wyjątkiem Hansena, który siedział oparty plecami o oponę ciężarówki Byrona paląc fajkę.

- Cześć, Byron - zawołał Tully.

Byron odwrócił się i spróbował zeskoczyć, ale ze stosu długich cylindrów nie było to łatwe.

- O, dzień dobry, sir.

- Ile ich macie?

- Dwadzieścia sześć, sir. Potem musieliśmy zjechać. Ogień zaczął się niebezpiecznie przybliżać.

- Widzę, że zadbałście też o części zamienne.

- To był pomysł Hansena, sir.

- Kto to jest Hansen?

Byron wskazał na stojącego w pobliżu Hansena, który poznawszy kapitana Tully, zbliżył się do niego.

- Jaki macie stopień?

- Torpedysta pierwszej klasy, sir.

- Mylisz się. Jesteś bosmanem torpedystą.

Hansen otworzył usta w pełnym zachwyty uśmiechu, a jego oczy spoczęły na Henrym. Tully rozejrzał się wokoło przesuając wzrokiem po uratowanych torpedach.

- Macie zapalniki?

- Tak jest, sir.

- Bardzo dobrze. Myślę, że zabierzecie ten ładunek do Mariveles.

- Aye, aye, sir.

- Chcę, abyś napisał mi raport, Byron. Wszystkie nazwiska i stopnie twoich ludzi, a także kierowców ciężarówek.

- Tak jest, sir.

- Czy jest jakaś szansa na wydostanie stamtąd następnych torped?

- Zależy, co pozostało z pożogi, sir. Gdy wyjeżdżaliśmy, ogień jeszcze nie wtargnął na teren składu, ale teraz... Nie wiem.

- W porządku. Sam to sprawdzę. Jedźcie.

* * *

Następnego ranka Byron stawiał się do raportu u kapitana Tully. Dowódca eskadry pracował przy biurku w budynku obok plaży w Porcie Mariveles. Port usytuowany był w zatoce, ukrytej wśród gór półwyspu Bataan. Tło dla łysej, opalonej głowy Tully'ego stanowiła niebiesko-żółta mapa Zatoki Manilskiej, pokrywająca większą część gipsowej ściany. Byron wręczył mu dwustronicowy raport. Tully przejrzał go i powiedział.

- Raczej skąpy dokument.

- Zawiera wszystkie fakty, panie kapitanie, nazwiska i stopnie.

Tully pokiwał głową i wrzucił kartki do szuflady.

- Branch mówił mi, że nie znosisz papierkowej roboty.

- To nie jest mój mocny punkt, sir. Przykro mi.

- Czy wspomniał, jakie mam wobec ciebie plany?

- Wspomniał coś o ratownictwie, sir.

- Byron, Japońcy wkrótce tutaj wylądują. Prawdopodobnie nie będziemy w stanie

utrzymać Manili, lecz dopóki MacArtur trzyma się na Bataanie, eskadra może dalej działać z Mariveles. Jest to najbliższej Japończyków położona baza okrętów podwodnych i powinniśmy ją utrzymać tak długo jak się da. Tully wstał i pokazał ręką na mapę. - A więc, chodzi o to, by oczyścić cały Cavite oraz Manilę i wszystko co się da przenieść tutaj. Wygląda na to, że posiadasz nieco instynktu śmieciarza. - Tully roześmiał się, a Byron odpowiedział mu uprzejmym uśmiechem. - Będziesz się tym zajmował, dopóki „Devilfish” nie otrzyma nowych rozkazów. Twoim przełożonym jest teraz porucznik Percifield, zameldujesz się zaraz u niego w sztabie admirała Harta w Manili. Oczekuje ciebie.

- Aye, aye, sir.

- Kiedy już tam będziesz, zajrzyj do admirała Harta. Wiesz, on jest starym podwodniakiem. Opowiedziałem mu o tych torpedach. Docenił to i napisał list pochwalny.

- Tak, panie kapitanie.

- Ach, a nawiasem mówiąc, napisałem o twoim wyczynie do twojego ojca, choć Bóg jeden wie, kiedy i jak to do niego dotrze. - Tully niespodziewanie zdjął okulary i spojrzał na wyprężonego młodzieńca. - Czy nadal chcesz przenieść się na Atlantyk? Kiedy właśnie tutaj rozpętało się piekło?

- Tak sir, chcę.

- Kiedy tu toczy się walka i tylko wasz dywizjon jest w tej chwili zdolny przeciwstawić się Japończykom na morzu?

Byron milczał.

- Jeśli chodzi o twoją żonę i dziecko we Włoszech to jest to nieszczęśliwy zbieg okoliczności, ale jak zapewne wiesz będzie internowana jako obywatel wrogiego kraju.

- Nie jesteśmy jeszcze w stanie wojny z Włochami, sir.

- To nieuniknione. Hitler ma dziś wygłosić kolejne przemówienie i wszyscy oczekują, że wypowie nam wojnę. Co się tyczy Mussoliniego to wiadomo, iż zrobi natychmiast to samo. Nie ma natomiast powodów do niepokoju - twoja żona po pewnym czasie zostanie wymieniona na Włochów, których my internujemy. Włosi to cywilizowany naród i nie ma powodów do obaw.

- Kapitanie Tully, moja żona jest Żydówką.

Dowódca dywizjonu poczerwieniał nagle i zaniemówił.

- Tego nie wiedziałem - mruknął po chwili nie patrząc na Byrona.

- Mój dowódca wiedział, sam mu powiedziałem. Włosi, a co ważniejsze Niemcy, zaklasyfikują mego syna także jako Żyda.

- To faktycznie zmienia postać rzeczy, choć nadal nie rozumiem, jak możesz im

pomóc. Nasze okręty podwodne długo jeszcze będą na Atlantyku dodatkiem i to mało znaczącym. Potrzebny jesteś tutaj - spojrzaj na wyprężonego młodzieńca o kamiennej twarzy.

- Jednakże wyślę rekomendację twego przeniesienia do Floty Atlantyku aktualną od momentu, w którym „Devilfish” znajdzie kogoś na twoje miejsce. Ani godziny wcześniej.

- Dziękuję, sir. - Byron nie okazał ulgi, jaką odczuł słysząc te słowa.

- Jeszcze jedno - Tully otworzył szufladę biurka. - Twój dowódca zarekomendował, a ja przyłączam się do jego opinii. Gratuluję.

Mówiąc to położył przed Byronem złote delfiny (Przyznawane one były za ukończenie co najmniej jednego patrolu, w trakcie którego okręt zatopił nieprzyjacielską jednostkę, lub za wykonanie innego zadania bojowego co najmniej równie ważnego. Innymi słowy było to „świadeństwo” chrztu bojowego (przyp. tłum.) podwodniaka.

62

Wojna ze Stanami Zjednoczonymi (z książki: „*Utrata światowego imperium*”)

Błąd Hitlera

11 grudnia nastąpiło ostateczne nieszczęście - Adolf Hitler po czterech dniach przerwy, w trakcie których sama historia wstrzymywała zapewne dech, zwołał Reichstag i wypowiedział wojnę USA.

Roosevelt w przemówieniu do Kongresu, wygłoszonym w dniu 8 grudnia, nie wspomniał nawet o Niemczech. Przekonania wojenne Amerykanów w stu procentach skierowane były przeciwko „zdradzieckiej” Japonii i jak zwykle prezydent nie wychylił się poza granice opinii publicznej.

Przez cztery dni dla części z nas świeciła nadzieja, że atak japoński może być dla nas wspaniałym przełomem w tej wojnie, gdyż Ameryka może zostać zmuszona do zignorowania Europy i zajęcia się w całości Japonią. Historyczna presja stworzona przez Roosevelta znalazłaby w całości ujście na Pacyfiku, kończąc przy okazji Lend-Lease i dając nam niezbędną przerwę, w trakcie której zdusilibyśmy Anglię i wykończyli Rosję, po czym moglibyśmy zająć się Stanami Zjednoczonymi w odpowiedni sposób.

Jednakże wszystko zmieniła wypowiedź Führera, na którego presję wywierała Japonia, by honorował tak zwany Pakt Trójstronny.

Pakt staje się pułapką

Pakt ten był głównie sprawą propagandową, podobnie zresztą jak Pakt Stalowy pomiędzy Niemcami i Włochami. Japonia przyłączyła się doń w 1940 roku i stał się on

wówczas Paktem Trójstronnym, z którego zrodziła się chimera znana na świecie jako „Oś”. Było to puste pojęcie. Włochy były siłą, która w ogóle się nie liczyła, Japonia starała się zagrozić Ameryce Niemcami, a Hitler chciał osiągnąć to samo strasząc ich Japonią. Dwa słabe państwa związując się paktem, chciały sparaliżować bogaty kraj leżący pomiędzy nimi.

Ziemia jednak jest okrągła i pomiędzy tymi państwami znajdowało się jeszcze jedno bogate państwo - Rosja - złączona z nami paktem o nieagresji, co spowodowało dopisanie do Paktu Trójstronnego klauzuli, która głosiła, że relacje z Rosją nie będą tym paktem zagrożone.

Gdy zaczęliśmy operacje przeciwko Rosji, Japonia stwierdziła, że klauzula ta jest doskonałym wyjściem bezpieczeństwa. Oznajmiła, że ma z Rosją Akt o Neutralności i odmówiła udziału w konflikcie twierdząc, że może się przyłączyć później, gdy warunki na to pozwolą, co oznaczało po prostu, że wkroczą, gdy Niemcy wezmą na siebie ciężar walki i będą stroną zwycięską. Natomiast po ataku na Pearl Harbor sytuacja światowa uległa radykalnej zmianie i teraz Japonia zaczęła się domagać, byśmy pomogli jej w walce z USA.

Oczywiste jest, że Hitler nie był im nic winien - pakt obligował jedynie strony do wzajemnej pomocy przy ataku kogoś trzeciego, a nazwać Pearl Harbor atakiem amerykańskim byłoby zbyt dużym naciąganiem tak prawdy, jak i zasad językowych nawet według orientalnej retoryki. Hitler miał prawo domagać się od Japonii *qui pro quo* zadeklarowania wojny Rosji, co znacznie podniosłoby ducha naszych zagrzebanych w śniegu wojsk lub też byłoby w stanie zmienić obraz całej wojny.

Ale Hitler nigdy tego nie zażądał - pozwolił, by Japonia była wobec Rosji neutralna, podczas gdy on wtrącił Niemcy w wojnę z Ameryką. Tym jednym dotąd niezrozumiałym błędem odrzucił przewagi historyczne i przekreślił przyszłość Rzeszy.

Dlaczego?

Osobiście byłem na inspekcji frontu pod Moskwą, gdy Führer udał się do Berlina, by zadeklarować wojnę.

Zobaczyłem Hitlera ponownie w połowie grudnia w Wilczej Jamie. Zupełnie nie przejmował się Stanami Zjednoczonymi żartując z nich przy obiedzie i nazywając rasą na wpół żydowską, na wpół murzyńską, niezdolną do prowadzenia poważnej wojny. Twierdził, że Stany Zjednoczone będą miały pełne ręce kłopotów z Japonią i najprawdopodobniej zostaną pokonane, a jakby nie patrzeć i tak nie mają szans na interwencję w Europie na czas. Wierzyłem wówczas i nadal wierzę, że był to podtrzymujący na duchu występ dla współpracowników i podwładnych lub też narkotyczne samooszukiwanie. W przeciwieństwie bowiem do przywódców japońskich Hitler doskonale zdawał sobie sprawę z jednego - że nic

nie należy przedsiębrać, by zbudzić i zjednoczyć tego zaskoczonego, kłótliwego i kochającego luksusy tytana. Pearl Harbor było zaprzeczeniem tej wiedzy.

Ta wojna była partią szachów rozgrywanych przez dwa umysły i dwa spojrzenia ścierające się od 1933 roku - umysły Adolfa Hitlera i Franklina D. Roosevelta. Hitler zaczął z przewagą przemysłu, ludności, sojuszników i surowców naturalnych, nie licząc desperackiego i zaskakującego stylu gry. Człowiek na wózku inwalidzkim mógł sobie pozwolić na grę powolną i ostrożną, czekając, aż przeciwnik odsłoni się lub źle obliczy ruch i popełni błąd.

Rok po roku wyglądało na to, że Hitler ogrywa go w doskonałym stylu - bezkrwawe zwycięstwa przed 1939 rokiem, błyskawiczny podbój Polski i Europy Zachodniej oraz zaskakujący sukces z Rosją w 1941 roku przeważały szalę na jego korzyść. Był blisko mata, gdy Japonia zaatakowała Pearl Harbor i było to właśnie coś takiego, na co czekał Roosevelt.

Zdaję sobie doskonale sprawę z tego konwencjonalnego tłumaczenia, iż de facto na Atlantyku prowadziliśmy wojnę z Ameryką i że Hitler chciał ukarać Roosevelta wypowiedzeniem wojny, bijąc go ze względów prestiżowych, i że było to rozsądniejsze posunięcie z punktu widzenia morale narodu i wojska niż czekanie, aż wojnę zadeklaruje przeciwnik. Poza tym nowina ta usuwała w cień problemy frontu wschodniego. Nie zmienia to jednakże fatalnego błędu, jakim było niezmuszenie Japonii do wypowiedzenia wojny Rosji, jak i tekstu samego wypowiedzenia wojny przez nas - dokument ten niczym nie przypominał poważnego oświadczenia głowy państwa, a był jednym długim i desperackim rykiem wściekłości skierowanym przeciwko Rooseveltowi. Według mnie Hitler nagle stwierdził, że mat zagraża jemu i w złości kopnął szachownicę.

Finis Germaniae

Inni pisarze, idący w ślady Churchilla, umieszczają punkt zwrotny wojny rok później, w potrójnym sąsiedztwie Stalingradu, El Alamein i inwazji w Północnej Afryce, to znaczy wówczas, gdy zwrot dał się zauważyć w polu. Faktyczny zwrot nastąpił w Pearl Harbor.

Faktem jest, że największe sukcesy i największy zasięg krótkotrwałego imperium niemieckiego nastąpił w 1942 roku na długo po Moskwie i Pearl Harbor. U-booty prawie opanowały Atlantyk, posyłając na dno całe konwoje, Wehrmacht dotarł do Kaukazu, Morza Kaspijskiego, Nilu, a Japonia w błyskawicznym pochodzie utworzyła swe imperium we Wschodniej Azji.

Przez cały ten czas prześladowało mnie jedno wspomnienie, wspomnienie inspekcji frontu pod Moskwą po ataku na Pearl Harbor. Z powietrza widziałem nasze czołgi, ciężarówki i artylerię przedzierające się przez setki mil pustkowi, zamarznęte w błocie, zakopane w śniegu. Widziałem martwe konie i naszych żołnierzy wycinających mięso z ich

ciał. Często łądowności wśród wojsk trzęsących się z zimna w strzępach letnich mundurów, rozpalających ogniska pod pojazdami, by zapobiec rozerwaniu chłodnic lub zastygnięciu paliwa. Słyszałem nie kończące się skargi na brak obuwia, skarpet, rękawic, płynów przeciw mrozowi i maści, która miała rozmrażać czołgowe peryskopy, a wiadomo, że czołg bez peryskopu jest bezużyteczny. Patetycznie wyglądali żołnierze w damskich futrach czy czapkach zebranych przez Goebelsa, ale przynajmniej oni nie zamierzali na śmierć.

Widziałem zaporę balonową nad Moskwą, błyski sowieckich pelotek i tam właśnie w pełni zasmakowałem goryczy tego nagłego zatrzymania i po raz pierwszy usłyszałem wieść o wojnie z Ameryką. Wiedziałem, że oznacza to nieodwołalnie finis Germaniae.

Po roku 1941 Niemcy przypominały szarżującego słonia z kulą w mózgu, tratującego i zabijającego swoich prześladowców zanim padnie martwy. Kulą tą było Pearl Harbor.

Stracone światowe imperium

Tymi wnioskami kończę pierwszy tom operacyjnych analiz o II wojnie światowej, w związku z czym pozwolę sobie na krótkie podsumowanie.

Generał George Marshall w meldunku o zwycięstwie w 1945 roku nazwał Niemcy, Włochy i Japonię „trzema przestępcami kuszącymi się o łatwy łup”. Gdybyśmy zwyciężyli, co nam się prawie udało osiągnąć tymi, którzy zawiśliby po sprawiedliwym procesie byłiby Stalin Churchill, Roosevelt i Mr Marshall. Przestępcami zaś byłiby Alianci, którzy starali się utrzymać swoje plutokratyczne łupy z poprzednich wieków mordując niemieckie i japońskie kobiety i dzieci z powietrza. Hitler nie jest autorem Drezna i Hiroshimy!

W świecie historii nie istnieje coś takiego jak moralność, są tylko przyływy spokoju i gwałtu następujące po sobie w różnych odstępach czasu. Historię zaś wraz z osądem piszą ci, którzy zwyciężyli, rozstrzeliwując lub wieszając pokonanych. Prawda jest taka, że historia jest nie kończącym się łańcuchem zmian hegemonii bazującej na rozpadzie starych struktur politycznych i powstawaniu nowych. Wojny zaś są szczególnie ostrymi kryzysami występującymi przy tych zmianach, są nieuniknione - były, są i będą, a jedyną zbrodnią wojenną jest przegrana. Takie są realia, a reszta jest sentymentalnym nonsensem.

Szliśmy za Adolfem Hitlerem od tryumfów do klęsk, od 1933 roku do upadku Berlina, gdyż był on naszym narodowym przeznaczeniem. Romantyczny idealista, inspirujący wódz śniący wielkie sny o nowych granicach ludzkich możliwości, a równocześnie zimny kalkulator o żelaznej woli - był duszą Niemiec. Jesteśmy romantycznym narodem, a on był uosobieniem tego romantyzmu - nie da się napisać prawdziwej historii naszego państwa, jeśli nie napisze się o tym fakcie. Miał oczywiście wady włączając w to skłonność do okrucieństwa wulgarność ulicznego agitatora i przesadzoną opinię o własnych talentach

militarnych, nie mówiąc już o szeroko znanej i godnej pożałowania skłonności do antysemityzmu. Takie były wady tej historycznej postaci, ale żaden człowiek, jak wiadomo, nie jest doskonały.

Komentarz tłumacza: Armin von Roon przerywa w zasadzie swoją dwutomową analizę II wojny światowej na Pearl Harbor. W części opisywanej w tym tomie („Utrata światowego imperium”) wojna przebiegała mniej więcej podobnie do poprzedniej i prowadzona była według podobnych zasad, dlatego też Winston Churchill nazywał ją ciągiem dalszym po paru latach zawieszenia broni, a oba konflikty razem wzięte określił jako nową wojnę trzydziestoletnią.

Jednakże przez cały ten czas Stany Zjednoczone nie brały w niej udziału. Po Pearl Harbor tkwiliśmy w niej po szyję i stała się ona faktycznie pierwszym konfliktem globalnym. Ale to już zupełnie inna historia.

Drugi tom jego pracy ukazał się niedawno w Niemczech i nosi tytuł „World Holocaust”. Analizuje on głównie porażki Niemiec i nie cieszy się zbyt dużą poczytnością.

Jego ocena Hitlera pomija parę szczegółów. Ten zdolny i romantyczny wódz o morderczych skłonnościach, użył Niemiec jako narzędzia zbrodni i stał się sprawcą śmierci od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu milionów ludzi. Dokładna liczba nie będzie chyba nigdy znana. Zatrzymanie go kosztowało świat miliardy dolarów. Gdyby społeczeństwo Niemiec zamknęło tego osobnika w szpitalu dla wariatów, gdzie było jego miejsce, zamiast ustawiać go na piedestale czczonego i szanowanego wodza i udzielając mu przez dwanaście lat pełnego poparcia, te śmierci i straty nie miałyby miejsca.

W kryteriach historycznych Adolf Hitler był z pewnością najgorszym kłamcą, oszustem, masowym mordercą i burzycielem, jakiego nie znają dzieje człowieka. Omawiając tę postać Roon mógł wspomnieć o tych faktach choćby przez samą uczciwość.

(V. H.)

63

Drzwi do sypialni były otwarte i wrzaski Hitlera obudziły dziecko. - Natalia w sypialni miała przyciszone radio, ale nagły pisk: „Roosevelt” spowodował płacz Louisa i wyrwanie z odrętwienia Aarona.

- Mimo wszystko to maniak - oznajmił ten ostatni siedząc wygodnie w fotelu w szlafroku i kapciach.

Szklanka z herbatą drżała w jego dłoni, gdy słuchał dalszych krzyków, szeptów i

warczeń składających się na przemowę Führera.

- Nader sprytny, przekonujący i silny, ale maniak - dodał. - Przyznaję, że dotąd nie zwróciłem na to uwagi. Sądziłem, że cały czas gra.

Spojrząwszy na stryja z namysłem Natalia poszła po dziecko.

Mowa Hitlera zaczęła się od normalnych narzekania na niesprawiedliwość dotyczącą Niemcy i jego osobiście i stopniowo przeradzała się w oskarżenie największego zbrodniarza wojennego, odpowiedzialnego za cały przelew krwi i nieszczęścia, jakich on, Hitler, starał się za wszelką cenę uniknąć, zwariowanego hipokryty, który zaprzedał siebie i swój kraj Żydom, prześladowającego na każdym kroku Niemcy i Niemców i odpowiedzialnego za cierpienia ludzkości. Po długiej przerwie nastąpił dziki wrzask: „Rooo-sss-velt!”, który obudził dziecko i również w jakiś sposób Aarona.

W ostatnich latach słuchał on zaledwie paru mów Hitlera, gdyż go nudziły. Będąc historykiem twierdził, że pełno podobnych mu zidiociałych tyranów napotkał na kartach historii i każdy z nich miał krótki żywot. Zniszczył, co mógł, zbudował sobie pomnik i zniknął - tak samo będzie z Hitlerem. Po swej wizycie w Niemczech napisał esej (wydrukowany w Harper's) pod tytułem: „Der Führer: Myśli przed północą” i uznał sprawę za zakończoną.

W eseju tym porównał to, co działo się w Niemczech do innych krótkotrwałych masowych ruchów, które przeminęły w ciągu ostatnich wieków. Czasem zmieniały one porządek rzeczy, na przykład krucjaty czy Rewolucja Francuska, a czasami były jedynie powodem zniszczenia, jak masakry Tamerlana. Może ten gloryfikowany żebrak mógł oddać światu przysługę? Jego dążenie do nowego porządku w Europie miało sporo sensu. Mógł wywołać wojnę światową, którą mógł tak wygrać, jak i przegrać, a na pewno w końcu musiał umrzeć, przy czym nie oznaczało to bynajmniej końca świata, który dopiero po jego śmierci go oceni.

Bóg - jak to napisał Aaron - podobnie jak objazdowy żongler działał za pomocą przypadkowych obiektów, które wpadły mu w ręce. Jeśli Hitler by wygrał i wprowadził niemiecką tyranie w Europie czy nawet na świecie, tyranie, która przetrwałaby wiek albo dwa, to być może miało tak być z racji wyższych celów - to, co się działo na Ziemi, działo się dlatego, że miało się dziać. Duch ludzki, w swym nieskończonym dążeniu do wolności, albo osłabiłby i zmiękczył teutońskich władców, albo rozsadziłby więzienie, jak źdźbło trawy rozsadza betonową jezdnię.

Zaklasyfikowawszy w ten sposób niemieckiego tyrana Aaron zapomniał o jego istnieniu, ale Hitler przypomniał mu o sobie tym wrzaskiem o Roosevelcie.

W miarę jak wódz Trzeciej Rzeszy porównywał się z nim - on, syn biedaków, Roosevelt, rozpieszczone dziecko milionera; on, zwykły żołnierz I wojny znający ostrzał, błoto i głód, Roosevelt, powojenny spekulant finansowy podwajający wartość majątku otrzymanego od rodziców; on, odbudowujący pokonany i pognębiony kraj, Roosevelt, ekonomiczny myśliciel i powód ruiny bogatego niegdyś kraju; on, dzielny naprawiacz starych krzywd, mesjanistyczny zjednoczyciel Europy, Roosevelt, największy zbrodniarz wojenny próbujący utrzymać i przedłużyć światową hegemonię Żydów - słuchając tego wściekłego, nonsensownego i zajadłego fantazjowania, Aaron wprawdzie zawahał się w słuszności swego filozoficznego podejścia, a w końcu zaczął się bać.

Włosi już unieważnili ich wizy wyjazdowe. Charge d'affairs powiedział mu co prawda, że to jedynie profilaktyczne podejście i że nadal powinni być gotowi do wyjazdu piętnastego, jak było uzgodnione, chyba że w tym czasie zostanie wypowiedziana wojna. Przez te dni Jastrow niewiele jadł i spał, a teraz mowa Hitlera zdawała się zatrząskiwać żelazne drzwi ich więzienia.

- I co? - spytała Natalia pojawiając się z dzieckiem w ramionach. - Jest jakaś nadzieja?

- Jak dotąd nie wypowiedział wojny.

Nie przejmując się jego obecnością podała niemowlakowi pierś, a następnie przykryła go swetrem.

- Dlaczego tu się tak oziębiło? Wydaje mi się, że...

Aaron położył palec na usta słuchając doprowadzającego się do furii Hitlera. Słuchacze wybuchnęli entuzjastycznym aplauzem i skandującym wyciem: „Sieg Heil!”

- Co tym razem? - spytała.

- Obawiam się, że właśnie to - odparł przekrzykując tumult. - Powiedział, że zwrócił akredytacje amerykańskich dyplomatów i to rozpoczęło owację.

- Nie powiem, żeby mnie to specjalnie zaskoczyło - pogładziła główkę niemowlaka. - Głodny byłeś, co?

- Mussolini musi przemówić. Za mniej więcej godzinę będziemy wiedzieli, na czym stoimy.

- Aaron, czy on ma jakiś wybór?

Wyłączył radio.

- Myślę, że się napiję. Chcesz też?

- Nie, lepiej dziś być gotowym na wszystko.

Aaron wzruszył ramionami i wychylił kieliszek sherry. Nalał sobie ponownie i opadł na fotel spoglądając na wysoki, chłodny pokój zastawiony walizkami i skrzyniami. W hotelu i

na ulicy panowała cisza.

- Nie rozpaczaj, moja droga. W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku Duce udało się wymigać od tego. Militarnie i tak Hitler nie ma z niego pożytku. Włochy są słabe, chore i pobite. Jeśli wypowie wojnę USA to może zostać zabity, a Hitler nie ma na to z pewnością ochoty. Poza tym Mussolini to cwaniak. Może się wyśliznąć jakąś chytrą formułką i być może będziemy w tym samolocie piętnastego.

- Aaron, przestań się oszukiwać. On wypowie wojnę.

- Chyba masz rację - westchnął ciężko. - Przykro mi. Naprawdę jest mi strasznie przykro.

- Nie przesadzaj. Poza tym to i tak niczego nie zmieni.

- Pozwól mi powiedzieć to, co chcę. Nie mogę znieść sposobu, w jaki wplątałem w to ciebie i dziecko. Nigdy nie...

- Aaron, zrobiłam to sama i nie ma sensu do tego wracać. Przestań, bo nie zniosę tych narzekań.

Nie licząc cmokania niemowlaka panowała długa cisza. Jastrow popijał sherry i w końcu nie wytrzymał.

- Mogę zadzwonić do ambasady i spytać, czy wiedzą coś o tym dyplomatycznym pociągu.

- To dobry pomysł, jeśli tylko zdołasz się dodzwonić. Jeśli nie, to lepiej chodźmy tam i spytajmy.

- I tak miałem ten zamiar - zabrał się za telefonowanie, ale linia była zajęta, toteż zrezygnowany odłożył słuchawkę i dołał sobie sherry. - Bycie historykiem ma ten minus, że zniekształca spojrzenie na teraźniejszość. Wydaje mi się, jakbym obserwował wydarzenia przez niewłaściwą stronę teleskopu - postacie wyglądają na śmieszne i odległe, wydarzenia są trywialne i powtarzające się, a to, co nastąpi, można łatwo przewidzieć, gdyż wszystko to już było w przeszłości. Tylko teraźniejszość jest pogmatwana. Hitler i Mussolini nie mają środków, by przetrwać. Ten dom wariatów w Europie rozleci się i to już wkrótce, gdyż Rosja i Ameryka bez problemów zgnotą nazizm. Ale pozostaje pytanie: jak szybko? Cóż, myślę, że lepiej się ubiorę...

- Właśnie.

- Zaraz, tylko dopiję...

Natalia wyszła z dzieckiem do sypialni, żeby uniknąć kłótni - nie miała już cierpliwości i łagodności dla tego chytrego starca, którego ironia i ślepy optymizm spowodował obecność jej i dziecka w tym kraju, do którego z każdą chwilą zbliżało się

zagrożenie. Choć, co zawsze w końcu przyznawała, była to przede wszystkim jej wina.

Nie mogła tylko do samego końca stwierdzić, w którym miejscu popełniła ten najfatalniejszy z błędów. Wracając do Włoch? Wychodząc za Byrona? Nie wsiadając do niemieckiego samolotu w Zurichu? Nie płynąc z Herbem do Palestyny? Podejrzuwała, że powodem jest coś innego, coś w niej, gdyż pomimo zaradności i przebiegłości była w rzeczywistości naiwnym głupcem. Była nikim i niczym - nie miała nawet prawdziwej tożsamości, a całe życie spędziła niczym unoszący się na wietrze liść. Była Żydówką, ale określenie to nie oznaczało dla niej nic poza kłopotami, które sprawiało. Pierwszy raz przespała się z obcokrajowcem i innowiercą, wyszła za mąż za chrześcijanina, nie zastanawiając się zresztą nad tym aspektem ani sekundy - bardziej martwiło ją, że Byron był taki młody i niedoświadczony. I ten łańcuch przypadków stworzył istotę, która aktualnie ssała jej pierś!

W ostatnich tygodniach zaczęła śnić, że nic z tego nie jest prawdą, że tak naprawdę to jest w Paryżu, albo na Long Island, a reszta to koszmar senny. Ulga i radość z tego powodu ustępowała rozpaczy, gdy budziła się stwierdzając, że jednak nie to było prawdą.

Dziecko było jedyną rzeczą, która utrzymywała ją przy życiu - najrealniejszą rzeczą, jaka trzymała ją na Ziemi. Reszta, pokój w hotelu, Rzym, Europa - były niewyraźną, acz groźną i zamgloną przeszłością. Ostatnią szansą był ten pociąg dyplomatyczny, toteż czym prędzej ubrała ciepło siebie i dziecko, by udać się do ambasady.

- Wyglądasz wspaniale - powitał ją Aaron ubrany w błękitny płaszcz (który dostał na sześćdziesiąte szóste urodziny od Searlesa), najlepsze ciemne ubranie i krawat. Znów popijał.

- Bzdura. Jeśli kiedykolwiek dotrę do domu, to pierwszą rzeczą, którą zrobię, będzie spalenie tej kiecki. Obiecuję, że nigdy już nie założę czegoś brązowego.

- To wspaniale, że nie straciłaś poczucia humoru - ucieszył się. - Siadaj, moja droga.

- Czy nie jedziemy do ambasady? - spytała siadając na oparciu fotela.

- Powiedz mi, czy spotkałaś kiedyś ojca Enrico Spanelli?

- Tego watykańskiego bibliotekarza? Nie.

Uśmiechnął się półgębkiem jak to miał w zwyczaju, gdy alkohol zaczynał nań działać.

- Sądziłem, że zjedliśmy razem kolację.

- Mieliliśmy, ale Louis zachorował.

- Aaa, cóż, Enrico przyjedzie tu za chwilę, by zawieźć nas na Piazza Venezia. Zna wszystkich dziennikarzy i będziemy mogli wysłuchać i obejrzeć Mussoliniego z terenu zarezerwowanego dla prasy.

- Co?! Mam iść z dzieckiem w tłum faszystów?! Co z...

Jastrow uniósł dłoń mówiąc i jednocześnie pisząc na kartce.

- Cóż, moja droga, jest to wydarzenie historyczne, a będąc tu możemy być jego świadkami.

Na kartce, którą jej podał, napisał:

„Jeśli wypowie wojnę, Enrico zabierze nas prosto do ambasady. W każdym razie znikniemy z hotelu, do którego mogą po nas przyjechać”.

Dlaczego mu ufasz?” - napisała pod spodem.

Nie mieli pewności, czy w hotelu były mikrofony, ale profilaktycznie część tematów załatwiali na piśmie.

Aaron zdjął okulary i starannie wytarł je chusteczką. Był to stary i umówiony sygnał, że podejmuje trudną decyzję.

- Natalio - odezwał się łagodnie - wiesz, że jestem katolikiem?

- Co?!

- Ach, więc nie wiesz. Sądziłem, że mogłaś przez grzeczność nie poruszać tego tematu. Tak, naprawdę jestem katolikiem.

Aaron przy alkoholu miewał różne wypowiedzi, ale nigdy nie powiedział niczego tak dziwnego.

- Co mam ci powiedzieć? - spytała zaskoczona. - Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej. To rodzinna zmora i lekko mnie zaskoczyli tym, że cię o niej nie poinformowano. Zmieniłem wiarę mając dwadzieścia trzy lata - spojrzał na nią spod oka gładząc brodę. - Zresztą i tak to nie było to. Obawiam się, że ja po prostu nie nadaję się do żadnej religii. Wtedy postąpiłem uczciwie.

Po czym opowiedział jej o dziewczynie, którą uczył historii i jej ascetycznej, chrześcijańskiej rodzinie, o półtorarocznej, burzliwej miłości, trwającej do momentu aż sprawa nie zakończyła się hukiem, o opuszczeniu Cambridge i dokończeniu doktoratu w Yale, by zerwać z nią i wspomnieniami.

Zmianę wiary utrzymywał w tajemnicy, gdyż mając wielu przyjaciół w Bostonie nie chciał ani się z nimi kłócić, ani stawiać ich w trudnej sytuacji. Gdy opuszczał Harvard wiedział już, że było to błędne posunięcie i stanął na etapie sceptycznego naturalizmu, który jak dotąd nie uległ zmianie. Później, gdy w rozmowie występowała kwestia wiary, mówił jedynie o swym żydowskim pochodzeniu, co i tak można było poznać po imieniu. Nie przedsięwziął też nic odnośnie wiary katolickiej - po prostu pozwolił, by sprawa sama uległa zapomnieniu.

Popelnił natomiast poważny błąd na samym początku - przedyskutował kwestię z

rodziną, czego zaczął żałować już w trakcie trwania tej dyskusji. Prawdopodobnie skrócił tym życie ojca, resztę natomiast wprawił w ciężkie osłupienie, z którego rodzice Natalii nigdy nie wyszli. Mimo że zaczął się uważać za niepraktykującego Żyda, dla nich pozostał parszywą owcą.

- Gdy Żydowski Jezus został uznany za książkę miesiąca, Louis napisał do mnie, że jego rabbi chciałby, bym wygłosił mowę, co on sam raczej mi odradzał z wiadomych powodów i to w taki sposób, że omal nie zrobiłem mu na złość. Odpowiedziałem ciepło i serdecznie, ale odmownie i to był ostatni kontakt między nami. Przez te całe trzydzieści lat dyskutowałem o tej sprawie jeszcze tylko z jedną osobą, nie licząc dzisiaj ciebie, i tą osobą jest właśnie Enrico Spanelli. Powiedziałem mu o tym we wrześniu, gdy nie puszczono mnie do Szwajcarii sądząc, że to może być przydatne. Jest wspaniałym człowiekiem i doskonałym naukowcem, choć dość słabo orientuje się we wczesnym Bizancjum. Nigdy nie krytykował mego posunięcia, napisał do Stanów, dostał potwierdzające dokumenty, a ja mam ich kopie. Tak oto mamy przyjaciół w Watykanie. Mam nadzieję, że nigdy nie będziemy zmuszeni, by ich użyć, ale jest to coś w rodzaju zabezpieczenia.

Natalia, dla której najistotniejsze było teraz dziecko, słuchała tego mile zaskoczona - było to jak znalezienie zardzewiałego klucza w ciemnym lochu. Co prawda religia Aarona była jego prywatną sprawą, ale mogło to przynieść pomoc i schronienie albo nawet możliwość ucieczki. Wyjaśniało to również zachowanie i stosunek jej rodziców do stryja.

- Przyznaję, że mnie zaskoczyłeś. Ale przyznaję też, że było to niesamowicie sprytnie pociągnięcie. Przestać być Żydem czterdzieści lat temu. Co za zdolność przewidywania!

- Och, nie popelniaj błędu. Nadal jestem Żydem podobnie jak był nim Paweł po chrzcie. Ale z tego, co mówisz sędzę, że nie pogardzasz mną jak twoi rodzice. To miłe.

- Żydowski Jezus, tak? - mruknęła. - Oszust.

- On był żydowskim Jezusem - Aaron wyprostował się w fotelu. - Twierdziłem tak, twierdząc i będę twierdził, a książka jest owocem niezłej walki, jaką stoczyłem sam ze sobą. Tak jak większość byłem pod wrażeniem całej chrześcijańskiej struktury i sztuki, jakie odkryłem w collegu, zbudowanej na tym, co ludzie określają mianem martyrologii Żyda; a co do której Żydzi, tacy jak twoi czy moi rodzice, udają, że nie istnieje. Natomiast ona jest i w końcu dopiero udało mi się dotrzeć poza religijne metafory i znaleźć Jezusa takiego, jakim był jako osoba i jako postać historyczna. To była też kwintesencja moich zmagania ze sobą... Widzisz, znalazłem nadzwyczajną osobowość, pociągającą i władczą, utalentowaną i tragiczną, która żyła w Palestynie dawnymi czasy. Dlatego ta książka w rzeczywistości...

Przerwał mu dzwonek telefonu.

- A, to musi być Enrico - mruknął wstając. - Weź dziecko, kochanie.

- Zgoda - odparła po chwili wahania.

* * *

Przy kierownicy porzewiałego miejscami samochodu czekającego przed hotelem siedział mężczyzna w kapeluszu kleryka i płaszczu z futrzanym kołnierzem pałacy papierosa. Miał twarz chłopca dziwnie przypominającą Il Duce - wyraziste oczy, potężną wysuniętą szczękę i szerokie usta. Ale okulary i łagodny wyraz oblicza znacznie zredukowały pierwsze wrażenie.

- Wygląda pan na zmęczonego, profesorze - oświadczył w uroczym rzymskim dialekcie po powitaniu Natalii i podziwach na temat niewidocznego spod koca dziecka.

- Nie spałem dobrze.

Ruszyli z reumatycznym nieomal jękiem startera.

- Rozumiem - głos księdza był łagodny i uprzejmy. - Tak jak pan chciał, zorientowałem się w możliwościach pańskiego schronienia się w Watykanie. Nie jest ono niemożliwe, ale konkordat znacznie ogranicza naszą swobodę działania. Doradzałbym ostrożność, gdyż zwracanie na siebie uwagi w jakikolwiek sposób może spowodować wzrost zagrożenia i specjalną troskę osób, na których uwadze najmniej nam zależy.

Choć ulice były prawie puste prowadził ostrożnie. Dopiero w pobliżu Piazza Venezia widać było ludzi zmierzających w tym samym co i oni kierunku. Niektórzy nieśli transparenty.

- Problem polega na tym - odparł Aaron - że jestem już kimś takim.

- Prawda. I prawdą też jest, że to nieszczęsne niepewne obywatelstwo w tym wypadku może być wielce pomocne. Jeśli dowieść, że jest pan bezpaństwowcem, to nie może pan być obywatelem wrogiego kraju - opuścił oczy. - Co, niestety, nie znajduje zastosowania w przypadku pańskiej siostrzenicy. Należy naturalnie przyjąć, że wasza ambasada...

- Proszę mi wybaczyć, ojczy, ale ktokolwiek udzieli schronienia mnie, udzieli także jej.

Tym razem milczenie trwało dłużej, tym bardziej że i jazda wymagać zaczęła większej uwagi, gdyż ilość przechodniów w zimowej odzieży zwiększała się błyskawicznie w miarę zbliżania się do placu. Idący byli milczący i skuleni. Jedyne widoczni tu i tam członkowie „Czarnych koszul” starali się wyglądać władczo i dumnie, co nie bardzo im się udawało.

- Te plakaty są bezczelniejsze niż zazwyczaj - zauważył Aaron na widok rumianego faszysty z karykaturą Mrs Roosevelt, która siedziała na nocniku i wzywała męża. Przed nimi

widać było już następny - przedstawiał uśmiechnięty wór dolarów pałacy papierosa w cygarnicze i idący o kulach.

- Kiedy zaczyna wrzeć, szumowiny wypływają na wierzch - odparł ksiądz.

Wjechał w boczną uliczkę i zaparkował w pełnej śmieci bramie, po czym poprowadził ich w kierunku niedalekiego już placu.

* * *

Wypełniony ludźmi prostokąt był cichy - ludzie stali nic nie mówiąc, nawet nie szepcząc między sobą. Zimno, szarość nieba i silny wiatr dopełniały ponurego obrazu i nawet dzieci w pierwszych rzędach trzymające chorągiewki zbiły się w gromadkę spoglądając z niepokojem i bez uśmiechu.

Poszli do ogrodzonej liną sekcji w pobliżu balkonu, gdzie stali reporterzy i dziennikarze, w tym paru Amerykanów i Japończyków, których Natalia spotkała na przyjęciu. Ktoś rozłożył dla niej krzeselko i siadła na nim trzymając na kolanach śpiące dziecko, co jakiś czas wstrząsana dreszczami pomimo ciepłego swetra. Wiatr zdawał się ignorować płaszcz, sweter i resztę, docierając do gołej skóry.

Dość długo czekali na Mussoliniego, który pojawił się nagle z dłonią uniesioną w faszystowskim pozdrowieniu. Przez plac przetoczył się ryk tłumu: „Duce! Duce! Duce!”, co było tym dziwniejsze, że wszyscy spoglądali nań w milczeniu, z twarzami bądź nic nie wyrażającymi, bądź wyrażającymi otwartą wrogość. Pod balkonem, na którym stała ta operetkowa postać ubrana w czarny, bogato szamerowany złotem uniform, kilkanaście czarnych koszul skupionych wokół mikrofonów robiło za tło akustyczne. Obok wodza pojawił się Niemiec ubrany w mundur Służby Zagranicznej oraz Japończyk w cylindrze i płaszczu - obaj flankowali dyktatora, niższego zresztą niż Azjata, sprawiając wrażenie bardziej strażników niż towarzyszy. Grupka pod balkonem przestała hałasować (dziwnie przypominając zdezorientowanych sklepikarzy i fryzjerów) i wszyscy w milczeniu oczekiwali tego, co powie wódz państwa włoskiego.

Mowa była krótka i wojownicza, ton też był wojowniczy, gesty znane, a całość żalosna i dziwaczna. Głos zresztą zupełnie nie pasował do gestów - bił pięścią w poręcz, gdy ściszał ton, uśmiechał się w najmniej odpowiednich momentach. Pajac pobity w Grecji i Afryce ponownie okazywał, że jest pajacem, sprawiając wrażenie, iż doskonale się bawi wypowiadając wojnę USA. Stojący pod balkonem wiwatowali w przypadkowych momentach. Nie czekając na koniec tego wystąpienia ludzie zaczęli się rozchodzić i ostatnie zdanie wygłosił już do tysięcy pleców - coś, co było nie do pomyślenia na początku jego

kariery. Kwestia „Włosi, podnieście się jeszcze raz, bądźcie godni tej historycznej chwili. Zwycięstwo jest nasze!” brzmiała fałszywie nawet bez uśmiechu, którym ją zakończył.

Pod balkonem znów zabrzmiały wiwaty, postacie na balkonie wycofały się do wnętrza, a na opustoszałym placu zostali prawie wyłącznie dziennikarze. Niewielka grupka Amerykanów trzymała się razem, rozmawiając z ożywieniem, jednak przyciszonymi głosami. Choć spodziewali się takiego obrotu sprawy, to jednak kiedy nastąpił, poczuli się dziwnie - stali przecież na terenie wrogiego państwa. Debata tyczyła jednego: czy wrócić do mieszkań, by posprzątać i spakować się, czy kierować się wprost do ambasady? Kilku wybrało to pierwsze argumentując, że jeśli znajdą się już w ambasadzie, to mogą nie mieć ku temu okazji, żeby się wydostać.

To z kolei przypomniało Aaronowi o rękopisie nowej powieści, w związku z czym wraz z księdzem ruszyli do samochodu, aby najpierw pojechać do hotelu. Natalia była zbyt zszokowana, by protestować, w dodatku mały zaczął płakać i perspektywa zabrania dlań bielizny była całkiem atrakcyjna. Zanim jednakże zdołali zjechać do hotelu wóz nagle zahamował, a ksiądz bez słowa wskazał oddalone o dwa domy wejście do „Excelsiora”. Zajeżdżały przed nie akurat dwa wozy policyjne.

- Ten rękopis jest naturalnie bardzo cenny, profesorze - odezwał się spoglądając nań przestraszonym wzrokiem - ale czy nie lepiej byłoby w tych okolicznościach dostać się najpierw do ambasady? Jeśli najgorsze się sprawdzi, to zawsze mogę spróbować go wydostać i dostarczyć panu.

- Do ambasady - wtrąciła się nagle Natalia. - On ma rację, do ambasady!

Jastrow zgodził się z żalem.

Ponownie zahamowali o parę kroków przed ambasadą i to dość gwałtownie - przed budynkiem, który był celem ich podróży stał kordon policji i wojska, a po przeciwległej stronie ulicy niewielki tłumek gapiów oczekujących rozrywki. W tym momencie było spokojnie, ale nikt nie wiedział, co może się wydarzyć za chwilę.

- Powinni was przepuścić bez problemów - odezwał się ksiądz - ale lepiej być ostrożnym. Proponuję, byśmy poszli piechotą.

Siedząca z tyłu Natalia nie drgnęła, toteż Aaron obrócił się ku niej. Twarz miał poważną i zmartwioną, ale głos łagodny i pewny.

- Chodź, kochanie. I tak nie mamy wielkiego wyboru.

Poszli stroną, na której stali gapie i na skraju tłumku spotkali dziennikarza „Timesa”, który zaprosił Natalię na owo japońskie party. Teraz był przestraszony i wściekły. Odradzał próbę sforsowania kordonu. Korespondent United Press próbował tego przed chwilą i został

zatrzymany przy bramie, a po paruminutowej dyskusji z policją pojawił się wóz karabinierów i wywiózł go w nieznaną stronę.

- Jak to możliwe? Nie dość, że to barbarzyństwo, to jeszcze bezsens - zdenerwował się Spanelli. - Mamy wielu korespondentów w Stanach. To idiotyczne zachowanie i bez wątpienia czyjaś samowola, której wkrótce położą kres.

- Kiedy i czyja? - spytał dziennikarz. - A co z Philem? Słyszałem dość nieciekawe informacje o waszej tajnej policji.

- Co teraz, Aaron? - Natalia czuła, jakby pograżyła się w bagnie bez nadziei na ratunek.

- Musimy spróbować tam wejść. Co innego nam pozostało? Zaraz... Enrico, czy możemy się teraz, zaraz dostać do Watykanu?

- To niestety niemożliwe. Nic nie jest przygotowane, a takie nagłe wtargnięcie może tylko pogorszyć sytuację. Za kilka dni to się da załatwić, ale teraz na pewno nie - Włoch rozłożył bezradnie ręce.

- Jezu, więc tu jesteście - rozległ się zza ich pleców szorstki głos. - Wszyscy mamy kłopoty, ale wy najlepiej chodźcie ze mną.

Natalia odwróciła się i spotkała nieco wystraszone, ale wesołe i typowo żydowskie spojrzenie Herberta Rose'a.

* * *

Przez całą drogę najbardziej charakterystyczny był smród ryb wypełniający ciężarówkę wiozącą ich do Neapolu. Kierowcy - para neapolitańczyków zajmujących się dowozem świeżych ryb do Rzymu - wieźli prądnice dla statku z uchodźcami żydowskimi, gdyż stara się zepsuła, i zgodzili się zabrać niespodziewanych pasażerów.

Poszarzały na twarzy od bólu głowy Rabinowicz skulił się przy zapakowanej aparaturze, bujając się w rytm podskoków ciężarówki. Dwa dni szukał generatora w Neapolu i Salerno i w końcu udało mu się znaleźć lekko zużyty w Rzymie. Rose'a zabrał, by pomógł mu się targować i nawet protestował z początku, gdy ten przyprowadził Natalię i Aarona do stojącej w pobliżu ambasady ciężarówki. Później nie odezwał się słowem, jeśli nie liczyć opowieści, jaką uraczył ją na samym początku, po której czym prędzej weszła na skrzynię ciężarówki. Aaron po ostatnim przypomnieniu Włochowi o rękopisie podążył za nią bez zwłoki.

Jego opowieść była na tyle krótka, co treściwa. Za namową Herba poszedł do „Excelsiora”, by dać Aaronowi i Natalii ostatnią szansę przyłączenia się do nich. W pokoju

został dwóch doskonale ubranych i doskonale zachowujących się Niemców. Urządzili mu dość dogłębne przesłuchanie na temat doktora Jastrowa, nie przedstawiając się zresztą. Uciekł, a właściwie wyszedł przy pierwszej okazji, jaką było zjawienie się kelnera i ku swej uldze nie był zatrzymywany.

Mniej więcej przez pierwszą godzinę jazdy, a raczej objadania się po ciemnej skrzyni podskakującego na nierównościach samochodu, Aaron usiłował znaleźć rozsądne wytłumaczenie obecności Niemców w hotelu. Odbywało się to w formie monologu, gdyż Natalia nie wyszła jeszcze z szoku, Herba to nie interesowało, a Rabinowicz miał swoje zmartwienia. W sumie nie było się nad czym zastanawiać, ale doktor Jastrow zaczął mieć wątpliwości, co do słuszności swej decyzji dołączenia do uchodźców, co było jego prawem. Natomiast, co gorsze, zaczął je mieć na głos. W końcu na wzmiankę o pociągu dyplomatycznym Natalia się zdenerwowała.

- Możesz wracać i próbować nim jechać, powodzenia. Ja zostaję!

To wreszcie zatamowało potok mowy stryja. Zwinął się w kacie i zasnął.

W trakcie całej drogi nikt nie usiłował ich zatrzymać - najprawdopodobniej znajomy widok wraz ze smrodem zniechęcał patrole. W każdym razie bez przeszkód dotarli do portu i to już po zmroku ledwie kilkakrotnie wymieniając żarty z patrolem.

Natalia ledwie to rejestrowała zbyt zmęczona by reagować. Zatrzymali się i rozbudził ją ostry stuk.

- Obudźcie się przyjaciele, jesteśmy na miejscu - oznajmił z neapolitańskim akcentem jeden z kierowców.

Wolno i ostrożnie przeszli przez zaciemnione i zamglone nabrzeże, z lubością wdychając słodkie (po rybach) morskie powietrze. W mroku statek rysował się jak cień, z mniejszymi cieniami spacerującymi po pokładzie. Dla Natalii zdawał się nie większy niż nowojorska łódź wycieczkowa.

- Kiedy odpływamy? - spytał Aaron.

- Jak zamontujemy i sprawdzimy generator - odparł Rabinowicz. - Chodźcie na pokład, znajdzie się jakieś wygodne miejsce.

- Jak nazywa się ten statek? - spytała Natalia.

- Och, miał już wiele nazw. Teraz nazywa się „Redeemer”, zarejestrowany jest na tureckiego armatora, toteż, kiedy będziecie na pokładzie, znajdziecie się na terytorium neutralnego państwa. Kapitanat portu i konsul turecki doskonale się rozumieją.

- Zaczynam się czuć jak Żyd - szepnęła do ucha Aaronowi tuląc dziecko do piersi.

- Ja nigdy nie przestałem się tak czuć, choć czasami wydawało mi się, że tak nie jest.

Chodź, moja droga!

Idąc za Rabinowiczem po wąskim trapie dostali się w końcu na pokład. Gdy Natalia stanęła na nim Rabinowicz odwrócił się i w świetle księżyca można było dostrzec jego zmęczony uśmiech.

- Proszę się odprężyć, Mrs Henry, jest pani w Turcji. Jak na początek to wcale nieźle.

64

Janice zbudził prysznic odkręcony na pełną moc - na zegarku stojącym przy łóżku było pięć po piątej. Wzięła prysznic, założyła szlafrok i zeszła na dół. W salonie Victor Henry ubrany w galowy mundur czytał korespondencję przy świetle nocnej lampki. Jego świeżo ogolona twarz miała barwę popiołu, czego się w mniejszym lub większym stopniu spodziewała po szesnastu godzinach snu, w jaki zapadł po wypiciu butelki brandy. Napisał coś na marginesie listu i odchrząknął.

- Dzień dobry, Jan. Obudziłem cię? Przepraszam najmocniej.

- Witaj, tato. Nie. Vic często budzi się o tej porze. Nie za wcześnie na jajka na bekonie?

- Prawdę mówiąc brzmi to zachęcająco. Warren wrócił zeszłej nocy?

- Śpi - chciała mu powiedzieć o zatopieniu „Devilfish”, ale przestraszyła się; i tak wkrótce się dowie.

Zaparzyła kawę, nakarmiła dziecko i zajęła się śniadaniem. Jak zwykle zapach bekonu postawił na nogi Warrena. Pojawił się w mundurze, przeczesał włosy i nucąc coś pod nosem. Uśmiechnął się do ojca i zrozumiała, że gra, by nie musieć mówić o Byronie.

- Cześć, tato, jak się czujesz?

- Biorąc pod uwagę okoliczności to nieźle. Chyba trochę zasnęłam.

- Można tak powiedzieć, ale podróże często tak działają.

- Faktycznie, mają dziwne efekty. Opróżniłem całą butelkę?

- Do ostatniej kropli.

- Ciekawe - mruknął Victor. - Pamiętam tylko wypicie pierwszej połowy.

- A może tak dawkę leczniczą...?

- Wystarczy kawa, jest znakomita.

- Wybrałaś doskonały dzień na spanie - Warren nalał sobie kawy. - Masa nowin i żadnej dobrej.

- Na przykład?

- Hitler i Mussolini wypowiedzieli nam wojnę.
- Durnie! Ułatwiają pracę prezydentowi. To najgorsza nowina?
- Słyszałeś o „Repulse” i „Prince of Wales”? Japońce dorwali je w pobliżu Singapuru.
- Co?!
- Lotnictwo. Ponownie pancerniki kontra samoloty i ponownie oba są na dnie.
- Boże miłosierny! Czy Anglicy to potwierdzili?
- Sam Churchill. Herbaciarze są skończeni na tym oceanie i na dobrą sprawę, zanim

się jeszcze zaczęło. Australia jest praktycznie bezradna i wygląda na to, że jesteśmy sami.

Victor Henry nadal był pod wrażeniem nowiny. „Prince of Wales”, na pokładzie którego Churchill i Roosevelt śpiewali psalmy pod działami, a którego oficerów i załogę miał okazję poznać w trakcie tego spotkania... A teraz leży na dnie.

- Zmiana warty - mruknął głucho.
- Na to wygląda.
- Zaatakowali Filipiny?

Warren upił kawy zastanawiając się - niewiele wiedział o tym obszarze. Dowództwo tłumilo informacje, by nie powodować paniki wśród ludności. Nawet nalot na Cavite został lakonicznie skwitowany. Wieść o „Devilfish” znalazł w tajnym meldunku i miał nadzieję, że jest błędna. Poza tym następny, do którego nie miał dostępu, mógł wymienić Byrona wśród uratowanych.

- Zbombardowali Cavite - odezwał się w końcu.
- Coś więcej? - Pug przyglądał się uważnie synowi.
- Niewiele. Celem były urządzenia na brzegu.
- „Devilfish” cumował w pobliżu.
- Tak mówiłeś.

Z ulgą przyjął pojawienie się żony z zaproszeniem do stołu.

Pug, ledwie co jedząc, czuł się nieswojo w towarzystwie młodych pochłaniających z apetytem, jedzenie rosło mu w ustach.

- Co planujesz na dziś? - spytał Warren, gdy milczenie zaczęło się przeciągać.
- Co? Och, sądzę, że zagram w klubie w tenisa.
- Tenis? Żartujesz?!
- Dlaczego? Czas wrócić do jakiej takiej formy.
- A może tak do Działu Personalnego Floty?

- Powiem ci coś. Zastanawiałem się nad tym, ale w tej chwili są tysiące oficerów szukających nowych przydziałów. Wszyscy z tej eskadry pancerników wygrzewają fotele w

poczekalni. Navy znajdzie dla mnie zajęcie, nie muszę się o to martwić, a lepiej chyba będzie, jak wezmę, co mi dadzą.

- Mylisz się - w całym swoim życiu Warren nie słyszał ojca mówiącego w ten sposób i być może dlatego tak gwałtownie zareagował. - Miałeś pecha, ale nie jesteś każdym z tego tysiąca. Masz prawo do najlepszego okrętu, jaki jest w tej flocie i już straciłeś jeden dzień na działanie. Navy nie będzie cię szukać, a przynajmniej nie tak szybko. Pograsz parę dni w tenisa i skończysz w Planowaniu. O to ci chodzi?

Pug uśmiechnął się. Gdy słuchał Warrena to tak, jakby słuchał samego siebie, tyle tylko, że młodszego i energiczniejszego.

- Jan, podaj mi wykaz, leży na górze tej sterty listów - przejrzał podane mu kartki. - Hm, ciekawe. Sekcja osobowa, kapitan Theodore Prentice Larkin II.

- Znasz go? - spytał Warren.

- Jacko Larkin? Największy pijak na moim roczniku w Akademii. Raz musiałem wciągać go za łeb do łodzi. Tak był pijany, że omal się nie utopił. Zresztą to były święta i byłem bodajże jedynym trzeźwym na tej łodzi. Nie wiem czy wiesz, ale wtedy nie piłem.

- Mój dywizjon ma o siódmej odprawę. Podrzucę cię do sztabu.

- Może i racja. Jacko przynajmniej mnie nie wyrzuci.

* * *

Warren zatrzymał wóz na wzgórzu, z którego Janice obserwowała japoński nalot. Słońce jeszcze nie weszło na dobre i w szaroróżowym świetle poranka widać było niespotykany obraz: w porcie leżało w podwójnym rzędzie siedem pancerników, poprzekrzywianych albo zgoła przewróconych do góry dnem. Dym unoszący się z nich snuł się pasami po czarnej od ropy wodzie.

- Krajobraz po bitwie - mruknął gorzko Victor.

- Po pierwszym ruchu - odparł Warren. - Słyszałeś, co powiedział Halsey, gdy usłyszał o ataku? Zanim z nimi skończymy, o Japończykach będą mówili tylko w piekle.

- Wywarło to na tobie wrażenie?

- Na załodze olbrzymie. Wszyscy to powtarzają.

- Tak. Dla dodania sobie ducha. Tyle, że chwilowo bicie Japończyków stanowi mały problem. Zwłaszcza, że mamy większą wojnę w Europie.

- Poradzimy sobie i z tym. Teraz ruszy produkcja, jakiej świat nie widział.

- Może. Tymczasem czeka nas parę lat wojowania na złomie i to w niedostatku. Ile porażek zniosą jeszcze ludzie tego kraju? Zastanowiłeś się? Bo w najbliższym czasie będzie

ich w tej okolicy sporo - w głosie Puga nie było żadnego uczucia. - Mogą zmusić prezydenta, żeby się dogadał z Japończykami. Co kogo w Stanach obchodzi, czy obchodziła Azja? Warren zapalił silnik. Nastrój ojca zaczynał się i jemu udzielać.

- Nie masz racji. Nie teraz i nie po tym. Dobra, jedziemy.

Prowadził jak zwykle po wariacku, ale pewnie i aż do samego parkingu przed sztabem nie odezwali się do siebie.

- Jesteśmy - Pug jakby się obudził. - Kiedy się zobaczymy?

- Kiedyś w czasie wojny.

- A dziś wieczór?

- Nie wiem, tato. Mieliśmy wypłynąć wczoraj, może wypłyniemy dziś. Jak na razie, to chyba nikt w tej flocie nie myśli zbyt perspektywicznie.

- Rozumiem to, sam nie bardzo mogę tak myśleć. Zastanawiam się, czy jeszcze mam głowę.

- Przejdzie ci, a głowę masz.

- Mam nadzieję. Co do głowy to lepiej nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów.

- I nie przyjmij odmowy od Larkina. Lepiej weź kluczyki od wozu, ja mogę ich chwilowo nie potrzebować.

- Masz rację. Jak byśmy się nie zobaczyli, to życzę ci powodzenia i dobrych łowów.

Spojrzeli na siebie i rozstali się bez słów. Victor Henry ruszył prosto do działu łączności i zajął się ostatnimi depešami. W wieczornym meldunku o stratach na Cavite dostrzegł „Devilfish” wymieniony jako zatopiony.

Skierował się następnie do pokoju Jacko, by poczekać na niego. Było dopiero piętnaście po siódmej i nikogo w dziale osobowym jeszcze nie było. Bezceremonialnie wziął z innego biurka fotel wiedząc, że Larkin w jego biurze zrobiłby to samo i siadł w pokoju z widokiem na błękitne niebo, zielone pola i czarny od spalenizny port.

Czuł się źle - było mu zimno, miał ochotę wymiotować, a jednocześnie był mokry od potu. Wypicie w parę godzin butelki brandy miało ogromny wpływ, ale po listach od Rhody i Madeline było to jedyne bezpieczne wyjście, jakie mu pozostało. Wieść o stracie „Devilfish” trafiła w oziępiałego człowieka, ledwie go lekko zaskakując. Gdy tylko usłyszał o nalocie na Cavite, oczekiwał czegoś podobnego - nieszczęścia jak wiedział z własnego doświadczenia chodzą parami, a w jego przypadku seriami.

Jednakże każda seria powinna się kiedyś skończyć, a do tej chwili najważniejszym było trzymać się jakoś i przeczekać. Co do losów Byrona nie miał na przykład pewności. Po pierwsze, okręt mógł nie zatonać (wstępne, pełne podniecenia raporty często są mylne), po

drugie Byrona mogło na nim nie być, albo mógł się uratować. Trzeba czekać na potwierdzenie albo zaprzeczenie i mieć nadzieję.

Natomiast inaczej sprawa się miała z żoną i córką - tu nie było możliwości pomyłki czy nieporozumienia. Rhoda chciała rozwodu i ponownego małżeństwa z Fredem Kirby, a córka zakochała się w pracodawcy i nie zdziwiłby się, gdyby o tym w krótkim czasie przeczytał w gazetach. Takie były fakty. Choć być może trudne do pojęcia, ale tym nie mniej realne. Musiał się z nimi pogodzić i jakoś zareagować.

Zamiast ulgi, że może stać się wolnym, co zmieniało jego sytuację z Pamelą, po raz pierwszy zrozumiał, jak beznadziejny był ten romans i jak silne więzy łączące go z żoną. To, że Rhoda ich nie czuła, to że była w stanie napisać i wysłać list z taką treścią zamiast mu o tym powiedzieć, że to jej wina, że on w jej oczach jest prawie świętym, ale że od ponad dwudziestu pięciu lat chciała mieć inne życie i innego mężczyznę, było ciosem, po którym trudno mu było się pozbierać. Poza tym list ten rodził inne pytanie: co dokładnie zaszło między nią a Fredem? I tu Victor rozdarty był między dwiema odpowiedziami: tą, którą dyktował zdrowy rozsądek i która stwierdzała, że jego żona przespała się najprawdopodobniej z innym mężczyzną, i tą, którą dyktowała miłość własna twierdząca z kolei, że coś takiego jest niemożliwe. Uczepił się faktów w ich gołej postaci, a Rhoda nic na ten temat nie napisała.

Tym, czego pragnął teraz najbardziej, było odzyskanie jej, gdyż czuł, że kocha ją w desperacki zgoła sposób. Wiele z tego uczucia spowodowane było przez jego urażone ego, ale nie wszystko - była przez ponad ćwierć wieku jego częścią, była nie do zastąpienia w jego życiu i potrzebny był aż taki szok, by zdał sobie sprawę z tej oczywistej prawdy. Nie winił jej za ten związek - to zdecydował po pijanemu zanim stracił świadomość, tym bardziej że niewiele brakowało, by ich role się odwróciły. Co dziwniejsze, nie żywił omal nie spotkało jego i Pameli. Tylko Rhoda przekroczyła granicę i to omal nie doprowadziło go do wściekłości. Uczciwie rzecz biorąc musiał jednak realnie spojrzeć na fakty.

Natomiast na Clevelanda był wściekły i gdyby nie wybuch wojny nie był wcale pewien, czy nie znajdowałby się w drodze powrotnej do Stanów. W dodatku był zły na siebie, że pozwolił Madeline na zostanie w Nowym Jorku. Mógł kazać jej wrócić do Waszyngtonu. Teraz żona tego człowieka (o ile można tak nazwać świnie) grozi rozwodem, lży jego córkę, a on nic nie może na to poradzić. Ba, gdyby pomyślał, to przewidziałby taki rozwój wydarzeń, gdyż samotna dziewczyna w takim jak to mieście musiała skończyć podobnie. Jeśli nie ten, to byłby inny - Madeline oberwała na zasadzie kaczki przelatującej nad strzelnicą, ale...

- Pug! Wczoraj cały wieczór próbowałem cię znaleźć - głos Larkina przerwał mu rozmyślanie. - Gdzieś ty się do diabła schował?

Jacko, zaczerwieniony, z czterema paskami na rękawie, zamknął drzwi, rzucił czapkę na wieszak i oznajmił przez wewnętrzny telefon:

- Nie ma mnie, Amory.

- Aye, aye, sir.

- Cieszę się, że cię widzę - siadł w fotelu i przyjrzał się uważnie koledze ze szkolnej ławy. - Szkoda „Kalifornii”, miałyby doskonałego dowódcę.

- Cóż, mój pech utonął w ogólnym nieszczęściu.

- Kto ci przekazał wiadomość? Zostawiłem ją w tuzinie różnych miejsc.

- Jaką wiadomość? Przyszedłem, żeby się z tobą zobaczyć.

- Po co?

- Po rozkazy.

- Ja właśnie po to chciałem się z tobą zobaczyć. Pug, Kimel ma iść w odstawkę i to na swoją osobistą prośbę. Na tej samej zasadzie, co Ludwik XVI sam skrócił się o głowę. Jego następcą jest Pye, choć nie wiadomo na jak długo, a on chce zacząć od zmiany sztabu. Prawdę mówiąc coś tu faktycznie śmierdzi i jedno co mnie cieszy to ten drobiazg, że nie mam nic wspólnego z gotowością bojową. Pye chce ciebie do sztabu. Czeka! - powstrzymał Puga, który zdecydowanie potrząsnął głową. - Pozwól, że wpierw coś powiem. Dla kogoś w twojej sytuacji to wspaniała okazja. Bądź łaskaw pamiętać, że w ciągu półtora roku będzie gotowych sześć nowych pancerników klasy Iowa i najprawdopodobniej jeden będzie twój.

- Jacko, ja chcę okręt.

- Przecież ci mówię, że go dostaniesz.

- Teraz, nie w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku.

- Słuchaj, Pug, nie mówi się nie admirałowi to raz, a dwa sztab to doskonała okazja i do układów, i do awansu.

- Gdzie on urzęduje? - Pug wstał.

- Siadaj! Niech cię cholera, nigdy nie umiałeś grać w piłkę czy w tenisa i myśleć rozsądnie!

- Ale nieźle pływam.

Larkin przez chwilę zbierał oddech, po czym parsknął śmiechem.

- Siadajże wreszcie.

- A dostanę okręt?

- Siadaj do cholery!

Pug siadł.

- Co się stało? Wyglądasz jak nieświeży nieboszczyk i zachowujesz się, nazwijmy to

lekko, dziwnie. U ciebie wszystko okay?

- Wczoraj nieco, hmm... zbyt dużo wypilem.

- Ty?

- Szkoda mi było „Kalifornii”.

- Jasne. Jak Rhoda?

- Po staremu - wydawało mu się, że powiedział to spokojnie, ale Larkin uniósł brwi i przyglądał mu się uważnie.

- Masz chłopaka na „Enterprise”, nie? Co z nim?

- Okay. Drugi jest na „Devilfish”... albo był.

- „Devilfish”? - ton Jacka był nienaturalnie spokojny.

- Tak.

Larkin otworzył jedną z teczek leżących na biurku i zabrał się za studiowanie wypisanych na maszynie spisów, które były w jej wnętrzu.

- Niewykluczone, że będzie wolny „Northampton”, ale to wielki znak zapytania.

- Jezu, to najcięższa rzecz, jaka nam została w okolicy.

- Pug, gównie mnie to obchodzi! Dowództwo krążownika jest niczym wobec zastępcy Szefa Sztabu Floty Pacyfiku i wiesz o tym! Tim Saunders wyszedł z tego stanowiska z dwoma gwiazdkami będąc w naszym wieku. Nawet jeśli załatwię ci okręt, to będzie to pomyłka twego życia.

- Nie znasz pomyłek, które już zrobiłem. Posłuchaj, Jacko, od chwili, w której opuściłem Amerykę zajmowałem się przekładaniem ściśle tajnych papierków z miejsca na miejsce. Cztery lata w Planowaniu, trzy lata w Europie i teraz znowu Planowanie. Nic mnie nie obchodzi gwiazdki, jestem marynarzem o specjalności artylerzysty i toczy się wojna - wskazał za okno. - Jeśli nie znajdziesz nic innego, to wezmę dywizjon trałowców, rozumiesz? Ja chcę na morze!

- Słyszę jasno i wyraźnie - Larkin z westchnieniem skinął głową. - Jeden raz więcej będę musiał postawić się staremu.

- Jak cholera. Chcę, żeby on wiedział, że ja tak narozrabiałem. Gdzie on jest?

- Słuchaj no, jeśli zaczniesz z nim gadać tak jak ze mną, to znajdziesz się w samolocie do Stanów, zanim się obejrzyz i to ze skierowaniem do szpitala. Wyglądasz jak trup na urlopie, a zachowujesz się jak w szoku. Zobaczę, co dam radę zrobić, a ty idź do łóżka, odstaw brandy czy co cię tam męczy i czekaj na mój telefon.

- Dzięki, Jacko. Będę w domu Warrena. Tu masz numer. Gdy uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie Larkin powiedział niespodziewanie ciepło:

- Pozdrów ode mnie żonę, gdy następny raz do niej napiszesz.

* * *

Klub Oficerski US Navy

Pearl Harbor

12 grudnia 1941

Droga Rhodo

Jestem zdesperowany zaskakującym listem, jaki od Ciebie dostałem, ale odwlekając odpowiedzi nie daję mi żadnego natchnienia. Nie sądzę, żebym musiał narażać Cię na stratę czasu przelewając na papier swoje uczucia, poza tym i tak nie jestem pewien, czy zdołam to zrobić nie będąc mocnym w tych sprawach nawet u szczytu swej literackiej formy.

Gdybym naprawdę wierzył, że uszczęśliwi Cię ten krok, może postąpiłbym inaczej. Sądzę jednak, że jest to nieszczęście tak dla Ciebie, jak i dla mnie. Wyrażam tę opinię, choć mnie o to nie prosiłaś.

Wiem, że nie jestem Don Juanem, a raczej przez większą część życia byłem dodatkiem do Ciebie. Powody tego stanu rzeczy są skomplikowane i chyba wgłębianie się w nie teraz nie będzie zbyt pomocne. Podstawową sprawą jest to, że łatwiej lub trudniej, ale udawało nam się dojść tak daleko. Nadal Cię kocham i to znacznie mocniej niż to okazuję. A i Ty zdołałaś napisać w tym liście kilka ciepłych słów na mój temat.

Skłonny jestem uwierzyć, że w tej chwili jesteś zakochana jak pensjonarka i że nic na to nie jesteś w stanie poradzić. Sądzę że takie rzeczy się zdarzają, choć zawsze człowiek jest zaskoczony, gdy dach wali mu się na łeb i na końcu dowiaduje się o tym, o czym inni wiedzą od dawna. Poza tym, tak naprawdę nie jesteś pensjonarką, a przyzwyczajenie się do kogoś nowego w naszym wieku nie jest łatwe. Byłoby inaczej, gdybyś była wdową, ale ja jeszcze żyję.

Życie, które prowadziliśmy w ostatnich latach, zdecydowanie źle wpłynęło na nasze małżeństwo. Zdaję sobie z tego sprawę i sam czułem ten wpływ. W Manili powiedziałem Byronowi, że staliśmy się rodziną dmuchawców, a ostatnio wichry wojny rozwiewają nas po świecie. Teraz też uderzyło mnie, że te same wichry. zaczynają rozwiewać naszą cywilizację, co tym bardziej skłania mnie do tego, byśmy trzymali się razem. Mam nadzieję, że po głębszym zastanowieniu przyznasz mi rację.

W ciągu następnych lat większą część czasu spędzę na morzu, toteż nie bardzo jestem w stanie zająć się tymi sprawami. Oto w jakim stanie postanowiłem je zostawić. Jestem skłonny zapomnieć (albo starać się to zrobić), że kiedykolwiek napisałaś ten list, albo też

porozmawiać z tobą na ten temat przy najbliższym spotkaniu. Mogę też, jeśli jesteś absolutnie pewna, że tego chcesz, podpisać papiery i dać Ci wolną rękę. Ale ostrzegam, że nie oddam Cię bez walki. Krótko mówiąc, chcę dwóch rzeczy: twego szczęścia, jeśli to możliwe, byśmy byli szczęśliwi razem.

Widziałem ostatnio Warrena - stał się doskonałym oficerem z otwartą przyszłością. Ma rozum, pomysłowość i umiejętności, by zostać oficerem sztabowym. Byron też nieźle daje sobie radę, tak że spokojnie możemy być dumni z naszych synów. Wiem, że będą w niebezpieczeństwie, ale w podobnej sytuacji jest cały świat, a oni przynajmniej mogą walczyć.

Nie wiem, co stało się Madeline i niepokoi mnie to, ale jak na razie nic na to nie mogę poradzić. Jeśli ten facet chce się z nią ożenić, to upraszcza to sprawę maksymalnie, jeśli nie, to usłyszysz ode mnie parę miłych słów.

Miałaś rację, że twoje nowiny będą mniej bolały z racji mego przeniesienia na pancernik - w specyficzny sposób tak właśnie się stało. Od kiedy przyleciałem tu po ujrzeniu płonących Wake i Midway żyję jak w czasie katastrofy. Twój list prawie pasował do reszty. Prawie.

Jestem człowiekiem kochającym rodzinę i jedną kobietę, o czym zresztą wiesz. Może jestem żyjącą skamienieliną, ale jeśli nawet tak, ta i tak mogę się zachowywać tylko w pewien naturalny sposób. Mam wrażenie, że Kirby (pomimo tego co się wydarzyło) jest takim samym typem. Jeśli mam rację, to cała sprawa nie wyjdzie Ci na dłuższą metę i lepiej wycofaj się z niej teraz. Jest to na tyle uczciwy sąd, na ile może on być uczciwym w moim wykonaniu.

Victor jest uroczym malcem, a Janice doskonałą matką. Nasz drugi wnuk wygląda dokładnie jak Briny, gdy był niemowlakiem. Dołączam zdjęcie, które rozstać, ale wiem, że chciałabyś je zobaczyć. Miejmy nadzieję, że udało im się bezpiecznie wyjechać z Włoch, zanim Mussolini wypowiedział nam wojnę.

Jacko Larkin przesyła pozdrowienia - jest gruby i smutny.

To byłoby na tyle. Teraz zaczynam zarabiać swoje wynagrodzenie (mam nadzieję) walcząc w tej wojnie.

Kocham

Pug.

Był czas na lunch gdy skończył pisać i klub zaczął się zapełniać hałaśliwym tłumem oficerów. Przeczytał epistołę dwa razy, stwierdził, że jest sztywna i nudna, ale nie przepisał jej - treść była taka, jakiej chciał, a był to jeden z tych listów, które można przepisywać dziesiątki razy bez efektu. List, który posyłał Pam był gorszy. Zakleił kopertę.

- Cześć - Jacko maszerujący z trzema młodszymi oficerami stanął obok. - Staralem się do ciebie dodzwonić. Słyszałeś o „Devilfish”?

- Nie. Co się stało?

- W Cavite zatopiono „Sealion”, sprostowanie przyszło godzinę temu. „Devilfish” jest cały i nietknięty.

Pug musiał zdrowo odetchnąć, zanim zaryzykował wydanie głosu.

- Tym razem to sprawdzona wieść?

- Sprawdzona z powtórzeniem sprostowania błędu.

- Szkoda „Sealion”. Jesteś posłańcem doskonałych nowin. Dzięki.

- Druga nie jest tak dobra. Staram się o okręt dla ciebie, ale coraz bardziej wygląda to na pobożne życzenie.

- Ostrzegaleś mnie, Jacko.

- Szukam czegoś innego, ale... Zjedz z nami lunch.

- Innym razem, stary.

Wyszedł i wrzucił list do skrzynki. Byron był cały! A Jacko w jakiś sposób zdoła go wyprawić na morze! Wędrując bez celu po bazie stwierdził nagle, że znalazł się na nabrzeżach, gdzie przy stacji paliwowej stał pobierający paliwo „Northampton”.

Po opuszczeniu biura Larkina zwalczył pokusę złożenia wizyty na krążowniku stwierdzając, że byłoby to lekkie przegięcie nie mając konkretnych rozkazów. Teraz było to bez znaczenia. Ale po co miałyby to robić? Służył półtora roku na siostrzanej jednostce „Chester” i znał dobrze te zgrabne i śmiertelnie niebezpieczne okręty, choć mogłyby być znacznie lepsze, gdyby nie były efektem poronionego traktatu o tonażu i uzbrojeniu okrętów wydumanego przez polityków.

Washington Treaty zobowiązał bowiem USA w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku do budowy krążowników o wyporności do dziesięciu tysięcy ton i uzbrojeniu w działa artylerii głównej kalibru osiem cali. Nie było natomiast słowa o ich długości i rezultatem tego była seria hybryd - przerośnięte niszczyciele o długości pancerników, lecz o zaledwie jednej czwartej ich masy ze smuklejszymi dziobami, lżejszym pancierzem i średnią szybkością. Ich zadania to zwiad i zwalczanie żeglugi handlowej nieprzyjaciela oraz niszczenie jego krążowników. Tyle, że każdy japoński krążownik mógł zatopić „Northampton” zanim ten zdoła dojść na swój zasięg ognia lub storpedować go bez problemów przy tak cienkim pancierze. Po „Kalifornii” była to faktycznie degradacja, z której i tak by się cieszył, jeśli by była możliwa.

Podniecało go ładowanie zapasów na okręt. Jacko miał rację, szykowali się do patrolu

bojowego, tyle tylko że nie pod jego dowództwem. A szkoda, bo coś takiego ukoło by go i wyleczyło z problemów.

* * *

Na stole w sypialni zastał kartkę z pismem Janice przypiętą do zmiętej depeszy Western Union.

Od: Janice

Do: Teść

Temat: Różne

Wracamy na kolację.

2. Dzwonił Warren - nie wróci, odpływają o świcie.

3. Z „Kalifornii” przynieśli telegram z komentarzem, że przez parę dni pętał się po bazie i dopiero teraz do nich dotarł.

4. Pozdrowienia.

Otworzył depeszę:

Najdroższy właśnie usłyszałam o ataku jestem przerażona i martwię się o ciebie wstyd mi za strasznie głupi list najgorszy możliwy czas proszę zapomnij o nim i wybacz mam nadzieję że żyjesz i zadeszujesz

kocham Rhoda

Pokiwał głową czytając - Rhoda jak żywa i prawie słyszał ją przekazującą treść przez telefon. List musiał być głównym motywem - nigdy nie była tak słodka jak po jakiejś wpadce towarzyskiej czy niesłychanej awanturze, co zresztą uratowało ją od wielu nieprzyjemności. Najprawdopodobniej impuls do wysłania depeszy był szczerzy, ale leczenie będzie długie, o ile w ogóle już się zaczęło. Zupełnie jak w przypadku „Kalifornii”. Nie miał pojęcia co odpowiedzieć, toteż wrzucił telegram do szuflady biurka obok listu, za który przeproszała.

* * *

Przy posiłku wypił sporo wina, a potem brandy, które Janice szczerze nalewała - wiedzieli oboje, że inaczej nie zaśnie, zaś alkohol pomógł - ledwie pamiętał, jak się kładł. Obudził się o czwartej rano i doszedł do wniosku, że skoro nie śpi, to może obserwować odpłynięcie Warrena. Cicho ubrał się i wyszedł, starannie zamykając drzwi i jeszcze staranniej uruchamiając wóz, by dojechać na wzgórze.

Mrok nocy był łaskawy dla portu - zniszczenia nie były widoczne, a gwiazdy świeciły jak zawsze w bezchmurną noc rozjaśnianą dopiero nieśmiałym brzaskiem na wschodzie. Jedynie lekki smrodek spalenizny przypominał o leżącym poniżej pobjowisku, które wkrótce

będzie widoczne w promieniach wschodzącego słońca. Zresztą zanim się zupełnie pojawiło dostrzegł to, co znał już na pamięć: podwójny rząd rozbitych pancerników Pacific Battle Force leżących wzdłuż Ford Island, a na jego czele „Kalifornię”.

Odwrócił się od tego obrazu zniszczenia spoglądając w niebo na stare, pomocne w nawigacji konstelacje jak Syriusz czy Procjan. Poczul podziw i znane już uczucie istnienia czegoś większego, panującego nad kruszyną zwaną Ziemią. Prawie widział Boga spoglądającego na bogatą i żyzną planetę i zastanawiającego się, dlaczego w tym dostatnim miłym świecie ludzie głównie zajmują się wykopywaniem żelaza z ziemi, przerabianiem go na broń i zabijaniem się. W dodatku on sam wszystkie dojrzałe lata przeznaczył podobnemu zajęciu, a teraz miał jeszcze narażać życie dla osiągnięcia tego samego, co inni, celu. Dlaczego?

Bo inni to robią, bo bratem Abla był Kain, bo w tym parszywym świecie Stany Zjednoczone są nie tylko jego ojczyzną, ale i nadzieją dla innych, bo jej wrogowie chcą wojny, wobec tego nie pozostaje nic innego jak ją wygrać lub zginąć. Może ta karuzela zakończy się już po tej pierwszej, prawdziwie światowej, wojnie, może zakończy się powtórny przyjściem Chrystusa. A może nigdy się nie skończy.

Ale żył w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku i patrzył na swój zatopiony okręt i swoją zatopioną flotę - dzieło doskonałych pilotów i marynarzy wykonujących rozkazy polityków współpracujących z Hitlerem. Dopóki nie zakończy się życie i władza tego osobnika, świat ani o cal nie posunie się ku rozsądniejszej egzystencji. Teraz pozostało tylko wygrać tę wojnę. Z tą myślą obserwował majestatycznie odpływający, w eskorcie niszczycieli i krążowników, lotniskowiec, na którym jego pierworodny płynął do walki.

* * *

Gdy wrócił Janice była już ubrana.

- Wybierasz się gdzieś? - spytał. - Sądziłem, że jeszcze twardo śpisz.

- To przez ten kaszel Vica. Zabieram go na badania do kliniki. Dzwonił przed chwilą kapitan Larkin.

- Jacko? O tej porze!

- Zostawił wiadomość: „Jest cały twój”.

Victor Henry siadł z wyrazem całkowitego osłupienia na twarzy.

- Mam nadzieję, że to dobra wiadomość - zaniepokoiła się. - Powiedział, że zrozumiesz.

- To cała wiadomość? Nic więcej nie mówił?

- Cała. Powiedział jeszcze, że do dwunastej nie będzie go w biurze, ale sądził, że chciałbyś o tym wiedzieć jak najszybciej, stąd telefon.

- Jasne. To doskonała nowina. Czy jest kawa?

- Jest. Anna May zrobi ci śniadanie.

- Nie, kawą mi zupełnie wystarczy. Słuchaj, będziesz przejeżdżał koło Western Union, prawda? Czy mogłabyś wysłać depezę ode mnie do Rhody?

- Jasne.

Victor sięgnął po kartkę, których cały plik leżał przy telefonie i napisał:

List w drodze jestem ok

właśnie zaczynam walczyć

Spojrząwszy na kartkę Janice skrzywiła się z niesmakiem.

- Co ci się nie podoba? - spytał.

- Może byś tak dopisał „kocham”.

- Oczywiście. Dzięki, Jan, dopisz na telegramie.

Gdy wychodziła telefonował do dowództwa krążowników floty i prawie nie zauważył jej pożegnalnego gestu. Pomyślała, że to typowe dla niego, kiedy tylko w grę wchodzi służba. Trzeba mu wtedy przypominać, że kocha swoją żonę.

1964 - 1971

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ